

1.350.335
WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

ZAGUBIENI ROMANTYCY
I INNI

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1992

WAGŁAW A. ZBYSZEWSEI

ZAGUBIENI ROMANTYCY
I INNI



ISSN 0408-0002

ISBN 82-88221-81-1

IMPRIMERIE EN ROUGE

Éditions Institut Littéraire S.A.R.L.

11, rue de la Harpe, 14, 75005 Paris

INSTYTUT LITERARNY

TYTUŁ

Wydawnictwo Literackie
POMOST, VARSOVIE

1982

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 472



ISSN 0406-0393

ISBN 83-85521-01-1

IMPRIME EN POLOGNE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

En coédition avec l'édition
„POMOST” VARSOVIE

WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

ZAGUBIENI ROMANTYCY I INNI

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1992

WACŁAW A. SZYBZEWSKI

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001019259107



1.350.335



© COPYRIGHT BY INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L. PARIS, 1992
Niniejszy egzemplarz może być sprzedawany wyłącznie w Polsce. Sprzedaż
i wysyłka pocztowa do innych krajów wzbroniona.
This copy to be sold only in Poland. Sale in other countries is prohibited
and will be prosecuted by law.

1992e05792/1

W.A. Zbyszewski

Publicyści są nowoczesnymi prorokami – chcą uchronić ludzkość od straszliwych konsekwencji, jakie ją czekają, jeśli nie usłucha ich ostrzeżeń. Los proroków nie zmienił się od czasu, gdy wołali na puszczę do dzisiaj, gdy wypełniają słowami płachty pism i tysiące książek. Ludzie czytają, często przyznają rację i robią swoje, co zresztą nie ma żadnego znaczenia, gdy przepowiedniami rządzi żelazna reguła – nigdy się nie sprawdzają. Katastrofy i zmiany przychodzą, ale nieomal bez wyjątku z innej strony niż przewidziano.

W.A. Zbyszewski, najbliższy ze współczesnych polskich publicystów był wyjątkiem wśród proroków – nie miał nigdy złudzeń, że świat pójdzie w kierunku, który on uważał za jedynie słuszny i bezpieczny. Nie dlatego, by wątpił w swą rację. Wina była po stronie ludzkości, która nie dojrzała, by korzystać z jego rad.

Gorzka świadomość swojej bezsilności łagodziła mu myśl, że może byłoby inaczej, gdyby był publicystą międzynarodowym i zwracał się do ludzi, którzy decydują o losach świata. Mógł być pisać po francusku, po angielsku, po niemiecku równie dobrze jak po polsku, ale nigdy nie zdobył się na tę decyzję, choć leżała w jego wczesnych możliwościach. Od młodości wiązano z nim wielkie nadzieje. Zanim jeszcze otrzymał doktorat na Uniwersytecie Jagiellońskim zabłysnął w profesorskim, patrycjuszowskim Krakowie olśniewającą inteligencją i erudycją. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat, gdy został najmłodszym współpracownikiem *Czasu*, szacownego, konserwatywnego pisma Stańczyków. W kołach polityczno-naukowych, tak samo jak w salonach, gdzie z młodzieńczą pewnością siebie czarował

arystokratyczne towarzystwo, nikt nie wątpił o jego świetnej przyszłości polityczno-publicystycznej.

Urodzony na Ukrainie, wychowany w kulturze francuskiej, na początku swej kariery na placówkach dyplomatycznych w Tokio, Nowym Jorku i Paryżu, od wiosny 1939 w Londynie, później w Monachium i na końcu w najbliższym mu Paryżu, niemal całe życie spędził poza Polską. Znał świat, znał języki, pasjonowała go międzynarodowa polityka i ekonomia, o których wiedział wszystko co trzeba było wiedzieć. I nie wyszedł nigdy poza publicystykę wyłącznie dla Polaków.

Frustracja, nie do ukrycia gdy pisał, nie miała wyraźnego adresata jako winowajcy. Wolał nie przyznawać się nawet przed sobą, że to on był odpowiedzialny za decyzję ograniczenia grona swych czytelników. Rodakom odmawiał politycznej mądrości i zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby było inaczej, nie mieliby żadnej szansy, by odgrywać jakąś rolę w polityce światowej, co z kolei pozwalało mu brak swojego na nią wpływu ustawiać poza własną winą. Był to wyrok losu.

Przez ponad sześćdziesiąt lat napisał tysiące artykułów na wszystkie ważne tematy owych czasów.* Tak jak inni nie mogą przestać mówić, tak on codziennie, w nieustannej erupcji myśli i w gwałtownej polemice z niewidzialnymi adresatami swych poglądów, przelewał słowa na papier. Wiedział, że nikogo nie przekona, ale nie mógł wstrzymać się, by nie przekazać tego co jedynie uważał za słuszne. Nie wydał żadnej książki, choć mógł to być zrobić wiele razy jak tylu innych, mniej ciekawych od niego pisarzy. Paraliżował go strach przed konfrontacją, którą nie groziły efemerydy, drukowane w prasie, znikając z pamięci czytelnika z następnym numerem pisma, ani to, co przekazywał przez radio. Utrwalone w książce, mogły być świadczyć o omyłności, czego wolał nie ryzykować, choć lekceważył sąd innych. Przy pozorach pychy był to znak słabości.

O czym pisał? Najwłaściwszą odpowiedzią byłoby – o wszystkim. Każdy artykuł, wywołany jakimś wydarzeniem czy jakąś określoną ideą, przemieniał się w trakcie pisania w swobodny strumień skojarzeń, jakie mu narzucała historia, polityka, socjologia, ekonomia, demografia i parę innych dyscyplin na równi z własnymi wspomnieniami. Tematy nachodziły na siebie, przenikały się, nigdy nie trzymając się żadnych granic.

* Podczas wojny używał pseudonim „Krzysztof Nienaski”.

Zasługą jego talentu było, że takie *silva rerum* nie robiło wrażenia nieporządku czy braku logiki, tylko zamykało się w zręczną, łatwą do czytania całość. Do atrakcyjności jego artykułów przyczyniał się także ich plotkarski charakter.

Można było nazwać Zbyszewskiego profesjonalnym plotkarzem, jakim był Saint-Simon, do którego kiedyś porównał go żartobliwie Jan Kott. Tylko podczas gdy złośliwy książę miał niewyczerpane źródło do swoich uwag w wielkich polityczno-towarzyskich intrygach królewskiego dworu, WAZ, pisząc na emigracji, musiał poprzestać na skromnych intryżkach i skandalikach bez znaczenia dla państwa i świata. Choć umiał bystro oceniać ludzi, dzielił z Saint-Simonem niebezpieczną skłonność zabarwiania swych uwag osobistymi antypatiami, nieraz deformując nimi obraz. Robił to bez skrupułów, gdyż ludzi na ogół nie lubił. Jego niechęć do nich nie była agresywna, nikomu nie życzył źle, raczej lekcewał ich za powszechny, w jego pojęciu – z paroma wyjątkami – niski poziom intelektualny, co tłumaczyło dlaczego nie mógł cenić cudzego zdania. Czasami miało to dobrą stronę, gdyż szczęśliwie chroniło go przed uleganiem modom artystycznym i hołdowaniem tej czy innej sztucznie kreowanej wielkości. Choć ludzie go drażnili, tolerował ich z musu, bo nie mógł żyć z wizją nudy, gdyby sam został na świecie. Niczego tak nie bał się jak nudy.

O tym co myślał o znajomych i nieznanym, o wrogach i przyjaciółach świadczyło bogactwo epitetów, jakimi ich określał. Pomysłowość w tej dziedzinie można było w pełni ocenić, czytając jego listy, w których niczym się nie krępował. W tym co szło do druku starał się trochę hamować, ale nie na tyle, by redaktorzy nie musieli nieraz interweniować z troski o dobre imię bliźnich i nie mniej ze strachu przed grożącą pismu skargą o zniesławienie.

Łagodniej potrafił traktować nieliczne bliskie mu osoby, gdy pisał o nich po ich śmierci, czasem pozwalając sobie nawet na rzadki u niego sentyment, jak w wypadku swego mistrza z Uniwersytetu Jagiellońskiego, ekonomisty prof. Adama Krzyżanowskiego. Wobec ludzi, którzy odgrywali rolę w życiu publicznym – uważał – nie powinna być stosowana zasada *aut nihil aut bene*. Dzięki temu jego wspomnienia nigdy nie były panegirykami, utrwalającymi zmarłych dwuwymiarowo, lecz przywracały ich do życia, pokazując ich z wszystkimi wadami i słabościami, *warts and all*.

Stanisław Mikołajczyk, bez wątpienia najmniej popularna postać emigracji, który przemknął szarym cieniem przez naszą

historię, pozostawił po sobie chyba jedyny żywy ślad we wspomnieniu, jakie Zbyszewski, mając o nim najgorszą opinię, umieścił po jego śmierci w *Wiadomościach*.

Pisząc je, wędrował jak zwykle po innych polach, zahaczał o politykę angielską, francuską, rosyjską, o księcia Józefa i Kościuszkę, o polskie gadulstwo i antytalent oratorski, przytaczał przedwojenne polityczne plotki. Wśród polskich i obcych nazwisk, przewijających się przez artykuł znalazło się – wtedy, w 1967 roku – nazwisko Mitterranda w kontekście nie świadczącym o talencie przewidywania WAZa. Mikołajczyk był – według niego – „człowiekiem ambitnym na malutką skalę, ale nie miał kalibru do grania pierwszych ról. Był to człowiek na miarę ministra rolnictwa jak dziś na lewicy francuskiej Defferre jest na skalę ministra budownictwa a Mitterrand – ministra sprawiedliwości”.

Zdarzały mu się i większe pomyłki w osądach i przewidywaniach. Doświadczenia wojenne w bombardowanym Londynie uczuliły go na groźbę bomby atomowej, tej obsesji lat powojennych. Zbyszewski, jak wielu innych publicystów tamtego czasu, bił histerycznie na alarm i nie mógł przebaczyć tym, którzy nie brali poważnie jego prorocत्व. W 1955 r. pisał do redaktora *Wiadomości* Grydzewskiego: „...mam nadzieję, a raczej pewność, że ostatnie rewelacje na temat wodorowej (bomby) przekonały Pana wreszcie, jak nieodżałowane Pan popełnił głupstwo, uniemożliwiając mi przestrzeganie globu przed tą potwornością już w lutym 1950 roku! Wprawdzie rezultat byłby zero, ale *Wiadomości* mogłyby być słusznie dumne, że przewidziały katastrofę”.

Pewnym zadośćuczynieniem dla niego jako proroka byłyby dzisiejsza groźba globalnej katastrofy, jaką niesie z sobą przeludnienie. Zbyszewski przestrzegał przed nim z uniesieniem przekraczającym nieraz granice publicystycznego zaangażowania, co złośliwi przyjaciele skłonni byli tłumaczyć jego znanym i głośno wyrażanym niesmakiem z jakim odnosił się do sposobów, które powodują przyrost ludności.

Krytyczny wobec cudzych sądów, własne wypowiadał apodyktycznie w głębokim przekonaniu o swojej nieomyślności. Mieszkając przez dłuższy czas w powojennych Niemczech Zachodnich i będąc tam świadkiem „cudu gospodarczego”, widział we współpracy z Niemcami i uczeniu się od nich jedyne wyjście dla Europy, a w tym i Polski. Przyczyny jakie Polakom nie pozwalały dzielić jego pro-niemieckiego entuzjazmu, były w jego oczach wyłącznie dowodem gorszącego ulegania emocjom i braku dojrzałości

politycznej, i nie przebaczał im tego, gdy pisał. Ks. Kamila Kantaka, znanego ze swych antyniemieckich przekonań, karał w ferworze polemicznym epitetem „hakatysta”, obojętny, że poświęca historyczne znaczenie tego słowa dla jego zakodowanego u Polaków, nienawistnego brzmienia.

Ganiąc emocjonalność w polityce, Zbyszewski był jednocześnie jej przykładem w swej totalnej nienawiści i pogardzie dla Rosji. Nie robił wyjątków, mogła to być Rosja carska czy sowiecka, mogło chodzić o człowieka czy o literaturę, zawsze była to „ojczyzna ciemnoty, ucisku, knuta, barbarii i tyranii”, zawsze był to „najzacieklejszy wróg naszego kraju”. Jego stosunek do Rosji miał cechy fizycznej idiosynkrazji: nie wypowiedziałby słowa po rosyjsku, nie wzięłby rosyjskiej książki do ręki.

Przez wiele lat Zbyszewski pisał dla radia Wolna Europa korespondencje ze swych wędrówek po Europie, która dla niego zamykała się w granicach od Niemiec i Francji po kraje śródziemnomorskie. Była to praca regularna, co nie odpowiadało jego naturze, ale choć narzekał na zarobkowe „wyrobnictwo”, może te intelektualne reportaże najbardziej odpowiadały jego zamiłowaniom.

Obok światowej polityki, sprawy kultury były mu najbliższe i teraz mógł o nich mówić bez ograniczeń, a umiał to robić urzekająco. W świecie, w którym cenił tylko cywilizację humanistyczną, pasjonowało go wszystko co stworzył człowiek. Pozbawiony sensualnej wrażliwości, nieczuły na przyrodę, widział tylko miasta, pałace, katedry, akwedukty, muzea. Pejzaż prowansalski nie pachniał ziołami Południa, ani nie uwodził niebem, tylko przypominał Cézanne'a; Loara nie płynęła zielono, tylko stały nad nią zamki, które należało zwiedzać.

Literatura, architektura, sztuki plastyczne – w tej kolejności – były głównym przedmiotem jego zainteresowania i uniesień. Na muzykę był głuchy. U tego konserwatywnego w każdej dziedzinie człowieka zadziwiał zachwyt nad nowoczesną architekturą. Nie było dla niego większej radości jak oprowadzać kogoś po Défense czy innych nowych dzielnicach Paryża.

Jeśliby układać skalę cenionych przez niego wartości, na pierwszym miejscu znalazłaby się erudycja. Ceniał ją i rzadko uznawał u innych, a gdy uznał – jak u Stefana Badeniego – potrafił wdawać się w długą korespondencję, pełną własnych komentarzy, najchętniej na tematy historyczno-genealogiczne.

Jego własna erudycja oparta była na pożeraniu książek od wczesnego dzieciństwa. Tadeusz Zabłocki w swoim wspomnieniu o braciach Zbyszewskich, z którymi chodził do szkoły w Kijowie, pamiętał, że gdy on z Karolem kopali piłkę, Wacek jeszcze w dziecinnych skarpetkach nie czytał książek dla młodzieży, tylko francuskich poetów awangardy, recytował Baudelaire'a i innych, miał same piątki i historii mógł uczyć swoich profesorów. Wtedy i potem na uniwersytecie zgromadził w pamięci zapas wiadomości na miarę prywatnej encyklopedii. W późniejszych latach uzupełniał ją nieprzerwaną lekturą każdego drukowanego słowa, jakie go zainteresowało. Pod koniec, książki coraz częściej ustępowały prasie w kilku językach, która mogła błyskawicznie zaspokoić jego niecierpliwą ciekawość wszystkiego co się na świecie dzieje. Przy tej dorywczej lekturze i zaufaniu do własnej pamięci nieuniknione były pomyłki czy niedokładności. „Jakie to ma znaczenie?” – odpowiadał na wszystkie sprostowania, łącząc w tym stałym pytaniu lekceważenie dla szczegółów, nieważnych według niego przy ogólnej idei poruszanego tematu, a także dla uwagi czytelników, za mało wyrobionych, by błąd zauważyli. Pisał z malarskim zacięciem, wielkimi plamami, w których pedantyczne szczegóły mogły tylko zaciemnić obraz i rozproszyć uwagę.

Najpodatniejszym polem dla jego pomyłek była wiedza ścisła, której zupełnie nie rozumiał i uważałby za niepotrzebną stratę czasu, by starać się poznać najprostsze jej zasady. Przez długi czas miał wątpliwości co do pochodzenia słowa „chips” w nowej wówczas elektronice, nie mogąc się oderwać od jego „jadalnego” znaczenia. I z całą nonszalancją pisał o „panu Laserze” w związku z jakimiś nowymi promieniami, które, jak się domyślał, nosiły to imię...

Nuda, która była dla niego postrachem, nie groziła nigdy jego czytelnikom. Intelktualista, który czuł się źle w abstrakcjach, erudyta popełniający kardynalne błędy, mizantrop, zainteresowany tylko człowiekiem, niewyparzony język i staroświecka pruderia, te i inne sprzeczności, których nie próbował godzić, łączyły się, gdy pisał, w obraz wszystkich kolorów i smaków. Czytając go można było się irytować, gorszyć, oburzać, ale nie można było nigdy nie przeczytać jego artykułu do końca.

Stefania KOSSOWSKA

Zmartwienia pesymisty

I.

SPRAWY I TROSKI

Zmartwienia pesymisty

Między 1919 a 1939 r. oblicze Polski uległo głębokim przeobrażeniom. Z tych reform jedna tylko zasługuje na bezwarunkowe uznanie: zlikwidowanie analfabetyzmu. Zapewne to przesada, że w 1914 r. ludność Polski nie umiała czytać i pisać, ale w każdym razie w ciągu 20-lecia niepodległości procent „niegramotnych” zmalał z przeszło 30% do około 10%. W 1939 r. analfabeci rekrutowali się głównie z ludzi starszych, a właściwie starych (przeważnie kobiet); w młodszym pokoleniu istnieli tylko na ziemiach wschodnich.

Natomiast inne reformy, choć właśnie dekretowane głównie pod hasłem planowania, grzeszyły i brakiem wszelkiego planu, i nawet jasnej świadomości zamierzeń i celów. W ciągu dwudziestu lat przekształciliśmy Polskę w państwo urzędnicze z pensją na 1-go jako ideałem: kto tego pragnął? Zniszczyliśmy inflacją nasz stan średni – któż do tego dążył? Etatyzmem zarżnęliśmy prywatnego przedsiębiorcę, polskiego businessmana: znowuż nie wiedzieliśmy co robimy. Systemem podatkowym okroiliśmy szczupłe polskie kapitały: *c u i b o n o*? Wreszcie polityką cen spauperyzowaliśmy rolnika, nie tylko „obszarnika”, ale i tego chłopca, któremu wszyscy politycy palili kadzidła. Raz jeszcze: przez nieprzemysłenie zagadnienia raczej niż świadomą wolę.

Reformy w Polsce były wynikiem nie planu, nie świadomej woli, ale 1) demagogii, 2) instynktownej chęci biurokracji rozszerzenia swych agend, władzy i liczebności, 3) podświadomego antysemityzmu, 4) najopaczniej pojętego patriotyzmu, wyrażającego się w prymitywnym hasle „obrona państwa”.

Te czynniki grają nadal i będą grały w dalszym ciągu, nawet po wyrzuceniu komunistów, – z wyjątkiem może trzeciego, tj. anty-

semityzmu, który stracił w Polsce wszelkie pozory sensu i racji bytu. „Reformy” komunistów płyną dalej z tychże przesłanek. Demagogiczność nadal króluje, stworzono nową, liczniejszą i znacznie gorszą biurokrację, w selekcji której już wyłącznie odgrywają rolę momenty polityczne, wreszcie „obrona państwa”, zastąpiona raczej hasłem obrony reżimu, służy za parawan dla najdzikszej swawoli, najkardynalniejszych głupstw. Myśli reformatorskiej jak nie było tak nie ma.

Nie chcę jednak pisać o nikczemnej agenturze, która obecnie Polską rządzi (o ile Moskwa jej na to pozwala): wolę się przenieść myślą do tej epoki szczęśliwej gdy Polska się spod dyktatury czerwonej wyzwoli. Jakie reformy, jaki ustrój należy na te przyszłe czasy zalecić?

Nie żebym sądził, iż istnieją poważne szanse dla prawdziwej akcji reformatorskiej w przyszłej Polsce. Nasze stronnictwa – do których doliczyć trzeba i tych, którzy partiokrację zwalczają, tj. epigonów tzw. obozu sanacyjnego – w dalszym ciągu, i coraz silniej, ulegają wpływowi podstawowego prawa naszego życia politycznego, tj. ruchom odśrodkowym; zamiast łączyć się i współpracować przeżywają rozłamy, kłócą się coraz zawzięciej nawet wówczas, gdy nikt nie może przedmiotu sporu dostrzec, przestaczają się coraz bardziej w niepodległe kapliczki, pozostające w wojnie ze wszystkimi. Sklecenie koalicji, cóż dopiero „jedności”, nie będzie rzeczą łatwą. Skądinąd nie wygląda też na to, by jedno stronnictwo miało poważniejsze szanse na uzyskanie w wolnych wyborach znacznej i trwałej większości. Socjaliści już choćby ze względu na szczupłość ludności robotniczej w Polsce na taką większość liczyć nie mogą. Ludowcy też nie mogą zdobyć wyłącznych rządów w kraju, w którym tylko 60% ludności żyje z roli; ponadto ludność rolnicza jest zawsze mniej aktywna i wpływowa politycznie od innych. Stronnictwo narodowe wydaje mi się jedynym, które teoretycznie mogłoby o zdobyciu takiej większości marzyć; ale dotychczasowe niepowodzenia, nieumiejętność zgrupowania dookoła siebie ludzi o odmiennej od narodowców przeszłości, każe wątpić, by zdołali oni kiedykolwiek w przyszłości swe potencjalne możliwości wyzyskać. Grupki „sanacyjne” na wyborcze sukcesy liczyć nie mogą. Komuniści będą w wolnych wyborach zmiażdżeni. Duże możliwości mogłoby mieć w teorii stronnictwo katolickie; atoli sztab tzw. Partii Pracy jest zbyt kieszonkowego formatu,

by bez radykalnej przebudowy ruchu chadeków powstanie silnego ugrupowania centrowego było możliwe.

W tej sytuacji będziemy zapewne świadkami w Polsce rządów słabych, w znacznej mierze urzędniczych, przy akompaniamencie nieokiełznanej demagogii partyjnej. Kombinacja: słaby, trwożliwy rząd, złożony z ludzi przypadkowych i błędnych, niepewny nigdy jutra (choć właśnie siłą bezwładności niektórzy ministrowie mogą urzędować latami) i przeżarty demagogią parlament jest oczywiście najgorszą ewentualnością, i możliwość radykalnych reform z góry wyklucza.

W każdym państwie i w każdym ustroju musi być pewna klasa rządząca, która stanowi trzon społeczeństwa, której interesy i nastroje w poważnej mierze przesądzają działalność rządu. W Polsce tą klasą rządzącą może być tylko inteligencja, przede wszystkim urzędnicza i oficerska, niemal w całości wpatrzona w ideały pensji na 1-go i emerytury. Burżuazja była zawsze u nas słaba: co prawda właśnie antysemityzm ją osłabiał, bo w dużej mierze była żydowska – i zniknięcie Żydów w teorii pozwalałoby sądzić, że narosnie mocna, sprężysta klasa sklepikarzy, przedsiębiorców, businessmenów, która mogłaby z czasem ująć rządy w swoje ręce. Proces ten wymagałby jednak lat – a w międzyczasie biurokracja go skutecznie zdusi. Przy pomocy demagogii, rządów i stronnictw, inteligencja bez zawodu rozbuduje nową klasę urzędniczą, olbrzymią, źle płatną, mało wydajną, nieudolną ale wszechwładną. Sądzę, że główną treścią naszych walk politycznych w przyszłej Polsce będzie podział posiadłości pomiędzy reemigrantów (podzielonych na niezliczone kamarylle), *beati possidentes* z czasów bierutowskich i weteranów z ruchu podziemnego. Każda z tych grup, ba, niemal każda jednostka z tych ugrupowań zmobilizuje poparcie wpływowych stronnictw i polityków. W szczególności wynagradzanie zasług za różnego rodzaju „opór” już z góry przesądzi o charakterze tej Trzeciej Polski. Wszak mamy precedens Legionistów i Peowiaków, a było ich razem zaledwie 20 tysięcy. Przypuszczam że znowu pójdziemy po tej drodze. Ta administracja będzie zła, droga, przeżarta polityką. Będzie przedmiotem powszechnych narzekań, ale założyłbym się, że tak będzie. Administracja ta sprowadzi na Polskę jej chroniczne w XX w. nieszczęście – tj. potworne przeciążenie podatkowe. Już przecie obecna Polska – po rujnującej inflacji, po faktycznym odpisaniu wszystkich

długów, zobowiązań i tytułów własności, po wymarciu większości emerytów i ściągnięciu niedobitków do najniższego poziomu nędzy – jest krajem przeciążonym podatkowo, o nadmiernie rozbudowanym aparacie biurokratycznym. Już teraz, gdy zaledwie w r. 1945 miała wyjątkowe warunki na to, by tej zmory uniknąć.

Wydatki wojskowe są zawsze elementem kardynalnym przeciążenia podatkowego, a „obrona państwa” najłatwiejszym usprawiedliwieniem złej i szkodliwej polityki gospodarczej. Na krótką metę, w okresie depresji i w bardzo rozbudowanych przemysłowo krajach, dozbrojenie może być czynnikiem ożywienia – tak było w Niemczech za Hitlera. Rzecz jasna, ten sam skutek koniunkturalny wywarłyby i wszystkie inne inwestycje przemysłowe – jak budowa dróg, kolei itd.

W Polsce budżet wojskowy musi gniesć gospodarke narodową jeszcze bardziej niż gdzie indziej. Gros wydatków – to u nas zawsze stany liczbowe, nie sprzęt. Pobór oznacza ekonomicznie, że raz X ludzi zostaje na rok lub dwa wyłączonych z produkcji – właśnie gdy najbardziej się do niej nadają, dwa że ich konsumpcja przez ten czas jest pokrywana przez społeczeństwo. Czysta strata. Sprzęt – w warunkach takich jak polskie – zostaje wyprodukowany kosztem i tak szczupłych instalacji przemysłowych i surowców; fabrykacja sprzętu oznacza brak stali, miedzi, benzyny, bawełny i innych cennych surowców, przeważnie importowanych, dla przemysłu cywilnego; oznacza wzrost importu bez cienia ekwiwalentu w możliwościach eksportowych. Można z całą pewnością twierdzić, że wysoki budżet wojskowy jest skazaniem Polski na wieczne ubóstwo, a zatem na niezadowalający ustrój społeczny i polityczny, bo w kraju nędzarzy nie może być ani dobrej konstytucji, ani normalnych stosunków politycznych, ani celowych reform społecznych, ani, co najważniejsze, doskonalenia się moralnego.

Małe kraje zamożne – to bez wyjątku kraje, które w przeciągu ubiegłych lat stu wydawały minimalny odsetek swego dochodu narodowego na obronę i zbrojenia: Szwajcaria, Belgia, Holandia, Skandynawia. Kraje bałkańskie, które utrzymywały liczne armie i miały w stosunku do swych możliwości znaczne wydatki wojskowe – znajdowały się stale w ogonie Europy, a ich ludność żyła w okropnej nędzy. Anglia i Francja, a już zwłaszcza Stany Zjednoczone wydawały znacznie mniejszy procent swych budżetów, i zwłaszcza dochodu narodowego na siły zbrojne, niż

Polska. Co więcej, wielkie mocarstwa częściowo odbijały sobie te wydatki w postaci kolonii i wierzytelności zagranicznych, których egzekwowanie było zadaniem sił zbrojnych (marynarka angielska, gdy przestała być piratem, stała się w dużej mierze komornikiem). Dla nas wydatki wojskowe miałyby pewien sens tylko w wypadku, gdyby były narzędziem egzekwowania naszych kapitałów, które w r. 1918 utonęły w Rosji. Tymczasem, jak wiadomo, nawet 40 milionów rubli złotych, przyznanych nam traktatem ryskim, odzyskać nie potrafiliśmy.

Wielkie mocarstwa mają stałą tendencję do przerzucania swych wydatków wojskowych na słabszych sąsiadów i aliantów. Prasa angielska co dzień z namaszczeniem tłumaczy, że we wspólnej stałej armii zachodnioeuropejskiej Francja winna uczestniczyć ilością dwunastu dywizji, a Anglia dwóch. Niby dlaczego? Podobnież nieszczęśni Grecy ponoszą cały koszt wojny domowej, której wygranie leży w interesie Anglosasów nie mniej niż Greków. Można być zupełnie pewnym, że po rozbiciu Rosji Zachód nas będzie żywo zachęcał do spełniania roli „przedmurza”, czyli do rujnowania się na wydatki wojskowe – a potem będzie nam zarzucał *polnische Wirtschaft* i „feudalne stosunki”, gdy, wypompowani na zbrojenia, nie będzie nas stać na inwestycje gospodarcze czy socjalne. Ponieważ nasz charakter się nie zmieni, należy przypuszczać, że się damy wziąć na takie komplementy – *Polonia semper fidelis*, niezrównany żołnierz polski, ten naród marcejalny i takie różne ecie-pecie – i porwiemy za szyszak, zbroję i włócznie, i będziemy stać na straży tej Europy, która wyzyskawszy naszą głupotę, znowu nas komuś sprzeda, Niemcom czy Turkom. Nie, nie; powinniśmy z góry i stanowczo żądać, byśmy za tę rolę „przedmurza” byli zapłaćceni brzęczącą gotówką – kredytami Anglosasów wielokrotnie przewyższającymi wszystkie nasze wydatki wojskowe.

Czytelnik już widzi po jakiej linii chciałbym, by nasze reformy poszły po odzyskaniu niepodległości. Za dwa naczelnne postulaty uważam: 1) uniknięcie przeciążenia podatkowego, co da się uskuteczyć tylko przez 2) ograniczenia jak najbardziej drakońskie wydatków wojskowych, względnie (co byłoby oczywiście jeszcze lepiej) całkowite ich przerzucenie na zachodnich aliantów.

Jeżeli chodzi o pierwszy postulat, to powinniśmy pamiętać, że Anglia ugina się obecnie pod reżimem, w którym 40% dochodu społecznego ostatecznie trafia do kasy publicznej. Takie

obciążenie jest możliwe tylko ze względu na niezmiernie wysoki poziom moralności podatkowej Anglików, na ich niezwykle sprawną administrację skarbową, wreszcie na bogactwo tego kraju: bogatych łatwiej doć jak biednych. W Polsce, przy dużo niższych dochodach, przy gospodarce w znacznie wyższym stopniu naturalnej, przy niskich rezerwach, przy znacznie słabszej kapitalizacji, przy znacznie większym niedosycie konsumpcyjnym, zabranie nawet 20% dochodu narodowego przez ciała publiczne – skarb, samorzady, ubezpieczenia społeczne etc. – jest nadmierne: Polska rozwijać się może jako żywotny organizm tylko o ile 90% dochodu społecznego będzie pozostawione podatnikom.

Z tego wynika że pierwszym postulatem gospodarki publicznej musi być oszczędność, nie tworzenie posad, wynagradzanie zasług, radosna twórczość wszelkiego rodzaju. Można być pewnym, że siła nacisków w kierunku wręcz odwrotnym będzie fenomenalna – i egzamin na męża stanu zda ten, kto się tym naciskom oprze. Przyznaję, że tego męża stanu nie widzę – Adam Krzyżanowski i Jerzy Zdziechowski są za starzy, Matuszewski nie żyje, reszta w ogóle tego problemu nie rozumie, i co gorsza pewno nigdy nie zrozumie. Ale konieczność pozostaje faktem.

Najsilniejsze będą reklamacje zasłużonych. Na pewno będzie wśród nich pewna ilość oszustów, jak to zwykle na świecie bywa, ale większość będzie miała niezaprzeczalne tytuły do wdzięczności i odszkodowania od rodaków czyli od państwa: powstańcy warszawscy, bohaterzy A.K., więźniowie i deportowani do Rosji, ofiary więzień i obozów niemieckich, sowieckich i Bezpieki, weterani co zostali na emigracji, różni sterani i zasłużeni działacze, co po ciężkich przejściach i latach tułaczki i nędzy będą domagać się spokojnego kąta i wytchnienia na starość. Lekko licząc, będzie na pewno 2 czy 3 miliony ludzi w Polsce, którzy będą mieli moralne prawo do jakiegoś zaopatrzenia. A demagogia i rywalizacja stronnictw mogą tę cyfrę jeszcze powiększyć.

To będzie problem Nr 1 naszej polityki wewnętrznej – nie trzeba co do tego mieć złudzeń. Problem bolesny – bo odrzucenie każdej pretensji będzie w pewnym stopniu wyrządzeniem komuś krzywdy. Ale co robić? Będziemy musieli się zdobyć na bezwzględność.

Stosunkowo prostym będzie problem ludzi starych. Tym trzeba będzie dać jakieś zaopatrzenie emerytalne, po cichu modląc się, by rychłym zgonem oddali Polsce jeszcze jedną, walną przysługę. Zresztą ją oddadzą: nie jesteśmy długowieczni jako rasa, ludzie

powyżej 60-tki stanowią dzisiaj w Polsce zaledwie 9% ludności (w Anglii 25%), niewielu tylko z nas doczeka się biblijnej starości. I chwała Bogu. Nie stać nas na luksus i dużych gromadek dzieci, i sporej trzódki dziadków. W szczególności politycy, którzy są zawsze najkosztowniejsi, powinni umierać młodo.

Dużo trudniejszym będzie problem ludzi w sile wieku i zwłaszcza młodzieży. Wszak niewątpliwie znajdujemy się w tym wyjątkowym położeniu, że mamy sporo chłopców i dziewcząt poniżej trzydziestki, a nawet dzieci poniżej dwudziestki, którzy mają zasługi i tytuły do pomocy i zaopatrzenia z racji swej działalności w podziemiu. Weryfikacja w wielu wypadkach będzie niemożliwa, trzeba będzie działać na wiarę. Istnieje precedens legionistów: i chociaż nikt nie zaprzecza im ani zasług, ani patriotyzmu, ani często wybitnych zdolności, stan przez lat kilkanaście, w którym ich niezaprzeczalne zasługi były wynagradzane quasi-monopolem stanowisk, posad, awansów a wreszcie i udziału w życiu politycznym, stan ten był w najwyższym stopniu patologiczny, niezdrowy, dla państwa groźny i zgubny. Czy ta sytuacja się nie odrodzi na rzecz A.K.-owców, na rzecz kasetowców, więźniów politycznych, byłych sybiraków, byłych ofiar Bezpieki, weteranów spod Monte Cassino itd., itd.? To nie jest straszak, to jest wysoce prawdopodobne. Znam osobiście kilku Akowców i Akaczek, i mam o nich jako o ludziach najlepsze wyobrażenie; mimo tego nie widzę w nich żadnego materiału ani na dobrych urzędników, ani na wytrawnych dyplomatów, ani na rozważnych i wyrobionych polityków, ani na doświadczonych oficerów, ani na bezstronnych sędziów, ani na światłych prawodawców, ani na zdolnych publicystów. Udzielenie im p r z y w i l e j u, tym bardziej monopolu na władzę musiałoby się skończyć takim samym osłabieniem sił żywotnych społeczeństwa i sklerozą rządów, jak uprzywilejowanie piłsudczyków. Musimy w każdym razie zerwać z systemem, w którym przeszłość całkowicie zasłania teraźniejszość, dawne zasługi pozwalają na robienie wszelkich głupstw w chwili obecnej.

Jeżeli więc zasłużonych nie mamy wynagradzać monopolem posad, stanowisk i rządzenia – a byłoby to rozwiązanie zawsze najfatalniejsze i najkosztowniejsze – to musimy im dać zaopatrzenie materialne. Jedna metoda – to byłoby przyznanie pieniężnych anuitetów, ale ta metoda byłaby dla skarbu wysoce uciążliwa. Druga – to rozdać pomiędzy bohaterów farmy na

ziemiach odzyskanych i na Zachodzie i na Wschodzie. Lepiej też oddać zasłużonym lasy państwowe, nawet przedsiębiorstwa państwowe – byleby tylko nie powiększać szeregów urzędników, nie stwarzać kasty dla której państwo będzie folwarkiem, podatki źródłem utrzymania, władza monopolem wynagradzającym zasługi.

Obok kwestii urzędniczej, drugim palącym problemem będzie kwestia korpusu oficerskiego. W kraju inteligenckim, ubogim, zagrożonym, o skłóconych partiach, słabych rządach, niskim poziomie życia politycznego, i w którym demagogia jest rozpanoszona do ostatnich granic, istnieje naturalna tendencja do oglądania się za armią jako za jedyną gwarancją istnienia państwa, za stróżem mądrości stanu, do powierzania rządów generałom i oficerom. Ci zaczynają od uważania się za państwo w państwie, kończą na stworzeniu *absolutum dominium*, w którym kraj jest tylko dodatkiem do armii, rząd adiutanturą Gisz czy sztabem. Tego rodzaju dyktatura wojskowa musi zawsze matematycznie doprowadzać do klęski wojskowej w następnej wojnie, a następnie do zupełnego załamania się państwa, do przewrotów lub rozbiorów.

Wojna ostatnia była prowadzona przez cywilów: Hitlera, Stalina, Churchilla, Roosevelta itd. Dwa państwa, w których rządziło wojsko – Polska i Jugosławia – okazały się do wojny właśnie najgorzej przygotowane. To generałowie kapitulowali: Keitel, Pétain, nie cywilni wodzowie.

Musimy więc w Polsce: ustalić absolutną supremację władz cywilnych, co powinno się m.in. wyrażać w tym, że tekę obrony narodowej powinna stale dzierżyć osoba cywilna. Podobnie zaopatrzenie sił zbrojnych powinno być wojskowym odebrane – i przekazane wyłącznie cywilom. Zawodowi wojskowi powinni mieć hojne emerytury – ale nie należy ich nigdy przenosić do administracji cywilnej. Wreszcie w sprawach politycznych i gospodarczych wojsko powinno zachowywać najściślejsze milczenie – o obronie państwa powinni pamiętać cywilni politycy. Jeżeli wojsko będzie rozbudowywać przemysł, organizować autarkię itd. – będziemy bankrutami z jednej strony, a z drugiej nie będziemy mieli siły zbrojnej zdolnej do wojny chociażby z najmniejszym państwem.

Pragnę myśl moją uczynić jak najbardziej jasną. Wyznam wiarę demokratyczną, choć znam wszystkie argumenty historyczne,

które przeciw niej przemawiają. Powrót wszelako do rządów arystokratycznych był i jest zupełnie wykluczony w Polsce, podobnie jak i na całym świecie – i jedyną alternatywą ustroju demokratycznego są rządy nieodpowiedzialnych klik biurokratyczno-wojskowych, traktujących dany naród i dane państwo jako swój prywatny folwark. Taka jest właśnie obecna forma rządów we wszystkich krajach satelickich – i może się ona odrodzić, choć na inne kopyto. By zapobiec temu zasadniczemu nieszczęściu, trzeba 1) uniemożliwić powstanie rozbudowanej, wszechwładnej biurokracji, 2) zapobiec istnieniu dykasterii wojskowej, niezależnej od władz cywilnych, 3) tępić pogląd, że zasługi wytwarzają przywileje polityczne. Rozwydrzenie partyjne, zawsze smutne i szkodliwe, staje się naprawdę groźne dopiero z chwilą gdy a) praworządność jest zachwiana, b) administracja i wojsko są upartyjnione i nadrzędne w stosunku do reszty ludności. Niech nasi demokraci wreszcie zrozumieją, że demokracji nie może dzisiaj zagrażać kapitalizm ani burżuazja ani obszarnicy ani arystokraci – lecz tylko i wyłącznie uprzywilejowana biurokracja i niekontrolowana hierarchia wojskowa.

O ile nie unikniemy powstania w Polsce oligarchii biurokratyczno-wojskowej, z istoty totalitarnej, wszelkie inne reformy nie na wiele się przydadzą. Państwo oczywiście nie może istnieć bez administracji i bez wojska. Jedną z zasadniczych gwarancji przeciw dyktaturze tych dwu czynników upatruję w podmurowaniu praworządności.

Praworządność jest rezultatem przykładu i praktyki: żadne kazania tu nie wystarczą. Jeżeli rząd będzie dawał przykład bezprawia, kłamstwa, niedotrzymania obietnic – autorytet prawa zmaleje do zera. Jeżeli partie będą stosować inną miarę do przeciwników, inną do „swoich” – autorytet prawa będzie zachwiany. Gwarancją praworządności muszą być sądy, nie tylko ich skład, ich nieusuwalność, ich uposażenie, ich prawdziwa niezależność, ale również ustrój sądownictwa i procedura sądowa. We wszystkich tych dziedzinach powinniśmy wzorować się na Anglii. Sędzia śledczy, ten agent wszelkich nadużyć – powinien zniknąć, rolę prokuratorów tak jak i obrońców winni objąć

adwokaci, kary za oszczerstwo powinny być zaostrzone, sądy winny mieć prawo pociągać urzędników do odpowiedzialności za samowolę, nadużycie władzy, złą wolę wobec petentów i wymierzać im surowe kary. Warunkiem praworządności jest także maksymalna jawność życia politycznego i publicznego – w szczególności rachunkowości publicznej.

Będziemy społeczeństwem egalitarnym, po pierwsze dlatego, że stan taki jest naturalny w krajach ubogich, po wtóre, ponieważ jesteśmy z natury zawistni i widok ludzi zamożniejszych od nas bardziej nas irytuje niż własne ubóstwo. Wyrównanie dochodów ujemnie wpływa na kapitalizację, ma też wysoce ujemny wpływ na rozwój kultury. Ale na to nie widzę rady, nie zniesiemy widoku milionerów. Dobrze, jeżeli powstanie u nas liczna warstwa ludzi średnio zamożnych.

Z tego wynika, że inwestycje będą w dalszym ciągu robić przeważnie korporacje publiczne. Zatem wymagają planu. Chociaż o planowości tyle gadaliśmy w epoce Kwiatkowskiego, właśnie bezplanowość była główną cechą jego poczynań. Stworzony takim nakładem sił i środków – które, użyte gdzie indziej, dawałyby dużo wyższą dywidendę w dochodzie społecznym – COP nie dał nam absolutnie nic w chwili wojny – tj. właśnie w tej, dla której został stworzony. Jestem głęboko przekonany, że tak zwane plany inwestycyjne Minca i jego pachołka Kaczorowskiego (którego w międzyczasie na łeb wypędzono) są tak samo rzucaniem piasku w oczy. Nie zapewnią Polsce ani dobrobytu, ani obronności, ani postępu. Rozumiemy plany prymitywne – tak jak Moskale: tu trzeba stworzyć fabrykę, tam wywiercić szyb – jednym słowem jako zespół czynności techniczno-fizycznych. Tymczasem planowanie oznacza hierarchię potrzeb i stworzenie warunków – i nic więcej. Rozumieją to Anglicy – w mowach Crippsa, który się zna na sprawach gospodarczych (przesadza tylko w pesymizmie) nie ma nigdy jednego słowa o nowych hutach, fabrykach itd. – on porusza tylko sprawy obciążenia podatkowego, bilansu płatniczego, poziomu płac, cen, kapitalizacji – wie, że reszta pójdzie automatycznie. W Polsce plan gospodarczy powinien się sprowadzać do 1) niskiego obciążenia podatkowego, 2) maksymalnego wysiłku eksportowego, 3) inwestycji komunikacyjnych. Jest śmieszną rzeczą budować fabryki, jak w COP'ie, gdy nasza sieć drogowa i kolejowa wygląda tak jak obecnie. Transport – to

system nerwowy nowoczesnego gospodarstwa. Póki wygląda równie prymitywnie jak dotychczas, żadnego rozsądnego planu gospodarczego zrobić nie można. Drogi, koleje, porty, lotniska, autobusy, pociągi, metra, statki, samoloty transportowe: oto cały plan na szereg lat.

Oczywiście, gdy mowa o planie, to trzeba pamiętać, że podstawą jego jest zawsze pewien obszar geograficzny. Państwo o granicach zmienianych czy choćby zagrożonych nie może planować, nie może się rozwijać, musi być z założenia wypaczone. Tu tkwi moment niezmiernej wagi. Postulatem naszym powinny być granice s z t y w n e.

Polska powinna być państwem rolniczym. Losy naszej emigracji raz jeszcze dowiodły, że nie mamy talentów finansowych, handlowych, talentów do wielkich interesów. Polak, który kupił farmę, założył drobny warsztat rzemieślniczy prosperuje: Polak, który zakłada wielką firmę bankrutuje bardzo szybko. Na stu Żydów polskich, którzy na uchodźstwie zrobili majątek, może jest jeden Polak, który się dorobił. W Stanach Zjedn. nie ma żadnych przeszkód dla „inorodców” – istnieją tam, obok milionerów żydowskich, milionerzy włoscy, irlandzcy, skandynawscy, niemieccy, nawet czescy – nie ma polskich. Zadowolniajmy się małym. Ograniczmy nasze ambicje do tego, by zostać drobną burżuazją. Uprzemysłowienie Polski – to postulat głównie tzw. obrony państwa. Ale dzisiaj wiemy doskonale, że sami obronić się nigdy nie potrafimy, że na przemysł wojenny nas nie stać, że możemy oprzeć się tylko na produkcji i sprzęcie wielkich mocarstw. Więc po co te wysiłki? Tymczasem nasze rolnictwo może wydatnie zastąpić nawet drogę Argentynie czy tym bardziej Stanom jako eksporter masła, jaj, bekonów, mięsa, drobiu, sera, warzyw i nawet zboża do wygłodzonej zachodniej Europy. W Federacji Europejskiej musimy być stanem rolniczym, tak jak w Ameryce są Kansas, Iowa, Nebraska czy obie Dakoty. A zwiększenie naszej produkcji rolniczej – to niskie podatki i dobra sieć komunikacyjna.

Dwa są jeszcze pola dla działalności reformatorskiej. Jedno – niesłuchanie trudne – to oświata. Musiała być zła, skoro wyprodukowała takie morze pół inteligencji, taką pasję do frazesu, taką płytkość – a patriotyzm niewątpliwy nie potrafił zrównoważyć tych wszystkich wad i braków. Oświata musi nie tylko dać wykształcenie znacznie bardziej staranne i praktyczne

– ale również zmodyfikować nasz charakter narodowy: wyleczyć nas z hysterii, blagi, lenistwa, *self-pity*, przede wszystkim z hysterii. Wydaje mi się że trzeba znakomicie powiększyć liczbę internatów na wzór angielski, wprowadzić internaty na uniwersytetach, kolosalnie podnieść skalę wymogów, zaostrzyć egzaminy, relegować leniów bez pardonu, radykalnie obniżyć liczbę studentów prawa, studentek filozofii i sztuki. Trzeba, by młodzież inteligencka znacznie wcześniej zabierała się do pracy – dość tych żelaznych studentów. Trzeba żelazną miotłą wypłenić politykę wyższych uczelni, tym bardziej ze szkół średnich. Trzeba trzeba – ale kto to zrobi? Poziom młodzieży uniwersyteckiej był dużo gorszy w r. 1939 niż w 1921, a tej niż studentów galicyjskich w 1910 r. Wyobrażam sobie, jak beznadziejny jest dzisiaj. Pół-oświata jest bodaj jeszcze groźniejsza niż ciemnota. Zaznaczam, że wychowanie dziewcząt wydaje mi się jeszcze gorsze niż mężczyzn. To co słyszę o mej siostrzenicy w Polsce napętnia mnie przerażeniem. Ah, jak szczęśliwe są dzieci polskie, które studiują w znakomitych angielskich katolickich szkołach klasztornych! Czy moglibyśmy skłonić benedyktynów angielskich, jezuitów francuskich, by założyli choć kilkanaście szkół w wolnej Polsce?

Ostatnia dziedzina – i bodaj jedyna, w której wierzę, że pójdziemy za głosem rozsądku – to dziedzina zdrowia i higieny. Cóż jest większym marnotrawstwem, jak obecność ludzi schorowanych, jak wysoka śmiertelność. Każdy wydatek na szpitale, na przychodnie, na sanatoria, na domy położnicze, na leczenie, na źródła lecznicze się zawsze opłaci. Musimy zwłaszcza nie żałować środków na leczenie nerwowo chorych: połowa naszej ludności jest stuknięta, zwłaszcza wśród kobiet procent tych schorzeń jest zatrważający. Ale leczenie nie wystarczy. Trzeba wzmoczyć czystość, bo brud to rozsądnik chorób. Choćby szalety i ubikacje w Polsce – przecież to był jeden skandal. Trzeba ponadto przyzwyczaić Polaków do racjonalnego odżywiania. System, według którego ludność miejska spożywa obiad o 3-ciej czy 4-tej po południu, musi prowadzić do przedwczesnego starzenia się, do ciężkich zaburzeń już po czterdziestce. Trzeba rozwinąć sport, zahartować młodzież. Trzeba oczywiście zwalczać jak najbardziej bezwzględnie pijaństwo. W tym celu jako pierwszy krok zalecałbym każdemu rządowi w Polsce zwiększenie pięciokrotnie akcyzy od wódki, obniżenie podatku od piwa i wina. Gdyby tutaj, tak jak w Polsce, whisky i gin kosztowały nie 30

i więcej szylingów za butelkę, ale 3 szylingi, cała ludność byłaby od rana pijana.

Ale nie trzeba się lękać. Nie ma nadziei na rozsądne reformy w Polsce. Będzie licytacja frazesów, demagogii, patriotyzmu, będzie wojna stronnictw, kłótnie o politykę, a w praktyce rozbuduje się nowa biurokracja, która z Polski zrobi chudą ale dojrzałą krowę. Zdaję sobie sprawę, że mój głos będzie głosem na puszczy, a to że się okaże iż przepowiadałem trafnie, nie napawa mnie żadną pociechą.

Kultura nr 2/19, 1949.

Dwa okresy powojenne

Między 11 listopada 1918 r., datą zakończenia pierwszej wojny światowej, a 1-ym września 1939 r., datą wybuchu drugiej wojny światowej, upłynęło 20 lat, 9 miesięcy i 20 dni. Dodajmy 20 lat, 9 miesięcy i 20 dni do daty 8-go maja 1945 roku, kiedy to zakończyły się działania wojenne w Europie, a otrzymamy datę 1 marca 1966 roku. Oba okresy powojenne trwają więc już równie długo. Możemy je porównać. Oczywiście, nie wiemy, jak się ten drugi powojenny okres zakończy. Czy trzecią wojną? Póki obecny okres względnego pokoju trwa, póty porównania muszą być dość dowolne. Ale jednak mogą być pouczające.

Ograniczmy się do Europy

Na terenie Europy, dokładniej Europy Zachodniej, drugi okres powojenny był nieporównywalnie lepszy, szczęśliwszy, owocniejszy od pierwszego. Gdybyśmy mieli to porównanie rozszerzyć na cały glob ziemski, tę sumaryczną konkluzję trzeba by było poważnie ograniczyć. Podczas gdy Europa w czasie międzywojnia cofała się w wyścigu światowym, reszta świata przeżywała okres stosunkowego rozkwitu. Rozkwit ten był geograficznie różnorodny: Stany, mimo kryzysu lat trzydziestych, wysunęły się na pierwsze miejsce na świecie, stworzyły kolosalne bogactwa, masową konsumpcję, podniosły niebywale stopę życiową mas, stanęły na czele postępu technicznego, stworzyły nowe formy cywilizacyjne. „Białe” dominiony angielskie zrobiły może jeszcze większy postępy: z kolonialnych Pipidówek, z mrocznych miejsc

zesłań stały się krajami cywilizowanymi, o stopie życiowej wyższej niż w Europie. Skądinąd państwa europejskie nic albo prawie nic nie zrobiły dla swoich włości afrykańskich i azjatyckich w tymże okresie, w ten sposób przygotowując koniec swych imperiów kolonialnych przy pierwszym wstrząsie.

Drugi okres powojenny przybiera poza Europą postać inną, niż pierwszy, ale różni się także od przebiegu wypadków w Europie. Dawny podział: Europa, kraje pozaeuropejskie – stracił na ostrości, na czoło wybija się inny podział, który w latach dwudziestych i trzydziestych zaledwie kiełkował: podział na kraje wysoko uprzemysłowione i resztę. Stany, Kanada, Japonia, poniekąd także Australia i Południowa Afryka – to kraje nowoczesnej techniki, miejskie, przemysłowe, oparte na masowej konsumpcji. Reszta – uzyskała niepodległość polityczną, ale ta, bez przebudowy gospodarczej, jest iluzoryczna: ludność krajów afrykańskich, z wyjątkiem klasy oficersko-urzędniczej, żyje dzisiaj nie lepiej, a może gorzej, niż w czasach kolonialnych.

Szybkość zmian

W samej Europie tempo zmian zdumiewa każdego obserwatora: poza Europą jest ono tak zawrotne, że z góry trzeba podkreślić, że wszelkie uogólnienia, dzisiaj trafne, mogą się okazać za kilka już lat zupełnie błędne. Zilustruję tę tezę przykładami. Różnica „krzywych” w Europie i „poza morzami”, jak mówią Anglicy, wygląda może najbardziej jaskrawo i najbardziej uniwersalnie przy porównywaniu cyfr urodzeń i przyrostu naturalnego. Od 1945 roku Europa Zachodnia ma wyższą stopę urodzeń, niż w okresie międzywojennym, ale nigdzie nie przebrano miary: nawet w krajach rządzonych przez komunistów wrodzony Europejczykom umiar sprawił, że po pewnym okresie nadmiernej płodności liczba urodzeń wszędzie zaczęła się zbliżać do normy. W przeciwieństwie do umiarkowania Europejczyków w najważniejszej dla przyszłości ludzkości dziedzinie, Azjaci, Afrykanie, Arabowie, Południowi Amerykanie, nawet Amerykanie *tout court* zaczęli się oddawać prawdziwym orgiom, prawdziwemu rozpasaniu płodzenia: a w dodatku spadek śmiertelności niemowląt i spadek śmiertelności w ogóle, większa higiena, postępy medycyny doprowadziły do demograficznej eksplozji bez precedensu w dziejach. Nikt nie wie, o

ile wzrasta rocznie ludność Chin, ale wszystko wskazuje, że wzrost ten musi być zawrotny. W Indiach już od kilkunastu lat wzrost ludności dochodził do siedmiu milionów dusz rocznie, teraz ma przekraczać 10 milionów! Czyli co pięć lat ludność przeludnionych, głodujących, beznadziejnie ubogich i nieprodukcyjnych Indii zwiększa się o równowartość całej ludności bogatej, niedoludnionej Francji. W wielu krajach arabskich i południowoamerykańskich przyrost ludności ma dochodzić do 3% rocznie, gdzieniegdzie nawet do niewiarygodnej proporcji 4% rocznie! A zbiory tych nieszczęsnych krajów wzrastają w najlepszym razie o 1% rocznie, czyli co roku przypada na każdego mieszkańca jeszcze mniej żyta, prosa czy ryżu niż w roku poprzednim. Jedynym jak dotąd wyjątkiem na tle tego ponurego obrazu jest Japonia: metodami niezbyt moralnymi, bo spędzaniem płodu, Japończycy zmniejszyli swój przyrost roczny z dwóch milionów do jednego miliona: jest on zawsze za wysoki, bo w Japonii nie ma miejsca na jakikolwiek przyrost, ludność powinna przez dziesięciolecia spadać, nie wzrastać, ale jednak bez tych wysiłków w kierunku zmniejszenia płodności Japonia nigdy by nie osiągnęła wyników, którymi może się dzisiaj szczycić.

Wszelako ten obraz straszliwy może się gwałtownie zmieniać. Cztery lata temu urodziło się w Stanach 4.200.000 noworodków, czyli stopa urodzeń wyniosła około 25 promille, grubo za wiele. Niemniej od czterech lat widzimy spadek, który wynosi około 100 tysięcy dusz rocznie. Za rok ubiegły cyfra urodzeń w Stanach wynosi już tylko 3.800.000. Ponieważ co roku, na skutek liczebności dawniejszych roczników, liczba osób zawierających związki małżeńskie jest coraz większa, spadek rozrodczości jest większy, niżby wynikało z samych suchych cyfr. Gdyby tego spadku nie było, to by dzieci rodziło się dzisiaj w Stanach nie cztery miliony dwieście, ale cztery i pół miliona. A tymczasem rodzi się ich już tylko trzy miliony osiemset. *Lucrum cessans* wynosi więc już dzisiaj 700.000. Dlaczego? Bo dążenie do umiaru, tak typowe dla ludzi cywilizowanych, daje się we znaki. A jaką drogą? Wszyscy demografowie i ginekolodzy zgodnie stwierdzają, że skrobanek nie przybywa, natomiast „pigulka” kontracepcyjna zaczyna swoje robić. Rozpowszechnienie leków było i będzie zawsze dużo szybsze, niż bomb i atomówek, jest dużo tańsze, i Zachód, zamiast tej „prolifracji” przeszkadzać, powinien ją jak najbardziej popierać. Być może już za parę lat

będziemy świadkami zbawiennego działania „pigułki” w Indiach i na innych przeludnionych obszarach *Tiers Monde'u*. Będzie to rewolucja milion razy bardziej doniosła od wszystkich bitew i walk w Wietnamie. I ta głupia pigułka może nagle zupełnie zmienić stosunki Świata A (wielka dynamika gospodarcza, słaba dynamika ludnościowa) ze Światem B (dynamiki odwrotne). Drugi przykład możliwości nagłych i zupełnie niespodziewanych zmian. W świecie zachodnim, pomimo całej ekspansji, olbrzymiej i błogostawionej poprawy, jeden problem wyglądał stale *insoluble, intractable* – problem nadwyżek rolniczych. Stany Zjednoczone, Kanada, Australia, nawet Francja uginały się pod brzemieniem nadwyżek pszenicy, mleka, masła, a Kuba cukru, Brazylia kawy etc. Tymczasem wystarczyło, by Sowiety i Mao uznali, iż muszą jednak nieco lepiej odżywiać swych poddanych, by te pozorne nadwyżki stopniały – nie do zera, ale do zbyt szczupłych rozmiarów. Wobec zakupów Rosji i Chin, wobec głodu w Indiach (zwiększony nieurodzaj na skutek kapryśców monsunu) Stany stoją wobec perspektywy, że ich zapasy pszenicy stopnieją poniżej 17 milionów ton, czyli poniżej żelaznej rezerwy, którą eksperci uważają za konieczną na wypadek nieurodzaju w samej Ameryce Północnej (Stany plus Kanada). Znowuż więc może stoimy wobec rewolucji, która ewentualnie gwałtownie zmieni relacje między krajami agrarnymi a przemysłowymi. A iluż takich rewolucji już byliśmy świadkami, tylko wiecznie zaprzątnięci (dzięki bałamutnej prasie) głupawymi rozgrywkami tradycyjnej dyplomacji, błahymi sporami granicznymi i prestiżowymi, bajeczkami o tzw. wielkich ludziach i ich geniuszu, nie dostrzegamy głębokich nurtów historii. Któż np. z Polaków zdaje sobie sprawę, jak głębokie przesunięcia w światowej *balance of power* wywołał zmierzch węgla, czy pochod nafty, czy wyparcie Bóg wie ilu surowców przez rozwój chemii i jej ersatzów (np. zastąpienie bawełny przez sztuczne włókna, jutro może stali przez aluminium, skóry przez plastyki etc.?).

Tak samo polityczna ewolucja kontynentów poza-europejskich jest szybsza i gwałtowniejsza, niż na naszym cyplu Eurazji. Dyktatorzy i wojsko niemal wszędzie wyparli (jak w Europie między Rosją a Niemcami przed wojną) rządy parlamentarne, granice, ustabilizowane w Europie Zachodniej, przesuwały się w Afryce o tysiące km omal z dnia na dzień: to federacje się tworzą (Egipt i Syria), to rozlatują (jak wyżej, plus Nigeria, plus Wielka Rodezja, plus *Commonwealth*, plus *Communauté*, etc. etc.). To

wszystko jest bardzo płynne. Rozejrzyjmy się tylko po naszym starym podwórku europejskim.

Nadzieje i ponure horoskopy

Koniec pierwszej wojny zastał mnie w Kijowie, do którego, po wyjściu Niemców, wdarły się – po paratygodniowym intermezzo wojsk Petlury – hordy bolszewickie. Nie był to wymarzony punkt obserwacyjny dla badania ówczesnych nastrojów w Europie. Wszelako, na podstawie lektury, późniejszych wojaży, mogę twierdzić, że koniec pierwszej wojny został powitany w Zachodniej Europie wybuchem optymizmu i nadziei, jakiego chyba nie było od roku 1848, od Wiosny Ludów. Wierzano, że „Wielka Wojna” była ostatnią. Że teraz nastąpi era wiecznego pokoju. Że zwycięska Ententa zachowa na wieki swą spoistość, a Liga Narodów wprowadzi rządy braterstwa na świecie. Wierzano, że demokracja na wieki utrwaliła swe panowanie. Wierzano, że nowowyzwolone ludy Europy Środkowej przeżyją okres wspaniałego rozkwitu, dadzą wzory wszelkich cnót republikańskich. Oczywiście wierzano w uniwersalny dobrobyt. Może najbardziej charakterystycznym przykładem tego uniwersalnego optymizmu, tak typowego dla roku 1919, była wysokość odszkodowań niemieckich: ustalono ją na 132 miliardy złotych marek! I wierzano, święcie wierzano, że Niemcy mogą tę sumę zapłacić, że się to odbędzie bez żadnych zaburzeń w systemie gospodarczym świata. I gdy Keynes napisał w swej sławnej książce „The economic consequences of the peace”, że spłata tej olbrzymiej sumy przez Niemcy jest zupełną fantazją, uznano go za „agenta niemieckiego”. Ten sam naiwny optymizm kazał Francuzom, ale i innym, wierzyć, że Rosja może spłacić 21 miliardów franków złotych, pożyczonych przez rządy carskie, i drugie tyle zainwestowane bezpośrednio w przemyśle rosyjskim przez wierzycieli francuskich. Ba, zachodni dusigrosze, zachodni rentierzy wierzyli nawet w spłatę pożyczek przez zrujnowaną Turcję, i MSZety, te świątynie „mądrości” i „racji stanu”, toczyły ze sobą zaciekle walki o miejsca administratorów w zarządzie *de la dette ottomane*. Ba, Amerykanie, z reguły o tyle bardziej realistyczni od Europejczyków, też ulegli ówczesnym optymistycznym mirażom, i wyobrazili sobie, że Europejczycy, czyli głównie Anglicy i Francuzi, mogą spłacić swe *War Debts*,

i ściągałi te długi, aż Wielki Kryzys unaoczniał wszystkim, że powrotu do „dobrych starych czasów” sprzed 1914 roku już nigdy nie będzie.

Tak samo okazało się, że ani demokracji, ani parlamentaryzmu, ani tradycji odpowiedzialnej dyplomacji nie można stworzyć w ciągu 24 godzin, i zachowanie się odrodzonych państw „sukcesyjnych” rychło doprowadziło do takichże rozczarowań, co ewolucja krajów *Tiers Monde'u* po roku 1945. Rozlecenie się Monarchii Habsburskiej, powitane jako jutrzienka oświecenia i swobody przez masonerie całego świata, okazało się bezprzykładną katastrofą, stworzyło w Europie Środkowej *vacuum*, którego do r. 1938 nie wypełniło; potem wypełnił to *vacuum* na krótko hitleryzm, a na długo Sowiety; Francja i Anglia okazały się niezdolne w latach 1919-20 do obalenia bolszewizmu, czyli przywrócenia choćby pozornej jedności Europy, takiej, jaka istniała w 1914 roku; okazały się niezdolne do trwałego wyrównania swych drobnych różnic z Włochami, co przecie było dziecinną zabawką, a cóż dopiero do znalezienia trwałego *équilibre* z Niemcami, bez czego nie może być zdolnej do życia Zachodniej Europy.

Więc nadzieje polityczne zawiodły, bo demokracja i parlamentaryzm okazały się w końcu słabsze, niż przed 1914 r. Nadzieje dyplomatyczne zawiodły, bo Liga Narodów nie zastąpiła koncertu mocarstw, Ententa się rozleciała, Trzej Wielcy Zachodniej Europy się nie dogadali, Środkowa Europa się zbałkanizowała. Czy się choć ziściły nadzieje ekonomiczne? Ale gdzie tam! W roku 1914 istniała pewna jedność gospodarcza Europy, węgiel był *vogelfrei*, emigracja do Ameryki zabierała nadwyżki ludności, kapitał płynął aż zbyt łatwo z centrów zachodnich aż za Ural, i do Bagdadu, cła były niskie, kontyngentów przywozu nie znano, wzrost bogactwa był szybszy, niż po wojnie (co prawda PODZIAŁ dochodów był przed 1914 r. dużo bardziej skandaliczny!).

Słowem nigdy nadzieje nie były gorzej uplasowane, niż w 1918 roku, nigdy zawód nie był większy jak w ciągu dwudziestolecia między obu wojnami.

A w 1945 roku

V-Day w Europie zastał mnie na szczęście nie w Kijowie, ale w Londynie. 8-go maja 1945 przeszedłem się piechotą z Hyde Park Corner na Piccadilly Circus: w sercu Londynu zauważyłem tego dnia tylko JEDEN samochód cywilny – wszystkie pozostałe, to były jeepy wojskowe lub wozy oficjalne. Nawet w Londynie panował głód, setki tysięcy domów było rozwalonych, ludzie byli ponurzy, wściekli, przygnębieni. Nikt niczego sobie nie obiecywał. Anglicy przegonili Churchilla, Francuzi de Gaulle'a, Włosi monarchię, pokazując w ten sposób co myśleli o wartości „zwycięstwa”. Nikt sobie nie zadał trudu zwołania konferencji pokojowej – tak nie wierzono, by mogła dać jakiegokolwiek rezultaty. Nikt nie operował pojęciem odszkodowań wojennych (z wyjątkiem oczywiście Stalina i Rosjan); wszyscy na Zachodzie byli pewni, że nikt ich spłacić nie może. Tak samo Amerykanie od razu zrezygnowali ze wszystkich swych wierzytelności wojennych: wiedzieli również, że od bankrutów nie można się spodziewać płacenia długów. Pozostawienie Europy Środkowej zaborczości Sowietów było też aktem niewiary w przyszłość, niewiary w Europę, w siły Zachodu. Cały Zachód był kapitulanski, bo w nic nie wierzył. Jeżeli ktoś coś uratował, to tylko Ameryka – Zachodnia Europa była gotowa się sama poddać; w każdym razie niewiele do tego brakowało. *Fellow-traveler*'zy – to byli może nie tyle zdrajcy, co ludzie, którzy wpadli w najgłębszy pesymizm, którzy widzieli już tylko powrót do *Dark Ages*, tych „ciemnych wieków”, którym to terminem Anglosasi określają wczesne średniowiecze, od V-go do IX-go wieku, po załamaniu się cesarstwa rzymskiego, a przed powstaniem Imperium Karola Wielkiego.

Przejawem tego generalnego zwątpienia w przyszłość był raport specjalnej komisji, powołanej zaraz po wojnie przez neutralną Szwajcarię dla oceny perspektyw przemysłu turystycznego w Konfederacji. Komisja ta składała się z ludzi apolitycznych, z najwybitniejszych specjalistów turystyki – hotelarzy, restauratorów, kierowników biur podróży, dyrektorów kolejek linowych i zębatych, wyciągów narciarskich, lekarzy, pedagogów, wysokich urzędników. Komisja ta złożyła w początkach 1946 roku raport, aprobowany JEDNOMYŚLNIE.

„Wobec zupełnej ruiny całej naszej klienteli zagranicznej, bez której przemysł hotelarski i turystyczny Szwajcarii nie może istnieć, stało w tym raporcie, należy przyjąć, że przynajmniej przez trzy dziesięciolecia przemysł turystyczny stracił u nas rację bytu. Trzeba go więc ZLIKWIDOWAĆ. Trzeba znaleźć nowe zastosowania dla hoteli, które pozostaną puste, dla urządzeń sportowych, które nie znajdą nigdy klientów. Personel hotelowy, restauracyjny, a także instruktorów narciarskich, przewodników górskich etc. trzeba natychmiast przeszkolić dla nowych zawodów, które by im dały jakieś szanse zarobku. Emigracja za morza będzie dla wielu jedynym ratunkiem. Każda imigracja musi być w tych warunkach drakońsko zakazana. Nasza stopa życiowa musi spaść poważnie. Wobec braku dobrych dłużników trzeba zakazać eksportu kapitałów. Ponieważ światu będzie przez stulecia groził głód, należy forsować wszelkimi siłami rolnictwo, uprawiać każdy płachetek gruntu...”

Takie to perspektywy snuli ludzie poważni, fachowi, obiektywni, dobrej woli. Tymczasem już w 1950 roku Szwajcaria miała więcej turystów, niż w najlepszym roku między wojnami (1929). Zamiast emigrować Szwajcarzy musieli sprowadzić 750 tysięcy pracowników obcych, a brak rąk do pracy jest wciąż katastrofalny. Zamiast się obniżyć, stopa życiowa jest dzisiaj blisko trzy razy wyższa niż przed wojną. *Nolens, nie volens*, Szwajcaria musi rok rocznie pożyczać przeszło miliard fr. szw. zagranicy, bo dusi się od nadmiaru kapitałów; banki szwajcarskie każą sobie płacić za wkłady, bo nie wiedzą co z nimi robić. Plus minus w całej Zachodniej Europie sytuacja wygląda podobnie. Nigdy horoskopy nie były czarniejsze, niż w roku 1945. Nigdy rzeczywistość nie zadała czarnowidzom tak zdumiewającej repliki.

Gdzie tkwi sekret?

Gdzie tkwi sekret tego kontrastu między pierwszym a drugim okresem powojennym? W polityce czy w ekonomii? W dyplomacji czy w psychologii ludów? W doktrynach i systemach ekonomicznych czy po prostu w postępie technicznym?

W każdym razie wyeliminujmy z góry i raz na zawsze dwa idiotyzmy, dwa nonsensy, dwa kretynstwa, które raz po raz powracają pod pióra nie tylko publicystów, ale nawet historyków.

Ten kontrast nie wynika w żadnym, ale to w najmniejszym stopniu z pojawiania się tak zwanych wielkich ludzi. Pal diabli jakich, w jakich krajach, czy między wojnami, czy po ostatniej wojnie, czy na krótko, czy na długo, jak się zakończyły ich rządy. Kult wielkich ludzi jest na poziomie kultu czarowników: jest tylko dowodem infantylizmu, dymisji intelektu i wykształcenia. Kult wielkiego człowieka jest po prostu votum nieufności dla jego kraju, jego narodu. Wielki człowiek, genialny statysta, to miraż. To optyczne złudzenie. Ledwo go nie ma, a okazuje się, że był beznadziejnie przereklamowany. Trudno o lepszego, bardziej serio, poważniejszego „wielkiego człowieka”, niż Adenauer. I gdy odszedł, świat się nie zawalił, Niemcy się nie zawaliły. Kennedy był wyjątkowo obiecujący, dynamiczny. Okazało się, że bez niego Stany miewają się równie dobrze. Churchill, jako powojenny premier, był tuzinkowy, Eden zawiódł kompletnie, a Macmillan okazał się po prostu katastrofą. Chruszczow był dla Rosji lepszy od Stalina. Bez Erharda Niemcy pozostaną największym dynamo przemysłowym Europy, bez de Gaulle'a Francja będzie miała nadal niezrównane atuty talentów, klimatu, gleby, sytuacji geograficznej etc., a z Papieżem, grubo mniej wybitnym od trzech ostatnich, Kościół też da sobie radę.

Druga szkodliwa iluzja: konieczność tak zwanych silnych rządów i tak zwanej jedności. Jeżeli nie ma rywalizacji partyjnych, to następują rywalizacje osobiste. Różnice zdań, spory, kłótnie – to wszystko leży w naturze ludzkiej, a więc w naturze rzeczy. Prawda i Postęp nigdy nie są jednokierunkowe, są zawsze pewną przekątną, pewną syntezą; nawet Kościół staje dzisiaj na stanowisku pewnego relatywizmu, gdy chodzi o zbawienie, dogmaty, moralność – jakżeż można poglądy świeckie erygować w dogmaty, proklamować np. „doktryny” w dziedzinie tak płynnej, jak polityka zagraniczna, uważać jeden naród za *ex definitione* gorszy, bardziej grzeszny od innych (zaczynając od własnego!), albo, wbrew całej historii, twierdzić, że jakaś granica pozostanie odtąd po wsze czasy niezmienna. I dlaczego ta a nie inna? Brytania była przez tysiąc lat podzielona na Anglię, Szkocję i Walię, a teraz jest zjednoczona. Irlandia przez tysiąc pięćset lat była zjednoczona, a teraz jest podzielona, choć jest wyspą, a więc idealną całością geograficzną. Wyspy normandzkie stanowią geograficznie część Francji, a należą do Anglii. Ren jest naturalną granicą, a Palatynat i Nadrenia należą do Niemiec, nie do Francji.

Kraje alpejskie stanowią oczywistą jedność: góral z Dauphiné ma dokładnie ten sam styl życia i interesy, co góral z Oberbayern czy z Berner Oberland, a nic wspólnego z rybakim bretońskim, a jednak Alpy nigdy się w jedno państwo nie połączyły.

Odłożywszy nonsensy i legendy na bok, pozostaje pytanie: co sprawiło, że po pierwszej wojnie wszystko szło źle i coraz gorzej, a po drugiej wojnie wszystko w Europie Zachodniej idzie dobrze i coraz lepiej? Czy jest JEDEN powód, JEDNO wytłumaczenie, czy też jest ich kilka? I jakie?

Spadek po Austro-Węgrzech

Pierwszy okres powojenny zakończył się wojną jeszcze gorszą od pierwszej wojny; drugi się dotąd nie skończył, więc porównywać nie można. Pierwsza Europa powojenna była dużo większa od drugiej, druga jest dużo silniej okrojona na Wschodzie, straciła jedną czwartą swego terytorium sprzed 1939 r., straciła blisko sto milionów obywateli. Czy to okrojenie stanowi rdzeń różnicy między obu okresami? Niestety, a jest to dla nas okoliczność nad wyraz tragiczna. Europa A może żyć, i nawet rozwijać się, bez Europy B. Już po 1918 roku okazało się, ku zdziwieniu wielu, jak łatwo, jak lekko Europa zniosła odpadnięcie Rosji. Teraz okazało się, że Europa może żyć i rozwijać się także bez omal całej monarchii austro-węgierskiej, choć ta stanowiła przez osiem wieków jeden z filarów gmachu europejskiego. Ale już rozczłonkowanie tego imperium, tak lekkomyślnie popełnione w St. Germain i w Trianon, ogromnie zdeprecjonowało te terytoria: mozaika państw nie mogła zastąpić wielkiej jednostki. Przykre to dla naszej miłości własnej, ale upadek monarchii habsburskiej był dla Europy Środkowej, dla Europy w ogóle większą jeszcze katastrofą, niż rozbiory Polski. A jednak dzisiaj, gdy z tego państwa, które było co do obszaru drugim po Rosji w Europie, większym od Francji, większym od Niemiec wilhelmińskich, została tylko mała Austria i skrawek ex-austriackich Włoch, Europa jednak żyje i nadal się rozwija. Ani w 1914, ani w 1939 r. nikt by tego nie przypuszczał.

Inna sprawa, że ta sytuacja trwać nie może. Rosja do Europy nie należy cywilizacyjnie, a cywilizacja jest ważniejsza i trwalsza od etnografii, i ona powinna dyktować granice, a

nie odwrotnie. Europa będzie się zawsze kończyć na wschodnich granicach Polski, czy te będą nad Dnieprem, na linii ryskiej czy nad Bugiem. W okresach słabości Europa zawsze kupowała czas i wytchnienie, cofając się poza granice naturalne. Ile lat Arabowie siedzieli w Hiszpanii? Ile lat szlachetne Węgry cierpiały pod jarzmem tureckim? Lecz każde osłabienie poza-europejskich zaborców zostało wyzyskane przez Europę, by ich wyrzucić, i to zwykle z nawiązką. Jestem przekonany, że wyrzucenie Rosji z Niemiec Wschodnich, z Czech, ze Słowacji i Węgier, zapewne także z Rumunii i Bałkanów nastąpi przed końcem bieżącego stulecia, i to bez wojny. Co do Polski, to oczywiście sprawa jest dużo trudniejsza, bo, po Ukrainie, Polska jest tym terytorium, które Rosja najbardziej pragnie opanować i, na dalszą metę, zrusyfikować. A Europa jest bardzo do dzisiejszych „satelitów” zniechęcona. Zarzuca im nierealną politykę zagraniczną, nie liczącą się z realnym układem sił i z nakazem kompromisu, czyli z dwoma kanonami europejskiej racji stanu. Trzeba sobie wybić z głowy, byśmy mogli dyplomacją, propagandą, czy nawet zwycięską wojną przekonać Zachód, iż jego bezpieczeństwo zależy od układu granic w naszym regionie. Nikt w to nie uwierzy. I Zachód nie ma żadnego zamiaru, cokolwiek by mówił, niczego gwarantować, ani bronić w tym naszym regionie, cóż dopiero swe mozolne, koronkowe poszukiwania równowagi między koncertem zachodnioeuropejskich mocarstw czy raczej pół-mocarstw podporządkować ewolucjom Warszawy czy Pragi, kontredansom przyszłych Becków, Beneszów, Titulesco. Już dzisiaj widzimy aż zbyt jaskrawo, że się z nadętą purchawką Tito, z jego ambicjami, z jego pretensjami nikt na Zachodzie Europy nie liczy. Zabawne, ale Stany liczą się z nim nieco więcej, bo nie mają we krwi subtelnej europejskiej *balance of power*. Amerykanie łatwiej się dają nabierać na momenty ideologiczne. Ale Paryż i Londyn dużo bardziej się liczą ze skromną Austrią, niż z dętą Jugosławią. A czy głos Polski, choćby ze Szczecinem, będzie kiedyś w Europie znaczył więcej niż głos Spaaków i Lunsów? Bardzo w to wątpię.

Zagrozenie

Dzisiejsza Europa jest wielokrotnie bardziej zagrożona przez Rosję, niż była przed ostatnią wojną. Gdy się czyta świetne powieści i dużo gorsze artykuły Józefa Mackiewicza, można by myśleć, że od 1917 roku istnieje dla świata, cóż dopiero dla Europy, jedno tylko niebezpieczeństwo: bolszewizm. Oczywiście jako wilnianin, z punktu widzenia wileńskiego, litewskiego, ma J. Mackiewicz rację; dla Litwy, dla Wilna był zawsze tylko jeden wróg, jedna zagłada. I tym wrogiem była tylko Moskwa, nie żaden Zakon Krzyżacki ani jego bękarty. Ale wobec Europy jakże słaba była ta Rosja lat 1918-39! Wszak słabiutka Polska potrafiła ją samopas pobić. Wszak Rosja pogodziła się z istnieniem nawet państw bałtyckich, tych pigmejów, a więc już przez to samo Rosji, wpatrzonej w *prastor* i w *Wille zur Macht*, antypatycznych. Wszak ilekroć jakieś państwo rozwalalo partie komunistyczne, Rosja brała ogon pod siebie: nie tylko przed Hitlerem, którego się bała, ale i przed Polską, przed Rumunią, przed Turcją, przed Grecją, przed Węgrami. Przez cały ten okres Rosja nie robi nic, by podważyć hegemonie kolonialne. Rosja inkasuje Monachium, Rosja ani razu nie śmie przed wojną używać wobec krajów europejskich tych bezczelnych tonów, którymi teraz nas stale częstuje: Niemcy, zamienimy wasz kraj w perzynę! Włosi, kamień na kamieniu u was nie zostanie! Grecy, nie zawahamy się wam zburzyć Akropolu, Norwedzy... itd.

Dlaczego jednak Europa dzisiaj nie dygocze przed Rosją, dlaczego bardziej się bano bolszewizmu przed wojną niż dzisiaj, dlaczego lekceważenie zagrożenia sowieckiego przybiera, we Francji np., aż tak lekkomyślne, groteskowe formy? Widzę jedno tylko wytłumaczenie: NATO, to znaczy obecność amerykańskich sił zbrojnych w sercu Europy. To jest jedyna ale olbrzymia różnica w sytuacji wojskowej i strategicznej Europy w czasie pierwszego i drugiego okresu powojennego. Bez amerykańskich dywizji w Niemczech, bez szóstej floty amerykańskiej koło Neapolu, bez samolotów i rakiet *Strategic Air Command*, w Europie panowałyby panika. Panika przed Rosją, połączona z najbardziej kapitulacyjnymi nastrojami. Gdyby nie było Amerykanów, trzeba by wszędzie faszystów i dyktatur wojskowych, by powstrzymać zachodnie narody przed rzuceniem się do stóp Moskali z błaganiami o litość. Ale byłaby i półpanika przed Niemcami. Zachodnia

Europa wie doskonale, że dzisiaj najsilniejszym mocarstwem europejskim są Niemcy, że ich siły są większe, niż Francji i Anglii razem wziętych. I stary anty-hegemoniczny instynkt europejski, stara, wrodzona tęsknota do *balance of power*, już grałaby we wszystkich stolicach, gdyby znowuż nie wyrównujący wpływ obecności Stanów Zjednoczonych. Póki Stany siedzą ze swymi kolosalnymi kapitałami w Europie, póty o żadnej ekonomicznej dominacji Europy przez NRF nie może być mowy. Póki głowice atomowe USA znajdują się na terenie NRF, póki istnieje integrowane, to znaczy amerykańskie dowództwo NATO, póty Niemcy nie mogą zagrażać militarnie absolutnie nikomu, ani Rosji, ani Polsce, ani tym bardziej Francji czy Anglii. Wszystko to by mogło się zmienić, gdyby Amerykanie zabrali się z Europy. Bo nadzieje, czy wiara, że po „hegemonii” amerykańskiej powstałoby *vacuum* dla już nie to hegemonii, ale choćby *leadership*’u francuskiego czy angielskiego, należy zaliczyć do najbardziej osłupiających przykładów auto-sugestii i auto-iluzji w dziejach globu.

Sita „demokracji”

Dlaczego w okresie międzywojennym reżymy parlamentarne padały jak domki z kart, pochod faszystów wydawał się niepowstrzymany, a teraz, w okresie po II-giej wojnie, reżymy parlamentarne trzymają się na ogół lepiej? Prawda, są Franco, Salazar, królik grecki, jest Turcja na peryferiach, ale to są wszystko państwa marginesowe; istotą mocarstwa jest to, że ono promieniuje, że jego polityka wewnętrzna staje się *eo ipso* polityką międzynarodową. Jeżeli reżym gaullistowski jest namiętnie zwalczany, a Salazarem nikt się właściwie nie przejmuje, co dopiero reżymem Nassera, to w pierwszym rządzie dlatego, że Francja ma zgoła inną pozycję międzynarodową, niż Portugalia i Egipt. Gdyby gaullizm był powszechnie akceptowany, byłoby to dowodem, że z Francją nikt się nie liczy, nikt nie przypisuje jej znaczenia na szachownicy światowej.

Współpracownicy *Kultury* lubią wielkie syntezy czy kontrasty „socjalizmu” i „kapitalizmu”. Osobiście uważam dzisiaj „socjalizm” za szyld bez treści, za nowe wydanie szyldu partii *des radicaux-socialistes*, o których historyk partii komunistycznej,

Jacques Fauvet, słusznie pisze, że nie byli ani radykałami, ani socjalistami. Guy Mollet, Wilson, Nenni, Brandt, socjaliści skandynawscy są politykami burżuazyjnymi, którzy z socjalizmem nie mają nic wspólnego. Nie zdziwiłbym się, gdyby ewolucja partii komunistycznych na Zachodzie poszła w tym samym kierunku. Ekonomicznej doktryny „socjalizm” dzisiaj żadnej nie ma; któż wierzy dzisiaj w zbawczość „planowania” czy tym bardziej „nacjonalizacji”? Co najwyżej można twierdzić, że z reguły „socjaliści” – to partia inflacji w przeciwieństwie do bardziej deflacyjnych partii prawicowych, a i to w Anglii byłoby to nieprawdą. Co najwyżej można twierdzić, że klasyczni konserwatyści, jak Johnson i Erhard, obniżają podatek dochodowy, a „socjaliści” mają raczej skłonność do zwiększania wydatków i subwencji, specjalnie na deficytowe przedsiębiorstwa państwowe. „Socjaliści” mogą spełnić pożyteczną rolę w gospodarce w dwóch sektorach: redukując brutalnie wydatki wojskowe (tu stale kapitulują przed sztabami, Wilson w Anglii, Tage Erlanger w Szwecji), i tak samo bez litości ścinając subwencje agrarne, które są w całej Europie bezsensownie wyśrubowane. Ale partie „socjalistyczne”, które są partiami czystej demagogii, nawet na to nie mają odwagi, kapitulują przed chłopami tak samo jak przed sztabami. Co dziwnego, że prestiż socjalistów stoi w całej Zachodniej Europie szalenie nisko.

Natomiast niebezpieczeństwo faszyzmu i nacjonalizmu jest w Europie nadal niedoceniane. Najmniej widzę danych na odrodzenie faszyzmu w Niemczech, bo ostatecznie doświadczenia ery hitlerowskiej są zbyt *récents* i rachunek był za słony. Ale w Anglii i we Francji ruchy neofaszystowskie mogą przybrać na sile. W Anglii rasizm był zawsze, moim zdaniem, dużo silniejszy, niż na kontynencie; dzisiaj doprowadza on do prawdziwej segregacji „kolorowych” w nowych gettach, a jak daleko zajdzie – to może być jeszcze grubą niespodzianką. Póki istnieją resztki *Empire*, Anglicy będą się jeszcze trochę żenować, ale gdy tych resztek nie stanie, mogą pokazać zęby, że aż ho! We Francji gaullizm jest może genialny, ale nie daje żadnej pożywki młodzieży, zupełnie tak samo, jak sanacja u nas okazała się niezdolną do prokreacji, i ta bezpańska młodzież staje się skłonna do wszelkich ekscesów. Odkąd Le Pen rozszedł się z Tixier'em, który, jak wszyscy ludzie jego generacji, odkrył uroki kompromisu i *combinazione*, uderza mnie wzrost aktywności, ba, odrodzenie „Action Française” i innych grup ekstremistycznych; uderzają mnie ich ulotki z

gwałtownymi atakami na wielki kapitał i z jaskrawymi akcentami antysemitycznymi, uderza mnie przede wszystkim *chahu-bohu*, którą właśnie ta młodzież urządziła na wiecu Lecanueta 7-go lutego w Mutualité.

Ale na razie parlamentaryzm się jeszcze w Europie trzyma. Nadal okazuje się – obok wolności prasy – główną więzią naszego kontynentu, motorem całkowania się kontynentu. Jeżeli do tradycyjnych rywalizacji prestiżowych, do archaicznych rywalizacji handlowych dodać jeszcze eksplozywność namiętności faszystowsko-nacjonalistycznych, to Europa tego nie przeżyje.

A teraz o ekonomii

W Międzywojniu mieliśmy odwrót od form parlamentarnych; teraz ten odwrót jest nierównie słabszy – to pierwsza różnica. W czasie Międzywojnia wzrost produkcji i dochodu społecznego był niższy, niż kiedykolwiek w całym XIX-tym wieku; wynosił przeciętnie półtora procent rocznie, podczas gdy po wojnie ta przeciętna przekracza w wielu krajach, specjalnie Szóstki, 5 czy nawet 6% rocznie. Ludność bogaci się co najmniej dwukrotnie, często czterokrotnie szybciej, niż przed wojną. Żaden „Wielki Kryzys” nie zachwiał na lata tego procesu, jak się to stało w roku 1929. Skąd ta różnica? Dlaczego?

Życie gospodarcze jest labiryntem. Miliony mrówek składają się na „zjawiska gospodarcze”. Ale właśnie zadaniem ekonomisty jest się w tym labiryncie rozeznaczyć, mówić: „to były powody istotne, a te są błahie, pozorne!”

Więc postęp techniczny. Zapewne jest dzisiaj decydujący, bez niego nigdy nie doszlibyśmy do obecnej *prosperity*. Bez niego produktywność, ten motor dzisiejszej gospodarki, dzisiejszego postępu, nigdy by nie wzrosła tak, jak to miało miejsce od 1945 r. Trzeba sobie powiedzieć, że póki trzeba było wioślarzy dla poruszania galer hiszpańskich, włoskich czy francuskich na Morzu Śródziemnym w okresach akalmii, gdy nie było wiatrów, póty dola galerników była potworna, i żaden reformator nic na to nie mógł poradzić. Siła mięśni jest najdroższym motorem, a siła konia, porakszy, jest najdroższym środkiem komunikacji na świecie. Polska furmanki musi być Polską biedy, nędzy i słabości, choćby rządził

nią sam Bolesław Chrobry, i choćby sam Lubecki ponownie zasiadł w gabinecie na placu Bankowym.

Ale postęp techniczny był bardzo duży także w okresie międzywojennym. Był na pewno większy, niż w latach 1900-1914, kiedy to jednak stopa życiowa i ilość kapitałów wzrastała grubo szybciej. W ciągu tych dwudziestu lat Ameryka zmotoryzowała się całkowicie, w Europie tylko Anglia i Francja, a i to słabo. W tymże okresie już Hitler zbudował pierwszą w Europie autostradę; Anglia i Francja, choć bardziej jej potrzebowały, nie zbudowały ani jednego kilometra. W Międzywojniu Szwajcaria zelektryzowała na 100% swą sieć kolejową, a Anglia zelektryfikowała tylko kilka linii podmiejskich na południe od Londynu, a i to najgorszym systemem, tak zwanej trzeciej szyny. Diesel już istniał, a przecież to Diesel zrewolucjonizował motory, dużo bardziej niż swego czasu lokomobila parowa. Międzywojnie poznało już żelbeton, który zrewolucjonizował budownictwo. Więc dlaczego ten zastój, dlaczego Międzywojnie nie wyzyskało nowych wynalazków i udoskonaleń dla zwiększenia produkcji, usprawnienia przemysłu? Tak samo traktor już wówczas istniał. Tak samo prawie wszystkie maszyny rolne. Znowuż dlaczego ówczesne postępy w produkcji z hektara pozostawały tak szalenie w tyle za rekordami naszej powojennej epoki?

Więc dystrybucja czyli masowa konsumpcja. Znowuż wszystkie elementy postępu w tej dziedzinie już istniały między wojnami. W Ameryce już królował Woolworth, w Anglii Selfridge. Mimo tego, Europa, jako całość, nie zdołała wykorzystać tych nowych możliwości, handel się całkowicie załamał pod wpływem kryzysu, spożycie, stopa życiowa spadły bardzo poważnie.

Więc nadmierna rozrodczość, zahamowanie postępów higieny? Też nie. Między 1919 a 1939 rokiem rozrodczość spadła do cyfr znacznie niższych od obecnych, a jednak było bezrobocie. Zdrowotność zrobiła ogromne postępy w 20-leciu między wojnami. Śmiertelność noworodków spadła o połowę i więcej, i to nawet w Polsce. Życie ludzkie się przedłużyło. Kobiety zaczęły pracować, także w biurach, także w klasie średniej. A jednak te wszystkie atuty nie przerodziły się przed wojną w stałą, zwykłą koniunkturę.

Więc może zamarcie ruchu kapitałów, rozklekotanie systemu monetarnego? A, tu już jesteśmy bliżsi prawdy; można by zawołać „gorąco, gorąco”, gdybyśmy się bawili w cenzurowanego.

Istotnie, przez pierwszych pięć lat po pierwszej wojnie Europa zupełnie nie rozumiała mechanizmu inflacji, jak potem deflacji. Istotnie, formacja kapitałów pieniężnych poważnie zmalała w okresie międzywojennym, zwłaszcza we Francji, a kapitały angielskie skierowały się niemal wyłącznie do dominionów i kolonii, z całkowitym pominięciem Kontynentu. Anglia, tak jak dzisiaj Stany i Szwajcaria, była w latach 1918-39 wielką skarbonką dla płochliwych kapitałów Kontynentu, więc *via* Anglia – kapitały francuskie (te przede wszystkim), belgijskie, niemieckie, holenderskie, szwajcarskie, włoskie, nawet austriackie szły nawadniać Kanadę, Australię, Malaje, Rodezję, Płd. Afrykę, Szanghaj, Hong Kong, a na modernizację przemysłu i rolnictwa w Europie Środkowej nie zostawało nic. Pisałem o tym już wiele razy, ale nie można tego dość często powtarzać; nie zdajemy sobie zupełnie sprawy, jak bardzo interesy Europy, specjalnie Środkowej, i *Commonwealth*'u są przeciwstawne, są sprzeczne. Jak drogo zapłaciliśmy za faworyzowanie tego *Commonwealth*'u w latach międzywojennych!

Ale jednak i w tej dziedzinie punktem ciężkości jest stosunek do Ameryki. Po pierwszej wojnie Ameryka nie zrezygnowała ze swych wierzytelności z tytułu pożyczek wojennych, i to stanowiło największy kamień u szyi Europy. Ameryka nie zrobiła wówczas planu Marshalla, stąd odbudowa gospodarki europejskiej trwała dłużej, kosztowała więcej w formie podatku inflacyjnego. I start tej Europy po tej pierwszej wojnie był gorszy. Potem w latach 1924-29 napływ kapitału amerykańskiego był ogromny. I to on spowodował *prosperity* tych lat. Niestety, formy w których przyływał – wysokooprocentowane, krótkoterminowe kredyty – były niebezpieczne: okazało się to w pełni, gdy Amerykanie zaczęli je wycofywać na początku wielkiego kryzysu: to właśnie ucieczka kapitałów amerykańskich z Europy pogłębiła kryzys, wywołała bankructwa i bezrobocie.

Ale jednak największym dramatem Europy międzywojennej był rozkład handlu międzynarodowego. Konserwatywni politycy i bankierzy tego okresu, z Poincaré i Montagu Normanem na czele, jako tako ustabilizowali waluty i zrównoważyli budżety. Niestety, zapomnieli o trzecim filarze: o wolnym handlu. Mury celne i co gorsza mury kontyngentów pozostały nietknięte, a gdy wybuchły kryzysy dewizowe i finansowe lat trzydziestych, te mury wszędzie zaczęto podwyższać, aż handel międzyeuropejski spadł

o połowę. I tego Europa nie wytrzymała. Mury celne są mniej widoczne od muru berlińskiego, ale są tak samo strzałem w samo serce Europy, zamachem na jej życie. Europa – to handel. Rosja, Chiny, Ameryka mogą sobie pozwolić na autarkię; są tak wielkie... Ale państwa europejskie potrzebują handlu zagranicznego, tak jak ludzie potrzebują powietrza. Definicja państwa europejskiego powinna brzmieć: to jest państwo, które bez handlu zagranicznego nie może żyć, musi się udusić.

Konkluzje

Dlaczego Europa zniszczyła handel zagraniczny, *la poule aux oeufs d'or*? W dziedzinie monetarnej, kredytu, zrobiono szereg błędów doktrynalnych, z powodu błędnych teorii deflacionistycznych. Ale w dziedzinie handlu zagranicznego nigdy żadna „teoria” autarkii nie powstała, bo powstać nie mogła: nic nie może autarkii uzasadnić. Autarkia powstała jako nieświadomy refleks nacjonalizmu, zresztą najgłupszego, bo autarkia jest tak szkodliwa, że w końcu to ona raczej zabije nacjonalizm, niż odwrotnie.

Okres międzywojenny różni się ekonomicznie od obecnego, po Drugiej Wojnie, dopływem kapitału amerykańskiego i ogromnym wzrostem handlu międzyeuropejskiego. Ekwiwalentem (lepiej wyrażeniem będzie francuskie *contrepart*) dopływu kapitału amerykańskiego jest obecność wojsk amerykańskich w Europie, jako gwaranta niepodległości Europy wobec Rosji, czyli NATO i Wspólnota Atlantycka; *contrepart* wzmożonego handlu międzyeuropejskiego jest Szóstka, jest Bruksela, jest ruch europejski, są próby stworzenia Zjednoczonej Europy.

Z wykształcenia, z usposobienia, z formacji należę do tych, co są skłonni przyznawać wszędzie i zawsze prym czynnikom ekonomicznym, politykę negocjować. Po latach namysłu dochodzę do wniosku, że w ocenie ostatniego okresu powojennego powiedzenie: Europa jest dzisiaj bogatsza niż w latach 1918-39, bo dopływ kapitału amerykańskiego jest większy, bo handel zagraniczny stale wzrasta – byłoby braniem SYMPTOMU, za przyczynę. Bo przyczyną jest budowanie Europy i zbliżenie ze Stanami. Bez zespolenia polityki i celów Ameryki i Europy, bez budowy Zjednoczonej Europy żaden dopływ kapitałów amerykańskich by

trwać nie mógł, żaden handel europejski by się nie rozwijał; nacjonalizm przerodziłby się lada dzień w faszyzm, a faszyzm by zadusił i dopływ kapitału, i wzrost handlu, tak jak to zrobił w latach trzydziestych.

Lekceważę głęboko cały marksizm, cały socjalizm. Póki istnieją przedsiębiorstwa prywatne, póty przedsiębiorcy muszą być dysponentami politycznymi. Alternatywą nie jest socjalizm, lecz etatyzm, a ten etatyzm rządów urzędniczych automatycznie się wiąże z nacjonalizmem. Rosja jest dzisiaj państwem super-nacjonalistycznym, tak samo Chiny, tak samo każdy inny autonomiczny ośrodek „bloku socjalistycznego” (a więc titoizm). We Francji wspólna nienawiść *ex-fellow-traveller*’ów i *ex-Action Française* (pomimo chwilowej draki o „Algérie Française”) do Lecanueta i idei Europy jest dostatecznie wymowna. A za nienawiścią do Europy kryje się też wspólna nienawiść do Ameryki. Co można idei europejskiej, aliansowi ze Stanami przeciwstawić? 123 absolutne „suwerenności narodowe”? Które będą współżyć na naszej małej planecie, bez wojen, zachowując pełną swobodę, *les mains libres*? Kto może wierzyć w te fantazje?

Na szczęście, dzisiaj w Europie każdy zamach na dobrobyt, czy to w imię nacjonalizmu, czy tzw. „socjalizmu”, wywołuje silne reakcje. W krajach „socjalistycznych” poddani żądają choćby chleba, i „silne” rządy Kosygina i Mao muszą kupować zboże amerykańskie, zamiast, jak za Stalina, spokojnie kazać swym niewolnikom umierać z głodu. We Francji próba rozsądzenia Szóstki skończyła się rejteradą, zgrabnie zamaskowaną, ale wyraźną. Nagonka na kapitał amerykański, największy dzisiaj na świecie motor ekonomicznego postępu i dobrobytu mas, wszędzie przeraża samych sterników tej prestiżowej zabawy. Słowem nie wierzę, by się neo-nacjonalistom europejskim, czerwonym czy czarnym, angielskim, francuskim czy komunistycznym, udało dopływ kapitału amerykańskiego, udało zatrzymać wzrost obrotów handlu międzyeuropejskiego, czyli, używając terminologii politycznej, podważyć stosunki i związki z USA, oraz storpedować kiełkującą, Zjednoczoną Europę.

Trzeba Europę na zachód od żelaznej kurtyny możliwie najprędzej zjednoczyć, a jednocześnie cementować jej związki ze Stanami. Gdy te dwa warunki będą naprawdę spełnione, żelazna kurtyna pęknie, satelici powrócą do Europy, na razie jako jej „sfera wpływów”, dopiero później jako pełnoprawni członkowie. Być

może Zjednoczona Europa stworzy sobie równocześnie drugą, tak samo naturalną i nieodzowną sferę wpływów, mianowicie w Afryce Północnej. Wszystko co do tych celów zmierza jest celowe i mądre. Wszystko co jest z tym sprzeczne jest szkodliwe i niemądre.

My, Polacy, musimy sobie jasno zdać sprawę z kilku aksjomatów. Niepodległość Polski, a nawet egzystencja Polski i polskiego narodu jest, *à la longue*, przy obecnej nędzy polskiej, utopią. Polska może żyć, jako państwo o kulturze europejskiej, tylko przy zdobyciu stopy życiowej co najmniej na poziomie Austrii. Jest to niemożliwe bez wciągnięcia Polski w wir i krąg obrotów handlowych międzyeuropejskich, bez zwiększenia obrotów (na głowę mieszkańca) handlu zagranicznego Polski, oczywiście z pominięciem obrotów rozrachunkowych, *clearing*'owych, które dobrobytu nie stwarzają, przynajmniej do poziomu krajów takich, jak Austria czy Dania. To może nastąpić tylko po wyrwaniu się z Komekonu i z sowieckiego vel socjalistycznego bloku gospodarczego. Po wtóre, Polska, jeszcze bardziej niż cała reszta Europy, nie może się poważnie uprzemysłowić bez olbrzymiego dopływu kapitału zagranicznego, który to dopływ musiałby wynieść co najmniej 5 miliardów dolarów w ciągu dziesięciu lat (musiałby być uzupełniony rozumną polityką gospodarczą, zagraniczną, oraz właściwym wysiłkiem edukacyjnym, przede wszystkim technicznym i zawodowym). Otóż trzeba sobie zdać wreszcie sprawę, że Rosja tych kapitałów nie ma i przez lata mieć nie będzie, sama musi zebrać o dopływ kapitałów. W dzisiejszej sytuacji, kapitałów Polsce mogą dostarczyć tylko dwa kraje: w pierwszym rzędzie Stany, w znacznie skromniejszym stopniu Niemcy.

Kultura nr 4/222, 1966

Polska a świat katolicki

Przed jakimś dwudziestu laty poznałem w Genewie na jakimś zebraniu Ligi Narodów znanego publicystę, p. K.E. Ów p. E. zaprosił mnie pocziwie na doskonały obiad i dał mi następującą radę: Gdyby pan zamierzał poświęcić się dziennikarstwu, to niech Pan pamięta, że chleb to nie najłatwiejszy, ale jakoś przeżyć można, pod warunkiem by jak ognia wystrzegać się dwóch tematów: Żydów i Kościoła katolickiego. Stary wyga miał dużo racji. Pisząc ten artykuł popełniłem czyn odważny, jeden z raczej nielicznych czynów bohaterskich w mym życiu. Narażam się bowiem na szereg niebezpieczeństw: po pierwsze grozi mi wywalanie drzwi otwartych; bo co, jak co, ale dowodzenie, że jesteśmy narodem katolickim jest truizmem, po wtóre grozi mi, że mogę błędnie pewnymi krytycznymi uwagami wywołać wrażenie niechęci do Kościoła polskiego – ściślej byłoby powiedzieć Kościoła w Polsce - w chwili, gdy jest oczywiste, że Kościół ten stanowi ostatnią i bodaj jedyną więź naszego Kraju z Zachodem (gdy i alianse i demokracja nas zawiodły) i że to on, znacznie bardziej niż Mikołajczyk i PSL, stoi na straży resztek naszej niepodległości.

Wyznaję pogląd, zresztą wielce rozpowszechniony, że jedynymi rewolucjami ważkimi i trwałymi są rewolucje religijne. Wszelkie inne, po upływie czasu, okazują się powierzchowne, przemijające. Anglię ukształtowało 1000 lat katolicyzmu. Kościół narodowy tj. anglikański, purytanizm, wreszcie rozbitcie religijne. Rewolucja bolszewicka, choć ateistyczna, ma wszystkie cechy rewolucji religijnej. Natomiast obecna sowietyzacja Polski, póki nie sięgnie do wierzeń, będzie tylko epizodem w walce o władzę i mimo

wszystko ani naszego charakteru narodowego, ani temperamentu, ani zamiłowań zasadniczo nie zmieni.

Ten nasz charakter narodowy ukształtował wyłącznie katolicyzm. Jak bardzo to jest prawdą zobaczymy może najlepiej porównywując nasze dzieje z ewolucją Rusi Kijowskiej. Ci Rusini, to w zaraniu dziejów nie tylko nasi bracia, ale nasi bliźniacy; nie mamy zresztą powodu być z tej paranteli dumni. W obu krajach widzimy ten sam ustrój społeczny, te same zajęcia, podobne usposobienia. Podobnie jak Rurykowicze, tak i nasi pierwsi Piastowie, dzisiaj tak niesłusznie brązowieni, są ludźmi srogimi, dzikimi, okrutnymi: aż do Bolesława Krzywoustego włącznie każdy władca Polski dochodził do rządów po trupach braci, wymordowując wszystkich współrywali do tronu, oslepiając (zupełnie jak na Rusi) krewnych i ich zwolenników. Jak na Rusi, tak i u nas państwo jest uważane za prywatny majątek panującej rodziny. Stąd podziały, nieznane w krajach o cywilizacji zachodniej, nawet w bliskich Węgrach czy Czechach: tam teoretyczna jedność korony św. Ludwika czy św. Stefana została zachowana; my, jak i Rusini, do tego abstrakcyjnego, rzymskiego pojęcia jedności Korony wznieść się przez długie lata nie umieliśmy. A jednak dalszy rozwój naszych dziejów i Rusi Kijowskiej jest tak różny! Dlaczego? Bo jeden bliźniak został oddany do szkoły katolickiej, drugi do prawosławnej. Przez katolicyzm przyjęliśmy podstawowe zasady rzymskiej i zachodniej kultury: pojęcie prawa, a więc ograniczenia samowoli zarówno jednostek jak i władz; pojęcie autonomii Kościoła, czyli ograniczenia omnipotencji państwa, czyli przekreślenia pierwotnego totalizmu, tego naturalnego ustroju społeczeństw barbarzyńskich i dzikich; pojęcie indywidualnego sumienia czyli wolności jednostki; pojęcie karności, dobrowolnej, duchowej, która się stała fundamentem naszego poczucia narodowego, instynktu państwowego i naszych swobód. Rusini, w szkole mrocznego prawosławia, ciemnoty cesaropapizmu, nie wyszli ze stanu prymitywnej dzikości, nie wytworzyli ani państwa, ani narodu, oscylowali wiecznie pomiędzy upodleniem niewolników i krwawymi buntami pierwotnych dzikusów. Ulegli zupełnie przewadze Mongołów, początkowo bezpośrednio, później pośrednio, a mianowicie mongolskiej tyranii w jej moskiewskim wydaniu.

Katolicyzm jest jak morze: zawsze jednaki i zawsze zmienny. Wycisnął on swe piętno na każdym narodzie katolickim, i każdy naród katolicki na nim.

Tu nie można być tylko odbiorcą – chcąc nie chcąc, daje się też coś z siebie.

Czym – i dlaczego – różni się katolicyzm polski od innych? Różni się po pierwsze czasowo, że nie przeżyliśmy okresu pierwotnego Kościoła – katakumb, prześladowań – to jest jasne. Ale co ważniejsze, nie przeżyliśmy, przynajmniej w pełni, okresu średniowiecznego Kościoła, Ten okres, tak ważny, nie zostawił prawie żadnych śladów w naszej świadomości narodowej.

Kościół średniowieczny był znacznie bardziej międzynarodowy niż w wiekach późniejszych. Tu w Anglii największe nazwiska w hierarchii średniowiecznego kościoła to Włosi, św. Augustyn, św. Melitus, św. Justyn, to Grek arcybiskup Teodor; to Francuz arcybiskup Lanfranc i setki, tysiące innych. To samo w innych krajach. Anglicy są z tych cudzoziemców dumni. My od początku zdajemy się głównie dbać o to, by nasz Kościół uniezależnić od Niemiec i Niemców. Przypuszczam, że nasza historiografia przedstawia ten okres nieco stronniczo. Ale źdźbło prawdy w tym jest. Oczywiście, tłumaczy się to tym, że Niemcy byli zawsze, tysiąc lat temu jak i dzisiaj, bardzo złymi „*Kulturträger*’ami”. Nacjonalizm polskiego Kościoła wyróżnia go już w zaraniu dziejów, aż z biegiem wieków stanie się najbardziej charakterystyczną cechą polskiego katolicyzmu.

Wielkie wstrząsy życia Kościoła w średniowieczu. Walka o inwestyturę? Rozwój teologii? Św. Tomasz, Albert Wielki, Sorbona, Oxford? U nas głusza. Zakładanie, reforma zakonów? Nic. Herezje? Albigensi, Lollardzi, Husyci? Znowu cisza. Husytyzm w Czechach, choć zapewne smutny jak każda herezja, dowodził jednak jak bardzo kraj ten już był przeorany katolicyzmem, jak głęboko Czechy tkwiły w Kościele. Myśmy byli wciąż na uboczu. Schizma awiniońska? Nikt właściwie nie wie jaka jest obediencja Polski. Dopiero w XV wieku jakoś budzimy się do katolickiego życia, bierzemy pewien udział, skromny zresztą, w dysputach sobory contra Papież.

Średniowieczni prałaci byli zgoła niepodobni do swych późniejszych następców. Byli to ludzie gwałtowni, namiętni. Św. Bernard z Clerveaux nazwał swego rówieśnika, św. Wilhelma arcybiskupa Yorku „przekupnym łajdakiem” (*a simonaical scoundrel*),

a katolicki historyk, bardzo wielki zresztą, Christofer Dawson, który ten incydent cytuje, filozoficznie dodaje: zwykła ludzka lekka przesada. Język jest najlepszym historykiem, jedynym, który nigdy nie kłamie. W Anglii dotąd się mówi *a fiery bishop*, albo *a bishop breathing wrath and fire*. U nas z postacią biskupią są związane nie te średniowieczne, ale zgoła inne asocjacje. Powiemy: dobrotliwy, czcigodny, dostojny biskup, pontyfikuje jak biskup – ale nigdy gniewem i ogniem zionący biskup.

Dalej: najcharakterystyczniejszą postacią średniowiecznego Kościoła jest opat, przełożony typowych klasztorów średniowiecznych benedyktynów, cystersów itd. Przeor jest późniejszy. Tu w Anglii mamy *abbey* w co drugim miasteczku, a poza tym wszędzie spotykamy *abbot's walk*, *abbot's Lane*, itd. itd. – ten opat znajdował się w samym środku średniowiecznego życia. U nas „opat” jest terminem większości Polaków po prostu nieznanym. Typowe średniowieczne klasztory prawie żadnego śladu nie zostawiły, wyparli je niemal zupełnie późniejsi jezuici, pijarzy, bernardyni, dominikanie itd. Dalej: papież był dla średniowiecznych katolików czymś dużo bliższym niż dla pokoleń późniejszych. Znowuż się to odbijało w języku. Czy Państwo wiedzą, że w języku angielskim istnieje dotąd powiedzenie *the Pope's ill* – „Papież jest chory” dla określenia, że wszystko idzie źle i coraz gorzej.

Otóż to jest ślad średniowiecza: w owych czasach choroba papieża zwiastowała kryzys w kościele, zaburzenia, może zamieszki, taka choroba w krajach ściśle związanych z Rzymem była źródłem trosk i obaw, coś tak jak choroby Churchilla podczas wojny. Czy jest u nas choćby ślad takiego *dictum*? Nie, bo nasz kontakt ze stolicą apostolską, z Lateranem (to wielki błąd mówienie o Watykanie przed XVI w.) był odległy, luźny, Polska była wciąż tylko mało w życie kościelne wciągnięta.

W naszych oczach Kościół i katolicka hierarchia rysują się jako narodowe – raz, jako antyrewolucyjne, raczej konserwatywne – dwa. Widocznie pamięć nasza o kościele średniowiecznym zupełnie się zatarła. Bo Kościół był wówczas obojętny wobec problemu narodowości, a te konserwatywne „prawomyślne” wyobrażenia hierarchii (trafne dla epoki Grzegorza XVI-go, smutnej zresztą), wprowadziłyby w zdumienie władców średniowiecznych. W najlepszym razie patrzyli już na swych biskupów jak Beck na Strońskiego czy Sikorski na Mackiewicza. W rzeczy samej duchowieństwo średniowieczne przypominało nieco komunistów: zawsze gotowe

wprowadzić swój własny totalizm, ale zaciekle w zwalczaniu wszelkiej innej władzy. Śladu najmniejszego tej fazy katolicyzmu w naszych umysłach i tradycji nie ma.

Dlaczego? Bo katolicyzm polski był gdzieś do XV-go wieku słabiutki. Nasi święci średniowieczni to członkowie rodziny panującej, lub możnowładcy, jak Odrowążowie; chłop był tylko nominalnie katolikiem. Przypomnijmy nieszczęsną sprawę Krzyżaków. Konrad mazowiecki ich sprowadził nie tyle dlatego, że nie mógł Prusaków pobić, ale dlatego, że nie był w stanie ich nawrócić. Krzyżacy mieli Prusaków nawrócić, nie wymordować, czy ujarzmić. A polski książę nie mógł ich nawrócić, bo i sam pacierza pewno nie bardzo umiał, i nie miał ani księży, ani katechetów, ani misjonarzy, ani mszałów, ani sprzętów kościelnych, ani ornatów, ani majstrów budowniczych kościelnych, żadnego aparatu, żadnego instrumentu do szerzenia wiary. Aż do XIV-go czy nawet XV-go wieku o katolickiej Polsce trudno mówić. Był to teren misyjny. Korzenie nie wrosły w ziemię. Polska jest na dobrą sprawę katolicką od lat pięciuset, nie tysiąca.

Z jednym atoli wyjątkiem, jedynym ale niezmiernie ważnym: św. Stanisława Szczepanowskiego. Obojętne jaki był powód jego zatargu z Bolesławem: czy spór o inwestyturę jak chcą jedni, czy jakieś knowania z Czechami, jak chcą inni, czy też, jak byśmy powiedzieli dzisiaj, jego zamiłowanie do plotek, czyli wytykanie królowi jego nierządu. Dość, że przez swe zwycięskie męczeństwo wyznaczył on raz na zawsze granice samowoli, totalizmu i tyranii. Ciemny kmiołek czy wójt nic by nie zrozumiał, gdyby zaczęto mu wyklądać teorię podziału władz; ale kult św. Stanisława sprawił, że na razie mętnie a później coraz jaśniej zaczął zdawać sobie sprawę, iż gdzieś się ta władza monarchy kończy, że jest jakaś dziedzina, której nawet srogi władca naruszyć nie ma prawa. Gdzie granice samowoli zostają wytyczone, tam powstaje prawo; gdzie powstaje prawo tam powstaje państwo; gdzie powstaje państwo tam powstaje naród. Św. Stanisław jest nie tylko naszym patronem; jest on, znacznie bardziej niż przereklamowany Chrobry, założycielem naszego państwa i ojcem naszego narodu. Rosja nie miała swego św. Stanisława.

Nie ma polskiego katolickiego średniowiecza. Katolicyzm polski jest niemal wyłącznie dzieckiem kontrreformacji.

Kontrreformacja jest oczywiście okresem wspinałym w dziejach Kościoła, okresem zresztą niezmiernie aktualnym; nie została

bowiem doprowadzona do końca, nie przywróciła religijnej jedności Europy, raczej spetryfikowała podział na kraje katolickie i protestanckie. Dzisiaj widoczny rozkład protestantyzmu pozwala żywić nadzieję, że bunt Lutera i Kalwina wygasa i że niezmierne szkody, które światu i Kościołowi wyrządził, mogą być nareszcie naprawione, że jednym słowem dzieło kontrreformacji doprowadzimy do końca, choć oczywiście innymi metodami.

Kontrreformacja wszędzie, a również i w Polsce, była przede wszystkim ruchem umysłowym; katolicy nareszcie przypomnieli sobie słowa św. Pawła: „musicie zrozumieć podstawy wiary, którą wyznajecie”. Ale w miarę postępów kontrreformacji, katolicyzm – podobnie zresztą jak i protestantyzm – okazał skłonność do przeceniania formy, do skostnienia, do konformizmu. Nadmiar dysput, poprzez zwykłe prawo reakcji, wywołał upadek teologii, położenie nacisku na dewocję. Ta ewolucja była typowa zwłaszcza dla krajów habsburskich, a wydaje mi się, że i nasi historycy, i my sami nie dość zdajemy sobie sprawę jak bardzo samo istnienie Polski w w. XVII i XVIII było związane z monarchią austriacką i jak bardzo Polska ówczesna była projekcją – swoistą zapewne, ale jednak projekcją – na północny wschód państwa Habsburgów. Nad Wisłą, jak i nad Dunajem oparliśmy naszą kulturę na łacinie, gdy bardziej na zachodzie łacina była już rugowana przez języki narodowe, później dodaliśmy do tego francuszczyznę. I tu, i tam społeczeństwo pozostało szlacheckie z przewagą magnaterii, żadnego udziału mieszczaństwa jak we Francji czy Anglii. W Austrii nacisk był położony na konformizm dynastyczny, państwowy, u nas narodowy. A już nade wszystko w dziedzinie religijnej analogia jest uderzająca. I gallikanizm i jansenizm do nas nie dotarły. Jak w Austrii przeważał u nas katolicyzm dewocyjny, konformistyczny, którego głównym elementem stał się tradycjonalizm, państwowy w Austrii, narodowy u nas.

Gdy mowa o kontrreformacji, nie sposób pominąć jezuitów, którzy właściwie stworzyli katolicką Polskę. Czy kto wie, że w chwili kassaty tego zakonu w r. 1772 było w Polsce tylko 1177 jezuitów? Liczba zakonników w zakonach jest na ogół uderzająco stała, więc nie należy przypuszczać by w przeszłości była ona znacznie większa. Tak więc w ciągu dwustu lat – 6 pokoleń – mieliśmy w Polsce zaledwie około 7 czy 8 tysięcy jezuitów *tout compris*. Zdumiewające jest zaiste, w jaki sposób ta drobna grupa zdołała wycisnąć tak trwałe piętno na tak

dużym kraju. Nie ma zapewne innej grupy, która by w tym stopniu zdołała ukształtować nasze pojęcia i sam charakter narodowy. Jezuita wydal szereg wybitnych ludzi, jak ks. Wujka, tłumacza pisma św., ks. Skargę i zwłaszcza O. Warszewickiego, mentora Zygmunta III. Opanowawszy szkolnictwo, jezuita urobili i światopogląd polski, i obyczaje i upodobania narodowe. Oni, wprowadzając barok, stworzyli typowy styl polskiej architektury, znacznie nam bliższy niż gotyk, oni stworzyli typ polskiej wymowy (nie mamy się zresztą czym chwalić), oni nas głęboko uzachodnili. Natomiast dziwne jest, że ten zakon, gdzie indziej uważany za podporę absolutyzmu, żadnego wysiłku nie zrobił w kierunku reformy ustroju, przeciwnie walczył się przyczynił do utrwalenia Rzeczypospolitej szlacheckiej. To samo zresztą można powiedzieć o episkopacie. To wszak prymasi w charakterze interrexów walczył się przyczynili do paktów konwentów – i nie słyszałem, by nuncjusze ich od tych republikańskich praktyk odmawiali. Mam wrażenie, że historycy Kościoła nie dość zwrócili uwagę na ten szczegół. Pakt, który stolica apostolska zawarła z Burbonami i Habsburgami, pakt tak przeciwny całej tradycji Kościoła, spowodowany lękiem reformacji, nigdy nie stał się podstawą doktryny Kościoła i przykład polski wymownie świadczy, że Kościół był zawsze mniej monarchiczny i mniej związany z absolutyzmem dynastycznym niż to z pozorów wyglądało.

Dlaczego jezuita, ludzie głębokiej wiedzy, nie zdołali teologii utrzymać na wyżynach, ale objawszy rząd dusz, pozwolili na obumarciu nauk kościelnych, na obniżeniu życia religijnego do praktyk samych? Argument niedowiarków, że Kościół woli ciemnotę, bo na niej żeruje, nie wytrzymuje krytyki. Przeciwnie, na przestrzeni wieków Kościół był i jest największą instytucją edukacyjną, a okresy jego rozkwitu zawsze zbiegały się z okresem świetności rozwoju teologii. Upadek nauk zapowiadał upadek Kościoła.

Powodów trzeba szukać z zewnątrz. Po pierwsze w wyniku reformacji Polska okazała się niemal wyspą, a co najmniej półwyspem katolickim wśród morza inowierców. Od północy i zachodu mieliśmy protestanckie: Szwecję, Prusy, Saksonię, od wschodu schizmatyczną Moskwę, od południa bisurmańskich Tatarów i Turków. Z cesarstwem ani wojen, ani sporów nie mieliśmy. Katolicyzm stał się symbolem polskości.

Jesteś Polakiem a więc katolikiem – stało się twierdzeniem oczywistym. Po co wysilać mowę na trudne dysputy, gdy można było trafić do mas argumentem tak prostym. Apel do nacjonalizmu zastąpił apel do religii. Z wielką dla tej ostatniej szkodą. Geografia w dużej mierze tłumaczy uratowanie naszego związku z Rzymem: gdyby nie herezja i schizma naszych sąsiadów, stworzylibyśmy może Kościół Narodowy, jak Anglia. A tak był on niepotrzebny, bo właśnie dzięki geografii katolicyzm polski stał się narodowy, stał się czynnikiem, odróżniającym nas od sąsiadów, nie upodabniającym nas do nich i mającym jeszcze tę dodatkową korzyść, że łączył nas z dalekim zachodem (poza niemieckim) co odpowiadało naszym upodobaniom i naszemu snobizmowi. Każdy Kościół narodowy powoli martwieje, usycha. Ten przerost nacjonalizmu odbił się na Kościele polskim, z korzyścią dla narodu, ze szkodą dla Kościoła.

Drugą okolicznością, która na naszym polskim Kościele zaciążyła nie mniej fatalnie było to, że głównym jego antagonistą była od połowy XVII w. cerkiew prawosławna. Od tego czasu protestantyzm, gruntownie pokonany, prowadzi w Polsce żywot szczątkowy. Każda herezja jest rzeczą bolesną, upadek jej – powodem do radości. Jednak w pewnym sensie herezja jest dowodem żywotności, pobudza do wysiłku, do myśli, daje więc Kościołowi pewne korzyści, broni go przed letargiem. Inaczej schizma wschodnia. Już w cerkwi greckiej żadnej myśli teologicznej nie było od czasów Focjusza, a w cerkwi rosyjskiej śladu jakiegokolwiek myśli teologicznej, ruchu umysłowego nie było prawie nigdy. Prawosławie zastąpiło stanowisko dogmatyczne fanatycznym przywiązaniem do obrządku, do form. Wiadomo, że w walce przeciwnicy zawsze się po trochu upodabiają: i tak państwo pacyfistyczne walcząc z agresywnym militarystycznym mocarstwem samo się militaryzuje. Toteż i my walcząc z prawosławiem przejęliśmy od niego niektóre jego najgorsze cechy. Teologicznego sporu nie było i być nie mogło, toteż i my zaczęliśmy przesadne znaczenie przypisywać obrządkowi, zapominając o treści. Zeszliśmy z poziomu zachodniego katolicyzmu, bo nas z niego ściągnęło prawosławie. Popa ruskiego nie zdołaliśmy wciągnąć na wyższy poziom, ale poziom umysłowy naszego duchowieństwa mocno ucierpiał na tym, że takich miał adwersarzy. W fizyce najtrudniejszy jest opór ciał miękkich. W polityce, w religii – opór sił ciemnych, ciemnoty, głupoty, ignorancji, amorfii

umysłowej. Obie strony wówczas przerażająco „równają w dół”. To prawosławie obniżyło mianowicie poziom polskiego katolicyzmu, i w szczególności polskiego duchowieństwa.

Polskę można nazywać katolicką tylko w w. XVII i aż do połowy XVIII-go. To tylko półtora wieku, a i to dalekiego od ideału. Ale ten ideał nigdy nie został wcielony w życie. Historycy katolicycy zgodnie podkreślają, że nawet państwa kościelnego nie wolno uważać za realizację tego ideału. Zaś w myśl doktryny św. Augustyna, dotąd miarodajnej, *civitas Dei* jest w ogóle nieosiągalna na ziemi, a stan najbliższy tego państwa Bożego, to stan w którym by państwa w ogóle nie było, pozostałby tylko Kościół. Polityka *à part*, cóż katolicka Polska naszej wierze przyniosła w wianie?

Przyniosła cztery dary. Dwa, że tak powiem, wewnętrzne, i dwa zewnętrzne. Te pierwsze to katolicki dwór i katolicka wieś; te drugie – to nawrócenie Litwy i kościół unicki.

W pewnym sensie, polski dwór, a zwłaszcza dworek szlachecki był z ducha swego szczerze i głęboko katolicki, może bardziej, szczerzej, pocziwiej niż rezydencje ziemian francuskich czy niemieckich. To są rzeczy trudno wymierne, a jednak istotne. Twierdzenie to nie będzie ściśle w stosunku do naszych dworów magnackich, gdzie przykazanie o niepożądaniu wołu i osła i czegoś tam jeszcze – zapomniałem czego – nie było nigdy ściśle przestrzegane, ale w tych soplicowskich dworach, które unieśmiertnił Mickiewicz, powstał piękny i godny szacunku katolicki obyczaj, atmosfera, który nawet częściowo aż do naszych czasów dotrwał. Oczywiście podstawą jego była tradycja i dlatego nie promieniował on dość silnie: już na inteligencję miejską oddziaływał słabo, a nawet niekiedy wcale. Ale Kościół miał w tych dworach zawsze wiernego alianta i z nich przez długie wieki rekrutował najlepszych swych pasterzy.

Podobnież z polską wsią. „Chłopi” Reymonta są wspaniałym świadectwem cywilizacyjnej i wychowawczej roli Kościoła na wsi. Tutaj Kościół dokonał wielkiego dzieła: potrafił wprzęgnąć katolicyzm i jego obrządki w życie ludu wiejskiego w stopniu bodaj wyższym niż w jakimkolwiek innym kraju. Główną słabością polskiego katolicyzmu jest jego antyintelektualizm – i stąd groźny i bolesny upadek jego wpływu wśród polskiej inteligencji, do której nie umie trafić; jest z nią może nie w wojnie, ale obok niej, jest narodową pamiątką, miłym zabytkiem, ale nie tkwi w samym

sercu jej zainteresowań. Znamy wszyscy stary dowcip o wolności: że Francuz ją kocha jak kochankę, Anglik jak prawowitą małżonkę a Niemiec jak babcię. Otóż można powiedzieć, że polski inteligent kocha Kościół tak, jak się kocha babcię.

Kościół polski jest zżyty z rytmem życia wiejskiego. To jest jego siła. I pod tym względem – i tylko pod tym – może on być dla zachodu wzorem i przykładem. Kościół katolicki w Anglii ma akurat wszystkie zalety, których Kościół w Polsce nie posiada, brak mu naszych zalet. Jest wysoce intelektualny, stąd ma silne wpływy wśród inteligencji, natomiast do ludu wiejskiego trafić nie umie. Jest silny w miastach, zwłaszcza większych, słabszy w miasteczkach, nie istnieje prawie na wsi. Nasz Kościół jest zbyt uczuciowy, ich zbyt oschły. Osobiście uważam, że o rozwoju wypadków decyduje inteligencja. Lud w końcu zawsze za nią pójdzie. Dlatego boję się o przyszłość katolicyzmu w Polsce, dlatego sądzę, że w Anglii będziemy świadkami jego dalszego, stałego rozwoju.

Teraz te zasługi zewnętrzne. Nawrócenie Litwy jest oczywiście kartą wspaniałą. Tu dodam tylko, że to piękne osiągnięcie jest dzisiaj na najgroźniejsze niebezpieczeństwo narażone przez samych księży litewskich. To oni stworzyli separatyzm litewski. To oni zdradzili Kościół dla nacjonalizmu. Ci, którzy nie chcą uznać, że przerosty nacjonalizmu osłabiają Kościół w Polsce, chyba nie będą przeczyć, że nacjonalizm litewskiego kleru wyrządził Kościołowi w całej wschodniej Europie niepowetowane szkody. Katolicyzm Litwy Kowieńskiej mało był wart, a stan wojny z Polską obniżył wagę więzi religijnej, obniżył znaczenie Kościoła i w Polsce i na Litwie, i w rezultacie ułatwił bolszewikom ich obecne triumfy. Czy obecnie nastąpi opamiętanie? Chciałbym w to wierzyć, choć nie bardzo mogę się na to zdobyć.

Druga zasługa, znacznie bardziej wątpliwa, to Unia Brzeska. Oczywiście inicjatywa wyszła z Rzymu. Ale jednak realizacja zależała od nas. Była naszym dzieckiem, choć, jak wiele dzieci, niezbyt przez rodziców pożądanym. Unia ta przyniosła Polsce same kłopoty, a Kościołowi nie dała prawie nic. I w tym jest dużo, bardzo dużo naszej winy.

Tu przytoczę pewne osobiste wspomnienie. Przed wojną udałem się kiedyś do Wilanowa w towarzystwie jednego z paru zaledwie znanych mi ludzi, których nazwałbym naprawdę kulturalnymi – ze śp. Adamem Heydlem, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego,

okrutnie zamordowanym w Oświęcimiu. Adaś Heydel był autorem książki „Myśli o kulturze”, której nie wahałbym się nazwać najlepszą i najpiękniejszą książką jaka w ogóle ukazała się w okresie naszej niepodległości i nawiasowo dodam, że uważałbym za należyty hołd jego pamięci wydanie tutaj tej książki i po polsku i po angielsku, bo jest to jedno z rzadkich dzieł, z których mamy prawo być dumni. Spacerowaliśmy po parku wilanowskim i Heydel nagle zwrócił mi uwagę, że park nie dochodzi do Wisły, że urywa się w jakimś kapuścisku, choć do rzeki był tylko kilometr. „*Oto był król wielkiego państwa – mówił – i nie potrafił tego parku doprowadzić do naturalnej granicy, utknął w pół drogi. Każdy inny monarcha by ten park zakończył na łuku rzeki. Czyż te szpalery nagle urywające się nie są symbolem Polski?*” Ta analogia utkwiła mi w pamięci, nieraz o niej rozmyślam. I jakże jest rzeczywiście symboliczna. Polska jest krajem snów o potędze, dum o hetmanie, wielkie zamiary, plany, słowa – a potem wszystko się urywa w kapuścisku. Plany federacyjne Piłsudskiego – kapuścisko. Później federacje Sikorskiego – kapuścisko. Sanacja moralna – kapuścisko. Rządy parlamentarne – kapuścisko. Ot tak, wszystko się rozłazi. Nie umiemy niczego doprowadzić do końca.

I tak jest właśnie z Unią. Jako pomysł uważam ją za z gruntu fałszywy. Co Unia miała dać? Poczucie jedności wyznaniowej. Różnica obrządków ciągle przypominała odmiennosc, nie jedność. Dogmatyczna jednolitość nie zdołała przekreślić głębokiej różnicy klimatu duchowego. W rezultacie cerkiew unicka nie miała żadnej siły atrakcyjnej, wegetowała, aż dopiero odnalazła jakąś rację bytu w kultywowaniu nacjonalizmu ukraińskiego, na którego służbę poszła bez reszty. Jestem zasadniczo przeciwnikiem wszelkiej unii. Tyle jest czynników rozsadzających jedność Kościoła, że jest szaleństwem niebezpieczeństwo swarów jeszcze powiększać różnorodnością obrządków. Nawet dyscyplina łacińska nie zdołała zapobiec temu, że księża litewscy, słowaccy itd. zapomnieli o kościele powszechnym, a stali się nacjonalistycznymi agitatorami. Tworzyć jeszcze dla nich narodowe obrządki – toż to dawać miecz w ręce szalonego. Znają może państwo rozmowę Bonapartego z kardynałem Consalvi w czasie rokowań o konkordat. W pewnej chwili Pierwszy Konsul cisnął jakąś wagę o podłogę i zawołał: *alors je detruirai L'Église Romaine*. Kardynał odparł: *Mon général, nous y travaillons depuis 18 siècles, et nous n'avons pas encore réussi*. Rzadko kiedy Kościół tak skutecznie

pracuje nad własną zgubą, gdy obmyśla plany i projekty unii. Mamy zresztą przykład bardzo bliski, tu, w Anglii. Pół wieku temu rozmowy na temat unii kościoła anglikańskiego z katolickim były bardzo zaawansowane. Rozbiły się nie o dogmat nieomyślności papieskiej, na który godzili się anglikanie i nie o obrządek anglikański, na który Rzym się godził, ale o punkt wysoce techniczny: ważność święceń anglikańskich, których w końcu Rzym nie uznał. Ale to były pozory: w istocie Watykan szedł na unię, lecz katolicy angielscy ją storpedowali. Słusznie, stokrotnie słusznie powiedzieli, że wolą czekać sto lat, trzysta lat, ale nie chcą pozorów jedności, chcą sam duch anglikanizmu, ducha jego krętackiego, pełnego hipokryzji oportunistycznej z korzeniami wytrzebić. Myśmy tak samo powinni byli oświadczyć, że nie chcemy żadnej unii, że chcemy wyrwać z korzeniami ducha cesaropapizmu i poczucie odrębności prawosławia, ducha nacjonalistycznego cerkwi, w obrządku wschodnim znajdującej pożywkę dla swej wojny z Zachodem, wojny z jednością Kościoła. Skapitulowaliśmy. Unia uniemożliwiła nam skuteczne wyrugowanie prawosławia, które pozostanie zawsze i wszędzie agenturą Moskwy; stworzenie polskiego prawosławia w katolickiej Polsce jest taką samą mrzonką jak stworzenie rzymskiego katolicyzmu, który byłby z ducha rosyjski. Rosja naprawdę nawrócona na katolicyzm łaciński przestałaby być Rosją, bo stałaby się wreszcie częścią Europy.

Stworzywszy Unię, co z nią zrobiliśmy? Nic. Stożące bajoro, stęchłą kałużę, która kończyła się w kapuścisku. Unickie duchowieństwo nie miało poczucia, że stanowi część czy odłam kleru katolickiego. Tych unickich popów nie kształciliśmy, nie zrobiliśmy nic, by ich wciągnąć w krąg nauki katolickiej; nie staraliśmy się powoli, stopniowo romanizować unii. Coś nie coś w tej dziedzinie zrobiła dopiero Austria, a zwłaszcza metropolita Szeptycki, jedyna naprawdę wielka postać, którą unia wydała. Unitom okazywaliśmy pogardę, która ich rozdrażniała, i bezsilność i bezradność, która ich rozzuchwalała. Zupełnie to samo, co z Żydami. W rezultacie Żydów zlikwidowali Niemcy, unitów Moskale, a i jedni i drudzy uważają Polaków, którzy właściwie żadnej poważnej krzywdy ani jednym ani drugim nie wyrządzili, za swych najgorszych wrogów. A w dalszej konsekwencji obrońcy Żydów na zachodzie, lewicowcy wszelkiego autoramentu uważają nas za gorszych antysemitów od pocziwych Niemców „oszukanych przez Hitlera”, a obrońca unii, Watykan,

po cichu uważa nas za bodaj większą kłodę niż Rosję, na drodze do połączenia cerkwi z kościołem. Trudno w obu wypadkach o większy błąd a raczej obłąd. Ale przyznajmy uczciwie, że w obu wypadkach powinniśmy ganić przede wszystkim naszą własną głupotę.



Na zakończenie – pragnąłbym jeszcze dorzucić kilka nieskoordynowanych może myśli. Otóż katolicyzm polski jest tak przepojony nacjonalizmem, że skoro tylko Polacy znajdują się poza ziemią ojczystą, albo też gdy nie są w Polsce uciskani, ich wiara natychmiast i bardzo gwałtownie słabnie. Legiony Dąbrowskiego walczą we Włoszech; rewolucyjna i bezbożna Francja niszczy państwo kościelne. Czy jest jakaś reakcja wśród tych katolickich żołnierzy polskich? Nie ma żadnej. O ile mi wiadomo, nie ma słowa w korespondencji Napoleona z Dyrektoriatem, że trzeba z Kościołem uważać, bo mogą być jakieś trudności z Polakami. Co więcej bierzemy, Bóg wie po co, udział w wojnie hiszpańskiej. Ta wojna to walki z pobożnymi chłopami prowadzonymi przez księży, którzy bronią wiary przeciw francuskim bezbożnikom. Czy Polacy mają jakieś skrupuły, choćby wyrzuty sumienia? Gdzież tam. Najbardziej katolickie ziemiańskie rodziny chlubią się przodkami co walczyli pod Samosierrą czy Saragossą co najmniej jakby to chodziło o walki z Turczyńcem czy innym pohańcem. Księstwo Warszawskie jest bardziej niż letnie w swym katolicyzmie. To nikomu nie przeszkadza. Kościuszkę, księżę Józef – w najlepszym razie deïści. *A la bonne heure*. Królestwo Kongresowe – rządzone przez masonów. Znowu doskonale. Dopiero gdy Wielopolski nawraca do polityki ministra Stanisława Potockiego – jest pewne wzburzenie opinii, bo polskość jest bardzo zagrożona, odczuwamy więc potrzebę Kościoła. Niepodległość. Katolicyzm polski jest już prawie niepotrzebny, staje się dekoracją, połowa ministrów – to kalwini, prawosławni, czy nawet mahometanie, dyrektor Departamentu Wyznań, hr. Franciszek Potocki, zresztą uroczy i miły człowiek i katolik, tłumaczy mi bzdury w rodzaju, że chciałby, by biskupi katolicy mieli tyleż poczucia państwowego co biskupi prawosławni itd. Fatalny nawyk nadmiaru nabożeństw oficjalnych prowadzi w rezultacie do tego, że dzisiaj Bierut czy Żymierski ciągle biorą udział w uroczystych mszach polowych. Nasza emigracja listopadowa wydaje wielkich poetów, ale gdzie

są jej wielcy kapłani? Paru Zmartwychwstańców. Zbliżeni do nas narodowym złym losem Irlandczycy nawrócili pół Ameryki, pół Australii, częściowo Anglię, wysłali tysiące misjonarzy do Afryki, Indii, są w każdym zakątku świata. Uniwersytety katolickie stały zawsze otworem dla Polaków. Kogo im daliśmy?

Poza krakowskimi Stańczykami, którzy jakąś katolicką inteligencję wyhodowali, wszystkie nasze prądy polityczne są wobec Kościoła grubo nie w porządku. Pielgrzymki narodowców do Częstochowy połączone z awanturami antyżydowskimi były, z punktu widzenia katolickiego, po prostu zbrodnią. Chrześcijańska demokracja, a więc poniekąd oficjalna reprezentacja Kościoła, wybrała sobie na przywódcę Korfantego, jednego z najordynarniejszych, chciwych groszorbów i dusigroszów, jakich spotkałem, ze swą kwadratową gębą i grubym cygarem obraz krwiopijcy i burżuja, jak go widzimy na bolszewickich plakatach. Po tym okropnym Korfantym przychodzi Popiel, demagog, nieuk, aferzysta i osioł, i na okrasę X. Kaczyński, który jako sługa Boży jest po prostu skandalem. Jak chcemy takich ludzi przeciwstawiać Brueningowi czy Schuschniggowi? I jak możemy się dziwić, że ciężar gatunkowy katolików niemieckich jest zgoła inny niż polskich?

To samo pisarze. Kasiński był oczywiście jednym z największych pisarzy katolickich świata, Sienkiewicza i Reymonta też można do wielkich pisarzy katolickich zaliczyć, Wyspiański miał wycucie Kościoła, ale reszta? Grzeszą nie tyle złą wiarą, ile bezbrzeżną ignorancją. Niedawno pewien znakomity pisarz polski, z pewnością uważający siebie za katolika, nazwał Dostojewskiego wielkim pisarzem chrześcijańskim, porównywał go do św. Franciszka. Wszystko się kończy gdy katolik może coś podobnego pisać w dobrej wierze. Nigdy podobna teza nie przeszłaby przez gardło Mauriac'a czy Maurras'a czy d'Ormesson'a czy choćby Leona Daudet'a. Inny głośny pisarz szczerze mi wyznał, że nie rozumie jak może ktoś się zastanawiać nad boską naturą Chrystusa Pana – przecież to wszystko jedno. A później tenże pisarz łyży roni nad upadkiem etyki chrześcijańskiej. Kto inny znowu dowodzi, że ewangelia to przede wszystkim system socjalny. I tak dalej. A potem podnosimy wielki gwałt i wrzask, że świat zapomina o katolikach w Polsce.

Parę razy wspomniałem o herezjach. Herezje są spaczonym, szkodliwym, ale jednak dowodem czy raczej symptomem

żywołności. Raz po raz trzeba z nimi walczyć. W ostatnim stuleciu ileż ich było: tzw. liberalizm Lammenais, później staro-katolicy Doellingera, modernizm, tzw. amerykańizm, wiele innych. Żadna z nich nie dotarła do nas, żadna nie odbiła się najślabszym echem. To były herezje teologiczne. A nasze własne? Tzw. kościół narodowy, Mariawici? Są przerażające właśnie swym ubóstwem. Żadnego bagażu teologicznego. Podłożem ich jest wyłącznie nacjonalizm. Jeszcze im go mało. I tę wielką wadę polskiego katolicyzmu próbują jeszcze zwiększyć, zaostrzyć.

Kościół, jak wiemy, przeżywa dzisiaj ciężkie chwile i jak powiedziałem na wstępie, to kościół – a nie Mikołajczyk czy PSL – broni resztek naszej niepodległości. To nie jest przypadek, że obecna granica na Wschodzie zbiega się z granicą wyznaniową, że Stalin nas jednak jeszcze nie traktuje jak wyzwolonych Ukraińców, bo jeszcze się boi naszej wiary. W tej walce stoimy wszyscy po stronie Kościoła i wszyscy błagamy Boga o jego ocalenie. Osobiście sądzę, że Kościół wyjdzie z tych zapasów zwycięsko, częściowo dlatego, że jest katolicki, częściowo dlatego, że jest polski. Ale jeżeli na dalszą metę katolicyzm ma się w naszym kraju odrodzić, a nie tylko uniknąć zagłady, jeśli pragniemy prawdziwego renesansu katolicyzmu – tak jak w XVII wieku, to musimy jasno rozumieć, że czeka nas wysiłek ogromny w chwili może mniej odległej niż się to zdaje.

Jest w naszym kościele piękna, przepiękna modlitwa, w której błagamy Boga o *amor invisibiliu*, o miłość rzeczy niewidzialnych. To ta miłość stanowi istotę katolicyzmu, jądro religii, podstawę kultu, treść życia Kościoła. Nie zastąpią jej żadne pielgrzymki do Częstochowy, żadne tworzenie katolickich związków, żadne prace organizacyjne. Ta miłość jest dzieckiem myśli, nie uczucia, jest wynikiem rozmyślań, lektury, studiów, wiedzy. Rodzi ją dogmat, wychowuje teologia. Bez nich żadna etyka się nie ostoi, bo każda etyka z wyjątkiem hedonistycznej, nie oparta o dogmat, jest absurdalna. Przyszłość katolicyzmu polskiego zależy nie od pracy społecznej, siły organizacyjnej, działalności propagandowej, nawet nie od praktyk religijnych, ale wyłącznie i jedynie od odrodzenia i rozpowszechnienia nauk teologicznych.

Kultura nr 2-3, 1947

Bilans emigracji w Anglii

Od chwili de-uznania legalnego rządu R.P. w Londynie mijają obecnie cztery lata. W cztery lata po upadku powstania listopadowego emigracja ówczesna, u progu roku 1836, już była przeżyła swój *Sturm und Drang*; i chociaż książe Adam niestrudzenie miał działać jeszcze przez ćwierć wieku, było już rzeczą jasną, że nadzieje i marzenia ówczesnych tułaczy nie miały być ziszczone; jednostki stworzyły wielką literaturę, inne zabłysły raz jeszcze na widowni politycznej w roku 1848 czy nawet później; ale dla ogółu zaczął się już nowy okres - dostosowania do warunków emigracyjnych i zapewnienia sobie bytu.

Oczywiście, każda analogia jest naciągana i złudna. Między naszą sytuacją – tułaczy londyńskich – a losem naszych praocjów zachodzą znaczne różnice. Ich była garstka – około 10 tys. zaledwie – nas w samej Wielkiej Brytanii jest, według ostatnich obliczeń, 164 tysięcy. W ówczesnym okresie zatargi Zachodu z Mikołajem I były dziecinną igraszką w porównaniu z głębokim konfliktem obecnym między Wschodem a Zachodem, każdej chwili grożącym straszliwym wybuchem. Ale tym niemniej można już dzisiaj z doświadczeń ostatnich czterech lat wyciągnąć pewne wnioski.

W roku 1945 cała nasza emigracja była wyraźnie polityczna. Trzon jej stanowiło nasze wojsko na zachodzie – 250 tys. ludzi w chwili zakończenia działań wojennych; ponadto około 5 tys. polityków i urzędników w Londynie, przeszło milion Polaków w Zachodnich Niemczech i drobniejsze garstki powojennej emigracji we Francji i za oceanem.

Nie byliśmy *quantité négligeable*: najlepszy tego dowód – to wysiłki Anglików, zresztą uwieńczone całkowitym powodzeniem,

w kierunku „rozładowania” tej masy oraz sparaliżowania naszej akcji. W ciągu paru lat ubiegłych trzy czwarte wychodźców z Niemiec wróciło do Polski; trochę się rozlało po świecie; z tych 200 tysięcy, które jeszcze zostały w zonach zachodnich, przeszło połowa na pewno uda się jako „siła robocza” do krajów ościennych a w większej mierze za morza; reszta – to nieszczęsny osad wszystkich wojen i katastrof, ludzie starzy, chorzy czy wykołejeni, którzy wymrą, zaginą bez śladu, tak jak tyle poprzednich fal naszego uchodźstwa – choćby potomkowie wielu naszych dawnych sybiraków.

Boleśniejszym był powrót przeszło stu tysięcy wyborowego żołnierza z Wielkiej Brytanii. Było ich zbyt mało, by mogli w Polsce samej stworzyć jakąś siłę, z którą bierutowcy musieliby się poważnie liczyć; a w Anglii ich obecność mogłaby znacznie wzmocnić nasze stanowisko, sprawić, że Anglicy poważniej musieliby się z naszymi postulatami liczyć. Ten znaczny ubytek świeżej i dobrej krwi zawdzięczamy głównie niezmiernie powolnemu tempu, w którym do połowy lata 1947 r. PKPR zwalniał szeregowców „do cywila”; i próżne byłoby roztrząsać czy to opóźnienie spowodowane było raczej złą wolą Anglików czy też podświadomym działaniem samych polskich oficerów, w których interesie leżało utrzymanie jak najdłużej wysokich stanów. Ale stało się – i z naszego wojska została na Zachodzie zaledwie połowa. Była to prawdopodobnie najteższa duchowo i fizycznie emigracja, którą kiedykolwiek w długich naszych dziejach wysłaliśmy (jak zawsze bez naszej ku temu woli) za granicę; więcej nawet – sędzę, że nigdy żaden naród tak znacznego odsetka najlepszych, najinteligentniejszych, najbardziej „robotnych” swych synów nie odstąpił krajom emigracyjnym.

Część tego wyborowego materiału utraciliśmy dalej na rzecz emigracji zamorskiej – mniej jednak niż spodziewać się należało: ok. 12 tys. do Argentyny, i po parę tysięcy do Australii i Kanady; do innych krajów – głównie Stanów Zjedn. i Płd. Afryki – wyjechały tylko setki. Miejsce ich zajęli nowi przybysze, głównie z Niemiec, trochę z Polski (przeważnie inteligencja i rodziny), ponadto repatriowani do Anglii polscy cywile, uciekinierzy z Rosji, którzy wojnę spędzili w Afryce, Indiach czy na Bliskim Wschodzie. Tak więc obecnie na 160 tys. Polaków w Anglii tylko połowa pochodzi z wojska – reszta to „najnowsza” emigracja, dopiero powoli aklimatyzująca się na wyspie. Mniej wyrobiona,

mniej dzielna, mniej tęga fizycznie, przede wszystkim: wśród repatriantów z Afryki etc. jest duży procent prostych bardzo ludzi z kresów wschodnich, bab nawet niepiśmiennych, których waloru nie da się porównać z kwiatem naszych sił zbrojnych.

Obecnie proces „migracji”, jeżeli chodzi o nasze środowisko w Anglii, można uważać za z grubsza zakończony. Do Polski obecnej wrócą już chyba tylko jednostki. Niewątpliwie odpływ do innych krajów, przeważnie egzotycznych, niekiedy jednak również i do Francji, będzie trwał nadal, ale nie będzie przybierał charakteru masowego – chyba żeby Stany Zjednoczone stanęły przed naszą rzeszą otworem; wątpię, by sięgał 10 tysięcy rocznie. Z drugiej strony będzie trwał i dopływ, trochę z Niemiec (skromny), trochę z Polski, o ile komuniści będą wypuszczali rodziny – takie wypadki, zwłaszcza starych rodziców, rzadziej dzieci, zdarzają się sporadycznie, ale znowuż nie przypuszczam, by cyfry, które mogą wchodzić w grę, mogły przekraczać parę tysięcy rocznie. Wreszcie wymieranie: nie jesteśmy rasą długowieczną, ale procent starców jest wśród nas tak nieznaczny, że i ten ubytek będzie powolny, nie przekraczający około tysiąca głów rocznie.

Jak zawsze, nie mamy żadnych dobrych statystyk: wśród tylu biur i stowarzyszeń powinno by się znaleźć choć jedno, które by porządny, naukowy instytut statystyczny zorganizowało. Z obserwacji i fragmentarycznych danych wynika wszakże, że nasza emigracja jest wybitnie męska, chyba tylko w 15 czy 20% składa się z kobiet, przeważnie sprowadzonych żon i trochę dziewcząt ściągniętych przez Anglików z Niemiec w ramach E.V.W. Los tych dziewcząt jest zresztą zapewniony, bo mężów wśród Polaków mogą znaleźć bez trudności: w *Dzienniku Polskim* opowiadano mi, że na ogłoszenia matrymonialne kawalerów nadchodzi jedna lub dwie odpowiedzi; na każde – jakże rzadkie! – ogłoszenie kandydatki do stanu małżeńskiego – po sto i więcej. Tylko bardzo stare Polki nie mają żadnych szans. Ostatnio w Londynie parę krzepkich 50-letnich wdów czy rozwódek, z dorosłymi dziećmi, które normalnie nie mogłyby marzyć o sukcesach matrymonialnych, znalazło z łatwością wcale dobre partie.

Nie mamy też statystyki dzieci. Musi ich być mało, bo większość chłopców z wojska pozostaje w stanie bezżennym; starsi emigranci mają dzieci przeważnie w Polsce, i wiele małżeństw nie połączyło się po wojnie, czy to dlatego, że żon nie dało się sprowadzić, czy też

– niestety częściej – z powodu rozwodów czy faktycznej separacji która czy obu, czy jednej przynajmniej stronie dogadzała. Ale faktem jest, że nawet i małżeństwa polskie w Anglii – że tak powiem „funkcjonujące” – są w znacznej mierze bezdzietne lub ograniczają swe potomstwo do jednego dziecka. Liczne rodziny – to niemal wyłącznie rodziny już założone przed wojną. Nie słyszałem ani o jednym wypadku, by jakaś para, która gniazdo założyła od 1939 r. w Anglii, spłodziła czworo czy pięcioro dzieci. Nawet gdy jakieś małżeństwo ma troje dzieci, wszyscy wybałuszają oczy i kiwają głowami. Na pewno nie przypominamy tych czterdziestu tysięcy francuskich chłopów, których Ludwik XV osadził w Nowej Francji, i którzy się rozrosli w ciągu dwóch wieków do obecnych czterech milionów Kanadyjczyków-Francuzów. Jeśli się nasza rozrodczość w Anglii nie zmieni – a nie widzę oznak takiej zmiany – to po upływie jednego pokolenia – nawet bez dalszej emigracji – Polonia tutejsza jeśli nie wymrze, to zmaleje o połowę. O tym by się nasza młodzież, która przybyła tutaj w wieku osiemnastu lat czy więcej, mogła wynarodowić, jestem przekonany, że nie może być mowy. Ale jeśli chodzi o dzieci – sytuacja jest odwrotna. Dzieci małżeństw mieszanych będą oczywiście Anglikami. Małżeństw tych – przeważnie ze Szkotkami – było w czasie wojny około 6 tysięcy; na ogół okazały się bardziej trwałe, niż Polaków między sobą, rzadko jednak mają więcej niż jedno dziecko; dzieci te nie są objęte żadną ewidencją, bo do polskich szkół nie chodzą, kosztów ich wykształcenia Education Committee for Poles nie pokrywa. Są one całkowicie dla Polski stracone.

Nie lepiej wygląda sprawa dzieci małżeństw czysto polskich, przynajmniej jeśli chodzi o inteligencję; oddawane niemal wyłącznie do internatowych szkół angielskich, używające przez 9 miesięcy wyłącznie języka angielskiego w szkole, mówią po polsku prawie bez wyjątku fatalnie i niesłuchanie niechętnie. Są to Anglicy i Angielki polskiego pochodzenia – i nawet pytanie, jak długo będą się do tego pochodzenia przyznawać. Obecna generacja polska w Anglii nie wynarodowi się nigdy – następna będzie znikoma liczebnie (dzieci polskich jest tu nie więcej niż około 10 tysięcy), i jeśli się nic nie zmieni, zatraci swój kontakt z polskością jeszcze szybciej i gruntowniej niż nowe pokolenie Polonii amerykańskiej. W Stanach Zjednoczonych nacisk opinii w kierunku wynarodowienia, czy przynajmniej zapomnienia o swoim

pochodzeniu jest znacznie słabszy niż w obecnej, tak rasistowskiej i ksenofobicznej Anglii.

Do tej niezmiernie słabej rozrodzności naszej Polonii brytyjskiej przyczynia się poza ubóstwem, bezżennością, rozłączeniem rodzin i przykładem Anglików (którzy prawie wszyscy stosują *birth control*) również i mnogość rozwodów wśród naszych rodaków. Smutne to ale prawdziwe. Wśród naszej inteligencji procent rozwodników przekracza 50% – jest chyba najwyższy na świecie. Co gorsza, nawet małżeństwa zawarte już po wojnie, rozlatują się po paru miesiącach współżycia. Stąd dowcipy, jak np. nazywanie Caxton Hall (urzędu stanu cywilnego) „Polską Katedrą”, stąd nawet doskonała, a boleśnie prawdziwa satyryczna komedia Budzyńskiego „Powrót żony” – oparta na przerażeniu i rozpaczce męża, którego ukochana połowica niespodziewanie przybywa z kraju. Osobiście skłonny jestem sądzić, że to notorycznie fatalne polskie pożycie małżeńskie jest raczej zawinione przez żony niż przez mężów; mężczyźni się łatwiej adaptują, żony szalenie narzekają, a nadmiar Polaków – kawalerów, wdowców, rozwodników, czy choćby mężów gotowych do odlotu i uwicia nowego gniazdka – stwarza naturalnie pokusy. Jakkolwiek bądź główną niewątpliwie przyczyną tej plagi rozwodowej jest upadek wierzeń religijnych, który zawsze odbija się bardziej na moralności (tzn. niemoralności) kobiet niż mężczyzn. Jest to problem, który powinien być przedmiotem poważnych studiów socjologicznych. W Polsce upadek obyczajowości bigoci i rasiści chętnie przypisywali wpływom żydowskim: obecnie wśród nas Żydów prawie nie ma (tylko bardzo nieliczni i niemal wyłącznie ochrzczeni zachowali kontakt z życiem polskim na emigracji), a rozbijanie węzłów małżeńskich pobiło wszystkie przedwojenne rekordy. W stosunku do rozwodów, rozpusty, cudzołóstwa, konkubinatu itd. nie widać śladu nawet jakiegokolwiek reakcji naszej opinii publicznej. Polskie kancelarie adwokackie w Londynie żyją wyłącznie ze spraw rozwodowych. Jakżeż te przelotne związki mają mieć dużo dzieci?

Upadek religijności wśród naszej emigracji ma i ujemne skutki polityczne. Katolicy angielscy są katolikami serio – i są dla nas najprzyjaźniej usposobioną częścią tutejszego społeczeństwa. Oni jedni powitali nasze pozostanie w tym kraju z radością, spodziewając się, że przyspieszymy nawrócenie Anglii. Niestety obecnie są tak zgorszeni naszym indyferentyzmem, że ich stosunek

przyjazny wyraźnie ostygł. Zdają sobie sprawę, że nasz katolicyzm jest tylko kwestią płytkiej, narodowej tradycji. A jeśli na katolików już nie możemy rachować, to na kogo? Nasi rodzimi masoni nie mają w lożach tutejszych żadnych kontaktów, socjaliści angielscy są germanofilami, protestanci zdecydowanie Polski nie lubią, Żydzi nie darowali nam przedwojennych wybryków antysemitycznych. Więc gdzie mają być nasi naturalni alianci?

Emigracja polska w Anglii z politycznej staje się wyraźnie zarobkowa. Zainteresowanie „polityką” jest nadal bardzo żywe, ale podczas gdy w r. 1945 wypełniało ono treść życia, dzisiaj przybiera charakter dodatkowy, *passé-temps* – pierwsze miejsce zajęły niepodzielnie troski i kłopoty materialne. Przeciętny Polak czyta *Dziennik Polski*, zaglądnie do polskiej restauracji, rzadziej do jakiegoś polskiego stowarzyszenia, pójdzie chętnie na polską zabawę – ale na tym bez mała koniec.

Nasza emigracja jest uboga. Uboga nie w sensie przedwojennym, kresowym; nędzy nie ma, i jeśli chodzi o szeroki ogół to od dwóch lat, odkąd wszyscy się zabrali do pracy, powodzi mu się znacznie lepiej – bo zamiast mizernego żołądka każdy inkasuje przeciętnie po 5 funtów tygodniowo. Nie można też twierdzić, że Polacy stanowią samo dno proletariatu angielskiego, jak np. było niewątpliwie we Francji po pierwszej wojnie światowej. Przede wszystkim nasi uchodźcy w znacznej mierze nie mają rodzin na utrzymaniu – paczki mniej kosztują – toteż przy tych samych poborach mają więcej pieniędzy do wydania od najuboższych Anglików. Trafili tutaj też na okres, w którym los klasy robotniczej wybitnie się poprawił: robotnikowi się dzisiaj na ogół lepiej powodzi niż inteligentom na niższych szczeblach, i tak np. sztygar zarabia więcej niż urzędniczyna na poczcie czy w banku. Nie spotyka się Polaków obdartych czy głodnych. Ponadto Polacy – to przeważnie krzepkie chłopcy, stąd są poszukiwani do zawodów fizycznych, wymagających mocnych mięśni – a te są specjalnie dobrze płatne. W całości i przecięciu nasza emigracja w Anglii jest lepiej sytuowana niż jakakolwiek inna grupa polska czy to w Polsce czy na obczyźnie, z wyjątkiem Polonii amerykańskiej. Ma to zresztą i ten skutek, że część naszej emigracji dobrze sobie z tego zdała sprawę i już do Polski nie wróci: stanowi ona dotychczas znikomą mniejszość – która jednak z każdym rokiem będzie wzrastać.

Atoli o bogactwie nie może być mowy. Wszystkie legendy o polskich bogaczach w Anglii okazały się, jak zwykle, zupełną fantazją. Milionera nie ma ani jednego. Ludzi mających po 10 i więcej tysięcy funtów można obliczać na tysiąc najwyżej – nawet i to jest pewno szacunkiem zbyt hojnym. Istnieje może parę tysięcy, którzy odłożyli czy „zarobili” w okresie inflacji powojennej po parę tysięcy funtów. Ale „interesy” polskie na ogół się nie udały – prosperują tylko przedsiębiorstwa paczkowe, mniej restauracje, i na tym koniec. Dorabiają się najwięcej, ale również skromnie, polscy rzemieślnicy, w wielu działach zresztą bardzo cenieni – i tak np. niektóre słynne na cały świat londyńskie firmy luksusowego obuwia zatrudniają dzisiaj wyłącznie szewców-Polaków. Farmerzy nasi – jest ich około tysiąca – wiążą koniec z końcem, nikt nie dorobił się fortuny. Rzecz dziwna, że choć jesteśmy narodem rolniczym, to jednak tutaj, jak i we Francji i w Ameryce, ciągniemy do wielkich miast, na rolę idziemy niechętnie.

Geograficznie Polacy są rozrzućeni po całym Zjednoczonym Królestwie, z wyjątkiem Irlandii Północnej, gdzie prawie nas nie ma. Okręgi naszego definitywnego osiedlenia są dotąd płynne – i nawet w ciągu tylko tych czterech lat ostatnich nastąpiły poważne przesunięcia. Polonia szkocka zmalała o przeszło 75%. W roku 1945 w Londynie było zaledwie 10 tys. Polaków, dzisiaj szacuje się ich liczbę na 30 tys. (*notabene* jesteśmy obecnie najliczniejszą grupą cudzoziemską na obszarze „Wielkiego Londynu” według oficjalnych statystyk policji – dotychczas byli nią stale „Niemcy”, tzn. niemieccy Żydzi). Poza Londynem, drugim wielkim ośrodkiem jest Lancashire – okolice Manchesteru, gdzie zwłaszcza skierowano wielu ex-D.P.ów i D.P.sek z Niemiec do pracy w przedsiębiorstwach. Trzeci większy ośrodek – to Eastern Midlands: Nottingham, Leeds i Leicester. Farm polskich jest najwięcej w Walii. Ale bez mała wszędzie można spotkać Polaków. Większość już może dogadać się po angielsku. Rzecz ciekawa: w inteligencji kobiety uczą się szybciej i mówią lepszym akcentem niż mężczyźni; wśród masy jest na odwrót. Mężczyźni też mniej narzekają. Prawie wszyscy prowadzą życie gettowe – i stosunków z Anglikami utrzymują niezmiernie mało.

Może największym walorem naszej masy emigracyjnej jest jej chęć do pracy i zwłaszcza uczciwość. Przykład wymowny: w ciągu dwóch lat tutejsze polskie biuro pośrednictwa pracy umieściło przeszło półtora tysiąca Polaków, przeważnie jako służbę domową.

Nie było wypadku zażalenia, że któryś z zatrudnionych coś ukradł. Udział Polaków w życiu przestępczym jest znikomy. Poza legendarnym Zborowskim nasze środowisko wydało dotąd tylko 2 czy 3 morderców, niewielu bardzo złodziei, najwięcej spraw wytoczono Polakom o pobicie, niemal zawsze na tle zatargów miłosnych. Więcej znacznie jest samobójstw. Wszystko razem, poziom jest doskonały zważywszy zwłaszcza niezmiernie ciężkie doświadczenia większości naszych tułaczy. Emigracja rosyjska miała większe pieniądze, większe stosunki, większą popularność i, zdaje się, więcej jednostek wybitnych: nie mamy wśród nas żadnego Sikorsky'ego, żadnego *ballet polonais*, żadnego Szalapina, żadnego Mereżkowskiego (tzn. autora o światowym nazwisku), żadnego Wertyńskiego, który był furorą Paryża. Rosjan zgubił poziom ich masy. Nasza góra jest słaba: ratują nas szeregowcy, ci szarzy, nieznani Polacy, którzy karier i majątków nie robią i nie robią, ale każdemu krajowi dostarczą sumiennych, porządnych obywateli.

Masa polska przysporzyła sobie wiele dodatnich cech angielskich, nie tylko w angielskim autobusie czy kawiarni zachowują się Polacy doskonale, nie podnosząc głosu, nie robiąc tych burd i awantur, które były plagą w Polsce; ale nawet w stołówce kombatantów gdzie są sami swoi, i to wcale nie żadna elita, uderzają dobre *table-manners*, nie ma wrzasków i kłótni. Inny objaw, godny zanotowania: prostytutka jest plagą wszystkich apatridów. Rosjanki wypełniły domy publiczne od Szanghaju do Buenos Aires. Na szczęście w tej profesji – liczniejszej chyba w Londynie niż w Paryżu – nie ma śladu naszych rodaczek. I w ogóle w dzielnicy tutejszej Bohemy w Soho, gdzie roi się od sutenerów włoskich, greckich, maltańskich, żydowskich etc. – nie znajdzie się Polak, choćby na lekarstwo. Skądinąd zmały też legendy o polskich sukcesach erotycznych. Polski cywil jest wyraźnie mniej atrakcyjny od polskiego lotnika czy żołnierza. Polki z reguły żadnego powodzenia u tubylców nie mają. *La belle Polonaise* – ten mit XIX-go wieku, kiedy to w Polkach kochali się prawie wszyscy wielcy ludzie – Napoleon, Balzac, Stendhal, Goethe itd. – rozwiął się zupełnie. Jako rasa nie możemy pretendować dzisiaj do urody; często słysząc głosy zdziwienia gdzie się podziały piękne rodaczki, których przecież w Warszawie widziało się dość dużo, a których teraz niestety nie widać wśród nas niemal wcale.

Najgorsza jest naturalnie sytuacja naszej inteligencji: co więcej, podczas gdy warunki bytu naszych b. żołnierzy polepszyły się w ciągu ubiegłych dwóch lat, pozycja b. oficerów, którzy stanowią *gros* naszej inteligencji, wydatnie się pogorszyła. Oprócz końca P.K.P.R. działają tu i inne czynniki: równoczesne wyschnięcie wszystkich polskich pieniędzy publicznych, kwestia wieku – inteligenci są z reguły znacznie starsi – ogólna sytuacja inteligencji w Anglii, gdzie zubożała bardziej niż inne warstwy i w łonie której konkurencja jest bardzo ostra, wreszcie niedostosowanie naszych inteligentów – w lwiej części b. urzędników i zawodowych wojskowych – do zawodów cywilnych. Najlepiej się stosunkowo wiedzie technikom i lekarzom, ponadto aptekarzom, ale sytuacja wielu ludzi jest nader ciężka. Na tym większe zasługuje uznanie odwaga, z którą nieraz ludzie ongiś zamożni czy piastujący odpowiedzialne stanowiska zabrali się do pracy fizycznej czy rzemiosła; wielu jednak zostało zmuszonych do zwrócenia się do Assistance Board, którego zasiłki wystarczają by nie umrzeć z głodu, lecz nie pozwalają żyć. Jest rzeczą charakterystyczną, że studenci, pobierający stypendia (jest ich cztery tysiące) znajdują się nieraz w lepszych warunkach niż starzy, wybitni literaci, dziennikarze, działacze czy urzędnicy. Jeśli chodzi o całą tę warstwę – co najmniej około 10-20 tys. ludzi – to największą ich tragedią jest brak przyszłości. Nie mogą marzyć o zarobieniu dosyć by odzyskać choć w przybliżeniu standard życiowy swej klasy, nie mogą też liczyć na odpowiednią pracę u Anglików, a o tym, by sama emigracja mogła tylu ludzi utrzymać, nie może absolutnie być mowy. Ten problem jest najcięższy – wygląda dzisiaj gorzej niż rok temu, a za rok będzie jeszcze znacznie bolesniejszy. A przecież bez tej inteligencji odegranie przez naszą emigrację jakiegokolwiek roli, politycznej czy choć kulturalnej, jest niemożliwe. Ci, którzy sobie wyobrażają, że niewielkimi tylko środkami można zabezpieczyć „działalność polityczną” nie zdają sobie sprawy z tego, co mówią. Chodzi o utrzymanie całej warstwy, nie paru jednostek. A bez zapewnienia środków egzystencji naszej inteligencji muszą runąć i te nieliczne placówki kulturalne, które nam zostały – księgarnie, prasa, teatry, organizacje. Te resztki polskiego życia umysłowego, a co za tym idzie i politycznego, będą musiały bez pomocy z zewnątrz szczeznąć i zamrzeć. Przewiduję szereg bolesnych tragedii.

Jedyny odcinek naszej emigracji, który wyraźnie nie zdał żadnego egzaminu – to nasze sfery polityczne. Naprzód zbyt wielu ludzi się polityką zajmuje, a raczej w politykę bawi. Stała się ona pewnego rodzaju zabawą zawodowców, rodzajem bridge'a, narkotyku, nałogu. Jest rzeczą charakterystyczną, że ogromna większość tzw. polityków – to są ludzie, którzy siedzą tutaj od 1940 r., tylko nieliczni przybyli po wojnie z Polski czy z Bliskiego Wschodu. Wszyscy ci ludzie, choć nieustannie toczą ze sobą spory, niczym w gruncie rzeczy się nie różnią – albowiem jałtańczycy hurmem wyjechali do Polski w 1945 r. w poszukiwaniu nowych posad i karier (co się niewielu udało). Reszta kłóci się o słowa, o formułki, o przyjemność kłócenia się, bo dzisiaj nawet już nie wchodzi w grę pieniądze, a efekty są żałosne. Pomimo niezliczonych rywalizacji, kapliczek, szalonego rozproszkowania, nie widać osobistych antypatii, tej zacieklej nienawiści, która np. jeszcze po dwudziestu latach dzieliła byłych aktywistów i pasywistów z pierwszej światówki. Bardziej żywe i realne uczucia antypatii wzbudzają wśród nas tylko dwie grupy – Mikołajczyka i tzw. sanacji. Jeśli chodzi o Mikołajczyka, to sprawa jest jasna – i nie sądzę by łatwo było uczuciowe sploty związane z Jałtą i Moskwą tak łatwo przełamać, jak to sobie niektórzy politycy nasi wyobrażają. Jeśli zaś chodzi o „sanację” – to pojęcie to jest dość ustalone: w żadnym wypadku nie jest jednoznaczne z tym co np. Kot i Modelski uważali za sanację; ale jest pewne jądro, pewne nazwiska, które wywołują u wielu wcale nie sztuczne a zupełnie prawdziwe uczucia furii i nienawiści, i to wcale nie wyłącznie w szeregach partii anty-majowych.

Gdybyśmy jakimś cudem wrócili do Polski wyzwolonej nawet jeszcze w r. 1947, to by ośrodek londyński jeśli nie rządził Polską, to przynajmniej przewodził jej narodzinom, poważnie by wpłynął na organizację jej form politycznych. Dzisiaj rozproszkowanie jest tak wielkie, a w dołach taka apatia, że nie byłoby to takie pewne. Gdy do tego dodać absolutną niechęć Anglików do zajmowania się sprawą polską czy w bliższej czy w dalszej przyszłości, trzeba dojść do wniosku, że istotny ośrodek życia polskiego na Zachodzie może powstać tylko w Stanach Zjednoczonych. W pierwszej wojnie światowej – Paryż; w drugiej – Londyn; w trzeciej może być tylko Nowy Jork. Już i teraz Polonia angielska interesuje się bardziej podróżami do Waszyngtonu niż rozgrywkami w Londynie.

Taki jest więc bilans. Jest niewesoły. W ciągu czterech lat naszego na Zachodzie powojennego pobytu nie zdołaliśmy uniemożliwić zasadniczego planu komunistów: zdjęcia sprawy polskiej z porządku dziennego i zerwania więzów narodu polskiego z Zachodem. Bezsilnie się przypatrujemy sowietyzacji Polski, i tak samo bezsilnie wyraźnemu odwróceniu się Anglii od karty polskiej, nie tylko koniunkturalnie na dzisiaj, ale i długofalowo. Sami nie możemy ani potężnych prądów, które grają na rzecz pogrzebania sprawy polskiej na Zachodzie, odwrócić, ani utrzymać tej inteligencji polskiej na wychodźstwie, bez której samo pojęcie emigracji politycznej staje się mrzonką i fikcją. Nie chodzi o wynajdywanie winnych, o rzucanie kamieniem. Ważniejsze jest wyciągnięcie z tych smutnych doświadczeń odpowiedniej nauki. Streszczę ją w jednym zdaniu: naszą przyszłość, naszą działalność, naszą rolę, nasze nadzieje możemy oprzeć tylko o Amerykę. Droga do Warszawy wiedzie nie przez Londyn, a tylko i wyłącznie przez Waszyngton.

Kultura nr 4-5/21-22, 1949

Francja i Polska

Czytając naszą prasę emigracyjną – codzienną *Dziennik Polski*, tygodniową *Wiadomości*, miesięczną *Kulturę* – jestem zdziwiony predominacją artykułów o Rosji i Ukrainie, oraz o komunizmie. Jak wszyscy, widuję dzisiaj moc rodaków z Polski, dawnych znajomych, przyjaciół i krewnych, i moc nowych twarzy, do których nieraz nie potrafię nawet doczepić żadnego nazwiska, dawnych *ci-devants*, jak nazywano „arystokratów” za Rewolucji Francuskiej, i nowe warstwy społeczne, starych i młodych, inteligentów i majstrów, techników lub robotników, rozumnych i niemądrych etc. Wielu dają egzemplarze trzech pism wyżej wymienionych, zresztą tylko, jeżeli sami mnie o to proszą. Reakcje są zawsze te same, jak zresztą i w rozmowach. Nasze emigracyjne opinie o Rosji, o Wschodzie, o Ukrainie, o komunizmie, o ustroju socjalistycznym czy sowieckim, w tym również moje własne poglądy nikogo nie interesują. „Znamy te sprawy grubo lepiej, niż wy, emigranci, słyszę ze wszystkich stron, niczego nam nie możecie powiedzieć, czego byśmy sami nie wiedzieli, i to od lat”. Bardzo wielu Polaków i Polek z Polski zwiedziło w ciągu ostatnich pięciu lat nasze dawne Kresy, Lwów i Żółkiew, Brody i Tarnopol, Łuck i Krzemieniec, ale także dalsze kresy ukraińskie, nie tylko Kijów i Humań, ale także Żytomierz i Berdyczów, Białą Cerkiew i Wierzchownię, nieraz wsie, gdzie się sami urodzili, albo nawet wychowali, poza tym Odessę i dawny Jekatierinosław, teraz zwany Dniepropietrowskiem, Czerkasy i Kaniów, także Rostów nad Donem, Tbilisi-Tyflis, nawet Samarkandę, nie mówiąc oczywiście o Moskwie i Leningradzie. Nie jestem przez moich rozmówców upoważniony do powtarzania ich spostrzeżeń czy

opinii; powiem tylko że wiele z tych opinii wydało mi się dużo ciekawsze od szablonowych zdań, które można usłyszeć od naszych „sowietoznawców”, „rusycystów”, „ukrainofilów” etc. Natomiast ze strony inteligentniejszych rozmówców w kraju byłem nieraz zasypywany pytaniami na temat Zachodu, tego Zachodu, który stanowi cel marzeń, zainteresowań, namiętnej ciekawości ze strony wszystkich, zarówno inteligentów, jak i robotników czy prostaczków, starych czy młodych. Specjaliści będą się pasjonować Wspólnym Rynkiem, wszyscy stopą życiową, ci o żyłce politycznej stosunkiem państw Zachodu do nas i między sobą, szansami zjednoczenia Europy, pozycją i zamożnością Polaków na Zachodzie, ich wpływami, zażyłością ich stosunków z ludami, wśród których przebywają. Jeżeli czymś możemy rodakom w kraju zaimponować to przede wszystkim naszym dobrobytem, dyplomami zachodnimi, sukcesami w administracji czy w technokracji krajów, gdzie mieszkamy, znajomością języków obcych, możliwością pomóżenia rodakom w zainstalowaniu się za granicą, stosunkami z tubylcami. Zainteresowanie „ideologiami” emigracji czy jej sporami politycznymi wydaje mi się równe zeru; kontynuowanie dawno przebrzmiałych sporów z 1905, 1914, 1926, 1939 r. nikogo nie interesuje. Jest wśród Polaków w kraju wielka ignorancja co do Zachodu, która nie może dziwić, po 35-letnim totalnym odcięciu od Zachodu. Zainteresowanie Zachodem jest przede wszystkim polityczne i ekonomiczne, w dużo mniejszym stopniu kulturalne. Sympatii, podziwu, ufności jest najwięcej do USA; kulturalnie jest więcej ciągotek do języka angielskiego i do literatury angielskiej, niż do Francji, wbrew naszej tradycji ostatnich trzystu lat. Znajomość języka angielskiego, aczkolwiek daleka od perfekcji, jest bez porównania większa od znajomości języka francuskiego, która jako tako wygląda tylko w mojej grupie wieku, czyli wśród Matuzalemów. Ale od XVI a może nawet od XV w., nigdy znajomość języków zachodnich nie wyglądała tak fatalnie w Polsce, jak dzisiaj. Po angielskim najbardziej znany jest język niemiecki; co do rosyjskiego, jest on tylko przedmiotem powszechnych złorzeczeń i młodzi przybysze z Polski chcą się, że pomimo obowiązującej nauki tego języka w szkołach, ani słowa po rosyjsku nie umieją i nie rozumieją, i, sam się o tym wielokrotnie przekonałem, to jest święta prawda. Więcej: gdy zdarza się, niesłychanie rzadko, że jakiś młodzieniec z Polski mówi choćby

trochę po rosyjsku, jest on uważany z miejsca przez swych kolegów i towarzyszy z Polski za czarną owcę.

Z myślą o tych przybyszach i gościach z Polski – a Bogu dzięki widzę ich w Paryżu, i nawet we Włoszech, w Hiszpanii, nie mówiąc o Londynie, co roku coraz więcej – spróbuję dać im, na łamach *Wiadomości*, zarys stosunku Francji do Polski i Polaków. Mam po temu pewne dane. Przypadek zrządził, że byłem wychowany na ultra-francuskim sosie, że znam Francję omal od urodzenia, że mówię po francusku bez akcentu, tak że nigdy nie przychodzi do głowy Francuzom, którzy mnie spotykają, a nie znają mego nazwiska, iż mają do czynienia z cudzoziemcem. Ponadto jestem głęboko przywiązany do Francji, do jej języka, do jej kultury, do kraju, do ludzi; nie mam iluzji, ale bez końca więzów, które są mi drogie. I dotąd nie spotkałem Polaka, który by Francję i Francuzów znał lepiej, niż ja. I właśnie dlatego mam odwagę powiedzieć: opinie Polaków o Francji ograniczają się do powierzchownych i beztreściwych frazesów, znajomość języka francuskiego jest skandaliczna (dużo więcej Polaków mówi dzisiaj dobrze po angielsku, niż po francusku), pretensje do Francji są śmieszne, „stawianie na Francję” wynika tylko z totalnej i absolutnej nieznajomości tego wielkiego kraju.



Więc naprzód historia. Stosunki polsko-francuskie zaczynają się przypadkowo z chwilą elekcji Henryka Walezego na króla polskiego. Był to wybór fatalny. Czterej synowie Henryka II i Katarzyny Medycejskiej byli wszyscy degeneratami, żaden z nich nie dożył do czterdziestki. Był to okres kolekcjonowania tronów przez Habsburgów; królowa-matka, faktyczna regentka Francji przez trzydzieści lat, Katarzyna Medycejska, próbowała też kolekcjonować trony dla swych synów; Franciszek II był żonaty z Marią Stuart, od urodzenia królową Szkocji i prawną dziedziczką tronu Anglii; najmłodszy syn Duc d'Anjou, jedyny który nie panował, bo zmarł przed swym bratem Henrykiem III, miał poślubić Elżbietę I, *The Virgin Queen*; dla późniejszego Henryka III wynaleziono elekcyjny tron polski; zresztą, nie zważając na własną dezercję i elekcję Batorego, Henryk III do końca życia tytułował się *Galliae ac Poloniae Rex*. Ta sama

preokupacja dynastyczna skłoniła Annę austriacką i kardynała Mazarin, by wtrynić Marię Ludwikę Gonzaga, z linii Nevers, Władysławowi IV, bo bali się iż ręka dużo godniejszej kandydatki, *la Grande Mademoiselle*, może podniecić jej ojca, Gastona Orleańskiego, do dalszych intryg o zdobycie tronu francuskiego dla siebie. Tą polityką dynastyczną tłumaczyć należy kandydatury Kondeusza i „Wielkiego Conti” na tron Polski, przeciw Korybutowi i Sasowi, Augustowi II. Przełomowym momentem były zaślubiny Ludwika XV z Marią Leszczyńską 17 maja 1724, w kaplicy pałacowej w Fontainebleau: nigdy nie było większego mezaliansu na dworze francuskim, nigdy żadna Polka nie zrobiła równie olśniewającej „partii”. Czym były wówczas wszystkie dwory świata wobec splendorów Wersalu? Czym byli wszyscy „epuzery” globu wobec 14-letniego Ludwika XV? Oto polska szlachcianka, nawet nie z magnaterii, bez tronu, bez ojczyzny, bez grosza, brzydka, nudna, prowincjonalna, obejmuje koronę, którą przed nią i po niej nosiły same Habsburżanki! Iluż z nas sądzi że Mickiewicz był najważniejszym więzem między Polską a Francją? Mickiewicz o którym 99% Francuzów nigdy nie słyszało, a 100% nigdy nie czytało! A tymczasem po dziś dzień każdy sztubak francuski, który nie potrafi wybełkotać na maturze, czyli *baccalauréat*, że Ludwik XV poślubił „Marie Lekzëska” dostaje pałkę z historii Francji, i musi repetować cały rok! I gdy Francuz, uradowany że może popisać się swoją erudycją i znajomością języka polskiego, wyjeżdża z tą „Marie Lekzëska”, kraśniejac z dumy ze swego wybornego polskiego akcentu, iluż Polaków, a jeszcze bardziej Polek, go poucza że to nie „Lekzëska”, ale „Leszczyńska”; efekt zawsze odwrotny od zamierzonego.

Potem były Legiony i braterstwo broni, potem był książę Józef, który po Marii Leszczyńskiej jest najsilniejszym ogniwem w łańcuchu kontaktów polsko-francuskich, potem jest Wielka Emigracja, o której Francuzi nic nie wiedzą, jak zresztą o wszystkich niezliczonych emigracjach na ich ziemi, potem okropny „Pałę Paryż”, Jarosław Dąbrowski, o którym dzisiaj na szczęście Francuzi zapomnieli (nie należy im nigdy tych „komunardów” polskich przypominać), potem rok 1918, który nie spełnił pokładanych w nim francusko-polskich nadziei, potem rok 1939, który zrodził nie braterstwo broni, ale same kwasy, i potem jest dzisiejsza szarzyzna. Dlaczego szarzyzna? Właśnie o tym chcę pisać.

Od czasu podziału cesarstwa Karola Wielkiego w Verdun w r. 843 władcy Francji walczą o swoje miejsce w „Klubie Wielkich Mocarstw”, w którym są członkiem-założycielem. Nie jest to łatwe: Francja jest równie osłabiona walkami feudalnymi, co Polska dzielnicowa; po kolei ugina się pod najazdami Arabów, Normanów, Anglików, Germanów, Katalończyków, Flamandów; Burgundzi, Albigensi rozsadzają ją od wewnątrz; wojny religijne w XVI w. są bardziej zaciekle, niż Wojna Trzydziestoletnia w Niemczech. Po utracie niepodległości, z natury rzeczy zastąpiliśmy pojęcie państwowości pojęciem narodu; myślimy raczej o Niemcach, Rosjanach, Francuzach, niż o Niemczech, Rosji, Francji; stawiamy znak równości między narodami, które państwa nie miały i nie mają, a narodami o tradycjach państwowych, jak Rosja. Odwrotnie Francuzi. W r. 1925 spotkałem starego nauczyciela w Strasburgu; był mocno szpakowaty, miał kozią bródkę i binokle, i mówił, jakby to było całkiem naturalne: „*Byłem Niemcem, teraz jestem Francuzem, j'étais Allemand, maintenant je suis Français, je n'y peux rien!*” Byłem zdziwiony. Francuzi są zdziwieni, gdy słyszą o sprawach mniejszościowych. U siebie nie rozumieją autonomistów Bretanii czy Korsyki. Dziwoląg Ulsteru nie budzi u nich sympatii ani dla jednej, ani dla drugiej strony. Nawet ci Francuzi, którzy ze względów doktrynalnych nienawidzą rządów gen. Franco i rozciągają tę antypatię na całą obecną Hiszpanię, nie rozumieją o co chodzi Baskom. My myślimy o narodach, Francuzi zawsze myślą o państwach. Te dwa pojęcia są rozdzielone w ich umysłach. Widzimy to jaskrawo także w stosunku do Izraela. Bardzo filosemicki, a w każdym razie wojowniczo usposobiony wobec wszelkiego rasizmu, paryski *Le Monde* jest nieubłaganie anty-Izrael, antysyjonistyczny, i jaskrawo stawia na Arabów, bo wierzy że świat arabski może wejść w orbitę wpływów państwa francuskiego, które w ten sposób może opanować cały basen Morza Śródziemnego, i wówczas pokusić się o pierwsze miejsce i w Afryce, i na Bliskim Wschodzie, i nawet w Europie.

Więzy polsko-francuskie opierały się w pierwszym rządzie na katolicyzmie. Francja była, i chciała być, *la Fille ainée de l'Eglise*, pierwszym mocarstwem katolickim świata, i uważała państwa katolickie na całym świecie za swoich naturalnych satelitów, trochę tak, jak dzisiaj Rosja patrzy na państwa komunistyczne. Drugim więzłem był ustrój arystokratyczno-szlachecki; polski

snobizm i polska kastowość znajdowały zawsze pożywkę i podatny grunt nad Sekwaną, a język francuski odgrywał w Polsce przez trzysta lat tę samą rolę, którą *Oxford accent* odgrywa w życiu Anglii. Polska frankofonia była głównym zyskiem, który Francja wyciągała ze swych stosunków z Polską; dyplomatycznie przyjaźń polsko-francuska nigdy się Francji nie rentowała, i kolejne rządy Francji oraz dyplomacja francuska zawsze zdawały sobie i zdają sobie z tego sprawę. Wreszcie było braterstwo broni, silne za czasów napoleońskich, więcej, niż słabe w XX wieku.

To wszystko się teraz zmieniło. Antyklerykalizm, prawdziwa wojna religijna, którą Francja przeżyła za III-ej Republiki, się skończył, ale skończyły się również wpływy Kościoła, a nawet deizm. Formy są zachowane: 90% Francuzów jest nadal ochrzczonych w świątyniach katolickich, około 85% Francuzów bierze śluby w świątyniach katolickich, blisko tyleż jest pochowanych z udziałem kapłanów katolickich. Ale tylko 33% ludności chodzi w niedzielę do Kościoła, jeszcze mniej regularnie przystępuje do sakramentów. Co gorsza, Francja przeżywa dzisiaj głęboki kryzys w szeregach duchowieństwa. Powołań kapłańskich jest coraz mniej, Kościołowi we Francji grozi ciągle schizma, apostazji jest coraz więcej. Radykalizacja duchowieństwa francuskiego jest nie do wiary; ogromna część kleru rywalizuje z „gauchistami” w demagogii poglądów politycznych. W oczach b. wielu nie to kapłanów, ale i biskupów francuskich, Kościół w Polsce reprezentuje najgorsze cechy kontrreformacyjnego Kościoła i jest im omal równie antypatyczny, co Kościół w Hiszpanii. Zawsze był duży dystans między przeintelektualizowanym Kościołem we Francji, a tradycyjnym i liturgicznym Kościołem w Polsce, ale dzisiaj jest ten rozdział większy niż kiedykolwiek; obawiam się, że gdyby dzisiaj misjonarze francuscy mieli przybywać do Polski w większych ilościach, to by bardzo szybko doszło do konfliktów między nimi, a naszym Episkopatem i w ogóle duchowieństwem; dużo bliżsi polskiemu duchowieństwu są dzisiaj kapłani niemieccy, włoscy, angielscy, niż francuscy.

Druga więź polsko-francuska, magnateria, szlachta, zamarzy tak samo. Wzrósł snobizm, nieskończone ilości rodzin mieszczańskich przypinają sobie *particules* („de”) i tytuły bez cienia podstaw, tak samo, jak w Polsce pomnożyła się mania noszenia sygnetów. Ale klasa rządząca rekrutuje się z burżuazji, choćby obdarzającej

siebie zmyślonymi tytułami, z technokratów, z wychowanków *grandes écoles*, i te klasy nie znajdują swych odpowiedników w Polsce. Tu może nastąpić w ciągu dwudziestu czy trzydziestu lat pewna poprawa. O ile polscy prawnicy, ekonomiści, politycy, pisarze, filozofowie, „intelektualiści” nie cieszą się żadnym wzięciem we Francji, wręcz przeciwnie, o tyle polski technik, inżynier, majster, robotnik jest coraz bardziej ceniony, jako sumienny, skromny, fachowy pracownik, nie na czołowym, ale na drugorzędym stanowisku. Na razie jedyną dziedziną, w której Polacy triumfują dzisiaj we Francji, jest sport: kolarz Staliński jest, po długiej karierze kolarza, dyrektorem „Tour de France”; Kopa (Kopaczewski) jest już zamożnym emerytem-hotelarzem, ale jego wyczyny na meczach piłki nożnej są dotąd w pamięci całej Francji; Guy Drut (tak się nazywa) ma być czystej krwi Polakiem, choć urodził się we Francji, i choć nie mówi słowa po polsku; jest to najnowsza gwiazda francuskiej lekkoatletyki; Jarzy ma paszport na nazwisko Jarzyński i też był laureatem lekkoatletyki; jest też wielu innych. By zacieśnić współpracę gospodarczą i techniczną między Polską a Francją trzeba by koniecznie nowego dopływu Polaków z Polski, i to właśnie fachowców, a nie „inteligencji”, „inteligentów”, „intelektualistów”, „artystów”, a już tym bardziej „marksistów” i agitatorów, których nie tylko Francuzi, ale i partie lewicowe mają dosyć; nawet u ortodoksyjnych komunistów pana Marchais, nie mówiąc o innych „gauchistach”, czy „socjalistach”, tendencja do wyzbycia się wszystkich wschodnioeuropejskich mentorów i matadorów jest bardzo wyraźna.

Trzecia więź, braterstwo broni, jest też w stanie pełnej dekadencji. Przebieg i polskiej, i francuskiej kampanii był tak krótki i tak niefortunny, że w sercach uczestników nie pozostawił nic, prócz dąsów i pretensji, i to po obu stronach. Wygadywanie ze strony naszych wojskowych na Francję w Anglii w r. 1940 nic nam nie pomogło, a i po wojnie, często lekceważący stosunek do IV-ej Republiki w niczym nie poprawił stosunków polsko-francuskich. Prawda, Polacy z reguły odnieśli się bardzo ciepło do gen. de Gaulle’a i do gaullizmu. Ale de Gaulle nigdy nie był zbyt popularny we francuskim korpusie oficerskim, i dotąd nie jest. Sztab francuski na pewno nie był wysokiego zdania o wartości wojska polskiego w r. 1939, i ani przedtem, ani potem; nic nie wskazuje, by w jego rachunku sił przypisywano Polsce dzisiaj większe znaczenie. Podobnież

zawodowa dyplomacja francuska nie jest jaskrawo pro-polska; Couve de Murville zawsze wyraźnie hamował wszelkie propolskie czy w ogóle prowschodnioeuropejskie pomysły de Gaulle'a; a i dzisiaj się to mało zmieniło, choć oczywiście Gierek jest notowany w Paryżu nieskończenie poważniej, niż był kiedykolwiek notowany pół-inteligent Gomułka, nie mówiąc o agencie Berii, Bierucie. Ale w tym punkcie dochodzimy do sedna sprawy: do stosunku Francji do Wschodniej Europy.

Z wyjątkiem Napoleona, który nie miał ani jednej kropelki krwi francuskiej w żyłach (czy miał krew grecką, obok włoskiej, jak twierdzą niektórzy?), Francuzi nigdy nie tylko nie marzyli, ale nie myśleli o panowaniu nad światem, ani nawet nad Europą. Szczytem marzeń tego w gruncie rzeczy bardzo rozsądnego i realistycznego, praktycznego narodu, było Imperium Zachodnie, czyli Zachodnia Europa, plus basen Morza Śródziemnego. Tak jak Rzymian, których Francuzi są, dużo bardziej niż Włosi, kontynuacją, ziemie na wschód i północ od lasu Teutoburskiego (Westfalia), Menu (Hesja), Dunaju ich nie interesują. Mieli okazję zainstalowania się na dobre w Szkocji za Marii z Gwizjuszów i za jej córki Marii Stuart, i sami tego nie chcieli, zrobili co mogli, by się ze Szkocji wynieść, było im tam za zimno. W gruncie rzeczy to oni się Anglików wyrzekli, bo przecie Plantageneci marzyli tylko o tym, by się na stałe ulokować w Paryżu, albo przynajmniej w Rouen, lub Angers, lub choćby w Bordeaux, a Francuzi ich stale wypędzali. Poza brzegami Morza Śródziemnego, i to właśnie do granic Imperium Rzymskiego, kolonie nigdy Francuzów nie pociągały; zrezygnowali z Kanady z radością, sprzedali Luizjanę i dolinę Mississipi za grosze, puścili kantem Indie, i w rezultacie Hiszpania, Anglia, nawet malusieńka Holandia albo Portugalia stworzyły dużo większe imperia kolonialne, niż Francuzi. Nawet w tej Europie śródziemnomorskiej, o tyle im bliższej od wschodniej, palcem nie ruszyli, by ratować królestwa i księstwa francuskie na Peloponezie, ani na Cyprze etc.: ostatni Lusignan, król Cypru, Francuz najautentyczniejszy, Cypr zapisał Wenecji i swej żonie, córce doży, Catarine Corner, a nie królowi Francji, który był jego kuzynem. Wymierająca dzisiaj generacja Polaków sprzed r. 1914, z zaboru rosyjskiego, wciąż się upiera że za czasów aliansu francusko-rosyjskiego Francja kochała Rosję, była pod wrażeniem i czarem Rosji, kultury rosyjskiej etc. Wszystko nonsensy. Francuzi mają gotowy arsenał frazesów dla

każdego narodu czy państwa, które w danej chwili wydają im się potrzebne czy korzystne dla ich gry dyplomatycznej: *le jeu* to jest oficjalny termin francuski dla dyplomacji. Od końca XVIII w. Francuzi uznali Rosję za mocarstwo, ale cienia sympatii czy uznania dla Rosji nigdy nie mieli; zawsze ją uważali za kraj barbarzyński, który najchętniej by widzieli zatopiony przez morze. Znałem Polaków, i to „polityków”, którzy wywodzili że Francja dotąd jest wdzięczna Rosji za jej akcję w Prusach Wschodnich w r. 1914; nie ma jednego Francuza na milion, który by o tym słyszał; natomiast każdy Francuz wie że Aleksander I oszukał Napoleona w Tylży, że Rosja zawarła w „Brest-Litowsk” pokój separatystyczny z Niemcami, zadając Francji najgorszy cios w plecy, że w r. 1939 Rosja znowu wywiodła Francuzów w pole, zachęcając ich do wojny z Hitlerem i zawierając z nim traktat przymierza i przyjaźni. Nie ma Francuza, który by nie wiedział że Rosja okradła Francję na 45 miliardów fr. złotych, wycyganionych przed wojną; dzięki temu łupiestwu Francja stała się dużo biedniejsza od Anglii; „odszkodowania” francuskie dla Rzeszy po klęsce r. 1870, 5 miliardów fr. zł., to był *chicken-feed* w porównaniu z rozbojem i złodziejstwem Rosji, która wyciągnęła dziewięć razy więcej od oszczędnych Francuzów. Kiedyś rozmawiałem z *duchesse de Montmorency* o pewnej babie, która się podawała za polską hrabinę; i ta powiedziała: *C'est peut-être une princesse russe, mais ce n'est sûrement pas une Polonaise; j'en ai connu beaucoup, aucune ne pourrait être aussi vulgaire!**

Oczywiście nikt z Francuzów nigdy nie brał i nie może brać pretensji polskiej à la „endecy”, czy à la Beck do „różności” z Francją na serio. Francuzi, a już tym bardziej dyplomaci francuscy wszystkich epok i wszystkich tendencji uważają, że robią nam szalone fawory, zauważając nas w tej miądzie barbarzyńców, która, ich zdaniem, zamieszkuje Wschodnią Europę. Kto i kiedy we Francji zainteresował się Węgrami? Nigdy nikt. Czechosłowacja miała pewną popularność na lewicy francuskiej, bo Benes był namiętym masonem, a masoneria była ekspozyturą, była „Kominternem” Francji z III Republiki na zagranicę (stąd Francuzi woleli sto razy Zaleskiego i Sikorskiego od endecji); ale nawet wierność Benesza „Wdowie” nie przeszkodziła panom

* „To może rosyjska księżniczka, na pewno nie Polka, znałam wiele Polek, żadna nie była tak wulgarna”.

Daladier i Léger, choć obu masonom największej obediencji, sprzedać Czechosłowacji Hitlerowi bez chwili wahania. To samo zrobił Debré, choć niby to nacjonalista, po inwazji Czechosłowacji przez Rosję; nazwał tę całą sprawę *un incident de parcours*, i to publicznie, puścił Dubczeka jak zgniłe jajko, i cała lewica francuska poparła go ze wszystkich sił. Dla Rumunii Francuzi mają trochę sympatii, bo to jest jednak kraj łaciński, ale kto z Francuzów będzie „gwarantował” Rumunii Besarabię albo Siedmiogród? No, nie bądźmy dziećmi!! Kiedy Francja zainteresowała się losem Jugosławii? Była zawsze równie obojętna wobec Aleksandra I co wobec Tito, co nie przeszkadza, że koło Pół Elizejskich znajduje się avenue Pierre I de Serbie, tak samo jak się znajduje Avenue Franklin Roosevelt; kto z Francuzów na te drobiazgi zwracałby uwagę? Podziwiam Francuzów, ich talenty, ich inteligencję, ale gadanie o ich „przekonaniach” czy „idealizmie” uważam za ostatnie bzdury. Wycieńczona, wykrwawiona, wynędzniała Francja r. 1918 nie miała sił, by komukolwiek narzucić swą wolę, była *une épave*, rozbitkiem, wrakiem, i tolerowała bezradnie wszystkie polskie pretensje; dzisiaj się to nie powtórzy. Nie ma i nie może być rządu w Paryżu bardziej Polsce przyjaznego, niż rząd Giscard-Poniatowski; rząd ten doskonale wie, że Polska jest wasalem Rosji i że Gierek musi tańczyć, jak Moskale mu każą; ale jednak, nawet w tej sytuacji, powiadają oni Polakom, by dali spokój wszelkim „drakom” z Niemcami, bo w tym wypadku Francja musi stanąć po stronie Niemiec, bo bez intymności francusko-niemieckiej nie może być żadnej Europy, a więc żadnego mocarstwa w Europie, a także, by nigdy nie poruszali sprawy Ukrainy, bo chcą Rosję zneutralizować, a nie szukać wojny stuletniej. Francuzi byli najgorszego zdania o Becku i Łukasiewiczu, ale ich znosili, przez apatię, przez gnuśność; jeżeli kiedyś Polska odzyska niepodległość, nigdy nie będą znosić polskiej agitacji antyniemieckiej z jednej strony, proukraińskiej z drugiej strony. Co do tego niech nikt nie robi sobie iluzji. Nie chcę wdawać się w dyskusję, kto ma rację, czy ma rację, itd. Stwierdzam niezbite fakty. Na wschodzie Europy, tak zlekceważonym, obojętnym Francuzom, jest tylko jeden naród, który ma pozycję większą niż Polacy w sercach Francuzów: to oczywiście nie Rosjanie, nie Czesi, nie mówiąc o Ukraińcach, ani też nie Jugosłowianie ani Szwedzi (choć byli aliantami Francji w wojnie 30-letniej), ani Turcy, ale G r e c y. Francuzi są

wychowani na kulturze klasycznej, i hellenistów we Francji jest dużo, i mają ci helleniści grubo większe wpływy, niż u nas Dr Ignacy Wieniewski. A jednak, w sprawie Cypru, po pierwszej chwili zgrozy i oburzenia na ten gwałt zadany wyspie Afrodyty, Francuzi powiedzieli Grekom: „Trudno, zróbcie jakiś kompromis z tymi ohydnyymi barbarzyńcami tureckimi! Nie będziemy wojować z tą hordą turecką w waszej obronie”. Czyż tego samego nie mówi Dr Kissinger Izraelowi? „Całym sercem jestem z Wami, ale naród amerykański nie chce wojny z Arabami”. Cynizm? Ale czym jest *Real-Politik*, jak nie cynizmem?

Koncert mocarstw musi być oparty na kalkulacji sił, a więc ze swej istoty musi służyć interesom możnych i silnych, czyli Wielkich Mocarstw, które regulują i będą zawsze regulować swoje interesy kosztem słabszych. Nawet wielkie mocarstwa muszą prowadzić politykę ostrożną, tak by nie przesadzić, by się nie wyizolować, by nie przeciągnąć struny, by swoim nadmiernym apetytem nie przyłożyć ręki do stworzenia koalicji przeciw sobie. Weźmy największe sukcesy naszych czasów – Napoleona i Hitlera. Obaj w końcu przesadzili swe siły i swe możliwości i to źle się dla nich skończyło. Ameryka w porę wycofała się z Azji, gdzie wyraźnie przeliczyła się co do własnych sił; dokłada obecnie wszystkich wysiłków, by się nie przeliczyć z Arabami, jak niedawno przeliczyła się z Wietnamem. Rosja stale biegnie po linie, ale trzeba to jej przyznać, ma trzy ingrediencje wielkomocarstwowości, mianowicie, obok doskonałych sił zbrojnych i najlepszej na świecie policji (gdy chodzi o trzymanie za buzię), także wyborną trzeźwą politykę zagraniczną, zawsze gotową do skubania słabych, zawsze skłoną do liczenia się z silnym. „Dyplomacja”, to jest w gruncie rzeczy Izba Notarialna; rejestruje wartości sił zbrojnych, zbrojeń, sztabów i sztabowców, ustrojów, policji, i dzisiaj, *crescendo*, sił ekonomicznych. Ten prymat sił ekonomicznych, ta waga elementów pokoju socjalnego, te kwestie stopy życiowej, to wszystko stanowi istotne *novum* współczesnej dyplomacji w porównaniu z XIX-wieczną, która trwała do r. 1939. Na tej klasycznej dyplomacji opartej w gruncie rzeczy na Machiavellim i równowadze sił, słabsi zarabiali tylko fuksem, i zwykle tylko na krótko; największe zyski z tej gry, z tego *jeu*, wyciągnęli Anglicy i Rosjanie, których znaczenie stało się w XX w. zupełnie niewspółmierne z ich istotnymi siłami. Wojna, siły zbrojne, ilość żołnierza były głównymi narzędziami rangi mocarstw.

Wyjątek stanowiły państwa neutralistyczne, które nie zaważały nikomu; o sukcesach pod tym względem Szwajcarii i Skandynawii zdecydowało głównie ich położenie geograficzne; jeżeli chodzi o Niderlandy, czyli Belgię i Holandię, to zasadniczą rolę odegrała w ich neutralizacji Anglia. Ale Turcja leciała w dół, Austria leciała w dół, Hiszpania leciała w dół, państewka bałkańskie odniosły tylko pyrrusowe zwycięstwa. Pomimo odmienności pozorów, polityka zarówno Polski, jak i „Małej Ententy” doprowadziła do identycznych rezultatów; naprzód do podboju przez Niemcy, potem do zwasalizowania przez Rosję. Nie mogło być inaczej: ręka samej Francji dla decyzji co do przyszłości Europy Wschodniej okazała się za krótka i w r. 1734, kiedy to, pomimo swoich naprawdę najlepszych chęci, dużo gorętszych niż Napoleona, najbardziej propolski władca Francji, Ludwik XV, nie potrafił zainstalować swego teścia z powrotem na tronie w Warszawie, i w r. 1812, kiedy wyprawa Wielkiej Armii na Rosję skończyła się klęską, i nawet w r. 1854, kiedy i Anglia i Francja razem okazały się za słabe, by rosyjski, a więc barbarzyński i nieludzki porządek w Europie Wschodniej obalić. „O roku ów!” – to był rok 1854, nie 1812! Ale zabrakło Austrii, czyli Europy Środkowej! Wojna r. 1914 nic by Polsce nie pomogła, gdyby Niemcy nie pokonały złowrogiej siły caratu, czyli odwiecznej i wiecznej Rosji, azjatyckiej, imperialistycznej i tyrańskiej. W porównaniu z klasyczną dyplomacją XIX w., na której wychowali się i nasi historycy, i nasi zawodowi dyplomaci, zaszła już jedna fundamentalna zmiana, a w trakcie jest druga. Pierwsza polega na tym, że siły gospodarcze stają się ważniejsze od sił wojskowych, a więc tym bardziej od dyplomacji, od rozmów, rokowań, układów, przymierzy, traktatów. Ameryka nie miała *de facto* żadnej polityki zagranicznej przed r. 1914, prawie żadnej do r. 1939, bardzo chwiejną i niedołączną po r. 1945. A jednak siły gospodarcze Ameryki okazały się tak olbrzymie, że wyrosła ona, mimo szalonych błędów kolejnych prezydentów i kolejnych sekretarzy stanu, na pierwszą, niekwestionowaną potęgę światową. W mniejszym stopniu, ale też bardzo wielkim, można to samo powiedzieć o NRF i Japonii; ostatnio widzimy także wzrost znaczenia i wpływów Francji, dużo bardziej związany z jej sukcesami ekonomicznymi, niż z jej babcikiem dyplomatycznym. Także Arabowie: nacisk naftowy dał im dużo więcej sukcesów, niż wyprawy wojenne, niż terror arabskich „kamikadze”. Bogu dzięki,

talenty gospodarcze, przemysłowe, kupieckie, rolnicze, techniczne Rosji są równe zeru, i po stokroć rację ma nasz najlepszy „sowieciolog”, Tadeusz Norwid ze Stockholmu, gdy raz po raz wywodzi na łamach *Dziennika Polskiego* (szkoda że tak rzadko) iż piętą achillesową Rosji jest jej zacofana gospodarka. Norwid podobnie trafnie zwraca uwagę, że nowe pokolenie techników i technokratów sowieckich żąda wyższej stopy życiowej, niż ich ojcowie, i że dzisiaj Kreml musi się z tymi aspiracjami liczyć. To samo obserwujemy w Polsce i w innych krajach satelickich; to samo widzimy również w bardziej zaawansowanych, względnie mniej zacofanych krajach arabskich, specjalnie w Egipcie, i ten moment także działa hamująco na wrzaski egipskich nacjonalistów. Masy dotąd nie wierzyły iż bez przewrotu mogą zaznać polepszenia swej doli: przykłady NRF, Japonii, Francji, Hiszpanii, Włoch etc. przekonywują nawet najbardziej ciemnych prostaczków, że bez rewolucji może nastąpić duża poprawa stopy życiowej i że marksieści bynajmniej nie są jedynymi posiadaczami wytrycha do *prosperity*. Opór olbrzymiej większości narodu portugalskiego przeciw komunizacji, narzucanej przez komunizujących oficerów, ma podłoże nie tylko ideologiczne, ale także obrony własnych małych zasobów, własnej stopy życiowej, własnej starości. Gdy chłopu dano kawałek ziemi na własność, zrobiono z niego konserwatystę. To samo będzie z robotnikiem. Nikt nie utrzyma reżimu Onassisów i Niarchosów, Rotszyldów i szejków naftowych. Ale „kapitalizm”, oparty o szanowanie oszczędności małego człowieka, warstw średnich, ludzi skromnych, pragnących i mogących oszczędzać i rozsądnie lokować swe oszczędności, brzydzących się spekulacją i hochsztaplerką – taki „kapitalizm” ma nadal ogromną przyszłość.

A druga różnica kształtuje się na naszych oczach. Chodzi o przejście od rywalizacji, podejrzeń, zazdrości, podstawiania nogi do współpracy, do unii, do Federacji kontynentalnych. Widzimy, ile Arabom dała ich jedność na razie tylko naftowa; bez szantażu naftowego Arabowie byłiby wciąż równie lekceważeni, co Amin z Ugandy i Ahmed, władca Bangladeszu po wymordowaniu Mujiba wraz z całą rodziną. W naszych oczach powstaje Europa. Powstaje ona nie dlatego, że Giscard d'Estaing i Schmidt podjęli żagiew de Gaulle'a i Adenauera, ale dlatego, że wszyscy Europejczycy, nawet Anglicy, zaczynają rozumieć iż żadnego innego wyjścia nie ma, i być nie może. Jak można uratować dobrobyt Europejczyków

na malutkim półwyspie, przeludnionym i pozbawionym właściwie wszelkich surowców? Tylko wspólnym wysiłkiem. Jak można dać każdemu z tych krajów walutę godną tej nazwy, a więc którą można handlować, inwestować, w której można oszczędzać i odkładać? Tylko wspólnym wysiłkiem. Jak można zabezpieczyć godność ludzką i jakie takie poszanowanie prawa i wolności na tak zagrożonym terytorium? Tylko wspólnym wysiłkiem. Jak można odwieść barbarzyńskich i zuchwałych sąsiadów na Wschodzie i na Południu od najazdów i podbojów? Tylko wspólną obroną.

Wierzę najgłębiej, że do zjednoczenia Europy dojdzie, bo dojść musi. Nie obejmuje ona w żadnym wypadku mocarstw pozaeuropejskich, Rosji, Turcji, Arabów, bo wówczas żadnej Europy by nie było; po prostu nasz półwysep stałby się kolonią Rosji i Arabów, może także Chińczyków i Murzynów, Japończyków i Hindusów. Ta Europa musi mieć dyktando, choć formalnie jej członkowie powinni być równi, jak kantony szwajcarskie. Myśl dyktanda europejskiego kiełkuje już od dawna; pierwszą jej edycją był Pakt Czterech Mocarstw, przeciw któremu tak walczył Beck; wszystko co wskórał to to, że zamiast Włoch mamy w nim dzisiaj Rosję. Obyż ten dyktando obejmował znowuż Francję, Niemcy, Anglię i Włochy; ale na razie jest rzeczą jasną, że tylko Francja i NRF będą spełniać te funkcje. Dla Polski, tak samo jak dla wszystkich lenników Rosji, zwanych satelitami, powstanie Europy jest jedyną deską ratunku. W koncercie mocarstw będziemy zawsze przegrywać i zawsze znajdziemy się w sytuacji bez wyjścia, tak jak w r. 1939. Z niewoli rosyjskiej, okropnej, ponizającej, azjatyckiej, tylko zjednoczony Zachód może nas wyrwać, i później przed tą potworną recydywą bronić. Póki nie ma Europy, póty mamy tylko dwie alternatywy: zostać satelitą Rosji albo Niemiec, albo paść ofiarą rozbiorów, bo własnymi siłami nie możemy obu tym sąsiadom się oprzeć. A gdy będzie Europa, będzie wreszcie trzecia alternatywa, jedyna zbawienna i promienna: będziemy mogli stać się satelitą Zjednoczonej Europy, tak jak dzisiaj kraje Beneluxu są od blisko dwudziestu lat satelitami Wspólnego Rynku, z największą dla siebie korzyścią. Polacy w kraju marzą tylko o tej ewentualności; podobnie marzą o tym także inni satelici, może z wyjątkiem Bułgarii, ale ta się nie liczy. Marzy o tym Hiszpania, marzy o tym Grecja, marzy o tym nieszczęsna Portugalia, marzy o tym Austria, myśli o tym nawet szczęśliwa Szwajcaria oraz zadowolone

i pokojowe Szwecja i Norwegia. Ale trzeba sobie z góry powiedzieć, że dołączenie do Europy wymaga nie tylko rezygnacji Rosji ze swojej „sfery wpływów”, wymagać będzie także z naszej strony dostosowania się do Europy w polityce zagranicznej (rezygnacji z własnych pomysłów i urazów, tym bardziej intryg), w polityce wewnętrznej, w ustroju, w polityce gospodarczej. Europa nie ścierpi na swych kresach tęsknot do „silnych rządów”, czy do faszyzmu, czy do anarchii, czy do komunizmu. Europa nie zechce u siebie ani porachunków, ani bujania w obłokach.

Psychologicznie, gdy chodzi o stosunek do wielkich państw europejskich, najbardziej normalny jest nasz stosunek do Anglii. Wiemy, że kwestia polska nie znajduje się w centrum zainteresowań ani rządu brytyjskiego, ani społeczeństwa angielskiego. Wiemy, że o „aliansie” polsko-angielskim, nawet zakładając, iż przymierza dwustronne, a nie blokowe, jak NATO, są dzisiaj w ogóle możliwe, nie ma i nie może być mowy. Zdajemy sobie sprawę, że „wpływ” Polski czy Polaków na politykę zagraniczną Wielkiej Brytanii jest niemożliwy. Wszyscy rozumiemy, że region naszego kraju znajduje się na dalszym miejscu w troskach brytyjskich, daleko poza resztkami Imperium, daleko poza *English-speaking Nations*, poza Zachodnią Europą. Pogodziliśmy się z faktem, zawsze dla nas przykrym, iż w naszym regionie stosunek Anglii do Polski będzie zawsze wypadkową jej stosunków z Niemcami i z Rosją, i że jej stosunki z tymi dwoma mocarstwami, dobre czy złe, będą także decydować o stosunku Anglii do Polski. Instynktownie pojęliśmy, iż musimy być ostrożni i taktowni w stosunku do Anglików: nie żyjemy zbyt wielką iluzji ani co do naszej popularności, ani co do naszych możliwości. Nie wpadamy w przesadę, w krzyki, w wymyślania, i tak samo nie robimy sobie zbyt wielkich nadziei. Zawsze uważałem Stanisława Mackiewicza za b. wielkiego publicystę i pióro, ale jego „Londyniszczę” nie miało cienia sensu. Tak samo olbrzymia większość naszej emigracji wie dobrze, że wygadywanie na Churchilla, Edena itd. za Jaltę miało się z jakimkolwiek rozsądnym celem: Anglicy się po prostu przeliczyli co do własnych sił, co do sił Polski, co do złowrogiej roli Rosji. Rozumiemy również, że do r. 1939 decydującą rolę w stosunkach polsko-angielskich odgrywały Foreign Office i nasz MSZ, a w pierwszym rządzie nasi ambasadorzy w Londynie. Chwała Bogu, że obaj ostatni, Skirmunt i Raczyński, byli znakomici; dzisiaj, wobec całkowitej

zależności rządu w Warszawie od Rosji, tę rolę ambasady polskiej w Londynie przejęła c a ł o ś ć naszej emigracji, i z tego zadania wywiązuje się dużo lepiej, niż nasza emigracja we Francji. Unikamy wszystkich głupstw i wyskoków; zachowując dbałość o nasz kraj, nie sprzeniewierzając się naszym ideałom czy poglądom, konserwatywnym lub lewicowym, zachowujemy konieczny umiar i wstrzeźliwość wobec konfliktów partyjnych w samej Anglii; nie deifikujemy nikogo, nikogo też nie atakujemy złośliwie; tylko w sprawie Europy, która jest naszą, Polaków, taką samą „własnością”, jak Anglików, wypowiadamy się jasno i bez ogródek; w kwestii Ulsteru, Gibraltaru, Amin Dada, Rodezji, kładziemy tłumik na nasze osobiste i narodowe opinie, ograniczając się do informowania o tych sprawach. Nie zabieramy też głosu w sprawach drażliwych, jak posła Stonehouse, jak w kwestii konfliktu Izraela z Arabami, choć tutaj z natury rzeczy nasze interesy, jak i nasze sentymenty są, podobnie jak w kwestii Ulsteru, po jednej, a nie po obu stronach, ale wiemy iż musi nas obowiązywać rezerwa. W stosunku do Anglików nie narzucamy się im, nie bawimy się w ich krytykowanie, jesteśmy dyskretni, cisi, skromni, taktowni, i to nam, a także Polsce, szalenie się opłaca. Szanujemy Anglików, widzimy ich wielkie zalety i cnoty, jesteśmy lojalni. Z radością konstatujemy, iż stosunek Anglików do Polaków i Polski, specjalnie u konserwatystów, zmienił się radykalnie. Z „dzikoludu” bałkańskiego staliśmy się w oczach przeciętnego Anglika stuprocentowymi Europejczykami, nie gorszymi od Niemców, a nieskończenie lepszymi od Rosjan, Turków, Maltańczyków i innych lewentyńskich ludów. Anglia nie postawi na kartę swego *survival*, by nas ratować, ale, jeżeli będzie mogła coś zrobić, by nam pomóc, by zabezpieczyć nasz byt, naszą niepodległość, choć nie nasze mrzonki wielkomocarstwowe, jak np. Ukrainę, to chętnie to zrobi. Po trochu stosunek Anglii do Polski może stać się równie pozytywny, co do np. Danii. Nie sądzę, by antypolska propaganda, np. Rosjan czy innych ludów, mogła nam dzisiaj, a także jutro, poważnie na terenie Anglii zaszkodzić. Obowiązuje nas odwrotność; my także nie możemy się bawić na terenie Anglii w propagandę anty-ci, czy anty-tamci, a przede wszystkim w propagandę czy to antyfrancuską, czy antyniemiecką.

Jeżeli chodzi o nasze stosunki z Niemcami, to osobiście uważam iż póki żyje i rządzi pokolenie, które pamięta okupację niemiecką, póty maksimum czego można oczekiwać, to *modus vivendi*, to nor-

malizacja. Widzę olbrzymią przepaść psychologiczną w stosunku do Niemiec pomiędzy tymi, którzy pamiętają okupację niemiecką, a pokoleniem poniżej lat 30 czy nawet 35, którzy tej zmory nie pamiętają. Ci ostatni pamiętają tylko zmorę okupacji rosyjskiej, pałki moskiewskiej, nędzy i zacofania Wschodu. Gdy wymrze albo odejdzie w stan spoczynku pokolenie starsze i pokolenie w sile wieku, dzisiejsza młodzież (czyli ci, co się urodzili po r. 1945) poważnie zastanowi się nad stosunkami z Niemcami i zrobi jakiś wybór. Polska z r. 1920, ale także z r. 1939, była w połowie częścią Wschodu; dzisiejsza Polska jest geograficznie (a geografia ma zawsze znaczenie dużo większe, niż wszystkie „ideologie”) częścią Europy Środkowej, która czuje się dużo bliższa Niemiec, Czech, Austrii, niż Rosji lub jej obecnych części składowych. Czy to nowe pokolenie, które dojdzie do władzy prędzej, niż dawniejsze, bo starsze pokolenie jest wytrzebione przez obie okupacje, względnie zdyskredytowane przez wysługiwanie się okupantom sowieckim, będzie szukać zbliżenia z NRF, czy też z Niemcami Wschodnimi. To nie jest dotąd zupełnie jasne; są niestety elementy, które Polaków bardziej pociągają do Prus, niż do Niemiec Zachodnich, znacznie bardziej włączonych w krąg liberalnego Zachodu. Ale jeszcze przez dziesięć lat, może nawet dwadzieścia, urazy Polaków na temat Niemiec są zbyt silne i zbyt niedawne, by można było poważnie o zbliżeniu polsko-niemieckim mówić.

Co do Rosji, uważam każdą formę rusofilizmu za beznadziejną, póki Rosjanie wierzą iż mają jakieś prawo ingerencji w nasze sprawy, narzucania nam ustroju, systemu gospodarczego, ideałów, wierzeń, nawet personalii, póki *połpred* Kremla w Warszawie zachowuje się jak Repnin czy Stackelberg, to znaczy jak starosta, a raczej policmajster. W jakimś świstku monarchistyczno-rosyjskim czytałem teraz napaści na mnie za to że rzekomo nie odnoszę się z dostatecznym szacunkiem do carów, do *wielikowo russkowo naroda*. Uznaję prawo Zachodu do mówienia nam: mimo wszystko, jesteście o oczko wyżej od was! Ale tego prawa nigdy nie przyznam Wschodowi. Wy siedźcie cicho. Minimum czego musimy żądać od Moskali, to tego, by się wobec nas zachowywali tak, jak wobec Finlandii i Austrii. Wówczas i tylko wówczas zachowamy się wobec Rosji tak jak oni wobec nas; zachowamy się neutralnie, udamy, że nie widzimy barbarzyństwa na naszej wschodniej granicy, damy spokój prometeizmowi etc. Ale przy obecnym imperializmie rosyjskim, przy wyzysku i grabieży

rosyjskiej, przy próbach rusyfikacji, o jakimkolwiek *modus vivendi* między nami a Rosjanami, podobnie jak między Europą a Rosją, nie może być mowy.

A teraz stosunki polsko-francuskie. Co do Francji robimy sobie nadal iluzje, i to właśnie jest groźne i niebezpieczne. Za Ludwika XIV Francja miała stanowić 20% ludności Europy, a 10% ludności globu. Rola Europy w świecie zmalała, musiała więc zmaleć też rola Francji, podobnie jak nasza własna. Stąd większa drażliwość Francji na stosunek dawnych aliantów-satelitów do niej, jako do macierzy, jako źródła cywilizacji, jako do języka i kultury. Musimy dużo bardziej uważać dzisiaj, niż dawniej, by Francuzom nie następować na nagniotki, by ich nie dotknąć, by nie wywołać wśród nich wrażenia, żeśmy się od nich odwrócili. Wielu Francuzów uznało po ostatniej wojnie, że „Polacy londyńscy” nie tylko się zdecydowanie odwrócili od Francji, ale że nawet akceptowali wszystkie urazy angielskie w stosunku do Francji. Dzisiaj pozycja Anglii tak osłabła, że Francuzi o tym zapomnieli, ale za to czytam w reportażach prasy paryskiej z Warszawy z okazji Giscarda, z okazji wizyty Forda kwaśne uwagi o wyłącznej w Polsce popularności Ameryki, która zupełnie wyparła dawne sentymenty do Francji. Musimy niezmiernie uważać, by nie wpadać znowu w wyłączność kosztem innych przyjaźni i stosunków, by unikać błędów jednostronności, którą tak silnie zgrzeszyliśmy w XIX w. Że są wśród nas amerykanofile i anglofile, to chwala Bogu; chodzi tylko o to, by byli też i frankofile, by jedni nie zwalczali innych, jak do tego mamy zawsze aż zanadto tendencji, i byśmy nie utożsamiali się na 100% z j e d n y m, krajem, z j e d n y m językiem, z j e d n ą cywilizacją. To samo będzie kiedyś prawdą w stosunku do Niemiec. Francuzi nam sami dają przykład: od Locarna, tym bardziej od r. 1945, wielką koncepcją polityki zagranicznej Francji jest przyjaźń z Niemcami, która ma zastąpić *Entente Cordiale* z Anglią z r. 1904. Większość Francuzów miała de Gaulle'owi za złe, że obnosił swe zastarzałe niechęci do Anglii, że zatrzasnął przed nią drzwi do Wspólnego Rynku, tej ramy każdej poważnej akcji rządu francuskiego, i to także dzisiaj, pomimo niechęci, którą tylu Francuzów czuje do Wilsona. Pod wieloma względami potrzebujemy, i będziemy potrzebować Niemiec bardziej, niż Francji. Gdy chodzi o temperament, mentalność i usposobienie, jesteśmy dużo bliżsi

Niemców, Czechów, Austriaków, niż Francuzów; nie ma rady; czy to w Europie, czy w Ameryce *Middle West* jest *Middle Westem*, a *Atlantic Seaboard*, jako inny region, jest rzeczywistością po obu stronach tego oceanu. Gospodarczo NRF jest dzisiaj pierwszym państwem w Europie, o 30% silniejszym i bogatszym, niż Francja; NRF jest pierwszym partnerem handlowym wszystkich państw europejskich, z wyjątkiem Anglii, gdzie ta rola wciąż przypada Stanom Zj., ale na jak długo nikt powiedzieć nie potrafi. Gdy tylko wyskoczmy z chomąta czy obroży Komekomu, czyli Rosji, NRF stanie się automatycznie naszym pierwszym dostawcą i naszym pierwszym odbiorcą, i ten stan rzeczy powinien potrwać długie lata. Niemcy powinny być i będą zawsze poważnym, najpoważniejszym odbiorcą naszego wywozu rolniczego, który pozostanie na długo asem atutowym naszego eksportu; a Francja będzie na terenie eksportu rolniczego dla nas nie rynkiem, ale rywalem. Ze względów klimatycznych, etc. Niemiec będzie zawsze dużo chętniej inwestował u nas, przybywał jako kupiec, majster czy przemysłowiec do Polski, niż Francuz. Francuzi mają smykałkę do handlu z narodami południowymi, np. z Arabami, ale nie z naszym regionem; NRF gada dużo mniej od Francuzów o handlu z Wschodnią Europą, nie posiada z Rosją wspólnej komisji handlowej, która zbiera się co pół roku, a wyprzedza Francję o wiele długości w handlu z Rosją. Francuz szanuje naprawdę tylko kraje i narody o bardzo wysokiej stopie życiowej; Niemiec ma o wiele więcej zrozumienia dla mentalności i potrzeb krajów na dorobku. Toteż już teraz, a tym bardziej w przyszłości, kiedy nasze stosunki z NRF się znormalizują, będziemy musieli stale uważać, by Francuzi nie odnosili wrażenia, że ich negliżujemy, że bez reszty wpadamy w sferę wpływów niemieckich. Z tego dylematu widzę dwa wyjścia. Primo, musimy wszystkimi siłami dążyć, by kapitały i inwestycje Francuzów i Niemców, a jeżeli się da, to także Anglików, Włochów, Szwajcarów, Beneluxu, i nawet Amerykanów, płynęły do nas nie w rozsypkę, ale wspólnym korytem, trochę tak, jak kapitały Banku Świata płyną do Ameryki Południowej, Azji i Afryki; wszyscy wiedzą, że to są głównie kapitały amerykańskie, ale listek figowy jest zachowany. Tym listkiem figowym może być w Europie tylko Wspólny Rynek, i musimy dołożyć wszystkich sił, by do niego się przytroczyć, zrazu jako państwo „stowarzyszone” (*associé*), a potem już jako członek na pełnych prawach, Karamanlis o tym pełnoprawnym

członkostwie Grecji marzy od rana do wieczora i Polska powinna by jego wysiłki w tym kierunku dokładnie śledzić i studiować. Próby Rosjan, Wilsona, etc. poróżnienia Niemiec i Francji uważam za beznadziejne: a jakżeż takie próby mogłyby się Polsce udać? Obojętne jakiej: dzisiejszej, „sanacyjnej” czy „narodowej”. Tymi próbami możemy sobie tylko zaszkodzić, i to bardziej w Paryżu, niż w Bonn, bo Paryż potrzebuje Bonn bardziej, niż Bonn potrzebuje Paryża. Dajmy spokój złudzeniom, że to co się nie udało Mołotowowi i Gromyce, to może się udać jakiemuś geniusikowi na Wierzbowej, plus geniusikowi w Hotel de Sagan, gdzie mieści się ambasada polska w Paryżu, i że Polska może na tych nędznych intryżkach coś zarobić.

Nie trzeba się też łudzić, że „Polak, Francuz – dwa bratanki”. Nie jest to prawdą dzisiaj w stosunku do Węgrów, nie było nigdy w stosunku do Francuzów, a dzisiaj mniej, niż kiedykolwiek. Francuzi są niuansami, subtelnością, przefajnowaniem, super-intelektualizmem; my jesteśmy w porównaniu z nimi z grubsza ciosani. W przeciwieństwie do nas Francuzi nie mają duszy na ramieniu, ani serca na rękawie; nie cenią wierności poglądom czy ideałom, ale zgrabność taktyczną; nie podziwiają stałości, ale giętkość, nie imponuje im „honor”, ale sukces. Francuzi wyżej cenią takt, niż szczerłość; *die deutsche Treue*, tak droga również Polakom, jest im nie tylko obca, ale się z niej wysmiewają. Frazes przychodzi im łatwo i na serio go nie biorą. Francuzi nikogo nie lubią i, co ważniejsza, mało kto wśród cudzoziemców im imponuje, lub choćby ich interesuje. W okresie międzywojnia przesadzaliśmy do obłędu ich antyniemieckość, a przed r. 1914 przesadzaliśmy do szaleństwa ich prorosyjskość. W polityce zagranicznej Francuzi od Waterloo marzyli tylko o współpracy z Anglią; od r. 1918 marzą tylko o współpracy z Niemcami. Francuzi wiedzą, że bez Niemiec Europy nie stworzą, wiedzą, że dla Ameryki czy dla Rosji, czy dla Chin, czy nawet dla Arabów mogą stać się tylko na spółkę z Niemcami interesującym partnerem. Podobne rozumowanie znajduje się u podstaw obu koalicji, prawicowej i lewicowej, w samej Francji; na prawicy chodzi o jaki taki wspólny front skrajnej, z lekka faszyzującej prawicy gaullistów i starej gwardii klasycznych konserwatystów, ongiś orleanistów, później *modérés* pod egidą Poincarégo, Pinaya, Pompidou, teraz Giscarda; na prawicy znowuż filarami bloku są komuniści, czyli lewica robotnicza, i socjaliści, czyli lewica

inteligentka; i oba bloki dobierają sobie grupki lawirantów centrowych, radykałów czy chadeków. Podobnie de Gaulle mówił sobie: „Do tej grubej ryby niezależnych, zarazy Pinaya, później Giscarda, muszę mieć kilka płotek chadeckich czy radykalnych; i do tego potężnego alianta niemieckiego warto by też dobrać kilku mikrusów dla garnituru: mamy Włochów, Benelux, aha, może by dobrać Hiszpanię, a może Greków, czy tych Polaków?” Podobnie rozumuje Giscard.

Między Polakami a Francuzami istnieją różnice psychologiczne; dzisiejsi Polacy są mniej profrancuscy, niż nasi ojcowie, a polonofilizm Francuzów, zawsze dość blady, zbladł jeszcze bardziej. Bez zastrzyku dużo liczniejszych i częstszych stosunków polsko-francuskich, te bariery psychologiczne nie znikną. Turystyki francuskiej do Polski na większą skalę nie będzie; Francuzi nie chcą jeździć nawet do Anglii, cóż dopiero do Polski. Ciągnie ich tylko na południe. Francuzi polskiego uczyć się nie będą, z polską literaturą ani sztuką się nie zapoznają, i w ogóle stosunek Francuzów do polskiej inteligencji będzie zawsze piętą Achilleśa w naszych wzajemnych stosunkach. Francja ma inteligencji za dużo, i żadnych humanistów, prawników, socjologów, ekonomistów, polityków z Polski nie potrzebuje. *Businessman* polski, to jest taka *rara avis* we Francji, że trudno coś na ten temat powiedzieć. Najwięcej szans we Francji ma polski technik, polski inżynier, polski majster, polski robotnik. Rola robotników, ich znaczenie we Francji wzrasta i będzie wzrastać nadal, i to też daje Polakom fory. Gierek się Francuzom naprawdę podoba, oczywiście w pierwszym rzędzie, bo doskonale mówi po francusku, ale po wtóre, bo jest autentycznym robotnikiem, nie inteligentem, nie adwokacją, nie pseudo-intelektualistą, nie fikcyjnym humanistą, i nie jest demagogiem, i nie udaje kogoś kim nie jest. Właśnie ludzie typu Gierka, a nie doktrynerzy i „ideolodzy” mają dane na to, by wyciągnąć wóz stosunków polsko-francuskich z błocka, gdzie się dzisiaj znajduje. W oczach Francuzów Polacy muszą mieć wszystkie zalety Niemców, plus dobrą znajomość języka francuskiego i szczery frankofilizm; oczywiście żadnych pouczeń, żadnych krytyk, żadnego też paktowania z opozycją, tym bardziej nigdy, przenigdy zajmowania się szpiegostwem. Za tę cenę Francja zgodzi się być naszym „ojcem chrzestnym” we Wspólnym Rynku i uważać nas za jakiś ekwiwalent Nowej Zelandii dla Anglików. Ale tylko wariat może

sobie wyobrażać, że Francja pozwoli nam intrygować przeciw *entente* francusko-niemieckiej albo wciągać ją w jakieś plany ukraińskie, które by Francuzów przeraziły, gdyby je usłyszeli z ust Forda czy Mao, a które, w ustach Polaków, mogą się im wydać tylko dowodem totalnego braku poczucia rzeczywistości. W najlepszym razie Francja coś zrobi, byśmy uzyskali miejsce analogiczne do tego, które Napoleon III wywalczył dla Rumunii po zjednoczeniu i wyzwoleniu *des Moldo-Valaques*.

Wiadomości, 19.10.1975, 2.11.1975, 23.11.1975

Kto był prorokiem: Malthus czy Marx?

I. Malthus

Jakaś ekonomika istniała od dnia, gdy dwoje naszych praprzodków (ile lat temu: dziesięć tysięcy, dwadzieścia tysięcy, sto tysięcy, czy jeszcze wcześniej?) zamieniło mamuta, bawoła i dwa prosiaki na żonę. Ale nauka ekonomii, w przeciwieństwie do praktyki, nawet dość rozwiniętej, specjalnie w dziedzinie handlu, mniej gdy chodzi o pieniądz, prymitywnej gdy chodzi o rolnictwo, tylko rzemieślniczej, gdy chodziło o przemysł, rozwinęła się dopiero w XVIII w., gdy obroty handlowe stały się żywsze i bardziej rozległe, gdy potrzeby kredytu ogromnie wzrosły, gdy rolnictwo zaczęło wychodzić ze stanu pierwotnej gospodarki, gdy rudymenty przemysłu, czyli maszyn, stały się bardziej wyszukane, gdy wreszcie nieprzytomnie powolny postęp techniczny, dawniej obliczany na stulecia, zaczął zmieniać obraz życia i stosunków z razu co dekadę, potem co roku, teraz co parę miesięcy.

Ekonomia, jak wszystkie nauki humanistyczne, mówiące o człowieku (a tam gdzie człowieka nie ma, jak np. na księżycu, albo choćby na Antarktydzie, tam ekonomii nie ma) zahacza, gdy chodzi o jej podstawy, o filozofię, o moralność, o metafizykę, o religię, i wówczas staje się spekulacją umysłową, doktryną, programem politycznym, nawet namiastką religii, jak to się stało z marksizmem. Na ogół ekonomiści nie idą tak daleko, jak marksiści, kontentują się głoszeniem założeń *m o r a l n y c h*. Prawie wszyscy ekonomiści zalecają purytanizm: oszczędność, uczciwość, pracowitość, poskramianie namiętności, rozumne inwestycje, kontentowanie się małym: małym zarobkiem, małą czyli niską płacą, niewielką konsumpcją, unikaniem wszelkich nadużyć

i rozkoszy, a więc wstrzeźliwością w uciechach płciowych, w jedzeniu, w zabawach, w strojach, w przyjęciach, w życiu wystawnym, potępiają nieróbstwo i lenistwo, zalecają umiar we wszystkim, są pacyfistami, są też z reguły antyrewolucjonistami, bo z obserwacji faktów ekonomicznych wiedzą, że nagłe przewroty zwykle przynoszą tylko katastrofy, zubożenie i spadek stopy życiowej, zaś wszelkie poprawy dobrobytu mogą być tylko stopniowe i powolne.

Ekonomista jest – i musi być – przede wszystkim fotografem: musi on naprzód trafnie odcyfrować i opisać obraz tego, co sam ogląda, a potem starać się z tego obrazu wyciągnąć wnioski. Fizjokraci XVIII w. żyli we Francji, gdzie nadal 80% ludności żyło z roli, więc naturalnie chętnie uważali rolnictwo za podstawowe źródło bogactwa, zaś wszelkie inne działy aktywności za pochodne. Adam Smith żył w tymże XVIII w. w Szkocji, której gleba była bardzo uboga, więc Szkoci nie mogli żyć z rolnictwa, musieli się zajmować handlem, który właśnie zaczął się poważniej rozwijać. Nic dziwnego że Smith stał się heroldem Wolnego Handlu, tłumacząc że z niego się wywodzi *The Wealth of Nations*. David Ricardo, główny teoretyk „Gold-Standard” i klasycznych teorii monetarnych, był sam bankierem w City, gdzie dorobił się ogromnego majątku na swoje czasy; zostawił swej wdowie i dzieciom aż 750 tysięcy funtów, czyli sumę na owe czasy fantastyczną. Cóż dziwnego że dla niego wszystko się kręciło dokoła pieniądza i kredytu, i że miał zawsze na myśli przede wszystkim obronę wierzyciela!

Malthus i Marx wyszli trochę dalej, poza obronę bezpośrednich interesów ekonomicznych klasy „inteligencji”, do której obaj z urodzenia i wychowania należeli. Pobożny i bogobożny pastor anglikański (*vicar*, czyli proboszcz), Robert Thomas Malthus był zafrapowany szybkim wzrostem ludności we współczesnej mu Anglii. Wzrost ten był spowodowany szybkimi postępami kielkującej w Anglii medycyny; szczepienia ospy, tej „dżumy” XVIII wieku wyprzedziły o niewiele lat pojawienie się słynnego „*Essay on Population*” Malthusa w r. 1800. Jak wszyscy teoretycy, Malthus przesadził w dążeniu do głoszenia „praw” wiecznych i cyfrowo bardzo ścisłych; jego teza, że ludność wzrasta w postępie geometrycznym, a środki żywności w postępie arytmetycznym, jest oczywiście sprzeczna z faktami, przynajmniej w tym jaskrawym ujęciu. Ale Malthus miał oczywiście rację, gdy widział

na horyzoncie grozę przeludnienia. Malthus nie przewidział możliwości emigracyjnych XIX w., specjalnie dla Anglików, których nadmiar znalazł ujście w Ameryce, w Australii, Kanadzie, Płd. Afryce i w gigantycznym imperium; nie przewidział postępów rolnictwa, które zdołały odsunąć moment absolutnego przeludnienia, braku żywności i głodu; a z drugiej strony Malthus nie pomyślał o grozie wzrostu ludności od drugiego końca, nie tylko od mnożenia się kołysek, ale także przedłużania się życia ludzkiego, które dzisiaj jest nawet jeszcze większą klęską, niż przyrost naturalny. I tak w Japonii obliczono, że ilość mieszkańców powyżej 60 lat wzrasta s z e ś ć razy szybciej, niż ogólna liczba ludności. Z tym wszystkim Malthus był bliższy prawdy, niż Marx, który z uporem fanatyka, by nie powiedzieć maniaka, potępiał Malthusa całe życie; głosił że jego teorie nie mają sensu, że żywności nigdy nie zabraknie i że powodem głodów i niedożywienia jest tylko system kapitalistyczny, a nie rozrodczość; w systemie socjalistycznym, wołał z uporem Marx, żywności nigdy nie zabraknie, będzie jej zawsze dosyć, bo to tylko kapitaliści magazynują żywność, by podbić jej cenę i zwiększyć swe dochody kosztem niedojadania ludzi pracy. Stałe trudności żywnościowe Rosji, Chin, Indii itd. zadają kłam tej dziecinnej, naiwnej argumentacji Marxa.

Malthus, jak wiadomo, był bogobojnym i pobożnym duchownym protestanckim, który wszelkie próby spędzania płodu odrzucał ze wstrętem i nie chciał też słyszeć o innych formach zapobiegania poczęciu, które już wówczas, w zaraniu XIX w. i nawet wcześniej, były na Zachodzie w powszechnym użyciu, a więc prezerwatywach, cofance etc. Dla zapobieżenia eksplozji ludnościowej Malthus zalecał tylko i wyłącznie wstrzemięźliwość płciową w stosunkach małżeńskich; wszelkie stosunki płciowe pozamałżeńskie, i to obojętne z jakiegokolwiek strony, Malthus potępiał jak najbardziej kategorycznie. Odrzucał on niemniej stanowczo wszelkie nienaturalne formy stosunków płciowych między małżonkami, cóż dopiero osobami nie związanymi małżeństwem, homoseksualizm i lesbizm, sodomie i masturbację. Zalecał tylko i wyłącznie wstrzemięźliwość płciową, po spółdzeniu dwojga lub najwyżej trojga dzieci. Od osób niezamężnych obojga płci wymagał dozgonnej czystości. Dzisiaj malthusianistów już nie ma – są tylko neomalthusianiści, którzy odłożyli do lamusa wysokie wymagania moralne ojca tej doktryny i propagują

neomalthusianizm, czyli dawanie folgi zachciankom i popędom płciowym, ale stosowanie środków zapobiegawczych przeciw ciąży, łącznie z tzw. doktryną okresową japońskiego lekarza, który umarł kilka miesięcy temu w wieku lat 93. Neomalthusianiści godni tej nazwy nigdy nie zalecali i nie tolerują spędzania płodu, tym bardziej finansowanego przez publiczne służby zdrowia, co sam Robert Adam Malthus odrzuciłby *a limine* ze zgrozą i wstrętem.

Wzrost ludności przybrał obecnie formy tragiczne. Wzrost ten stał się zawrotny, spowodowany w pierwszym rządzie spadkiem śmiertelności niemowląt i dzieci, w drugim – przedłużeniem się życia ludzkiego. Za czasów Chrystusa Pana ludność świata wynosiła zapewne tylko 50 milionów ludzi. W dniu zgonu Ludwika XIV, czyli 1 września 1715, ludność królestwa Francji miała wynosić 26 milionów ludzi i te 26.000.000 miały stanowić 10% ludności globu, 20% ludności Europy, nawet włączając w nią barbarzyńskie kraje Rosji i Turcji, które do Europy nie należą. A więc w r. 1715, jeśli te obliczenia są trafne, było tylko około 260 milionów ludzi na świecie. W r. 1800 miały być na świecie tylko trzy miasta o ludności powyżej miliona: Londyn, Paryż i Pekin, co do którego żadnych sprawdzonych danych nie ma. Dzisiaj mamy pono już 200 z górą miast powyżej miliona mieszkańców; jeszcze w r. 1945 było ich jakoby tylko 45. Ludność globu osiągnęła po raz pierwszy cyfrę miliarda istot ludzkich w r. 1850, a dwóch miliardów w 80 lat później, w r. 1930. Dzisiaj, w 45 lat później, mamy już dwa razy tyle ludzi, bo cztery miliardy; ludność się znowu podwoi za 25 albo 30 lat, itd. Co więcej ludność cywilizowana, czyli Europy (oczywiście bez Rosji i bez Turcji) oraz Stanów Zjedn. i Kanady, już od r. 1964, czyli od chwili, gdy tzw. „pigułka” weszła w powszechne użycie, przestała wzrastać; wyjątki tu i ówdzie należy przypisać tylko płodności imigrantów arabskich, murzyńskich etc.; gdyby nie ich płodność, to ludność Francji, już włączając wyższą płodność imigrantów europejskich, a więc Włochów, Hiszpanów, Polaków etc., co roku by malała. Ale w 67 krajach tzw. Trzeciego Świata, przy obecnej stopie rozrodczości i śmiertelności, ludność się podwaja wszędzie w ciągu co najwyżej 33 lat, w Meksyku nawet co 20 lat. W Ameryce Łacińskiej, poza Argentyną i Urugwajem, tylko 10% ludności należy do rasy białej; reszta, to są metysi albo kolorowi. Najpoważniejsi demografowie przewidują, że w r. 2050

ludność Algierii i Maroka wyniesie po sto milionów w każdym z tych krajów.

Gigantyczny przyrost ludności, którego jesteśmy świadkami, grozi nie tylko głodem, nie tylko brakiem surowców, ale także masowym bezrobociem, o którego rozmiarach my, rasa biała, nie mamy pojęcia. Na czym polega postęp techniczny? Na zastępowaniu pracy rąk, mięśni, a dzisiaj także mózgów (ordynatory, czyli komputery, maszyny biurowe) przez maszyny. W kolejkach podziemnych kołowrotki zastąpiły starych dziadów albo babuleńki, które dziurkowały bilety; skasowanie pracy nudnej, źle płatnej, w dodatku niezdrowej jest pomyślnie, ale jej korzyści ekonomiczne objawiają się dopiero, gdy dziesiątki tysięcy *jobów* są skasowane. Na dworcach kolejowych coraz częściej można nabywać bilety podmiejskie w automatach, a nie w kasach; znowuż kolosalna oszczędność pracy, ale po co dalej utrzymywać setki i tysiące urzędników kolejowych przy okienkach? W NRF socjalistyczny rząd Schmidta redukuje ilość pracowników kolejowych o 60.000 od zaraz; w Anglii trzeba by skasować dużo więcej posad kolejarzy. W Anglii upaństwowiony przemysł stalowy widzi się zmuszonym zmniejszyć liczbę pracowników o 40 tysięcy, bo maszyny zastępują ludzi z powodzeniem. W wojsku żołnierzy trzeba coraz mniej; wartość bojowa armii zależy dzisiaj nie od stanów dywizji, ale od sprzętu. We francuskim przemyśle włókienniczym pracowało 950 tysięcy osób w r. 1945; dzisiaj jest w nim tylko 450 tysięcy pracowników i ciągle jest mowa tylko o redukcjach. W Kairze, gdzie cały przemysł jest upaństwowiony i gdzie wszystko jest na sprzedaż, bo każda fabryka daje deficyty, do ministra przemysłu zgłasza się Amerykanin, amator kupna fabryki przędzy bawełnianej. „Z radością, woła na jego widok minister przemysłu, ile pan daje za ten gruchot?” „Co chcecie, odpowiada Amerykanin, ale z miejsca muszę zwolnić połowę personelu, bo jest go za dużo!” *Overmanning* – to jest główna choroba przemysłu angielskiego, jak i pseudo-przemysłu tzw. Trzeciego Świata oraz tzw. krajów „socjalistycznych”. Jest wszędzie za wielu intelektualistów, za wielu urzędników, za wielu rolników, za wielu robotników, etc. W Stanach Zjedn. 4% ludności jest w stanie wyżywić 200 z górą milionów miejscowej ludności, ale poza tym Ameryka ma największe na świecie nadwyżki zbożowe i dokarmia cały glob ziemski; Rosja (przeszło 50% ludności rolniczej) musi importować zboże z Ameryki; to samo

w Indiach, gdzie jest przeszło 80% ludności rolniczej. Wyobraźmy sobie, że poczciwy Zachód przeszkoli tych barbarusów rosyjskich, hinduskich, chińskich, arabskich etc., da im maszyny rolnicze, nasiona, nawozy sztuczne, metody hodowlane itd. i zdoła ich uczynić samowystarczalnymi. Ale co wówczas te kraje zrobią ze swymi milionami zbędnej ludności rolniczej? Trzydzieści lat temu przeciętna długość życia ludzkiego w Indiach wynosiła 28 lat, dzisiaj wynosi już lat 42; i już jest katastrofa ludnościowa; co to będzie, gdy Indie będą miały przeciętny wiek życia zgodny z normami rasy białej, czyli Zachodniej Europy i Ameryki, a więc jakieś 70 lat dla mężczyzn, a 76 czy więcej dla kobiet? Przy obecnym przedłużaniu się życia ludzkiego obliczono, że gdyby w Indiach przez dziesięć lat nie urodziło się ani jedno dziecko, to jednak ludność nie zmalałaby, bo przedłużenie życia ludzkiego skompensowałoby ten deficyt „narybku”.

Malthus przewidział przyszłość bez porównania lepiej, niż Marx, który wagi problemu demograficznego nie tylko nie doceniał, ale wprost nie rozumiał; nie widział on zupełnie, że przy szybkim przyroście ludności, obojętne na skutek przyrostu naturalnego czy też imigracji, podwyżka płac może być tylko iluzoryczna, nominalna, a nie realna. Najbardziej antyrobotniczym posunięciem rządów angielskiego i francuskiego po wojnie było wpuszczenie dwóch milionów Hindusów, Pakistańczyków etc. do Anglii i tylu Algierczyków, Murzynów etc. do Francji. A właśnie socjaliści najbardziej grzmieli i wojowali o przyjęcie tych hord pracowników, przyzwyczajonych do bardzo niskich płac i do jeszcze niższej stopy życiowej. Bezrobocie w Zach. Europie jest w ścisłym związku z imigracją: w NRF jest milion Turków i milion bezrobotnych. Jeżeli ludność kolorowa nie zacznie natychmiast maleć, i to bardzo gwałtownie, Europa Zachodnia i Ameryka muszą się pożegnać z wysoką stopą życiową mas i muszą się liczyć z agresją bezrobotnych mas trzeciego świata na te okopy św. Trójcy, i zza mórza, i przy pomocy kolorowej Piątej Kolumny, która już istnieje w Anglii, we Francji, w Holandii etc.

II. Marx

Nikt oczywiście nie bierze dosłownie prorocत्व Malthusa, że środki żywności wzrastają w stosunku arytmetycznym,

a ludność w stosunku geometrycznym. Przeciwnie, weszliśmy obecnie w okres wyraźnego wymierania rasy białej, a z chwilą rozpowszechnienia się „pigułki” i zachodniej cywilizacji hedonistycznej w tzw. Trzecim Świecie nie jest wykluczone, że nastąpi naprzód spadek przyrostu ludności „kolorowej” do zera, a potem niż demograficzny na całym świecie. Ale Malthus miał rację, wykazując niebezpieczeństwa przeludnienia, które dzisiaj zagląda całemu światu w oczy; chodzi już nie tylko o brak żywności, choć ten jest jaskrawy we wszystkich krajach, które płodzą nadmiernie, choć brak ten jest specjalnie wyraźny, gdy chodzi o mięso i ryby, także o skorupiaki, jak homary, raki, krewetki etc.; chodzi także o surowce, co widzimy wszyscy na przykładzie nafty, zobaczymy niebawem, gdy chodzi o papier (drzewo) itd. Marx należał do najzagorzalszych wrogów Malthusa; twierdził że jego teorie są tylko wymysłem dla ratowania „kapitalizmu” i kapitalistów. Było wręcz przeciwnie; strajk płodności ubogich był i jest zawsze najpotężniejszą bronią w rękach warstw upośledzonych, dużo skuteczniejszą od strajku powszechnego, od tzw. dyktatury proletariatu (o której jest zresztą mowa tylko w jednym liście Marxa z r. 1853, oraz w jednym ustępie „Kapitału”, z lat siedemdziesiątych). Prawdziwy podział reżymów gospodarczych nie jest na kraje „kapitalistyczne” i „socjalistyczne”; już teraz przeważa na całym Zachodzie *économie mixte*, a „kapitalizm” czy „socjalizm” istnieją w plus minus czystej formie tylko w krajach zacofanych i o wysokim przyroście ludności, jak Rosja, Indie albo Hong Kong. Emigracja (która z natury rzeczy jest tylko przejściowym, czasowym środkiem zaradczym) i zniżka urodzeń wpływają zwykle na płace; brak umiaru w płodności i imigracja obniżają płace, zwiększają zależność robotnika. Malthus nie przewidział wszystkiego; nie przewidział przedłużenia życia ludzkiego, które do XIX w. utrzymywało się stale na poziomie około 26 lat, nawet w Europie Zachodniej – epidemie, głód, śmiertelność noworodków, utrzymywały równowagę demograficzną, która jest bardziej konieczna nawet od równowagi pieniądza i kredytu. Wzrost liczby starców już stwarza straszne problemy ekonomiczne i socjalne na całym globie; budżety kolei na całym świecie uginają się pod ciężarem emerytur, które np. w Austrii wynoszą więcej, niż płace kolejarzy faktycznie zatrudnionych; podobna sytuacja powstanie niebawem na kolejach francuskich i brytyjskich; koleje

amerykańskie bankrutują w dużej mierze w wyniku ciężaru emerytur. W Japonii liczba osób powyżej 65 lat wzrasta s z e ś ć r a z y s z y b c i e j, niż ogólna ilość mieszkańców. Pani Gandhi ma dzisiaj nóż na gardle nie tylko dlatego, że jest niemądra i pozostaje całkowicie pod wpływem swego najmłodszego, 26-letniego syna, który jest gagatkiem i play-boyem, ale także dlatego, że wiek przeciętny mieszkańca Indii wzrósł od końca wojny z 26 lat wówczas do 42 lat dzisiaj. Co to będzie, gdy długość życia mieszkańców Indii zrówna się z długością życia mieszkańców Zachodniej Europy – 70 lat dla mężczyzn, 76 lat dla kobiet? Ma rację Fourastié, katolik, konserwatysta, wielki statystyk francuski, gdy woła że politycy i ekonomiści, zanim zaczną głosić swoje teorie, powinni zacząć od przestudiowania cyfr urodzeń i zgonów dla całego świata i zastanowić się, co nas czeka, może już w r. 2006, może w r. 2030 lub 2050, gdy ludność naszej biednej planety dojdzie do 6, 8, 10, 12 czy więcej miliardów ludzi!

Marx był przede wszystkim filozofem, filozofem niemieckim, wyrosłym na Heglu i na pozytywizmie XIX w., który, olśniony postępami nauk przyrodniczych, fizyki, chemii, medycyny etc., myślał, że dla spraw socjalnych i politycznych istnieją równie sztywne i wieczne „prawa”, co dla przyrody. Punktem ciężkości myśli Marxa jest termin socjalizm „n a u k o w y”; przeciwstawiał go „socjalizmowi u t o p i j n e m u”, którym nieskończenie gardził. Czytałem gdzieś recenzję z potężnego dzieła o Marxie, autorem którego był niejaki pan Max Rubel, który ma być profesorem w Los Angeles i ma się cieszyć światową sławą. Według tego bliżej mi nieznanego Dr. Maxa Rubla, nauki Marxa zostały zniekształcone już przez Engelsa, cóż dopiero przez Lenina; w rzeczywistości Marx miał być liberałem, bardzo dalekim od ubóstwiania omnipotencji państwa na wzór pruski, i od „centralizmu demokratycznego”, czyli od dyktatury każdorazowego kierownika władz partyjnych. Chętnie w to uwierzę. Każda doktryna filozoficzna jest zawsze zniekształcona przez wyznawców. Któż może wątpić że Rousseau, który wierzył iż „człowiek rodzi się wolnym”, który wierzył w „dobroć” natury ludzkiej, nawet u dzikusów (*les sauvages*), który wychwalał polską „anarchię”, i to z przekonania, mógłby pochwalać terror Robespierre’a, Marata, St. Just’a i innych krwiożerczych potworów, którzy, ciągle się powołując na łagodnego Jean-Jacques’a, posłali na gilotynę w samym Paryżu

2.736 osób, co oczywiście jest mało na dzisiejsze czasy, ale co wówczas uchodziło za szczyt okrucieństwa. Marx tak szczerze, tak namiętnie nienawidził Rosji, że już z tego powodu nigdy by na pewno nie aprobował terroru Lenina, Trockiego, Dzierżyńskiego, Stalina, Berii, ani policyjnego mikołajewskiego reżymu Breżniewa. Kiedy Papież czy Stefan Kisielewski mówią o marksizmie, a kiedy mówią o nim ekonomiści antymarksiści, to chodzi o dwie różne rzeczy. Filozofia Marxa jest tylko jednym z wycinków filozofii materialistycznej, która neguje wartości idealne, duchowe, nieśmiertelność duszy, życie pozagrobowe, wszystko sprowadza do egzystencji na ziemi. Nie jestem filozofem i nie wierzę, by dysputy filozoficzne kiedykolwiek mogły być rozstrzygnięte drogą polemiki czy logiki. Marx ma niewątpliwe zasługi dla nauki historii, która zupełnie negliżowała materialne czynniki; dzisiaj ten błąd popełniają tylko niepoprawni romantycy, do których należą także wszyscy nacjonałiści świata. Uznaję jako fakt bezsporny, że pierwsza rewolucja przemysłowa w Anglii na przełomie XVIII i XIX wieku była ewenementem ważniejszym od wojen napoleońskich. Czy to oznacza, że jestem marksistą? Bynajmniej. Marksista, socjalista, komunista oznacza człowieka, który uważa że klucz przyszłości, sprawiedliwości socjalnej i bogactwa znajduje się w pismach Marxa. Mnie się wydaje, że te pisma są do zagadnień ekonomicznych *totally irrelevant*. Tę samą myśl wyraża młody, trzydziestoparoletni ekonomista francuski, Thierry de Montbrial, profesor ekonomii politycznej na „X”, czyli Ecole Polytechnique, szkole wyższej matematyki, która dzisiaj uchodzi za największą z *Grandes Ecoles* francuskich (*post-graduate courses* po angielsku). De Montbrial, który jest także doradcą ekonomicznym francuskiego MSZ, czyli Quai d’Orsay, pisze że więcej można znaleźć materiału do rozmyślań (*réflexion*) w pismach neo-klasyców, niż w dziełach Marxa. Szkoła neo-klasyczna, to po prostu szkoła arytmetyczna, która wierzy w jedno prawo ekonomiczne; popytu i podaży (także gdy chodzi o płace, czyli podaż i popyt na pracę ludzką). W przeciwieństwie do filozofów, teologów, polityków, ekonomiści nie mają właściwie żadnego powodu do ciskania klątw na Marxa i marksizm; wystarczy im wzruszyć ramionami, i powiedzieć: *irrelevant*.

Jak każdy głośny ekonomista, Marx był sprawnym fotografem stosunków ekonomicznych swej epoki i kraju, w którym przebywał.

Fizjokraci żyli we Francji w XVIII w., kiedy 80% działalności gospodarczej to było rolnictwo; cóż dziwnego, że zagadnienie rolne zajmuje centralną rolę w ich teoriach? Adam Smith żył w czasach, gdy uboga rolniczo Szkocja szukała ratunku w handlu z Anglią (*United Kingdom* z roku 1707, kolonie amerykańskie etc.); cóż dziwnego, że Smith upatrywał *Wealth of Nations* w handlu? David Ricardo, główny twórca klasycznych teorii monetarnych, był sam bankierem w City, który w dodatku dorobił się tam majątku 750 tysięcy funtów; cóż dziwnego, że za pępek światowej ekonomii uważał system finansowy, pieniężny i kredyty, a w ramach tego systemu obronę wierzycieli, czyli bankiera? Marx żył w czasach, gdy kapitału było za mało, a rąk do pracy - nadmiar; w sąsiedniej Francji, w okresie Komuny Paryskiej, robotników przemysłowych było we Francji tylko 500.000, a służby domowej aż milion! Cóż więc dziwnego, że „socjalizm” francuski wydawał się Marxowi „utopijny”? Czy mógł być innym? Tu wspomnę o mało znanym szczególe, który jaskrawo podkreśla tezę, iż każdy z nas jest dużo bardziej synem swej epoki, swych czasów, niż swych poglądów czy teorii. W ciągu dwóch miesięcy trwania rządów Komunardów w Paryżu, którzy mianowali komisarza dla Banku Francji, frank fr. nie drgnął ani razu! Po zdobyciu Paryża przez „Wersalczyków” Thiersa, ówczesny minister skarbu rządu Thiersa dał publiczny wyraz uznaniu rygorystycznej polityce komisarza Komuny Paryskiej w Banku Francji, który, o ile pamiętam, został tylko skazany na banicję, a nie był rozstrzelany. Przekonanie, że parytet waluty i walka z inflacją są dobrem najwyższym, zadziwia wszystkich u Schmidta, podczas gdy „prawicowy” Nixon wyprawiał harce z dolarem, ale kto by uwierzył, że stróżem waluty francuskiej, waluty „burżuazyjnej”, „kapitalistycznej”, mogła być Komuna Paryska? Sam Marx nie miał na kwestie walutowe jasnych poglądów; pisałem na Uniwersytecie Jagiellońskim dla Adama Krzyżanowskiego referat z rozprawy Marxa o bimetalizmie, czyli o oparciu waluty i na złocie, i na srebrze; był to w latach siedemdziesiątych spór wysoce aktualny. Otóż Marx powtarzał bez końca, że trzeba zrobić wybór, który by odpowiadał interesom robotników, a nie kapitału; ale jaki wybór leżał w interesie robotników, tego nie wiedział. Nigdy nie przemyślał do końca, czy w interesie robotników leży pierwszeństwo dla stałości cen, czy dla wyżki płac; a i dzisiaj Wilson, Schmidt, Breżniew,

Marchais i Mitterrand dają na ten sam dylemat diametralnie różne odpowiedzi. W rzeczy samej francuskie badania statystyczne wskazują, że zwyżki płac w okresach inflacji nie dają robotnikowi nic; z reguły musi on pracować równie długo, by kupić kilo mięsa, bochenek chleba, paczkę papierosów, kufel piwa, a natomiast musi pracować dłużej, nieraz znacznie dłużej, by kupić samochód, mieszkanie, parę butów, czy udać się na wakacje. Poza tym inflacja zawsze kończy się wzrostem bezrobocia, czego Marx nigdy nie przewidział.

Marx był zahipnotyzowany problemem własności. Był on uderzony zjawiskiem, że produkcja fabryczna przynosi zysk, który nazwał *Mehrwert*, i uważał tę *Mehrwert* za grabież w stosunku do robotników. Sam zysk, alias *Mehrwert*, musi być celem każdej działalności gospodarczej; inaczej po cóż by budować fabryki, pracować, pocić się, męczyć się, gdyby to wszystko miało nic nie przynosić, albo dawać same straty? W owych czasach *Mehrwert* był udziałem tylko właściciela i wierzyciela, czyli finansisty. Dzisiaj ten *Mehrwert* daje robotnikowi pracę, posady tak zwanym *cadres* czyli pracownikom biurowym, handlowym, organizacji pracy, daje olbrzymie dochody państwu, ubezpieczeniom socjalnym, badaniom naukowym, etc., a przede wszystkim nowym inwestycjom. Właściciel jest dzisiaj traktowany po macoszemu; podatki, inflacja zabierają mu raz po raz całość jego kapitału. Istota przedsiębiorstwa przemysłowego się nie zmienia, w zależności od tego, czy „właścicielem” jest państwo, czy też spółka akcyjna, czy osoba prywatna. Zarówno firmy upaństwowione, jak i prywatne, muszą dbać i walczyć o rentowność. Koleje państwowe, znacjonalizowana elektryczność czy gaz czy „Steel Corporation” w Wielkiej Brytanii niemniej łapczywie domagają się podwyżki swych taryf, niż czyniliby to „rekini” kapitalizmu. Tytuł własności wydaje się dzisiaj obojętny. Państwowe linie lotnicze czy koleje są dzisiaj właścicielami hoteli i nawet lokali nocnych. Koncesję na budowę autostrad otrzymują spółki prywatne i one pobierają opłaty autostradowe, co jest równoznaczne z reprivatyzacją transportu drogowego. Telefon może należeć do spółek prywatnych, jak w Ameryce, albo do państwa, jak w kapitalistycznej Szwajcarii. Marx sądził, że „socjalizacja” środków produkcji będzie aktem jednorazowym i definitywnym; zupełnie nie przewidział dalszego, ciągłego, nieprzerwanego procesu mnożenia się coraz to nowych środków

i metod produkcji. Osobiście sędzę że, *dirigisme* wystarcza: nie kontrolując gestii z dnia na dzień, nie nacjonalizując niczego, państwo może dzisiaj wpływać decydująco na rozmiary i kierunki inwestycji, a także na poziom płac, zatrudnienie, stopę zysku via podatki etc. Mysłę że prosty rozum wskazuje, iż państwo może kierować tylko bardzo wielkimi firmami, a i to prawie zawsze te firmy upaństwowione będą *de facto* kierowane przez managerów, którzy będą rządowi dyktować ich politykę, a nie odwrotnie. Widzimy to w najbardziej delikatnej domenie, czyli gdy chodzi o banki emisyjne; gdziekolwiek znalazł się silny człowiek na czele banku emisyjnego, jak McKinley Martin w USA, Blessing w NRF, Carli we Włoszech, to on dyktował rządowi politykę walutową, niezależnie od osoby prezydenta, premiera czy ministra skarbu. Budowa 18 central atomowych dla produkcji prądu elektrycznego we Francji została narzucona prezydentowi Giscard d'Estaing i jego rządowi przez naczelnego dyrektora Electricité de France, Marcel Boiteux, a nie odwrotnie. Rodzina Thyssenów nie miała przez dwadzieścia pięć lat nic do gadania w sprawie tego koncernu rodzinnego, którym rządził autokratycznie gen. dyr. Dr Sohl, urodzony w Gdańsku, jeden z największych specjalistów od stali na świecie. Podobnych przykładów można by mnożyć bez końca. Upaństwowienie sklepów czy kawiarni jest w praktyce niemożliwe, tak samo gospodarstw rolnych etc. Świat się dzisiaj dzieli nie na gospodarkę kapitalistyczną i socjalistyczną, ale na świat wysokich płac i niskich płac. Po pięćdziesięciu ośmiu latach „socjalizmu” w Rosji płace tam są nadal nędzarskie. Rosjanie i ich apologeti tłumaczyli to wojną, najazdem etc. NRF, Włochy, Japonia poniosły dużo większe straty, również terytorialne, podczas gdy Rosja kolosalnie zwiększyła swe terytorium, zdobyła olbrzymie lenna, 90% jej terytorium nigdy nie oglądało choćby jednego samolotu nieprzyjacielskiego. Nędza Rosji najwymowniej świadczy, że trzymanie się najbardziej ortodoksyjnego marksizmu nie jest gwarancją „prosperity”; *c'est le moins qu'on puisse dire!*

Z techniki przemysłowej Marx znał tylko konia parowego, prymitywne koleje, pierwotne przędzalnie czy maszyny tkackie, rudymenty przemysłu stalowego. Wielkie wynalazki, jak chemia, elektryczność, telefon, maszyny biurowe, budownictwo nowożytnie, samochód, samolot, zdobycze medyczne, radio, nie mówiąc o atomie, nafcie, komputerach etc., przyszły dopiero po nim. Co byśmy sądzili o lekarzu, który by nawet nie znał szczepionek

i teorii mikrobów Pasteura, nie słyszał nigdy o sterylizacji Lorda Listera, nie znał kardiogramu, nie wiedział o Roentgenie i jego promieniach? Co byśmy sądzili o przedsiębiorcy czy inżynierze, który by dawał swym robotnikom tylko łopaty i furmanki dla balastowania nasypów kolejowych, czy wiercenia tuneli, czy też tylko młotki dla instalowania szyn? Marx jest ekonomistą z czasów króla Ćwiczka. Nic dziwnego, że marksizm cieszy się sukcesami u ludów barbarzyńskich i zacofanych, u ćwierćinteligentów, jak żywcem zjedzony Lumumba, jak niepiśmienny „Bouma”, alias Boumédiène, jak prymitywy rosyjskie. Labour Party go nigdy nie uznała, niemiecka SD odzegnała się od marksizmu; w Portugalii i w Chile, które są daleko w tyle za Zachodnią Europą, marksizm skończył się anarchią, nędzą i totalną przegraną; nawet światlejsi Arabowie, jak Sadat, się od marksizmu odwracają. Co Marx ma do powiedzenia na temat inflacji? Co ma do powiedzenia na temat cen nafty, czy niskich, względnie wysokich cen rolnych we Wspólnym Rynku? Czy lektura Marxa mogłaby dać wskazówki, czy warto było wybulić trzy i pół miliarda funtów na budowę Concorde? Albo także gigantyczne sumy na „France” i „Queen Elizabeth II”? Na temat inflacji? Na temat imigracji z Afryki do przeludnionej Europy?

Dzisiaj nie wierzę w żadne doktryny ekonomiczne. Jedyna godna zalecenia polityka gospodarcza, to polityka praktykowana przez Schmidta i Giscarda; *navigation à vue*, po polsku chyba „od wypadku do wypadku”. Jedno jest pewne: ludzi jest za wiele, żyją zbyt długo. Co będzie, gdy będzie nas na tym globie 10 mld., gdy przeciętna długość życia wzrośnie do stu lat? Może chemia uratuje nas od braku surowców i braku żywności. Ale czy w tym globalnym przytułku dla starców warto będzie żyć? Bez radości, bez nadziei, bez celu? Osobiście sądzę, że nie. Z nudów – jeżeli nie ze strachu, ludność wysadzi glob ziemski, popelni zbiorowe samobójstwo.

Wiadomości, 14.3.1976, 21.3.1976

Polscy pisarze są bez szans

II.

ZAGUBIENI ROMANTYCY

Był to romantyzm, który nie miał szans na sukces. Był bardzo słaby, kłopotliwy, który nie miał szans na sukces, lecz nawet takiemu w Polsce...

To wierne świadectwo, że słowa autora zależą od jego talentu. Decyduje przede wszystkim jego - talent.

Każdy literat powie o rzeczach, które tak naprawdę, które są, czyli o wydarzeniach w całym kraju. A świat nie może się łatwo porządkować, porządkującym krajem.

Zaciekawienie Rosji

Główna przyczyna, na skutek której literatura, szczególnie w naszym kraju...

Oczywiście, że Rosja była wielką potęgą, której wpływy sięgały się i Francji, i Anglii, i Niemcy... Właśnie to powodowało, że Rosja stała się ręką Europe. Wszyscy byli ciekawi, co się dzieje w tym kraju bez roli, ale nie to było najważniejsze.

Rozumie się więc do literatury, szczególnie...

I słusznie. Nie można było mieć, ponieważ krytycy, w tym czasie, jak przez Tolstoję - starożytności, nie było. Cechami, krajem, a nie przez Turgeniewa, obywateli, podobnie, krytycy, charakter, nie przez Dostojewskiego, a Gogol.

Polscy pisarze są bez szans

Czy literatura polska ma szansę powodzenia na świecie?

Nie! Żadnych!

Doskonali dżokeje nie wygryają nigdy Derby na złych koniach. Byli – i zapewne są – doskonali polscy pisarze. Ale Polska jest bardzo złym koniem, który uniemożliwia im nie tylko zwycięstwo, lecz nawet miejsce w czołówce.

To wierutna bzdura, że sława autora zależy od jego talentu. Decyduje przede wszystkim jego – temat.

Rasowy literat pisze o rzeczach, które zna naprawdę, które czuje, czyli o wydarzeniach w swym kraju. A świat interesuje się tylko potężnymi, przodującymi krajami.

Zaciekawienie Rosją

Czemu przypisać np. szalone wzięcie literatury rosyjskiej w zeszłym stuleciu?

Oczywiście temu, że Rosja była wielką potęgą, że o jej względy ubiegały się i Francja, i Anglia, i Niemcy... Nieznana, tajemnicza Rosja fascynowała całą Europę. Wszyscy byli ciekawi co się dzieje w tym kolosie bez kolei, ale za to z paszportami.

Rzucono się więc do literatury rosyjskiej!

I słusznie. Nie można było lepiej poznać arystokracji rosyjskiej jak przez Tołstoja, szarego człowieka jak przez Czechowa, krajobrazu niż przez Turgieniewa, obrzydliwości i podłości rosyjskiego charakteru niż przez Dostojewskiego. A Gogol,

Gonczarow, Gorki, Lejkin, Szczedryn i tabuny innych. Z ich dzieł, jak z lustra, wyzierała Rosja *en pied*.

Naturalnie, że to bardzo dobrzy pisarze. Lecz swe międzynarodowe powodzenie zawdzięczali w 90% temu, że pisali o tej Rosji, której Europa była tak ciekawa.

Gdyby Dostojewski był Polakiem i opisywał Polaków – nikt by nie chciał czytać o jego zwyrodnialcach. I nikt nie doszukiwałby się w Dostojewskim głębi. Machnięto by nań ręką:

– Wariat... Zboczeniec... Matoł... Szkoda czasu...

Powtórzyło się to z Rosją bolszewicką. Książki sowieckie zastąpiły dziurkę od klucza, przez którą usiłowano zajrzeć do kraju ogrodzonego kolczasto.

Całe powodzenie rozwlekłego i niezdarneho Szołochowa, prymitywnego, z tymże grymasem wiecznie skrobiącego Zoszczenki, zakłamanego Tołstoja Nr 4, tych matołów Petrowa, Doncewa, Ehrenburga pochodzi stąd, że świat był ciekaw Sowietów. Niczego się świat nie dowiedział, ale literackie miernoty sowieckie zyskały światowy rozgłos dzięki Stalinowi.

Nawet nagroda Nobla dla Amerykanina

Trzeba sobie przypomnieć jak gorliwie czytano w Polsce, w latach 20-tych obu Sinclairów. Ot takich sobie, seryjnych, poprawnych, na kopy liczonych – autorów.

Ale byli Amerykaninami i pisali o Ameryce!

Więc te ich Nafty i Babitty były tłumaczone, chłonięte, Ameryka wyrosła na pierwszą potęgę świata, i od nauczycielki szkoły powszechnej w Wierzbniku do ministra z Wierzbowej – wszyscy chcieli nabrać o tej Ameryce jakiegoś pojęcia.

Gdyby „Gone with the wind” miało za temat Powstanie Styczniowe a nie wojnę domową w Stanach – książka nie zrobiłaby nawet setnej części tej kariery jaka jej przypadła.

„Ziemia Obiecana” Reymonta jest o drapacz nieba lepszą książką od byle tomu „Tragedii amerykańskiej” Dreisera. Ale o bogaceniu się Żydów w Łodzi nikt nie chciał czytać, a o robieniu milionów przez gangsterów w Chicago chcieli wszyscy.

Ameryka przytłacza dziś Europę. I dolarem, i autami, i filmem, i lodówką, i nauką, i armią, i atomówką... wszystkim! Siła impaktu i literatura amerykańska wyłazi na pierwsze miejsce, nadaje ton...

W Anglii lepiej się rozchodzi marna powieść autora amerykańskiego, niż dobra powieść autora francuskiego. Zwięzły, dziennikarski styl amerykański jest kopiowany. Gdy w Ameryce chwyciło „Forever Amber” wszędzie rzucono się małpować tę rozwodnioną pornografię. Dawni mistrzowie, Francuzi, uderzyli w pokorę i wystąpili ze swoim naśladownictwem „Caroline Chérie”. Co drugi autor europejski pisze dziś – pod gust amerykański. A nuż się tam spodoba i będzie best-sellerem, i wezmą jego książkę do filmu, i spłyną nań dolary... Amerykanie zaczynają rządzić w literaturze światowej.

Sinclair dostał nagrodę Nobla przede wszystkim dlatego, że był Amerykaninem. Seryjna lafiryndka z Kalifornii ma sto razy większe szanse zostania gwiazdą filmową niż super-piękna i arcy-zdolna dziewczyna z Kalisza. Akurat takąż jest przewaga byle piśmienego Amerykanina nad dławiącym się od talentu literackiego Polakiem.

Nie przypadek, lecz reguła

A może wzrost znaczenia politycznego jakiegoś kraju i konsekwentny rozkwit jego literatury – to tylko zbieg okoliczności?

Skoro się coś chronicznie powtarza przez 2500 lat to naiwnością jest mówienie o – przypadku. To żelazna reguła!

Grecja wodzi rej w świecie starożytnym – literatura grecka z tego okresu uchodzi za bezkonkurencyjną.

Wyłania się Rzym, światem rządzi Rzym – przez te kilka stuleci jego supremacji króluje literatura łacińska.

Analfabeta Charlemagne błyska jak meteor – „Chanson de Roland” zdobywa markę arcydzieła tej epoki.

Średniowiecze. Szczyt znaczenia papieży. Królowie, armie, leżą kolejno do Włoch. Kto włada Włochami uchodzi za władcę świata. Więc zaraz Petrarca, Dante, Boccaccio, św. Tomasz są dźwigniemi na piedestał, którego nigdy już potem nie osiągnie piśmiennictwo włoskie.

XVI wiek – okres potęgi Hiszpanii. Naturalnie jej pisarze dominują. I nigdy żaden autor hiszpański nie przewyższy sławy Cervantesa.

XVII-XVIII wiek to supremacja Francji. Literatura francuska zdobywa bezapelacyjne pierwszeństwo.

Gdyby tak Madame de Sevigné, zamiast w Wersalu, mieszkała na Żoliborzu i donosiła córce w Radomiu nie o plotkach i romansach Ludwika XIV i jego dworu, ale o pożyciu państwa Mościckich i ewolucjach erotycznych góry sanacyjnej – nigdy nie zostałaby zaliczona do klasyków literatury. Oprócz Ligi Niepodległości nikt nie dostrzegłby geniuszu w jej tasiemcowych listach.

Koniec XIX i początek XX wieku to szczyt potęgi Anglii. Popularność Dickensa to przede wszystkim wynik zainteresowania Anglią. „Romanse” francuskie ustępują miejsca angielskim „thrillerom”. Pisarze angielscy, Conan Doyle, Wilde, Chesterton, Shaw, Wells, Galsworthy itd., są okrzykami po świecie za najdowcipniejszych, najgłębszych i najciekawszych.

Uczymy się historii tylko wielkich krajów, choć dzieje małych państw są może nieraz ciekawsze i bardziej pouczające. Wiemy sterty o cesarzach, wojnach i katastrofach Niemiec, a z całej historii Szwajcarii tylko o tym jabłku Wilhelma Tella. Trudno, nie starcza czasu na wszystkie maleństwa... Podobnie jest z literaturą. W bezmiarze znakomitych autorów – których przeczytać nigdy nikt nie zdąży – wyłowiono przedstawicieli największych państw i tych uznano za największych pisarzy, za klasyków.

Zawsze kolejność jest ta sama: naprzód ogromne osiągnięcia polityczne danego kraju – potem rozgłos jego literatury. Nigdy nie jest odwrotnie! Tylko człowiek o kreciej ślepotcie uniwersyteckiego profesora literatury nie może dostrzegać faktu, że renoma pisarzy jest stale konsekwencją renomy ich krajów.

Skandynawskie wyjątki

A sukces literatury skandynawskiej?

Przed wszystkim Skandynawia to nie jest jeden mały kraj, ale cztery, znaczne przestrzenia, które w sumie stanowią pokaźną część Europy.

Pyzatej burżuazji z końca XIX wieku, groźna, ponura, okrutna literatura skandynawska dostarczyła takiegoż dreszczyku emocji co paryski Grand Guignol. To podnieca – raz, na krótko... Sukcesik skandynawski trwał tyleż co przewrócenie kartki. Zapomniani są dziś Ibsen, Strindberg, Hamsun and Co. Zainteresowali swą

odrębnością, swym tragizmem – jak węzowo pokręcona oliwka przykuje czasem wzrok. Ale to nie jest drzewo, które by się chciało mieć w swym parku.

Ustanowienie przez Szweda nagrody Nobla – tak kolosalnej, tak pożądanej w owych czasach – przyczyniło się też wybitnie do rozgłosu piśmiennictwa skandynawskiego.

Wreszcie – i to zapewne najważniejsze – Niemcy zaanektowały literaturę skandynawską. To potężne, rozpychające się w Europie Niemcy rozstawiły literaturę skandynawską, narzuciły ją światu. Wyjątkowy to w dziejach wypadek, by wielkie państwo, zamiast swoich pisarzy, lansowało autorów sąsiedniego narodu.

Moda skandynawska skończyła się dawno. I bardzo wątpliwe, by w skarbcu literatury światowej, obok greckiej, rzymskiej, francuskiej, rosyjskiej, angielskiej – utrzymała się na wieki i literatura skandynawska.

Zautki – zaścianki – podwórka

Częsty zarzut stawiany polskim pisarzom:

– Nie chwytają na świecie, bo są wyłącznie polscy i tak prowincjonalni.

A jacyż mają być? Esperanccy i księżycowi?

Gdy Prus pisze w „Lalce” o Krakowskim Przedmieściu – to jest nudne. Ale gdy Victor Hugo rozwodzi się w „Nędznikach” o Petit Picpus – to jest pasjonujące!

To nie „Lalka” jest gorsza od „Nędzników”. Tylko, niestety, Warszawa nikogo nie frapuje, a Paryż – wszystkich.

Nikogo nie obchodziły Lipce, Borynowie, polskich „Chłopów” nikt nie chciał czytać. Ale Londyn, Forsythowie, angielska *middle-class* interesowały cały świat. I na 7-tomowe gładzenie Galsworthy’ego rzucano się jak na objawienie.

Co mogła zdziałać Orzeszkowa ze swym Niemnem? Nudna rzeka, nieważna... Co innego, gdy Mark Twain pisał o Mississipi, czy Gorki o Wołdze. Aaa, to ciekawe rzeki!

I Żeromski nie przebił się w świat, bo Kielce i Nałęczów odstręczały z miejsca, i Fredro nie wyszedł poza opłotki, bo niby dokąd z polskim dworkiem i wąsatym szlagonem, i Tetmajer się nie spodobał, bo żebyż to było o Alpach, a nie o Tatrach...

Nawet super-arcydzieło, „Pan Tadeusz”, nie wśliznęło się do literatury światowej. Litwa je zatłukła! Gdyby zamiast Soplicowa było Sans Souci, a zamiast Nowogródka – Neufchatel, to Homera, Wergiliusza i Mickiewicza wymieniano by jednym tchem.

Oczywiście, że „Trylogia” i „Krzyżacy” to najlepsze książki Sienkiewicza. Lecz sławę światową przyniosło mu dopiero „Quo Vadis”. Słabsza książka, ale o tych olśniewających Rzymianach, nie o jakichś umorusanych Polakach.

Ludzie nie chcą czytać o małych kraikach! Zaułki Paryża, New Yorku i Londynu interesują, a główne bulwary Bukaresztu, Sofii czy Belgradu – śmiertelnie nudzą.

W latach 20-tych wypłynął we Francji wspaniały talent rumuński – Panait Istrati. Niby chwycił zrazu... Lecz pisał o Braili i Galacu. Nikt nie chciał wiedzieć, że te dziury w ogóle istnieją. Wnet poszedł na przemiał.

Świat nie chciał czytać o Polsce akurat z taką stanowczością jak Polska nie chciała znać literatury swych skromniejszych sąsiadów. Żaden polski wydawca nie tknął przekładu z rumuńskiego, czeskiego, serbskiego czy litewskiego. Wiedział, że taka książka nie pójdzie! Dzienniki drukowały w odcinku szmiry tłumaczone z francuskiego czy angielskiego – ale za Boga nie ruszyły powieści węgierskiej lub estońskiej. Nakład by spadł!

Polacy nie są ciekawi Albanii. Co się dziwić, że Ameryka nie jest ciekawa Polski.

Tłumaczenia

Ta doniosłość przekładu, to gruba przesada.

Nikt nie czytał Pisma Św. w aramejskim oryginale. Ale tłumaczenia ze złego łacińskiego przekładu wystarczyły w zupełności, by uczynić z Biblii bezkonkurencyjnego w dziejach best-sellera.

Shakespeare nie był tłumaczony na polski z angielskiego. Nasi tłumacze, z Kasprowiczem włącznie, nie umieli po angielsku i robili swe przekłady z niemieckiego. I mimo to Polacy odczuwali geniusz Shakespeara.

Pierwsze przekłady dzieł rosyjskich na francuski były okropne. I wywołały zachwyty Francuzów.

Żaden tłumacz nie fatygował się uczyć szwedzkiego języka. Cała literatura skandynawska poszła w świat – z niemieckiego. I wystarczyło.

Gdy polski autor przedstawia angielskiemu wydawcy rękopis, słyszy stereotypowe westchnienie:

– Świetna książka... Chętnie bym wydał... ale niestety przekład jest zły...

Oczywiście nieprawda. Polski temat zraża wydawcę – nie przekład. Niech by się zjawił jakiś uciekinier sowiecki, jakiś nowy Krawczenko – najszkaradniejsza angielszczyzna jego rękopisu nie zniechęciłaby tuzinów wydawców.

Jest dziś paczka doskonałych tłumaczy z polskiego na angielski i armia poprawnych. Nie mogą zużytkować swej umiejętności, bo angielski czytelnik tyleż pragnie polskiej książki co rozwolnienia.

Polski happy-end

Nie trzeba być wielkim jasnowidzem, by przewidzieć jaka powieść ma dziś szanse obiegnięcia świata.

Niemiecka powieść o czasach hitlerowskich, naturalnie.

Remarque był dobrym pisarzem. Ale „Na Zachodzie bez zmian” zawdzięczało swe fenomenalne powodzenie przede wszystkim temu, że wszyscy byli ciekawi tej armii niemieckiej, która przez cztery lata walczyła z całym światem.

Podobnie dziś piekielna moc Niemiec hitlerowskich wciąż dziwi, fascynuje...

Nawet najlepsza powieść o francuskiej Résistance nie chwyci. Żaden temat. Kogo obchodzą te drobiazgi?

Ale przeciętna powieść rosyjska mająca za wątek obronę Stalingradu – może zrobić furorę. Ta dramatyczna zmiana sytuacji... z katastrofy w triumf... to temat – samograj!

Happy-end nie jest wynalazkiem Hollywoodu. To odwieczny trick. Już Homer go stosował. Best-seller powieściowy musi mieć *happy-end*.

Trudno oń dzisiaj w polskim życiu. Wrzesień. Powstanie Warszawy, całe A.K. – dostarczają czegoś wręcz przeciwnego. Więc chyba tylko ten wątek się nadaje:

Szlachetny Polak mieszka sobie błogo w ojczyźnie... buduje białe sławki... ma komplet dzieł Piłsudskiego na odstraszanie

sekwestratorów... Wrzesień... kruszy mu się w dłoniach kopia, którą dźgał w tanki niemieckie... okupacja sowiecka... wywózka na Kołymę... łagry... armia Andersa... Masz, marsz z Syberii do Italii... bitwy, boje, Monte Cassino... zwiedzanie muzeów rzymskich.... czytanki w bibliotece Bolonii... i wreszcie ten cudowny *happy end* – przyjazd do rozkosznej Anglii... otrzymanie Assistance Board... możliwość kupowania co miesiąc *Kultury*!!!

Kultura nr 4/78, 1954

O pisarzach i redaktorach

Niedawno na łamach londyńskich *Wiadomości* wyładowałem nieznaczną część mych żalów pod adresem ich redaktora, Dr M.Grydzewskiego. Dzisiaj chciałbym tę polemiczną serię kontynuować, rzucając dość beładnie różne zastrzeżenia, uwagi, rady, które mi przychodzą na myśl, gdy kartkuję prasę i wydawnictwa bądź to w kraju, bądź na emigracji. Będzie to więc najtypowszy, jak mówią Anglicy, *shop talk*. W skromnych dawkach i on jest potrzebny, a nawet konieczny. Ale oczywiście, ci, których problemy pisania i drukowania nie interesują, powinni tych stron nawet nie rozcinać. Hop – i do filozofów, do marksistów i antymarksistów, do rozważań o „Zamku” i „TRJN”, o „prezesie” takim czy innym itp.



W mojej węższej i właściwej specjalności, to znaczy w polityce gospodarczej, słyszę i słyszałem zawsze teorie o „rozkwicie” Polski, o zbawienności posunięć jej kolejnych rządów. Przed wojną bieda aż piszcziała, ale na łamach prasy, przekupionej przez Kwiatkowskiego, czytało się ciągle bajki o „COP’ie”, o przeobrażeniach, które tych kilka fabryczek wywoła w Polsce, itd. COP był marnotrawstwem; te same pieniądze, zużyte na budowę dróg, regulację rzek, elektryfikację kolei, a nade wszystko kanalizację i modernizację naszych miast i miasteczek, znacznie bardziej przyczyniłyby się do podniesienia stopy życiowej i uprzemysłowienia Polski. Po wojnie, ileż to razy słyszałem: „Ustrój komunistyczny jest zły, ale na szczęście Polska się uprzemysławia, nadrabiamy zaległości, Polska staje się czwartym

czy piątym mocarstwem przemysłowym Europy etc.”. Nawet Żydzi niemieccy, uchodzący za tak zwanych ekspertów od Wschodniej Europy, cmokali: „Ten Minc, to mądry, proszę pana, mądry, ach co to za gospodarz!” Pamiętam, jak w „Głosie Ameryki”, gdzie musiałem pracować na ubożuchny i ciężki kawałek chleba, nie mogłem wyjaśnić moim nieszczęsnym szefom, że Polska znajduje się na dnie nędzy i dekapitalizacji, że całe to gadanie Minca *and company* o uprzemysłowieniu jest lipą. Nie, z uporem twierdzili, my mamy informacje, że postęp gospodarczy jest bardzo duży, że rzeczywiście powstaje wielki przemysł itd. Potem Gomułka sam przyznał, że wszystkie cyfry Minca i jego adlatusów były fałszywe. Dzisiaj sytuacja wygląda bardzo podobnie. Napiszę o tym obszerniej, ale innym razem. Na razie chcę tylko stwierdzić, że źle się przysługiwał Polsce ten, kto bezkrytycznie powtarzał czy za sanacji czy w czasie ery komunistycznej blagi i przechwałki oficjalne, uczciwie służył Polsce i jej przyszłości ten, co nie żałował najczarniejszych kolorów, by przedstawić potworną sytuację gospodarczą Polski i tragiczną nędzę jej ludności.



Analogicznie uważam, że złą przysługę oddaje ten, kto z uporem twierdzi (jak się to przyjęło w całej naszej prasie krajowej i emigracyjnej), że Polska ma moc nowych talentów, doskonałych piór, że ma świetne pisma, wspaniałych redaktorów, wyborną prasę, a przede wszystkim, że „młodzi”, pod przewodem rześkich i żwawych pięćdziesięciolatków, dają gwarancję zbliżania się nowego wieku złotego. Tak nie jest, tak wcale nie jest. Prasa polska w kraju sprawia wrażenie urzędniczej nudy, szarości, odwalania zamówionych „kawałków”, kręcenia się dookoła własnego ogona, jałowych sporów, talmudycznych dyskusji, a przede wszystkim jest beznadziejnie prowincjonalna. Nasza prasa emigracyjna jest trochę mniej prowincjonalna, ma nieco szerszy oddech, ale też choruje na zakłamanie, na kapliczkowość. Zresztą, co to za prasa? Prasa polsko-amerykańska, która jeszcze przed wojną miała wielkie nakłady i, jak na rozpaczliwe polskie stosunki, duże zasoby finansowe, obecnie ledwie dyszy; jej koniec jest bliski. Upadła, bo obniżając poziom do tego co się jej wydawało, że jest poziomem czytelników, straciła ich niemal wszystkich; czytelnik jest prawie zawsze mniej głupi, mniej niewykształcony,

mniej wulgarny i mniej prostacki, niż sobie to redaktorzy pism „popularnych” wyobrażają. Pisma bardziej intelektualne popełniają niemal równie wielki błąd, utożsamiając poziom z nudą, kulturę z faktologią czy faktomanią; w rezultacie gładzeniem odstraszały czytelników. Dewizą polskich redaktorów, gdy chodzi o gusty ich czytelników, jest odwieczne: „świnia wszystko zje”. A jednak nie zawsze. Na emigracji aż roi się od pisemek, które są za słabe, by móc się utrzymać, by móc płacić jakiegokolwiek honoraria, by dbać choćby o minimum poziomu; ich publikacja jest równoznaczna z wyrzucaniem pieniędzy przez okno na wyłączny benefis drukarenek i linotypistów. A z dwóch jedynych na emigracji czasopism literackich, jedno zawsze robi wrażenie organu związku belfrów, drugie związku studentów. Jedno choruje na belferskie besserwiserstwo, przyczynki i przecinki, drugie na „genialne” pomysły ludzi, którzy po raz pierwszy dorwali się do słowa drukowanego. Jedno choruje na sklerozę, drugie na wysypkę.



Jakie rady dawać młodym pisarzom, tym z kraju zwłaszcza? Wydaje mi się, że niektóre można – pomimo oczywistego niebezpieczeństwa wszystkich uogólnień – zaryzykować. Przede wszystkim liczba młodych literatów musi być ograniczona. Pewne ekwilibrium jest podstawową zasadą wszelkiego ładu i porządku społecznego. Nieszczęściem Polski było, że nigdy nie chciała tego prawa wielkich liczb uznać. W swoim czasie naprodukowaliśmy więcej szlachty, niż jakiegokolwiek inne państwo na świecie, ze znanymi skutkami. W okresie międzywojnia wyprodukowaliśmy, jak na nasze zasoby, bodajże maksymalną ilość inteligencji, znowuż z opłakanymi skutkami. Dzisiaj Polska „Ludowa” poszła jeszcze dalej po tejże zgubnej drodze. Na Uniwersytecie Jagiellońskim setki młodzieży studiuje historię sztuki; z czego ta młodzież ma później żyć? Zawsze pamiętam, jak na pierwszym roku prawa w Krakowie stary Estreicher, postrach studentów, mówił do kandydatów, którzy obcinali się na egzaminie: „Proszę pana, żadna praca dzisiaj nie hańbi, Pan Bóg odmówił panu umysłu prawniczego, z tego nic nie wyjdzie, ale może będzie pan doskonałym rzemieślnikiem, niech pan da spokój prawu i rozglądnie się za innym zawodem”. W ten sposób stary Estreicher

oddał ogromne usługi wielu studentom („akademikom”, jak się błędnie i bezsensownie mówiło w Krakowie), a wielu innych powinno było sobie pluć w brodę, że nie poszło za radami tego średniowiecznego bakalarza, który nie był wielkim uczonym, ale za to doskonałym pedagogiem i wykładowcą, nie mówiąc o jego zasługach politycznych i bibliograficznych. Otóż tak samo wobec młodych pisarzy powinni się zachowywać redaktorzy pism i ich surogaty, to znaczy kierownicy radiostacji itd. Powinni setkom tych młodych mówić: „Na pisarza się pan nie nadaje, na dziennikarza się pan nie nadaje, niech pan się rozglądnie za inną uczciwą pracą, póki czas, bo potem będzie za późno, i będzie pan zachwaszczał polską prasę przez pół wieku albo i więcej”. Może czasem takie stawianie sprawy zmarnuje jeden czy dwa talenty, ale za to uratuje Polskę od tysięcy grafomanów, półinteligentów i nudziarzy.



Druga rada – przede wszystkim dla adeptów powieści, literatury pięknej. Powieściopisarz musi nabyć możliwie dużo bagażu doświadczeń życiowych, bo przecież nowela czy powieść jest prawie zawsze przejrzystą transpozycją własnych doświadczeń; inaczej wątek „natchnienia” na długo nie starczy i będzie zawsze podejrzany: całość będzie sztuczna, przesadna. Realia powieści muszą zawsze opierać się na osobistych przeżyciach. Niestety prawie zawsze w Polsce autorzy dysponują tylko dwiema kategoriami przeżyć: z „lat dziecinnych” oraz z lat wojennych. Te pierwsze dały nam wspaniałe opisy przyrody, „Pana Tadeusza”, „Chłopów”, „Sobola i Pannę”; są to rzeczy bardzo piękne, ale w końcu ten *genre* stał się nieco jednostajny. Gorzej jest z tą „wojenką”, a ostatnio z tymi strasznymi przeżyciami wojennymi, obozami, podziemiem etc. Koncentracja wszystkich talentów na jednym typie przeżyć uczyniła je niestrawnymi, tak jak w innej dziedzinie nadmiar ex-komunistów, spowiadających się ze swych rozczarowań sprawił, że literatura tego typu straciła dla szerokiej publiczności wszelką atrakcyjność; osobiście uważam, że Koestler powiedział wszystko co było na ten temat do powiedzenia, i że jego następcy i naśladowcy byli zupełnie zbyteczni. Pisarze muszą szukać innych źródeł natchnienia, innej tematyki. Muszą więc mieć jakieś inne przeżycia, z których by mogli wyciągnąć wątek swych powieści czy nowel. Osobiście, może słusznie, może błędnie, nie

będę się o to spierał, uważam Józefa Mackiewicza za największy talent nowelistyczny dzisiejszej Polski i przypuszczam, że znaczną część tego wielkiego talentu zawdzięcza on swym doświadczeniom, jako drwal i woźnica w latach 1939-41. Właśnie ten okres mu dał i te niezrównane realia, i głęboką znajomość duszy ludzi prostych, małych, biednych, niepiśmiennych. Tutaj wtrąć nawias, choć zdaję sobie sprawę, że powinien się on ukazać nie w *Kulturze*, ale w *Wiadomościach*; ale skoro wiem, że Dr Grydzewski nigdy mi tego nie wydrukuje... Otóż mając wielki, największy nawet respekt dla twórczości literackiej J. Mackiewicza, pragnę i muszę podkreślić, że jego pseudo-publicystyka wydaje mi się równie prymitywna, nudna, niesmaczna, jak hakatystyczne, obrzydliwe listy i artykuły ks. Kantaka. Gdyby Kantak był osobą świecką – z Panem Bogiem. Niech by sobie pisał co chce. Ale obrzydliwość polega na tym, że Kantak jest księdzem, powinien być reprezentantem religii miłości biźniego, wybaczenia uraz, Kościoła ponadnarodowego. I on właśnie szerzy najobrzydliwszy rasizm na poziomie Streicherów, Hitlerów i Rosenbergów. W swoim czasie zaproponowałem Dr Grydzewskiemu 10 funtów, jeżeliby mógł mi zacytować niemieckiego katolickiego prałata, który by tak pisał o Polakach jak ks. Kantak pisze o Niemcach. Oczywiście nie mógł, bo takiego na szczęście nigdy nie było. Jako Polak i jako katolik wstydzę się ludożerczej nienawiści, która będzie plamić Polskę tak jak pamięć o żydożerstwie innego księdza, Trzeciaka, po dziś dzień plami Kościół polski w oczach i sumieniach wszystkich uczciwych Polaków. W porównaniu z ks. Kantakiem Charles Maurras był szczytem dystynkcji i oględności, a jednak został on wraz ze swą „Action Française” słusznie wyklęty przez Stolicę Apostolską za głoszenie doktryn sprzecznych z nauką Kościoła. A przecież Maurras nie był osobą duchowną, nie był prałatem, więc jego przewinienia były bez porównania lżejsze.

Jeszcze jeżeli chodzi o ten zapas przeżyć, który musi zaopatrzyć pisarzy w kapitał pisarski na całe życie. Miłość, kobieta, zajmują tak ogromne miejsce w życiu, że nie można sobie wyobrazić *belles lettres* bez nich; rzecz jasna nie wolno utożsamiać miłości z erotyzmem, jak to czyni, niestety, inny Mackiewicz,

Stanisław, i to pomimo tak subtelnej i niepospolitej inteligencji. Znowuż niezmiernie uderza ubóstwo wrażeń z tej dziedziny we współczesnej literaturze polskiej. Pisarze francuscy omal bez wyjątku obracali się zawsze i obracają się nadal wśród śmietanki i elity kobiet francuskich; nawet taki brudas i obżartuch jak Balzac miał na rozkładzie tuziny hrabin i księżn. U nas pod tym względem było znacznie gorzej; nasze kobiety wołały dawniej szwoleżerów, a dzisiaj milionerów od najwybitniejszych pisarzy. Zawsze odnosiłem wrażenie, że ludziom, którzy kiedyś nie przeżyli naprawdę głębokiego uczucia czegoś brak, że są jacyś płytki, omal kaleki; bo tylko wielka miłość może dać tę sondę w obcą duszę, ten ogromny wysiłek w kierunku próby zrozumienia czyjejs psychiki, na który nas normalnie nie stać, bo to za trudne, za ciężkie; wolimy normalnie zadowolić się bilonem komunału. Ale na to mogą poradzić tylko Polki, nie my, mężczyźni. Obrazki miłosne w naszej literaturze pięknej przeważnie grzeszą irrealizmem, niedopieczaniem, mazgajstwem, albo znowu wpadają w trywialność, w wulgarność. Póki Polki się nie zmieniają, póty na te usterki nie będzie rady. To samo da się powiedzieć o życiu towarzyskim. Tworzą je kobiety, nie mężczyźni. Mężczyzna, choćby genialny, może napisać arcydzieło, nie stworzy salonu. Na salon trzeba pieniędzy, ale trzeba również wyrafinowanej, błyskotliwej pani domu. Nie mamy ich wśród siebie. I brak ten boleśnie się daje odczuwać w naszej literaturze. Sawantki, *bas bleus*, literatki, działaczki nie mogą tej luki wypełnić, bo chodzi tu o co innego. Chodzi tu o inteligentne, piękne, dowcipne, odcytane kobiety, które umieją słuchać, ocenić, ośmieszyć, zrugać, – albo wynagrodzić. Brzękiem złota, otwarciem drogi do stosunków i kariery, wielką miłością, frywolną rozpustą, bajkową podróżą, czasem krytyką, radą, wskazówką – ale nie recenzją, nie nudnym wykładem, nie naukową dysputą. Z literatury poznaje się kobiety danego narodu. Francuzki muszą być czarujące, zabawne, wesołe, figlarne. Rosjanki – brudne, nieznośne, ale jednak niezwykle. Polki – pełne cnót, ale z niemiecką przemądrzałą, pedantyczną i... nudną.

Teraz wielki problem: czy młodzież wychowana za granicą może pisać w ojczystym języku? Wydaje mi się to niemożliwe, oczywiście jeżeli chodzi o literaturę, nie o zwyczajne poprawne pisanie. Hłasko, jeżeli zostanie za granicą, może naturalnie pisać wyborną polszczyzną, aż do najpóźniejszej starości; bo język naprawdę wchłania się w dzieciństwie i we wczesnej młodości. Ale czy chłopak, czy dziewczyna może naprawdę opanować język polski, jeżeli szkoły średnie ukończył w Anglii czy Francji? Są być może wyjątki, ale chyba należą one do najrzadszych. Sam na sobie zawsze odczuwałem moje ubóstwo językowe, wpływające z faktu, że dzieciństwo spędziłem na Ukrainie, gdzie chłopci nie mówili po polsku; stąd moja polszczyzna, aczkolwiek poprawna, zachowała zawsze pewną sztywność, pewną banalność, pewną, że tak powiem, inteligenckość, która mi uniemożliwiła pokuszenie się o pisanie nowel czy tym bardziej powieści: poza publicystykę wyjść nie mogę. Pamiętam zawsze następujący epizod. Lat temu trzydzieści z górą cały Kraków kochał się w prześlicznej podkrakowskiej pannie. Nazywano ją Ola, Oleńka, Olunia. Kiedyś na AB spotkałem Andrzeja Zamoyskiego, który był inteligentnym chłopakiem, ale nigdy się kwestiami językowymi czy literackimi nie zajmował, natomiast w przeciwieństwie do mnie wychował się na wsi polskiej, w Wysocku, gdzieś pod Przemyślem. Więc spotykam go i mówię: „Wiesz, Ola jest podobno w Krakowie”. A ten na to: „Co, OLKA przyjechała!?” Po tylu latach, pamiętam z całą dokładnością, jak to chłopskie OLKA, to chłopskie KA w tym imieniu mnie uderzyło; nigdy tego zdrobnienia nie słyszałem, a czułem, że jest ono poprawne, zgodne z duchem języka, że płynie z soków żywotnych polszczyzny, a jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że choćbym zastanawiał się nad tym latami, to nigdy bym sam na tę „Olkę” nie wpadł. Otóż to są właśnie te drobiazgi, to wczucie się od urodzenia w tajemnice języka, które decydują o talencie literackim. Myślę, że młodzi Polacy, którzy przed 20-tym rokiem życia odrywają się od życiodajnych źródeł polszczyzny, tej przeszkody nie przeskoczą. Niech piszą po angielsku czy po francusku, czy po niemiecku, niech oczywiście starają się naszą literaturę przyswajać swym nowym ojczyznom – ale próby robienia z nich polskich pisarzy uważam za poronione. Ci, których poznałem, to co czytałem – nie skłaniało do żadnych nadziei, do jakiegokolwiek optymizmu.

A jak jest z odwrotną stroną medalu: z Polakami zamieszkałymi za granicą; czy mogą wejść do literatury swych przybranych ojczyzn? Znowuż wydaje mi się to arcywątpliwe. Jest wprawdzie Conrad; ale czy nie był on raczej fenomenem niż wielkim pisarzem? Czy gdyby się był urodził jako Smith czy Brown w Newbury czy Peterborough, byłby równie znany? Jego angielszczyzna wydaje mi się zawsze raczej wypracowana, przenicowana, wydaje mi się raczej szydełkową robotą, niż wielkim powiewem natchnienia, talentu, coś tak jakby angielskim ekwiwalentem Berenta, który jest też dobry, nawet bardzo dobry, bardzo finezyjny, kulturalny, wypolerowany, a jednak dużo gorszy od wielu innych bardziej rozwichrzonych, mniej poprawnych pisarzy. Oczywiście chodzi tu o naprawdę najwyższy poziom; bo poprawnym pisarzem w obcym, nabytym języku można zostać. Pod warunkiem jednak, że się tylko w nim pisze. Być wielkim pisarzem dwu- czy trójjęzycznym jest niepodobieństwem. Tak jak nikt nie może mieć dwóch dusz czy dwóch twarzy, tak samo można mieć tylko jeden język. Zgłębienie języka jest tak strasznie trudnym zadaniem, wymaga tak szalonej pracy, tyle czasu, tylu wysiłków, że człowiek, który by naprawdę władał dwoma czy trzema językami, mógłby tyle tylko osiągnąć, że w tych trzech językach nie miałby nic do powiedzenia. Poligłoci zwykle cierpią na brak prawdziwej dystynkcji stylu, a ich utwory są rozpaczliwie płytkie i banalne. Wydaje mi się, że na to nie ma rady.



Pisać z reguły można tylko w jednym języku, natomiast znać w mowie i piśmie powinno się jak najwięcej. Gdy dzisiaj, na starość, robię bilans mojego życia, bilans negatywny i ujemny, nieraz żałuję, że za młodych lat nie zapędzono mnie do tłumaczeń; wydaje mi się, że to najlepsza szkoła stylu, precyzyjnego słownictwa, jasności składni. Jeszcze dzisiaj, gdybym miał czas, gdybym nie był od rana do wieczora zaabsorbowany walką o byt, koniecznością próbowania utrzymania się na wodzie, zabrałbym się do tłumaczeń – i to klasyków francuskich, La Rochefoucauld na przykład, mistrzów zwięzłości. Żałuję bardzo, że nie jestem w stanie tłumaczyć tekstów łacińskich, tym bardziej greckich; myślę, że Mickiewicz zawdzięczał cały swój talent, całe swe

mistrzostwo językowe doskonałej znajomości łaciny. Tak samo u Wyspiańskiego znajomość greki stoi u źródła jego największych zdobyczy poetyckich. Podziwiam Wittlina, Wieniewskiego, że w obliczu najfatalniejszych warunków nie zrezygnowali z tłumaczenia Iliady i Odyssei. Myślę, że Hostowiec bez łaciny straciłby połowę swego wielkiego talentu, swej olimpijskiej powagi i obojętności na drobne incydenty współczesne, jak bolszewizm, wojny światowe i reformy walutowe. Specjalnie my, Polacy, potrzebujemy jak najwięcej tego klasycyzmu, bo jesteśmy zatruci i spaczeni rozwichrzonym romantyzmem. Na „Dziadach” nie można nikogo wychować i nauczyć pisać, można tylko wrodzony talent zmanierować. Trzeba naszym młodym ludziom kazać czytać Krasickiego, Trembeckiego, Morsztynów, od biedy nudnego Tarnowskiego, czy Kazimierza Morawskiego, czy Kalinkę, czy Bobrzyńskiego, bo u nich wszystkich można nauczyć się podziwiać ład, porządek, dyscyplinę słowa, kompozycję – a bez tego dobrego piśmiennictwa nie ma. Zabroniłbym młodym czytać Żeromskiego, Brzozowskiego, Irzykowskiego, Chołoniewskiego, Sieroszewskiego. A w pierwszym rzędzie zapędziłbym ich do tłumaczeń. I to wcale nie Eliota, czy Ezra Pound. Nie, Rzymian i Greków, a potem Francuzów. Musimy nasz język i nasze umysły wziąć w karby, nasze pióra nauczyć zwięzłości, oszczędności słowa, jasności, dokładności, porządku, harmonii, kompozycji. Tak jak polityka gospodarcza musi stale posuwać się wąziutką ścieżką między inflacją i deflacją, tak język literacki musi stale balansować między dwiema przepaściami – kwiecistości i ubóstwa, baroku i chropawego prymitywu, fiorytur i prostactwa, esów-floresów i utylitarne funkcjonalizmu. A zawsze i język i pisma muszą się wystrzegać najgorszego wroga, najgorszej zasadzki: nudy.



Inny problem, wobec którego stoją ludzie pióra – to to czy należy być płodnym, czy też raczej oszczędzać swe siły i mieć bardzo niewielką wydajność. W dużej mierze zależy to od redaktorów i wydawców; nic bowiem nie może być z reguły bardziej dla talentu szkodliwe, jak „pisanie dla siebie”: to pisanie na własny użytek – a nie do druku, z myślą o możliwie jak najszybszej publikacji –

normalnie prowadzi prosto do grafomanii. Normalnie, bo wszędzie i zawsze są wyjątki.

Osobiście nie wątpię ani chwili, że lepiej pisać za dużo, niż za mało. Pisanie jest RZEMIOSŁEM, i jak każdego rzemiosła można się go nauczyć tylko wprawą, tylko przysiadaniem fałdów, tylko regularnością pracy. Pamiętam, że kiedy zabrałem się do pisania, z początku „tylko sobie a muzom”, gdzieś na pierwszym roku Uniwersytetu, tom w mej krakowskiej izdebce czekał na „natchnienie”; gdy nagle czułem się już dostatecznie spocony, pewno od brudu czy zaduchu, to wówczas z pałającymi policzkami rzucałem się na jakiś kajet, oprawny w ceratę, i zapisywałem go kilometrami jakichś nieopisanych bredni, a potem zanudzałem wszystkich znajomych, czytając im te „arcydzieła”, – póki, klnąc, nie zdołali uciec. Na szczęście, już na ławie uniwersyteckiej dostałem się do redakcji *Czasu* i tam nauczyłem się pisać do druku, a więc z myślą o czytelniku; a te głośne rozmyślenia, te „dzienniki” pisane niby dla siebie – wszystko to w końcu jest nie do zniesienia. Nadmiar produkcji literackiej prowadzi do pewnej powierzchowności, ale wolę ją od napuszoności tych, co pisują raz na rok, czy choćby raz na tydzień, bo tym się zawsze wydaje, że odkrywają jakieś odwieczne prawdy, choćby pisali tylko o bólu brzucha. Uważam, że ci co piszą artykuły powinni pisać jeden dziennie, inaczej ich pióra rdzewieją. Tak samo literaci *sensu stricto* muszą pisać regularnie. Bierzmy przykład z Francuzów: dzieła zebrane prawie każdego francuskiego pisarza obejmują kilkadziesiąt tomów. Lenistwo jest największym wrogiem dobrego piśmiennictwa, jeszcze większym od braku talentu.



Gdyby mnie zapytano, kogo ze współczesnych emigracyjnych pisarzy najbardziej szanuję jako człowieka, bez wahania powiedziałbym, że Zygmunta Nowakowskiego. Ten człowiek stary, schorowany, prawie ślepy nie daje za wygraną, ale ostatkiem sił walczy, by nie stoczyć się do upodlającej roli, która polega na tym, że żyje się z dobroczynności, z zasiłków, z jałmużny. Nowakowski kiedyś mi mówił: czasem jestem już tak zmęczony przy mojej maszynie, że już naprawdę nie wiem ani co, ani dla kogo piszę. I sam go widziałem, jak w studio „Wolnej Europy” ten

cień człowieka strzepił resztki oczu, by jeszcze raz poprawić swój manuskrypt, i resztki głosu, by odczytać go przed mikrofonem. I jednocześnie porównuję Nowakowskiego z innym znajomym o dwadzieścia lat młodszym, nawet zdolnym i wykształconym człowiekiem, ale zdeprawowanym latami sanacji, latami partyjnej działalności, a teraz latami polityki kawiarnianej, i który żyje z jakiegoś Assistance Board, bo powiada, co innego mogę robić? Może jestem dziwakiem, ale bezczynność by mnie zabiła. Jeżeli nie potrafię utrzymać się z pióra, to zostanę robotnikiem albo się utopię, ale nie rozumiem jak można dobrowolnie siebie skazywać na to wieczne próżnowanie i bezrobocie, nie wierzę ani w brudasów, którzy na strychu rzekomo produkują arcydzieła, ani w emerytów, którzy ratują i zbawiają Polskę na innym strychu, kłócąc się z drugim takim samym wariatem. Znałem Doboszyńskiego jeszcze z Krakowa, ale bardzo mało, i właściwie dopiero u schyłku 1944 r. raz jeden przegadałem z nim omal całą noc w Oxfordzie. Pamiętam moje osłupienie, gdy ten człowiek bez portek, bez pisma, bez organizacji wywodził mi, że bez niego nikt nie potrafi Polską rządzić i że Bielecki jest jedynym człowiekiem, który mu jeszcze stoi na przeszkodzie na drodze do władzy. Można admiringować podobne halucynacje; ja je uważam za potworne dowody obłądu.



Jeszcze jedna uwaga: uważam, że powieściopisarze powinni dzisiaj unikać powieści, a koncentrować się na noweli, i to możliwie zwięźlej. Publiczność czytająca powieści zanikła. Składała się ona głównie z rozpróżnionych kobiet; a dzisiaj te kobiety muszą pracować, muszą zastąpić nieistniejące służące, muszą prowadzić gospodarstwo domowe, muszą prowadzić samochód, znać się na podatkach, naprawiać radio i telewizję itd., itd. Nie mogą się więc roztkliwiać nad dwoma tomiskami Anny Kareniny, jak to robiły nasze matki; nie mają na to czasu. *A fortiori* mężczyźni. A poza tym jeszcze jedna rada dla naszych młodych wieszczów: w literaturze obowiązuje ta sama zasada co w businessie – popłaca nowy POMYSŁ, kto pierwszy na taki nowy pomysł wpadnie i go wyzyska, ten robi karierę. Ja, w mojej suterenie (którą jest w świecie literackim publicystyka), od rana do wieczora myślę, jak trafić na nową myśl, na temat oryginalny, przez nikogo jeszcze nie obrobiony, jak uniknąć banału,

sztancy, nudy. Tym bardziej niech się nad tym stale zastanawiają lokatorzy bel-etażu, a więc adepci literatury pięknej, tej, która ma przyprawiać serduszka eterycznych panienek o dreszcze. A tymczasem ta nasza młodzież ciągle się babra w sierżantach, i bojach, i atrocitasach, i Westerplatte, i Podziemiu, i Armii Krajowej, i łagrach, i komunizmie, i marksizmie etc., etc. Ależ drodzy panowie, te ścieżki prowadzą tylko do pustyni, do pustkowiec; nikt, ale to nikt nie chce dzisiaj o tym słyszeć i czytać. Szukajcie czegoś nowego, i to szukajcie rzeczy prostych. I bierzcie przykład z Jana XXIII, który odniósł największy sukces *publicity* bieżącego stulecia, uzyskując na całym świecie maksimum popularności w ciągu jednego dnia, bijąc pod tym względem wielkiego poprzednika, który formatem i kalibrem go wielokrotnie przerastał. Cóż to był za pomysł, to jajko Kolumba? No przecie, odwiedzenie więzienia. A jaki prosty! Tylko trzeba było na ten pomysł wpaść. Tak samo i przed młodymi literatami stoją miliony możliwości, miliony wytrychów do sławy i kariery. Ale trzeba wyjść, trzeba się wyrwać spod tyranii tych dwóch straszliwych, śmiertelnych wrogów każdej dobrej publicystyki, każdej literatury: konformizmu i banału. Trzeba zerwać z utartym szlakiem.



I jeszcze jedna rada, niejako intymna. Jak pisałem już poprzednio, pisarz, literat, intelektualista POLSKI nie może sobie pozwolić na założenie rodziny. Na ten luksus go nie stać. Będzie szczęśliwy, jeżeli zdoła samego siebie utrzymać przy życiu; ale o tym, by mógł jeszcze utrzymać żonę i dzieci nie wolno mu nawet marzyć. Nie jest przypadkiem, że Zespół *Kultury* składa się z samych ludzi bezdziejnych; gdyby bracia Giedroycie, rodzeństwo Czapskich, Hertzowie, Mieroszewski byli otoczeni licznym „drobiazgiem”, gdyby na 91, avenue de Poissy w Maisons Laffitte rozlegał się szczebiot tuzina dzieci, nie byłoby *Kultury*. Podobnież żonaty i dzieciaty Dr Grydzewski nigdy by nie zdołał utrzymać *Wiadomości*, Mickiewicz-kawaler był wielkim poetą; Mickiewicz-żonaty był już tylko wieszczem, ale pisać nie mógł, bo był przytłoczony troską o wychowanie sześciorga dzieci. Poeta, pisarz, nawet publicysta ma moralne prawo żądania od ubożego polskiego społeczeństwa, by dało mu możliwość płodzenia arcydzieł, ale nie może jednocześnie żądać, by

toż społeczeństwo dało mu okazję i środki dla płodzenia dzieci. Rodaku-poeto, śpiewaj uroki celibatu; rodaku-powieściopisarzu, opisz dzieje samotników; rodaku-publicysto, stań się heroldem Malthusa!

•

Czas już przejść z autorów do redaktorów. Zacznijmy od tych krajowych. Wiem oczywiście, jak ciąży na nich cenzura, jak uginają się pod ciężarem nakazów i zakazów. Ale jednak, czyż nie mogą czegoś zrobić, by swe pisma ożywić? W stosunku do nas, emigrantów, korzystają z jednego, ale ważkiego awantażu: nie stoją wobec straszliwej nędzy, mają środki, mogą płacić współpracownikom honoraria, które pozwalają żyć, a nie jakieś grosze, które nie mogą zapewnić nawet najskromniejszego minimum utrzymania. Kariery i honoraria krajowe St. Mackiewicza, Słonimskiego i innych wywołują też wrażenie, że władcy komunistyczni znacznie lepiej się orientują w HIERARCHII talentów od czynników obcych, które np. finansują sekcje polskie radiostacji zagranicznych. W każdym razie w instytucji amerykańskiej, w której byłem zatrudniony przez siedem lat, nikt o tej HIERARCHII pisarskiej, znacznie bardziej realnej (bo dużo trwalszej) od hierarchii urzędniczej, nie miał najmniejszego pojęcia.

Swoboda pisania prasy krajowej w sprawach politycznych jest bardzo ograniczona, ale czy na innych polach jest równie skrupowana? Czy układ pism krajowych musi być równie przestarzały, równie nudny? Czy tytuły muszą być równie napuszone lub nic nie mówiące? Czy kobyłastość artykułów musi stale wywoływać wrażenie, że nieszczęśni współpracownicy są płaceni od wiersza? Czy druk musi być tak opłakany? Czy papier musi być tak lichy? Czy czcionki muszą być równie blade i jednostajne? Czy fotografie muszą być tak marne? Czy dowcip musi być zawsze tak wulgarny i płaski? Czy styl musi być zawsze tak rozwlekły i zawikłany? Czy nie ma sposobu stworzenia sieci wyrobionych, doświadczonych, sprawnych, sumiennych korespondentów zagranicznych, trafnie i dokładnie relacjonujących ewolucję obcych krajów, choćby naszych sąsiadów, choćby Sowietów? Czy nie można wyhodować sztabu reporterów, zdolnych do żywego, obrazowego opisu, obrazku rodzajowego, ciętej narracji? Czy nie można poważnie,

a jednocześnie lekko, poruszać takich spraw, jak prostytutka, przeludnienie, zmiany języka, zmiany obyczaju, podróże, wczasy, życie obyczajowe? Generalnie wrażenie, które odnoszę z lektury prasy krajowej, to po pierwsze, iż jest to kosz na śmiecie, drukowanie na chybił-trafił wszystkiego, co do redakcji trafia bez żadnej próby selekcji i pomysłowości, a po wtóre, przez lenistwo umysłowe, przez brak pomysłów i myśli, akceptowanie kobyl „ideologicznych”, byleby zapełnić łamy pisma. Przeciążenie niestrawną pseudo-filozofią jest cechą charakterystyczną pism niemieckich, a my byliśmy i przed wojną, i jesteśmy i dzisiaj tym złym wzorom niemieckim (pomimo całej naszej przysięgłej germanofobii!) wierni.

Redaktorzy krajowi mają – tak samo zresztą jak redaktorzy prasy emigracyjnej – obowiązek czuwania nad czystością języka, który jest naszym wspólnym skarbem. Oczywiście nie rozumiem przez czystość języka niewolniczego trzymania się przepisów Kryńskiego, czy tym bardziej spolszczania słów cudzoziemskich, jak to z uporem robi Dr Grydzewski. I tak zamierzam napisać całą rozprawę, w której wytłumaczę, że „import” nie jest tym samym co „przywóz”; ten ostatni zwrot obejmuje nie tylko import oclony, ale także towary wwieszone przez podróżnych, sprzęt wojenny, który normalnie w statystykach handlu zagranicznego nie figuruje, dary, paczki i przesyłki filantropijne itd. Jeżeli więc piszę „import”, mam na myśli import a nie przywóz. Tak samo, gdy piszę „koegzystencja”, to nie można tego terminu zmieniać na „współistnienie”. Termin łaciński implikuje element WOLI, który nie istnieje w rzekomym ekwiwalencie słowiańskim. I tak „współistnienie Niemiec i Polski” oznacza tylko prawdę geograficzną, natomiast „koegzystencja Polski i Niemiec” oznacza, że te dwa państwa czy narody powinny dołożyć starań i wysiłków dla stworzenia znośnego *modus vivendi*. I jaka korzyść z tego spolszczania? W londyńskim *Dzienniku Polskim* Dr Szpidbaum napisał zajmujące studium o chorobach serca, ale niepotrzebnie je oszpecił, zastępując powszechnie znane nazwy chorób jakimiś fantazyjnymi nowotworami; i tak dyfteryt, wszystkim doskonale znany, zastępuje jakąś „błonicą”, anginę pectoris nie mniej dziwaczną „dusznicą” itd. Inni Polacy zastępują międzynarodową „energię atomową” jakąś nieprzyzwoitą i głupią (i znowuż bezwiednym germanizmem) „energią jądrową” (*Kernenergie*). Po co i dlaczego? Ale obok tej śmiesznej i szkodliwej „polonizacji”

są zadania istotne, od których redaktorzy krajowi się niestety uchylają. I tak np. czytałem na łamach prasy krajowej dłuższe wywody p. Oskara Langego, uchodzącego za tak zwanego czołowego marksistę w Polsce. Niezależnie od tego, jaką wartość reprezentują jego recepty gospodarcze, trzeba z całym naciskiem stwierdzić, że muszą one być naprzód przetłumaczone na normalną, poprawną polszczyznę, bo Lange pisze żargonem, od którego robi się każdemu niedobrze. Nie wierzę, by język zawily ukrywał głębokie myśli; mistrzostwo stylu polega w każdym razie na przekładaniu myśli trudnych na język prosty. Za moich studenckich lat pisałem rozprawę o Hoene-Wrońskim (który jak wiadomo pisał tylko po francusku), i wszystko co z jego wytorturowanych zdań utkwiło mi w pamięci, to to, że przed zabranieniem się do pisania swych węzów morskich o „uniwersalizmie” powinien był na pamięć nauczyć się Pascala. *La clarté, la clarté française* – oto czego nam nade wszystko potrzeba w literaturze, filozofii, publicystyce. Precz ze wszystkim co ciężkie, co zawile, co rozwlekłe, co przemądrzałe, co niezrozumiałe, co nudne, co niestrawne! Proust rodzi się raz na sto lat. Jego stylu nikomu rekomendować nie można. Redaktorzy nie mają i mieć nie mogą wpływu na zjawianie się geniuszów; to sprawa przypadku. Ale mogą mieć wpływ, i mają go, na istnienie dobrej przeciętnej. To już wystarcza. Francja jest krajem o doskonałej przeciętnej w każdej dziedzinie, Sartre nie jest ani wielkim pisarzem, ani głębokim myślicielem, ale wystarcza otworzyć jego pierwszą lepszą powieść, by już u dołu pierwszej strony stwierdzić, że to człowiek, który zna swoje rzemiosło. A u takiej Daphné du Maurier czy innych bab angielskich, cóż dopiero polskich, nawet po stu stronach jeszcze się nie wie, o co chodzi.



I wreszcie parę słów o naszych redaktorach emigracyjnych. Cóż – są oni przede wszystkim tak straszliwie biedni i ubodzy, że właściwie nie można im stawiać żadnych wymagań. Każdy z nich jest w swoim rodzaju geniuszem, że potrafi jakimś cudem wiązać koniec z końcem, że pcha jakoś swą taczkę, rozporządzając środkami stokrotnie mniejszymi od najuboższej radiostacji – Belgradu czy Rzymu. Gdyby nasze pisma emigracyjne miały

administrację i kontrolę tak rozbudowane jak prasa krajowa, to by żadne z nich nie wytrzymało ani jednego tygodnia. Nie z powodu złej woli, ale z ubóstwa nie są one w stanie płacić jakichkolwiek honorariów, tylko jakieś symboliczne grosze, z których nawet św. Szymon Słupnik nie zdołałby się utrzymać. Osobiście nie wierzę w natchnienie, w geniuszów na poddaszu, w te wszystkie romantyczne bajki i rekwizyty. Nowoczesny pisarz musi mieć nie tylko zapewnione minimum egzystencji, ale grubo więcej, tak, by móc kupować książki, by móc jeździć, wypoczywać, utrzymywać stosunki z ludźmi i nie troszczyć się o starość. Mickiewicz, póki był kawalerem, żył sto razy lepiej od każdego z nas; chciałbym widzieć Łobodowskiego bywającego na balach jakiejś dzisiejszej ks. Zinaidy Wołkońskiej, a cóż dopiero naszego nędzarza Czuchnowskiego! W swych pamiętnikach z okresu paryskiej emigracji Niemcewicz zapisuje: „obiadek dzisiaj był skromny: zupa, ryba, kurczę – i butelka wina”. Dla dzisiejszego pisarza-emigranta takie menu – to uczta, po której by się dwa lata oblizywał, a całe życie ją wspominał. Tak samo, gdy Mickiewicz wyjeżdżał do Konstantynopola, to grono przyjaciół zegnało go „skromnym obiadem”, gdzie?... w La Tour d’Argent, wówczas, jak i dzisiaj, najdroższej restauracji w Paryżu. Dzisiaj wyjeżdżającego z Londynu emigranta nikt nie zegna, a gdyby się znaleźli tacy szaleńcy, to stać by ich było w najlepszym razie na poczęstunek u... Lyons’a.

Rozgrywka dyplomatyczna Zachodu z Kremlem, tak zwana zimna wojna, zależy w 90% od Amerykanów; już rola Anglii czy Francji w tej rozgrywce jest właściwie tylko markowaniem, a naturalnie to co Polska czy Jugosławia robi w tej mierze (czy też emigracje tych krajów) ma znaczenie czysto symboliczne. Tak samo tylko Amerykanie mogą zapewnić egzystencję prasy polskiej za granicą, czy polskich instytutów wydawniczych; emigracja sama nie mogła i nie może marzyć o stworzeniu własnych radiostacji i jest pod tym względem całkowicie skazana na hojność amerykańską. I nie inaczej jest z naszą prasą. Amerykanie zrozumieli, że utrzymywanie żywotnej emigracji i piśmiennictwa rosyjskiego w wolnym świecie, zarówno w Europie, jak i w Stanach, daje im magnes atrakcyjny dla inteligencji sowieckiej; ale jeżeli chodzi o Polskę, są nadal na te same взгляды zupełnie głusi. Jesteśmy na Zachodzie lekceważeni i niedoceniani; i nikogo w Waszyngtonie, w Paryżu i w Londynie – a także w Bonn! nie

obchodzi i nie interesuje, że ta obojętność, że to pomiatanie i lekceważenie okazywane polskiej inteligencji na Zachodzie szalenie wzmacnia pozycję komunistów wobec inteligencji i ludzi pióra w Polsce: „Widzicie, powiadają, jaki los, jaka nędza jest udziałem waszych kolegów na Zachodzie? Chcecie uniknąć śmierci głodowej? No to do nogi, i ani mrumru!” *A telling argument.* Można by tę tezę uzupełnić tysiącami drastycznych szczegółów, ale sprawa jest tak jasna, że nie warto. O ile Amerykanie nie powinni wydawać grosza na wywiad czy dywersję w Polsce, o tyle umożliwienie godnej człowieka egzystencji elicie polskiej inteligencji na Zachodzie leży w interesie samych Amerykanów i daje im jedyną – obok widoku zachodniej *prosperity* – szansę skutecznego oddziaływania na opinię publiczną w Polsce. Ale nic nie wskazuje, by Amerykanie zdawali sobie z tego sprawę, i nie widzę tych Polaków w Ameryce, którzy podjęliby się te elementarne prawdy Amerykanom wytłumaczyć.

Nie mając pieniędzy, możliwości polskich redaktorów na obczyźnie są niezmiernie małe. Nie mogą oni założyć tej sieci dobrze płatnych, ustosunkowanych, skontaktowanych, rozjeżdżających się korespondentów zagranicznych, którzy są dzisiaj kośćcem pacierzowym każdego pisma codziennego i każdej pracy dziennikarskiej. Nie mogą oni wysyłać reporterów, którzy by mogli bezstronnie informować polskiego czytelnika o ewolucji czarnego kontynentu, czy Bliskiego lub Dalekiego Wschodu, czy choćby Niemiec, o których Polacy piszą, jak o Żelaznym Wilku, ograniczając się do sloganów i wymyślań. Nawet o de Gaulle'u nie czytam w prasie polskiej nic godnego uwagi. Natomiast widzę ogólniki, które są zawsze ratunkiem ludzi nie mających żadnych stosunków, żadnych kontaktów, żadnych możliwości podróży i studiów.

Ten zanik realiów, wywołany ubóstwem, jest jeszcze podbudowany fatalną polityką redaktorów. Lubujemy się w wiecznym recytowaniu naszych żalów i naszych postulatów zamiast próbować chłodno analizować aktualną sytuację. Czy możemy liczyć na jakąkolwiek pomoc Zachodu w razie powstania w Polsce? Czy jest jakąkolwiek szansa, by Zachód podporządkował swój stosunek do Niemiec naszym interesom czy naszym życzeniom? Czy Polska może stać się częścią składową Zachodu bez wyrównania swych stosunków z Niemcami? Czy Polska może liczyć na dopływ kapitałów z Zachodu? Czy sympatie do Polski na Zachodzie były

silniejsze w roku 1914, w roku 1939, czy dzisiaj w roku 1959? Czy dystans gospodarczy między nami a Niemcami jest dzisiaj większy czy mniejszy, niż przed dwudziestu laty? Czy poziom cywilizacyjny naszego narodu wzrasta czy się cofa? Czy nasza propaganda ma jakiegokolwiek szanse sukcesu, czy też jest z góry skazana na niepowodzenie? Nad tymi i setkami innych pytań nikt się nie zastanawia.

Nasi redaktorzy na Zachodzie popierają mgławicowe dyskusje pryncypialne, brązowanie różnych polityków, którzy wszyscy razem nie zabezpieczyli nas przed klęską, rozbiorem i niewolą, ale unikają spojrzenia prawdzie w oczy; wolą utrzymywać iluzje, legendy, erygować uprzedzenia i kompleksy do rzędu kanonów. Bawią się w cenzorów, nie w przewodników. Redaktor – to jest reżyser, ale reżyser, który wie, że bez dobrych aktorów położy najlepszą sztukę. A nasi redaktorzy zachowują się jak reżyser, który by wołał: furda autor, furda aktorzy, ja jeden tylko stanowią sztukę i stanowią przedstawienie, ja JEEEEEEDEEEEN. Ależ to obłąd!

Zadaniem redaktora jest zachęcać, nie zniechęcać. Nie ma to być pan z pałką i maczugą, ale finezyjny wodzirej, aranżer kotyliona, dyskretny, nie narzucający się, przyjazny, subtelny, skromny, operujący perswazją, nie groźbą, nie wymyślaniami, nie interdyktem i anatema. Musi on wpływać pośrednio, a nie odrzucaniem tekstów, co doprowadza piszących do rozpacz (i incydentalnie do śmierci głodowej), nie kastrowaniem ich, lecz sugestią, dyskusją, zachętą. Brutalne obcinanie całych zdań, całych ustępów, całych stron, burzy jedność konstrukcyjną artykułu, a więc jego wartość artystyczną. To tak jak gdyby dyrektor wystawy nagle obcinał część obrazu, która mu się nie podoba; w tym wypadku plama dajmy na to niebieska, nie znajdując kontrastu czy uzupełnienia w plamie np. zielonej, traciłaby wszelką rację bytu. Otóż tego rodzaju zbrodnie redaktorzy-cenzorzy popełniają od rana do wieczora. I w końcu się dziwią, że piszą tylko ci, których zmusza do tego nędza, że milczy i Łobodowski, i Baliński, i prawie stale Tadeusz Nowakowski, że mało pisze Hostowiec, że każdy autor, czytając swe utwory tylko klnie, złości się i wymyśla. A jednocześnie ciż redaktorzy zaniedbują te obowiązki, które na nich spoczywają. Strona graficzna jest słaba, skład błędny i jednostajny, nie ma ani recenzji, ani przeglądów książek, ani recenzji teatralnych,

ani przeglądu życia kulturalnego, ani polemiki na poziomie, ani aktualności; prawie wszystkie artykuły są musztardą po obiedzie. Każdy redaktor jest wierny osobistym zainteresowaniom czy idiosynkrazjom, a ignoruje najważniejsze wydarzenia: co prasa polska wiedziała i pisała o fenomenalnym odrodzeniu się bogactwa niemieckiego, co wie o stagnacji Anglii, co pisze o immobilizmie amerykańskim, co zauważyła w dziedzinie zmiany obyczaju? Reforma więziennictwa, postępy medycyny, zniknięcie oficjalnej prostytucji, zmiany w odżywianiu, nowoczesne budownictwo, architektura, powstanie międzynarodowej biurokracji, wczasy masowe dla proletariatu, urbanistyka, tysiące innych problemów są stale i całkowicie pomijane. Natomiast monotennie rozlega się wałkowanie komunizmu, kapitalizmu, Jałty, Odry i „Nisy” (Nissy oczywiście!) itd., itd. A co o muzyce, co o piosence, co o karykaturze, itd.? Na szczęście Felsztyn i Schoenfeld czasem piszą o atomie; inaczej byśmy nawet o tym najważniejszym (obok eksplozji demograficznej) problemie mogli się czegoś dowiedzieć dopiero z prasy obcej.



Bóg więc i czytelnicy widzą, że daleki jestem od różowych okularów, gdy omawiam rolę i walory emigracyjnych redaktorów. Ale trzeba być sprawiedliwym i uwzględnić ich trudną sytuację. Sami walczą z niedostatkiem, ich dobre i wrażliwe serca nieraz krwawią, gdy muszą odmawiać wsparcia głodującym literatom. Są to ludzie wiekowi i schorowani, hipochondrycy, dziwacy, mizantropi; są to przede wszystkim ludzie głęboko zdeformowani i duchowo okaleczeni przez sanację, na której rządy przypadły ich lata męskie, lata formacji duchowej. A jakiż był legat sanacji dla polskiej prasy? Cenzura, nasyłanie zbirów w mundurach na Zdziechowskiego, obicie Niedziałkowskiego, napaści na Cywińskiego, wreszcie Bereza dla najznakomitszego publicysty naszej generacji, Stanisława Mackiewicza. Straszliwe to obciążenie i wszyscy cierpimy pod tym ciężarem, tak jak redaktorzy i publicyści, którzy pracowali pod Bierutem, nigdy się nie wyzwolą z deformacji, związanych z życiem i pracą w strasznych warunkach ery stalinowsko-radkiewiczowej. Nasi redaktorzy emigracyjni nie mają żadnego poczucia humoru, są despotami, cenzorami, poprawiaczami, pilnują „linii” w gruncie rzeczy w sposób analogiczny do metod stosowanych przez biura

prasowe rządu czy partii w Warszawie, może tylko z większym przekonaniem.

Nasz nieszczęsny kraj nie miał dobrych oficerów, nie miał wybitnych polityków, nie miał mężów stanu, nie miał dyplomatów, nie miał administratorów, nie miał finansistów, nie miał przedsiębiorców, nie miał nic i nikogo. Był wyjąłowany z talentu, co zresztą nie jest dziwne, bo Polacy nienawidzą z całej duszy każdego, kto ponad szary tłum wyrasta; ZASZCZUCIE Stanisława Mackiewicza na emigracji, nienawiść, którą jest dzisiaj jeszcze ścigany przez różnych grafomanów, różne paniusie, które pluja na niego, nie zdając sobie sprawy, jaka przepaść dzieli wielkiego pisarza, który ZOSTANIE, od tałatajstwa obojga płci, które jest zapomniane, gdy tylko przestanie ujadać – to może najdoskonalsza ilustracja tej ZAWIŚCI, która jest dzisiaj główną cechą charakteru polskiego. Otóż na tle rozpaczliwej rzeczywistości, dlaczegóżbyśmy mieli mieć dobrych, świątłych, liberalnych redaktorów? Czy zasłużyli sobie na nich leniwi polscy czytelnicy, nie umiejący nawet napisać przyzwoitych listów do redakcji?

W niedoli, w nieszczęściu, w straszliwej nędzy, w opuszczeniu i ignorowaniu przez cały świat, w zaszeregowaniu o sto mil w tyle za ostatnim Moskaluszką, kraj i emigracja są mimowoli obok siebie. I my i oni staczamy się coraz niżej, coraz ciemniejsza noc staje przed nami. Nie wierzę w nasze siły; chciałbym przynajmniej wierzyć w nasz rozum. Prasa, która powinna by być w kraju i na emigracji tego rozumu trybuną, nie pozwala robić sobie i pod tym względem nadziei, snuć marzeń czy oddawać się złudzeniom.

Kultura nr 3/137, 1959

Zagubieni romantycy

Penegiryk - pamflet - próba nekrologu?

Boże, strzeż nas od przyjaciół...

ZESPÓŁ „KULTURY”

Przed miesiącem prasę angielską obiegła wiadomość, że koncern prasowy Lorda Kemsley („The Kemsley Press”) zostaje kupiony przez Kanadyjczyka, Thompsona, właściciela niezliczonej ilości dzienników i publikacji w stanie Ontario, a także wielu dzienników prowincjonalnych w Wielkiej Brytanii, ze *Scotsman*'em na czele. Z tej okazji kilka pism angielskich umieściło popularne dzisiaj „Profiles” („Sylwetki”) nowego potentata prasowego Zjednoczonego Królestwa. Te szkice zgodnie stwierdzały, że nowonabywca kilkudziesięciu periodyków, z wielkim, czcigodnym, wpływowym, dostojnym organem niedzielnym stronnictwa konserwatywnego, *Sunday Times*'em na czele, jest *selfmademan*'em, który jeszcze dwadzieścia lat temu nie miał grosza przy duszy. Autorzy tych biografii rozwodzili się szeroko nad niezwykłym wyczuciem businessu dzisiejszego magnata, nad jego *ruthlessness* (bezwzględnością) w ścinaniu kosztów, nad jego talentem dla wyżyłowania ostatniej uncji wydajności z pracowników, nade wszystko nad jego fantastycznym nosem dla wywążania możliwości ekspansji i zarobku. Bez szyderstwa, przeciwnie z uznaniem, utalentowani, choć bezimienni autorzy notatek o Thompsonie, opowiadają, jak ich bohater nabył *Scotsmana*, najważniejszy dziennik szkocki na świecie, wychodzący w Edynburgu i uchodzący za organ patriotyzmu szkockiego, nie na podstawie lektury tego organu, ale przejażdżki po szkockiej stolicy. Thompson miał zwrócić uwagę na

rozległy plac czy teren, na którym znajdowały się lokale redakcji i wydawnictwa, u zbiegu dwóch głównych ulic, i patrząc na te rudery miał zawołać: „Ależ sam teren jest więcej wart, niż wynosi cena całego *Scotsmana*. Tak więc kupno tego dziennika miało się przede wszystkim okazać świetnym *real estate deal*. Analogiczne względy miały również leżeć u podstaw kalkulacji, która doprowadziła do przejęcia wielomilionowego koncernu „Kemsley Press”. Stary Lord Kemsley, jeden z dwóch braci Berry (z których jeden został wicehrabią Camrose i właścicielem londyńskiego *Daily Telegraph*) miał nie doceniać wartości gruntów, znajdujących się w jego posiadaniu; podobno można dokonać bardzo owocnych transakcji i zarobić liczne dodatkowe miliony, sprzedając, jako place, obecne lokale drukarni i redakcji, a biura te przenosząc na dalsze i tańsze przedmieścia.

Autorzy felietonów, z których czerpię te informacje, dodają, jakby z pewnym zażenowaniem, że nowy właściciel jednego z największych imperiów prasowych w Anglii i na świecie, „polityką i redakcją swych licznych pism interesuje się raczej mało”. Swoje wielkie talenty nowy *boss* poświęca administracji, pozostawiając redaktorom raczej swobodę. Byle pisma szły – co w nich jest, wydaje się nieistotne. Choć osobiście raczej konserwatysta, Thompson ma uważać, że pismo powinno się dostosowywać do gustów czytelników: jeżeli ci wołają Labour, pismo powinno odzwierciedlać tendencje Partii Pracy. Choć tu i ówdzie można wyczuć odcień żalu, że nowy właściciel nie posiada wyraźniejszego oblicza partyjnego i politycznego, komentatorzy śpieszą złożyć hołd wielkiemu człowiekowi, dając wyraz głębokiej wierze, że pod nowymi rządami interesy dzienników będą jeszcze bardziej rozkwitać, współpracownicy otrzymają podwyżki, nakłady i rozmiary pism wzrosną.

Tak wygląda postęp, tak wygląda wiek XX-y. *Efficiency*, *ruthlessness*, zarobek, wysokie płace, perspektywy podwyżki dla współpracowników, większej ilości premii i nagród dla czytelników za rozwiązywanie konkursów, krzyżówek, rebusów. Cóż z tego, że dwadzieścia dzienników w Zjednoczonym Królestwie upodobni się do *Prairie Magazine* w Manitobie, czy *Daily Messenger*

w Saskachevanie? Cóż z tego, że tysiące artykułów wstępnych ograniczy się znowuż do powtarzania jeszcze bardziej oklepanych frazesów, nieszkodliwych, bo bez żadnej treści. Nowy koncern Thompsona (ex-Kemsleyowski) będzie żył, rozrastał się, wypłacał dywidendy, jego właściciel uświetni jakimś nowym tytułem Izbę Lordów, jego współpracownicy nabędą domy, meble i samochody, a czytelnicy przyzwyczajają się do nowych *features* i z poważnymi minami będą powtarzać przy *tea*, wśród przyjaciół, blade opinie swych organów, tak jakby je sami wymyślili i jakby miały być ostatnim wyrazem mądrości wieków. Tylko źli ludzie, tylko zwyrodniali *foreignerzy* mogą być *unhappy* wobec tak szczęśliwego obrotu wypadków.

Należę do nielicznych, którym się wydaje, że dziennik – to nie jest *real estate*, to nie są talenty do businessu, to nie jest kwestia sprawnej administracji i sprężystej akwizycji ogłoszeń. Mimo wszystko wierzę, że prasa powinna być organem opinii i że strona redakcyjna jest nierównie ważniejsza od aspektów finansowych. Wiem, że i na naszej emigracji światopogląd „baronów prasowych” znajduje swych adeptów i wyznawców. I mnie obijają się o uszy pewne emigracyjne sprawy prasowe, które stanowią jakby mikroskopijny i znacznie mniej intratny, mniej też obiecujący konterfekt operacji Beaverbrooków, Rothermerów, Kemsleyów, Thompsonów. Wolę się jednak odwracać od perspektywy dywidend i wysokich zarobków, i śledzić powstawanie tak zwanych *organes d'opinion*. Dochodów nie zapewnią. Kariery też nie. Ale kiedyś, jacyś historycy, przeglądając pożółkłe roczniki tych publikacji, będą próbować znaleźć w nich klucz do zagadek historii, do krętych dróg ludzkiej myśli.

Pamiętam jak dwanaście lat temu Jerzy Giedroyc zainstalował się na nowych śmieciach w Maisons Laffitte pod Paryżem. Pamiętam pierwszą kwaterę połową *Kultury*: starą rudere z wieżyczką, balkonem, tarasem, oszkloną werandą, cały zły gust XIX wieku, który, dzięki patynie starości, nabrał romantycznego uroku, wdzięku czasów, które odeszły. Dookoła stary, zapuszczony

ogród, cienista aleja, pokrzywy, którymi porosły klomby i trawniki, szerniałe murki, rozłożyste drzewa, gąszcz krzaków, cień zagajnika, opadające tynki przypominały polskie dwory, prznosiły odwiedzającego w przeszłość, w miniony i bezosobowy czas. Ten dom, ten park były wyzwaniem naszemu stuleciu, były jakby symbolem, że czas wolno zatrzymać; a jest to jedyna niemożliwość na tym naszym świecie. W domu, ubogim i próchniejącym, znajdowała się na prawo od wejścia biblioteka i widok tych książek, pieczołowicie zebranych, ponumerowanych, pokatalogowanych, starannie odkurzonych, poukładanych na długich półkach aż po powałę – w tym domu, w którym nie było mebli, nie było opału, nie było nic – jeszcze zwiększał poczucie wyzwania światu, epoce, życiu, jeszcze pogłębiał wrażenie bezsensowności, jeszcze wyostrzał wrażenie zaczarowanego domostwa.

Mieszkańcy „Domu Kultury” odpowiadali ramom, w których się znaleźli. Żaden z nich zapewne nie był człowiekiem normalnym; wszyscy nigdy nie powinni byli znaleźć się pod jednym dachem, a znalazłszy się, nie powinni byli nigdy pod nim wytrzymać. Jednych znałem dawno, innych wcale, sądziłem, że niektórych znałem dobrze, innych mniej. Złudzenia, złudzenia. Zawsze przypominają mi się mądre słowa Jasia Rostworowskiego w przeddzień jego zrzucenia w Polsce jako kuriera Londynu, z której to tragicznej misji nie miał nigdy powrócić. „Mój drogi, mówił mi ten niezwykle uroczy i inteligentny chłopak, najinteligentniejszy z tak utalentowanej rodziny Rostworowskich - i mówił to *à propos* kogoś zupełnie innego – mój drogi, im dłużej żyjemy, tym bardziej zdajemy sobie sprawę, że nie znamy nikogo, że najbliżsi są dla nas jedną wieczną niespodzianką!”



Przez lata współpracowałem z pismami Giedroycia, z *Buntem Młodych*, potem z *Polityką*. Miałem z Giedroyciem dobre, nawet przyjazne stosunki, ale, by użyć zwrotu, który dzisiaj brzmi trochę staroświecko i pretensjonalnie, *il n'y avait pas entre nous d'atômes crochus*. Dla mnie przez całe życie dobrobyt, wzrost bogactwa były miernikiem mych zainteresowań; pasji Giedroycia dla sprawy ukraińskiej, jego wiary w „młodych”,

jego namiętnego poszukiwania nowych talentów, jego zeza na lewo, jego feblika dla „postępowego” frazesu nigdy nie dzieliłem. Ani jego roli politycznej, ani jego poglądów nigdy nie traktowałem bardzo na serio. Byłem tylko o parę lat od niego starszy. Ale, wychowany jako benjaminek zmurszałych, wymierających Stańczyków krakowskiego *Czasu*, miałem jakieś dziwne przeświadczenie, że tylko ludzie starsi ode mnie są naprawdę „poważni”, że tylko oni się liczą. Na Matuszewskim kończyło się pokolenie, w którym upatrywałem przywódców i przełożonych. Wobec Giedroycia miałem stosunek przyjazny, ale pobłażliwy. Wydawał mi się miłym, zapalonym studencikiem.



Wojna nas rozdzieliła, tylko bardzo z rzadka i bardzo z daleka dochodziły mnie jakieś stłumione echa działalności Giedroycia z Bukaresztu i z Tobruku, z Iraku i z Włoch. Były to wieści równie nierealne, jak echa z zaświata. Aż kiedyś, już pod sam koniec wojny zjawił się w Londynie przystojny, elegancki porucznik, troszeczkę tylko przyprószony siwizną, zawsze zabiegany, zaaferowany, konferujący, zalatany. Wydał mi się obcy, daleki. Zrozumiałem, że by się z tym nieznanym zapoznać, by z nim jakiś kontakt nawiązać, trzeba będzie dużego wysiłku, i w beznadziejności roku 1945 na ten wysiłek nie miałem ani sił, ani ochoty.



Więc dopiero w tej cienistej, opuszczonej sadybie na Lafficie ten kontakt się odnowił, ożywił, prawie zacieśnił; nigdy zbyt intymnie, bo Giedroyc jest z natury samotnikiem, dzisiaj bardziej niż dawniej. *C'est un homme qui ne veut pas se livrer*, a może nie potrafi. Ze zdziwieniem skonstatowałem, jak pewien zaciekły upór stał się dominantą jego charakteru. Może był taki zawsze. Może dawniej swój egocentryzm maskował smutnym uśmiechem wielkich oczu zza rzęs wschodniego królewicza z bajki. Teraz cały Giedroyc stał się bardziej suchy, surowy, ponury, posępny. Stał się człowiekiem idei, a może obsesji. Jakiej?

Nie, to nie była obsesja kariery, ani tym bardziej stworzenia imperium prasowego. Myślę, że Giedroyc wywodzi się z rasy polskich ideologów. Ci wyrosli na podłożu romantyzmu wierzyli, że żarem wewnętrznym, że nabrzmieniem woli, że skoncentrowaniem wysiłków, że natężeniem patriotyzmu, szlachetnością wyrzeczeń można bieg wypadków zmienić, można je nagiąć do własnych ideałów. Pozytywizmowi ci ludzie tylko słowne składali hołdy, nie wierząc ani w wymowę faktów, ani tym bardziej cyfr, ani w przemożne znaczenie czynników materialnych. Zestrzelmy nasze wole, nasze zapały, ramię przy ramieniu, jeden za wszystkich, zawsze pełni zapału, zawsze pełni ofiarności – wołali – a możemy odnieść zwycięstwo.



Gdyby mi powiedziano w 1939 roku, że po dwudziestu latach Giedroyc będzie tym z moich rówieśników, który potrafi stworzyć sobie własny organ, własną platformę, własne środki egzystencji, uniezależnić się od koniunktury, od czynników politycznych, nigdy bym w te przepowiednie nie uwierzył. Tylu innych wydawało mi się zdolniejszych, o większych talentach realizatorskich. Dzisiaj jeszcze patrzę na rezultaty jego wysiłków z niedowierzaniem raczej, niż z podziwem. Jak on to zrobił? Jak to się stało? St. Mackiewicz, doświadczony redaktor i znakomity publicysta, nie potrafił pisma utrzymać, a roczniki *Lwowa i Wilna*, które ukazywały się czas jakiś po wojnie, nie przysparzają mu laurów. Wielkie stronnictwa nie potrafiły utrzymać swych publikacji. Pisma o dużych nakładach robią bokami, a poziom ich napętnia czytelników bardziej wybrednym zażenowaniem. A w jaki sposób Giedroyc potrafił stworzyć sobie pozycję, stać się instytucją, nadać sobie indywidualne oblicze?

Od ideologów Giedroyc pożyczył przede wszystkim zawołanie: „Mierz siły na zamiary”. Londyński *Dziennik Polski* pragnie być pismem informacyjnym; gdy tylko poza te ramy wychodzi, jego próby kończą się mało fortunnie; aż zbyt często przegranymi procesami o zniesławienie. *Wiadomości* są jakby rejestrem literackim, a w dziedzinie ideowej ograniczają się do odbicia nie tyle myśli, co przesądów przeciętnego emigracyjnego Polaka. Giedroyc wsiadł na wielkiego konia. Chce stworzyć pismo, które

byłoby „ideologiczne”. Chce narzucić jakiś program. Jego pismo ma być sztandarem. Podczas gdy Grydzewski ogranicza się do prezentowania całego wachlarza ludzi pióra na emigracji, z leciuchnym tylko faworyzowaniem starych Skamandrytów, czy też rzadkich i dość zmiennych późniejszych faworytów (ongi Ksawery Pruszyński, później Zygmunt Nowakowski, Hemar, Lechoń, Wierzyński, Stroński i Sakowski, dzisiaj Pandora, Big Ben, Silva Rerum, Jan Rostworowski), *Kultura* stale wysuwa kogoś na świecznik, choć w ciągu dwunastu lat nie jedną widzieliśmy w tym względzie voltę; jeden Józef Czapski utrzymał się w tej roli przodującej, podczas gdy Wraga, Wańkowicz po kolei ze szczytów spadali do krainy cieni. Bardziej stałą okazała się pozycja Hostowca-Stempowskiego, choć nigdy nie jarzyła się jak gwiazda pierwszej wielkości. Z biegiem lat Mieroszewski urósł do roli Wernyhory; Miłosz stał się wieszczem, a Gombrowicz sumieniem narodu. Giedroyć serwuje wszystkie te asy z przekonaniem, z impetem, z furją, z pasją: za każdym razem wymaga podziwu, respektu, nawet uczucia dla swoich ulubieńców. Nie toleruje ich negowania, nie znosi zastrzeżeń; prawdziwy czytelnik pisma ma ich nosić w sercu. Na swoich ulubieńców Giedroyć patrzy omalże z ojcowskim uczuciem dumy. W polityce francuskiej (przed-gaulle'owskiej) istniał utarty zwrot *son poulain*, „źrebak”, co oznaczało wychowanek, protegowanego tego a takiego to polityka. Tak więc mówiono *c'est le poulain de Mendès-France, c'est le poulain de Bidault*. Giedroyć ma podobne reakcje. Nie są one dyktowane osobistą przyjaźnią. Są, na mój gust, irracjonalne.



Co łączy tych koryfeuszów *Kultury*? Czy tylko przypadek? Czy tylko fakt, że niektórzy z nich znaleźli się wspólnie pod pręgierzem Katona naszej emigracji, niezłomnego rycerza Niezbrzyckiego? Czy też nazwiska kolejnych współpracowników *Kultury* układają się w jakąś arabską, niezrozumiałą na pozór, ale jednak dającą się odczytać i odcyfrować uczonym specjalistom od hieroglifów?

Są zapachy mocne, i są takie, których nie można określić. Te niuanse są łatwo uchwytny, gdy opierają się o zrab fanatyzmu: łatwo je wysledzić u Józefa Mackiewicza, który siebie uważa za jedyne go człowieka na świecie walczącego z bolszewizmem, łatwo je zdefiniować u Wragi, który sądzi, że poza nim wszyscy są bezwiednymi narzędziami inspiracji bolszewickiej. Ale Giedroyc nie jest fanatykiem. Każe tylko wierzyć, nie tyle w siebie, ile w *Kulturę*. Jej linia może wydawać się zmienna, chaotyczna, zygzakowata. Wszystko jedno. Wyznawcy mają ją czytać nie jako pismo zajmujące, poddające pewne tezy do rozważania, do przedyskutowania, ale jako swego rodzaju biblię. *Kultura* ma kształtować umysły, formować poglądy, narzucać poglądy, stwarzać opinię.

•

Łatwo zdefiniować oblicze londyńskiego *Dziennika*: hurra-patriotyzm plus niezłomne giermkowanie Anglii, wierność ideologii „Wielkiego Marszałka” i walka do upadłego z Sowietami. *Wiadomości* zachowały jakiś posmaczek liberalizmu dziewiętnastowiecznego, plus „postawę narodową”, znajdującą wyraz w wojowniczym stanowisku wobec Anglii za Jałtę, Rosji za Katyń, Niemiec za Oświęcim, rządu w Warszawie za cenzurę. W tajemniczy sposób w swym redakcyjnym tyglu Grydzewski skojarzył swój dawny liberalizm z tradycją endecką i sanacyjną, w dozach bez mała *irréprochables*. Gdzie *Dziennik* szarżuje dla maluczkich i prostaczków, tam *Wiadomości* przychodzą z odwo dem dla wybrednych i wyrafinowanych. Czego nie dokona Bregman brutalnym atakiem frontowym, tego dopnie Pragier swym wykwinnym floretem.

•

Ale *Kultura*? Ale misternie rozłożone kohorty Giedroycia? Zapewne, ma i on swoją starą husarię spod znaku Piłsudskiego. Sędziwy Sokolnicki potrafi zadać w surmy beckowskie, z niezrównanym talentem wykazać, jak to cały świat mylił się i błądził, błąkał się w złudzeniach, oddawał się mamidłom, jeden natomiast Wielki Marszałek nieustannie wyczuwał rytm historii. Zapewne Kwiatkowski nadal potrafi wywieść, ile de Gaulle zawdzięcza naukom mistrza z Sulejówka. Ale obok tych ariergardowych bojów, *Kultura* roi się od wkładów

subtelniejszych: pełno w niej podczaszych, którzy sączą napoje bardziej wyrafinowane, o etykietach mniej przejrzystych, a więc bardziej upajających. Hostowiec, łacinnik niezrównany, Petroniusz naszej literatury, godny pozowania w balecie „śmierć Narcyza”, propaguje sceptycyzm, sięgający dalej niż sama literatura. Miłosz każe nam wierzyć, że „lewicowość” sama przez się jest równoznaczna z cnotą; w jej walkach, w jej szarpaninach, w jej błędach należy szukać drogi do Prawdy. Mieroszewski rozwija bez końca tezę: *pas d'ennemis à gauche!*

Można by oczywiście napisać długi wywód na temat lewicowego werbalizmu, można by rozwodzić się na temat różnic, które *muszą* dzielić tych co wierzą w politykę czystą, a tych, co wyrosli na technokracji i ekonomii, a więc w gruncie rzeczy uważają, tak jak i marksiści, że czynniki materialne kształtują świat. Można by wywodzić, że ta wzajemna *attirance* ekstremów kapitalizmu i marksizmu jest znacznie większa, niż między marksistami a odłamami radykalizującymi. Ale można podobne wywody snuć niemal z każdej innej okazji: i tak np. dla europejskiego lewicowca zmiana ustroju w Hiszpanii może wydawać się pilniejsza, niż dokonanie w tym kraju masowych inwestycji; natomiast i przedstawiciele wielkich banków nowojorskich, i teoretycy komunizmu zgodnie będą Hiszpanom zalecać skoncentrowanie wszystkich sił na dokonaniu masowych, miliardowych wkładów. W Egipcie, nasz rodak, Józef Ruciński, dzisiaj dyrektor Banku Świata, daje Nasserowi rady wielce podobne do tych, których Moskwa udziela i Arabom i swym satelitom: radzi mu trzymać płace, ścinać konsumpcję a forsować inwestycje produkcyjne. Nawet w liberalnej Francji Pinay odrzuca koncepcje socjalistów i radykałów – nakręcanie ekspansji przez wzrost konsumpcji i wyższe płace – a zaleca ograniczenie płac, zwiększenie inwestycji. Myślę, że każdy, kto dobrze zna swą liberalną ekonomię, może znaleźć łatwo wspólny język z marksistą, łatwiej w każdym razie niż z tymi, którzy negują prymat zjawisk ekonomicznych. Za dawnych czasów przyjemniej mi się dyskutowało z Michałem Kaleckim, zawsze silnie prokomunistycznym, niż z Bobrowskim,

Józefem Poniatowskim, czy ludowcami. Dzisiaj łatwiej mi rozmawiać z Ciołkoszem, niż z Bieleckim.

•

Ale myślę, że lepiej będzie dać spokój tym sporom; musimy się pogodzić z myślą, że między szkołą ekonomii a szkołą polityki czystej nigdy prawdziwej symbiozy, prawdziwego zrozumienia być nie może. Pinay współpracuje z de Gaulle'm; po cichu ubolewa nad jego brakiem „muzykalności ekonomicznej”, zapewne nieraz sobie powiada: *ce qu'il est bouché*. Erhard nie ukrywa, jak bardzo Adenauer go irytuje i drażni. W Anglii Churchill był zawsze *bête noire Treasury*. Wychowany na odmiennej formacji umysłowej, wiem, że będę się zawsze gdzieś, w jakimś punkcie różnił z poglądami Giedroycia. Ja mu się będę wydawał nudnym pedantem, z bzikiem na temat maltuzjanizmu, z brakiem wyczucia i szacunku dla imponderabiliów, dla różnic ideowych; mnie będzie się wydawał raz po raz mętny i wyzuty z realizmu. Nigdy żaden z nas drugiego nie przekona. Trzeba się z tym pogodzić i dać spokój sporom, które nie mogą doprowadzić do uzgodnienia poglądów i stanowisk. Wracam więc do felietonu czy pastiszu: spróbuję bawić, nie tłumaczyć.

•

Czasy heroiczne *Kultury*. Przygarnięty przez Giedroycia, mieszkam w tej bibliotece, na dwa piętra wysokiej: śpię na polowym żelaznym łóżku, przykrytym wojskowymi kocami; w środku stoi piecyk żelazny, dymiący, przedpotopowy, z długą rynną z blachy, która kręcąc się i stukając, dochodzi do okna i, opatulona starymi gazetami, przez nieszczelną szybę wyprowadza dym z pieca. Do tego żelaznego piecyka zgrabiałymi rękami znoszę z piwniczki drwa i co godzina weń z trudem wciskam po jednym kłocu, po małym bierwionie, po czym pogrzebaczem poruszam żuźle, rozniecam zamierający płomień, aż nowe bierwiono się zajmie; co za radość, gdy wreszcie w tej zziębniętej skrzyni żelaznej znowu buchnie ogień! Po czym, w trzech sweterkach, w kusym płaszczyku, z kocem na nogach, skulony jak najbliżej piecyka, w kulawym krzeselku, czytam Prousta czy Baudelaire'a. Kulturalny człowiek czy wariat? Zapewne to drugie!

Na dworze ziąb grudniowy; już o czwartej się ściemnia, od Atlantyku wieje zmarznięty podmuch, ale zawsze jakby z podszewką nadchodzącej odwilży, z zapaszkiem wiosny. Po ulicach Laffitte'u szybko przebiegają ludzkie cienie, załatwiające ostatnie dzienne sprawy przed udaniem się na spoczynek: *50 frs de crème, cent grammes de beurre, une baguette, du rouge à 12 degrés*, cała Francja. Są dzieci, przedwcześnie poważne, o głosikach ostrych, śpiczastych (*pointus*), już rozróżniające gatunki sera, wartość mięsa, ostrość przyprawy. Drobne, mniejsze, jak w Niemczech czy w Anglii, o oczach zamysłonych, jakby uginające się pod zbyt wielkim dziedzictwem. Piękniejsze są włoskie. Zdrowsze są niemieckie. Ale może „duch – wieczny rewolucjonista” upodobał sobie te cherlawe dziewczynki, bez wyraźnego typu, bez rysów klasycznych, chude i wymizerowane, drobnokościste i cienkonogie, tych chłopaków bez rysów, ni to blond, ni to szatynów, dość brutalnych, dość brudnych, ale żywych, ale myślących, ale już krytycznych. Te Francuzki zabiegane, o twardych, zimnych oczach, o ostrych rysach, uosobienie walki o byt – przeciwstawność popularnych wyobrażeń o „łatwych” paryskich kobietach. I wreszcie te starsze panie: są czarno ubrane, z cieniutkim skrawkiem jakiegoś futerka w obramowaniu kołnierza od płaszcza – jakby breloczek, który ma świadczyć o pochodzeniu z lepszej sfery. Wszystko to dygocące, skulone, zziębnięte. A potem „Park”: dawny ogród zamku, zbudowanego jeszcze za Ludwika XIV przez markiza de Maisons, potem własność różnych grandów, z hr. d'Artois, późniejszym Karolem X włącznie, potem apanaże marszałka Lannes, księcia Montebello, darowane mu przez Napoleona; a wreszcie, po śmierci jego wdowy, własność bankiera Ludwika Filipa, rywala Rotszyldów, Laffitte'a, który własne nazwisko dodał do prastarej nazwy: Maisons sur Seine. Fortuny wielkich finansistów nigdy nie są trwałe, więc już w końcu XIX wieku potomkowie miliardera sprzedali państwu Zamek (mieści się tam marne muzeum) i rozparcelowali wspaniały park. „Avenue Nicolas II” (która mnie zawsze działa na nerwy) jest zapewne jedyną tej nazwy na całym dzisiejszym świecie, i lepiej od wszelkich tablic pamiątkowych świadczy, kiedy to osiedle powstało.

Wracając z miasteczka, przechodząc obok dwóch pawilonów, które po dziś dzień znaczą granice magnackich dzierżaw, szło się długą aleją, znaczoną willami bogatej burżuazji *de la belle époque*;

ale wyrwy w płotach, nieodmalowane sztachety, zapuszczone dróżki świadczyły o przewrotach socjalnych i majątkowych w burzliwym XX-ym wieku. Potem trzeba było przebiec rodzaj zagajnika, po omacku, w ciemnościach, omijając drzewa i krzaki, zarośla i rowy; i ilekroć z tych gąszczów dobiegałem do furtki prowadzącej do „mego” Laffitte’u, czułem jak ciężar spadał mi z serca, a z gardła odpadały jakieś kleszcze. Były to zresztą szczęśliwe czasy, w których tylko vendetty Korsykanów dostarczały dreszczyków zapóźnionym po wertepach i nocy przechodniom; strzelaniny Algierczyków nikomu wówczas jeszcze nie przychodziły do głowy. W alei do z rzadka oświetlonego domu biegłem już raźniej i weselej; wnet szczekanie poczciwego Blacka, wówczas młodego szczeniaka, dzisiaj czcigodnego starca, stwarzało atmosferę domu i własnego gniazda. Po grudniowej szarudze, nawet zimny hall wejściowy wydawał się przytulny. Zaraz na lewo można było się umyć w lodowatej wodzie rozpadającej się łazienki, a już z kuchni rozlegał się głos Zosi Hertz, wołającej: „Kolacja, kolacja”. Ta kuchnia była mi miła, bo była najcieplejszym zakątkiem tego dziwnego domu. Wyłożona białymi kafelkami, ze stołem drewnianym, który wypełniał prawie całe wnętrze, kuchnia ta była ośrodkiem życia Laffitte’u: tutaj dwa razy dziennie mieszkańcy schodzili się na posiłki, lekturę poczty, wymianę zdań; tutaj planowano numery *Kultury*, tutaj wyceniano szanse prenumeraty, rzucano projekty, dyskutowano o znajomych, wspominano dawne czasy. U głowy stołu, *vis-à-vis* jedyne okna zasiadał Jerzy Giedroyc, już nie obiecujący młodzieniec, już nie genialne dziecko, ale człowiek dojrzały, przedwcześnie posiwiasty, trochę celebrytujący patriarcha, skupiony, godny, dostojny, z rzadka uśmiechnięty, raczej z wyrazem zbolałym, często kraczącym. Pamiętam, jak nieraz brwi mu się stroszyły, twarz mu się boleśnie wykrzywiła i cedził przez zęby, po przeczytaniu jakiegoś papierka: „Po tej ostatniej podwyżce papieru już naprawdę nie wiem czy potrafimy wydać następny numer *Kultury*”. Cisza grobowa na tę wieść na chwilę zalegała ubogą kuchenkę, aż Zygmunt Hertz przerywał ten nastrój apokalipsy opowiadaniem starych warszawskich kawałów. „Z taką brodą”. Ale efekt był, czar pękał, *le rouge* robił swoje, zaczynano pleść trzy po trzy, ten wspominał, że X jest świnią, inny go bronił, życie odbierało swoje prawa: nawet nachmurzony Giedroyc czasami się uśmiechał. Gdyby mnie dzisiaj zapytano,

co było ważniejsze: czy treść numerów *Kultury*, czy te ubogie agapy – to bym bez wątpienia powiedział, że te drugie. „Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę”. Trudniej na pewno stworzyć jakieś kółko zgrane, zaprzyjaźnione, poświęcone wspólnej i umiłowanej pracy, niż stworzyć wydawnictwo. Można napisać powieść o Bouvard i Pécuchet, można stworzyć arcydzieło, opisując banalne życie jakiejś pani Bovary – nie da się nic powieściowego napisać o funkcjonowaniu *New York Times'a* czy General Motors. Ale ci sami ludzie, gdyby byli zgrupowani dla prowadzenia drukarni, a nie redakcji (a byłoby to możliwe), byłiby retrospektywnie zupełnie nieinteresujący, nawet gdyby byli zrobili miliony. Albowiem właśnie tylko poczucie postannictwa, domieszka pracy umysłowej, polityki, jakiejś postawy wobec życia czyni ludzi interesującymi; żadne pieniądze, żadne interesy nie mogą mieć tej atrakcji, jaką daje chęć, choćby romantyczna, choćby nierealna, choćby donkiszocka, wpływania na losy jakiejś części ludzkości.

Być może to kółeczko *Kultury* znajdzie kiedyś swego Prousta, który przecież tyle setek stron poświęcił opisom *du petit cercle*, salonu Verdurin. Analogii nie ma oczywiście żadnych. Między kółkiem Giedroycia i *le petit cercle Verdurin* zachodzi jednak jedna analogia: oto we wszystkich tych ugrupowaniach byli i są *les fidèles*, wierni, którzy stanowią trzon, i ośrodek, i szkielet, i armaturę; a poza tymi *fidèles* już byli i są tylko obcy. Otóż w tym kółku *Kultury* (realnym i prawdziwym, podczas gdy jej „zespół” jest fikcją) byłem i jestem outsiderem. Nie identyfikuję się z nim i wiem, że jestem w nim uważany za ciało obce. Co najwyżej, używając terminologii naszych stronnictw politycznych, mogę uchodzić za „sympatyka”. I to letniego. I to do odwołania.

Mimo tego, te verdurinowskie kółka mnie interesują, i to *Kultury* bardziej niż *Wiadomości*. Tych ostatnich było bardzo wiele, a wspólną ich cechą był snobizm literacki. Już przed trzydziestu laty trafiłem na ostatnie miejsce w długim ogonku admiratorów i wielbicieli Janeczki Konarskiej, ślicznej, modro- i wielkookiej blondyny, w której się wówczas kochał Kazimierz Wierzyński, a która w końcu wyszła za mąż za Antoniego Słonimskiego. Przez respekt dla humorów pięknej, bogatej i utalentowanej kobiety, żelazna gwardia wyznawców *Wiadomości* tolerowała mnie (choć z wewnętrznym jękiem oburzenia) w wybranych cénacлах „Ipsu” i „Ziemiańskiej”; było tam kilku wielkich poetów i pisarzy, było

trochę bubków i snobów, trochę gagatków z MSZ-etu, nieszczęsny „Tonio” Sobański, pozer filosemityzmu, ekshibicjonista anglofilii, było trochę senatorów, szukających jakiegoś lakieru dla własnej rubaszności i braku obycia, były leciwe i mniej leciwe damy, nadrabiające literaturą brak powabów naturalnych; i był Antoni Borman, niejako reprezentujący zawsze niewidzialnego *le grand Mamamouchi*. Całe to, jakże różnorodne towarzystwo łączyło jedno wspólne uczucie: my tutaj przy tym stoliku jesteśmy tylko wulgarna Beocja, a pfe, a pfe... Później po latach spotkałem się z zupełnie analogicznym zjawiskiem, gdy w powojennym Londynie, mieszkałem czas jakiś w przytułku dla polskich pisarzy przy Finchley Rd., o drzwi od Herlinga, o piętro nad Tadzkiem Nowakowskim, o piętro poniżej Broncla. Bieda u nas wszystkich aż piszcziała, i ona skuwała nad wszystkich, zdawałoby się, żelazną obręczą. Ale czasami Herling i jego pierwsza żona, jakżeż miła Krystyna Domańska, wydawali rodzaj przyjęcia, zapewne kosztem niedojadania przez miesiąc, i właśnie wówczas zapraszali tylko „intelektualistów”, tylko *le petit cercle*, tylko *les fidèles*, a więc byli tam Pragier i Zahorska, i Terlecki z Tolą Korjan i Staś Baliński, i Ciołkosze, i takie w ogóle bardzo fajne, i bardzo wyrafinowane umysły, a Tadzio Nowakowski, i Bielatowicz, i ja zostawaliśmy za drzwiami. I czułem, że Herling uważa, że w kółku współpracowników *Wiadomości* należę do drugiej klasy, coś co się toleruje, ale co nie należy do jądra, do *inner circle*. Do grona już nie wybranych, ale choćby powołanych. I tak było zawsze.



Otóż tak samo, wśród *fideles Kultury* jestem outsiderem, i wiem, że nigdy tej niewidzialnej linii, która będzie mnie dzielić od Mieroszewskiego czy choćby Jeleńskiego nie przeskoczę. Tylko tutaj wątkiem *du petit cercle* jest co innego. Nie wiara, że „pooza nami nie ma polskiej kultury”, że „my jedni ferujemy o niej bezapelacyjne wyroki”. Myślę, że prawdziwych wyznawców paryskiej *Kultury* łączy raczej wiara w jakąś wspólną misję, że ci, co się dookoła tego czasopisma grupują, służą jakiejś wspólnej sprawie, że razem mają coś stworzyć. Może zbawią Polskę. Może stworzą jakąś symbiozę między Polską a emigracją. Może stworzą nową doktrynę dla polskiej lewicy. Może obmyślą nowy system

polskiej polityki zagranicznej. Te cele wydają mi się zmienne, chwiejne, często chaotyczne. Ale poza tym chaosem ukrywają się dwa dążenia, bodajże stałe, i oba szlachetne.



Jednym jest właśnie wiara w to posłannictwo. Wiem, może to brzmieć i wyglądać śmiesznie. Ale jednak, bez tej wiary wszelka praca na emigracji, polityczna, literacka czy wydawnicza, jest niemożliwa. Inaczej każdy by się przerzucił na działalność zarobkową. Zakłada się drukarnię, szuka się zamówień angielskich czy francuskich, i robi się forszę; ale wówczas – to już jest nie to, wszystko brzmi fałszywie, każde zdanie patriotyczne wydaje się brakiem taktu, jeżeli nie wręcz bluźnierstwem. A Francja, a Paryż są tak ponętne. Łatwo być ascetą w Polsce: bo gdzie są tentacje? Nie trudno o to w Anglii; bo Wyspa, poza snobizmem, innych rozkoszy dostarczyć nie może. Ale jeżeli pod samym Paryżem Giedroyc i jego towarzysze wyrzekają się samochodu, teatru, *boites de nuit*, kolekcjonowania mebli i obrazów, dobrych obiadów i stosunków z wielkim światem po to, by wydać jeszcze jedną książkę, by udzielić gościny jeszcze jednemu ubogiemu rodakowi z kraju czy z Londynu – to takie ofiary byłyby niemożliwe, byłyby nawet zwyrodnieniem, gdyby nie były podejmowane w przekonaniu, że się w ten sposób służy Sprawie. I ta służba musi być związana z poczuciem Misji. Bez Giedroycia *Kultura* by nie powstała, tak jak się bez niego nie utrzyma. Może przyjść człowiek zdolniejszy, o bardziej wyostrzonym zmyśle politycznym czy literackim. Wszystko jedno: pismo upadnie. Wydawnictwa się nie ostoją. *Les fidèles* się rozleją. W Polsce mieliśmy dużo „rodów”, wielkich i małych, zasłużonych i nikczemnych; ale duchowych spadkobierców nikt nigdy nie zostawiał. Gdzie był spadkobierca Piłsudskiego? Gdzie Sikorskiego? Po śmierci Matuszewskiego, grono jego przyjaciół wydało zbiór czy wybór jego artykułów, informując w przedśłowiu, że „dzieło jego nie umrze”. Tymczasem umarło całkowicie, i żadnego kontynuatora Matuszewski nie zostawił.

A druga wielka siła *Kultury* (to znaczy Giedroycia) – to chęć niezależności. Może chwilami przybierała formę drażniącą. Może przesadną. Może dziecinną. Może czasami chodziło o niezależność dla niezależności, omal o przekomarzenie się. Chwilami miało się wrażenie obsesji. Niektórzy zarzucali Giedroyciowi, że działa na złość. Ale w tej pasji znalezienia dla siebie własnego miejsca był i cel, i rozum. Mit jedności, tak wśród nas żywy, jest bezsensowny. W latach 1914-18 byliśmy skłóćeni na noże, a wyszliśmy z tej potrzeby z nieprawdopodobnym sukcesem. W latach 1939-45 byliśmy zjednoczeni jak nigdy, a wyszliśmy pogruchotani. Linia naszych władz emigracyjnych mogła mi niekiedy bardziej odpowiadać, niż linia Giedroycia: ale jest dobrze, że była i jest inna. Sam na pewno walczyłbym o inne odchylenia od naszych oficjalnych tez, ale nade wszystko trzeba i naszym emigracyjnym czynnikiem „miarodajnym”, i czynnikiem krajowym, i czynnikiem zachodnim unaocznic, że redaktor polski i pisarz polski mają prawo do własnego zdania, że nie ma względów, które by pozwalały komuś swoje zdanie narzucać, kogoś obwoływać „zdrajcą” dlatego tylko, że jest innego zdania. Naturalnie, jak zawsze, zrobię jedną poprawkę: jeżeli wolność prasy ma być ograniczona tylko do redaktorów, a nie i do współpracowników, to żadnej wolności prasy nie ma. Chodzi o to, by każdy piszący pewnego kalibru mógł się wypowiedzieć, X. Kantak tak jak Józef Mackiewicz, Giertych równie dobrze jak Sławoj, Honigwill tak samo jak Pobóg, Ciołkosz jak Goetel, Grabowski jak Stahl. Gdy się stwarza syndykat wydawców, drugi radiotów i trzeci polityków, a wreszcie estety i krytyków – to przestańmy mówić o wolności słowa.



Myślę, że właśnie dzięki tej niezależności, zarówno finansowej jak i moralnej, Giedroyc zdołał zachować dla siebie i swego pisma własne, indywidualne oblicze. Nigdzie nie ma dobrych opracowań, w jaki sposób poszczególni publicyści czy wydawnictwa wpłynęły na przebieg wypadków: bo są to rzeczy nieuchwytnie i niewymierne. Po dziś dzień toczą się spory, w jakim stopniu filozofowie XVIII-go wieku przyczynili się do wybuchu rewolucji francuskiej. U nas ostatni historyk emigracji, sam dziennikarz i pisarz, publicysta i redaktor, Stanisław Mackiewicz, potrafił strony całe poświęcić jakimś Hryniewskim, Modrzewskim, nawet

Ściborom i podobnym pionkom, których obecności, działania nigdy nie odczułem, nigdy nie zauważyłem; a istnienie *Kultury* przemilczał, chociaż ta w jakimś stopniu wpłynęła na zachowanie się naszej emigracji, może nawet niekiedy na rozwój myśli w kraju. Na pewno wpływ XX Zjazdu, odwilży w Sowietach, wreszcie zmiany w stosunkach amerykańsko-sowieckich był większy w Polsce, niż promieniowanie *Kultury*, ale jednak myślę, że w jakimś stopniu wpłynęła ona na liberalizację pojęć w kraju, na rozluźnienie barier, które dzieliły kraj i emigrację. Był czas, gdy te inicjatywy mogły wydawać się przedwczesne: dzisiaj, w obecnej sytuacji, są one nieuniknione.

•

Już nie tylko dla bloku sowieckiego, ale i dla Zachodu, Polska, nie emigracja, jest jedynym partnerem. Nie tylko Nixon odwiedza Warszawę, ale i Adenauer zwraca się do opinii w kraju, ignorując zupełnie opinię emigracji. Podobnie zachowują się wszyscy korespondenci i publicyści zachodni. Nie można zapoznawać faktów. Polska jutrzejsza powstanie w kraju, z ludzi krajowych.

•

„Lewicowy” Giedroyć jest na emigracji najlepszą żywą ilustracją wartości twórczych kapitalizmu. Tyle zasobniejszych pism i wydawnictw powstało pod egidą czynników politycznych i pod ich kontrolą: gdzie są one dzisiaj? I to pytanie odnosi się nie tylko do wydawnictw emigracyjnych, ale tak samo do tych, które były finansowane przez „Polskę Ludową”; ileż pieniędzy pomarnowano na to bagno?!

Ale porównajmy chociażby tę samą Giedroyciową *Kulturę* z tym *Voice*'m, gdzie pracowałem siedem lat. Tu bieda z nędzą, groźba bankructwa co dzień, liczenie się z każdym groszem. Cztery osoby na całą redakcję i administrację i pisma, i książek, – Giedroyć, jego brat, Zygmunt i Zosia Hertzowie, plus Józio Czapski i jego siostra jako rezerwy czy wolontariusze, a do tego goście, a do tego pomoc dla różnych pisarzy w potrzebie, a „pośrednictwo pracy” dla tychże pisarzy, a przyjezdni z kraju, a tysiące drobnych spraw i kłopotów. Tam wspaniałe biuro, nadmiar personelu, luksusowe lokale, telefony, teleskrytory,

chmary różnych urzędników, instrukcje co godzina, inspektorzy, cenzorzy, doradcy polityczni, słowem armatura, sztab już nie dla dywizji, ale bodaj armii. I co? I nic. Pracownicy schodzili się plus minus punktualnie, potulnie wyrabiali godziny służbowe, wypełniali mechanicznie niewielkie pensum, którego się od nich wymagało, kłaniali się szefom, za ich plecami ich krytykując ile się dało, trochę plotkowali, poza tym nudzili się, marnowali czas, odwalali kawałki, a gdy przychodzili nowi szefowie dostosowywali się do nowego kursu, i tak życie mijało. I co zostało z tej całej działalności? Nic. Nie było ani zła, ani dobra, po prostu minęła bez śladu, nawet dla samych zainteresowanych, którzy rozstali się tak jak się rozstają pasażerowie w tramwaju, nic o sobie wzajemnie nie wiedząc, nie mając dla siebie żadnego zainteresowania. A tutaj paru ludzi przy minimalnych środkach potrafiło w jakimś maleńkim stopniu jakoś ten Kompas polskiej przyszłości i polskiej myśli odchylić. Czy byłoby to możliwe, gdyby redaktor *Kultury* był wyznaczony przez jakieś biura, komitety, władze? Gdyby jego wydatki były schematycznie szeregowane według jakichś przepisów buchalteryjnych? Giedroyć mimowoli jest koronnym świadectwem, o ile większą wydajność ma inicjatywa prywatna i prywatny kapitał, gdy znajdzie się w rękach inteligentnego człowieka!



Ta bezładna sylwetka *Kultury* nie może nawet marzyć o oddaniu atmosfery twierdzy Polski emigracyjnej w Maisons Laffitte, póki nie pokusi się o charakterystykę nie tylko Jerzego Giedroycia, ale jego codziennych towarzyszy pracy: Zygmunta i Zosi Hertzów i Józia Czapskiego. Zygmunt Hertz – to nieraz Sanczo Pansa laffittowskiego Don Kiszota, i bez jego ziarnka realizmu, bez jego zmysłu humoru i dobrego apetytu, no i bez tego roboczego wołu Giedroyć by zapewne nie wyciągnął. Gdy sztab *Kultury* urzędował jeszcze na Corneille'u, ekspedycja książek i numerów odbywała się z Laffitte'u, nie z Paryża; i całymi dniami Zygmunt, niczym riksę, pchał taczkę wypełnioną po brzegi torbami, pełnymi książek. Czasem próbowałem mu pomagać, ale szybko rezygnowałem: zły stan mego serca był idealną wymówką od przerażającej harówki. Ale on ze swą taczką nigdy nie ustawał, jak polscy zesłańcy w kopalniach w Nerczyńsku. Rano, przy kawie, w szlafroku, otwierając pocztę, Zygmunt Hertz był

zawsze zwiastunem dobrej nowiny. „Jeszcze jedna prenumerata” wykrzykiwał, albo: „Znowu tysiąc franków na Dom *Kultury*”. Poza tym uważam go za wybitnego ekonomistę i wielkiego fachowca w sprawach gospodarczych. Gdy coś mówię, zawsze przyznaje mi rację.

•

O Zosi Hertz znacznie trudniej pisać, jak o Zygmuncie. Wpływ kobiet jest zawsze większy, ale i bardziej nieuchwytny, niż mężczyzn; wobec mężczyzn możemy być obojętni, wobec kobiet zawsze mamy stosunek bardziej osobisty, animozji czy sympatii, odrazy czy *attirance*. Przez wieki kobiety wpływały na *les affaires* tylko przez mężczyzn: dopiero w naszym stuleciu wzięły się bezpośrednio do businessu, zresztą z coraz większym powodzeniem: Elizabeth Arden, Helena Rubinstein, Chanel, tysiące innych założyły olbrzymie przedsiębiorstwa, wykazały energię, talenty organizacyjne, rzutkość, których nikt by się po białogłowie jeszcze w roku 1900 nie spodziewał. Sądzę, że w każdej redakcji, ba, w każdym nawet współczesnym biurze musi być kobieta, która staje się, nie wiadomo dlaczego, nie wiadomo jak, punktem krystalizacyjnym życia każdego z tych kółek. *Human relations* wszędzie zależą bardziej od kobiet niż mężczyzn: największy *bel-esprit* nie potrafi założyć salonu, o atmosferze domu decyduje żona, nie mąż, choćby najwybitniejszy. Nawet w ministerstwach, w ambasadach, w landarach radiowych, jakże bezosobowych, od sekretarek zależą stosunki biurowe: czy przeważa gniazdo intryg, zawiści i niesnasek, czy też przeciwnie, ludzie różni, obcy, z natury sobie obojętni, mogą ze sobą współżyć i współpracować. W londyńskim Strattonie (polskim Ministerstwie Informacji czasów wojny) odejście Strońskiego stało się katastrofą nie w najmniejszym stopniu z powodu zastąpienia sekretarki ministra, Mysi Bohomolec, kobiety rozumnej, wyrobionej, *mondaine*, taktownej, dobrze wychowanej, przez jakieś klempy z wyboru Kota.

Za moich młodych lat egerią krakowskiego *Czasu* była korektorka, pani Alicja Wróblewska (wspominał ją Boy w swym szkicu „Znasz – li ten kraj?”). Podobno była kiedyś bardzo piękna; gdy ją poznałem, były to zamierzchłe czasy. Była drobna, bardzo szczupła, zawsze w tym samym czarnym kapeluszu, zawsze na czarno ubrana, z dość ostrym noskiem, z wąskimi

ustami. Przychodziła stale i zawsze dokładnie o 4-ej po południu, siadała przy stoliku w pokoju obok pokoju Beauprégo: po jej lewej stronie znajdowała się sławna ceratowa kanapa, na której goszczono stańczykowskie ekscelencje, na której widziałem i Skrzyńskiego, i Sikorskiego, a także Stanisława Kota. Pani Wróblewska zapalała na swoim biurku lampkę pod zielonym abażurkiem, zdejmowała czarne rękawiczki (ale nigdy kapelusza, tak że dotąd nie wiem, czy włosy miała siwe) i zabierała się do korekty; przez osiem godzin nie wstawała od swego stolika, i ostatnia, już późną nocą, opuszczała stary dwór Kirchmayerów przy ulicy Tomasza. Czy miała przyjaciół? Nie wiem. Mówiono, że była bezbożna i że nawet na łożu śmierci w czasie wojny w Krakowie odmawiała przyjęcia księdza, którego pani Pruszyńska, matka Misia i Ksawerego, jej sprowadzała. Pani Wróblewska nigdy nie mówiła „Beaupré”, tylko „Prezes” (Beaupré był prezesem syndykatu dziennikarzy w Krakowie), tak samo nie mówiła nigdy „Estreicher”, tylko „Rektor”, i przestrzegała, by się wszyscy trzymali tej nomenklatury. Magnatów – Zdzisława Tarnowskiego czy Stanisława Badeniego – tytułowała per Hrabio, mniejsi musieli kontentować się zwyczajnym panem. Zawsze pamiętała, że Bobrzyński i Jaworski byli Ekscelencjami, i tak o nich mówiła. Mnie bardzo polubiła, i nazywała mnie „Zbysz”. Moją karierę w *Czasie* w wieku lat dwudziestu (był to największy sukces mego życia) zawdzięczam nie Beauprému, i nie Estreicherowi, i nie Jaworskiemu, a pani Alicji. Ta cicha, milcząca, smutna zawsze kobieta była nie tylko westalką *Czasu*, ale i jego zniczem. Ci, których nie lubiła, nigdy nie dostali się do grona prawdziwych „przyjaciół”, do miana *les fidèles*. Na „obiadach przyjaciół *Czasu*”, jednej z nielicznych manifestacji naszego przedwojennego życia politycznego i towarzyskiego na jakimś prawdziwym poziomie zachodnim, pani Wróblewskiej nie było, bo były to zebrania wyłącznie męskie; ale jej duch niewidzialnie na nich przewodził i lista zaproszonych czy wybranych była przez nią poddawana drobiazgowej cenzurze. To ona decydowała: *dignus est intrare*.



Jak ta Zosia jest w stanie robić korektę, rachunki, prowadzić kasę i korespondencję, biegać do drukarni, łamać numer,

pilnować rewizji, czuwać nad ekspedycją, zajmować się nadto wydawnictwami, a ponadto prowadzić dom zawsze pełen gości, i gotować strawę dla całej ferajny – a przy tym wyglądać świeżo, młodo, elegancko i szykownie, to jest doprawdy sekret nad sekrety. Ale najistotniejsza jej rola jest nieuchwytna. Jak pani Wróblewska decydowała bezapelacyjnie: „to jest niezgodne z tradycją *Czasu*”, i to krótkie zdanie, wygłoszone jej cienkim staccatto, było takim samym wyrokiem śmierci na artykuł czy delikwenta, jak w życiu towarzyskim mruknięcie pani Franciszkowej Potockiej: *c'est un homme qui n'est pas de notre bord*, tak w *Kulturze* Zosia Hertz decyduje o przyjęciu do loży, względnie jeszcze częściej o wydaleniu z grona *fidèles*. To ona jest strażnikiem i westalką *Kultury*. A także ona decyduje o ludzkich stosunkach w laffitte'owskim gnieździe. Bez niej nigdy by się ten zespół czy grono nie utrzymały. Ona zlikwidowała jednych, ona przyhołubiła drugich. Ona decyduje, że Zbyszewski od biedy ujdzie, ale daleko mu do talentu i wziętości Gombrowicza. Ona dopuszcza do grona wybranych Jeleńskiego, czy Michałowskiego, a trzyma na kilometrową odległość innych sympatyków. Ale nade wszystko, Zosia Hertz ma jakąś piekielną witalność, jakąś niespożytą energię. Może by Giedroyc mógł cudem jakimś znaleźć równie idealną korektorę, maszynistkę, sekretarkę, administratorkę i... kucharkę oraz panią domu w jednej osobie. Byłby to cud. Ale takiego dynamo, tego ładunku inicjatywy na pewno by znaleźć nie mógł, bo sądzę, że w całej Polsce go nie ma.

I wreszcie Józef Czapski. Funkcje jego w prowadzeniu *Kultury* są nieokreślone. Na pewno oddał on jej w dawnych trudnych momentach ogromne usługi, jako kwestor i kwestarz, w Stanach i w Południowej Ameryce. Jeździł, wygłaszał odczyty, namawiał ludzi na datki. Nie znam drugiego równie utalentowanego na emigracji kwestarza, Na pewno Czapski oddał i oddaje nadal *Kulturze* wielkie usługi, jako *sui generis* minister spraw zagranicznych; ma on podwójną łatwość do nawiązywania stosunków i przyjaźni, i jako artysta, i jako hrabia, bo właśnie te dwie grupy społeczne – arystokracja i cyganeria – są najbardziej międzynarodowe, najmniej sztywne, najmniej zaściankowe w

obcowaniu z cudzoziemcami. Ale te realne, konkretne usługi Czapskiego są nieważne w porównaniu z jego wkładem w życie duchowe, osobiste, towarzyskie, wewnętrzne *du petit cercle Laffitte'u*. Giedroyć daje poczucie Misji. Zygmunt sprowadza idealistów na twardy grunt rzeczywistości. Zosia daje motor wściekłej energii i ciepło rodzinnego gniazda. A Józio Czapski dodaje całości pocałunku fantazji. Pamiętam nowelkę popularnego pisarza dla dzieci Jana Lichtenbergera, w której wywodził, że biedne dzieci bardziej potrzebują nugatów jak chleba: *dix sous de luxe - c'est la première nécessité*. Tę samą myśl wyraził Proust, jak zawsze bardziej epigramatycznie: *il n'y a que le superflu qui soit indispensable*. Czapski – to te *dix sous de luxe* falansteru w Lafficie, to ten niezbędny, konieczny *superflu*.



Czapski wymagałby sam dla siebie studium, sylwetki. Zawsze czuję się ubogi, banalny, gdy rozmawiam z Czapskim. Zazdroszczę mu entuzjasmów, zazdroszczę mu żyłki cygańskiej, kropelki krwi niemieckiej, która go skłania do klasyfikacji, do metodycznego podziału na szkoły, do szukania definicji; mniej może petersburskiego dzieciństwa, które pozostawiło mu jakiś posmaczek przygody, rewolty, anarchii. Czapski jest bardziej paryski ode mnie: ja jeszcze więcej zjadłem szmalcu od niego. Jest i bardziej rosyjski: za młodu wiele deklamował Błoka czy Jesienina. Jest bardzo zdolny do bezinteresownego zapału. A w ogóle jest zdolniejszy: ma szerszą gamę czy paletę.

Być może Czapski jest człowiekiem zbyt zdolnym i być może to stanowi jego nieszczęście. Czy można być malarzem i jednocześnie krytykiem malarstwa? Właśnie Czapski jest i jednym, i drugim, i to mnie niekiedy przeraża. Poeta nie może być ani krytykiem ani eseistą. Być może, Czapski powinien przestać pisać, by lepiej malować, albo przestać malować, by lepiej pisać. Być może powinien wybrać: pejzaż, *nature morte* czy portret, nie próbować sił na wszystkie strony. A może powinien zostać tym czym jest: czarującym dyletantem, przede wszystkim czarującym człowiekiem, potem dopiero malarzem, krytykiem, eseistą i żołnierzem.

Jeżeli o mnie chodzi, to waham się między sprzecznymi uczuciami. Chciałbym zobaczyć nie małe obrazki Czapskiego, na mój gust przeważnie zbyt pośpieszne, ale jakąś jego *nature morte*, wazon kwiatów, czy stół, czy krzesło, szalenie wypracowaną, wytoczoną, wyszlifowaną, prawie że flamandzką, Van Goes'owską w koronkowym wykonaniu, a jednak śmiałą, impresjonistyczną w fakturze, jakąś bardziej indywidualną, mniej bonnardowską czy soutinowską, jakąś bardziej odrębną. Chciałbym też przeczytać nie jego krótkie szkice, choćby tak bystre jak ten jego o Soutinie, ale wielkie, poważne dzieło o malarstwie francuskim XX wieku, gdzie by operował i rosyjskim wytrychem, i francuskim lancetem, i niemieckim katalogiem. Jedno wyklucza drugie. Ale każda z tych ewentualności wyklucza trzecią, obecną: że można przyjechać do Paryża, raczej do Laffitte'u, wyciągnąć Józia do kafejki, na butelkę Traminer'a, na jajeczniczkę *fines herbes*, i słuchać jego improwizacji, *à bâtons rompus*, tej perlającej się konwersacji BEZINTERESOWNEJ, wolnej od wszelkiej pozy, od wszelkiej kokieterii, od wszelkich względów osobistych, karierowych, interesownych. Taki wieczór z Czapskim orzeźwia, rozpogadza, każe znowu wierzyć w szlachetność duszy ludzkiej. Po niej zawsze wydaje się, że artyzm, że sztuka nie są tylko frazesem, tylko pedanterią, tylko afektacją. I że można być *bien* nie będąc snobem. Więc wolę Czapskiego takim, jakim jest.



A przyszłość? Gdyby w Polsce istniała niepodległość, istniała wolność, istniały normalne, cywilizowane stosunki, *Kultura* wróciłaby do kraju, nie jako poszczególni bankruci, szukający wsparcia, ale jako grono ludzi, pragnących służyć krajowi. Niestety, pod cenzurą, pod przymusem, pod dyktando żadna służba krajowi jest niemożliwa. A szkoda. Giedroyć będzie musiał zapewne jeszcze długie lata wytrwać na emigracji, nadal przeżywać wszystkie jej zawody i smutki, Jedno wydaje mi się pewne: do nazw miejscowości podparyskich, które stały się częścią naszej historii, naszej świadomości – Batignoles, Montmorency – trzeba dodać nazwę „Maisons Laffitte”.

Wspomnienie o
Ksawerym Pruszyńskim

III.

LUDZIE KTÓRYCH ZNAŁEM

...

...

III.

ĽUDNIE KRÁĽOVYCH ZNALEM

Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim

Kiedys, w czasie wojny, Ksawery Pruszyński zabawiał mnie opowiadaniem, jaki by o mnie napisał nekrolog. Zbyłem dość sucho te wypowiedzi, nie gustowałem bowiem nigdy w makabrycznych dowcipach. Ale ani wówczas, ani nigdy potem nie przyszło mi do głowy, że właśnie ja będę pisał o Ksawerym wspomnienie. Cechowała go bowiem przede wszystkim niespożyta żywotność, jakaś animalna witalność. Ona to zrobiła go tym czym był: ona tkwiła u źródła jego talentu, ona była sprężyną jego energii pisarskiej, ona też, niedostatecznie hamowana refleksją, popchnęła go na tory, które zerwały dawne przyjaźnie. Chciałbym obiektywnie wyłożyć, jak sobie tłumaczę przedziwną karierę Zmarłego, chcę zachować cały szacunek i rezerwę, którą nakazuje zawsze majestat śmierci, tragicznej zwłaszcza i w kwiecie wieku, ale usprawiedliwiać go nie widzę sposobu.

Człowiek, pisarz, działacz. Te trzy elementy stapiają się w życiu wszystkich ludzi pióra, ale w różnych proporcjach. Flaubert np. był tak pochłonięty swoim zawodem, że jego biografowie z trudem mogą wydobyć jakiś szczegółik poza rozkładem jego godzin pracy. Innych, ludzi czynu, tak pochłania polityka, że poza nią trudno znaleźć najmniejsze zdarzenia dla podparcia i uwypuklenia ich sylwetek. U Ksawerego górował człowiek. Był on przede wszystkim sobą, Ksawerym Pruszyńskim, on był bohaterem powieści, której nie mogąc napisać, chciał ją przynajmniej przeżyć. Na pewno z innym finałem niż płaskim, mizernym, głupim, z kroniki wypadków; ale bohaterskim, romantycznym, niezwykłym. Ksawery kochał *le panache*.

Jego volty lat ostatnich nie zdołają przekreślić faktu, że był on nie chorążym czasów naszych, lecz epigonem czasów bardzo dawnych, zagubionych w XX wieku, dzieckiem kresowej szlachty, bałaguną ubiegłego stulecia. Wszystko co w nim było coś warte, co stanowiło jego urok, decydowało o jego popularności, jednało mu serca, nadawało mu piętno nieprzeciętnej indywidualności - było wrodzone; co było nabyte, było banalne, powierzchowne, mierne. *Ils se sont donné la peine de naître* mawiał o arystokratkach francuskich Beaumarchais; i to samo można by powtórzyć o Ksawerym. Po przodkach odziedziczył temperament, rozmach, fantazję, z mlekiem matki wyssał koloryt ukraiński, barwność słowa, zapach i jędrność polskiej mowy; bogaty z domu, szafował talentem: gleba urodzajna, choć źle uprawiana, zachwaszczona, dzięki wrodzonej żyzności, długo hojny przynosiła plon. Ale warunki pokolenia, do którego należał Pruszyński, zaciążyły na nim fatalnie i już w dzieciństwie wyrobiły w nim kompleksy, które później doprowadziły go do tragicznych pomyłek. W 11-tym roku życia panicz kresowy znalazł się na bruku krakowskim, renty wołyńskie zastąpiły pomoc krewnych, stypendia czy korki i lekcje francuskiego udzielane przez zacną matkę. Pruszyński nigdy nie przestał być może najbardziej ziemiańskim pisarzem swego pokolenia, ale stosunek jego do warstwy, z którą wszystko go wiązało, był dziwną mieszaniną sentymentu dziecinnego i rankoru, wywołanego prostackim zachowaniem się galicyjskich półpanków do zdeklasowanych braci zza Buga. Te urazy lat szkolnych – a musiały być silne – tłumaczą, jak sędzę, niezwykle przewrażliwienie Ksawerego na każdą, najmniejszą nawet krytykę; już brak entuzjastycznego uznania odczuwał jako ciężką, osobistą zniewagę. Ten człowiek, tak „męski” pod niektórymi względami, był wrażliwy jak panna; potrzebował podziwu, ciepła, przywiązania, łykał komplementy jak inni pałą papierosa, chciał zawsze i wszędzie być „królową balu”, ośrodkiem zainteresowania, filarem rozmowy; każde zebranie, każda pogawędka towarzyska, w której brał udział musiała być jego popisem. Próżność? Może, ale to nie była ta próżność zimna, wyrachowana, która tak irytowała u Sikorskiego i Aleksandra Skrzyńskiego. Była tak naiwna, szczerą, dziecinna że aż rozbijająca. Gdy go nie chwalono, Ksawery się dąsał i boczył, jak mały chłopczyk, któremu nie dano cukierka. Skądinąd ta próżność sprawiła, że tak łatwo ulegał wpływom. Zdobyć go można było niesłychanie łatwo, używając do tego tylko

– ale za to w nieograniczonych dawkach – pochlebstwa. Celował w tym prof. Kot, i on to przede wszystkim ponosi odpowiedzialność za zwichnięcie kręgosłupa nie tylko utalentowanego pisarza, ale i człowieka o wielu sympatycznych cechach i wielu szlachetnych instynktach.

Pruszyński był człowiekiem, w którym talent niezmiernie górował nad inteligencją, zdolności nad wykształceniem. Gdyby wydano wszystkie jego artykuły i broszury – a zebrałoby się tego zapewne z kilkanaście tomów – lektura ta byłaby na pewno nie do zniesienia, bo jej treść umysłowa, jej багаż myśli byłby nikły. Pruszyński był człowiekiem pasji, miał namiętności, nie miał przekonań, miał koniki, nie miał poglądów, miał świetne obrazki, nie miał konstrukcji, miał oryginalne spostrzeżenia, żadnej linii. Nadawał się na reportera, na jakiegoś Pierre Loti, ale nigdy nie napisał żadnej powieści, bo nigdy nie wyszedł z siebie, poza nim samym nikt go bardzo nie interesował. A już wcale się nie nadawał na pisarza politycznego. Tu tkwi główna różnica między nim a Stan. Mackiewiczem, do którego pod wielu względami (mam na myśli rodzaj uzdolnień) był podobny. Jak i Mackiewicz był zasadniczo człowiekiem wschodu: pamiętam jak kiedyś odwiedziłem Ksawerego w Londynie i zastałem go drzemiącego na łóżku z butami, w płaszczu i nawet furażerce; nie mogłem się nie roześmiać, tak mi przypomniał Raskolnikowa na swym barłogu. Pruszyński, który pierwsze kroki stawiał w Mackiewiczowskim *Słowie*, pozostałby całe życie pod wpływem Cata, gdyby Mackiewicz w ogóle na kimkolwiek mógł dłuższy wpływ wyrzeć: ale Mackiewicz jest zanadto paradoksalny, zmienny i kapryśny, by ktoś mógł stale pozostawać w jego orbicie; systemy planetarne powstawać mogą dookoła słońc, nie komet. Ze wszystkimi swoimi dziwactwami i wyskokami, Mackiewicz jest umysłem politycznym: ma poglądy, w których zawsze obok paradoksów tkwią cząsteczki prawdy, i do swoich każdorazowych pomysłów potrafi zawsze dorobić rozumowania zadziwiająco finezyjne dla człowieka o tak wysokim ciśnieniu. Drogi Cata i Ksawerego wkrótce się rozeszły, *lex extrêmes se touchent*, ale kuzyni się często wadzą.

Trwalszym się okazał wpływ śp. Adolfa Bocheńskiego, może dlatego że Bocheński był osobiście niezwykle skromny, nigdy nie chciał brylować, tylko przekonywać. Wpływ ten objawił się głównie w erze ukrainofilskiej Pruszyńskiego, erze która

wyskakiwała nawet w czasie wojny, już w epoce gdy Ksawery wsiadł na konia „porozumienia z naszym wielkim sąsiadem”; wszak jeszcze w 1944 r. ciskał gromy na endeków, że zaprzepaścili kresy przez podjudzanie przeciw Ukraińcom. Ale o ile, nie dzieląc ich, rozumiałem pobudki ukrainofilizmu Bocheńskiego, o tyle ukrainomania Pruszyńskiego wydawała mi się zawsze fanaberią kresowego paniątka, które nagle wyobraża sobie, że jest ukochane przez swych ukraińskich chłopów. W praktyce prometejskie ideały Pruszyńskiego dostarczyły mu tylko pretekstu do rezygnacji z tych ziem wschodnich, z którymi był całą swą tradycją rodzinną najściślej związany.

Druga *marotte* Pruszyńskiego była dużo rozumniejsza i sympatyczniejsza: mam na myśli jego filosemityzm. Pierwszy jego dłuższy wypad zagranicę był do Palestyny i jego zapał dla syjonizmu stanowi piękną kartę w jego spuściznie. Z czasów akademickich Pruszyński wyniósł abominację do burd antyżydowskich, którą całkowicie podzielałem; ale brak myśli politycznej sprawił, że nie potrafił rozróżniać oburzenia i stanowiska wobec endecji, która wywoływała w nim zawsze paroksyzmy antypatii, gdy już przyczyny do tej niechęci przestały dawno istnieć. Jak to często bywa, animozje polityczne Ksawerego były silniejsze od jego filo-ciągotek. Z jego proukraińskich i prożydowskich sympatii jedynym trwałym elementem okazał się kompleks antyendecki.

Innym kompleksem, który fatalnie zaciążył na Pruszyńskim, był jego uraz na tle oficerów zawodowych. Choć daleki od bałwochwalczej czci dla munduru, przyznaje jednak że stanowisko Pruszyńskiego było (podobnie zresztą jak i mego brata) atawistycznym przeżytkiem pospolitego ruszenia; rozumował jak „towarzysz pancerny”, który dla hetmana był „panem bratem”. Nie można wojska na tych fundamentach budować, i przy najbardziej krytycznym stosunku do różnych przywar naszego zawodowego korpusu oficerskiego, trzeba stwierdzić że cała wojna podjazdowa Pruszyńskiego przeciw naszym oficerom była szkodliwa i oplakana w skutkach dla dyscypliny wojskowej.

Pruszyński wstąpił się i inną kampanią, a mianowicie swą książką o Czerwonej Hiszpanii, w której spędził pół roku na początku wojny domowej. Książka ta zawiera wspaniałe opisy kraju i przyrody – Pruszyński miał talent ściśle malarski i celował zawsze w oddaniu pejzażu, tła, kolorytu – i mętne rozważania polityczno-społeczne. Można i takie mieć poglądy, tylko że

w danym wypadku to nie były poglądy Pruszyńskiego, lecz otoczenia, w którym się w Hiszpanii znalazł; gdyby trafił na tamtą stronę frontu, byłby się zapewne entuzjasmował gen. Franco i jego spahisami: to co go bowiem entuzjasmowało, porywało – to nie była „sprawa”, lecz sama wojna z jej elementem ryzyka, krwi, niebezpieczeństwa, dzikiej pierwotności bytu. Natomiast zabawne było, że Pruszyński zupełnie nie orientował się, że jego reportaże z Hiszpanii najgłębiej były sprzeczne z sympatiami wszystkich jego dotychczasowych towarzyszy spod znaku *Polityki - Buntu Młodych*. Gdy wrócił do Warszawy, Giedroyc urządził zebranie w redakcji, na którym Ksawery wygłosił referat: był wesolutki, figlarny, z góry oczekiwał owacji. Grad protestów, zarzutów, obiekcji zaskoczył go, potem oburzył, uznał je nie za objaw innych poglądów, ale za złośliwą próbę zrujnowania jego pozycji i standingu. Od tego czasu zaczął się jego *glissement*. „Cóż tak ciągle zadajesz się z Singerem i Słonimskim?” – pytałem go wówczas. „Oni mnie chwala, a wy mnie krytykujecie” - odpowiadał naiwnie Ksawery. Skoro go chwalili, oni mieli oczywiście rację, a inni to były łobuzy.

Ksawery był na ogół ludziom życzliwy, był dobrym przyjacielem, każde zerwanie go bolało: wszak miesiąc przed śmiercią dopytywał się przez trzecie osoby, czy nie byłem autorem pewnych notatek o nim w pewnym dzienniku (z którymi naturalnie nie miałem nic wspólnego). Ale był skrajnie podejrzliwy i w chwilach furii, gdy mu się zdawało że ktoś mu chce szkodzić, zapominał wszelkiej miary, zachowywał się skandalicznie. Przypominam sobie taki incydent; gdy Kot został ministrem informacji, Pruszyński popędził do niego z pewnymi żądaniami natury zresztą najzupełniej apolitycznej i, dodam, nie-finansowej. Kot mu odmówił i przyznam lojalnie, że w danym wypadku najzupełniej słusznie (sam mi później całą sprawę wyłożył). Trzęsąc się z pasji, Ksawery zleciał z jego gabinetu do mego pokoiku. „Jak myślisz, zawołał, czy Matuszewski by to dla mnie zrobił?” (Ksawery wiedział, że Matuszewski niezwykle cenil jego pióro i stąd zawsze był wobec niego z reweransem). „Może by i zrobił”, odpowiedziałem dyplomatycznie. „W takim razie, zawołał Ksawery, już pędzę do Sikorskiego i powiem mu, by tę świnię Kota wylał i na jego miejsce mianował Matuszewskiego”. Nie potrzebuję dodawać, jaki był rezultat tej interwencji. Ale sam fakt takich pomysłów w kwietniu 1943 r. był dowodem, jaki był z tego biednego Ksawerego „polityk”.

Matuszewski napisał kiedyś złośliwą notatkę o Stpiczyńskim, nazywając go Joachimkiem, dla którego jedynym celem jest „byle szum, byle szum”. Otóż to właśnie można powiedzieć o całej działalności politycznej Pruszyńskiego. Chciał robić dookoła swej osoby wieczny hałas, i nic więcej. Był statystą luzakiem, który wiecznie chciał udawać, że kroczy w pierwszym szeregu. A dokąd – to mniejsza o to. Chciał błyszczeć, być podziwianym, za co, dlaczego ani nie wiedział, ani dbał. Chciał mieć wielkie stosunki, nie dlatego, by je wykorzystywać, czy choćby przez ciekawość, ale dlatego by podkreślać swoją ważność. Kiedyś przed wojną w Warszawie wpadł do mnie cały podekscytowany i zdyszany.

- Wiesz, dopiero co trzy godziny rozmawiałem z Sosnkowskim...

- To bardzo zajmujące, odparłem, cóż powiedział Sosnkowski?

- Więc ja mu powiedziałem to, wyłożyłem tamto, wyłuszczyłem owo, wytłumaczyłem coś jeszcze...

- No pięknie, przerwałem mu po raz dziesiąty, ale co mówił Sosnkowski?

Pruszyński, zdziwiony i zdetonowany, wreszcie bąknął:

- Wiesz, nie bardzo pamiętam.

Tak było zawsze z „kochanym Ksawerem” i kiedy opowiadał o swych rozmowach z Sikorskim, i z Mikołajczykiem, i z Andrzejem Januarjewiczem Wyszyńskim, i z ambasadorem angielskim w Moskwie, i z Aleksiejem Tołstojem itd., nie słuchał i w gruncie rzeczy się tym nie interesował. Rozmawiać, rzecz dziwna, umiał tylko z bardzo nielicznymi znajomymi i pamiętał co mówił np. Mackiewicz czy Kot.

Egocentryzm był podłożem jego akcesu do Warszawy, nie zwykle karierowiczostwo. Mogę w każdym razie stwierdzić z pewnością, że za Kota mógł Pruszyński zrobić w Ministerstwie Informacji tzw. wielką karierę, wysadzić Drohojowskiego itd., ale jej nie zrobił, bo nie miał na to żadnej ochoty. Pruszyński był amoralny, bo i jego patriotyzm, i katolicyzm, i tradycjonalizm były tylko nastrojami, nie przemyślanym przekonaniem. Zdawało mu się, że nie są to wartości obiektywne, bezwzględne, ale jego, Ksawerego Pruszyńskiego, własność, jego osobiste *hobbies*, które można każdej chwili rzucić, cisnąć, zmienić, jak się zmienia krawat czy stalówkę. Pruszyński był gotów zginąć na wojnie, bo wierzył, że z tym będzie mu do twarzy, ale nie rozumiał znaczenia słowa „obowiązek”. Pamiętam ostatnie moje z nim dłuższe spotkanie, w jesieni 1944 r. gdy leczył się z ran w szpitalu

pod Liechfield. Był co prawda dość lekko ranny, lecz jednak cały w bandażach, i choć mocno cierpiał, był uszczęśliwiony swymi ranami: tokował bez przerwy, grał rolę bohatera, radował się, że jest ośrodkiem sympatii i zainteresowania, nigdy go nie widziałem w tak świetnym humorze. To że był ranny, było w jego rozumieniu jeszcze jednym paszportem, który mu dawał prawo robić co mu się podoba, nie liczyć się z niczym zdaniem, z żadnymi hamulcami. On był tak wielkim indywidualistą, że aż zdołał trafić do najposepniejszego totalizmu.

Nie widziałem nigdy Pruszyńskiego po Jałcie, więc nie wiem, czy się później nie zmienił. Raczej w to wątpię. Nie wierzę, by interesowność podyktowała mu dalsze postępowanie. Raczej wplątawszy się w sieci bolszewickie, brnął dalej z ducha przekory, z zarozumiałości: nic nie mogło być dla niego boleśniesz niż przyznanie się do błędu. Myśl, że dawni przyjaciele przywitaliby go słowami: „a widzisz, kto miał rację” musiała być dla tej rogatej duszy, tak czupurnej, tak kozaczej, nie do zniesienia. Wolał brnąć dalej, co przyszło mu tym łatwiej, że Pruszyński nigdy nie zrozumiał, że polityka jest rzeczą serio, że to jest coś więcej niż przyjaźń z A. i waśń z B., i zwalczanie C., i porachunki z D. Mógł się utrzymać na stanowisku w Hadze właśnie dlatego, że nigdy nie miał przekonań politycznych, ambicji politycznej i absolutnie żadnej chęci władzy. Jestem przekonany, że w Hadze był zupełnym *strohmanem*, całym jego poselstwem rządził na pewno jakiś enkawudysta, a Pruszyński tego nawet nie wiedział. Taki Litauer np., nie do porównania z Pruszyńskim i od dawna dużo bliższy komunistom, miał jednak pewne własne zdanie i w małym zakresie chęć, ambicję rządzenia, narzucenia swej linii: toteż już po roku został zlikwidowany. Pruszyński był tylko Joachimkiem: byle szum, byle szum.

Nie wierzę też, by na postępowanie Pruszyńskiego wpłynęły honory lub pieniądze. Pragnął on tylko rozgłosu: tytuł ekscelencji bawił go zapewne przez tydzień – też dobry rozdział powieści, i tylu znajomych pęka na pewno z zazdrości – ale potem go musiał nudzić: to był człowiek bohemy, nie salonu, kawiarni, nie protokołu. Był próżny, ale nie nadęty. Gdy chodzi o pieniądze, Ksawery był typowym inteligentem szlacheckim. Co miał to wydawał, nie oszczędzał nigdy, i budżet jego był zawsze elastyczny, potrafił każdej chwili swój standard życiowy obniżyć do poziomu

żebraka. Nie pił, nie palił, a kobiety go nigdy nie kosztowały ani grosza.

Jako pisarz, Ksawery po śmierci nie będzie miał nigdy tej pozycji, którą miał za życia. To zemsta losu na tych, którzy chcą sukcesów chwili. Nie zostawił nawet żadnych „Szczenięcych lat”, choć jego artykuł w „Kraju lat dziecinnych” jest może najlepszą rzeczą, która wyszła spod jego pióra. W jego obszernej spuściźnie znaleźć można będzie łatwo perełki stylu, strony pachnące stepem czy gorącymi skałami Hiszpanii, strony niekiedy dorastające do przyrody Hiszpanii. Ale tego wszystkiego nie starczy na zapewnienie mu pierwszorzędного miejsca w literaturze. Jego rodzaj talentu był, moim zdaniem, czymś pośrednim między Zygmuntem Nowakowskim i Józefem Mackiewiczem. Od pierwszego miał bogatszą paletę, od drugiego większy rozmach i zasięg.

Lecz śmierć, ta wielka Pani, ta władczyni naszych losów, ma to do siebie, że wobec niej bledną i maleją nasze sprawy, nasze spory, nasze przewiny i błędy. Wobec niej wracają właściwe proporcje, pozostaje tylko to co najważniejsze, to co decyduje o człowieku. I dlatego dzisiaj, gdy jeszcze szczątki Ksawerego w otwartej leżą trumnie, nie myślę o jego wadach czy winach, lecz o jego matce, siwej staruszczyce, która gdzieś na placu Floriańskim w Krakowie szepce nieruchomymi wargami za swego pierworodnego pacierze, o jego bracie, który z ciężkim sercem zamyka grubą księgę wiernej braterskiej przyjaźni, o kobietach które go kochały, a wreszcie o jego trojgu drobnych dzieciach, które przerażone i oszołomione zdają sobie sprawę, że ubył im ojciec i opiekun, podpora i obrona, i z przerażeniem patrzą na tę długą, czarną drogę, która wije się ciemno, ponuro i groźnie przed każdą sierotą.

Niechże Bóg dobrotliwy ześle im wszystkim pomoc i pocieszenie, i niech duszy biednego Ksawerego okazać raczy swe wszechmocne Miłosierdzie.

Secundum magnam misericordiam Tuam...

Kultura nr 7-8/33-34, 1950

Stroński

Człowiek, publicysta, polityk. Te trzy postacie łączyły się dla nas w jedną, póki żył. Nieboszczyk podlega jednak zawsze sekcji. Nekrologista – to zawiadowca prosektorium.



Starszy pan z brzuszkiem, z małą bródką, z rzadkim profesorskim wąsem, z różowymi policzkami. Niskiego wzrostu, pucołowaty, z cwikiem, czyli pince-nezem bez oprawy, ubrany na czarno przeważnie, w pasiastych spodniach, dopiero później w swetrze wiejskiego *bohème'a*. Człowiek był miły, pogodny, przyjazny, trochę staroświecki, bardzo *dirneufcent*: trochę francuski *bourgeois*, trochę austriacki profesor, bardzo galicyjski inteligent. Uśmiechnięty, wesoły, dowcipny. Może zanadto: chwilami robił wrażenie wiecznego polowania na kawały. Pewna dama, co go nie lubiła, twierdziła, że jest *libidineux*. Jak wszyscy ludzie, których życie upłynęło zbyt cnotliwie, niemal ascetycznie, Stroński może przesadnie uganiał się za tłustym dowcipem, za dwuznacznym kalamburem. Odbijał słowem, czego nie dokonał uczynkiem.

Nade wszystko był Stroński człowiekiem dobrym. Naprawdę zacnym, kochanym. Ta dobroć go deklasowała jako polityka. Przechodziła w naiwność, w bezradność, w bezbronność. Odbierała mu kły. Ale dawała mu urok. Wspominamy go z mniejszym podziwem, za to z o ileż bardziej szczerym żalem, niż „mężów stanu”, którzy większą od niego zrobili „karierę”.

Oto wiązanka osobistych wspomnień, które może, choć błahe, choć bardzo personalne, uprzytomnią tym co Strońskiego nie znali, Strońskiego-człowieka.

Poznałem go na jakimś posiedzeniu Ligi Narodów w Genewie w roku 1925. Przybyłem tam jako korespondent *Czasu*, nic. Otaczający mnie ex-zawodowi piłsudczycy, ex-fagasy Becka ani mrumru. Nagle odezwała się we mnie rogata dusza kozacza, czy szlachecka. Nigdy piłsudczykiem nie byłem, ale teraz ja im wszystkim pokażę. Chwyciłem za pióro i machnąłem panegiryczek na pół strony. Że cała Polska pamięta, płacze... Poszło. Front się walił, Francja się waliła, świat się walił, co tam Anglików mogły te polskie Zaduszki obchodzić...

Ale Stroński czuwał!

Już nazajutrz od rana wszystkie telefony z Francji do Anglii, które nie były zajęte rozpaczliwymi wołaniami Gamelina o ratunek i pomoc, zarekwirował Stroński i jego urząd: skąd ten bunt, co to za spisek, kto śmiał, dlaczego, kto winien, ukarać śmiałka itd. Naturalnie w ciągu kwadransa stałem się nowym Kordianem, Łukasińskim itp. Po tygodniu przyszedł wyrok samego Sikorskiego: zakutego w kajdany odstawić do szeregów we Francji. Pierwszym transportem. Miałem zawsze kategorię E, ale kto się o takie rzeczy troszczył. Niestety Francja rozleciała się zanimem do niej dopłynął. Ale i na Wyspie Stroński czuwał. Ciupasem odstawiono mnie do Szkocji. Razem z Deutscherem. Dwóch dezertów. Tam nie tyle bronilem wybrzeża, ile pracowałem jako tłumacz. Oprócz mnie w tej kompanii rekruckiej byli sami Żydzi. Ślepi, kulawi, mniejsza o to, ale gorzej – nie mówili słowa po polsku. Z getta londyńskiego. Sierżant Zarzewa, typ grottgerowski, blondyn o marzących oczach, bardzo podobny do Arciszewskiego, ale nie Tomasza, lecz Mirosława, ongi posła R.P. w Buenos Aires, o płowych włosach i bladej cerze (podobno biedak gdzieś zaginął w roku 1944) wykładał arkana celowania i strzelania po polsku, a ja musiałem w pocie czoła obcą mi sztukę balistyki tłumaczyć na angielski i na francuski, bo mieliśmy też w drużynie czy kompanii (już nie pamiętam) „Francuzów”, czyli Żydów polskich z Francji, co uciekli z Paryża przed Hitlerem i znowu po polsku ani Be, ani Me. Służba wojskowa zostawiła mi na ogół przyjemne wspomnienia. Tak się człowiek czuł spokojny i bezpieczny, tak odpoczywał po nalotach londyńskich. Gdym wreszcie wrócił do Londynu, BBC

mnie zdziwiło, zgłosiłem się do Strońskiego, który tymczasem zapomniał o mych „zbrodniach” i przyjął mnie na tłumacza w swym ministerstwie. Tak się zaczął „strattonski” okres mego życia.

Stroński był fatalnym ministrem. Nikt nie może być dobrym ministrem informacji: bo jest to stałe złudzenie wszystkich bankrutów, że propagandą można zastąpić politykę i dyplomację. Podobno baron Louis, minister skarbu Ludwika XVIII (*à propos* jedyne go króla Francji, który w życiu prywatnym nazywał się Stanislas: Louis Stanislas-Xavier brzmiały jego oficjalne imiona, ale ponieważ starszy brat Ludwik XVI był Lulem, drugi musiał kontentować się Stasiem), otóż baron Louis miał mawiać: *donnez-moi une bonne politique et je vous donnerai de bonnes finances*. Jeżeli chodzi o finanse, to bym raczej odwrócił to twierdzenie, bo jak nędzarze, jak np. Polska przedwojenna, mogą prowadzić dobrą politykę – ale w każdym razie aforyzm ten brzmieć musi akurat odwrotnie, gdy chodzi o propagandę: bez sukcesów politycznych dobrej propagandy być nie może, mogą być tylko same klęski. Polacy stale prowadzą utopijną politykę, a potem mają pretensję do propagandy. Stroński nic nie wymyślił poza krzykiem, żadnego manewru. Ale w tej sytuacji, co innego można było wymyśleć? Co mogło pomóc przegranej od pierwszego dnia sprawie?

Na razie jestem jednak wciąż przy rozdziale Stroński-człowiek. Przy całym niemożliwym bałaganie Strattonu, Stroński tam utrzymywał nastrój salonu. Ostatni salon polski. Gdy na pierwszym piętrze Strattonu, w nieszczęsnym Ministerstwie Spraw Wewnętrznych panowała atmosfera dintoiry i meliny, speluny i karczmy, mordowni i chłopskiego wychodka, u Strońskiego zachowały się jakieś resztki dawnej Polski, pustej, próżnej, ale dwornej i wytwornej. Stroński miał kilka sekretarek, wszystkie z tzw. dobrych rodzin. Jedna z nich, młoda, hoża i nawet przystojna Krysia B., przybiegła kiedyś do mnie 13 marca; „Słuchaj Waciu, szepnęła, wiesz, że minister nam daje na imieniny po 5 funtów, ja tak strasznie potrzebuję pieniędzy, może będziesz aniołem i mu przypomnisz, że dzisiaj św. Krystyny...”

„Ależ Krysiu, zawołałem naprawdę zaskoczony, przecie obchodzisz imieniny w lipcu, sam pamiętam...”

„No tak, no tak, odparła Krysia, ale może minister zapomniał. Błagam cię, spróbuj...”

Wskoczyłem do gabinetu i szepnąłem Strońskiemu na ucho:

„Panie Ministrze, Krysia B. obchodzi dzisiaj imieniny, może by pan minister miał dla niej 5 funtów...”

Ze zdumienia Stroński aż ściągnął cwikier z nosa, co mu się rzadko zdarzało, i popatrzył na mnie kurzym wzrokiem:

„Ależ, panie Waławie, panna Krysia zawsze obchodziła swe imieniny w lipcu, więc to chyba jakaś pomyłka?”

„No tak, tak, Panie Ministrze, powiedziałem bezczelnie, ale widzi pan, ona jest tak pobożna, że obchodzi obie swe patronki, i tę w lipcu, i tę marcową...”

Pocziwy Stroński rozchichotał się, wyjął 5 funtów, mrużąc:

„Och, ta dzisiejsza młodzież, ta młodzież...”

O mały włos nie rozbiłem nosa uroczej Krysi, która podsłuchiwała pod drzwiami. Zapłonila się, zarumienila, i zawołała: „Ależ ten nasz minister, to naprawdę porządny człowiek”.

Jeszcze z tej samej branży: już po wojnie zapoznałem Strońskiego z pewną Polką, naprawdę zresztą bezkonkurencyjnie najpiękniejszą Polką na emigracji. Nazwijmy ją, tak by się nikt nie mógł domyśleć o kogo chodzi, panią Niną. Stroński przypatrywał się jej mrużąc oczy, zdejmując i wkładając cwikierek, wreszcie powiedział: „Proszę pani, jak to się stać mogło, by tak piękna osoba nie pracowała u mnie w Strattonie?”

C'était un galant homme, a takich jest mało.



Stroński potrafił ocenić urodę oraz dobry dowcip, ale nie znał się na ludziach. Wszystko na świecie jest relatywne: naturalnie Stroński nigdy nie stoczył się do poziomu nieszczęsnego Kota, który potrafił zrobić swym zastępcą w ministerstwie informacji taką superkanalę, jaką był Drohojowski, wyrodek i zboczeniec, prowokator i łaps, którego nawet w końcu już i Bezpieka nie mogła strawić. Ale któregoś dnia Stroński wezwał mnie urzędowo do swego gabinetu:

„Panie Waławie, rzekł mi głosem, który miał być surowy, a brzmiał raczej komicznie, Litauer mi się skarżył, że pan mu nie

podaje ręki i nie wita się z nim. Czy mogę zapytać, co jest powodem tak niewłaściwego zachowania się wobec kolegi?”

Odpowiedziałem z właściwym mi tupetem:

„Po prostu dlatego, że uważam Litauera za zwyczajnego szpiega sowieckiego”.

Na to Stroński zawołał: „Nie słyszałem pana odpowiedzi, bo gdybym ją słyszał musiałbym pana natychmiast zwolnić za nieuzasadnione oszczerstwa pod adresem wzorowego urzędnika...”

Później, gdy fakt pozostawania Litauera na usługach NKWD nie mógł już dla nikogo być tajemnicą, znajdowałem przyjemność w wypominaniu Strońskiemu jego zaślepienia na tym punkcie.

Wówczas Stroński zwykle ciężko wzdychał: „Ależ któż to mógł przypuszczać, kto mógł przypuszczać?...”

Na co naturalnie z wewnętrznym poczuciem wyższości i zadowolenia mówiłem z udaną skromnością: „Więc jak to, ja, mały urzędniczyna, mogłem Litauera przejrzeć, a inni nie mogli?...”

Stroński kiwał głową: „No tak, to prawda, ale pan, panie Wacławie, pan wszystkich uważa za idiotów, a co drugiego za kanalię...”

Co prawda, to prawda.



Stanisław Mackiewicz zawsze twierdzi w rozmowach – a może to i kiedyś napisał – że nie można sobie wytworzyć obrazu kogokolwiek – męża stanu, pisarza etc. – jeżeli się nie zna jego życia prywatnego, intymnego. Jak zwykle w tego rodzaju teoriach i uogólnieniach – jest i w tej żdźbło prawdy, ale relatywnej. Stroński nie był typem hipochondryka, neurastenika, nerwowca – sądzę, że jego życie prywatne nie wykraczało poza ramy rodzinne; był dobrym mężem, kochającym ojcem, życzliwym krewniakiem. W całej postaci Strońskiego nie było absolutnie nic, co by wykraczało poza dobrą przeciętną, co by predestynowało go do odegrania roli w czasach burzliwych, niespokojnych. Gdyby się był urodził o trzydzieści lat wcześniej, byłby przeszedł normalny, tradycyjny *cursus honorum* monarchii habsburskiej: doktor, profesor, hofrat, poseł na sejm galicyjski, poseł do rady państwa w „Widniu”, minister dla Galicji, może, może austriacki minister oświaty na bardzo stare lata. A że był dowcipny, przy czym z lekka ze staropolska rubaszny, więc łatwo by przeszedł do legendy

i potomności, jako nowa edycja, mniej szlachecka, bardziej burżuazyjna Wojciecha Dzięduzyckiego, z którego nie wiadomo dlaczego zrobiono Sokratesa i Rabelais'go.

Ale pokolenie Strońskiego pod złą urodziło się gwiazdą.

Stroński dziennikarz. Są pewne genry, które trwają, które samymi rozmiarami są imponujące: np. obraz olejny, freski, monumentalne kościoły. Ale już jak trudno napisać panegiryk miniaturzysty. Na miliony karykaturzystów któż został? Na dobrą sprawę Goya, może Hogarth, może znalazłoby się paru innych, podczas gdy portrecistów dworskich można liczyć na kopy. W literaturze dziennikarz to jest miniaturzysta. Jego twórczość jest z natury rzeczy przemijająca. Jak suknia Diora, jak omlet czy deser wielkiego kucharza. Zbiory artykułów, zwłaszcza z prasy codziennej, zwykle wywołują *anticlimax*, wrażenie zawodu. Nie mają należytego oddalenia, dystansu. Co tu mówić: rodzaj to bardzo podleński.

Stroński należał na pewno w Polsce do czołowych dziennikarzy. Trudno nam dzisiaj sobie z tego zdać sprawę, bo jego twórczość na emigracji była słabiotka, płytka i nudna. Ale okres od 1920 do 1926 roku, od wyprawy kijowskiej do zamachu majowego był niewątpliwie jego „złotym wiekiem”, jego *Sturm und Drang Periode*. Stroński zohydził Polsce wyprawę kijowską. Zohydził program federacyjny, a przede wszystkim program ukraiński. Stroński zohydził Locarno, zohydził próby dogadywania się z Niemcami, zohydził nade wszystko Piłsudskiego jeżeli nie całej Polsce, to bardzo znacznej jej części. Tuzinkowy dziennikarz by tego nie dokonał. Na czym polegał sekret dziennikarza Strońskiego?

Tych sekretów było parę, ale było ich jednak mało. Po pierwsze Stroński miał talent niemal wyłącznie negatywny, to znaczy depopularyzowania, można by omal powiedzieć: zohydzenia, choć to wyrażenie byłoby za silne! – zohydzenie imputuje jakąś demoniczność, a w Strońskim cienia demonizmu nie było; zjadliwe, kąśliwe pióro nigdy nie potrafiło przesłonić dobrego dziadzi, poczciwego spiessbuergera. Po drugie Stroński był jednym z pierwszych dziennikarzy w Polsce, który nauczył się pisać zwięźle

i krótko: talent ten co prawda z kretesem stracił na stare lata. Ale po kobyłach takiego Ehrenburga, i wielu innych, jego cięta proza była ożywcza, niczym natrysk zimnej wody z mocnego szlauchu. Po trzecie Stroński – znowu za swych dobrych czasów – umiał się ograniczyć do jednego tematu: *il savait sérier les questions* – pisał prosto, o jednej tylko sprawie, w pierwszym odstępnie przesłanki, w drugim obraz sytuacji, w trzecim wnioski. Józio Czapski, zawsze lubujący się w Moskalach, jak wszyscy Polacy wychowani w Petersburgu, opowiadał mi kiedyś, jak ongi Filozofow zwierzył mu się, iż nienawidzi Francuzów. Dlaczego? Bo po dziesięciu minutach już taki przekłety Francuz przerywa i woła: *Et alors?* Owe *et alors*, to właśnie te wnioski, które są istotą jasności myśli, a więc i jasności pisania, a więc i dobrego dziennikarstwa. Stroński umiał wyciągnąć nie tylko wnioski, ale i przez sześć lat wyciągać *jeden* wniosek: trzeba obalić Piłsudskiego, względnie za żadną cenę nie dopuścić do powrotu Piłsudskiego do władzy. To przynajmniej było proste i jasne. Był i drugi wniosek, który Stroński wmawiał społeczeństwu polskiemu już nie lat sześć, ale lat trzydzieści: *Germania delendam esse*. I tak przechodzimy do charakterystyki Strońskiego, jako polityka. Jak się w tej dziedzinie zapisał?



Stroński polityk. Zaczniemy od tego, że każdy zawód wytwarza pewne deformacje profesjonalne. Polityka jest akcją, jest sztuką czynu. Proust gdzieś genialnie zauważył, że „ludzie z towarzystwa” są ludźmi czynu, na skalę mikroskopijną, ale jednak czynu. Składanie wizyt, ułożenie listy gości, odsuwanie jednych, zbliżanie się do innych – to są wszystko pewne formy aktywności. Zawodową deformacją polityków jest brak myśli, brak programu, brak poziomu: widzimy to wyjątkowo jaskrawo u senatorów amerykańskich, a może najbardziej u kardynała Spellmana. Inna deformacja zawodowa zawodowych polityków – od dyktatorów do drobnych kombinatorów – to kłamstwo: facety łąą niczym piękne kobiety. Profesjonalną deformacją businessmenów jest wulgarność: wulgarność myśli, uczuć, nawet form: przypuszczam, że nie można zrobić milionów bez przymieszki prostactwa. Intelktualiści – a do nich zaliczał się Stroński – wpadają bądź w histerię, jeżeli są naturami skomplikowanymi, bądź w

pewną powierzchowność, okazują bezradność, naiwność. Człowiek pióra napisze artykuł, książkę, i wydaje mu się, że swoje zrobił: a w polityce, to tylko początek akcji politycznej. Między akcją Strońskiego jako ministra informacji a Mackiewicza jako premiera – pomimo różnicy charakterów, pomimo kolosalnej różnicy zakresu możliwości i znaczenia w roku 1940-ym i w roku 1955-ym – zachodziły zdumiewające analogie: przeświadczenie, że sformułowanie własnego stanowiska jest już załatwieniem sprawy. To bardzo ciekawe i zabawne: zły dziennikarz może łatwiej stać się dobrym ministrem, niż dziennikarz znakomity: tak trudno bowiem dojść do prawdziwej wirtuozerii w kilku dziedzinach. To kiedyś Edward Raczyński trafnie powiedział: „Właściwie każdy może się nauczyć – i to normalnie za młodu – jednego tylko zawodu, jest urzędnikiem, czy dyplomata, czy wojskowym, czy dziennikarzem, i potem właściwie do końca tym jednym zawodem jedzie; reszta to puc”. Stroński był dziennikarzem, a politykiem właściwie nie stał się nigdy. Nie potrafił.

To się wyczuwało, patrząc np. na rozmowę Strońskiego ze St. Grabskim. Obu widziałem kilka razy w Londynie w 1944 roku. Grabski był o dobrych dziesięć lat starszy. Ale do końca wyczuwało się w nim zamiłowanie do polityki, ciągnęło go do niej, jak starego szulera do zielonego stolika. Gdy pytałem się Strońskiego o zdanie o Głębińskim czy Witosie, to widziałem od razu, że Stroński cały swój mózg wysiła, by na oczekaniu wykombinować jakiś dowcip, jakiś kalambur: nie zawsze mu się to udawało. Natomiast Grabski mówił nawet o ludziach dawno zmarłych, jakby miał zaraz sięść z nimi do roberka, do nowej partyjki, liczył się z każdym słowem, tak jakby własnych kart bał się pokazać. Widać było, że Grabski jednej rzeczy nie mógł odżałować: że w 1926 roku Piłsudski jego, Grabskiego, tak nabił w butelkę, robiąc zamach stanu, gdy on, Grabski, przysięgał swym kolegom w rządzie na podstawie 30-letniej znajomości, że Piłsudski tylko straszy. Grabski, rasowy polityk, wierzył, że potrafi Stalina oszukać: w tej właśnie myśli (naiwnej zresztą) wyruszył z tępawym Mikołajczykiem do Moskwy. Stroński odmówił ambasady w Moskwie, gdy Kota stamtąd Stalin kazał odwołać. Sam mi wówczas mówił z machnięciem ręki: „Panie, co tam można w Moskwie zrobić?” Pewno, ale tym niemniej Stroński graczem nie był. A więc nie był i politykiem.

Ale do tego samego dojdziemy wniosku analizując postępowanie Strońskiego i z innej strony. Walką jego życia była walka z Piłsudskim. Temat to trudny i niewdzięczny, bo dla wielu Polaków to nie jest problem polityczny, a więc rozumowy, ale uczuciowy: każda krytyka jest przez nich odczuwana, jak rzucenie potwarzy na ukochaną kobietę. Powiem więc tylko oględnie i zwięźle, że w perspektywie lat sędzę, iż Stroński miał rację, uważając Piłsudskiego za postać szkodliwą i zgubną, że konserwatyści natomiast popełnili błąd złowieszczy i złowróźbny. Piłsudski doprowadził do zwyrodnienia życia politycznego w Polsce, socjalnie i gospodarczo stworzył tylko – w najmniejszym stopniu tego nie chcąc ani nie rozumiejąc co robi – państwo urzędnicze, skazał Polskę na nędzę, politykę zagraniczną prowadził „na wyrost”, jakieś łamańce à la Tito, ale w dużo groźniejszej sytuacji. *Notabene*, tę politykę, którą z tak katastrofalnym skutkiem prowadzili Piłsudski i Beck, mogłyby prowadzić dzisiaj tylko Niemcy, zresztą z większymi szansami powodzenia niż Polska – ale właśnie Adenauer prowadzi wręcz odwrotną, bo nie chodzenia po linii, wykręcania się w obie strony i quasi-sfinksa, ale *lojalności*. Ale przy wszystkich swoich katastrofalnych brakach, Piłsudski miał silną, nawet potężną indywidualność, miał tę bezgraniczną wiarę w siebie, ten chorobliwy egocentryzm, który stanowi o popularności dyktatorów i o powodzeniu pięknych kobiet. I tutaj do walki z tym Goliatem wystąpił miły, miutki, milusi Dawid-Stroński, prawdziwy Dawidek, choć zacny, choć dobry, ale nie tej miary, nie tego kalibru. Trudno – nie każdy aniołek, a już zwłaszcza pucołowaty, może się mierzyć z samym Belzebubem, z księciem ciemności. Rola, która spadła na barki Strońskiego, a także Nowaczyńskiego, rola czołowego antagonisty Piłsudskiego, była na jego barki za ciężka, a więc była dla nich krzywdą. Znowu czyjaż to wina? Dmowskiego, tej drugiej katastrofalnej postaci dwudziestolecia. Dmowski był antagonistą na miarę Piłsudskiego, przynajmniej jeżeli wierzyć jego hagiografom: bo też roznosiła go pycha, wiara we własny geniusz i własne przeznaczenie. Gdyby Dmowski stał się Foxem Piłsudskiego, może by ze starcia dwóch silnych indywidualności mógł wyrosnąć zdrowy ustrój parlamentarny, co było niemożliwe przy antagonistach klasy Korfantego, Witosa itd. Zamiast jednak stanąć w szranki otwartej walki, Dmowski zaczął się dziwaczyć: nie ma innego właściwego słowa. Wybrał jakiś wielkopolski Aventyn,

potem zaczął robić propagandę idei faszyzmu i dyktatury, jak by nie zdawał sobie sprawy, że dyktatura nie spada nigdy na leniwych Merowingów, *les rois fainéants*, ale zawsze na agresywnego Pipina. Dzięki tej karencji, tej absencji Dmowskiego Stroński został wypchnięty do roli, która przekraczała jego możliwości, do której nie dorastał. Stroński mógł mieć rację, miał rację, ale gdy widziano z jednej strony postać niesamowitą, a z drugiej zacnego profesora no trudno, partia była nierówna, to znaczy z góry przegrana. Fakt, że Stroński uniknął ohydnych rękoczynów sanacji, których ofiarami padli Zdziechowski i Nowaczyński, nie był aktem uznania, był dyplomem nieszkodliwości politycznej z punktu widzenia zamachowców. Trafnym.

Przejdźmy do drugiej wielkiej maroty Strońskiego, to znaczy do jego fobii niemieckiej. O ile ją doskonale rozumiem u Wielkopolan, o tyle mnie zawsze dziwiła u Kresowiaków: przecie Lwów był na pewno w tymże stopniu zagrożony przez Ukraińców i Rosję co Poznań przez Germanów. A ostatecznie patriotyzm lokalny zawsze wydaje mi się najbardziej logiczny, naturalny. Szał antyniemiecki – przed 1939 r. naturalnie – lwowiaków *à la* Stroński wydawał mi się dziwaczny. Ale mniejsza o to. Dużo dawniejszą była nonszalancja czy zgoła nieodpowiedzialność Strońskiego w tej materii. Gdy rozmawiałem z polskimi antysemitami, zawsze mówiłem to samo: myślcie sobie co chcecie, ale nie zapominajcie, że walka z Żydami, to nie walka z chałaciarzem, to walka ze straszliwą potęgą, bo Ameryka to są Żydzi, bo wielki kapitał – to są Żydzi, bo bolszewicy – to Żydzi, bo masoni – to są Żydzi, bo prasa – to Żydzi, bo opinia publiczna – to Żydzi. Śmiano się ze mnie; co pan też wygaduje. Żydy to Żydki, pejsy i jarmułka, i jest o czym gadać? Że jest o czym gadać przekonano się w 1945 r., kiedy wszystkie wpływy światowego żydostwa biły w Polskę jak w bęben. Otóż tak samo wygląda sytuacja z Niemcami. Można powiedzieć: „Niemcy są naszym wrogiem śmiertelnym, nie ma pardonu, nie ma kompromisu, nie ma współżycia”, dobrze, ale trzeba wiedzieć czym to grozi i czym to pachnie. A Stroński całe życie podchodził do tego problemu bez tego poczucia, że idzie tu o życie milionów, o egzystencję państwa. Głośny dziennikarz monachijski, Immanuel Birnbaum, opowiadał mi następujący incydent: gdzieś koło roku 1931 niejaki Treviranus wygłosił w Berlinie mowę, żądającą rewizji granicy na Pomorzu. Stroński zorganizował wielki wiec w Warszawie, z klaką, która na każde jego retoryczne pytanie: jak na

to odpowiemy – ponuro intonowała: śmierć Niemcom. Birnbaum siedział w czasie tej manifestacji w pierwszym rzędzie. Stroński ciągle na niego patrzył. Pod odśpiewaniu budującej, pięknej i tak mile łechtającej dumę narodową „Roty” Stroński podszedł do Birnbauma i zapytał go: „No jak się panu podobało?” Birnbaum odparł: „Ostatecznie jestem Niemcem, trudno, żeby te krzyki 'śmierć Niemcom' mnie zachwyciły”. Na to Stroński zaprosił go na śniadanie i był bardzo zdziwiony, gdy Birnbaum odmówił. Ta lekkomyślność w kwestiach życia i śmierci narodu jest bardzo dla Polaków typowa. Iluż dzisiaj tzw. poważnych polityków woła: ja pragnę wojny, ja chcę jak najprędzej. Jeżeli wojna, to jakaś bomba wodorowa – sowiecka czy amerykańska – może spaść na Polskę i wykończyć połowę narodu polskiego. Czy to się może opłacić? Nikt się nad tym nie chce zastanawiać. A potem wymyślamy Zachodowi od krótkowzroczności.

Gdy w maju 1943 roku Stroński został przez Sikorskiego brutalnie usunięty z gabinetu, by zrobić miejsce dla Kota, zadzwoniłem do niego do domu z kondolencjami. Ale Stroński już był odzyskał humor: „Cóż to, wołał w telefon, to pan uważa, że to tak wielki zaszczyt być kolegą Stańczyka?”

Miły, dobry człowiek. Kulturalny. Inteligentny. Wykształcony. A jako polityk? Wszyscy polscy politycy kończą zawsze przegrani. Polska widocznie nie umie wydawać innych.

Kultura 4/102, 1956

Stanisław Mackiewicz

Musiało to być w Londynie, wkrótce po wojnie. Mackiewicz pisał właśnie swego „Stanisława Augusta”: dzisiaj mogę zdradzić, że, według niego, miało to być dzieło historyczne *à clef*, a mianowicie klucz do ówczesnej roli i polityki Augusta... Zaleskiego. Mackiewicz mieszkał wówczas na Chalk Farm, w małym dwupokojowym mieszkanku, przesiadywał, gruby i spocony, w koszuli i w szelkach w wielkim fotelu, i częstował mnie „boczkiem”, co uważałem za afektację: sam mówiłem zawsze „bekon”. Jak zwykle, był bardzo przejęty tym co pisał: był to jeden z jego uroków. Cytował swe liczne lektury z końca XVIII-go wieku, polemizował z Kalinką czy Korzonem, jakby to byli współcześni. W pewnej chwili zawołał: „Więcej bym się dowiedział o Stanisławie Auguście, gdybym mógł z nim przez kwadrans rozmawiać, niż z całej biblioteki o nim”.

Miał rację. Piszę to wspomnienie o Stanisławie Mackiewiczu z myślą o daniu przyszłym historykom konterfektu, wizerunku tego niezwykłego i niepospolitego człowieka, którego nazwisko będzie jednym z kilkunastu nazwisk polskich, które po naszej epoce zostaną. Chciałbym dać możliwie najwięcej wspomnień i impresji osobistych, by zastąpić potomnym brak osobistego zetknięcia z człowiekiem, który był przede wszystkim potężną indywidualnością, potem szaloną odwagą, potem kolosalnym talentem, a dopiero na czwartym miejscu bardzo wielką inteligencją. Chciałbym, by moje świadectwo uznano nie tylko za serdeczne, przyjazne, oddane, płomienne, ale także za bezstronne.

Pisząc mniej więcej w tymże czasie, także w Londynie, także po wojnie, jedną ze swych niezliczonych książek o Piłsudskim, Staś

Mackiewicz rzucił mi jeszcze jedno nieoczekiwane a oryginalne wyznanie. „Co można powiedzieć o człowieku póki się nie zna jego życia prywatnego, uczuciowego?” – wołał. „Na przykład mówimy o Piłsudskim: w tym roku redagował *Robotnika*, w tamtym zakładał „Organizację Bojową”, etc. A może właśnie w owym czasie dużo większą rolę odgrywała dla niego jego pierwsza żona, o której nie wiemy nic. Albo też później pani Lewicka, o której znowuż nie wiemy nic”. Nie potrafię ocenić, czy te uwagi były trafne co do Piłsudskiego: były na pewno trafne co do samego Mackiewicza, i to aż do jego zgonu. To właśnie sprawy z zakresu jego życia prywatnego, bardziej niż cokolwiek innego, zdecydowały go do powrotu do Polski w roku 1956. To znowuż sytuacja z tej dziedziny sprawiła, że nie żałował tego kroku, że mimo wszystko był w Warszawie dużo pogodniejszy, dużo szczęśliwszy, niż go kiedykolwiek widziałem na emigracji.



Pamiętam doskonale chwilę, gdym po raz pierwszy w życiu usłyszał o istnieniu Stasia Mackiewicza. Musiało to być w roku 1924. Byłem wówczas studentem prawa na U.J., i najmłodszym w dziejach współpracownikiem *Czasu*; dwa razy na tydzień przyjmował mnie sam Excellencja Władysław Jaworski, najmądrzejszy i najznakomitszy człowiek, którego znałem. Jaworski mówił z głębokiego, wolteriańskiego fotela, w którym jego drobna postać całkowicie tonęła, swym niezapomnianym chrapliwym głosem, przez swą rurkę: „Na tym fotelu, na którym pan teraz siedzi, siedział dzisiaj rano Mackiewicz, redaktor wileńskiego *Słowa*. To takie litewskie wilczę”. Jaworskiemu, wielkiemu artyście słowa, musiał się ten termin „wilczę” podobać, bo kilka razy go powtórzył i oczy mu się figlarnie uśmiechały, jak to zawsze robił, gdy sądził, że znalazł właściwe określenie.

Ale Mackiewicza wówczas nie poznałem. W redakcji *Czasu*, gdzie co dzień bywałem, znajdowało się oczywiście *Słowo*, oczywiście było uważane za organ „bratni”, ale, zdaje się, że nikt go nie czytał. *Czas* był, jak *Times*, instytucją dla siebie, ponad zwykły padół ziemski, i uważał całą pozostałą prasę konserwatywną za mutacje prowincjonalne stołecznego organu. Poza tym w latach 1924-26 Beaupré był zajęty Skrzyńskim,

a Estreicher Sikorskim, i na śledzenie działalności Mackiewicza nie mieli pewno czasu. Dość, że nie przypominam sobie, bym w tych latach krakowskich kiedykolwiek usłyszał nazwisko Mackiewicza, poza już wspomnianą uwagą Jaworskiego, ani też, bym czytał choć jeden jego artykuł czy w ogóle jakiś artykuł *Słowa*. Stomma w swym nekrologu o Mackiewiczu w *Tygodniku Powszechnym* wspomina obszernie boje, które w przedmajowym Wilnie prowadziło *Słowo*, wspomina olbrzymi wpływ, który ówczesny młodzieńcki Mackiewicz wywierał na ówczesną wileńską studenterię. Otóż dla mnie są to wszystko zamknięte księgi. Moje *formative years* upłynęły całkowicie i wyłącznie pod egidą krakowskich Stańczyków, i ślady tej odmiennej formacji odczuwałem zawsze. Miałem stale dla Mackiewicza ogromny podziw, respekt dla jego niezwykłego talentu, rozmowa z nim należała do największych rozkoszy w moim życiu. Ale do jego „szkoły” nie należałem nigdy i fakt, iż pomimo fundamentalnej różnicy poglądów, a nawet więcej, bo podejścia do wszystkich zjawisk politycznych, prawnych i socjalnych, tyle nas dzieliło, a tak mało łączyło, świadczy, że przy dobrej woli i przy pewnej kulturze towarzyskiej i umysłowej ludzie różnych przekonań, odmiennego temperamentu mogą pozostawać przyjaciółmi, mogą się widywać z radością i mieć wzajemnie dla siebie dużo prawdziwego uznania.



Wiem niezmiernie mało o pochodzeniu, dzieciństwie i młodości Stanisława Mackiewicza. Mackiewicz był żyjącym nawarstwieniem procesów historycznych ostatnich dwóch stuleci na ziemiach b. Wielkiego Księstwa Litewskiego, więc jego pochodzenie i dzieciństwo musiały mieć wielki wpływ na jego rozwój i jego charakter. Wiem, że urodził się w grudniu 1896 roku w Petersburgu i tam chodził do gimnazjum. O ile mi wiadomo, rodzina jego pochodziła z niewielkiej szlachty, co miało w owych czasach, i w kołach konserwatywnych, w których się obracał, pewne znaczenie. Zdaje się, że jego przodkowie należeli do tak zwanych wojsk albańskich Księcia Panie Kochanku: w każdym razie tradycje ówczesnego zamku nieświeskiego były u St. Mackiewicza niesłychanie żywe. Kiedyś – znowuż było to po wojnie, w Londynie – mówił mi zupełnie serio, jakby chodziło o

spór wczorajszy w Radzie Narodowej czy w „Ognisku”: „Kukiel jest bardzo porządnym i miłym człowiekiem, ale cóż, nie możemy się porozumieć: on należy do Familii, a ja do Radziwiłłowskiej Demokracji Szlacheckiej”. A jednocześnie miał wychowanie i wykształcenie panicza nie z drobnej, ale z zamożnej szlachty: mówił z domu, nie ze szkoły, po francusku, tak samo jak i jego brat, w dzieciństwie był w Paryżu i na Riwierze, a w warunkach zaboru rosyjskiego, specjalnie Kresów, były to nieomyślne oznaki okazałej zamożności. O ile mi wiadomo, ojciec Stanisława, Antoni, był kolejarzem: dochrapał się wysokich godności w kolejnictwie, skończył w Petersburgu jako wysoki dygnitarz ministerstwa kolei, bodajże z tytułem *prewoschoditielstwa*, i jako emeryt przeniósł się do rodzinnego Wilna, gdzie kupił piękną kamienicę, i miał jakieś wcale okazałe kapitały: wszystko to przepadło w czasie pierwszej wojny i inflacji, i stąd Mackiewicz należał klasowo do tej licznej warstwy, która nadała ton Polsce Dwudziestolecia, a specjalnie okresu sanacyjnego, mianowicie do uboższej, zradykalizowanej szlachty. Ogromna część tej szlachty – ex-ziemiańskiej, zrujnowanej i uboższej, przyłgnęła do radykalizmu sanacyjnego, tak jak poprzednie pokolenie tejże warstwy, zawsze arcylicznej w kraju bankrutów, jakim była i jest ubożuchna Polska, poszło do „socjalizmu”, z następnie do ONR’u. Fakt, że Mackiewicz utkwiał w konserwatyźmie, a nie w radykalizmie sanacyjnym, uczynił go omal unikatem w swej sferze i w swym pokoleniu, i stanowił jedną z jego cech najbardziej oryginalnych, tak jak byłem ja, na dużo mniejszą oczywiście skalę, też oryginałem, tkwiąc przy liberalnym konserwatyźmie mych stańczykowskich mistrzów, zamiast utkwieć w endecji czy ONR’ze, jak to się stało losem olbrzymiej większości uboższej inteligencji mego pokolenia.

Mackiewicz był archaiczny, był anachroniczny: to stanowiło jego słabość, jako polityka, i jego niesłychany urok, jako pisarza, jako *causeur’a*: był w pewnym sensie wcieleniem historii Polski, a specjalnie Wilna ostatnich lat dwustu. Stąd jego kult dla magnatów, ale tylko litewskich, Radziwiłłów, Tyszkiewiczów i Sapiehów, przy lekceważeniu dla wzbogaconych w XIX-ym wieku rodzin litewskiego „podśmietania”, a bezgranicznej pogardzie dla tegoż „podśmietania” z innych dzielnic nawet Królestwa,

cóż dopiero Galicji czy Poznańskiego. Specjalnie jego stosunek do Radziwiłłów zawsze mi przypominał stosunek japońskich samurajów do „Daimjo”, czyli do ich panów feudalnych: był to stosunek jak najdalszy od normalnego snobizmu, i stąd zamiast być śmiesznym i kabotyńskim, był pełen romantycznego uroku. Ci co nie znają, nie czują Polski szlacheckiej, barwnej i żywotnej, soczystej i oryginalnej, prapolskiej mimo wszystkich przywar, nigdy nie mogą ocenić Mackiewicza, cóż dopiero gustować w nim, czy w jego twórczości.

Obok tej bazy starszlacheckiej tkwiły w Mackiewiczu inne pokłady historyczne. Zawsze mnie dziwiło, że, przy zaledwie siedmiu latach różnicy, gdy chodzi o wiek, Mackiewicz był o tyle bardziej ode mnie człowiekiem *de la belle époque*, człowiekiem obyczajowo sprzed 1914 roku. Te jego cechy były mniej sympatyczne, niż jego szlacheckie archaizmy, i dużo bardziej mu zaszkodziły. Miał on erotyzm *belle époque*, miał także obżarstwo tej epoki, miał jej hedonizm, miał jej brak zrozumienia zjawisk ekonomicznych i socjalnych, jej przekonanie, że podział klasowy i społeczny jest niezmienny, że bogactwo – to jest użycie, i nic więcej. Mackiewicz był skąpawy jako wydawca i redaktor, ale był zawsze gotów wydać nie tylko co miał, ale i czego nie miał na zaprosiny i poczęstunki: zarobiłem na nim niezmiernie mało, jeśli chodzi o honoraria, i nieprawdopodobnie dużo na mnie wydał, oczywiście przed wojną, zapraszając mnie na kolacje. Już przed wojną niesłychanie mnie irytowały jego wieczne „kaczuszki” u Simona i Steckiego, a tak samo, gdym go widział po raz ostatni w Paryżu, w roku 1963, musiałem ciągle walczyć z jego manią szukania drogich restauracji i drogich potraw. Smakoszem Mackiewicz nie był, lubił tylko drogie, kosztowne potrawy, zamawiał kolosalnie dużo, a zawsze szalenie wiele zostawiał na talerzu. Wyrzucał pieniądze przez okno, a całe życie był zaniedbany, był abnegatem; przez kilka lat w Londynie chodził w zimie, w najgorsze mrozy i wichury, bez płaszcza, bo nie miał na kupno nowego, a stary mu się podarł na strzępy, a gdy miał parę groszy, od razu wszystko wydawał na „winko” czy na złą kolację, ale w drogiej restauracji. Szalenie mu to szkodziło. Nasi politycy i dostojnicy zawsze źle gospodarowali, źle administrowali funduszami publicznymi, trwonili je najgłupiej, ale za to mieli przedziwny talent zaciskania pasa, także swych żon i dzieci, i tym spartańskim trybem okupywali w opinii

dużo gorsze przywary i przewinienia. Mackiewicz robił sobie nieograniczoną ilość wrogów tym szastaniem pieniędzmi. W społeczeństwie emigracyjnym, które pod wpływem Anglii stało się i purytańskie, i bardzo centusiuwate, te *Schönheitsfehler*'y Mackiewiczowi szkodziły. Brakowało Mackiewiczowi żyłki do ascetyzmu, która politykom jest zawsze pomocna. Swoim *côté belle époque* Mackiewicz stale i niepotrzebnie narażał się na łatwe zarzuty. Ale próżno było z nim na ten temat dyskutować: uwagi nie miały żadnego efektu. Nawet go podniecały *à rebours*. Kiedyś, w czasie wojny mi powiedział: „Taki jesteś oszczędny, tak strugasz tego małego tłumacza w Strattonie, tak się boisz o swą posadkę, a ja jednak zarabiam bez porównania więcej od Ciebie”. No pewno, że tak zawsze było. Mackiewicz zawsze potwornie narzekał na swą nędzę, a faktycznie zawsze zarabiał stosunkowo bardzo dużo, tylko zawsze wydawał jeszcze więcej, i zawsze bez sensu. Gdyby był człowiekiem rządym w interesach, nie byłby Mackiewiczem, nie byłby wielkim pisarzem ani wielkim publicystą, ale byłby człowiekiem dużo szczęśliwszym, i jako polityk miałyby dużo większe wpływy.



Przeżyciom jego młodych lat należy może przypisać jego dwoisty stosunek do Rosji: antypatię polityczną i głębokie wyczucie antagonizmu cywilizacyjnego polsko-rosyjskiego, a jednocześnie namiętne zainteresowanie kulturą i myślą rosyjską, a już prawdziwe umiłowanie, prawdziwą pasję do literatury rosyjskiej. Gdyby Mackiewicz nie był dziennikarzem i publicystą, gdyby życie skierowało go na karierę naukową, uniwersytecką, to zostałby rusycystą, zapewne największym rusycystą polskim XX wieku. I tylko w tej dziedzinie poza publicystyką mógł on znaleźć i laury, i wewnętrzne zadowolenie. Kontrast między stosunkiem politycznym a uczuciowym i intelektualnym Mackiewicza do Rosji a stosunkiem endeków do Niemiec powinien być przedmiotem specjalnego studium. Mackiewicz rozumiał Rosjan, w pewnym sensie ich podziwiał, nawet przeceniał, czuł się im bliski, znał ich język wybornie, nawet fenomenalnie, w mowie i piśmie, znał ich historię, ich literaturę, ich obyczaje, nawet ich religię: prawosławie kochał, bronił go zawzięcie i nad wyraz je szanował. Zacytuję zdanie, które Mackiewicz kiedyś wobec mnie wygłosił, już bardzo dawno, jeszcze przed wojną. „Endecy są u nas

tym, czym są Duchobory w Rosji, są kwintesencją narodu, ale tak samo jak Duchobory nigdy nie doszli do rządów w Rosji i zawsze byli uciskani przez cerkiew prawosławną, choć byli esencją prawosławia, tak i u nas endecy nigdy nie dojdą do władzy, zawsze ich jakaś lewica czy jacyś Żydzi wykiwają”.

Nieraz się zastanawiałem, dlaczego moje reakcje wobec Rosji i kultury rosyjskiej były tak różne, tak diametralnie odwrotne od stosunku nie tylko St. Mackiewicza, ale także Józefa Czapskiego do samego zjawiska rosyjskości. Myślę, że na moją najgłębszą nie to już antypatię, ale jakby biologiczną odrazę wobec Rosji, wpłynęła bardzo silnie tradycja stańczykowska: w Krakowie wszystko co rosyjskie było *eo ipso* barbarzyńskie i wschodnie, ohydne i nikczemne, obrzydliwe i godne tylko pogardy. Echa tej tendencji można było znaleźć też u Stan. Kota, który na użytek prywatny był bardzo antyrosyjski, gdy tylko zapominał, że antyrosyjską była także „sanacja”. Ale myślę, że na filorosyjskość Mackiewicza i Czapskiego wpłynęły dwa momenty. Po pierwsze, obaj poznali Rosję w Petersburgu, a stolica zawsze ma uroki i siłę atrakcyjną, której nie ma prowincja: Anglia wydaje się też atrakcyjniejsza z Londynu, niż z Bradford, a Francja z Paryża, niż z Noeux-les-Mines. Carski system ucisku, tępota, brutalność, chamstwo caratu znacznie bardziej rzucały się w oczy w prowincjonalnym Humaniu czy Kijowie, niż w eleganckim, wysztyftowanym, powierzchownie zeuropeizowanym Petersburgu. Po wtóre najwrażliwsze lata, gdy się pierwsze poglądy zaczynają formować, to znaczy okres 13-15 roku życia, przypadł u Mackiewicza i Czapskiego na najbardziej liberalne lata caratu, ostatnie lata pokoju, dobrobytu, kiedy stara powłoka mongolska trochę znikła pod polem zewnętrznym. Gdym ja doszedł do tych lat, widziałem na Ukrainie rewolucję, wojnę domową, terror CZEKA. Ja w gimnazjum rosyjskim zapoznałem się tylko z „Chrestomatją”, oni, Mackiewicz i Czapski, z literaturą rosyjską. Tym się tłumaczy odmiennosc reakcji Mackiewicza i Czapskiego od reakcji pokolenia nie tylko odrobinę młodszego, jak moje, ale także starszego: Piłsudskich, Kucharzewskich, Studnickich. Ci mogli się niekiedy wydawać zruszczeni, może nimi byli, ale oni poznali Rosję nie w Petersburgu, ale w *Priwislińskim* czy *Siewierno-zapadnom kraje*, i dla nich Rosja - to był policjant i żandarm, i ucisk, a nie *szczegolajuszczuje* złoci młodzieńcy

Petersburga, czytający Błoka czy Mereżkowskiego, Filosofowa czy Sołowjowa.

Wróć jeszcze kilkakrotnie do tego kulturalnego „rusofilizmu” Mackiewicza, który sprawia, że między jego „rusofobią” a „germanofobią” endeków nie ma żadnej wspólnej miary. Przeciwnie, jeżeli Mackiewicz miał jakieś szanse dogadania się z jakimś narodem, prowadzenia z nim rozmów – to tylko z Rosją, a za to przenigdy z Niemcami.

•

Nic nie wiem o latach uniwersyteckich Stasia. Wiem, że studiował prawo w Warszawie, że słuchał głównie wykładów prof. Petrażyckiego. O tym Petrażyckim lubił mówić, nieraz się na niego powoływał, twierdził, że to był wielki umysł i genialny prawnik. Ze wstydem się przyznaję, że dzieł Petrażyckiego nie znam i nic o nim nie wiem poza tym, że był wychowankiem jakichś rosyjskich uniwersytetów: miał być w ogóle wielce zruszczały. Moi profesorowie krakowscy jednomyślnie uważali go za szarlatana i nieuka: to żaden prawnik, mówili zgodnie Zoll, Fierich, Rostworowski, Estreicher. Mackiewicz zawsze się rzucał i oburzał, gdym mu te opinie cytował. Uważam Mackiewicza za fenomenalnego publicystę, wielkiego pisarza, znakomitego rusycystę, ale prawnikiem był bardzo słabym: czepiał się szczegółów, miał mentalność kauzyperdy, a nie jurysty; nigdy nie rozumiał *uniwersalizmu* prawa, które nie zna wielkich ludzi, ani racji stanu, ani celów politycznych, które albo musi być nadrzędne, albo go nie ma. Kult jednostki nigdy i nigdzie nie da się pogodzić z rządami prawa. W ogóle, mimo swego magisterium z prawa, Mackiewicz robił na mnie zawsze wrażenie samouka. Wiedział szalenie dużo, bo szalenie dużo przeczytał, i miał świetną pamięć, ale metody naukowej czy prawniczej zawsze mu brakło. I specjalnie, choć lubił mówić i pisać o prawie, zwłaszcza konstytucyjnym, robił w tej dziedzinie wrażenie amatora, a więc fantasty.

Większe od Petrażyckiego piętno wycisnęło na nim zapisanie się do „Zetu”, który był jakimś tajnym związkiem studenckim, wyrosłym z Fundacji, a który potem przerodził się w tak zwaną „Naprawę”. Nie wiem doprawdy, co sprawiło, że Mackiewicz zapisał się na Uniwersytecie Warszawskim do „Zetu” a nie do POW, która była ostatnią kadram, z której rekrutowali się

„autentyczni” piłsudczycy. Gdyby był do tej POW wstąpił, całe jego życie potoczyłoby się inaczej. Tak samo nigdy nie zrozumiałem, co sprawiło, że się z tych konwentów Zetowych wyłamał, dlaczego później Naprawy tak nienawdził, i co jej zarzucał. Wiem z całą pewnością, że jej wpływy i znaczenie nieprzytomnie przesadzał. Tak jak dla wielu endeków tajemniczy „masoni” tłumaczyli wszystko i byli uosobieniem „Zła”, tak Mackiewicz do końca węszył konspiracje „naprawiaczy” i podejrzewał, że knują najgorsze intrygi. Podejrzliwość, iście litewska, była jedną z jego cech wrodzonych, ale gdy chodziło o „naprawiaczy” nie było dziwactwa czy dziecinady, w którą by Staś nie uwierzył, jeżeli ktokolwiek mu powiedział, że za tym kryje się ręka Naprawy. W jego oczach „naprawiacze” wyrastali do tytanów, stanowili groźną mafię, obejmującą mackami jeżeli nie cały świat, to całą Polskę. Przez lata Kazimierz Okulicz miał być wodzem tej straszliwej mafii Naprawy w Wilnie, i czego się nasłuchiwałem na jego temat! Inna sprawa, że Okulicz wydawał w Wilnie pismo codzienne, a to Mackiewicz uważał zawsze za jakby zamach na jego pierworodztwo, za osobistą obrazę: gdy Okulicz stracił *Kurier Wileński*, od razu cała nienawiść Mackiewicza do niego znikła i zamieniła się w najserdeczniejszą przyjaźń: nie wątpię, że był mu najbliższym człowiekiem na emigracji i tym, do którego miał najwięcej zaufania. Słuchając tych bajek o Okuliczu, wyobrażałem go sobie jako groźnego węża: wzrok dziki, suknia plugawa. Poznając w Londynie tego tak doskonale, tak idealnie wychowanego człowieka, tak dystyngowanego, tak przystojnego, tak rasowo-szlacheckiego, nie mogłem wierzyć, że to miał być ten przerażający radykał, „naprawiacz”, spiskowiec, ten supermason i Księżę Mocy Piekielnych. Zdaje mi się, że Sławek podzielał te hyzie na temat „naprawiaczy”, i sam Mackiewicza w nich utwierdzał: w każdym razie doskonale pamiętam, jak w 1934 roku Mackiewicz stale z uporem tłumaczył, że jest potworny spisek przeciw Sławkowi, że Naprawa ciągnie wszystkie sznurki tego spisku i że na czele jego stoi... Prystor. Henryk Łubieński i ja (bo obaj byliśmy wówczas dopuszczeni do tych przerażających konfidencji) truchleliśmy, słysząc o tej „zbrodni niesłychanej”, i czasem wtrącaliśmy nieśmiało: „Ależ Stasiu, to niemożliwe”. „Tak, tak, na pewno, zaperzał się Mackiewicz, z całą pewnością Prystor stał się narzędziem Naprawy, by wykończyć Sławka u Marszałka!” (Mackiewicz nigdy, na szczęście, nie używał

pretensjonalnego „komendanta”, „dziadka”, „Ziuka” i innych zwrotów: po wojnie już zawsze mówił tylko „Piłsudski”).

Ale i w tej antypatii do Naprawy, która go cechowała do końca życia, Mackiewicz też nie był konsekwentny. Niby to się kłócił z Katelbachem, który miał być jednym z przywódców Naprawy, a wiecznie się z nim kumał. Co ważniejsze, miał pewnego rodzaju kult dla samego „wodza” Naprawy, którym był niejaki Kazimierz Wyszyński, radca naszej ambasady w Moskwie, potem w Berlinie, gdzie umarł nagle na serce przed wojną. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie tylko Mackiewicz miał rodzaj kultu dla tego Wyszyńskiego, ale tak samo drugi mój niezapomniany przyjaciel, Adam baron Heydel, profesor U.J., zamordowany w Oświęcimiu, który dla odmiany był namiętym endekiem, a do Mackiewicza odnosił się nader niechętnie: otóż Heydel też wpadał w rodzaj transu, gdy była mowa o Wyszyńskim, głosił, że to wielki człowiek, że to kolosalna inteligencja. Spotkałem K. Wyszyńskiego i w Moskwie i w Berlinie, miałem zaszczyt wysłuchać parę razy jego monologów i wydał mi się bardzo przeciętnym, mętym umysłem, oderwanym od rzeczywistości, mówiącym banały w sposób skomplikowany. Musiał mieć chyba coś z hipnotyzera, ze swą czarną bródką i zamglonym wzrokiem, którym patrzył jakby w jakiś punkt niewidoczny, bo inaczej nie mogę sobie wytłumaczyć tej admiracji dla niego dwóch ludzi tak naprawdę wybitnych i niepospolitych jak Mackiewicz i Heydel. Nawet po wojnie Mackiewicz czasami wspominał Wyszyńskiego, i zawsze z atencją, i zawsze z jakby wewnętrznym *coup de chapeau*.

Łatwiej sobie mogę wyobrazić głębokie bruzdy, które w duszy Mackiewicza wyorała jego służba wojskowa w partyzantce Dąbrowskiego, później już w randze porucznika, a nie prostego ułana, w 13-ym pułku ułanów wileńskich. Tu wszystko jest zrozumiałe. Dla młodego chłopaka ze szlacheckiej rodziny cóż naturalniejszego, niż wsiąść na koń w obronie rodzinnego kraju? Tę partyzantkę Mackiewicz kochał wszystkimi fibrami swej duszy: wszak to było tylko nowe wydanie pospolitego ruszenia, a także „Trylogii”, cóż mogło bardziej stwarzać iluzję, że oto znowu powstanie Wielkie Księstwo! Myślę, że te dwa lata szabli

i konia, gwizdu kul i podjazdów, zasadzek i szarż – to były dwa najszcześniejsze lata w życiu St. Mackiewicza, te które najbardziej ukochał, najgłębiej przeżył: dały mu one, a także jego bratu, bezcenne podłoże artystyczne i uczuciowe: żaden z nich bez tej kampanii, może jeszcze bardziej 1919, niż 1920 roku, nie doszedłby do wyżyn arcyzmu, który stał się obu braci udziałem. Różnice w ich charakterze, w ich twórczości tłumaczą się m.in. tym, że Staś został do końca wpatrzony w kampanię 1919 roku, kampanię piękną, pogodną, szczęśliwą, a Józio przeżył całą potworność dwuletniej okupacji sowieckiej, której Staś szczęśliwie uniknął. Gdyby Stanisław nie uciekł zaraz do Kowna i na Zachód, a ukrywał się w Wilnie w latach 1939-41, to by też jego stosunek do Polski dzisiejszej nabrał innego tonu, skurczu nienawiści, zacieklej nieubłaganej wrogości.

Nasza wojna 1919-20 roku była ostatnią wojną romantyczną, a więc ostatnią wojną którą można opiewać jako piękną, jako „wojenkę”, a nie widzieć w niej odrażającej i haniebnej rzezi. Literacko ta wojna opłacała się w wielu utworach niezwykle pięknych, może się opłaci jeszcze kiedyś w jakiejś nowej „Trylogii”. Ale politycznie zapłaciliśmy za nią wysoką cenę w 1939 roku: zaryzykowaliśmy lekkomyślnie walkę, w której nie mieliśmy ani jednej szansy zwycięstwa, zaufaliśmy aliansom z ludami, które pamiętały nie partyzantki i picie wody z „kowszyków” koło ukwieconych chat chłopskich, lecz blocko, i okopy, i trupy Verdun i Flandrii.

Bez tej kampanii 1919 r. Mackiewicz jest nie do pomyślenia, jego kult Piłsudskiego, jego patriotyzm Wielkiego Księstwa byłyby niezrozumiałe. Tak samo głęboki mir, którym się cieszył w Wilnie i w całej Polsce. Bitwy są dziełem nie tylko wodzów, ale także prostych żołnierzy. Gdy jedno z pism londyńskich umieściło plugawą i nikczemną napaść na grób Mackiewicza, w obronie jego pamięci pierwsi stanęli jego dawni koledzy z oddziału Dąbrowskiego i z 13-go pułku ułanów. To świadczy, że w naszym emigracyjnym społeczeństwie elementarne i szlachetne poczucie koleżeństwa broni nie wygasło, że honor żołnierski, bez którego armii być nie może, jeszcze nie wymarł. Być może kiedyś jakiś dowódca polski odda hołd żołnierski wolontariuszowi tych walk zamierzonych a chwalebnych. Przekreślanie minionych zasług wojennych z powodu różnic politycznych czy to w wypadku wyboru miejsca dla grobu Pétaina, czy to w wypadku pogrzebu

Weyganda, czy zgonu Mackiewicza, zawsze się zemści. Wobec śmierci nigdy nie można być dość rycerskim. Specjalnie żołnierze wobec śmierci dawnego żołnierza.

Tylko z jego opowiadań wiem coś o pierwszych krokach Mackiewicza, gdy w wieku lat dwudziestu sześciu zakładał *Słowo*. Znowuż był to krok, który decydująco zaważył na jego życiu. Prawie wszyscy nasi czołowi publicyści mieli za sobą służbę państwową, profesurę, albo zawodową karierę wojskową. Mackiewicz nigdy nie był ani przez sekundę urzędnikiem, i to także było w zurzędniczałej Polsce pomajowej, cóż dopiero w powojennej, zupełnym wyjątkiem. To znowuż stworzyło pewien dystans pomiędzy Mackiewiczem a przeciętnym jego czytelnikiem: tylko w pierwszych latach wychodzenia *Słowa* ziemianie stanowili może wśród nich większość, w każdym razie element poważny, potem było to typowe pismo inteligencji kresowej, zanim się stało, i to wyłącznie dzięki talentowi Mackiewicza, ulubioną lekturą całej opozycyjnej czy frondującej inteligencji ogólnopolskiej. Mimowoli urzędas-dziennikarz, tym bardziej pseudo-dziennikarz, a *de facto* propagandysta, urzędnik prasowy, etc. znajdował łatwiej wspólny język z byłym czy urzędującym ministrem, wiceministrem, generałem czy co gorzej szefem policji, niż z człowiekiem który nigdy nie potrzebował się nikogo pytać o pozwolenie, o aprobatę, o podwyżkę. Największym luksusem, jaki Mackiewicz sobie zdobył, była niezależność; i tego luksusu bardziej niż jakiegokolwiek innego zazdroszczono mu i nie chciano mu darować.

Zawód publicysty, zwłaszcza w piśmie codziennym, jak każdy zawód, musi wywołać pewne deformacje profesjonalne. Pisze się za szybko. Pisze się na zbyt wiele tematów, co wywołuje wrażenie powierzchowności. Pisze się często o sprawach zbyt błahych. Z natury rzeczy ten codzienny publicysta musi patrzeć na sprawy i rzeczy przez szkło powiększające. Wszak trudno mu, choćby ze względów komercyjnych, każdy artykuł zaczynać od stwierdzenia, że sprawa jest błaha, że nie warto jej omawiać, że w gruncie rzeczy nic się przez to nie zmienia. Gdy pismo jest bogate, wychodzi w wielkiej stolicy, to łatwiej o tematy. Ale w ubogim, biednym, zacofanym, zahukanym Wilnie nic się nie działo. Absolutnie

nic. I było doprawdy cudem, że przez siedemnaście lat, w tej zapadłej dziurze, gdzie *Słowo* było jedynym tematem rozmów, gdzie „wojny” *Słowa* z wojewodą, z naczelnikiem wydziału bezpieczeństwa, z arcybiskupem, z innymi pismami były jedynym ewenementem w beznadziejnej szarudze codziennej, Mackiewicz potrafił tylko swą pasją, tylko swą inwencją, tylko swymi nerwami alimentować tę ubogą kronikę, stwarzać pozory jakiegoś życia, jakichś sporów, słowem pozory że się coś dzieje.

Ale za to się płaci. Mackiewicz dokonał prawdziwego cudu, przerzucając się po 17-tu latach pisania o północy wstępniaków na broszury, a potem na pisanie książek. Ale, moim zdaniem, nigdy, ani w londyńskich broszurach ani w powojennych książkach, nie doszedł do tego mistrzostwa, które charakteryzuje jego publicystykę, to znaczy jego artykuły w *Słowie*, specjalnie w latach 1935-39, po śmierci Piłsudskiego, kiedy stał się naprawdę i całkowicie niezależny, tracąc mandat do Sejmu, przechodząc do najzaciętszej opozycji, która go doprowadziła do Berezy. Najlepszy sposób uczczenia Mackiewicza – to wydanie zbioru jego artykułów wstępnych ze *Słowa*, i to właśnie głównie z lat 1935-39, który to okres stanowi punkt szczytowy w jego życiu i karierze. Trzeba zrobić pewną selekcję, opuszczając rzeczy drobniejsze, trzeba będzie komentarzy, bo przecie to są czasy dzisiaj dla młodego pokolenia niezrozumiałe, omal bajeczne. Może w Warszawie, gdy wreszcie obecne Apuchtiny odejdą, uda się komplety *Słowa* odnaleźć, i może Aleksander Bocheński, który na cmentarzu pożegnał tak serdecznie Mackiewicza, zdoła ten wybór zrobić, i komentarz napisać. Będzie to najlepsza forma uczczenia pamięci Mackiewicza. Po dziś dzień się w duchu śmieję, gdy przypominam sobie artykuł Stasia o „zakładzie” Friedmana w posesji Zwierzyńskiego, wydawcy pobożnego *Dziennika Wileńskiego*, na Mostowej 1. Ależ się cała Polska wówczas zarykiwała od śmiechu! Albo tą repliką Mackiewicza na głupawą wypowiedź jakiegoś wojewody, który polszczył nabożeństwa w cerkwiach prawosławnych, argumentując, że przecież może do takiej cerkwi przybyć w czasie inspekcji sam pan marszałek Piłsudski, i że byłoby skandalem, gdyby musiał asystować nabożeństwu, które nie byłoby w języku państwowym. „Czyż ten kretyn nie wie, grzmiał Mackiewicz, że marszałek Piłsudski nigdy w życiu nie mógł być obecny na nabożeństwie w języku 'państwowym', bo

jako katolik wysłuchuje mszy św. zawsze tylko po łacinie!” Co prawda, było to przed reformami Watykanu II.

Książki Mackiewicza, mimo całego talentu, wydają mi się zawsze kompozycyjnie nieco słabsze, zawsze mi się wydają zbiorem felietonów, czy szkiców, czy artykułów, a nie dobrze przemyślaną całością. Każdy rozdział zwykle kończy się pewnym efektem, co w artykule jest konieczne, w książce razi. Pozbawienie Mackiewicza warsztatu w postaci codziennego dziennika było wyrządzeniem mu najgorszej krzywdy, ucięciem mu skrzydeł, i nic mu jej naprawić nie mogło. Jeśli chodzi zaś o książki wydane przez niego w Polsce, to musiał się bez końca użerać o każde słowo z cenzurą: a ta obcinała mu całe rozdziały. „Jeszcze Piłsudskiego przepuszczają, mówił mi już po powrocie do Polski, w Paryżu, ale z całego rozdziału o Dmowskim nie zostawili ani słowa. Dla nich cała historia Polski, to historia antysemityzmu. Dmowski był rusofilem, tego nie wolno napisać, bo był antysemitą. Natomiast wolno pochwalić Piłsudskiego, bo im się wydaje, że walczył z endecją tylko o sprawę żydowską, a że był antyrosyjski, to, w porównaniu, wydaje się im głupstwem”. Jeżeli kiedyś książki Mackiewicza, te warszawskie, będą ponownie wydane, trzeba będzie koniecznie uzupełnić z manuskryptów brakujące rozdziały i zdania.

Poznałem Mackiewicza w kilka dni po zamachu majowym, zapewne na jakimś konwentyklu konserwatywnym, ale niestety nie pamiętam wcale tego pierwszego zetknięcia. Musiałem tego dnia poznać wiele osób, i wszyscy mi się pomieszali. Wiem atoli, że Mackiewicz zaraz mnie zaprosił do siebie, do Wilna, i stamtąd datują się me pierwsze o nim wrażenia. Był wówczas bardzo szczupły, nosił modne wtedy, tak zwane *pumphoseny*, po angielsku *plus-Fours*, co przy jego bardzo krótkich nogach nie było dla niego twarzowe. To ubranko było koloru ceglatego, do tego dochodziła cyklistówka. Mieszkał już wówczas bardzo wspaniale w pałacyku Jana Tyszkiewicza z Waki, na Zygmuntońskiej, tuż na brzegu Wilii, tam też poznałem jego żonę, która była bardzo zacną i dobrą kobietą, niestety o walorach idealnych dla dobrego hreczkosieja, ale nie tych, których szukał i potrzebował człowiek tak nerwowy, fantazyjny i kapryśny, jak Mackiewicz. Staś był wobec mnie

idealnie serdeczny i koleżeński: był to pierwszy i ostatni raz w życiu, żem poczuł coś co mógłbym nazwać koleżeństwem partyjnym czy ideowym. Wypił ze mną z miejsca brudera, co było dla mnie wielkim zaszczytem: wszak Mackiewicz stał już u szczytu kariery, był redaktorem własnego pisma, wziął udział w zamachu majowym, dyktator go przyjmował, Sławek stale do niego dzwonił, przygotowywał Nieśwież, a miał zaledwie lat trzydzieści. Mackiewicz zaprosił mnie też do napisania artykułu wstępnego w *Słowie*: z właściwym sobie wówczas liberalizmem rzekł mi, bym napisał co chcę, i że to wydrukuje, jako artykuł anonimowy, więc redakcyjny. Napisałem, zgodnie z mądrościami krakowskich mentorów, że byłoby najlepiej, by Sikorski pogodził się z Piłsudskim, i by razem budowali Polskę etc. Gdy Mackiewicz ten piękny elaborat przeczytał, był nieco nieswój, ale rzekł: „No trudno, dość to ryzykowne, nie zgadzam się, ale obiecałem, niech to idzie”. I poszło. Tegoż dnia Sławek dzwonił do Mackiewicza: „Panie Stanisławie, co się stało, nic nie rozumiem, skąd ten Sikorski, co to ma znaczyć?” Mackiewicz jakoś tę sprawę zagadał, i skończyło się na niczym, mej *identité* Sławkowi nie zdradził. Później, w Londynie, gdy wydawał *Lwów i Wilno*, które przecież nie miało żadnego znaczenia, jak cała prasa emigracyjna, już był się zaraził powszechną manią cenzurowania i kreślił moje artykuły niemiłosiernie. A cóż tam mogło być? Nie mam dzisiaj pojęcia, ale na pewno nie zabierałem głosu w sprawach „drażliwych” to znaczy personalii londyńskich, musiałem snuć jakieś rozważania na temat Anglii, Stanów, Francji, ale Staś kreślił i ścinał, i nieraz z mego artykułu zostawało tylko 20 linijek, bo, krzyczał, musimy pilnować naszej linii, to nie po naszej linii etc. *Pluralis maiestatis*, a przecie dobrze wiedział, że wiem, iż się z niczyją opinią nie liczy. W 1926 roku istniał jeszcze w Polsce, nawet w Wilnie, świat liberalny XIX wieku, a w dwadzieścia lat później nie było go nawet w Londynie.



Ale z pierwszych ośmiu lat naszej znajomości pozostało mi tylko bardzo niewiele wspomnień. Po pierwsze prawie cały czas znajdowałem się przez te osiem lat za granicą. Gdym wpadał do Polski, widywałem Stasia dość mało; byłem na szczęście

człowiekiem normalnym, zajmowałem się kobietami a nie polityką, więc ledwo pamiętam, gdzie go spotykał i o czym była mowa. Dopiero w r. 1934, po moim powrocie z Japonii, nasze stosunki się naprawdę zacieśniły i stały się istotnie zażyłe.

Widywałem go najczęściej w hotelu Sejmowym, gdzie Mackiewicz zatrzymywał się, a jako poseł bywał często w Warszawie. Był już wówczas bardzo otyły, wyglądał mniej więcej tak jak za ostatnich czasów, ze szczupłego młodzieńca nie zostało ani śladu. Miał dopiero lat trzydzieści osiem, a wyglądał na pięćdziesiątkę. Zwykle zachodziliśmy do niego z Henrykiem Łubieńskim, który już wówczas współpracował intymnie ze *Słowem*, często Staś zapraszał nas na kolację, albo też odprowadzaliśmy go na dworzec, gdy wyjeżdżał do Wilna. Mackiewicz wtedy wyżywał się w Sejmie, był członkiem komisji konstytucyjnej, i bardzo był przejęty swoją w niej rolą. Oczywiście nigdy na posiedzeniu tej komisji nie byłem, ale sądzę, że jego rola i w komisji, i w Sejmie w ogóle, była bardzo niewielka. Adiutował Sławkowi, Carowi, Podoskiemu, i na tym koniec. Już mówiłem, iż według mnie Mackiewicz nie miał talentów prawniczych, a tym bardziej nie miał talentów parlamentarnych. Parlament – to sztuka kompromisów, sztuka stosunków, sztuka kuluarów, a przede wszystkim sztuka słuchania nudziarzy i kaptowania ich cierpliwym wysłuchiowaniem ich banałów, udając zainteresowanie. Na to wszystko Mackiewicz był zanadto niecierpliwy, zanadto też złośliwy, zanadto wreszcie zajęty sobą i swymi pomysłami. Cały jego geniusz polegał na dziennikarstwie i na publicystyce, parlament był dla niego obciążeniem, kulą u nogi, kagańcem, zarówno w postaci Sejmu, jak później Rad Narodowych na emigracji w Paryżu i w Londynie. O ile mi wiadomo, w Sejmie Mackiewicz zawsze się dawał ponieść temperamentowi, wierności, albo pogoni za dowcipem. Poza Sławkim, którego szczerze i głęboko kochał, tak jak Piłsudskiego i Janusza Radziwiłła, miał w Sejmie uznanie tylko dla Strońskiego i Miedzińskiego, i cytował ich dowcipy: reszta go nudziła. Cenił ich obu też jako dziennikarzy, może aż przesadnie. Poza tym zawsze wołał Żydów-nacjonalistów od Żydów zasymilowanych. Nie cierpiał Liebermana, a Szwarcbarta szanował i lubił zarówno w Sejmie, jak i w londyńskiej Radzie Narodowej.

W tej smutnej Polsce ostatnich lat Piłsudskiego, nasze rozmowy schodziły często na temat następstwa. Z niesłychanym zaperzeniem Mackiewicz bronił tezy, że następcą Piłsudskiego

będzie Sławek. Oponowałem, twierdząc, że wierzę tylko w rozum i że, w myśl tej teorii, następcą Piłsudskiego będzie Beck albo Matuszewski. Pamiętam, jak na to Mackiewicz nie krzyczał, a ryczał: „W polityce zwycięża nie rozum, a charakter”, przy czym to słowo „charakter” skandował swym wyrazistym i niezapomnianym akcentem wileńskim. „Sławek musi wygrać, bo Sławek – to charakter”. No cóż, omylił się. Dzisiaj, kiedy wspominam te czasy, smutno mi się robi na myśl, jakimi pigmejskimi sprawami zajmowaliśmy się. Ale co się tak bardzo temu dziwić? Czy inaczej wygląda sytuacja we Francji, chociaż kraj to o tyle bardziej wyrobiony, i jego sytuacja jest o tyle miliardów razy lepsza?

Z tegoż okresu pamiętam inny epizod: byłem kiedyś w Wilnie jako gość Mackiewicza, razem wracaliśmy do Warszawy nocnym pociągiem. Nagle na dworcu przeszedł obok nas Rydz, który wówczas był tylko Inspektorem Armii w Wilnie; szedł w kierunku swej salonki w towarzystwie dwóch adiutantów, Mackiewicz był zaskoczony, bo zauważył go dopiero w ostatniej chwili, i zrobił naturalnie *le grand coup de chapeau*. „Pan Redaktor do Warszawy na posiedzenie Sejmu?” – zapytał poufale Rydz ze swym uśmiechem. Mackiewicz coś bąknął, Rydz ucisnął mu rękę i poszedł dalej. Nasza rozmowa naturalnie zesłała na Rydza, którego Mackiewicz mało znał, ale wyczułem, że go nie lubi i nie ma do niego zaufania.

Naprawdę najbliższe stosunki wiązały mnie z Mackiewiczem w czasie czterech lat, które upłynęły między śmiercią Piłsudskiego i nieszczęsnym wrześniem. Mackiewicz stracił mandat, a odejście Sławka rozwiązało mu definitywnie ręce: wycofanie się faktyczne księcia Janusza z polityki uczyniło go wolnym jak ptak: przez cztery lata pisał co chciał, nie liczył się z nikim, folgował wszystkim swym awersjom, antypatiom, i stał się z podrzędnego akolity piłsudczyzny człowiekiem potężnym, czytany w całej Polsce, zupełnie niezależnym i w dodatku po raz pierwszy i ostatni w życiu stojącym naprawdę świetnie finansowo. *Express* z Wilna przychodził do Warszawy o 2-giej pp., i z miejsca pojawiał się tylko w samym kiosku dworca głównego stos pięciuset egzemplarzy *Słowa*; wszystkie były przed wieczorem wysprzedane. Przed kioskiem, już przed drugą, stała kolejka

przygodnych klientów i gońców warszawskich redakcji, które chciały mieć *Słowo* natychmiast. Był to fenomenalny sukces, na Polskę zupełnie zawrotny: gdyby nie Bereza i wojna, Mackiewicz ze swym *Słowem* stałby się szybko milionerem, namyślał się nawet czy się nie przenieść ze *Słowem* do Warszawy, bo oczywiście w Wilnie nakład musiał być ograniczony. Sam był zdumiony swym powodzeniem. „Przysięgam sobie, mówił mi już w rok po śmierci Piłsudskiego, że odtąd nigdy żadnego rządu popierać nie będę, chyba że będę sam jego premierem”. Mackiewicz nareszcie odkrył swe powołanie: wielkiego dziennikarza opozycyjnego, batożącego rząd, nie mającego względów dla nikogo. Rola jego była większa od jego odpowiednika francuskiego, Léon Daudet, którego zresztą całe życie czytał z nabożeństwem: bo we Francji politycy są ludźmi większego formatu, każdy umie pisać, każdy umie wygłosić mowę, a w Polsce poziom polityków, sanacyjnych czy innych, a także dygnitarzy, wojskowych czy cywilnych, był tak nieprawdopodobnie niski, że przy najlepszej woli dzienniki nie mogły cytować tej sieczki, opozycyjnej czy oficjalnej i półoficjalnej. I stąd cała prasa informacyjna, jak *Wieczór* i *Goniec Warszawski* Strzetelskiego, żyły z Mackiewicza: przedrukowywały dzień w dzień całe szpalty jego wstępniaków, plus plotasy Łubieńskiego na pierwszej stronie *Słowa*. Wszystko to zaopatrywano w kłamry: „jak pisze 'zagończyk' Mackiewicz”, i hajda, paręset linijek ściągaczki. Te dwa wieczorniaki robiły na tej ściągaczkę wielki interes, a prorządowe Czerwoniaki, którym policja Wyżła zabraniała przepisywać Mackiewicza, co dzień traciły czytelników.

To był ten okres największego znaczenia, największej roli Mackiewicza, dużo większej, niż kiedy bywał u Piłsudskiego w Sulejówku i w Druskiennikach, czy był przez niego proszony na Dworcu Wschodnim w Warszawie 13 maja 1926 roku o odszukanie ks. Zdzisława Lubomirskiego (Księcia-regenta, jak go nazywano w Warszawie), by mu w imieniu Piłsudskiego proponować prezydenturę R.P., kiedy był posłem na Sejm i konferował godzinami ze Sławkiem i resztą starszyny legionowej. Mackiewicz był genialnym publicystą i nieustraszonym opozycjonistą, i na tym punkcie był nie do pobicia, a na każdym innym terenie, sejmowym, tym bardziej partyjnym czy administracyjnym, czy dyplomatycznym, czy ideologicznym, czy prawnym był bezsilny i nieefektywny. Gdyby Rydz go nie zamknął do Berezy, i gdyby

do wojny nie doszło, to kto wie, czy by Mackiewicz nie doprowadził do kryzysu w rządzie, tak bowiem potrafił zdepopularyzować Rydza i rząd Sławoja. Czy by natomiast potrafił wpłynąć, by następny rząd składał się z ludzi mu miłych, to inna sprawa. Jego talenty były negatywne. Był straszny w ataku, dużo słabszy w obronie. Jego prawdziwym zadaniem było walczyć w opozycji, stąd powinien był być stale i zawsze skrajnym liberałem, wrogiem wszelkiej „silnej władzy”, wrogiem każdego „wodza”, każdego „wielkiego człowieka”. Obrona wolności prasy, prawo do nieograniczonej krytyki, oto były jego dwa szlagiery, jego dwie forte, które powinien był wygrywać całe życie. Niestety tylko przez niespełna cztery lata mógł tę swą naturalną rolę, swe prawdziwe powołanie spełniać. Poza tym miał stale na sobie kaganiec. Przez dziesięć lat, od przewrotu majowego do śmierci Piłsudskiego, sam go sobie na usta nałożył. Potem zajęli się tym redaktorzy oraz wszystkie sfery „urzędowe” na emigracji, potem reżym warszawski. Mackiewicz doskonale to rozumiał. „Na emigracji byłem upiorem, w kraju jestem niewolnikiem” powtarzał, gdyśmy się widzieli po raz ostatni w Paryżu, trzy lata temu.

Dodam osobistą impresję, co do powodów jego ohydneho porwania i osadzenia w haniebnym Bereznie, która obciąża cały reżym sanacyjny. W chwili aresztowania Mackiewicza nie było mnie w Polsce, siedziałem we Francji, dokładnie na Riwierze. Ale pamiętam doskonale naszą wspólną kolację u Simona i Steckiego, jak zawsze naturalnie z „kaczuszką”, za którą Mackiewicz przepadał. Było wielkie przepełnienie, obok siedzieli liczni nieznajomi, ale Mackiewicza oczywiście wszyscy znali z widzenia. Pamiętam, jak nieprzytomnie ryczał na Rydza, wymyślając mu od najgorszych słów, że bałwan, że łamie konstytucję dekretem Sławoja, że przyjęciem znieważa pamięć Piłsudskiego, nazywał go bękartem popa z Brzeżan, etc. Pamiętam, że włosy mi stawały na głowie, że z przerażenia nie dotknąłem ani kąską tej świetnej „kaczuszki”, że błagałem go bez przerwy: „Stasiu, na miłość Boską ciszej, przecież na Krakowskim Przedmieściu słyhać co ty wygadujesz, Stasiu, przecież wszyscy ci kelnerzy to łapsy, mów to wszystko, ale jak wrócimy do twego numeru w hotelu etc.”. Nic nie pomagało, wrzeszczał coraz głośniejsze i coraz zapamiętalej. Pamiętam, jak sam Matuszewski w mojej obecności mu mówił: „Panie Stanisławie, niech pan naprawdę uważa, bo Rydza nie interesuje co pan pisze, on prasy nigdy nie czyta,

ale łapsy znoszą mu co pan na niego wygaduje, a na to jest bardzo wrażliwy!”. Nic nie pomagało. Furia Mackiewicza na Rydza płynęła stąd, że uważał, iż stając się Marszałkiem, drugą osobą w Państwie, pomniejszył on Piłsudskiego, zredukował go do własnych rozmiarów. Atakując wściekle Rydza, Mackiewicz był najgłębiej przekonany, że spełnia święty obowiązek sumienia wobec pamięci Piłsudskiego, że ratuje jego aureolę przed historią. I nic nie mogło go z tej drogi zawrócić. Podobnie jego furia na Becka płynęła głównie stąd, że uważał on, iż Beck „zdradzał” testament Piłsudskiego, że Piłsudski byłby zupełnie inaczej politykę polską w okresie Monachium, a zwłaszcza potem, pokierował.

Już w Londynie, i to po wojnie, zapytałem się kiedyś Stasia, kogo uważa za gorszego: Sikorskiego czy Becka. Odkrzyknął z miejsca: *Ambo meliores*. Ale po chwili poprawił się: „nie, nie, wołał, nie można jednak porównać, Beck był oczywiście sto razy gorszy, Beck – to była w ogóle potworna figura...”.

Prawdziwie aktywna rola Mackiewicza, jak i nas wszystkich, skończyła się 1-go września 1939 r.: w dniu tym państwo polskie załamało się, nasza polityka zagraniczna legła w gruzach, zawiodły zarówno pakty nieagresji, jak i nasze alianse z Dalekim Zachodem, tradycyjna klasa rządząca, jak i jej *skartabellat* sanacyjny, a więc obie warstwy, z którymi Mackiewicz był nie tylko przeszłością, ale i wszystkimi fibrami swej namiętnej natury związany, przestały istnieć jako siły polityczne. Pozostały, w kraju i za granicą, akty bohaterstwa, cierpienia, oraz tak zwana propaganda, pojmowana zresztą tak opacznie i prymitywnie, że poza urzędniczkami-karzełkami nie było w niej dla nikogo miejsca. Mackiewicz nazwał swą historię lat wojennych „Lata nadziei”. To była nieprawda. Od początku Mackiewicz żadnej nadziei nie miał: widział przyszłość tak jak się skończyła, to znaczy beznadziejnie. Od pierwszej chwili, gdy tylko stanął w Londynie, a potem zjawił się w Paryżu, uważał, że jedynym jego obowiązkiem jest obrona Wilna. Z czterech artykułów *credo* Mackiewicza – kultu Wielkiego Księstwa, zredukowanego od 1935 r. do fanatycznego patriotyzmu wileńskiego, kultu Piłsudskiego, umiłowania tradycji szlacheckiej,

która w jego przekonaniu była równoznaczna z konserwatyzmem, i z ukochania zawodu dziennikarskiego – przywiązanie do Wilna było uczuciowo najsilniejsze, przesądzało o wszystkim: dla niego Piłsudski, to był w pierwszym rządzie wilnianin, krajan, dopiero potem był zwycięskim wodzem wojny z Rosją, a na trzecim miejscu genialnym, w jego mniemaniu, mężem stanu. Tak samo konserwatyzm Mackiewicza oznaczał w pierwszym rządzie, że Wilno ma pozostać jakim było, z językiem polskim i z sercem litewskim, z Kaplicą Ostrobramską, ale i z Żydami w kapotach, ze swym akcentem, ze swym dialektem; nic go bardziej nie drażniło, niż utożsamianie tych wileńskich zwrotów z rusycyzmami.

Mackiewicz świetnie zdawał sobie sprawę, że nowa starszozna emigracyjna stosuje do granic polskich dwie miary: jedną na Zachodzie, drugą na Wschodzie. Edward Raczyński, który reprezentował, w sposób kulturalny i z wewnętrznym żalem, tezę, że zachód Polski jest ważniejszy, ujmował to w formule: „Nie może się cała sprawa Polski kręcić dookoła Wilna, jakby chciał Mackiewicz”. Ale nie można się dziwić, że dla autentycznych wilnian teza ta była nie do przyjęcia. Poznańscy zawsze podejrzewali Piłsudskiego, że ewentualnie poświęci ich dla Wielkiego Księstwa i Ukrainy, stąd ich głęboka do niego niechęć. Teraz Mackiewicz miał już nie podejrzania, a pewność, że Wilno, że kresy będą, w razie konieczności wyboru, poświęcone. Całą swą energię poświęcił obronie rodzinnego miasta. My, dzisiejsi Polacy, dzisiejsi „koroniarze”, nie chcemy uznać, że Litwini są *odrębnym* narodem, że mogli recypować nasz język, ale to nie sprawia, by uważali, że ich ziemie rodzinne znajdują się nagle nad Wartą czy nad Odrą. Wielu lwowian pogodziło się z tą translokacją, czemu się zawsze dziwię: Litwini są jej nadal przeciwni.

Wszystkie walki, wszystkie akcje St. Mackiewicza na emigracji tłumaczą się tylko i wyłącznie tą obroną Wilna i Wileńszczyzny. Tu tkwiło źródło jego walki z Sikorskim, który osobiście był mu nawet dość sympatyczny. Tu tkwiła jego opozycja wobec Mikołajczyka, którego kaliber i talenty Mackiewicz raczej perwersyjnie i paradoksalnie przeceniał. Tę walkę przegrał nie on: Polska ją przegrała. To Jałta, nie de-uznanie rządu w Londynie, była dla Mackiewicza ciosem ostatecznym.

Jestem przekonany, że gdyby Jałta pozostawiła Wilno w granicach Polski, czy choćby jakiejś Litwy mającej tyleż niepodległości, co Polska pojałtańska, Mackiewicz by zaraz wrócił

do Wilna. Zawsze stawiał lojalność wobec Wilna wyżej od lojalności wobec czegokolwiek innego. Dzisiaj, w okresie hipertrofii nacjonalizmów, takie stanowisko wydaje się wielu donkiszoterią, jeżeli nie „zdradą”. Ale przez tysiąclecia było uważane za naturalne. Wszak sam praszczur dzisiejszej masowej i totalnej demokracji, Jean-Jacques Rousseau, uważał samego siebie tylko za *citoyen de Genève*.

Mackiewicz był najsympatyczniejszy w Wilnie, potem w Warszawie, potem w Paryżu, dopiero na samym końcu w Londynie. Nie nadawał się na emigranta, ale gdyby los go uplasował w Paryżu, we Francji może by wytrzymał. Z Anglią rzeczywiście nic nie miał wspólnego. Nie wierzył ani sekundy, by nam wyciągnęła dłoń pomocną, by nas kiedykolwiek broniła przeciw Niemcom, cóż dopiero przeciw Rosji! Cywilizacyjnie odczuwał tylko w sposób skrajny obcość angielską. Mówił mi w Londynie parę razy: „Jedyni Anglicy, którzy są mi jeszcze sympatyczni, to angielscy Żydzi. A i to wołę polskich od angielskich”.

Toteż nie przypisuję żadnego zupełnie znaczenia arabeskom politycznym Mackiewicza na emigracji powojennej. Rzadko z nim na te tematy rozmawiałem, tak mnie to nudziło. Zresztą wkrótce wyjechałem do Monachium i odtąd Mackiewicza widywałem już tylko bardzo rzadko, raz na rok, raz na dwa lata. Pamiętam, jak go odwiedziłem na Eaton Place, gdy został premierem. Zameldowałem się u woźnego-głodomora, który mnie zameldował u sekretarza-głodomora, a ten, po dłuższej pauzie, mi obwieścił: „Pan Premier prosi”. Wkroczyłem do gabinetu, gdzie pod ryngrafem z Białym Orłem w koronie siedział Mackiewicz, gruby, roześmiany, czystszy, niż go kiedykolwiek widziałem czy przedtem czy potem, w dobrze wyprasowanej białej koszuli, z porządnie zawiązanym krawatem. Skłoniłem się do ziemi, wołając: „Moje uszanowanie Panu Premierowi!”. Mackiewicz podał mi dwa palce, ale był uszczęśliwiony całą tą komedią, tak promieniował, jak chyba nigdy. Po chwili naturalnie daliśmy pokój tej obustronnej farsie i rozmawialiśmy, jak zawsze, przyjaźnie i swobodnie i bez cienia napuszoneści. Swoją drogą, myliłem się, gdym uważał, że całe to premierostwo, to był tylko dobry kawał Mackiewicza. W tym sumarycznym osądzie wyszło na jaw całe moje niedoświadczenie: niedoświadczenie człowieka, który nigdy nie brał czynnego udziału w polityce, nigdy wysokich urzędów

i godności nie piastował i nie zdaje sobie sprawy z mechanizmu ambicji i władzy. Nie tylko, jak słyszę, cała Warszawa, od szoferaków do dygnitarzy reżymu i ex-hrabiów, częstowała go „Panem Premierem” od rana do wieczora, ale także w depeynch o śmierci Mackiewicza, w *Le Monde*, w *New York Herald Tribune*, w *Die Welt*, w absolutnie całej prasie światowej, wszędzie zanotowano to premierostwo w polskim rządzie emigracyjnym. Snobizm ludzki jest zawsze bez porównania większy, niż się zdaje.



Tą polityką emigracyjną Mackiewicz zabijał czas. Ale czego mu naprawdę brakowało, to trybuny, to audytorium – jego najgłębszą naturą była publicystyka, polityka była dla niego działalnością wtórną. Pisałem wielokrotnie, że Mackiewicz został na emigracji przez nędznych pismaków zaszczyty. Chcę sprecyzować, co przez to myślę. Mackiewicz miał to szczęśliwe usposobienie, że nic sobie nie robił z ujadania i szczekania małych piesków, raczej go to bawiło. Gdy w „Radzie Narodowej” rzucali się na niego jakiś Arka-Bożek, jakiś Józwiak, i jakieś trzecie indywiduum, którego nazwiska nie pamiętam (miał on jakieś szurgotowate pisemko gdzieś na francuskiej prowincji), Mackiewicza to wprowadzało tylko w dobry humor. „Czego się ten idiota mnie czepia?” zapytywał. Ale potrzebował trybuny. Otóż gdy tej trybuny, i to codziennej, do której się przyzwyczaił, której potrzebował wszystkimi fibrami, mu odmawiano, bo była zaakaparovana przez błaznów, nicości, durniów, Mackiewicz czuł się rozżalony i zde gustowany. Brak trybuny – to było zaszczytie. A potem – ten brak poczucia hierarchii. Uznajemy ją, jeśli chodzi o gwiazdki generalskie. Uznajemy, jeżeli chodzi o fraki ambasadorskie, ale w dziennikarstwie byle łaps, byle paskudztwo, byle lizus, który kaleczy język, który odstrasza czytelników, który obniża poziom do *niveau* rynsztoka, czuł się uprawnionym – i był uprawniony – do traktowania Mackiewicza z góry. I nędzne łapsy albo „pierekińczyki”, którzy w życiu swym z Piłsudskim nie zamienili słowa, dawali lekcje nie tylko „patriotyzmu” ale jeszcze „wierności wskazaniom Marszałka” człowiekowi, który był ochotnikiem w latach 1919-20, który do Piłsudskiego zgłosił się w 1924 r. w Sulejówku, gdy ten był wrogiem rządu Numer Jeden, który do

niego przyleciał gdy tylko usłyszał o wybuchu zamachu, który był w prasie przez lata największym popularyzatorem Piłsudskiego.

To wszystko wywołało w Mackiewiczu gorycz. Do tego doszły sprawy intymne, osobiste. Ten człowiek nie był stworzony na samotność. Gdyby mógł wrócić do Wilna, byłby wrócił dawno przed 1956 rokiem. Sam mi zawsze mówił, i przedtem i potem: podziwiam tylko tych, którzy pozostali czy wrócili do Wilna, to są jedyni prawdziwi bohaterzy. W ostatnim swym artykule w *Wiadomościach* Grydzewskiego (*ex re* książki M.K. Pawlikowskiego) pisał: „Wilno, które się obecnie znajduje pod OKUPACJĄ SOWIECKĄ...”.

Nie byłem w Londynie, gdy Mackiewicz zdecydował się wrócić do Polski, nic o tej decyzji nie wiedziałem, ale odczułem ją niezmiernie głęboko. Przez kilka lat nasze stosunki były *de facto* zerwane. Prywatnie głosiłem na prawo i na lewo: „Każdy rusofil ma prawo wrócić do Polski. Ale człowiek, który w Rosji stale upatrywał największe zło i największe niebezpieczeństwo, tego prawa nie ma”.

Dzisiaj zdanie o powrocie Mackiewicza zmieniłem. Po pierwsze uważam, że jeden jedyny z *wowraszczeńców* Mackiewicz wrócił nie po posadę, nie dla korzyści, ale po to, by w Polsce z reżymem Gomułki *walczyć*. Jego obecność była dla reżymu koszmarem, był to wielki błąd, który reżym zrobił, i z pewnością reżymowcy pluli sobie z tego powodu w brodę od rana do wieczora, a wiadomość o śmierci Mackiewicza przyjęli z nieopisaną radością i ulgą. Mackiewicz był powodem fermentu w całej Polsce, był z natury rzeczy i z racji samego swego istnienia szefem opozycji, był żyjącym wyzwaniem dla reżymu. Reżym zdawał sobie sprawę, że musi go zaaresztować a jednocześnie bał się. To Mackiewicz był duszą protestu „34”.



Po jego powrocie do Polski widziałem Mackiewicza tylko trzy razy: w Paryżu we wrześniu 1960 r., w Londynie we wrześniu 1961 r., w Monachium (przez kilka dni) a potem w Paryżu w marcu 1963 r. Uderzał mnie w nim pewien wewnętrzny spokój, mniej podniecenia, które go cechowało na emigracji, większa pogoda ducha, i to pomimo kalectwa: chodził już stale o kulach i każdy ruch sprawiał mu ból fizyczny. Zapewne wiek zrobił swoje, ale istotnym momentem było, sądzę, to, że ten wieczny Don

Kiszot znalazł wreszcie swego Sanszo Pansę. Jego towarzyszka, pielęgniarka i sekretarka, pani Zofia Staniszevska, na pewno była dla niego „Anią” Dostojewskiego: zawsze uważałem, że wszystkie dytyramby, które Mackiewicz w swym (znakomitym) „Dostojewskim” na temat „Ani” wypisał, były krzykiem serca, były tęsknotą do takiej „Ani”, cichej, zacnej, ofiarnej, pogodnej, we własnym życiu. W pani Staniszevskiej ją znalazł. Myślę, że to jej zawdzięcza tę względną pogodę ducha, tę możliwość przetrzymania „niewolnictwa” w Warszawie, siłę do wytężonej pracy, bo w Polsce napisał coś z dziesięć książek. Drugim źródłem pewnego jego zadowolenia w Polsce była poczytność jego książek: wprawdzie nie miał pisma codziennego, musiał walczyć wiecznie z cenzurą, ale miał tę radość, że miał audytorium, że wielkie nakłady wszystkich jego utworów z miejsca się rozchodziły, że czuł, iż ma czytelników. Na emigracji dla każdego pisarza z prawdziwego zdarzenia, ten brak audytorium jest doprawdy koszmarem.

Mackiewicz nigdy nie żałował powrotu do Polski. Jestem przekonany, że mówił prawdę. Gdy Tadeusz Nowakowski wyrobił mu zamówienie w monachijskiej firmie Pipera na napisanie i wydanie „Historii Radziwiłłów”, Mackiewicz niby to wzdychał: „Może ta książka pozwoli mi zarobić sto tysięcy dolarów i kupić willę na południu Francji, i tam życie zakończyć!” Tak mówił, i było to możliwe: Kennedy wówczas żył i zainteresowanie Radziwiłłami, *ex re* ich spowinowacenia z Kennedym, było olbrzymie. Sam podsunąłem Mackiewiczowi idealny tytuł na amerykańskie wydanie jego książki o Radziwiłłach: „The in-laws of our President”. Mackiewicz słuchał, niby to potakiwał, a potem wołał, że znacznie bardziej go interesuje, czy te dzieje Radziwiłłów będą się podobać księciu Januszowi, który był, obok Piłsudskiego i Sławka, jedynym człowiekiem, do którego był naprawdę przywiązany. „Mój Stasiu, tłumaczyłem, albo chcesz zrobić przyjemność księciu Januszowi, albo chcesz stu tysięcy dolarów i willi na Riwierze, tych rzeczy nie da się pogodzić”. Naturalnie napisał książkę, która jak mi mówił w Madrycie Józef Potocki podobała się jego teściowi, ale którą za to Piper odrzucił, bo mogła interesować tylko czytelnika polskiego, nie amerykańskiego, dla którego miała być przeznaczona. Otóż Mackiewicz był człowiekiem szalenie zdolnym, szalenie pracowitym i szalenie szybkim w pracy: gdyby naprawdę chciał tej willi na Riwierze, to by tę historię Radziwiłłów napisał pod gust wydawcy, nie

marudziłby z nią aż do zamordowania Kennedy'ego, i umarłby sam na Riwierze. Ale nie chciał. Nie chciał wyjeżdżać z Warszawy. Sam mi to przez telefon z Warszawy wiele razy potwierdził w ostatnim roku życia, gdym go namawiał, by zjechał do Paryża: miałem rzeczywiście wielką ochotę go zobaczyć, stęskniłem się za nim. Mackiewicz ryczał przez telefon: „Putrament mówił mi, że paszport mogę dostać każdej chwili, ale jeżeli wyjadę, to oni mnie z powrotem nie wpuszczą, a ja im nie chcę zrobić tej przyjemności, i chcę umrzeć w kraju, a nie na emigracji”. W moim przekonaniu, chciał nawet więcej, chciał umrzeć w więzieniu. Wszystko robił, by do tego doszło.



Ileż rzeczy mi pozostaje do napisania. O stosunku Mackiewicza do Piłsudskiego, który dla niego był tym, czym modlitwa dla pobożnych chrześcijan. O czułości, z którą był w stanie mówić o „Cieletniku”, oburzać się, gdy słuchacz nie wiedział, że tak się nazywał jeden ze skwerów wileńskich. O jego umiłowaniu historii, zarówno Długosza, którego czytał z rozkoszą, jak i anegdot o różnych osobach, mniej lub więcej znanych, mniej lub więcej wileńskich ostatniego stulecia. O ogromnym *distinguo*, które zawsze czynił między wilnianami a resztą świata: tylko pierwsi mieli dla niego naprawdę realną egzystencję. Najbliższym mu człowiekiem w emigracyjnym Londynie nie byłem ja, ani nawet mój brat, którego zawsze wołał i wyżej cenił, ale Kazimierz Okulicz, a w Polsce, gdzie na ogół nikt z ludzi u władzy go nie interesował, jeden jedyny Putrament stanowił wyjątek: ten miał w jego oczach żywot realny. Także Giedroyć był dla niego przede wszystkim Litwinem, potem dopiero redaktorem *Kultury*, zresztą Mackiewicz zawsze twierdził, że Mackiewicz pochodzi od Giedroyciów, a przez nich od samego Mendoga. Jeżeli tak straszliwie przeceniał Studnickiego, to znowuż tylko dlatego, że to był Litwin, wilnianin: wobec Studnickiego z innej prowincji miałby dużo więcej zmysłu krytycznego. Ciekawe, że u niego poczucie więzi dzielnicowej było dużo silniejsze wobec „Litwinów”, niż wobec „Białorusinów”, a wobec „Ukraińców” nie istniało zupełnie. I tak lubił Czapskiego (oczywiście mowa o Józiu!) dużo bardziej niż Wańkowicza, ale obaj byli dla niego czymś dalszym od prawdziwych „Litwinów”, choćby od takiego Putramenta. Tak samo Mackiewiczowi „Żagary” były bez porównania bliższe niż

cała *Mysł Mocarstwowa*, choć „ideologicznie” powinno by było być odwrotnie. Zapewne miał on zawsze miłe słowa o Adziu Bocheńskim czy Ksawciu Pruszyńskim: że bardzo mili, zdolni, et coetera. Ale bez porównania bardziej interesowały go „Żagary”, a specjalnie Dembiński. Ten pozostał dla niego problemem do końca; miałem zawsze wrażenie, że proces Dembińskiego Mackiewicz odczuł niesłychanie boleśnie, jako wielką klęskę osobistą, a potem wiadomość o jego śmierci była znowuż dla niego głębokim osobistym przeżyciem. Zainteresowania osobiste Mackiewicza, pomijając oczywiście kwestie kobiece, bo tu działały inne kryteria, sklasyfikowałbym następująco: naprzód wszyscy wilnianie, potem Litwini, potem autentyczni piłsudczycy, ze Sławkiem na czele, potem konserwatyści z wielkimi rodami litewskimi na czele, potem dziennikarze zawodowi, potem endecja, potem socjaliści, jako dawni towarzysze bojów Piłsudskiego, potem Żydzi, Białorusini, Ukraińcy, i dopiero na samym końcu chłopci ludowcy: jak wielu konserwatystów starej daty Mackiewicz był bardziej filosemicki, niż filochłopski. Był on w ogóle bardziej liberalny, niż demokratyczny.

Co chwila nasuwają mi się nowe uwagi o tym człowieku tak niebywale oryginalnym, tak wybitnym, tak ciekawym, i - proszę mi wybaczyć to porównanie nie na miejscu – tak szalenie ode mnie różnym. Mackiewicz miał gust ryzyka. W polityce, w dziennikarstwie, tak jak w interesach, trzeba umieć zaryzykować: *qui ne risque rien, n'a rien*. Nigdy niczego nie zaryzykowałem, toteż słusznie niczego nie mam. A Mackiewicz ryzykował od młodości. Ożenił się z zamożną panną, która miała piękny majątek na Polesiu: zamiast tam gospodarować Mackiewicz zakłada pismo, które ciągnie przez lata w obliczu potwornych tarapatów finansowych. Redakcję mobilizuje z samych oryginałów: takiej kolekcji nigdy nie widziałem, myślę, że nieraz musiał chyba sam cały numer napisać i złamać, bo wszyscy jego współpracownicy leżeli pijani. Nie zapomnę tych typów przedziwnych: Laudyn, Cyrski, Syrewicz, Luboński, wszystko szlachta mickiewiczowska i sienkiewiczowska, utalentowana, ale z innego stulecia. Potem w 1925 roku Mackiewicz stawia na całego na Piłsudskiego, gdy jest banitą w Sulejówku, ryzykuje, że go właściciele *Słowa* wyleją, bo w kołach konserwatywnych był on jedynym namiętnym piłsudczykiem: wszyscy inni byli znacznie bardziej krytyczni. Potem ryzykuje wojnę z Rydzem i sanacją, i Berezę. Potem

znowu ryzykuje opozycję przeciw Sikorskiemu: o mały włos go Anglicy parę razy nie internowali, a Retinger starał się o to. Wreszcie ryzykuje powrót do Polski, a tam ryzykuje znowu najostrzejszy konflikt z reżymem: sam Dominik Horodyński przyznaje to w swoim wspomnieniu, zresztą inteligentniejszym niż przypuszczałem, ale w którym mimowoli jak na dłoni wykazał całą przepaść, która go dzieli od Mackiewicza: oto Horodyński umieszcza pod koniec kadzidla pod adresem reżymu: że Polska Ludowa to, że obóz socjalistyczny tamto, etc. Mackiewicz nie dodawał zwrotów w które sam nie wierzył, a przecie któż uwierzy, że Horodyński bierze te hołdy pod adresem zbankrutowanych oportunistów i karierowiczów spod znaku Gomułki przez jedną sekundę na serio?

Musiałbym też obszernie omówić tak zwane germanofilstwo Mackiewicza, choćby dlatego właśnie, że Horodyński – by się przypodobać rządzącej klice – znowu tę bajkę z lamusa niedorzeczności wyciąga. Żydzi w Polsce utożsamiają filogermanizm z antysemityzmem, tak samo Pax i Piaseckiego z antysemityzmem. Wszystko to są smutne i upokarzające uproszczenia. Dla Mackiewicza, jak dla wszystkich Polaków jego pokolenia, sprawa żydowska była sprawą drugorzędną, a nie pierwszorzędną: myślał on innymi kategoriami. Walczył z endecją zaciekle przez długie lata nie z powodu antysemityzmu, ale dlatego, że ideał państwa narodowego był może w teorii dopasowany do ziem na zachód od „linii Curzona”, ale był absolutnie zgubny dla ziem b. Wielkiego Księstwa Litewskiego. Tu polonizacja była niemożliwa, a pasywność musiała doprowadzić do zwycięstw wyborczych „Hromady” i utraty tych ziem. Stąd, przez patriotyzm litewski, Mackiewicz był namiętym filosemitą, i to właśnie w stosunku do biednego, narodowego Żyda czy Żydka, w kapocie, w jarmułce, w pejsach, chciał go pozyskać, chciał mieć w nim alianta przeciw Rosji, przeciw Sowiecom, przeciw komunizującym Białorusinom. Widok Żydów w kapotach i jarmułkach odpowiadał również jego barokowemu zmysłowi estetycznemu: on zawsze Wilno pamiętał z Żydami, i innego znaczenia nie chciał, nie umiał sobie wyobrazić. Najmniejszego zrozumienia dla walki kupiectwa i chłopstwa polskiego z konkurencją czy lichwiarstwem żydowskim Mackiewicz nigdy nie miał, i tak samo był dziwnie ślepy i nieuczulony na judaizację polskiej inteligencji, adwokatury, medycyny, kasty urzędniczej. Dopiero w Polsce

Gomułka zauważył ten problem i się nim zaniepokoił: uderzyło go specjalnie całkowite opanowanie przez Żydów cenzury, radia, telewizji, urzędów prasowych, prasy. „W klubie dziennikarzy w Warszawie, mówił mi wielokrotnie, – są sami Żydzi, poza mną i... kelnerami”. Jeżeli są w Polsce rozumni poważni Żydzi, a tacy obyż byli, to powinnyby się nad tym zastanowić: jeżeli ex-ONR'owcy są antysemitami, to to niczego nie dowodzi, ale jeśli się do antysemityzmu skłaniają ex-konserwatyści, to znaczy, że dla Żydów to jest bardzo poważny trzeci dzwonek i że czas im zrobić poważny rachunek sumienia!



Żadnym germanofilem Mackiewicz nigdy nie był. Germanofilami byli nie tylko Stańczycy, ale w ogóle prawie wszyscy profesorowie krakowscy. Omal wszyscy byli wychowankami uniwersytetów niemieckich, specjalnie Getyngi, Monachium, Lipska, Heidelberga, czasem Wiednia. Zawsze słyszałem nazwiska profesorów von Savigny, Wundta, Willamowitz von Modellendorf, stu innych, wymienianych jako najwyższe autorytety w dziedzinie prawa, filozofii, filologii klasycznej. Nauka polsko-galicyjska była przesiąknięta nauką i filozofią niemiecką. Profesorzy krakowscy mówili po niemiecku świetnie, czytali prawie tylko dzieła niemieckie, po cichu nawet tak zwani endekoidzi mówili mi: „Panie, Francuzi piszą bardzo ładnie, ale to felietoniści, poważna nauka – to Niemcy, panie, Niemcy...”

Mackiewicz był człowiekiem zbyt inteligentnym, zbyt wykształconym, zbyt kulturalnym, by nie wiedzieć, że każdy „filizm” jest umiłowaniem pewnej kultury, pewnej umysłowości. Poza rosyjską znał on tylko kulturę francuską, może zbyt powierzchownie, zbyt anegdotycznie, zanadto od strony falbanek i dessoussów, kankana i szampana, zanadto od strony pamiątek i *la petite histoire*. Ale w pewnym sensie, Mackiewicz był namiętnym eksponentem kultury francuskiej a raczej paryskiej *de la belle époque*, i jej *Kulturträger*'em w Polsce. Oczywiście w kulturze francuskiej Mackiewicza były luki: nie zdawał sobie sprawy z całej olbrzymiej gamy intelektualizmu francuskiego, zbyt skłonny widzieć Francję przez pryzmat *Action Française*, którą czytał co dzień z nabożeństwem, ale ostatecznie cóż innego robił... de Gaulle? Mimo wszystko sąd jego o Francji był trzeźwiejszy, niż Strońskiego, który myślał, że Francja – to Louis Marin i Pertinax

w *Echo de Paris*, i dla którego katastrofa 1940 roku była piorunem z jasnego nieba, podczas gdy każdy poważny obserwator mógł się jej od dawna spodziewać. Sikorski w ogóle Francji nie znał i nie rozumiał, tak samo jak i Anglii, ale to mu nie szkodziło, bo on miał duszę księcia Józefa, wiernego Rolanda (by nie powiedzieć giermka), a to Polakom się zawsze podoba. Ale prof. Wędkiewicz uchodził w Polsce za znawcę Francji, co już było zupełnym nieporozumieniem. Czterdzieści lat znałem Wędkiewicza: dukał po francusku beznadziejnie, akcent miał potworny, oczywiście miał pewną erudycję, mógł daty czy cytaty korygować, ale jego zrozumienie Francji było równe zeru, w porównaniu z nim Mackiewicz był szczytowym ekspertem od spraw francuskich. Natomiast Niemiec Mackiewicz nie znał, i co więcej nigdy go nie interesowały. Gdym go spotkał w Monachium, nawet nie wychodził z pensjonatu, nie próbował kogoś spotkać czy poznać, zapytał mnie tylko o adres dobrej francuskiej restauracji, i poszedł tam zjeść homara: wiem o tym, bo pytał się, jak homar nazywa się po niemiecku, i zapisał sobie moją odpowiedź: *der Hummer*. Daremnie mu oczywiście tłumaczyłem, że niech zaczeka z tym homarem do Paryża, gdzie homar był i jest zawsze o połowę tańszy, uparł się i wydał na tego głupiego homara majątek. Mackiewicz znał z literatury niemieckiej tylko pamiętniki Bismarcka i Bülowa, i Bismarcka nieprzytomnie przeceniał: przypisywał jego manewrom dyplomatycznym zjednoczenie Niemiec, które, w moim przekonaniu, wyływało głównie z *Zollverein*'u, było tylko jego logicznym skutkiem. Mackiewicz był wpatrzony nie w Niemcy, a w Bismarcka, i wyobraził sobie, że byle by Polska miała takiego swego Bismarcka, który potrafi równie zręcznie prowadzić grę dyplomatyczną, to będzie mogła stać się mocarstwem takim jak Prusy, tylko trzeba możliwie często przestępować z nogi na nogę. W gruncie rzeczy była to też doktryna Becka, tylko w jeszcze bardziej prymitywnym ujęciu. Mackiewicz nie zdawał sobie sprawy z bezgranicznej słabości Polski, z tego, że wszystkie jej ambicje były nadmierne; sam ukuł wyrażenie „Polska mocarstwowa” i dopiero po śmierci Piłsudskiego się opamiętał. Zdał sobie sprawę, że Polska żadnej wojny z Niemcami wygrać nie może, że nie ma prawa jej ryzykować, i to pod żadnym pozorem. Zdał sobie też sprawę, i pod tym względem pogląd jego był trafny, że Rosja wyzyska każdy konflikt z Niemcami dla zabrania Polsce jej kresów wschodnich, a specjalnie Wilna.

Ale to wszystko dopiero *in extremis*: do 1935 roku Mackiewicz podbijał Polakom bębenek, zamiast im otwierać oczy na własną słabość. W czasie wojny, i po wojnie doszedł szybko do wniosku, że możemy ewentualnie liczyć na coś niecoś przeciw Niemcom, jeżeli te zaczynają przesadzać w swych światoburczych ambicjach, a na nic, gdy chodzi o Rosję. Stąd bez wątpienia uznał, że polityka zagraniczna Polski musi się ograniczać do dylematu Rosja czy Niemcy, i wołał wybrać Rosję, niż opierać byt Polski na hipotetycznym poparciu Anglii czy Francji, czyli, jak mawiał, na przymierzach egzotycznych. Gdzie tu w tym wszystkim jakiś ślad germanofilizmu?

Mackiewicz na pewno się do dyplomacji nie nadawał, a już specjalnie do jakichkolwiek rozmów z Niemcami. Mógł ich tylko przerazić, byłby dla nich zupełnie niezrozumiały. Poza tym szybko się zniechęcał, był zbyt niecierpliwy, zbyt wiele obiecywał z jednej mowy czy rozmowy, nie zdawał sobie sprawy, że poważna ewolucja dyplomatyczna musi być zawsze długofalowa i powolna i stopniowa, że era gwałtownych *renversements des alliances* już dawno minęła.

Kiedyś, w Londynie, powiedział mi natomiast na ten temat słowa pełne głębokiego rozumu. „My jedni, wilnianie, możemy doprowadzić kiedyś do porozumienia z Litwinami, bo my jedni ich kochamy, my jedni uważamy ich jeszcze za braci. Tak samo i ja sam nadawałbym się do pojednania nas z Rosją, bo tę Rosję znam i rozumiem, a Kot, Sikorski czy Mikołajczyk nie mają o niej pojęcia. Porozumienie z Ukraińcami będzie tylko możliwe, gdy zajmie się nim jakiś rozumny Polak z Małopolski Wschodniej. Do rozmów z Niemcami nadaje się tylko człowiek, który pochodzi z Poznańskiego i wychował się w Berlinie”. Myślę, że wiem kogo miał na myśli. Tym niemniej jest to prawda. Tę myśl podjęli teraz, niestety nie w Poznańskim i w Brandenburgii, ale w Alzacji-Lotaryngii i w Badonii-Wirtembergii, dwaj tamtejsi mężowie stanu: burmistrz Strasburga i były premier Pflimlin, i premier Süd-West-Deutschland, Kiesinger. Ci zrozumieli o co chodzi. Troskę o stosunki z Niemcami trzeba pozostawić obecnym i przyszłym Tadeuszom Nowakowskim: oni jedni mogą działać nie narażając się na zarzut „germanofilizmu”. Oczywiście szaleństwem jest próbować powierzać załagodzenie stosunków polsko-niemieckich, tak ropiejących, plemionom trzecim: Francuzom de Gaulle’a, Anglikom Wilsona, Rosjanom Kosygina.

Nawet wilnian trzeba trzymać od tego interesu z daleka i brać autentycznych Poznaniaków, i endeków, a nie Semitów.

Z braku miejsca muszę kończyć, choć materiału mam nie na rozdziały, ale na tomy. Chciałbym na zakończenie powiedzieć, że zgon Stanisława Mackiewicza odczuwam jako najbardziej osobistą i najbardziej bolesną stratę, jako stratę przyjaciela, jako stratę najwybitniejszego publicysty mego pokolenia, niezrównanego bojownika o wolność prasy, o wolność obywatela i człowieka. Myślę, że nie ma nikogo, kto by go mógł zastąpić. Myślę, że trzy pomniki powinny uwiecznić jego pamięć: pierwszy w Wilnie, gdy tylko Wilno przestanie być rosyjskie, a stanie się z powrotem polskie lub choćby litewskie, bo Mackiewicz był fanatycznym patriotą Wielkiego Księstwa Litewskiego i jego stolicy: potem popiersie St. Mackiewicza powinno zdobić lokal każdego godnego tej nazwy Związku Polskich Dziennikarzy, bo w Mackiewiczu mieć będzie zawsze wzór publicysty nieustraszonego w walce o wolność prasy; i wreszcie, jeżeli kiedyś taka partia powstanie, w siedzibie polskiego stronnictwa konserwatywnego; Mackiewicz nie miał sił, by pravicę polską, konieczną dla zdrowia i równowagi narodu, pchnąć na nowe tory, objąć nią nowe warstwy, wytworzyć nową klasę rządzącą, ale całym życiem dał świadectwo przywiązania do przeszłości i tradycji, bez których żaden naród nie jest godzien wielkich przeznaczeń.

Kultura nr 6/224, 1966

Sceptyk i arystokrata

Jerzy Stempowski był ogromną inteligencją, która nie dała swej miary. Był wielkim pisarzem, który znowuż nie dał swej miary. Był fenomenalnym erudytą, który nie pozostawił spuścizny godnej jego możliwości. Był umysłem przedziwnie subtelnym, który się rozmienił na bilon paradoksów i przyczynków. Całe życie ocierał się o politykę, nie mając do niej ani powołania, ani talentu. Miał antypatie, mało co kochał. Był amatorem, choć mógł być specjalistą w tuzinie dziedzin. Był człowiekiem ciekawym, choć zawsze odległym. Sympatyzował z lewicą, ale w gruncie rzeczy był typem umysłowym arystokraty Wieku Oświecenia – francuski termin *Le Siècle des Lumières* jeszcze lepiej by oddawał epokę, która mu najlepiej odpowiadała; w jego stosunku do ludzi był zawsze odcień łaskawości arystokraty, który raczy mieszać się z plebsem. Była w nim pewna oschłość uczuciowa, pewien totalny brak zainteresowania otoczeniem, co dziwnie kontrastowało z jego pogodnym i przyjaznym, rzekłbym: miękkim, chwilami aż kobiecym, sposobem bycia. Był to sceptyk, liberał, który nienawidził obskurantyzmu, człowiek „wyższych sfer”, choć bez snobizmów tej klasy, bez jej pasji do polowań, do blichtrów, do historii rodów i koligacji, do przyjęć, tytułów i godności. Stempowski nie znał, nie rozumiał, nie interesował się troskami ludzi małych i skromnych: chłop, a jeszcze bardziej robotnik – to byli dla niego *le bon sauvage* Rousseau. Ideałem Stempowskiego musiała być republika platońska: państwo rządzone przez dobrotliwych, wyrafinowanych i głęboko wykształconych filozofów, o bardzo skromnych osobistych potrzebach, ale nie troszczących się naprawdę o potrzeby

tych, którzy musieliby tych rezonujących filozofów utrzymywać. Stempowski był człowiekiem z Arkadii, z osiemnastowiecznych Świątyni Dumania. Był duchowo człowiekiem ze środowiska encyklopedystów francuskich XVIII wieku, bez ich fanatyzmu, bez ich chciwości, bez ich cynizmu, ze szkoły raczej Helwecjusza niż Rousseau. Z milionów osobistych przeżyć, którymi Stempowski lubił ozdabiać swe rozmowy (zawsze starannie unikając wszystkich momentów intymnych, które pozwoliłyby zajrzeć do jego serca i duszy) może najbardziej charakterystyczny był incydent z jego lat studenckich w Monachium, o którym mi kilkakrotnie wspominał. W ówczesnej Bawarii sprzed r. 1914 (a zresztą i po dziś dzień) istniał *Kirchensteuer*, podatek kościelny, i każdy obywatel musiał zgłosić wyznanie, na którego rzecz chciał ponosić te opłaty. Stempowski w swym zeznaniu podatkowym zostawił odnośną rubrykę *in blanco*. Po jakimś czasie urząd podatkowy go wezwał, surowo nakazując mu dać uczciwą i prawdziwą odpowiedź. Stempowski wówczas wpisał do tej rubryki: „Wolterianin”. Tej anachronicznej i w gruncie rzeczy pogardliwie-arystokratycznej definicji swych przekonań Stempowski pozostał wierny i po śmierci: jego pogrzeb był świecki bez obrzędów religijnych.

Po Stempowskim pozostała olbrzymia, w dużej mierze nieznana spuścizna w postaci niezliczonych rozpraw, artykułów, komentarzy, wstępów, recenzji, przemówień radiowych, odczytów czy udziałów w dyskusjach, polemik i listów: miałem tych listów sporo, zwykle niespodziewanych i nieoczekiwanych; nawet gdy były tylko odpowiedzią na przyziemne prośby kupienia mi lekarstw czy wysłania jakiejś książki. Stempowski potrafił wkręcić uwagi natury ogólnej, często drwiące, o gryzącej ironii, po kimś się przejechać, zabawiać się w Kassandrę, do czego miał zawsze skłonność, a już specjalnie w ostatnich latach. Jako korespondent Stempowski był zawsze jednym z najlepszych naszych czasów: gdyby się wszystkie jego listy dało zebrać, objęłyby na pewno kilkadziesiąt, może i setkę tomów. Korespondencja Stempowskiego sprzed wojny na pewno zginęła i nie da się jej odtworzyć, a i powojenna będzie pełna luk. Korespondenci Stempowskiego – to byli przeważnie emigranczy nędzarze, ludzie bezdomni, gnani z miejsca na miejsce, z jednego poddasza do drugiej sutereny, ludzie, których nie stać było na przechowywanie listów, a poza tym my Polacy jesteśmy pod tym względem barbarzyńcami: w porównaniu z Francuzami, ileż listów się u nas przechowało

i zobaczyło światło dzienne? Nie wiem, czy korespondencja Stempowskiego mogłaby rzucić dużo światła na wypadki naszych czasów, nawet na te, z którymi był osobiście związany, jak np. w początkowej erze „sanacji”, z okresu tzw. „bartłowania”. Stempowski był zbyt indywidualny, zbyt zajęty nie tyle sobą, co swoimi myślami, by móc być wiarygodnym informatorem, widział często ludzi i wypadki w krzywym zwierciadle własnych uprzedzeń, rzadziej sympatii, ulegał zawsze, zresztą bezwiednie, chęci poszukiwania paradoksu, a pod koniec życia był jaskrawym mitomanem: opowiadał o misjach, wojażach i rozmowach, które na pewno nigdy nie miały miejsca, przypisywał sobie studia i wiadomości, szczególnie z zakresu medycyny i gospodarki, których nigdy nie posiadał. Oczywiście Stempowski był rodzajem encyklopedysty, był erudytą uniwersalnym, co było i jego fortą, i jego słabością w naszym okresie specjalizacji, był to jakby Pico della Mirandola, ale jego prawdziwa wiedza była filozoficzna, a tutaj zakres jego wiadomości był zupełnie osłupiający; ale w innych działach jego informacje były fragmentaryczne, nieuporządkowane i uzupełniane fantazją godną starożytnych Greków. W dwóch dziedzinach miałem sam dość wiadomości, by móc go przyłapać na koloryzowaniu: w dziedzinie ekonomii, gdzie nigdy nie miał żadnych jasnych osądów ani poglądów, choć był przez dziesięć lat „doradcą ekonomicznym” Państwowego Banku Rolnego: była to synekura, którą mu wyrobił jego przyjaciel i zdaje się kolega-mason, Seweryn Ludkiewicz, prezes tego banku, i zresztą mało kiedy synekura, bardzo skromna, jakieś półtora tysiąca złotych miesięcznie, była równie celowa, pożyteczna i zasłużona. Druga dziedzina, gdzie Stempowski koloryzował, to w znajomości historii, w szczególności historii współczesnej, tutaj grzeszył stałym płątaniem faktów drobnych i faktów ważnych: jakimś znikomym epizodom w Konstantynopolu czy na Huculszczyźnie gotów był ni stąd ni zowąd przypisywać ogromne znaczenie. Inna sprawa, że z pokorą przyznaję iż przynajmniej raz jeden Stempowski wykazał nadzwyczajną przenikliwość i dalekowzroczność, a ja natomiast dałem się nieludzko nabrać i wykazałem potworną i smutną naiwność. Było to w Bernie, i musiało to być między 1 czerwca a 12 października 1958, bo jak wynika z rozmowy, którą zaraz przytoczę, de Gaulle już musiał być u władzy, a Pius XII jeszcze musiał żyć. Chodziliśmy po Bernie, które jest przepięknym miastem, a może siedzieliśmy

w Café du Théâtre, które Stempowski, śladem Kościuszki i Augusta Zaleskiego, w latach pierwszej wojny, systematycznie odwiedzał. Pamiętam doskonale że wówczas perorował na temat intelektualistów u władzy. „*De facto* – mówiłem – widzę tylko trzech prawdziwych intelektualistów, którzy w naszym stuleciu naprawdę doszli do władzy: to Lenin, Pius XII i de Gaulle”. Pamiętam, jak wąskie wargi i długi nos Stempowskiego poruszyły się w lekceważącym uśmiechu, który u niego przechodził zawsze w *ricanement*, i Stempowski rzekł swym śpiewnym, powolnym, ukraińskim akcentem: „Lenin – zgoda, Pius XII – zgoda, ale de Gaulle? Panie Waclawie, co też pan opowiada, to przecie zwykły pasjonat władzy, który dobiera sobie argumenty *ad hoc*, by uzasadnić swe piruety!” Pamiętam, że oponowałem i że dalej namiętnie walczyłem o walory intelektualisty de Gaulle’a, zresztą nie przekonywując Stempowskiego, który pozostał ironiczny, pogardliwy, podśmiewający się. Dzisiaj oczywiście wstydzę się banialuków, które wówczas głosiłem. De Gaulle intelektualistą! Był on na poziomie Churchilla albo Piłsudskiego! Wszyscy trzej kochali władzę i byli ludźmi władzy, co jest rzeczą rzadką i może być rzeczą pomyślną, ale pomiędzy zdolnością do zdobycia i utrzymania się przy władzy, a intelektualizmem jest szalona przepaść. Gdy ganił, krytykował, negował, Stempowski miał często rację, dużo rzadziej, gdy chwalił, co zresztą, nawiasem mówiąc, niezmiernie rzadko mu się zdarzało. Wynikało to zresztą z pewnych cech jego umysłowości, w której coś było ze Stańczyka (tego historycznego) czy jeszcze bardziej z Sowizdrzała lub pamphleciisty. Kogo jak kogo, ale Kościuszkę powinien był Stempowski chwalić, choćby jako kolegę-*exula* w Szwajcarii, a zwłaszcza jako namiętnego masona. I rzeczywiście, Stempowski stale podkreślał, że na długoletniej emigracji Kościuszko zawsze zachowywał się z godnością, a w jego ustach – to już było bardzo wiele. Ale jednak nie mógł się powstrzymać od mówienia „Kościuszek”, albo nawet „ten poczciwy Kościuszek”. Fantazja ukraińskiego paniątka nigdy nie pozostawała od Stempowskiego daleko.

Otóż dzieła Stempowskiego trzeba koniecznie zebrać, łącznie z jego listami do wszystkich możliwych znajomych, ze wszystkich okresów jego życia, trzeba pracowicie zebrać wszystko co napisał nawet anonimowo albo pod licznymi pseudonimami, albo w ulotkach, i wszystko to wydać w dziełach zbiorowych. Takie pełne

wydanie, choćby okrojone tu i ówdzie, pomijające rzeczy słabsze lub bardziej błahe, albo gdzie się Stempowski powtarzał, co mu się, jak każdemu, musiało zdarzać w ciągu pół wieku kariery pisarskiej, będzie jedynym godnym uczczeniem pamięci tego wyjątkowego człowieka. Nagrobek nic nie znaczy, płaskorzeźby nie ma nawet w jakiej świątyni umieścić, stypendium jego imienia będzie zaraz zapomniane, a zresztą komu się dostanie? Choć ubogi i z konieczności skąpy, sam się chętnie przyłączę do kosztów tego wydawnictwa; powinien się go podjąć Jerzy Giedroyc, który przez blisko trzydzieści lat stale i niezawodnie ułatwiał Stempowskiemu borykanie się z losem: bez Giedroycia, bez jego *Kultury* Stempowski by nie zdołał dać sobie na naszej tułaczce rady. Stempowski miał taki wrodzony *genre*, że wszystkie wyrządzone mu uprzejmości czy usługi przyjmował jakby bezwiednie, jakby tego nie zauważając, jakby mu się wszystko należało, i to stanowisko było częścią jego kolosalnego egoizmu, a raczej egocentryzmu, oraz jego głębokiej obojętności wobec ludzi: ale gdym z nim rozmawiał o Giedroyciu, zwłaszcza w ostatnich latach jego życia, uderzał mnie jego ton, jak na niego cieplejszy, jakaś nuta wdzięczności, uznania, przywiązania: zwykły u Stempowskiego *persiflage* zniknął, rozmowa przechodziła na inny ton, albo zmieniała się na milczenie, które stawało się wymowne. Stempowski miał mało dla swych znajomych uznania, mało go ci znajomi interesowali, wszystko czego całe życie potrzebował, to audytorium, słuchaczy, musiał osiem godzin czytać, osiem godzin gadać, i to musiał być monolog, tylko minimalnie, ale inteligentnie i z podziwem przerywany, poza tym pisał cztery godziny, a cztery godziny na sen mu zupełnie wystarczały. Myślę, że Giedroyc był mu w ostatnich dziesięciu a może i dwudziestu latach człowiekiem najbliższym i myślę, że Giedroyc powinien wyjść ze swego chronicznego mutyzmu i nareszcie pokazać światu swój lwi pazur w biografii Stempowskiego. Swoją drogą, ta przyjaźń była też paradoksalna, bo Giedroyc i Stempowski są tak radykalnie różni. Stempowski był sceptykiem, Giedroyc jest człowiekiem afirmacji, nawet człowiekiem wiary: wiary w Piłsudskiego, wiary w program prometejski, wiary w zwycięstwo lewicy, wiary w wielkich ludzi (*exemplum de Gaulle*), wiary w młodzież, w walkę, w programy, w ideały, w wielkie koncepcje. Na pozór Giedroyc powinien by był sympatyzować z Józefem Mackiewiczem, nie ze Stempowskim; tak samo na pierwszy rzut oka wydawałoby

się, że Stempowski powinien być bliższy Grydzewskiego niż Giedroycia. W obu wypadkach więzy, które mogłyby się wydawać naturalne, pozostały luźne, a pozornie kontrastowa i nielogiczna przyjaźń Giedroycia i Stempowskiego przetrwała i pogłębiała się w ciągu całego ćwierćwiecza.

Aby być wielkim pisarzem Stempowskiemu brakowało rozmachu, i może jeszcze bardziej fantazji. Jego styl był finezyjny, precyzyjny, delikatny, bardzo wyczulowany, chwilami może przypominał *préciosité* Berenta, ale myślę że styl Stempowskiego był lepszy, naturalniejszy, mniej koturnowy, mniej pretensjonalny. Na mój gust, w swych najlepszych chwilach Stempowski miał pewną antyczną marmurowość, czuło się podskórnie w jego wyszlifowanych zdaniach wpływ łaciny i wpływ osiemnastowiecznej francuszczyzny, a któreż wpływy mogą być lepsze? Stempowski był wolny od nieznośnych naleciałości młodopolskich, nie używał tych wszystkich „wielgachnych” czy nie kończących się zdrobnień, które tak wypaczają nasz język. Był on tak samo wolny od pretensjonalności i naleciałości późnobarokowych Żeromskiego, drugiego wielkiego „psujona” naszej literatury i stylu XX wieku. Stempowski nigdy nie wpadał w rozlewność, miał zwięzłość i oszczędność słowa łaciny, antyku. Poza tym styl Stempowskiego był zawsze nabrzmiąły treścią. Inny wysoce utalentowany syn tychże kresów ukraińskich, Ksawery Pruszyński, miał za wielką łatwość pisania, i ona go zabiła jako pisarza; jego język był za bujny, za soczysty, zanadto jakby pachnący, i w końcu styl zabił treść, piękno słowa zabiło refleksję. Refleksyjność stylu Stempowskiego jest rzeczą rzadką w naszej literaturze i zasługuje na dużo większe naśladowanie. Oczywiście styl Stempowskiego ma dystynkcję i ogładę, które były mu wrodzone; nigdy najmniejszego wulgaryzmu się w prozie Stempowskiego nie znajdzie. Umiał on nie tylko uniknąć barokowego wielomówstwa, nadmiaru liryzmu, sztuczności i efekciarstwa, ale także owej pozornej głębi, tych stylów napuszonych, przesadnych, pretensjonalnych, niezrozumiałych, pełnych neologizmów, którymi niestety dręczyli nas i nadal dręczą tak liczni pisarze emigracyjni, zmarli i żywi. Nie chcę z okazji żegnania wielkiego pisarza, który gardził polemiką (głównie dlatego zresztą, że gardził autorami), wymieniać nazwisk, co by mogło zrobić wrażenie porachunków, więc rezygnuję, choć dwa nazwiska, jedno zmarłego, drugie żyjącego, aż same cisną się pod pióro, ale z naciskiem chciałbym podkreślić raz jeszcze,

że Stempowskiemu udało się zawsze unikać Scylli barokowych ozdóbek i esów-floresów oraz Charybdy napuszonego gładzenia, pozbawionego wszelkiej treści. Oczywiście wulgaryzm Hłaski był u Stempowskiego nie do pomyslenia. Wrodzonego talentu pisarskiego miał Hłasko więcej, ale talent to nie wszystko; trzeba też mieć wiedzę, kulturę, smak, czytanie, dystynkcję, myśl, zainteresowania, koncepcje. Hłasko pozostanie jako wstrząsający dokument tragedii i grozy naszych czasów, Stempowski pozostanie niedoszłym królem naszego eseju, niedoszłym filologiem na skalę lepszą i oryginalniejszą niż Tadeusz Zieliński, niedoszłym autorem dzieł o Niemczech, Szwajcarii i Francji na skalę europejską. Najsilniejsze wrażenie ze wszystkich utworów Stempowskiego zrobiła na mnie jego malutka książeczka wydana zresztą tylko po francusku, o ogrodach barokowych w kantonie berneńskim. Był to przyczynek, jak cała twórczość Stempowskiego, który unikał generalizacji, zawsze od szczegółu przechodził do dalej sięgających wniosków, nie lubił hałaśliwych syntez, a szukał tej drobnej kreski, po której znawca poznaje autentyczną porcelanę Mingów. Ta książeczka, której już nie posiadam, bo w izdebce studenckiego hoteliku nie można mieć żadnej biblioteczki, była *un petit chef-d'oeuvre*; ten termin francuski wydaje mi się trafniejszy niż polskie „małe arcydzieło”. Jaka szkoda, że Stempowski, ganiany koniecznością zarobku na życie w czasopiśmie czy w radio, nie miał czasu na napisanie więcej takich *chefs-d'oeuvre*ów. Stempowski najlepiej pisał o Zachodzie, bo sam był tak do szpiku kości zachodni, francuski jeżeli chodzi o styl, niemiecki gdy chodzi o filozofię i metodę naukową, szwajcarski gdy chodzi o podstawowe pojęcia współzycia ludzi i ludów. Wyliczenie tych krajów może tłumaczyć względny brak popularności Stempowskiego u tylu luminarzy naszej emigracji w Londynie, która – i to było, jest i pozostanie skandalem – nie wybrała go, ani go nie dokooptowała do tzw. akademii Grydzewskiego, gdzie mu się należało zawsze i od początku pierwsze miejsce. *A propos*, przytoczę tutaj drobny incydent: kilka lat temu, gdy ustanowiono nagrodę imienia pani Anny Godlewskiej, fundator czy jury, już nie pamiętam, rozesłał ankietę do tzw. pisarzy, prosząc o wybór laureatów. Pamiętam doskonale że w mej odpowiedzi wymieniłem na pierwszym miejscu Mackiewicza i bardzo byłem dumny, że wynik ankiety był dokładnie zgodny z moją odpowiedzią. Nawiasem dodam, że rozdawanie nagród w drodze ankiety czy to wśród czytelników, czy

też wśród większego grona zawodowych dziennikarzy czy pisarzy wydaje mi się dużo lepszą metodą, niż nagroda z rąk jury, które musi się szybko zamieniać w kapliczkę albo w klikę.

Gdy wydanie zbiorowych pism Stempowskiego będzie gotowe, przyjdzie czas na dokładniejsze omówienie olbrzymiego dorobku pisarskiego tego wyjątkowo uzdolnionego człowieka, który niestety nie dał swej miary i miary swych możliwości, jako pisarz, jako krytyk, jako uczonec, jako myśliciel. *L'improductivité slave?* Warunki życiowe? Zmarnowanie zbyt wielu sił na życie publiczne, na ocieranie się o politykę, do której Stempowski nie miał moim zdaniem prawdziwego powołania, ani talentu? Może wszystkie te czynniki zagrały po trosze. Może i życie osobiste. Los starego kawalera ma zawsze coś anormalnego, dezorganizuje życie, i to nie tylko prywatne, ale i zawodowe, odbiera pobudkę do wysiłku, do działania, do twórczości, którą normalnie powinna dawać troska o utrzymanie rodziny. Walka z samotnością albo prowadzi do hipochondrii i mizantropii, robi odludka, albo skłania do rozdrabniania się w rozmowach, w gadu-gadu, w dyskusjach które odciągają autora, pisarza od jego właściwego warsztatu, od gęsiego pióra czy maszyny do pisania. Moda na dwudziestotomowe dzieła Mommsena, Taine'a, Wundta czy Willamowitza von Moellendorf przeszła, ale pomiędzy trzynomowym „Einleitung zum Begriff etc.”, a „notatkami” śpiesznego czy niespiesznego przechodnia na dwie czy trzy kartki jest jakaś trzecia możliwość, jakiś *juste milieu*, którego Stempowski niestety nie wyzyskał.



Potomność będzie mogła sobie wyrobić zdanie o Stempowskim – pisarzu na podstawie lektury jego dzieł. Ale o Stempowskim – człowieku mogą pisać tylko ci, co go znali. Otóż Stempowskiego znałem przez czterdzieści lat z górą. Zapewne, liczni moi znajomi znali go jeszcze dłużej i lepiej. Ale czy ich wspomnienia będą równie szczerze? Konwencja zabija u nas wszystko, wspomnienia pośmiertne wyglądają u nas albo na płaskie panegiryki, albo na paszkwile, a banał zawsze w nich góruje. Więc może mój portret piórkowy Jerzego Stempowskiego się w końcu przyda.

Doskonale pamiętam moje pierwsze zetknięcie się ze Stempowskim. Było to w początkach r. 1926, ale przed zamachem

majowym. Z moich krakowskich lat studenckich znałem Mieczysława Rettingera, który zresztą nie był żadnym krewnym ani powinowatym bardziej znanego Józefa Rettingera: nazwiska pisały się też inaczej. Ów Mieczysław Rettinger pochodził ze Lwowa, musiał mieć krew ormiańską, był szalenie czarny, brwi miał strasznie krzaczaste, był strasznie krzykliwy i hałaśliwy, jak tyłu lwowian. Z zawodu był dziennikarzem, zresztą pisał nudno i mętnie, ciągle wpadał – zresztą także w rozmowie – w jakieś mętne filozofowanie. Ale był to dobry, porządny i, jak się to mówi, kulturalny człowiek: co ten termin znaczy, Bóg raczy wiedzieć, ale ten termin jest potoczny. Był to ponadto „przyjaciel *Czasu*”, a ja zawsze zachowałem lojalność i prawdziwe przywiązanie do *Czasu*, który był tym dla mnie, czym formacje wojskowe, „Zety”, Łoże, partie były dla innych. Słowem, po przeniesieniu się do Warszawy skomunikowałem się z Rettingerem, który mnie zaraz do siebie zaprosił na obiad, bardzo późny, jak to było w zwyczaju w Warszawie. Mieszkał na ul. Flory, w jednej z kamienic na tej ulicy mieszkał pono Dmowski przed wojną, czy to prawda, nie wiem. W każdym razie był tam bardzo duży salon, w jednym z jego kątów podano do stołu. Rettinger przedstawił mnie swej żonie: była to bardzo płowa, bardzo szczupła, nawet chuda blondynka, szalenie blada, dystygowana, milcząca, wyglądała na osobę bardzo schorowaną i odniosłem z miejsca wrażenie, że jej mąż męczył ją swoją krzykliwością. Przywitała mnie uprzejmie, ale z wielkim dystansem, który wydawał się u niej drugą naturą. Po chwili jakieś boczne drzwi do salonu się otworzyły i ukazał się wysoki człowiek, szczupły, rasowy, przystojny, z dużym nosem, w okularach, miał na sobie kurtkę z samodziału i flanelowe spodnie, strój wówczas w Polsce dość rzadki. Na jego ustach błąkał się stale uśmiezek, który miał coś wyraźnie sarkastycznego: całość tej sylwetki nie była sarmacka, raczej odniosłem wrażenie że znajduję się w obecności zagranicznego intelektualisty arystokratycznego pochodzenia. Rettinger nas przedstawił: okazało się że nieznajomy nazywał się Jerzy Stempowski. Dopiero po chwili zorientowałem się że Stempowski mieszka u Rettingerów, że jest ich sublokatozem. Nazwisko Stempowski mówiło mi wówczas i nic, i bardzo dużo. Prosto z Krakowa, zahipnotyzowany wysoką kulturą Stańczyków, nic nie wiedziałem o roli Stanisława Stempowskiego, ani o pisarstwie Jerzego Stempowskiego, który już wówczas pisywał do *Wiadomości Literackich* i szeregu innych pism. Ale nazwisko

Stempowskiego było mi oczywiście doskonale znane z czasów dzieciństwa na Ukrainie. Ród Stempowskich był starożytny, możny, senatorski: regimentarz Stempkowski, późniejszy ostatni wojewoda braclawski, który poskromił „rizunów” humańskich obcinając wszystkim, których przychwycił, prawą rękę i lewą nogę, i o którym jeszcze za mego dzieciństwa chłopci śpiewali dumki ukraińskie, był *de facto* z tej samej rodziny: nazwiska Stempowski i Stempkowski były oboczne. Ojciec Jerzego, Stanisław, był szanowany ze względu na nazwisko, starożytny ród, dużą fortunę; ale był tzw. „chłopomanem”, co go nie czyniło popularnym wśród szlagonów polskich na Ukrainie; trzymał się też od nich z daleka.

O ile Rettinger był hałaśliwy, o tyle Stempowski mówił cicho, chociaż bez przerwy: cały obiad stał się z miejsca omalże jego wykładem, monologiem na wszystkie możliwe tematy. Stempowski mówił z pewną ironią na temat mych krakowskich mędrców, co mnie żywo dotknęło. Ale najbardziej uderzył mnie jego stosunek do pani domu. Nie był to stosunek erotyczny, wcale nie wyłączam, że ten stosunek był całkiem platoniczny, ale nigdy później nie widziałem u Stempowskiego tyle czułości, dbałości, powiedziałbym z rosyjska: *nieżnosti*, wobec jakiegokolwiek kobiety; właściwie wówczas Stempowski i pani Rettingerowa robili wrażenie starego, kochającego się małżeństwa, a Rettinger wyglądał na krewnego, którego się znosi z dobroci serca. Pani Rettingerowa nie odzywała się prawie nigdy, ale zdawała się słuchać z przyjemnością każdego słowa Stempowskiego, podczas gdy to, co mówił jej mąż, czy tym bardziej ja, zdawało się nie dochodzić do jej uszu. Byłem później szereg razy u Rettingerów; w ostatnich latach przed wojną mówiono mi, że pani Rettingerowa jest ciężko chora, dając do zrozumienia, że chodzi o raka. O ile mi wiadomo, pani Rettingerowa została wywieziona w chwili wybuchu wojny przez Stempowskiego na Huculszczyznę i tam zmarła; dopiero po jej śmierci Stempowski przeszedł zieloną granicę i *via* Węgry przedostał się do Szwajcarii. Mieczysław Rettinger miał być gdzieś zabity przez Niemców, bodajże we Lwowie. Swoją drogą, gdym spotkał Stempowskiego po wojnie, nigdy mi jednym słowem ani o pani Rettingerowej, ani o jej mężu nie wspomniał, a przecie pamiętał doskonale, że ich dobrze znał: kiedyś spróbowałem zrobić dyskretną do nich aluzję, i twarz Stempowskiego jakby się skurczyła w jakimś wyrazie bólu, który u niego był niezwykły: nic nie powiedział, zmienił natychmiast

temat rozmowy, ale jego twarz zdawała się mówić: niech pan jej nie wspomina, jeszcze dzisiaj jej śmierć mnie boli. Później widywałem Stempowskiego w towarzystwie innej damy, u której mieszkał: był wobec niej zawsze miękki i przyjazny, ale to było zupełnie co innego. Powtarzam raz jeszcze, bo u nas ludzie są tak rozplotkowani: Stempowski był typem jaskrawo i wyraźnie antyerotycznym, szukał towarzystwa, audytorium, a nie sukcesów u kobiet, ale wydaje mi się że, obok ojca, pani Rettingerowa była jedyną osobą, która naprawdę go obchodziła w ciągu długiego życia.

Po zamachu majowym Jerzy Stempowski został zastępcą szefa gabinetu prezesa Rady Ministrów. Premierem był wówczas Bartel, szefem jego gabinetu był Grzybowski, późniejszy poseł w Pradze i ambasador w Moskwie. Grzybowski był człowiekiem bliskim Stempowskiemu, też pochodził z Ukrainy, znali się od wieków, Grzybowski uchodził za masona, albo za sympatyka masonerii. Znałem Grzybowskiego od lat, ale o ile lubiłem i podziwiałem Stempowskiego, o tyle nie miałem uznania dla Grzybowskiego, choć jego szwagier Orlikowski był moim kolegą i przyjacielem szkolnym. Grzybowski, w swych wiecznych sztuczkowych spodniach, zawsze za szerokich, miał coś napuszonego, Stempowski był zawsze naturalny. Odwiedzałem dość często Stempowskiego w jego gabinecie w pałacu Rady Ministrów, zawsze robił wrażenie, że siedzi w kawiarni, że nie ma nic do roboty i że jest tylko widzem, nie aktorem czy działaczem. Kiedyś gdym siedział u niego, wleciał do jego gabinetu Bartel. Stempowski mnie przedstawił, i Bartel przez chwilę ze mną rozmawiał. Gdy się wyniósł, Stempowski zapytał mnie, jakie premier zrobił na mnie wrażenie. Zawsze byłem zanadto szczery, cóż dopiero wówczas, więc bez wahania odparłem, że jak najgorsze: Bartel wydał mi się krzykliwy, wulgarny, źle wychowany, demagogiczny, bez cienia kultury ani wiedzy prawniczej czy ekonomicznej, słowem taki „ta-joj” w najgorszym znaczeniu. Stempowski zarżał swym charakterystycznym śmiechem, który trafnie można określić terminem *ricanement*: sam był ostrożny i normalnie o nikim źle nie mówił, ale bawiło go, gdy kogoś mocno krytykowano. Pamiętam, jak mi wówczas powiedział swym śpiewnym, ironicznym, ukraińskim akcentem: „Kochany panie Wacławie, jest pan bardzo młody, a więc niedoświadczony. Nie wiem, czy panu wiadomo, iż w Południowej Afryce złoto bywa

często znajduwane w najbardziej nikczemnej glinie, pod grubą powłoką błota! Otóż tak samo często bywa z dziećmi naszego ludu: trzeba u nich pod grubą powłoką prymitywu znaleźć to ukryte szczere złoto, a takie powinno się znaleźć!” Po czym, zachwycony swym paradoksem, Stempowski zaprosił mnie na śniadanie. Tak mówił o swym szefie jeden z głównych filarów „bartłowania”. Później, już po upadku Bartła i po wojnie, Stempowski nigdy Bartła nie wychwalał, nie próbował robić z niego męża stanu; mówił tylko że był mniej zły od „pułkowników”. Co do samego Piłsudskiego, to stosunek Stempowskiego do niego był znacznie bardziej skomplikowany i zawiły. Przez osiem lat nie było mnie w Polsce, wróciłem dopiero w r. 1934, i w ostatnich miesiącach przed śmiercią Marszałka wcale często widywałem Stempowskiego: zwykle zachodziłem do Banku Rolnego, gdzie był doradcą ekonomicznym: funkcje jego polegały na tym, że zjawiał się o godzinie 12-iej do pustego gabinetu, gdzie na biurku znajdował się tylko londyński *Times*, przeglądał go, pożyczał mi go, i potem szliśmy razem na śniadanie. Najbardziej mi jednak utkwiała w pamięci rozmowa ze Stempowskim u Rettingerów na kilka dni przed śmiercią Marszałka. Był późny wieczór i przy przyćmionej abażurem lampie twarz Stempowskiego wydawała mi się omal sataniczna. Stempowski powiedział: „Kochany panie Wacławie, czy pan sobie wyobraża, że my się dowiemy o śmierci Dziadka-Piłsudskiego z gazet? Nie, kochany panie, my się o śmierci Dziadka-Piłsudskiego dowiemy, gdy zobaczymy, że lud wieszka pułkowników na latarniach Warszawy, wówczas dowiemy się że Dziadek-Piłsudski nie żyje”, itd. itd.. Wszystko to wydało mi się wysoce nieprawdopodobne, próbowałem oponować, ale Stempowski mnie zakrzyczał, był szalenie rozindyczony, jak nigdy w życiu. Coś w dwa czy trzy dni później Piłsudski zamknął oczy, i nie mogłem sobie odmówić satysfakcji zatelefonowania do Stempowskiego, pytając, jak wyglądają teraz jego prorocтва. Był speszony, że się dał ponieść pasji do paradoksów i kalamburów, bo w gruncie rzeczy był to człowiek gołębiego serca, który oczywiście nigdy by nikogo nie to powiesił, ale nie pozbawił posady: inna sprawa, że też nigdy dla nikogo palcem w życiu nie kiwnął.

Stempowski nie był żadnym politykiem, miał upodobania liberalne, nienawidził obskurantyzmu, nie cierpiał fanatyzmu. Jak wielu arystokratów, poczuwał się do lojalności wobec swego ojca, uważał za rzecz naturalną, że kontynuuje jego tradycje,

i tym sobie w dużym stopniu tłumacząc jego ciągotki lewicowe, jego przywiązanie do masonerii i jego ukrainofilstwo. Był to esteta, a nie społecznik. Huculi go zapewne bardziej interesowali niż kwestia ukraińska, bardziej bolał nad niszczeniem wnętrza barokowych starego Berna niż nad losem robotnika. Elementem jego była dyskusja, nie działanie. Stempowski nadawał się na krytyka, na malkontenta, po cichu wyznawał zasadę Mefista z Fausta: *Ich bin der Geist der stets verneint*, słowem był jakby wiecznym *contestataire*, z tym że brudactwo, wulgarność, krańcowość i ignorancja dzisiejszej młodzieży były mu równie albo i bardziej wstrętne od sztywnych widnokręgów i przesądów innej generacji.

Po wojnie nieraz dyskutowałem ze Stempowskim o masonerii; tzn. nie dyskutowałem, ale słuchałem, zresztą bardzo chciwie. Stempowski mi wyjaśnił różnice między Wielkim Mistrzem a „33-m stopniem”; ten ostatni był według niego ważniejszy od stanowiska Wielkiego Mistrza, bo 33-i stopień to, według niego, jakby minister spraw zagranicznych łóż, łącznik z masonerią międzynarodową, w szczególności, do wojny, z Wielkim Wschodem w Paryżu. Według Stempowskiego stanowisko to piastował do śmierci Szymon Askenazy, a po jego śmierci bardzo wybitny dyplomata, którego nazwiska nie pozwolił mi ujawnić, i pozostanącej jego woli uległy. Dla Stempowskiego obrządek szkocki był zawracaniem głowy, tylko Wielki Wschód uważał on za masonerię prawdziwą. Swoją drogą i dla niej nie miał wielkiego kultu czy nabożeństwa. Zarykiwał się ze śmiechu, gdy opisywał np. wizyty „brata” Mirosława Arciszewskiego u Askenazego, opowiadał: „Widzi pan, Arciszewski nigdy mądry nie był i nic nie kapował, więc myślał że jak pójdzie do Askenazego, to zmądrzeje i coś w jego głowie się rozjaśni. Arciszewski bardzo Askenazego nudził, ale było mu przyjemnie, że ktoś w jego rozum wierzy, więc go znosił”, itd.... Stempowski mógł w ten desień opowiadać godzinami i, choć nigdy nie „krytykował”, właściwie na nikim suchej nitki nie zostawiał. Z równym brakiem rewerencji mówił o Ładosiu, o Łukasiewiczu, właściwie o każdym. Nie odznaczał się filosemityzmem, było mu do tego daleko. Bardzo lekceważył obecną rolę i znaczenie masonerii i tutaj wpadał nieraz w poważniejszy, mniej persiflażowy ton. „Widzi pan – mawiał – kiedy w XVIII wieku *tiers état* pojawił się na arenie i zaczął się dobijać o prawa dla burżuazji, musiał walczyć z arystokracją i klerem, które były potężne i zorganizowane i *via*

trony i urzędy trzymały całą władzę w państwie. By więc się bronić adwokaci, lekarze, kupcy, mali fabrykanci, którzy się nie znali i nie mieli żadnej organizacji, musieli się gdzieś spotykać, i właśnie loże im dały takie miejsce spotkania i jakąś organizację. Ale w XX wieku robotnicy mają swoje związki zawodowe, a kapitał ma swe Lewitany: kartele itd., i dzisiaj nikt już masonerii nie potrzebuje. Znaczenie masonerii zaczęło upadać już koło r. 1900, poszło to dużo szybciej po r. 1918, a od ostatniej wojny masoneria tylko markuje swe istnienie, nic nie znaczy”. Stempowski mówił to bez żalu, bez pretensji, tonem klinicznym. Interesował się polityką Francji, kiedyś mi proponował, byśmy razem objechali Bretanię i Owernię, by zbadać przyczyny *malaise* chłopskiego, ale nigdy nie pytał, jakie jest stanowisko francuskiej masonerii i żadnych stosunków z paryskim Wielkim Wschodem z całą pewnością po wojnie nie utrzymywał. Namawiałem go, by napisał historię polskiej masonerii, odpowiedział z ironią, że nie ma o czym pisać; myślę, że poza sentymentem do ojca, zawsze u niego bardzo żywym, nic go w ostatnich latach do masonerii nie ciągnęło. Stempowski nic nie miał z umysłowości masońskiej, jeżeli ją uważać za kapliczkową, klikową, albo jeszcze lepiej za *l'esprit sectaire*, jak mówią Francuzi. Gdyby nie stara przynależność jego ojca do masonerii, myślę że Jerzy Stempowski nigdy by do niej nie trafił.

Tak samo źródłem ukrainofilizmu syna był zapewne ukrainofilizm ojca, który był ministrem zdrowia w gabinecie Petlury. Tego ojca nie znałem, ale sądzę, że musiał być silniejszą indywidualnością od syna, który był epigonem, nie inicjatorem. Do tego się przyłączały zapewne elementy nostalgiczne, tęsknota do przeszłości jagiellońskiej, przywiązanie do kraju rodzinnego. Ale o ile na Litwie tradycja Rzeczypospolitej Obojga Narodów miała najpiękniejsze i najgłębsze tradycje, o tyle na Ukrainie zamarły one wcześniej: już emir Rzewuski reprezentował zapewne mniejszość ówczesnej szlachty zabużańskiej, a za czasów Stempowskich, ojca i syna, ogromna większość ziemiaństwa na Ukrainie, które było trzonem polskości na tych dalekich kresach, *de facto* zrezygnowała z polskości tych ziem, traktując swe władztwo jako czysto ekonomiczne. Polscy ukrainofile byli nostalgikami, i to czyniło ich sympatycznymi, ale to byli także marzyciele, przeceniający radykalnie możliwości biednej, słabej, archaicznej Polski z r. 1920. Polska ówczesna nie miała w żadnym wypadku

dość sił, by jednocześnie reprezentować program antyniemiecki, z ambicjami na Śląsku Opolskim, a nawet Dolnym, oraz w Prusach Wschodnich, oraz program antyrosyjski, bo proukraiński. Polscy ukrainofile nie chcieli uznać i dzisiaj jeszcze próbują negocjować, że budowanie Ukrainy – to wojna stuletnia z Rosją: Rosja, taka czy inna, może się pogodzić z granicą ryską, ale nie może się pogodzić z niepodległą Ukrainą. Otóż Stempowski to rozumiał i prywatnie dziwił się, że niektórzy z jego przyjaciół nie chcą dostrzegać tej oczywistej i matematycznej omal prawdy. Toteż ukrainofilstwo Stempowskiego było estetyczne, uczuciowe, nostalgiczne, ale nie polityczne. Zainteresowania wschodnie Stempowskiego, nie tylko ukraińskie, ale także tureckie (gdy chodzi o Turcję, Stempowski popuszczał całkowicie wodze mitomanii i opowiadał niestworzone rzeczy o swych misjach w Turcji i o wpływie rewolucjonistów tureckich na dzieje świata), miały ten fatalny skutek, że odciągały go od prac nad kulturą Zachodu, zwłaszcza Niemiec, które znał jak prawie nikt w Polsce, szczególnie gdy chodzi o filozofię, filologię, historię, życie umysłowe. Wszystko, co Stempowski napisał na tematy wschodnie, jest romantyczne, a więc sprzeczne z istotą jego zdolności i jego toku myślenia, wszystko jest po łebkach, fantazyjne, fikcyjne; wszystko co pisał o Niemczech, jak np. „Dziennik z podróży po Niemczech i Austrii z lat 1946-47” i inne szkice o tych krajach było zawsze pierwszorzędne, oryginalne, dalekie od szablonu, subtelne, finezyjne, szalenie pouczające. Stempowski był często zanadto człowiekiem książkowym, *un rat de bibliothèque*, przypominał niekiedy bohaterów Anatole’a France’a który był za młodu bibliotekarzem, ale to było zawsze pierwszorzędne. Myślę że Stempowski mógł być naszą Madame de Staël: a przecie ubóstwo naszej literatury o Niemczech, prymitywizm tej literatury ma sobie równych tylko w nonsensach broszurek Hakaty o Polsce i Polakach.

Korci mnie, by podać wszystkie uszczypliwe, ironiczne uwagi Stempowskiego o wielu jego znajomych. Nikogo nie oszczędził, i nie wątpię, że i o mnie musiał się nieraz bardzo lekceważąco i pogardliwie odzywać. Nawet jego komplementy były zawsze pełne ukrytych żądań. Kiedyś pytałem go o zdanie o pewnym poecie, który był bardzo faworyzowany przez organ, z którym był wówczas związany. Stempowski prawil: „każdy poeta ma lepsze i gorsze wiersze. Uważam, że poetów należy oceniać nie według ich gorszych, ale według ich najlepszych wierszy. Uważam, że X

musiał w życiu choć jeden dobry wiersz napisać!” Można było sądzić, że Stempowski powinien cenić *Wiadomości Literackie*, gdzie debiutował. Otóż tak nie było. Skamander i skamandryci go nudzili, uważał ich za pedantów, ludzi prowincjonalnych, o totalnej ignorancji wielkich prądów umysłowych i literatur obcych. Gdybym musiał powiedzieć, kogo ze współczesnych pisarzy polskich Stempowski naprawdę cenił i szanował, powiedziałbym: nikogo. Ale czy w literaturze polskiej znajdował w ogóle wiele natchnienia? Nie sądzę. Stempowski był klasykiem, czuł się zawsze bliski łaciny i greki, a daleki od rozwichrzonego romantyzmu. Miało to jeden dobry skutek: Stempowski, w przeciwieństwie do tylu współczesnych literatów polskich, nawet tak kulturalnych i tak francuskich jak Józef Czapski, nigdy nie gustował w literaturze rosyjskiej, nigdy nie cytował wierszy rosyjskich, ani Puszkina, ani Niekrasowa, ani Tiutczewa, ani Jesienina czy Majakowskiego. Za to do śmierci będę słyszeć jego głos ironiczny i miękki, pełen kresowego przeciągania, którym raz po raz głosił: „... tę tezę rozwijał już Lukrecjusz, który, jak pan doskonale pamięta, drogi Panie Wacławie, pisał...” i tutaj Stempowski pół godziny deklamował po łacinie, po czym znowu powracał do polszczyzny, by wtrącić: „zresztą te myśli Lukrecjusza też nie były oryginalne, bo jak pan doskonale pamięta, kochany panie, już Platon to samo mówił...” i Stempowski przechodził w grekę, jakby to była francuszczyzna. Nie, oczywiście, nie pamiętałem, nic nie rozumiałem z tych cytów łacińskich i greckich, ale to była dla mnie kąpiel w świecie antycznym, to był powrót do wielkiej, do jedynej Kultury, poza którą jest tylko nacjonalistyczna barbaria taka czy inna, właściwie wszystko jedno. Poza łaciną i greką Stempowski znał także wybornie francuszczyznę, język niemiecki, włoski, rosyjski, ukraiński, gorzej angielski: i właśnie z tego powodu dla naszej szalenie zangielszczałej emigracji w Anglii Stempowski stał się trochę obcy, jak obca stała się nam dzisiaj całkowicie kultura klasyczna i częściowo obca także kultura francuska i niemiecka. Swoją drogą ukraińskiego akcentu Stempowski nie pozbył się w żadnym języku: język francuski znał fenomenalnie, wiedział np. że wina są *vins du pays*, ale potrawy są *les plats régionaux*, a jednak akcentu kresowego nigdy się nie pozbył.

Mieliśmy moc umysłów mętnych, których nie wiadomo dlaczego zaliczyliśmy do narodowego panteonu: Towiańskiego, Hoene-Wrońskiego, Brzozowskiego, Mochnackiego, Żeromskiego,

Irzykowskiego, setki innych. Stempowski nie dał swej miary, nie zostawił żadnego wielkiego dzieła na miarę swej wiedzy, swej kultury, swej erudycji. Jego działalność polityczna była amatorska, jego publicystyce brakowało żądła; jak polskie rzeki gubią się w mieliznach, Stempowski gubił się w drobiazgach i przyczynkach. Stąd wielu pisarzy i publicystów mniej od niego utalentowanych wywarło większy i zapewne trwalszy wpływ od niego, stąd zachodzi obawa że Stempowski nie zajmie, nawet po śmierci, należnego mu miejsca w naszym piśmiennictwie. Kończę więc tym czym zacząłem: gorącym apelem, by wydano zbiór jego pism, jeden pełny, drugi mniejszy pism co najcelniejszych, tak by ci, co Stempowskiego osobiście nie znali, mogli obcować, poprzez jego dzieła, ze szczytami intelektu, myśli, kultury, smaku i wyrafinowania.

Wiadomości, 16.11.1969

100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego

Zamawiając u mnie artykuł dla *Kultury* z okazji stulecia urodzin Adama Krzyżanowskiego (1873-1973), Jerzy Giedroyc postawił mnie w nielada kłopotcie. W rzeczy samej piszę teraz „nekrolog” mistrza i protektora mej młodości już po raz trzeci. W końcu 1939 roku nadeszła do Londynu i Paryża wiadomość, na szczęście, jak się później okazało, nieprawdziwa, ale która obiegła cały świat, że Adam Krzyżanowski, wywieziony wraz z całą grupą profesorów U.J. (wśród nich mój niezapomniany profesor U.J. i wieloletni, wielki publicysta *Czasu*, Stanisław Estreicher) do obozu w Sachsenhausen pod Berlinem, miał tam zginąć: i wówczas z tej okazji napisałem płomienne wspomnienie o Adamie Krzyżanowskim w dopiero co nowootwartym *Słowie* Stanisława Mackiewicza, które zostało wznowione w Paryżu. Pamiętam jak dziś, że to wspomnienie (którego tekstu oczywiście nie mam, jak zresztą żadnych innych mych papierów) kończyło się zwrotem: „a my, cośmy Go znali i kochali, czym możemy Go pożegnać, jak tylko łąą serdeczną w oku?”. Na szczęście Adam Krzyżanowski wrócił cały z więzienia we Wrocławiu i z obozu w Sachsenhausen do Krakowa (w dniu 7.2.1940), i zbierał skrzętnie wszystkie o sobie wspomnienia z powodu tego domniemanego zgonu, oraz informacje o nabożeństwach za jego duszę: jakimś cudem i ten mój nekrolog w paryskim *Słowie* dotarł do niego już w czasie wojny, i w pierwszym swym liście do mnie, już po zakończeniu wojny oczywiście, Pan Adam serdecznie mi za to wspomnienie dziękował; podkreślał, że ze wszystkich wspomnień o nim to właśnie mu się najbardziej podobało, i dodawał, że w

testamencie polecił, by to wspomnienie ze *Słowa* odczytano na jego prawdziwym pogrzebie, zamiast mów pogrzebowych. Później widocznie zmienił zdanie, dość że w testamencie przesłał mi tylko pozdrowienia. Z okazji tejże niedosłej śmierci ogłosiłem nekrologi Pana Adama w londyńskim *Times*ie i w BBC, oba oczywiście utrzymane w innym, czysto sprawozdawczym tonie, ale też ich tekstu nie posiadam od wielu lat. Gdy profesor umarł w 1963 roku, znajdowałem się w Monachium i pamiętam, że wówczas, na prośbę mego krakowskiego kolegi i przyjaciela, też ucznia Pana Adama, Michała Bojarskiego, napisał i wygłosił o nim wspomnienie w sekcji polskiej Radia Wolnej Europy, a także napisałem o nim obszernie wspomnienie w londyńskim *Dzienniku Polskim*. Ale to były wszystko wspomnienia okolicznościowe, w których element osobistego żalu z konieczności górował. Dzisiaj chciałbym spróbować zrobić co innego, dać próbę syntetycznego obrazu kariery, działalności i wpływu człowieka, który odegrał w Polsce Niepodległej dużą rolę, dużo większą, niż wielu ministrów i polityków zawodowych, i wywarł wielki, choć nie dość, niestety, głęboki i trwały wpływ na nasze myślenie ekonomiczne i na naszą politykę gospodarczą.

Jak to stale podkreślają krytycy i pisarze francuscy z okazji zgonu wybitnych ludzi pióra (jak np. ostatnio z okazji śmierci, niestety samobójczej, Henri de Montherlant), jedynym sposobem prawdziwego uczczenia zmarłego literata, uczonego czy moralisty jest czytanie jego dzieł. Wstępem do tego jest ich zebranie i wydanie, a jest to tym dzisiaj ważniejsze, że w naszych czasach każdy polityk, każdy dyplomata, każdy ekonomista, każdy krytyk, każdy literat jest także *dziennikarzem*, i często w drobnych artykułkach są rozsiane najlepsze myśli i najpiękniejsze perełki stylu zmarłego. Adam Krzyżanowski był z zawodu profesorem ekonomii, ale poczynając od roku 1923 zaczął działać jako publicysta ekonomiczny, i na tym terenie dopiero naprawdę zabłysnął, jako gwiazda pierwszej wielkości. Zebranie jego artykułów, wywiadów, przemówień, odczytów, referatów byłoby bardzo celowe. Ale po Panu Adamie pozostała także spuścizna książkowa. Znam ją niecałą. Jak wszyscy studenci wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, uczyłem się z podręczników Adama Krzyżanowskiego, z których najbardziej utkwiała mi

w pamięci dwutomowa „Nauka o pieniądzu i kredycie”. Było to dzieło poważne, poprawne, ale dzisiaj jest przestarzałe. Z dzieł niedrukowanych dotąd, znam tylko jego „Dzieje najnowsze Polski w oczach Zachodu”, drukowane w dwóch numerach *Zeszytów Historycznych* Instytutu Literackiego w Paryżu z 1972 roku, oraz „Notatki z kalendarza” rodzaj pamiętnika, który dotąd, niestety, spoczywa w maszynopisie w archiwach Giedroycia. Otóż osobiście uważam z większych dzieł Krzyżanowskiego za dwa najwybitniejsze i najciekawsze te właśnie rękopiśmienne „Notatki z kalendarza”, oraz drukowaną w roku 1925 niewielką książeczkę pod tytułem „Pauperyzacja Polski współczesnej”. Pomimo szczupłych, o ile mnie pamięć nie myli, rozmiarów (od trzydziestu pięciu lat nie miałem tego dziełka w ręku), uważam tę „Pauperyzację” za *opus magnum* Pana Adama, podobnie jak cała sława Roberta Malthusa opiera się tylko na jego broszurce o grozie przeludnienia. „Pauperyzacja” zrobiła olbrzymie wrażenie w Polsce, *overnight* zrobiła z Pana Adama z lokalnego krakowskiego profesora, mędrca i omal czarnoksiężnika od ekonomiki na całą Polskę, wywarła wpływ nie tylko na opinię, ale stworzyła podstawy myślenia i dla Banku Polskiego, i dla urzędników kluczowego departamentu Min. Skarbu, to znaczy departamentu obrotu pieniężnego. Zwięzłość stylu, godna Kassandry, doskonale pasowała do fundamentalnego przekonania Adama Krzyżanowskiego, zapożyczonego od klasyków angielskich: *the economy is a dismal science* – nauka ekonomii jest posępną nauką. „Pauperyzację” trzeba czytać, jak się popija koniak – małymi łydkami – i trzeba przy tym porównywać *pierwsze* wydanie z DRUGIM. W pierwszym wydaniu „Pauperyzacji” Adam Krzyżanowski pisał (cytuję z pamięci, ale zakładam się, że oba teksty cytuję bezbłędnie): „Mało pracujemy, mało oszczędzamy, cóż dziwnego że ubożejemy?” Tekst w drugim, poprawionym wydaniu, tylko o parę miesięcy późniejszym, brzmiał natomiast (znowuż cytuję z pamięci, i znowuż na pewno wiernie): „Mało pracujemy, mało oszczędzamy, MAMY DUŻO DZIECI, cóż dziwnego że ubożejemy?” Nie wiem, ile osób zwróciło wówczas uwagę na ten dopisek trzech wyrazów, ale w nim się ujawnił cały maltuzjanizm Krzyżanowskiego, który, obok wiary w automatyzm zjawisk gospodarczych i w konieczność trzymania się klasycznej linii polityki skarbowej, stanowił filar całego jego światopoglądu.

„Pauperyzacja” jest i będzie najlepszym wizerunkiem Krzyżanowskiego-ekonomisty. Uczeń pana Adama, Adam Heydel, jego asystent, docent, przez niego habilitowany, głupio wyrzucony przez rząd z katedry, potem potwornie zamordowany w Oświęcimiu, podobno w sposób bestialski, bo, choć autentyczny saski baron, nie chciał się nigdy zapisać na Volksdeutscha, a mój bardzo serdeczny i drogi przyjaciel tysiąc razy kończył nasze rozmowy o naszym Mistrzu, którego obaj bardzo kochaliśmy: „Ale teorii ekonomiki Krzyżanowski zupełnie nie rozumie”. Na pewno tak było i na pewno Adaś Heydel był wielokrotnie wybitniejszy od pana Adama, jako teoretyk. Studiował w Wiedniu, już jako docent, bodajże u v. Hayek’a i u v. Mizes’a, nauczył się matematyki by móc studiować ekonomikę matematyczną, spędził rok czy półtora w USA na stypendium Rockefellerowskim, znowuż studiując teorię ekonomiki. To on wymyślił Langego, i choć sam był endekiem, a Lange komunistą, to on wyrobił Langemu stypendium Rockefellerowskie i wysłał go do Ameryki, słowem zrobił całą jego karierę. Nie mam najmniejszych pretensji do znajomości i zrozumienia teorii ekonomii, zawsze mnie nudziła tak samo, jak teologia i filozofia, wierzę tylko w ekonomikę opisową i zdrowego rozsądku. Heydel kilka razy zapraszał mnie na swe studium i seminarium, już długo po moim doktoracie, i tam używał wszystkich swych talentów, by mnie zmusić do dyskusji i polemiki z Langem. Mało kogo tak nie mogłem w życiu znosić, jak tego Oskara Langego; wszystko co gadał wydawało mi się przelewaniem z pustego w próżne, bez żadnego związku z rzeczywistością. Poza tym Lange był antypatyczny, potwornie brzydki, kuternoga, ział złością i nienawiścią do całego świata, jak się to często zdarza kalekom; był niebywale arogancki, *cassant*, źle wychowany, nadęty, zły, agresywny. Heydel był nadzwyczaj utalentowany, gdy rozmawiał o Dmowskim, który był jego ojcem chrzestnym a przyjacielem jego ojca (czyli starego Heydla, było mu na imię bodajże Eustachy), napisał doskonałą monografię o Jacku Malczewskim, śliczną książkę i bardzo interesującą pod tytułem „Myśli o kulturze”, ale jeżeli chodzi o ekonomikę nigdy z jego ust nie usłyszałem czegoś naprawdę interesującego, a już jego pasja do Langego była obłędem, i srodze Polska za to zapłaciła. Krzyżanowski wzruszał tylko ramionami, gdy mu się mówiło o Langem. Później, w Londynie, próbowałem czytać „econometrica” szkoły w Cambridge pani Joan Robinson; dałem

za wygraną, to była stratosfera, która nie miała nic wspólnego z aktualnymi problemami powojennej Anglii. Zgadzam się w stu procentach z opinią obecnego francuskiego ministra skarbu, p. Giscard d'Estaing, który określił spory dwóch czołowych teoretyków ekonomii w Ameryce – pp. Friedmana i Samuelsona – jako *querelles d'école*, które żadnego praktycznego znaczenia nie mają. Uważam za wielki plus polityków ekonomicznych, jeżeli nie są teoretykami. Keynes był teoretykiem, ale jego program „nakręcania koniunktury” zrealizował Hjalmar Schacht, który żadnym teoretykiem nie był, natomiast był wielkim bankierem i wielkim znawcą życia ekonomicznego.

W gruncie rzeczy Adam Krzyżanowski był nie tyle ekonomistą, ile skarbowcem. Wierzył w dogmaty szkoły liberalnej – która w zasadzie była na całym świecie doktryną angielską, wyrosłą ze stosunków brytyjskich – ale w wydaniu, że tak powiem, austro-węgierskim, której czołowym praktycznym przedstawicielem był minister skarbu habsburskiej monarchii, Julian Dunajewski. Wydaje mi się, że ta liberalna szkoła austriacka była mniej bankowa i finansowa od angielskiego pierwowzoru, bardziej prawnicza, i z pewną tendencją do protekcjonizmu w ogóle, a protekcjonizmu agrarnego w szczególności. W każdym razie poprzednik Krzyżanowskiego na krakowskiej katedrze ekonomii i skarbowości, Czerkawski, który umarł gdzieś na początku I-ej wojny światowej, był człowiekiem tak banalnym, że pan Adam niczego się od niego nie mógł nauczyć; pan Adam był właściwie samoukiem. Lektura (w rękopisie) jego „Notatek z kalendarza” potwierdza podejrzenie, które miałem (i miał je też Heydel) od bardzo dawna: że to dopiero pierwsza wojna, a zwłaszcza szalona inflacja lat 1920-1923, jakby otworzyły oczy Krzyżanowskiemu, sprawiły, że przestał plus-minus powtarzać, dość banalnie, to co wyczytał w klasycznych podręcznikach ekonomii, a zrobił sam wielki wysiłek myślowy, by zrozumieć mechanizm i przyczyny katastrofy monetarnej w całej Europie Środkowej. Adam Krzyżanowski „zaczął się” dopiero w roku 1923, w roku, w którym zacząłem u niego studiować, w roku w którym seryjny profesorek wystąpił naprawdę na szeroką arenę ogólnopolską. Ten późny rozwój Adama Krzyżanowskiego, dopiero koło 50-tki, był i jest jedną z najciekawszych cech jego umysłowości. Razem z obudzeniem się jego zainteresowań do problemu inflacji, obudziły się i jego zainteresowania polityczne

– przedtem dość słabe. Krzyżanowski urodził się w roku 1923, jakby cały gotów, jakby nowy św. Jerzy gotowy walczyć ze smokiem inflacji. Z „Notatek z kalendarza” dowiedziałem się, że na swoim seminarium ekonomicznym w Krakowie przed wojną miał tylko dwóch słuchaczy, których obu habilitował - mianowicie Rybarskiego i Taylora: otóż nie wygląda na to, by wywarł na nich większy wpływ i by wiązały go z nimi później jakieś bliższe stosunki. Natomiast już zupełnie inaczej wyglądają stosunki pana Adama z późniejszymi uczniami, zaczynając od Heydla i Zweiga, którzy obaj się u niego habilitowali, i całą plejadą późniejszych, tak że można było mówić o „szkole Adama Krzyżanowskiego”, i w końcu ta szkoła stała się dominująca w Ministerstwie Skarbu. *De facto*, nie było i nie mogło być żadnej innej w Polsce, jeżeli chodzi o skarbowość, pieniądz i kredyt. We Lwowie ekonomię wykładali St. Grabski i St. Głębiński, obaj pochłonięci wyłącznie polityką, w dodatku „endeką”; obaj, jako ekonomiści, nie odegrali absolutnie żadnej roli. W Warszawie – Antoni Kostanecki i Brzeski byli poprawnymi belframi, nic więcej. W Wilnie Zawadzki był pono dobrym teoretykiem, ale jako polityk gospodarczy był właściwie człowiekiem nijakim. Z działaczy gospodarczych, ci co pochodzili z b. zaboru rosyjskiego z natury rzeczy nie nadawali się do zupełnie innej struktury i innych czasów, a do pewnego stopnia można by to samo powiedzieć i o działaczach z innych zaborów. Najwybitniejszym był Falter, ale ten wypłynął naprawdę na wielkie wody dopiero w latach trzydziestych. Było dwóch zdolnych ministrów skarbu, Jerzy Zdziechowski i Matuszewski, ale obaj musieli się dopiero skarbowości uczyć, i obaj byli za krótko u władzy, by móc czegoś poważniejszego dokonać. Polska miała tylko jednego wysokiej klasy eksperta bankowego, Leona Barańskiego, naczelnego dyrektora Banku Polskiego, którego ortodoksja finansowa była bardzo zbliżona do poglądów Adama Krzyżanowskiego – jeżeli nie identyczna. Był też jeden wybitny znawca struktury przemysłu polskiego, mianowicie Henryk Tennenbaum – Krzyżanowski mało go cenił, co było o tyle nieuniknione, że Tennenbaum nie był ani skarbowcem, ani specjalistą od spraw pieniądza; znał się na kartelach i tu miał wiele do powiedzenia, ale Krzyżanowski nigdy się kartelami zbytnio nie interesował. Krzyżanowski miał i inny mankament - dziwny u tak zdecydowanego liberała: nigdy naprawdę serio nie walczył z protekcjonizmem celnym, nigdy zanadto nie kruszył

kopii o wolny handel. Tennenbaum był natomiast fanatykiem wysokich cel; zawsze wołał, a nawet krzyczał, że wolny handel nie tylko z Niemcami, ale i z Czechosłowacją, musi cały polski przemysł położyć, a to że ta ochrona bije w chłopstwo, tego ten człowiek Stronnictwa Ludowego, osobisty przyjaciel Rataja i Niedziałkowskiego, nigdy nie chciał przyznać. Krzyżanowski kruszył kopie o porządek w skarbie, w budżecie, w walucie, w pieniądzu, w kredycie, ale w dwóch ważnych kwestiach wołał się nie wypowiadać wyraźnie, a w każdym razie się nie narażać: w sprawie protekcjonizmu celnego i w sprawie budżetu wojskowego. Czuł się za słaby, by móc się pojedynkować na tych dwóch polach. Orbity zainteresowań Adama Krzyżanowskiego były zupełnie inne. W swoich „Notatkach z kalendarza” Krzyżanowski ani razu nie wspomina Tennenbauma. Antagonizm Galicji i zaboru rosyjskiego był bardzo silny w latach dwudziestych, a w Krakowie przetrwał do roku 1939, a może nawet dłużej. Krzyżanowski był *zapadnikiem* na 101%, nienawidził Wschodu: dla niego świat zaczynał się od Czechów: i tak np. kazał nam na swym seminarium studiować reformy walutowe Raszina, czeskiego ministra skarbu po I wojnie, którego wysoko cenił, ale Bałkany, państwa bałtyckie, cóż dopiero Rosja, dla niego nie istniały. Nie miał też najmniejszego uznania dla polityki finansowej carskiej Rosji i był ujemnego zdania o działalności gospodarczej Polaków i o gospodarce polskiej własności ziemskiej w Kongresówce i za Bugiem. Zawsze mawiał: „Te rzekome zyski czy fortuny stały tylko na niepłaceniu podatków w Rosji, i na dawaniu łapówek, nic poza tym, żadnych innych elementów bogactwa w Rosji nie było”. Krzyżanowski był mieszczański, cenił oszczędną zamożność; w burżuazji, z której sam pochodził, upatrywał kość pacierzową społeczeństw i dobrobytu; wielką własność uważał raczej za przeżytek, a wielki przemysł był mu w gruncie rzeczy czymś zupełnie obcym.

Adam Krzyżanowski był od początku lat dwudziestych do końca życia najlepszym profesorem i publicystą ekonomicznym Polski, właściwie jedynym naprawdę serio; poza jego szkołą istniało właściwie tylko mętniactwo – niestety zawsze w Polsce szalenie popularne – jego czołowym przedstawicielem był Czesław Bobrowski, który za wszystkich reżymów próbował udawać eksperta ekonomicznego i *maitre à penser* różnych grupek niedouczonej wiecznych studentów. Dzisiaj, oczywiście, łatwo

wskazać na mankamenty nauk, których Pan Adam udzielał. Był on czystej krwi monetarystą, wierzył w automatyzm sił gospodarczych, to znaczy, że przy dobrej, klasycznej polityce skarbowej (duże zapasy kasowe, ostrożna gospodarka), monetarnej (stałość waluty), budżetowej (zrównoważony budżet, unikanie przeciążenia podatkowego), kredytowej (unikanie zaciągania długów, wszelkiej grynderki), itd., oraz przy ogólnym poszanowaniu praworządności, a więc zaciągniętych zobowiązań, punktualności w spłacie długów, poszanowaniu własności prywatnej, unikania etatyzmu, interwencjonizmu etc., gospodarka musi się samoczynnie rozwijać. Była to powszechna mądrość lat dwudziestych i rodziła się z obserwacji sytuacji w Zachodniej i Środkowej Europie w ciągu półwiecza poprzedzającego rok 1914. Dobry kredyt skarbu państwa, oparty na gospodarce klasycznej, wydawał się kluczem do dobrobytu i do skromnej ekspansji gospodarczej: ówczesny świat, z wyjątkiem USA, wierzył tylko w bardzo umiarkowaną i bardzo stopniową ekspansję i w każdym skoku wzwyż upatrywał wielkie ryzyko. Bankierzy byli wszędzie ostrożni, podejrzliwi, i *growth*, w naszym dzisiejszym znaczeniu, wydawała im się podejrzana, działali deflacyjnie, co odpowiadało ich interesom, bo przecież bankier jest handlarzem pieniądza. Dzisiaj jest dla wszystkich rzeczą jasną, że gdyby w 1914 roku świat nie utonął w wirze wojny, to by i tak nastąpiła duża inflacja, i truchcik pierwszych piętnastu lat naszego stulecia by się zamienił w kłusa, a może i w galop. W każdym razie wojna ten proces kolosalnie przyspieszyła i powiększyła, a poza tym szalone straty dóbr realnych oraz inflacja wydatków i długów państwowych zmieniały zasadniczo obraz sytuacji. Kapitał po wojnie stał się znacznie bardziej trwożliwy, szukał już nie lokat, ale bezpieczeństwa. Ekonomia sprzed 1914 roku była ekonomią niemal wyłącznie służącą interesom klas posiadających, w dodatku kapitalistów biernych, którzy sami nie pracowali, nie fabrykowali, nie produkowali, nie inwestowali, a tylko chcieli odcinać kupony. W szczególności kraj zawsze tak biedny i tak zacofany, jak Polska, kraj tak szalenie niedoinwestowany, kraj o tak fatalnej strukturze ekonomicznej, nadal przeważnie rolniczy, o fatalnej strukturze narodowościowej, o ustroju w gruncie rzeczy stanowym (naród „rolniczy”, naród „handlowy”, inteligencja czyli burżuazja, ale bez żadnych funduszków, wielki kapitał niemal w całości zagraniczny) nie mógł marzyć o samoczynnym automatyzmie

gospodarczym, który *de facto* musiał w kraju takim, jak Polska, działać stale deflacyjnie, co odpowiadało interesom klas najwplywowszych, biurokracji i klasie oficerskiej. Wreszcie Polacy zupełnie nie zdawali sobie sprawy z ciężaru koniecznych zbrojeń, ze względów geopolitycznych i ze względu na założenia polskiej polityki zagranicznej, która odrzucała oparcie się o któregoś w większych sąsiadów. Zbałkanizowanie całej Środkowej Europy, rozlecenie się federacji środkowo-europejskiej, jaką była monarchia habsburska – wszystko to uniemożliwiało jakikolwiek rozkwit państw sukcesyjnych, i istotnie tego prawdziwego rozkwitu nigdzie nie było, nawet w Czechach, choć te były najbogatszym z państw sukcesyjnych. Póki skutki wojny 1914-18 roku trwały – to znaczy póki Niemcy i Rosja nie weszły na drogę wyścigu zbrojeń, który był preludium wojny, póty państwa sukcesyjne mogły jako tako wegetować, ale i to w swych „Notatkach z kalendarza” w roku 1927, z okazji rokowań o pożyczkę stabilizacyjną, Krzyżanowski notuje raz po raz w Nowym Jorku, że nawet bankierzy amerykańscy nie mają zaufania do lokat w Polsce ze względu na jej geopolityczne położenie. Po cichu recepta Krzyżanowskiego była ta sama, co całego MSZ-u, to znaczy „zażyrowanie” Polski przez Anglię, a jeżeli by się dało, to także przez Amerykę, bo w samo żyro francuskie MSZ, poczynając od Paderewskiego, a potem Skirmuntta, Skrzyńskiego, Augusta Zaleskiego, i oczywiście Piłsudskiego, nie wierzyło. Może się to komuś wydać paradoksem, ale uważam za dwóch najbardziej zdecydowanych Anglofilów w Polsce Edwarda Raczyńskiego i Adama Krzyżanowskiego. Dla Krzyżanowskiego Francja jako potęga gospodarcza, a już zwłaszcza finansowa, nie istniała, i co dziwniejsza był tegoż zdania o Niemczech, choć po niemiecku mówił wybornie i miał matkę Niemkę, córkę płk. von Haugel, dowódcy kirasjerów gwardii pruskiej, który brał udział w szturmowaniu Paryża w 1870 roku, i którego pałaszem bawił się jako dziecko – jak sam w swym „kalendarzu” wspomina. Inna uwaga w tymże kalendarzu, kiedy pisze, że jakiś inny chłopczyk „uczył go po polsku”, gdy on (A.K.) miał lat siedem, co pozwala zastanowić się, czy aby, jako dziecko, Pan Adam nie mówił naprzód po niemiecku, a dopiero później po polsku. W każdym razie Adam Krzyżanowski niezmiernie wiele zdziałał dla faworyzowania wpływów świata anglosaskiego i jego pojęć wśród inteligencji polskiej, i w Ministerstwie Skarbu: *au fond* Polska okresu Niepodległości była ekonomicznie związana z

Francją czysto nominalnie, a dużo silniej z Anglią. Na tym tle przystąpienie Polski do francuskiego „bloku złota” w roku 1932 było nieporozumieniem i nonsensem. Krzyżanowski pierwszy się w tym zorientował, żądając w swym głośnym memoriale – w imieniu krakowskiego Tow. Ekonomicznego, którego był prezesem – dewaluacji złotego już w czerwcu 1932 roku, i faktycznego przystąpienia do bloku sterlingowego. Pod koniec lat trzydziestych Krzyżanowski z pewnością wołał dolara od funta, a Amerykę od Anglii. Tutaj zwrócę uwagę, jak stosunkowo mało doktrynerski był Krzyżanowski w swych poglądach walutowych. W roku 1927 spędziłem kilka miesięcy w Genewie, pisząc pracę doktorską o „Polityce Komitetu Finansowego Ligi Narodów”. Komitet ten przeforsował stabilizację szyllinga austriackiego, oraz analogiczne operacje na Węgrzech, w Bułgarii i w kilku innych krajach. W zebraniu materiałów bardzo mi pomógł ówczesny sekretarz tego Komitetu, o dziesięć lat ode mnie starszy Jacques Rueff, ten sam, który ostatnio był mentorem de Gaulle’a. Rueff był dla mnie wyjątkowo koleżeński i uprzejmy. Ile razy z nim rozmawiałem, a zdarzało się to omal co dzień przez trzy miesiące, tyle razy zdumiewała mnie identyczność poglądów Rueffa i Adama Krzyżanowskiego, którzy się nie znali i żaden z nich nie słyszał o drugim. Ale dzisiaj uderza mnie raczej, o ile Krzyżanowski był trzeźwiejszy od Rueffa. Obaj wówczas tylko akceptowali powszechnie uznane już kanony, ale już wtedy Krzyżanowski zupełnie nie interesował się kwestią złota, podczas gdy Rueff jeszcze dzisiaj stacza donkiszockie boje w obronie złota. Krzyżanowski zawsze uważał, że żadnej waluty złotej nigdy nie było i że kurs tego kruszcu był manipulowany przez Bank Anglii, oraz że funt, a nie złoto, był do 1914 roku fundamentem międzynarodowego systemu pieniężnego. Krzyżanowski chciał dewaluować złoto zaraz za funtem, podczas gdy Rueff był we francuskim Ministerstwie Skarbu jednym z głównych orędowników zgubnej polityki deflacyjnej Laval’a. Obaj byli zawsze zgodni w jednym punkcie: byli przeciwni ograniczeniom dewizowym. Dzisiaj, po tylu koszmarnych doświadczeniach z *Hot Money* i spekulacją walutową, wydaje mi się, że ograniczenia dewizowe są nieuniknione, ale wówczas tego nie rozumiałem.

Adam Krzyżanowski miał rację, kiedy w roku 1923, a potem znowu za Wł. Grabskiego (którego zawsze nie lubił) uważał, że przyczyną polskiej inflacji jest zła gospodarka skarbowa

i drukowanie banknotów (czy bilonu za Grabskiego) dla pokrywania deficytu budżetowego. Miał rację pragnąc wysanować walutę, uzdrowić gospodarkę skarbową, zrównoważyć budżet. Miał rację gdy w 1928 roku uważał, że w tym celu konieczna jest pożyczka stabilizacyjna, że stabilizacja o własnych siłach, droga z mętnych nacjonalistycznych i etatystycznych powodów Wł. Grabskiemu, Mościckiemu i Kwiatkowskiemu, jest utopią, a w każdym razie wymagać będzie od Polski zbyt wielkich poświęceń. Na tle pożyczki stabilizacyjnej powstał jego stały uraz do Mościckiego, którego zawsze uważał za złego ducha Marszałka, oraz jego życzliwość do Bartla, którego uważał, tak samo jak Augusta Zaleskiego, za swego głównego sprzymierzeńca w walce o doprowadzenie tej pożyczki do skutku. Animozja do Mościckiego pozostała jedyną trwałą antypatią, jaką u Krzyżanowskiego stwierdziłem. Z natury liberał, człowiek umiaru, stuprocentowy cywil, nie miał wielkiego nabożeństwa do oficerów, a więc do pułkowników; w przeciwieństwie do St. Estreichera nie miał on też przekonania do Sikorskiego. Krzyżanowski był człowiekiem miękkim, był skłonny do oportunistów; rozsądek kazał mu kurmacherować Marszałkowi, ale przychodziło mu to z dużą trudnością. Sam mi opowiadał, jak Bartel kilka razy go zabrał na tajne konferencje do Belwederu, gdzie obaj, jak mawiał Bartel, mieli „uczyć Marszałka ekonomii”. „Były to bardzo ciężkie rozmowy – mawiał zawsze Krzyżanowski, gładząc brodę swym charakterystycznym ruchem – bo Marszałek nic z ekonomii nie rozumiał! Miał dobrą wolę dowiedzenia się czegoś – dodawał mistrz Adam – nie był zarozumiały jak Mościcki, który nie wiadomo dlaczego uważał się za geniusza od spraw ekonomicznych, ale miał mentalność bankrutującego szlagona, bał się spraw gospodarczych i ciągle był podejrzliwy, wszędzie widział zasadzki i pułapki. Nie wiadomo dlaczego uznał, że Mościcki zna się na sprawach gospodarczych i ciągle z tym Prezydentem wyjeżdżał. Wiecznie przerywał, że Wandzia i Jagódka będą musiały pożyczkę płacić, więc on nie może tego brać na siebie itd. Poza tym miał bzika na punkcie kradzieży. Kiedyś jeszcze gdy był Naczelnikiem Państwa, spytał się mnie: dlaczego marka tak ciągle spada? – po czym szepnął mi na ucho: „A może Żydki to zrobiły?” Kiedyś, gdym mu tłumaczył, że trzeba prowadzić oszczędną politykę budżetową, Piłsudski krzyknął na Bartla: „A czy ja tego ciągle nie mówię moim oficerom? Czego się im nie

zachciewa? Lotnictwa! W powietrzu będą prowadzić wojnę czy co?" I Krzyżanowski twierdził zawsze, że Stan. Łepkowski, którego bardzo lubił, ma ze wszystkich znanych mu osób największy wpływ na Marszałka i najlepiej wie, jak z nim rozmawiać. Krzyżanowski miał ochotę na karierę polityczną, był zadowolony ze stanowiska gen. referenta budżetu i z wielkim żalem oddał to stanowisko Miedzińskiemu; zachował do niego z tego powodu uraz. Postawił na Bartła, choć wcale nie uważał go za człowieka wybitnego, a jego maniery bardzo go raziły. Ale miał nadzieję, że może dzięki Bartłowi zostanie ministrem, nie skarbu, bo tu się liczył z opozycją Mościckiego, ale choćby W.R. i O.P., ale pogodziłby się chętnie i ze stanowiskiem Prezesa Banku Polskiego. Tu wtrączę, co mi na ten temat mówił Matuszewski, który jak prawie wszyscy Polacy miał pasję układania sobie listy swego gabinetu, bo zawsze marzył o premierostwie. Matuszewski miał dwie niezmiennie pozycje: Lipskiego na sprawy zagraniczne i Barańskiego na ministra skarbu. „Adama Krzyżanowskiego nigdy nie zrobiłbym ministrem skarbu – mawiał Matuszewski – to czarujący człowiek, i bardzo rozumny, ale za miękki, a minister skarbu musi być człowiekiem nieznośnym, który kłóci się ze wszystkimi, który odmawia pieniędzy kolegom-ministrom, i sztabom, i przemysłowcom, i rolnikom, który mówi dwieście razy 'nie', zanim powie 'tak' ". Dzisiaj skłonny jestem przyznać tej argumentacji sporo racji. W każdym razie Adam Krzyżanowski żałował, że postawił na Bartła i że wystąpił z Sejmu z okazji Brześcia. Opowiadał mi co następuje o Sławku, którego nie uważał za męża stanu, ani za geniusza, ale za gentlemena, i za człowieka wyjątkowo szlachetnego i dobrze wychowanego, na co był bardzo wrażliwy. „Sam Sławek był gotów mi ułatwić sytuację ze względu na protest profesorów U.J., proponował mi, że rząd wyśle mnie w jakiejś misji za granicę, tak że nie potrzebowałbym brać udziału w głosowaniu. No, to było przyzwoite wyjście z sytuacji. Źle zrobiłem, żem się nie zgodził”. Krzyżanowski był liberałem, ale nie był lewicowym. Naprawiaczy nie lubił, nie lubił Grażyńskiego, a o socjalistach był najgorszego zdania: „Panie, wszystko, co oni potrafią zrobić, to inflację” mawiał o PPS, i dodawał: „Jeden Diamand tam odróżnia weksel od bonu skarbowego a i ten nic nie umie i jeszcze mniej rozumie. A Daszyński? Doskonały mówca, dobry debater, ale sam przyznaje, że nie ma zielonego pojęcia o sprawach gospodarczych...”. O ludowcach Adam Krzyżanowski

zawsze mówił: „między nimi a mną różnica jest taka – ich interesuje górna granica własności rolnej, a mnie dolna; dużo ważniejszą rzeczą jest nie dopuścić do drobnienia gospodarstw chłopskich, niż wywłaszczać folwarki, które jednak są lepiej zagospodarowane”.

Krzyżanowski, poza swą działalnością nauczającą i publicystyczną oddał Polsce dwie wielkie usługi: jego aktywność wielce ułatwiła opanowanie inflacji w Polsce w roku 1924, i ponownie w roku 1925, kiedy to zła gestia Wł. Grabskiego doprowadziła do ponownej dewaluacji złotego na jesieni 1925 roku; oraz pożyczkę stabilizacyjną, która dała Polsce jedyne cztery lata względnej *prosperity* 1926-30. Ale Adam Krzyżanowski mógłby oddać Polsce jeszcze większą usługę, gdyby usłuchano jego rad z 1932 roku wyrównania kursu złotego na funt, a nie na złoto. Nie załatwiłoby to problemów gospodarczych Polski, ale uniknęlibyśmy przynajmniej najostrzejszej formy kryzysu, i ostatnie lata Niepodległości miałyby mniej katastrofalny przebieg, niż ten który był naszym udziałem. Niestety, te rady zbawienne, najrozumniejsze, które Krzyżanowski kiedykolwiek sformułował, pozostały głosem wołającego na puszczy, a odpowiedzialność za to ponosi w pierwszym rządzie Mościcki, który korzystając z choroby Marszałka wysforował się na sternika polskiej polityki gospodarczej, o której nigdy nie miał najmniejszego pojęcia, a do Krzyżanowskiego zawsze się odnosił z zacieklą wrogością.

W swych „Notatkach z kalendarza” – mianowicie w notatkach z Nowego Jorku w roku 1928 – Adam Krzyżanowski notuje, że w ciągu zaledwie dziewięciu lat Kemmerer, zwany *The Money Doctor*, i kurator polskiej polityki stabilizacyjnej w związku z pożyczką, jest już całkowicie zapomniany, a jeżeli prasa go czasem wspomina, to z przekąsem i z ironią. Tak to się w ciągu zaledwie dziewięciu lat zmieniły podstawowe poglądy na politykę finansową, pisze Krzyżanowski, może nie bez melancholii. Krzyżanowski zdawał sobie już w 1938 roku sprawę, że dogmaty klasyczne stały się nieaktualne, podczas gdy obecny rząd w Warszawie – na rozkaz Rosji oczywiście – rewaluował fikcyjny kurs złotego wobec dolara, po umowach waszyngtońskich i „dewaluacji” dolara wobec złota w dniu 18 grudnia 1971 roku!

Tak, dzisiaj łatwo *ex post* powiedzieć, że wszyscy, z Adamem Krzyżanowskim włącznie, wiązaliśmy zbyt wielkie nadzieje z ortodoksją walutową i finansową. W rzeczy samej w okresie

niepodległości potrzebowaliśmy z całą pewnością tak zwanej polityki nakręcania koniunktury. Tylko po pierwsze, nie mieliśmy żadnego Schachta, który jeden jedyny na całym świecie potrafił tę politykę zrealizować, a i to podał się do dymisji po trzech latach, w roku 1936, kiedy Hitler zaczął politykę wielkich zbrojeń, która z konieczności oznaczała już nie nakręcanie koniunktury, ale po prostu gigantyczną inflację. Po wtóre, i co o wiele ważniejsze, zadanie Schachta było stosunkowo łatwe: w Niemczech istniał kolosalny przemysł o gigantycznej zdolności produkcyjnej, istniały miliony bezrobotnych, ale doskonale przygotowanych do wzięcia udziału w ekspansji przemysłowej, istniał pierwszorzędny aparat bankowy, który wchłonął wszystkie papierki, które Schacht wymyślił by ożywić obroty, istniał wreszcie olbrzymi i doskonały aparat handlu zagranicznego, który potrafił wyzyskać wszystkie możliwości *clearing'u*, przede wszystkim w Europie, ale także na całym świecie. Myśmy nie mieli ani Schachta, ani aparatu produkcyjnego, ani aparatu finansowego, ani aparatu handlowego, ani fachowców, ani zbyt wielu wykwalifikowanych robotników. W żadnym wypadku Polska nie mogła sama bez pomocy z zewnątrz stworzyć warunków ekspansji; w żadnym wypadku Polska nie mogła sobie pozwolić na *quasi* autarkię, jak Niemcy Schachta; w żadnym wypadku Polska nie mogła się oderwać od innych bloków. Współudział w bloku sowieckim był oczywiście równoznaczny z natychmiastową aneksją Polski przez ZSSR; współudział w bloku niemieckim oczywiście nas od Niemców uzależniał, jak uzależniał Austrię, Czechosłowację, Rumunię, Węgry, Bułgarię, Turcję, Grecję, Jugosławię i nawet Włochy. Skoro tę koncepcję odrzucaliśmy, nie pozostawało nic innego, jak trzymać się klamki angielskiej, bo przecie Francja w latach trzydziestych zupełnie się nie liczyła i, poza sprzedażą przestarzałego sprzętu wojennego, nie chciała i nie mogła się wychylić, zaś Stany Zjednoczone były za daleko i były wciąż izolacjonistyczne. Koneksji brytyjskiej zawdzięczamy jedynie dwa większe sukcesy lat trzydziestych – eksport węgla do Szwecji i eksport produktów rolniczych do Wielkiej Brytanii. Ale doświadczenie wykazało, że było to za mało, by Polskę można było uratować w naszej sytuacji geopolitycznej.

Chciałbym zakończyć ten szkic za krótki, a więc powierzchowny, kilku uwagami o spuściźnie Adama Krzyżanowskiego, która znajduje się obecnie w rękach Jerzego Giedroycia. Raz jeszcze chcę podkreślić, jak ważne wydaje mi się wydanie jego „Notatek z kalendarza”. Są to notatki, spisane w czasie wojny, poczynając od 7 lipca 1940 roku, w oparciu o urwane kartki kalendarzowe, które Krzyżanowski z lat poprzednich sobie zachowywał, notując na nich spotkania, albo niekiedy rozmowy. Te „Notatki” składają się w zasadzie z trzech części. Pierwsza zaczyna się od kilku dat i danych o rodzicach i rodzinie, kończy się na wybuchu I wojny, albo może na 1918 roku. Druga obejmuje lata 1918-1939. Trzecia – to lata wojenne. W chwili wejścia Moskali do Krakówka Krzyżanowski jest chory, i dopiero koło marca 1945 roku zaczyna znowu notować, ale zaraz urywa: dlaczego, nie wiem. Na pozór najwięcej danych i tzw. rewelacji zawierają notatki za lata Niepodległości, dotyczą spraw ważnych, jak pożyczki stabilizacyjnej, działalności Krzyżanowskiego w Sejmie, jego memoriałów, jego rozmów z Piłsudskim, z Rydzem itd. Ale mnie uderzyły najbardziej notatki do 1918 roku i notatki z lat wojennych. Notatki z dzieciństwa, z lat pacholęcych, studenckich, z praktyki w Prokuratorii Generalnej, w Towarzystwie Rolniczym dla Galicji, z lat docentury etc., nie zawierają żadnych rewelacji, to prawda, ale dają wyjątkowo dokładną FOTOGRAFIĘ epoki – Galicji mieszczańskiej, krakowskiej, stańczykowsko-profesorskiej w latach 1873-1918. Czytałem kiedyś bardzo obszerne dzieło francuskiego historyka, już nie pamiętam którego, który spisał dzień po dniu gdzie Napoleon przebywał od urodzenia do śmierci, kogo każdego dnia widywał, i ewentualne informacje o ważniejszych rozmowach, które w danym dniu prowadził. Od Napoleona do Adama Krzyżanowskiego jest daleko, bardzo daleko, ale jego bezpretensjonalne notatki dają obraz nie tylko środowiska, ale i cywilizacji. Widzimy jak spokojne były to czasy, jak pewne, jak ustabilizowane, jak potężne były więzi rodzinne, tradycje, obyczaje, jak zamożne i dostatnie było ówczesne mieszczaństwo, jak ogromną rolę w życiu tej zamożnej inteligencji krakowskiej odgrywały Zakopane i Tatry, jak dużo jeżdżono za granicę, jak liczne były stosunki Polaków w Austrii, w Niemczech, na Węgrzech, ale także we Francji i we Włoszech, o ileż większe od tych, które my emigranci mamy dzisiaj. Ile uroku mają takie uwagi, jak biadania w Konstanzy jakiegoś

niemieckiego arystokraty, że jego kuzyn, hr. von Zeppelin, rujnuje siebie i rodzinę na bezsensowne próby latania po niebie, albo odpowiedź jakiejś węgierskiej hrabiny, która siedząc na bankiecie w Budapeszcie obok Adama Krzyżanowskiego, na jego komplement: „Wasz premier (hr. Tisza) jest doskonałym mówcą!” odpowiada bez namysłu: „To nieważne, ale co to za przystojny mężczyzna!”. Czytając tę część pierwszą, powiadam sobie, że to środowisko krakowskie było i wysoce cywilizowane, i bardzo szczęśliwe. Kiedym jako student poznał Kraków w latach dwudziestych, było już o tyle gorzej, o tyle biedniej, o tyle bardziej prowincjonalnie... Jakże żałuję, że tego zamożnego, szczęśliwego, naprawdę „stołecznego i królewskiego miasta Krakowa” nie znał.

Natomiast tragiczne, wstrząsające, potworne są zapiski z czasów wojny. Może właśnie dlatego, bo nigdy nie ma w nich patosu. Sam Krzyżanowski nigdy nie wspomina swych przeżyć w Sachsenhausen. Notuje tylko zgony, zgony, zgony. Klepsydry o nabożeństwach bez danych o pogrzebie: wiadomo, to ofiary Oświęcimia. Notuje co dzień nabożeństwa żałobne, że już nie może na wszystkie zdążyć. Sypią się nazwiska, znane i nieznane, kobiet i mężczyzn, starców i młodzieży. Ubiegłego lata byłem w Pizie i po raz pierwszy - choć znam Pizę od Bóg wie ilu lat - zauważyłem w jednej z auli czy kaplic tamtejszego Campo Santo fresk nieznanego malarza, który był na pewno bracijskiem przydzielonym do tego cmentarza, i którego znamy pod nazwą Malarza „Trionfo della Morte”. Wstrząsający fresk. Troje młodych pięknych panią, śliczna panna w złotogłowiach, otoczona pięknymi paziami czy książętami, stają na swych wspaniałych koniach, jak wryci, na widok trzech otwartych trumien, w których leżą świeże trupy, i nawet wierzchowce stają dęba przerażone. Ten potężny, wstrząsający obraz zrobił takie wrażenie na Liszcie, że napisał z miejsca rapsodię na ten temat, i nazwał ją „Der Totentanz”. I dzisiaj ten opus Liszta jest tak sławny, że pod freskiem widnieje oficjalna nazwa „Trionfo della Morte”, i obok wielkimi literami „Der Totentanz”. Gdym czytał wojenne kartki raptularza Adama Krzyżanowskiego stanął mi nagle w pamięci ten fresk, i ten napis, i ciągle w duchu powtarzałem sobie: *der Totentanz, der Totentanz...* Że oni to wszystko przeżyli... Że tak straszne rzeczy spotkały tych dobrych, miłych, rozumnych, szlachetnych ludzi... Za jakie grzechy, jak

mawiały pobożne panie za czasów mego dzieciństwa, za jakie grzechy?... Gdzie jest sprawiedliwość, już nie dziejowa, ale Boska?

Der Totentanz. To wszystko, co z naszej strasznej epoki, z naszego życia, z naszych katastrof zostało.

SPROSTOWANIE

W związku z artykułem W.A. Zbyszewskiego pt. „Stulecie urodzin A. Krzyżanowskiego” otrzymaliśmy sprostowanie, że mianowicie ojcem chrzestnym Adama Heydla nie był Roman Dmowski, ale Józef Dobiecki z Krzyżanowic. A ojcu A. Heydla było na imię Zdzisław. Ze względu na niemieckie pochodzenie nazwiska otrzymywali wszyscy Heydlowie imiona słowiańskie: Mieczysław, Zdzisław, Bronisława itp.

Kultura nr 3/306, 1973

Sikorski

Za naszego najbardziej zasłużonego i pożytecznego krytyka w okresie międzywojennym uważam Boya. „Odbrażowanie”, choćby tak częściowe i tak fragmentaryczne jak to, które Boy usiłował przeprowadzić w stosunku do niektórych przynajmniej z naszych uznanych wielkości, wydaje mi się operacją absolutnie konieczną dla higieny naszej literatury i naszej krytyki, która choruje na „brażowanie” *à outrance*, i w stosunku do Romantyków, i tym bardziej w stosunku do pisarzy czasowo nam bliższych. Z głęboką radością powitałem nieśmiałe próby Stanisława Balińskiego, który odważył się uchylić rąbka konspiracji milczenia i zakłamania dookoła przynajmniej jednego Skamandryty – mianowicie Lechonia – dla którego powszechnie znanej słabości oraz śmierci samobójczej można mieć współczucie, ale który przecież nigdy do czołowej klasy pisarskiej nie należał. Kult kapliczki i kadzenie „uznanym” wielkościom przybiera u nas tak nieprawdopodobne rozmiary, iż niedawno redakcja jednego z naszych pism literackich odrzuciła mi artykuł, bo miał stanowić *crimen lesae majestatis* w stosunku do... Picasso i Shawa! Gdybym przynajmniej tę dbałość o renomę Picasso i Shawa mógł przypisać złośliwości pod moim adresem, to by było jeszcze pół biedy! Ale ani śladu osobistej animozji w stosunku do mnie w tym odrzuceniu artykułu o Picasso nie było; po prostu tak, jak byli tacy którzy uważali, czy nadal uważają, iż każda krytyka de Gaulle’a, albo nawet Brandta, jest „grzechem”, tak samo mamy bez końca redaktorów i krytyków, którzy uważają za „zbrodnię” krytykę każdego modnego pisarza, Prousta wczoraj, Shawa albo Hemingwaya dzisiaj, i te same „tabu” odnoszą także do malarzy,

czy rysowników: są wśród nas tacy, którym się wydaje, że krytyka np. Topolskiego jest stoczeniem się na niziny *moralne*.

Jeżeli tak jest z literaturą czy sztuką, to o ileż trudniej pisać o naszych politykach, zwłaszcza tych, którzy byli także wodzami wojskowymi. „Endecy” uważali za zniewagę brak zainteresowania polityką Bolesława Chrobrego; Stanisław Mackiewicz oburzał się na każdą krytykę Jagiellonów. W *Mysli Polskiej* wyczytałem zbolowały artykuły p. Jędrzeja Giertycha, który omal rozdziera szaty z powodu zapomnienia, któremu uległ podkanclerzy koronny, biskup Olszowski. Obok kultu marszałka Piłsudskiego, w każdym razie zrozumiałego, bo to on odniósł nasze pierwsze zwycięstwo nad barbarią i tyranją Wschodu od czasów Sobieskiego, ustanowiliśmy kult Dmowskiego, Witosa, Korfantego, Becka, Sikorskiego, Bora-Komorowskiego, nie licząc oczywiście prób agentów rosyjskich stworzenia kultu Gomułki, które, na szczęście, nigdy się nie udały. Panegiryk, to tradycja baroku; a jesteśmy narodem do szpiku kości barokowym. Panegiryki mają to do siebie, że są nietrwałe; potężnych oracyj pogrzebowych na cześć królów i wodzów XVII wieku nikt dzisiaj nie czyta, a jeżeli, to śmiejąc się do rozpuku; nawet panegiryczne tablice na nagrobkach różnych dygnitarzy z XVII wieku, w tym również francuskich – choć Francuzi byli pod tym względem zawsze dużo bardziej opanowani niż my – otóż te esy-floresy na nagrobkach barokowych zawsze wydają mi się ośmieszaniem zmarłych, których chciało się uwiecznić. Do tego dochodzi ubóstwo naszego języka; by kogoś „uczcić” mamy właściwie tylko jeden przymiotnik „wielki”, którego nadużywamy bez pamięci; „wielkim” można nazwać tylko Cezara i Napoleona, może Aleksandra, i właściwie koniec, poza tym można tylko mówić – jak to czynią Francuzi, o *destin hors série*, i w takim razie można – i trzeba – do tych *destins hors série* zaliczyć w naszym wieku Lenina, Stalina, Hitlera, może Churchilla i może de Gaulle’a, a u nas tylko Piłsudskiego. Znałem osobiście Piłsudskiego, Witosa, Korfantego, Sikorskiego, Andersa, Hallera, Askenazego, Becka, Skrzyńskiego i wielu innych; poza Piłsudskim, który był z całą pewnością indywidualnością *hors série*, który robił wyjątkowe i niezapomniane wrażenie, wszyscy inni nie wychodzili poza ramy, które są wymierne: inteligencja, urok osobisty, bystrość, charakter, silna wola, wykształcenie, ogłada, zasady, prawość; wszystkie wymienione przeze mnie polskie osobistości miały niektóre z tych walorów; ale to wszystko nie robiło ich

„wielkimi”, czy *hors série*, nie uzasadniało i nie uzasadnia żadnego kultu jednostki. Niestety ten kult, i skłonność do tego kultu są u nas fantastycznie rozpowszechnione. Jesteśmy narodem o usposobieniu kobiecym; kobiety mają zawsze dużo bardziej jaskrawy stosunek do ludzi niż do poglądów, czy problemów, czy programów; kobiety kierują się sentymentem, a nie logiką. Naszą klasą rządzącą jest inteligencja, która w olbrzymiej większości pracowała w kadrach oficerskich i urzędniczych; lojalność wobec szefów, a także – w wielu wypadkach – mentalność adiutancka, czy sekretarska, przesłaniała tej inteligencji wszystkie inne względy. Byłem zdziwiony, gdy po trzydziestu latach dawni urzędnicy Koca, zwanego „Szlachetnym” – zresztą ludzie wybitni, rozumni i zasłużeni – wspominali wobec mnie z łezką swego dawnego przełożonego, na pewno bardzo porządnego człowieka, ale który przecież był człowiekiem raczej ograniczonym i mało wybitnym, w każdym razie dużo mniej, niż trzej czołowi „pułkownicy”, to znaczy Matuszewski, Beck i Miedziński – w tym właśnie porządku. Byłem zdziwiony, gdy czytałem wspomnienia o Retingerze; był to jakby Zaćwilichowski przy Sikorskim, a przecież Zaćwilichowski, o którym było tak głośno za życia, jest dzisiaj całkowicie zapomniany, bo zawsze był tylko urzędnikiem do zleceń, a nie samodzielnym politykiem czy intelektem. No, ale tak jest. O Sikorskim trudno obiektywnie i chłodno pisać, bo zginął tragicznie, ale – choć katastrofa samolotu, to nie Elstera – to jednak śmierć taka jest lepsza od zgonu w łóżku po długim życiu, jak np. Dąbrowskiego, do którego Sikorski może najwięcej przedstawia analogii.



Zacznę od cytowania o Sikorskim opinii różnych osób, które go bliżej znały. Moimi kolegami na Uniwersytecie Jagiellońskim, ledwo cokolwiek ode mnie starszymi, byli Dr Tadeusz Bielecki i Dr Adam Ciołkosz. Chciaż wpływ ich obu na liczne rzesze moich kolegów był już na ławie uniwersyteckiej znaczny, jakoś tym wpływom nie ulegałem, ani też wpływowi p. St.Sopickiego, który też stał na czele jednej z organizacji studenckich na Uniwersytecie Jagiellońskim. Żądny wiedzy, pragnący nauki, stałem się wyznawcą mądrości i nauk W.L.Jaworskiego,

Stanisława Estreichera i Adama Krzyżanowskiego, potem także redaktora *Czasu*, Antoniego de Beaupré, oraz prof. Kota, który był doskonałym profesorem i pedagogiem, i z którym też utrzymywałem zażyłe stosunki. Innym jeszcze mistrzem mojej młodości był Konstanty Srokowski. Otóż to byli wszystko dawni członkowie i leaderzy NKN'u, i z tych czasów wszyscy mieli bardzo ciepły osobisty stosunek do gen. Sikorskiego, z którym wiąжали wielkie nadzieje. Jako minister wojny w gabinecie Wł. Grabskiego Sikorski dość często przyjeżdżał do Krakowa i tam zostałem mu przedstawiony w mieszkaniu W.L. Jaworskiego, który w słowach najgorętszych i najbardziej pochlebnych rekomendował mnie Sikorskiemu, jako „naszą (*Czasu*) nadzieję”. Później spotykałem Sikorskiego w redakcji *Czasu*, której składał wizyty, tak samo zresztą, jak i jego rywal w sercach Stańczyków – Aleksander Skrzyński. Sikorski, kiedym go poznał, miał czterdzieści cztery lata, wyglądał na mniej, był zdecydowanie bardzo przystojnym człowiekiem, o bardzo polskiej urodzie; gdy chciał, potrafił być i bardzo miły i przyjacielski, i serdeczny, nic wówczas nie miał z nadętości i podejrzliwości, które później były u niego legatem długiego oddalenia od rządów i bezczynności: wówczas – w roku 1924 – wszystko zdawało mu się uśmiechać, w każdym chciał widzieć zwolennika, i poplecznika, i admiratora, i robił wrażenie dostojnika, który chętnie zapewni karierę wszystkim, których pozna. Jedyna rzecz, która mnie z okazji tych pierwszych spotkań z Sikorskim trochę uraziła, to był jego galicyjski zwyczaj tytułowania mnie – młokosa 20-letniego! – per „Panie Redaktorze”. Wydawało mi się to i śmieszne, i w złym stylu, i zresztą po dziś dzień staram się mówić wszystkim tylko „per Pan”, a chorobliwie nie znoszę, by mnie tytułowano „Panie Redaktorze”. Moje stosunki z Sikorskim nabrały pewnego osobistego zabarwienia gdzieś w październiku 1924 roku, gdym – dwoma artykułami pod tytułem „Moje wrażenia z odczytów Marszałka Piłsudskiego” (oczywiście w *Czasie*) – odniósł największy sukces całego mego życia, Drugi, i ostatni, z tych dwóch artykułów kończył się zdaniem (cytuję z pamięci, ale na pewno się nie mylę): „Pierwsze czterolecie naszej niepodległości pozostanie na zawsze cokołem jego (Piłsudskiego) pomnika. Tego cokołu nie należy szpecić dobudówkami, które by nie miały historycznej miary minionej przeszłości”.

W dniu, w którym ukazał się ten artykuł, spotkałem prof. Kota na A-B Rynku krakowskiego; schwycił mnie za ramię, mówiąc: „Panie Wacławie, nigdy nie przypuszczałem, że Pan jest w stanie coś tak świetnego napisać. Rozmawiałem dzisiaj telefonicznie z Władkiem (Sikorskim), on też Pana artykuł przeczytał i też był zachwycony zakończeniem, kazał mi Panu pogratulować!” Potem sam Sikorski, znowu w Krakowie, mówił mi: „Doskonała formułka, cokolwiek wspaniałe, nie trzeba go szpeciść...”. Tak mnie te komplementy ujęły, że zaraz po przewrocie majowym, gdy byłem po raz pierwszy w Wilnie u St. Mackiewicza, i gdy ten – z właściwym mu liberalizmem – zaproponował mi z miejsca druk wstępnego artykułu, wyrznąłem artykuł pt. „Piłsudski i Sikorski”, jako redakcyjny, a więc niepodpisany, że Piłsudski i Sikorski powinni współpracować tak, jak po śmierci Narutowicza, i wówczas wszystko będzie dobrze. Mackiewicz nie bardzo się z tym zgadzał, ale nie zmienił ani przecinka. Był sam zdziwiony, gdy nazajutrz Sławek do niego zadzwonił, pytając, co ten artykuł ma znaczyć? Mackiewicz jakoś to zagadał, ale zrozumieliśmy z miejsca, że tego duumwiratu nie będzie. Przypomina mi to, co mi kiedyś opowiadał Miedziński o swych rozmowach z Radkiem w Moskwie w 1932 roku. Radek miał mu powiedzieć: „W 1925 roku byłem zdania, że ZSSR uratować może tylko współpraca Stalina z Trockim. Stalin wysłał mnie na dwa lata na Syberię, i wówczas zrozumiałem, że Stalin sam da rady!”

Latem 1925 roku Sikorski zaprosił mnie osobiście, w charakterze korespondenta *Czasu*, na wielkie manewry, które urządzał, jako minister spraw wojskowych, naprzód na Pomorzu, potem na Wołyniu. Pamiętam dotąd, jak na Pomorzu osobiście polecił mi względem płk. Roweckiego, szefa swej kwatery prasowej, późniejszego generała Grota. Był to wówczas (później go nigdy nie spotkałem) bardzo przystojny, miły i inteligentny brunet, doskonale wychowany, bardzo taktowny, wyrobiony, sympatyczny. Natomiast gen. Sikorski, który wówczas chodził w bardzo żółtych butach po kolana i z którym parę razy po kilka słów zamieniłem na jakichś zebraniach i przyjęciach – m.in. u ówczesnego wojewody pomorskiego Raczkiewicza – wydał mi się dużo bardziej uroczysty i oficjalny, niż w rozmowach w Krakowie na terenie prywatnym, nie urzędowym. Tu widać było, jak bardzo uważał, by zawsze przechodzić pierwszy, by widzieć same zniżone głowy. I to samo wrażenie miałem później w Londynie. Gdy Sikorski był ze mną

sam na sam w pokoiku w Strattonie czy w BBC, gdy byłem speakerem dla nagrywania jego przemówień radiowych do kraju, gdy ocierał pot z czoła, bo gadanie przez pół godziny lub nawet 40 minut (zawsze mówił za długo) to wielki wysiłek fizyczny, był on zawsze sympatyczny i przyjazny, choć stale zbyt wrażliwy na pochlebstwa i komplementy; natomiast gdy tylko było więcej osób, stawał się marmurowy, nadęty i często nienaturalny. Ciekawe, że tę samą słabostkę miał Aleksander Skrzyński, który też był dużo przyjemniejszy i dużo inteligentniejszy w rozmowie w cztery oczy, niż gdy się rozmawiało w większym gronie. Być może u obu pewną rolę grała pewna nieśmiałość; tak przynajmniej mówili ci, co Skrzyńskiego blisko znali. Nie miałem tego wrażenia: Skrzyński wydawał mi się zakochany w sobie, i właściwie wydawał się w najlepszym humorze, gdy mógł sam monologować, widząc admirację i podziw w oczach jednego słuchacza. Sikorski był bardziej człowiekiem władzy od Skrzyńskiego, był od niego człowiekiem silniejszym, miał większe ambicje, natomiast Skrzyński był na pewno bardziej wykształcony, bardziej czytany, lepiej znający zagranicę i mający mniej złudzeń co do sił i możliwości Polski. Sikorski z lat 1924-25 był psychicznie dość podobny do Skrzyńskiego; na obu szkoła galicyjska i austriacka tradycja liberalna i parlamentarna wywarły duży wpływ, i to ich obu silnie dzieliło od ludzi z zaboru rosyjskiego, którzy stanowili *gros* piłsudczyków oraz endecji. Późniejszy Sikorski z lat 2-ej wojny był zupełnie innym człowiekiem od Sikorskiego lat przedmajowych. Jakim człowiekiem byłby w latach 1939-45 Skrzyński, gdyby nie jego śmierć w wypadku samochodowym w roku 1931? Drugim Edwardem Raczyńskim, czy drugim Augustem Zaleskim? Myślę, że raczej Augustem Zaleskim, choć się obaj tak nie lubili. Bo dla Skrzyńskiego, po jego premierostwie, nigdy nie byłoby przy Sikorskim miejsca. Zapamiętałem moją rozmowę z Ignacym Rosnerem o Sikorskim i Skrzyńskim. Było to na początku marca 1926 roku w Warszawie, w mieszkaniu Rosnera, który był szwagrem St. Estreichera, i stąd go znałem. Rosner był już wówczas ciężko chory na serce, pamiętam że przyjął mnie leżąc na kanapie, wyglądał na człowieka umierającego. Ponieważ przyjeżdżałem z Krakowa, zaczął rozmowę od słów: „Cóż, czy Staś (Estreicher) wciąż tak wierzy w Sikorskiego?” Odpowiedziałem, że niezmiennie, co było świętą prawdą, i Rosner wcale się nie zdziwił ani nie oburzył, choć sam stawał na

Skrzyńskiego. Na to Ignacy Rosner: „Tak, Sikorski to bardzo zdolny człowiek, tylko po co on się tak śpieszył?” – i w oczach tego rozumnego, konającego człowieka pojawił się wyraz żalu, „przecież on jest taki młody, tyle ma lat przed sobą, po Piłsudskim może dojść do władzy, ale póki Piłsudski żyje, to jest niemożliwe, Skrzyński to rozumie, on stara się o kompromis z Piłsudskim; czy mu się to uda, nie wiem”. Potem rozmowa zeszła na gadu-gadu, Rosnera widziałem potem już tylko na jego pogrzebie, na który przyszedł też Skrzyński, jako premier; był to ładny gest z jego strony.

Z „sikorszczyków” chyba mu najbliższymi – a w każdym razie najstarszymi – byli Kukiel i Kot; mam wrażenie, że obaj pochodzili z tych samych okolic co Sikorski – widły Wisły i Sanu – i że go poznali już na ławie gimnazjalnej, choć był od nich trochę starszy. Poza tym z „sikorszczyków” znałem od wieków Adama Romera oraz Retingera, ale nigdy z nimi nie miałem *d’atomes crochus*. Z Kotem łączyły mnie zawsze bardzo dobre, przyjazne, osobiste stosunki, choć politycznie różniłem się z nim we wszystkim, a już zwłaszcza w ocenie ludzi, i nigdy się nie żenowałem, by mu to powiedzieć; i dobrze o Kocie świadczy, że nigdy mi opinii, nawet bardzo ostrych, o jego najbliższych współpracownikach, nie miał za złe. Sam zresztą Kot był, że tak powiem, człowiekiem negatywnym, to znaczy dużo bardziej się interesował ludźmi, których zwalczał, niż tymi, których „popierał”. Spotkałem przypadkowo Kota z żoną, która była prostą kobieciną, ale bardzo rozsądną, w jakiejś kawiarence angielskiej w Londynie już po Jałcie: Kot, jak zawsze, przywitał się ze mną bardzo serdecznie. „Cóż pan myśli o dwóch panach A?”, zawołał na powitanie. „Któż to taki?”, odparłem, szczerze zdziwiony. „No jak to, rzekł Kot, Arciszewski i Anders, którzy gubią Polskę”. „Myślałem, że to Stalin gubi Polskę”, odparłem. „A, co tam Stalin, on dobrze wie, że Polską nie można rządzić bez Stronnictwa Ludowego, więc się uspokoi – ciągnął Kot – ale gdyby Mikołajczyk został u władzy, tobyśmy uratowali Lwów, a tak obaj panowie A. go zaprzepaścili!”. Na to wtrąciła się pani Kotowa: „Stachu, co ty wygadujesz, przecie ci Moskale to zbóje, a ten Stalin, to łotr nad łotry, który nigdy żadnych obietnic nie dotrzyma...” Kot bardzo miękko się bronił, a ja oczywiście nie mieszałem się do tej sprzeczki małżeńskiej, w której naturalnie całą duszą byłem po stronie pani Kotowej. Kot zresztą nigdy nie

był w sercu moskalofilem, ani przed wojną, ani w czasie wojny, ani po wojnie, tylko zawsze wierzył, że można Stalina omotać, że Rosjanie to słabizna, i że on, Kot, jest dużo sprytniejszy i przebieglejszy od Stalina. W gruncie rzeczy, polityka zagraniczna nigdy Kota nie interesowała, interesowały go tylko rozgrywki personalne, właściwie w nich się tylko wyżywał, przy czym – moim zdaniem – nie był nienawistnikiem, tylko lubił rozgrywki partyjne, tak jak inni mają pasję do rozgrywania wielkiego szlema. Myślę, że Kukiel był naprawdę osobiście oddany Sikorskiemu, wierzył w jego talenty zarówno polityczne, jak i wojskowe, i widział w nim jakby połączenie księcia Józefa i Kościuszki. Ale – może z mojej winy – nigdy nie zdołałem z gen. Kukielem wyciągnąć choćby jednej ciekawej, oryginalnej informacji o Sikorskim; w rozmowach ze mną robił z niego zawsze omal „świętka”, a w każdym razie *une image d'Épinal*. Zresztą takie samo nastawienie – jakże częste u nas – widać w książce gen. Kukieła o Sikorskim, i w jego licznych o nim artykułach. Gen. Kukiel podkreśla nieraz gorący patriotyzm gen. Sikorskiego, który przecież u czołowych oficerów polskich okresu Niepodległości nie może być chyba w ogóle kwestionowany, a który mnie się wydaje u każdego premiera Polski Niepodległej, u każdego polskiego naczelnego wodza czymś tak naturalnym, że nie wymagającym żadnej wzmianki. Uważam, że Rydz był katastrofą jako generalny inspektor, jako naczelnny wódz i jako „druga osoba w państwie”, ale ani przez chwilę nie będę kwestionował jego patriotyzmu, ani uczciwości, uważam, że to się samo przez się rozumie u każdego, kto zajmuje tak wysokie szczeble. Ponadto wydaje mi się, że Kukiel dotąd jest naprawdę szczerze i głęboko osobiście przywiązany do Sikorskiego, jako do najlepszego przyjaciela całego życia, i to oczywiście utrudnia mu krytyczną analizę jego charakteru. Inaczej Kot, w moim przekonaniu był on osobiście o wiele mniej przywiązany do Sikorskiego niż Kukiel, ale uważał, że innej karty nie posiada, więc tej musi się trzymać. Z wielu uwag Kota, które mi po kilka razy powtarzał, wywnioskowałem, że w głębi duszy nie czuł się bardzo bliski ani Witosa, ani Rataja, ani Mikołajczyka, że wolał zdecydowanie Sikorskiego od nich – specjalnie od Mikołajczyka. Parę razy zabawiłem się, mówiąc Kotowi (a znając jego słabość do plotek), że krążą pogłoski, iż jego stosunki z Mikołajczykiem są niedobre. Kot zawsze brał te plotki na serio, nigdy im nie zaprzeczał, tylko mówił: „To bardzo źle, że takie

plotki krążą, powinien Pan im energicznie zaprzeczać, bo takie plotki szkodzą Stronnictwu Ludowemu, a służą tylko sanacji i endecji”. Kot z reguły popierał swych uczniów uniwersyteckich; z ludzi mojego pokolenia był naprawdę serdecznie przywiązany do Karola Estreichera oraz do Ksawerego Pruszyńskiego, a zapewne i do innych swych b. uczniów. Pragnę skorzystać z okazji, by złożyć hołd zasługom Kota, jako profesora i pedagoga; co prawda uważam, że problem Reformacji w Polsce przedstawił zupełnie błędnie – gdyż nie była to tylko kwestia zaharapczenia dóbr kościelnych – ale problemów teologicznych Kot nigdy nie znał i nigdy się nimi nie interesował, z czego się po cichu podśmiewali ludzie tak różni, ale tak głęboko interesujący się metafizyką, jak Władysław Leopold Jaworski i Henryk Tennenbaum; ale jako pedagog, jako profesor, jako opiekun i protektor swych uczniów i w ogóle studenterii, Kot był niezrównany; można go postawić za wzór wszystkim profesorom uniwersyteckim, i to nie tylko polskim, ale na całym świecie. Pozbawienie Kota katedry – tak samo, jak i Heydla – było nieopisaną krzywdą dla całej uczącej się młodzieży. A że Kot się na polityka, i ministra, i ambasadora, nie nadawał, to też fakt, i tak samo niezbity.

Adam Romer i Retinger – to bardzo mało w porównaniu z Kukielem i Kotem; zresztą i jeden i drugi nie posiadali talentu oryginalnego ujęcia czy ciekawej rozmowy. Jakoś nie mogę sobie przypomnieć nic ciekawego, co by Karol Estreicher czy Ksawery Pruszyński kiedykolwiek opowiadali mi o Sikorskim, a obaj mieli żywy wzrok i dar barwnego opowiadania. I obaj byli bardzo gadatliwi, więc musieli chyba robić jakieś uwagi na ten temat. Ale Ksawery był tak szalonym egocentrystą, że właściwie zawsze tylko mówił o sobie, a Karolek Estreicher kochał Sikorskiego ze względu na pamięć ojca, ale sam zawsze interesował się dużo żywiej historią, rewindykacją zabytków, Krakowem, życiem umysłowym, niż polityką. Miałem wrażenie, że Sikorski mu nie imponował intelektem, wykształceniem, ogólną kulturą, ale Estreicher był zawsze wobec niego lojalny, i nigdy nie chciał go krytykować, zaś panegiryzm nie był w jego stylu, jak i zresztą nie był też w stylu Ksawerego Pruszyńskiego: obaj byli zanadto patrycjuszami, by bawić się w pochlebstwa czy lokajstwo.

Zapomniałem, że przecież „sikorszczykiem” był też Stanisław Stroński, którego znałem tak dobrze w Londynie, i do którego miałem zawsze bardzo dużą i żywą sympatię, i jako do auten-

tycznego frankofila, i jako do człowieka bardzo uroczego, dobrego i uczciwego. Stroński był w latach 1923-25 anty-sikorszczykiem; pamiętam jeszcze dzisiaj, jak pisał z przekąsem w swojej *Rzeczypospolitej* w roku 1924 (zanim ją kupił Korfanty od Paderewskiego), że gabinet Grabski-Sikorski-Skrzyński „diabło” przypomina gabinet Sikorskiego po zamordowaniu Narutowicza. Ale to się we Froncie Morges wyrównało, i Stroński był w Paryżu i w Londynie szalenie pro-Sikorski. Miałem jednak wrażenie, że z czasem Stroński w dużej mierze rozczarował się do Sikorskiego – i to na długo przed usunięciem go – by zrobić miejsce dla Kota. Stroński był bardzo dobrym, bardzo kulturalnym, wykształconym człowiekiem, był autentycznym liberałem, przestał być moskalofilem; gdym się go pytał, dlaczego odmówił ambasady w Moskwie po Kocie (poszedł na tę piekielną placówkę Tadeusz Romer), Stroński odpowiedział mi dosłownie: „Panie Waławie, cóż można w Moskwie zdziałać, przecież ci Moskale, to skończone dranie, możemy od nich coś uratować tylko *via* nacisk Anglii i Ameryki!”. Ale Stroński był *de facto* tylko dziennikarzem; to nie był polityk, to nie był dyplomata, a Ministerstwo Informacji traktował jako redakcję, a nie jako urząd. Stroński nie nadawał się na partyjniaka ani na adlatusa, i choć bardzo dbał o to, by być lojalny dla Sikorskiego, *le coeur n’y était pas*; Stroński wyraźnie uważał, że ma za mało wpływu, że Sikorski się za mało radzi, irytował go Kot, irytował go Mikołajczyk, irytował go Retinger i właściwie pod koniec swej kariery ministerialnej czuł się dużo bliższy Edwarda Raczyńskiego, niż Sikorskiego. Gdy go wylano z rządu, poszedłem mu złożyć kondolencje. „To pan uważa, że to tak wielkie szczęście być kolegą Stańczyka?”, odparł Stroński, który nigdy nie mógł się oprzeć okazji zrobienia dobrego dowcipu. Do końca życia Stroński był bardzo ostrożny w formułowaniu zdania o Sikorskim, ale zachodziła duża różnica między jego a Kukiela stosunkiem do Sikorskiego po jego śmierci. Wydawało mi się, że stosunek Strońskiego do Piłsudskiego też bardzo ewoluował; pamiętam, jak kiedyś gwarzyliśmy we dwójkę o Piłsudskim, i Stroński, który lubił ze mną mówić po francusku, zakończył rozmowę słowami: *Il (Piłsudski) avait quelque chose dans le ventre!* Stroński był człowiekiem bardzo zachodnim; w latach dwudziestych był bardzo dobrym redaktorem i publicystą, ale na ministra nie nadawał się

nigdy – talentu administracyjnego nie posiadał żadnego. Ale jako człowiek był sympatyczniejszy i przyjemniejszy od Sikorskiego.

Sikorski odegrał trzy razy dużą rolę w dziejach Polski: raz w latach I-ej wojny, jako szef wydziału wojskowego NKN'u; dwa – jako premier, potem minister wojny w latach 1923-25, i trzy – jako premier i naczelny wódz w latach 1939-43. W czasie I-ej wojny znajdowałem się w Kijowie, byłem poza tym wówczas dzieckiem i sztubakiem, więc ten pierwszy okres działalności Sikorskiego znam tylko z opowiadań. I choć przypadek zrządził, że byłem uczniem i wychowankiem epigonów NKN'u, to w gruncie rzeczy cały ten okres czasu interesował mnie zawsze tak mało, iż po dziś dzień nie bardzo wiem, o co chodziło w ówczesnych sporach Piłsudskiego i Legionistów z NKN i Sikorskim. Jestem przekonany, że wszystkie polemiki co do roli tych czy tamtych w okresie I-ej wojny nikogo z nas, poniżej 80-ki, nie interesują, i że trzeba im dać spokój. Sam z bliska się przypatrywałem grze ostatnich Stańczyków w latach 1923-26, gdy stawiali na Sikorskiego, i mógłbym długo się na ten temat rozpisać; ale znowuż kogo to dzisiaj obchodzi? Co innego trzeci okres działalności Sikorskiego, z czasów II-giej wojny – a specjalnie z okresu jego działalności na czele rządu polskiego w Londynie. Przypatrywałem się tej akcji z sutereny. Ale długo po wojnie udało mi się wysłuchać komentarzy na ten temat z ust dwóch najwybitniejszych współpracowników Sikorskiego z owego okresu, mianowicie Edwarda Raczyńskiego i generała Andersa. Nie zrobiłem sobie żadnych notatek z tych rozmów, które odbywały się nie jednorazowo, ale wielokrotnie, w trakcie omawiania różnych wypadków i różnych ludzi. Ale ufam jeszcze mej pamięci. Pytałem się kiedyś Edwarda Raczyńskiego – którego uważam za najbardziej wyrobionego naszego dyplomate, za głównego architekta naszego aliansu z Anglią, za Polaka, który miał ze wszystkich naszych rodaków najsilniejszą pozycję osobistą u Anglików – jak by, po latach, porównał Sikorskiego z Beckiem, których obu nie tylko znał doskonale, ale z którymi współpracował najściślej właśnie na terenie polityki zagranicznej. Edward Raczyński, z natury człowiek wielkiego umiaru, wielkiej ostrożności w sądach, daleki od partyjniactwa i od wszelkiej

klikowości, tak że nazwanie go „beckowcem” czy „sikorszczykiem” byłoby nonsensem, scharakteryzował Becka i Sikorskiego mniej więcej następująco: „Każde porównanie Sikorskiego z Beckiem musi być w gruncie rzeczy *unfair* dla Sikorskiego. Polska za Becka była dużo słabsza, niż on to sobie wyobrażał – jego własna pozycja na świecie, u Hitlera, u Anglików była też dużo słabsza – ale jednak państwo polskie istniało, miało 30 dywizji, 30 milionów mieszkańców, to były realia, z którymi trzeba było się liczyć. Gdy Sikorski zjawił się w Londynie, reprezentował tytuły prawne, tytuły moralne, heroizm i patriotyzm narodu, oddziały walczone i bitne, ale zbyt nieliczne, by mogły poważnie zawążyć na szali wojny, a, niestety, dyplomacja jest obliczaniem sił i ten rachunek decyduje o wszystkim. Ani Beck, ani Sikorski nie byli wielkimi dyplomatami, ale Beck miał pewne atuty – Sikorski żadnych. Sądzę – ciągnął Raczyński – że Sikorski był zręczniejszy od Becka, lepiej umiał sobie „Wielkich” zjednywać, i to chociaż mówił dość źle po francusku, po angielsku wcale, i zapomniał niemieckiego, tak że gdy rozmawiał z Mołotowem w Londynie po niemiecku, bo Mołotow znał poza rosyjskim tylko język niemiecki, to ja musiałem Sikorskiemu tłumaczyć. W każdym razie jest rzeczą zdumiewającą, jak Sikorski potrafił sobie pozyskać Churchilla i w ogóle Anglików – chociaż nigdy nie miał z nimi do czynienia, zupełnie ich nie znał, a temperament miał bardzo polski, a więc bardzo różny od angielskiego. Tak samo, gdy byłem z Sikorskim u Roosevelta – znowuż byłem dla niego tłumaczem, bo i Roosevelt, i Sikorski ze swoją francuszczyzną nie bardzo dawali sobie radę – Sikorski zachowywał się zręcznie, i, o ile to było możliwe, zjednał sobie Roosevelta, w każdym razie uniknął zadrażnień, których tyle było między Rooseveltem a de Gaulle’em. Co Francja na tych zadrażnieniach zyskała, nie widzę. Zarzucają Sikorskiemu, że nie był de Gaulle’em; po pierwsze, Francja reprezentowała dużo większe siły, nawet na dnie upadku, a ponadto potencjalnie; po drugie Francja nie miała na karku Rosji, która nie planowała ani chwili by Francję podbić, okroić, czy narzucić jej ustrój i rząd. Stosunek Anglików do Polski pozostał zawsze bardzo przyjazny, po prostu robili ustępstwa Rosji w miarę tego, jak Rosja stawała się coraz potężniejsza, a więc bardziej potrzebna. Zarzucało się, i dotąd się zarzuca, Sikorskiemu, że nie wydebił niczego od Stalina. Ale jakie były na to szanse i kto by więcej od Stalina uzyskał? Mołotow od razu w Londynie w 1942 postawił

sprawę wyraźnie: żadnych dyskusji, żadnych pretensji, żadnych negocjacji. Benesz posunął się do rekordów ustępliwości wobec Sowietów, i co wytargował? Nic, został tak samo potraktowany, jak my. Mówi się, że Sikorski nie potrafił znaleźć wspólnego języka z Czechami. Bardzo sam byłem przywiązany do ugody z Czechami, ale Benesz nie chciał o tym słyszeć, raz bo w ogóle nigdy nas nie lubił i nie cenił, a dwa, bo Stalin musiał mu z góry powiedzieć, by się w żadne alianse z Polską nie bawił. Trudno nazwać Sikorskiego wielkim dyplomata, bo w końcu nic mu się nie udało, ale jakie miał karty, i kto by więcej od niego dokonał?”

Pytałem się też generała Andersa – bodajże już po śmierci generała Sosnkowskiego – jak by *ex post* ocenił Sikorskiego i Sosnkowskiego. Na to gen. Anders, z jasnością i szczerością, które u wszystkich tyle mu jednały serca i uznania, odpowiedział mi: „Proszę Pana, miałem z Sikorskim zatarg o Rosję, której Sikorski zupełnie nie znał, nie rozumiał, i wszystko co na jej temat mówił, nie miało żadnego sensu. Był to poza tym ostatni człowiek, który mógłby podobać się Moskalom, lub zrobić na nich wrażenie; Moskale są szalenie podejrzliwi, i jak ktoś im schlebia, myślą, że ten ktoś coś knuje. Ale, poza sprawą Rosji, Sikorskiego bardzo ceniłem i bardzo lubiłem, wolałem go od Sosnkowskiego. Sosnkowski był inteligentniejszy, bardziej wykształcony, rozmowa z nim była rozkoszą, ale to był Hamlet, nigdy nie można było się od niego doczekać decyzji. A Naczelnny Wódz w czasie wojny, to decyzja, decyzja i raz jeszcze decyzja. U Sikorskiego było odwrotnie; pobierał decyzje nieraz za szybko, nie dość się zastanawiał, stąd popełniał błędy. Ale zawsze można było wydobyć od niego decyzję, może lepszą, może gorszą, ale decyzja była. A z Sosnkowskim były argumenty za i przeciw, często doskonałe, ale decyzji nie było. Więc powiem panu, że mimo wszystko wolałem współpracować z Sikorskim, niż z Sosnkowskim, bo lepsza jest na wojnie nawet zła decyzja niż żadna”.

Mógłbym na tych dwóch opiniach, jakże miarodajnych, i które zapewne będą podstawą wyrokowania przyszłych historyków, zakończyć ten szkic. Ale dodam jeszcze kilka uwag, opartych na innych opiniach, takich czy innych aktorów czy świadków ówczesnego dramatu. Bardzo uderzyła mnie rozmowa ze St.Mackiewiczem, która miała miejsce w jego mieszkaniu na Chalk Farm, za pierwszego przyjazdu gen. Andersa do Londynu – a więc zapewne w końcu zimy 1941/42. Mackiewicz był

szalenie podniecony: „Wiesz, poznałem dzisiaj generała Andersa!” – zawołał witając się ze mną. „Jakież wrażenie?” – zapytałem. „Nadzwyczajne – wykrzyknął Mackiewicz – po raz pierwszy w życiu widziałem polskiego generała! Marszałek Piłsudski jest oczywiście *à part*, nie można go umieścić w żadnej kategorii, ale Sikorski, Rydz, Sosnkowski, to są *politycy w mundurach*, można ich podziwiać czy popierać, jako polityków, ale Anders jest pierwszym dowódcą polskim, który jest generałem, i tylko generałem, i nie chce politykować, i polityka go nie obchodzi...”. Gdym później poznał, i to bliżej, generała Andersa, nieraz mi się ta rozmowa ze St.Mackiewiczem przypominała i zawsze uważałem, że miał rację. Sikorski mógł mieć duże zasługi w czasie bitwy nad Wkrą, ale był z temperamentu politykiem; poza tym w warunkach II-jej wojny polskie Naczelne Dowództwo było zawsze fikcją – naprawdę funkcje dowódcze spełniali gen. Kopański w Libii, gen. Maczek w Holandii, i nade wszystko gen. Anders na Środkowym Wschodzie i Monte Cassino. Współcześni, potomność i Historia przez wielkie H rozdają laury dyplomatyczne i wojskowe niesprawiedliwie: koronują sukcesy, choćby niezasłużone, potępiają przegrane, choćby nieuniknione, i zawsze dają laury temu, co stał na czele, a o innych zapominają. Kto pamięta nazwiska hetmanów pod Wiedniem, kto wie, jakie były zasługi generałów Fiszera czy Kniaziewicza pod dowództwem Księcia Józefa, kogo interesuje gen. Moreau i jego zwycięstwo pod Hohenlinden, albo Desaix, który miał być właściwym zwycięzcą pod Marengo, czy zgon Klébera w Kairze itd. Był Napoleon i basta. Może to i prawda, że Witold był lepszym dowódcą od Jagiełły, ale co z tego? Jagiełło stoi na pomniku grunwaldzkim, i tego się nigdy nie zmieni. U nas wojna 1920 roku, to Piłsudski i koniec. A z drugiej wojny, tak dla nas katastrofalnej, zostanie tylko nazwisko gen. Andersa, bo to jest Monte Cassino, jedyny laur wojenny, uwieńczony wyraźnym zwycięstwem pod polskim dowództwem. Piłsudski, Anders – to są jedyne dwa nazwiska XX-go wieku, które Polska schowa miłośnie do swego albumu wielkich wodzów, i nikt tej hierarchii – ustalonej tak samo nieodwołanie, jak i hierarchia Kościuszko – Książę Józef w wieku ubiegłym – już nie zmieni. Sikorski był zasłużonym generałem, tak jak Sosnkowski i inni, ale plebiscytu serc żołnierskich nie wygrał. Natomiast nie można zaprzeczyć, że Sikorski miał większy talent polityczny, niż epigoni marszałka Piłsudskiego, epigoni

Dmowskiego, epigoni Stronnictwa Ludowego czy epigoni PPS. Nie wierzę, by ktoś inny na jego miejscu więcej uratował, lepiej spełnił jego rolę. Ani sekundy nie wierzę, by Sikorski mógł być „dogadać się” ze Stalinem, czy wydebić od niego ustępstwa; ani przez sekundę też nie wierzę, by mógł wymusić na Churchillu czy Rooseveltcie silniejszą obronę naszej sprawy wobec zachłanności rosyjskiej. Nasza sytuacja była beznadziejna od 1 września 1939 roku, i nic już nie mogło finalnej katastrofy odwrócić. Każda europejska wojna domowa wychodzi tylko i zawsze na korzyść Rosji, i zawsze Rosja zażąda dla siebie pierwszej linii oporu Europy przeciw jej ambicjom – to znaczy zażąda Polski. Całe pytanie sprowadza się do tego, czy nasza niewola potrwa równie długo, co Bałkanów, czy krócej, a jeśli tak, to o ile? Od nas samych nie zależy – niestety – dojście do skutku tych dwóch warunków. By przeczekać i odczekać, potrzebujemy cnót innych, niż bohaterstwa. W akcji gen. Sikorskiego mało znajdziemy wskazówek i precedensów w stosunku do naszych dzisiejszych zadań.

Kultura nr 9/312, 1973

Melchior Wańkowicz

Znałem wielu Wańkowiczów i Wańkowiczówien, ale wśród nich Melchiora znałem mało. Jeszcze zanim go poznałem, przeczytałem jego „Szczęnięce lata”, bodajże zaraz po wyjściu tego tomiku, i byłem olśniony tą staropolską gawędą, jakby nowym wydaniem „Pamiętników kwestarza”: ta sama zdolność ewokacji, bez śladu wysiłku, atmosfera dworów szlacheckich b. Wielkiego Xięstwa Litewskiego, te same wyborne portrety wujów, babek, ciotek, kuzynów, ten sam powiew autentyczności, ta sama prawdziwość tła i otoczenia, bez snobizmów, bez sadzenia się, ale i bez „chłopomaństwa” i innych dodatków dla przypodobania się modzie czy klice u władzy. Po dziś dzień – choć tych wspomnień z lat dziecięcych Wańkowicza nigdy później nie odczytałem po raz drugi – chodzi mi po głowie jakiś polsko-litewski wierszyk o jakimś wuju; pamiętam też opis śmierci babki: „wyspowiadała się i umarła”. Cóż można było do tych dwóch czasowników dodać do opisu zgonu matrony na Litwie w owych czasach sprzed 1914 roku?

Potem poznałem Melchiora Wańkowicza, jak tylu innych kresowców z b. W. Xięstwa (mam nadzieję, że przynajmniej Stefania Kossowska będzie miała, w przeciwieństwie do innych naszych redaktorów czyli c e n z o r ó w, na tyle wyczucia historii i języka polskiego, że mi tego „X” nie zmieni na barbarzyńskie „Ks” pod wpływem narzuconego nam w Polsce zruszczenia alfabetu i języka, za którym nasi obłąkani rosyjscy „carofile” i „słowianofile”, na szczęście wymierająca grupa, też szaleją, bo wszystko co pachnie dziegiem i brudem moskiewskim im się podoba), otóż „Mela” Wańkowicza poznałem osobiście na

zaproszenie Stanisława Mackiewicza. Z reguły mam sympatię do Wilna i kresowców z Litwy, ale jakoś z Wańkowiczem wzajemnie odczuliśmy z miejsca że nie mamy *d'atomes crochus*. Spotkałem go i później kilka razy w Warszawie, gdzie jako współwłaściciel „Roju” był z Kisterem wydawcą „Niemcewicza” mego brata; byłem im obu serdecznie z tego powodu wdzięczny; ale jednak nigdy mi się rozmowa z Wańkowiczem nie kleiła, wolałem już Kistera. Tak w życiu bywa i nie można sobie tego wytłumaczyć. Bardzo lubiłem, szanowałem, podziwiałem Jerzego Stempowskiego, jeździłem długie lata po dwa razy do roku do Berna tylko po to, by się ze Stempowskim spotkać, a nigdy tej sympatii nie odczuwałem do Janty-Polczyńskiego, choć ten był też „Schöngeist'em”, i też pozował nie na panicza, którym był, ale na lewicowca, którym nigdy nie był. Z Wańkowiczem odbyłem raz tylko na dobrą sprawę prawdziwą rozmowę, która coś znaczyła i została mi w pamięci: było to po wojnie w „Ognisku” w Londynie, dokąd Wańkowicz zjechał z Ameryki, gdzie już od dawna rozbił namioty. To Wańkowicz mnie zauważył i poprosił, bym się przysiadł do jego stolika, gdzie sam siedział z żoną, która wydała mi się starsza od niego, milcząca i schorowana. Przysiadłem się grzecznie. Wańkowicz wydał mi się tryskający zdrowiem, musiał już mieć blisko sześćdziesiątki. Głowę miał, jak zawsze, za dużą, nienaturalnie szeroką, był poza tym gruby, ciężki, barczysty, włosy miał już dobrze siwe i, jak na owe czasy, dziwnie rozwiane. Wańkowicz miał zawsze jakby udaną słodycz w głosie i nadużywał zdrobnień, mrużył swe niewielkie oczka, robił wrażenie fałszywego, choć myślę że były to raczej mimowolne pozory: taki jakiś miał *genre*; myślę że był szczerzy od wielu innych. Na jego wąskich ustach błąkał się uśmieszek, który też robił wrażenie pewnej sztuczności. Po kilku słowach banalnego przywitania Wańkowicz zapytał ze skromną minką debiutującego pisarza: „A co pan myśli o moich książkach?” Pewno jakoś to ujął bardzo salonowo, zgrabniej, ale całej tej dekoracji słownej już nie pamiętam. Istota rzeczy była niewątpliwie taka właśnie: Wańkowicz, zawsze chciwy pochwał i reklamy, pragnął wysłuchać dytyrambu i oczekiwał go, omal pewny, że się nie zawiedzie.

Pamiętam doskonale, że się ani sekundy nie zastanawiał ani nie wahał, lecz z miejsca mu wypaliłem to, co było zawsze moim poglądem na jego twórczość: „Napisał Pan jedno z b. rzadkich arcydzieł naszej literatury międzywojennej – odpartem

– mianowicie „Szczęście lata”, niezrównaną gawędę staropolską, która pozostanie na wsze czasy w naszej literaturze, na równi z Chodźką i z Henrykiem Rzewuskim. A o reszcie Pana twórczości nie warto mówić”.

Wańkowicz aż poczerwieniał z furii i oburzenia, i ledwo panując nad sobą, zasyczał: „Jak to? A 'Na tropach Smętka'? a 'Monte Cassino'? A...”

Z kolei ja przerwałem. „Drogi panie – powiedziałem – pisarzy, po których zostaje choćby jedno jedyne dzieło jest nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie szalenie mało. Skoro więc uważam że pana „Szczęście lata” są arcydziełem, są dziełem, które będą czytać miłośnicy gawędy staropolskiej i folkloru ziem b. Wielkiego Xięstwa za sto lat, a może i za trzysta lat, póki starczy języka polskiego i Unii Obojga Narodów, to jakież większy mogę Panu zrobić komplement? Pański 'Smętek' mnie nudził. 'Monte Cassino' tak samo. Ale i Mickiewicz nie pisał samych arcydzieł; 'Sonety Krymskie' są przepiękne, tak samo 'Pan Tadeusz', ale już 'Wallenrod', poza pieśnią Wajdeloty i Balladą o Alpucharze wydaje mi się nienaturalny, a cóż dopiero nudna 'Grażyna'! A Sienkiewicz? 'Ogniem i mieczem' arcydzieło, 'Potop' i 'Wołodyjowski' trochę słabsze, niektóre nowele niezapomniane, ale 'Krzyżacy' mnie nudzą, a cóż powiedzieć o 'Połanieckich' i 'Bez dogmatu'? Czy to krytyka? Nie, Sienkiewicz był wielkim pisarzem. Przytoczę Panu opinię Stempowskiego o Miłoszu; gdym kiedyś Stempowskiego zapytał, co sądzi o poezji Miłosza, Stempowski się zastanowił, po czym rzekł swoim cichym, z lekka śpiewnym i zaciągającym głosem: 'Panie Waławie, każdego poetę trzeba sądzić nie według jego wiersza najgorszego, ale jego wiersza najlepszego. Myślę, że Miłosz parę dobrych wierszy napisał'. Otóż mówię o Panu to samo, co Stempowski mówił o Miłoszu, a nawet więcej: napisał pan niezapomniane i znakomite 'Szczęście lata', a że reszta jest na słabszym poziomie, to w niczym nie zmienia pańskiej rangi pisarskiej”. Wańkowicz nie dał się udobruchać i rozstaliśmy się bardzo zimno, *hardly on speaking terms*. W każdym razie już nigdy potem Wańkowicza nie spotkałem; zdaje się, że był potem kilkakrotnie w Londynie, ale na pewno nigdy ze mną kontaktu nie szukał. Po dziś dzień uważam, że moja ówczesna opinia o Wańkowiczu-pisarzu była trafna, uczciwa i bardzo pochlebna. Wezmę kilku pisarzy z tej samej klasy ziemiańskiej, co Wańkowicz, pisarzy, którzy

może mi byli osobiście sympatyczniejsi, niż pan Melchior (swoją drogą, jakżeż to archaiczne imię świetnie do niego pasowało!). Ludwik Hieronim Morstin był osobiście człowiekiem przemiłym, bardzo cywilizowanym, o dużej kulturze klasycznej, co do której „Melo” nie mógł z nim ani sekundy rywalizować, ale jako talent ustępował Wańkiewiczowi, nie pozostawił niczego, co można by porównać z zamaszystą rubasznnością „Szczenięcych lat”. Weźmy Karola Huberta Rostworowskiego, który był fanatykiem i dobrym dramaturgiem, ale też co naprawdę wielkiego zostawił? Nie mówię o biednym Jancie, bo tutaj naprawdę nie ma z Melchiorem żadnego porównania. Z Wilna tylko bracia Mackiewiczze górowali nad Wańkiewiczem talentem, każdy w innym rodzaju, każdy ze swymi błędami, ze swymi dziwactwami, ze swymi fobiami, ze swą przesadą, ale uważam że obaj talentu mieli od Wańkowicza więcej.

W naszych warunkach zawsze się ktoś znajdzie, kto przesunie dyskusję o roli Wańkowicza na tory polityczne. Że wrócił do kraju, że „kumał się” z reżymem, albo że tam walczył o wolność prasy itd. Powiem szczerze, że cała ta dyskusja wydaje mi się nieistotna. To błąd uważać literatów za polityków; nigdy nimi nie byli i nie są i nie mogą być. Mickiewicz był potężnym talentem, ale jego *credo* młodzieńcze „Mierz siły na zamiary” było i jest nonsensem, które, brane na serio przez pięć pokoleń naszej młodzieży, wyrządziło nam nieopisane szkody. A już o bzdurach towiańszczyzny i mistyki Mickiewicza lepiej zapomnieć. Tak samo „Julek” był wielkim lirykiem, ale „Król-Duch” nie ma żadnego sensu i Słowacki jako „ideolog” nie istnieje. To samo jest na całym świecie; tylko na Zachodzie nikt nie bierze pisarzy czy poetów politycznie na serio za życia, albo zaraz po śmierci podrzędni politykierzy, specjalnie lewicowi, próbują zrobić kapitał z tego czy tamtego, ale wielkie cywilizowane narody, dalekie od oparów i miazmatów Wschodu, nie dają się nabierać na te idiotyzmy: nie Victor Hugo, który ma (dzięki masonerii) swą ulicę czy plac w każdej mieścinie francuskiej jest uważany dzisiaj za ozdobę poezji francuskiej, ale Baudelaire, który nigdy się żadną polityką nie zajmował. Podobnie Voltaire jest dzisiaj zapomniany i przez nikogo nie czytany, a za największego pisarza XVIII w. uchodzi Duc de Saint-Simon, snob, idiota, kabotyn, bałwan, ale genialny stylistą i niezrównany malarz sylwetek ludzkich i ich słabości i dziwactw, taki Proust, tylko milion razy lepszy, bo malował z życia, a nie z urojeń. Na dobrą sprawę prawie wszyscy wielcy pisarze byli oportunistami, jak

Horacy, który był sykofantem Augusta, jak Racine i La Fontaine, którzy zaczęli kariery dzięki protekcji i hojności Fouquet'a, a potem bez chwili żenady przeszli na garnuszek Ludwika XIV, tak samo jak Le Nôtre, Lebrun, Hardbouin-Mansart i tylu innych, chociaż Ludwik obszedł się z Fouquet haniebnie i niesprawiedliwie. Nikt nie wymaga od pisarza, by był świętym Franciszkiem, i nikt od niego nie wymaga, by był Trauguttem czy Emilią Plater. Trembecki był doskonałym pisarzem i co mu zarzucać brak charakteru? Co innego Krasicki, bo ten był biskupem, i od takiego dygnitarza wymaga się jakiegoś kośćca pacierzowego. Każdy pisarz, każdy aktor, każdy artysta jest w głębi duszy oportunistą, i czemu się dziwić: prawie wszyscy nie mają żadnych talentów politycznych, żadnego rozeznania, piszą o polityce idiotyzmy, w dodatku nudne, i zwykle na polityce kark kręcą. Oczywiście w krajach liberalnych trzeba się nie mieszać do tego co piszą i pozwalać się im wygadać, bo nigdy nie są „niebezpieczni”; makulatura polityczna nawet największych jest zaraz zapomniana. Kto ma siły by czytać rozprawy towiańczyków, albo marksistów? Taki Garaudy: gdyby nie ekskomuniki francuskiej kompartii, kto by wydrukował jeden rozdział jego nudziarstw? Co innego filozofowie; sam nie mam wykształcenia filozoficznego, ale jednak teza Nietzschego, że chrystianizm jest religią pesymizmu, wydaje mi się naprawdę odkrywczą, na zupełnie innym poziomie, niż tasiemce naszych domorosłych „marksistów”, na emigracji czy w kraju na temat „socjalizmu”, o którym nie mają zielonego pojęcia. Właściwie z publicystów, poza Marxem, jeden tylko wywarł kolosalny wpływ, mianowicie Rousseau. Jego teorie o „dobrym dzikusie”, o człowieku zepsutym tylko przez cywilizację, o zaletach polskiej konstytucji przedrozbiorowej, o tym że „cnota” na sosie rzymsko-kalwińskim jest w stanie zastąpić i rozum i doświadczenie, wydają się nam dzisiaj absurdalne, ale w XVIII w. wywołały Rewolucję Francuską. Napoleon jako Pierwszy Konsul udał się do Ermenonville, gdzie „filozof”, tak przez niego podziwiany, umarł 2 lipca 1778 i gdzie był pochowany w cudownie romantycznym sarkofagu na cudownie romantycznej wysepce Topoli, *Ile des Peupliers*, w słynnym parku markiza Girardin. Byłem tam niedawno; to grzech prawdziwy, to zabranie zwłok Rousseau z tego cudownego grobowca, by pochować je w podziemiach Panteonu paryskiego i to w jednej niszy z trumną Voltaire'a, którego Rousseau z całej duszy nienawidził. Nikt dzisiaj

nie zwiedza Panteonu, tym bardziej jego podziemi, gdzie są pochowani głównie nieznani generałowie napoleońscy, a *Ile des Peupliers* w Ermenonville jest na wieki mauzoleum Rousseau, choć go tam nie ma. Nawiasem powiem że Zofiówka była wzorowana na Ermenonville; otóż była za mej młodości (nie wiem jak dzisiaj) sto razy piękniejsza. Napoleon uważał że dla pokoju ludzkości lepiej by było, gdyby i Rousseau, i on sam się nie urodzili: miał rację, czy nie miał, ale co za komplement dla Rousseau. Otóż o Rousseau warto sobie skakać do oczu, ale co się podniecać kwestią, czy Wańkowicz wrócił do kraju, czy nie wrócił, czy jego rola w Polsce była proręczymowa czy antyręczymowa itd. Wańkowicz był z urodzenia, usposobienia, temperamentu, poglądów, szlachcicem kresowym, powiedziałbym nawet szlagonem, tylko że „szlagon”, kojarzy się u nas z drobną czy średnią szlachtą, a Wańkowicze, to był ród całą gębą, choć Melchior nie wyglądał na arystokratę i nie miał magnackiej mentalności. Poza tym Wańkowicz był oportunistą: nie był specjalnie sanatorem, nie był filosemitą, nie był sympatykiem lewicy, ale chciał żyć, miał rzadki u nas zmysł oszczędności, zabezpieczenia siebie i rodziny, był szalenie pracowity, był czynny z natury, i to wszystko sprawiło że czuł się na emigracji, jak w klatce. Myślę, że jego powrót do kraju ani Polsce, ani nikomu nie zaszkodził: myślę że nigdy w Polsce Wańkowicz nie zrobił nikomu świństwa, a raczej wielu ludziom pomógł. Myślę też że Wańkowicz nigdy nie był rusofilem, a już o tym by był agentem rosyjskim nie może być najmniejszej mowy. Tak jak Stanisław Mackiewicz, czy Jerzy Zdziechowski, czy Eugeniusz Kwiatkowski, i tylu innych, Wańkowicz nie mógł nic w Polsce zdziałać, bo w obecnych warunkach Rosja do żadnej akcji nie kierowanej i nie kontrolowanej przez nią w Polsce nie dopuści, i to nikogo, nawet swoich komunistów, a cóż dopiero ex-emigrantów, o „antysowieckiej” przeszłości. Myślę że zarówno kadzidła dla rzekomej postawy jednych, jak pomstowanie na zachowanie się drugich są przesadne, a w każdym razie niepotrzebne. Można mówić o zdradzie, czy o nikkzemności ludzi na czele państwa, zwłaszcza policji, wojska, biurokracji, gospodarki, ale jeżeli ten pisarz czy ów kadzi, to to jest nie tyle jego wina, ile ustroju. W kraju podległym barbarzyńskiej Rosji zawsze się będzie wymagało, nawet od poety, by kadził satrapom: *exemplum* choćby przedmowa samego Mickiewicza do „Wallenroda”, o którą nikt nie ma do niego pretensji, bo bez

tej przedmowy „Wallenrod” by się nie ukazał. Oczywiście jedyny cywilizowany sposób traktowania poetów, to metoda Pompidou: gdy umarła żona poety Aragona, członka partii komunistycznej przez całe życie, i członka centralnego komitetu kompartii francuskiej, Pompidou, który już był prezydentem, napisał do Aragona list, i zaraz go ogłosił: „Wybaczy pan – pisał Pompidou – że chociaż nie mam zaszczytu znać Pana osobiście, pozwalam sobie mu złożyć najszczerze kondolencje z powodu zgonu żony poety, którego talent opromienia Francję i którego sam czytam od wielu lat z niesłabnącą przyjemnością”. Jaki był rezultat? Że sam Aragon udał się do Pałacu Elizejskiego, by podziękować „wrogowi klasowemu” za kondolencje i odtąd przysięga na Pompidou: napisał on też piękny o nim nekrolog w prasie komunistycznej. Moja teza jest zawsze ta sama: nie mieszać poezji, literatury, teatru, sztuki z polityką. Cywilizowani szefowie rządów nie powinni nikogo protegować i nikogo sekować, a szanować tylko hierarchię talentu, nic więcej, nic mniej. Oczywiście jest lepiej gdy pisarze też się do polityki nie mieszają. Nowaczyński miał olbrzymi talent i nie myślę, by oddał wielkie usługi Stronnictwu Narodowemu. Kaden na pewno nie oddał żadnych usług „sanacji”. Melchior Wańkowicz na pewno wolałby nigdy się do polityki nie mieszać, jeżeli to czynił i przed wojną, a tym bardziej po wojnie, to dlatego że w ciężkich, okropnych, zawsze prymitywnych warunkach ubogiej Polski żyć z pióra bez „zaplecza” politycznego jest bardzo trudno, i to nie tylko grafomanom (trudności dla nich są słuszne i sprawiedliwe), ale także i pisarzom z prawdziwego zdarzenia i z prawdziwym talentem, jak Wańkowicz, jak Stanisław Mackiewicz, jak wielu innych.

Wańkowicz nie będzie ani wieszczem, ani Królem-Duchem, ani Wychowawcą Narodu, ani Przewodnikiem Narodu. Do tych wszystkich ról zresztą nie pretendował. Pozostanie jednym z najlepszych *minor writers* swego pokolenia, który nowych, oryginalnych czy ciekawych myśli nie miał, ale miał talent stylistyczny, kolosalną pracowitość, dużą rutynę pisarską i zdolność ewokacji swej sfery i swego środowiska. Pozostanie po nim jedna tylko książka, „Szczeniące lata”, ale książka znakomita i trwała.

Wiadomości, 10.11.1974

Profesorowie U.J. w latach dwudziestych

Gdy Jerzy Giedroyc prosił mnie o kilka słów wspomnień o profesorach Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie w latach dwudziestych, kiedy to sam byłem słuchaczem tej uczelni, zacząłem szukać w pamięci sylwetek i twarzy ludzi, w większości już od dawna przeze mnie zapomnianych. O tych profesorach, których znałem bliżej – w szczególności o trzech ówczesnych luminarzach Wydziału Prawa U.J., a jednocześnie ostatnich Stańczykach – to znaczy o Władysławie Leopoldzie Jaworskim, o Stanisławie Estreicherze i o Adamie Krzyżanowskim, pisałem wiele i często; pierwszy zmarł w lipcu 1930 roku w Milanówku; drugi zginął w obozie Sachsenhausen na początku 1940 roku; trzeci, dożywszy sędziwego wieku lat dziewięćdziesięciu, zmarł w Krakowie w końcu stycznia roku 1963. Gdybym chciał, czy mógł zebrać tylko to wszystko, co napisałem o tych trzech niepospolitych uczonych, pisarzach i politykach – zebrałby się na pewno tomik, który by zajął cały, a może nawet podwójny zeszyt *Kultury*. O samym Adamie Krzyżanowskim pisałem nekrologi dwukrotnie: raz w końcu 1939 r., kiedy się w Londynie rozeszła wiadomość – na szczęście jak się później okazało, nieprawdziwa – że został zamordowany przez Gestapo, a drugi raz w 1963 roku, kiedy smutna wieść o jego zgonie była, niestety, faktem.

Teraz przypomniałem sobie, że jeszcze w Monachium, już „po Gomułce”, a więc gdzieś w latach 1956-58 (bo w końcu 1958 roku opuściłem Monachium) dowiedziałem się o śmierci Rafała Taubenschlaga, i z miejsca machnąłem wspomnienie o nim do *Wiadomości* w Londynie. Nie miałem pojęcia, co w tym

wspomnieniu było, pamiętałem jednak dokładnie, iż Grydzewski z miejsca napisał mi ocenę tej notatki, najbardziej pochwalną ze wszystkich jakie kiedykolwiek otrzymałem od niego w ciągu wielu, bardzo wielu lat naszej znajomości i współpracy. W Bibliotece Polskiej w Paryżu, dzięki uprzejmości i pomocy Pani Dunin-Borkowskiej, odnalazłem ten tekst, który poniżej w całości podaję:

T A U B E N S C H L A G

Przeglądając dzisiaj rano – służbowo i mechanicznie – pracowite zestawienia nasłuchów radiowych, na którejś żółtej kartce natrafiłem na zdanie, że pogrzeb zmarłego śmiercią samobójczą prof. Taubenschlaga odbędzie się w Krakowie...

Rzuciłem kartkę do kosza, bo nie odpowiadała moim zapotrzebowaniom służbowym, ale nie mogłem o niej zapomnieć. No tak. To przecież mógł być tylko Rafał Taubenschlag, profesor prawa rzymskiego w Krakowie przed wojną, w czasie wojny w Columbia University, po wojnie w Warszawie. I w oczach stawała mi ciągle ta sala Kopernika w krakowskim Collegium Novum, przepelniona i wypełniona tłumem ubogich studentów, w łachmanach, w ojcowskich portkach w paski, w rozlatujących się mundurach legionowych czy wojska polskiego, wygłodzonych, śmierdzących, skulonych u stóp wysokiej katedry. I pamiętam jak na tej katedrze punktualnie się zjawiał prof. Taubenschlag i „trzymał” godzinny wykład o Pandektach i prawie pretorskim, i „usufructus”, i tylu innych rzeczach, które wówczas wydawały mi się tak ważne, tak istotne, a teraz? Było dwóch profesorów prawa rzymskiego podówczas w Krakowie: wielki Wróblewski, siostrzeniec większego fizyka, mefistofeliczny, machiaveliczny, łysy, faustowski, późniejszy prezes komisji kodyfikacyjnej, prezes Akademii Umiejętności, zbyt mądry, zbyt przefajnowany, by biednych „akademików” czegoś nauczyć; i był Taubenschlag, belfer uniwersytecki, „konował”, ale dobry pedagog, który wbijał nam w głowę prawo rzymskie, taki sumienny, rzetelny „wkuwacz”. Był mały, wygolony, miał nos semicki, krótkie nóżki, głos trochę staccato, z lekkim żydowskim akcentem, bladolicy, jakiś też biedny i smutny i prowincjonalny.

Pamiętam dalej, że za cenę Bóg wie jakich ofiar kupiłem wówczas, na tym pierwszym roku upragnionego uniwersytetu, podręcznik prawa rzymskiego Girarda. „Manuel de droit romain”

nazywało się to wielkie tomisko, w którym uplasowałem już wówczas przejściową – jak się okazało – namiętność do prawa, do nauki; i namiętność, która mnie dotąd nie opuściła nigdy, i mam nadzieję będzie mi wiernie towarzyszyła do grobowej deski: namiętność do Francji, ukochanie jej języka.

Pamiętam jak – bezgranicznie dumny z tego nabytku – złapałem kiedyś we framudze okna na korytarzu Collegium Novum Taubenschlaga i pokazałem mu mego Girarda. Pamiętam, jak usiadł we framudze okna, jak jego krótkie nóżki bełtały się w powietrzu. Pamiętam jak kartkował tego mego Girarda i wreszcie rzekł:

– No, jak pan się tego wszystkiego nauczy, to będzie pan wiedział tyle co ja.

Pokraśniałem z radości. Potem Taubenschlag mówił coś dalej, i zapamiętałem, że w tym monologu użył wyrażenia „naukowcy” zamiast „uczeni”. Wydało mi się to bardzo dziwne, niezgodne z zasadami języka polskiego, ale nie śmiałem oponować.

Potem zdawałem egzamin z prawa rzymskiego nie u niego, ale u Wróblewskiego, celująco zresztą. Potem się nasze stosunki rozluźniły. Jeszcze póki byłem na Uniwersytecie wymienialiśmy ukłony. Ale po doktoracie nie spotykałem go nigdy, a może nie poznawałem go po prostu. Nie wiem gdzie mieszkał. Nie wiem czy był żonaty, czy miał rodzinę. Nie wiem czy coś pisał: w każdym razie nigdy nic jego pióra nie czytałem, nigdy o jego pracach nie słyszałem. Lata minęły.

Kiedyś, na kilka lat przed wojną, zawadziłem o Kraków. Na Plantach było zielono, a na Rynku ciepło i gwarno. Ex-kolega, ongi filar konserwy, potem zajadły sanator, dzisiaj pono czołowy „marksista”, spotkał mnie na AB i trzymając za guzik, pytał:

– Czy wiesz, że Taubenschlag się wychrzcił, he, he? I że pani Krysia Potocka [wdowa po namiestniku Andrzeju, miała wówczas siedemdziesiąt lat] wraz z Wróblewskim trzymali go do chrztu, hi, hi, hi, ha, ha, ha?

I pamiętam, że ten krakauerski ton taniego dowcipu i wydrwiania nie spodobał mi się i że choć Taubenschlaga już od lat nie widziałem, odpartem cierpko, wyniosłe i oschle:

– Myślę, że Taubenschlag nawrócił się z przekonania, a że Wróblewski i pani Andrzejowa zgodzili się być jego rodzicami chrzestnymi, to tylko dobrze o nich świadczy.

Znowu minęły lata, przyszedł potworny Wrzesień, owoc lekkomyślności Becka i Rydza. Dowiedziałem się, że Taubenschlag się wydostał, dotarł do Ameryki. Ucieszyłem się, ale do niego nie napisałem. Przyszły krwawe, mroczne lata wojny. Dowiedziałem się że Taubenschlag został profesorem prawa rzymskiego na nowojorskim Columbia University. Ucieszyłem się, ale nie odezwałem się do niego ani słowem. Potem przyszedł koniec wojny i któregoś dnia powiedziano mi, że Taubenschlag rzucił katedrę i spokojny i zapewniony byt na Columbia University i powrócił do Polski. Nie ucieszyłem się, ale zrozumiałem że wrócił nie dla kariery, nie dla zaszczytów, ale dlatego że Polskę kochał i że ciężko mu było żyć poza Krajem. Taubenschlag był nie tylko Żydem polskim – był Polakiem.

I dzisiaj ta notatka. Nie dowiem się nigdy, jaki był powód tego samobójstwa. Nieuleczalna choroba? Samotność? Poczucie czczości życia? Duszenie się w niewoli? Lub może mary krewnych, przyjaciół, współplemieńców, osób drogich i kochanych, wygazowanych w piecach Oświęcimia? Nie wiem, nie dowiem się nigdy. Może zwątpił o tym Credo, które kiedyś za Wróblewskim i Andrzejową Potocką powtarzał, może czuł wyrzuty sumienia, że wyrzekł się Wielkiego Zakonu Izraela? Nie wiem, i może nikt nie wie.

I nie wiem także, dlaczego ta śmierć człowieka tak mi obojętnego, tak zapomnianego, nagle ścisnęła moje wystygłe, zgorzkniałe serce. Czy może majestat śmierci, zawsze tak groźny, nabiera dodatkowej złowrogiej wagi gdy łączy się z samobójstwem, tym wyzwaniem Boga? Czy może buchnęła mi raz jeszcze w twarz odwieczna prawda, że życie każdego z nas – a więc i moje – jest zagadką, dopóki nie oddamy ostatniego tchnienia? Czy może ponownie, poza banalnym *fait divers*, wyczułem niezrozumiałą tajemnicę duszy żydowskiej, geniusz i przekleństwo Izraela, którego Taubenschlag padł ofiarą? A może – jakby powiedział jakiś nieudolny uczeń Prousta – roztkliwiałem się nad samym sobą i spoza zamglonego oblicza zapomnianego profesora spojrział na mnie nieznajomy, daleki studencik, szczupły i czarny, i smagły, i biedny, i nędzny, ale z ideałami, z wiarą, z entuzjazmem, studencik, któremu podówczas wszyscy do znudzenia przepowiadali wspaniałą przyszłość, wróżyli ogromną karierę...

A dzisiaj ten studencik żywi bezgraniczną pogardę dla życia, dla świata, dla swych zajęć, dla całego swego otoczenia, i przede wszystkim dla samego siebie.

I może dlatego, zamiast grudki ziemi na ten daleki, obcy, niepotrzebny grób, to niepotrzebne wspomnienie z daleka i z oddali rzuca obcy, daleki przechodzień.

Krzysztof Nienaski

Dwa słowa wyjaśnienia. Wspomnienie to zostało wydrukowane w Nrze 29/30 (642-643) *Wiadomości* z 20-27 lipca 1958. Miałem wielkie trudności z odnalezieniem tego tekstu, bo zupełnie zapomniałem o tym moim podpisie „Krzysztof Nienaski”, wymyślonym przez Grydzewskiego, już nie bardzo wiem z jakiego powodu, i którego od lat nie używam. Byłem sam zdumiony rzewnością i sentymentalizmem tego wspomnienia; wiadomość o samobójstwie Taubenschlaga musiała zrobić na mnie bardzo silne wrażenie. Dzisiaj już nie byłbym w stanie tak mocno tego zgonu przeżyć i odczuć, więc przepraszam, że po tym pierwszym wspomnieniu – które nic by nie zyskało, gdybym chciał je uzupełnić – dalsze będą o wiele kamertonów niższe. Nikt z moich dawnych profesorów krakowskich dzisiaj już nie żyje, z jednym wyjątkiem Stanisława Kota, który jednak od lat jest już tylko żywym trupem, oraz Zweiga, który nie był moim profesorem, bo zjawił się dopiero pod koniec moich studiów jako asystent przy katedrze ekonomii, tak że znałem go jako starszego kolegę i dziennikarza, nie jako profesora. Nie powiem też nic tym razem o Stanisławie Wróblewskim; niech ten obrazek subtelnego Mefista, i wielkiego z pewnością prawnika – ale nadającego się dla doktorantów, nie dla początkujących studentów – który we wspomnieniu o Taubenschlagu umieściłem, wystarczy.

Na 1-szym roku Prawa wykładali, poza Wróblewskim i Taubenschlagiem, Stanisław Estreicher (Prawo zachodnio-europejskie), Stanisław Kutrzeba (Historia prawa polskiego) i Brzeziński (Filozofia prawa). Był to w ogóle słaby profesor, ten zacny staruszek Brzeziński, wykladał prawo kościelne po Ulanowskim, – obciążono go tą „Filozofią prawa”, która była przedmiotem nowym, a Wydział nie wiedział komu wykłady powierzyć. Oczywiście zamiast tego bla-bla-bla, pojętego zbyt obszernie i zbyt mgławicowo, trzeba było wprowadzić porządne i systematyczne

wykłady logiki, i żądać wypracowań i egzaminów piśmiennych, tak zresztą jak i ze wszystkich innych przedmiotów. Brzeziński nikogo nigdy nie ścinał, więc nikt nigdy się nie uczył i nie znał ani jego prawa kanonicznego, ani jego filozofii prawa. W praktyce obie te katedry były nieobsadzone.

Kutrzeba uchodził za luminarza, był jedynym z lekka endekoidą wśród profesorów na Wydziale Prawa, dodatkową glorię czerpał z faktu, że był ekspertem delegacji polskiej na konferencji pokojowej w Wersalu w roku 1919. Zawodowi dowcipnisie, do których należeli wówczas moi koledzy, Konstanty i Stefan Grzybowski – późniejsi dwaj profesorowie Wydziału U.J. (Stefan był także Rektorem tej Wszechnicy) – opowiadali każdemu, kto tylko znał język francuski, sensację wywołaną w Paryżu pojawieniem się *du professeur Cu-Trés-Bas*, jak nazwisko Kutrzeby rzekomo nad Sekwaną wymawiano. Jakoś nigdy poza Krakowem nie słyszałem tej gadki. Kutrzeba był bratem generała Kutrzeby; był bardzo blond, o typie mazurskim, o dużym sumiastym wąsie, krótkowidz, ciągle mrugał oczami zza swoich szkielek. Był to „pracuś”, szalenie dużo umiał, był to historyk, a prawnikiem był tylko dodatkowo; był to dobry pedagog dla przygotowywania studentów do kariery naukowej, ale powinien był mieć swoją katedrę na wydziale filozoficznym – obok Konopczyńskiego, Sobieskiego i innych; dla prawników jego grube podręczniki, jego dobre i zajmujące wykłady, a także jego seminaria, gdzie okazywał uczniom wiele serdecznej pomocy i dobrej rady – były raczej zbędne. Mnie np. Kutrzeba posyłał do krakowskiego urzędu Akt Dawnych, gdzie czytałem i przepisywałem dla niego różne notatki po łacinie z XIV wieku; co to prawnikowi dawało? Tak samo Kutrzeba zlecił mi napisanie pracy seminaryjnej o Statucie Litewskim, bo znając język rosyjski orientowałem się w jego tekście białoruskim; ale znowuż cały ten Statut Litewski był tak prymitywny, i tak zupełnie różny od współczesnych warunków, że żadnej korzyści z moich wysiłków nie wyniosłem. Kutrzeba dużo czasu poświęcał także wykładom o uwłaszczeniu włościan na ziemiach polskich. Był to temat bardzo ważny w XIX wieku, ale już w roku 1920 zupełnie nieaktualny. Najlepiej i najserdeczniej wspominam Kutrzebę z zebrań Bratniej Pomocy, czyli Bratniaka, którego był kuratorem; w przepelnionej sali Kopernika siedział on obok Prezesa Walnego Zebrania, którym był zwykle mój kolega Wyderko, dzisiaj bankier w Zurichu, i dotąd słyszę, jak Kutrzeba się zrywał ze swego krzesła, gdy hałas

i harmider stawały się niemożliwe, i nawoływał do spokoju. Na tych zebraniach Bratniaka głównymi mówcami byli zawsze dwaj główni tenorzy ówczesnej krakowskiej młodzieży akademickiej, Bielecki i Ciołkosz, o dotąd ich obu widzę i słyszę, jak doniośle ryczeli: „Proszę o głos w sprawie formalnej”. Zebrania Bratniaka nie były dobrą szkołą dla debat parlamentarnych, ani dla mówców politycznych; dyskusja zawsze schodziła na to, że ci czy tamci mieli większe porcje, albo bezprawnie wprowadzali swych przyjaciół lub sympatyków politycznych do stołówki w Domu Akademickim przy ul. Jabłonowskich. Później, gdym poznał lepiej Anglię, doszedłem do wniosku, że lepszy był system Oxford Union, z prezesem, zarządem i mówcami we frakach, z dyskusją na tematy abstrakcyjne, skopiowaną na obradach Izby Gmin, z zaproszeniami dla wybitnych parlamentarzystów. Myślę, że i Ciołkosz, i Bielecki zyskaliby na istnieniu takiego klubu politycznego na U.J. w Krakowie. No cóż, byliśmy na taki klub, jak i na wszystko inne, za biedni. Ale jednak stosunki na U.J. za moich czasów były sto razy lepsze, niż później: kwestia żydowska nie istniała, antagonizmy „endeków”, „socjalistów”, „piłsudczyków” nie były zbyt namiętne, a być wówczas w Krakowie „konserwatystą” było szczytem dobrego tonu. Poza Bratniakiem była druga instytucja, specjalna dla Wydziału Prawa, tak zwana Biblioteka Słuchaczy Prawa. Zdaje mi się, że ta „Biblioteka” nie miała ani jednego tomiku na własność i że jej obrady odbywały się w jednej z sal w starym i pięknym średniowiecznym gmachu Biblioteki Jagiellońskiej przy ul.św. Anny. Prezesem tej Biblioteki był za moich czasów Tabaczyński, z którym byłem po imieniu. Był on wesoły, miły, sympatyczny, inteligentny, dowcipny, popularny. Wrócono mu karierę polityczną: jego ojciec był przecież wybitnym posłem z ramienia Narodowej Demokracji. Potem straciłem go zupełnie z oczu i spotkaliśmy się dopiero w Monachium. Jakżeż się biedak w międzyczasie zmienił! Ostatni raz widziałem go w Londynie, w Ognisku, na krótko przed jego śmiercią; miał wówczas niespełna sześćdziesiąt lat, a wyglądał na zgrzybiałego starca...

Stanisław Estreicher był Rektorem U.J. w roku, gdym się na ten Uniwersytet zapisał, więc już z góry miałem dla niego specjalną rewerencję. Wyglądał wspaniale w rektorskich gronostajach i w ogóle w todze profesorskiej i w birecie; jego twarz czerstwa, zaorana bardzo głębokimi bruzdami, o rysach ostrych i surowych,

o klasycznym profilu, bardzo męska i twarda, wyglądała jakby wyjęta z drzeworytu, przedstawiającego teologa, albo prawnika z XV wieku. Estreicher był jednym z najbardziej „gotyckich” ludzi, których w życiu widziałem. Był to najlepszy mówca na Uniwersytecie, wolałem go dużo od jedyne go rywala w tym względzie, Ignacego Chrzanowskiego, który wydawał mi się zawsze raczej wielkim aktorem, niż z Bożej Łaski mówcą i wykładowcą. W akcencie, bardzo krakowskim, Estreichera, była jakaś oschłość, surowość i zwłaszcza stanowczość, która doskonale pasowała do nauki prawa, albo teologii; Estreicher zawsze mówił tonem, jakby proklamował prawdy niezbite i wieczne. To nie był człowiek tak modnego dzisiaj relatywizmu, ani „kontestacji”. Wszystko w nim było kanciaste, jasne, klarowne, logiczne, zdecydowane, precyzyjne, stanowcze. Na swej katedrze wykładał historię prawa Zachodniej Europy, zarówno prawa prywatnego, jak konstytucyjnego i doktryn prawniczych. Mediewalistyka mnie nigdy nie interesowała, i uważałem zawsze wykłady o tych „nawiązkach”, czy prawie magdeburskim za nudne i niepotrzebne, ale gdy Estreicher przechodził do Wieku Oświecenia, do którego sam wyraźnie należał, to był i wielkim uczonym, i znakomitym prawnikiem konstytucyjnym, i uczył nas tych podstaw prawa, czyli tak zwanej filozofii prawa, o której pojęcia nie mieli ani nasz zacny Brzeziński, ani Jarra w Warszawie. Pamiętam, jak Estreicher wbijał nam w głowę różnicę między Monteskiuszem a Rousseau. Pierwszy, prawil, był prawnikiem, drugi tylko publicystą, doskonałym, znakomitym, bardzo interesującym ale jego doktryny z prawem nic wspólnego nie miały, i w końcu doprowadziły tylko do Rewolucji Francuskiej i do Terroru, który jest zawsze synonimem bezprawia. Estreicher najślusniej nas uczył, że prawo musi być zdepersonalizowane, że motywy, doktryny nie mają żadnego znaczenia; trzeba brać tekst prawny, dobrze go zrozumieć, i dokładnie go stosować. Każda ustawa musi być tak napisana, jakby miała obowiązywać na wieki; stąd zmiana ustaw, a nawet ich nowelizacja, powinna być bardzo rzadka, wyjątkowa, a rozporządzenia wykonawcze powinny się ograniczać do szczegółów czysto porządkowych. Były to ogólnie przyjęte pojęcia prawne z okresu lat 1870-1914 – okresu wielkiej stałości stosunków politycznych, socjalnych i ekonomicznych – po burzliwych zmianach roku 1848, kiedy to monarchie konstytucyjne zastąpiły monarchie absolutne, a dyktatura prawa – omnipotencję

monarchów i rządów. Wyższość prawa nad polityką, sądów nad administracją, szacunek dla prawa, dla porządku prawnego, równoznaczny z samą istotą państwa, praworządność, jako najwyższy kanon polityki, oto zasady, czyli filozofia prawa, które wpajał w swych uczniów Estreicher. To samo robił w dziedzinie ekonomii Krzyżanowski, który wpajał w nas stałość i wieczność praw ekonomicznych. Te pojęcia prawne odpowiadały stałości stosunków sprzed 1914 roku. Były one, jak się okazało, odpowiednikiem stałości warunków życia, przewagi rolnictwa i wsi, słabego zaludnienia krajów europejskich, stabilizacji pojęć religijnych, moralnych, politycznych, i stałości techniki, która okazała się za naszych czasów największym rewolucjonistą. Dzisiaj żyjemy pod hasłem teorii względności nawet w fizyce. Cóż dziwnego, że dziś pojęcie prawa jest pojęciem elastycznym, mgławicowym, zawsze chwilowym i tymczasowym. Dzisiaj *de facto* żadnego prawa, żadnej nawet konstytucji nie ma. Całe prawo cywilne obracało się dookoła pojęcia własności, które teraz można doskonale obejść robiąc inflację, czy podwyższając podatki, czy anulując wierzytelności, czy upaństwowiając całe przemysły – więc po co prawo cywilne? Konstytucje zmieniają się całkowicie *via facti*; systemy partyjne są zastąpione organizacją grup zawodowych, robotników, przedsiębiorców, rolników, managerów itd.

Estreichera poznałem dużo lepiej i dużo bliżej w redakcji *Czasu*, dokąd się dostałem już w końcu 1923 roku, mając lat dwadzieścia. Estreicher przez długie lata pisał do *Czasu* wstępne artykuły, nigdy nie podpisane. Przychodził do redakcji punktualnie o 5-tej po południu, zasiadał natychmiast w swej małej klitce, tuż koło wejścia, przeglądał gazety polskie, i zagraniczne, *Le Temps*, *Neue Freie Presse* wiedeńską i *Neue Züricher Zeitung*, wpadał do Beauprè'go i mówił mu o czym zamierza pisać, ale to był oczywiście tylko akt kurtuazji, po czym siadał przy biurku i swym szerokim pismem, unoszącym się zawsze z lewa na prawo w górę, zapisywał stale pięć arkuszy, nigdy więcej, rzadko mniej. Jako talent publicystyczny zaliczam go do trzech największych, jakich w Polsce znałem, obok Matuszewskiego i St. Mackiewicza. Od obu był niepomrotnie bardziej wykształcony, jako stylista był dużo staranniejszy, znał wybornie łacinę, czego o tamtych dwóch nie można było powiedzieć; miał styl klarowny, jasny, precyzyjny, dystyngowany, może chwilami

zanadto profesorski, Estreicher był większym publicystą, niż politykiem, w przeciwieństwie do W.L.Jaworskiego; nigdy nie był posłem, nigdy nie zajmował żadnego administracyjnego czy rządowego stanowiska, poza Uniwersytetem, gdzie zresztą był doskonałym rektorem i dziekanem i to się odbijało na jego artykułach. Najlepszym z nich był „Rokosz”, napisany już 12 maja 1926 roku na pierwszą wiadomość o majowym zamachu stanu; Estreicher zawsze uważał, że Konstytucja Marcowa była *non viable*, ale prawnik zwyciężył, i gromił zamach stanu bardzo ostro, jako zamach na praworządność. Polityk zachowałby się ostrożniej – i Jaworski się nie wychylił, choć w duszy myślał to samo, co Estreicher – i stąd Estreicher był *bête noire* rządów sanacyjnych, podczas gdy Adam Krzyżanowski został jednak posłem i generalnym referentem budżetu, i o mały włos byłby został ministrem oświaty, na którą to tekę Estreicher nadawał się dużo lepiej od niego. O wiele gorszą tragedią było aresztowanie i zgon Estreichera w Sachsenhausen. Nie znam wypadku większego obłędu ze strony Niemców, bo jeżeli ktoś w Polsce był pod wpływem kultury niemieckiej – oczywiście nigdy hitlerowskiej, ale prawdziwej, klasycznej – to był nim Estreicher, który nigdy nie ulegał demagogii, ani manii germanofobii. Estreicher był człowiekiem starej daty, ale był także klasycznym przedstawicielem tak rzadkich w Polsce cnót mieszczańskich; był on z tej gliny, z której wyrosli *les grands commis de l'État* we Francji, w Anglii, w Niemczech, w monarchii habsburskiej, a te dynastie partycjuszów mieszczańskich są nie to potrzebne, ale konieczne.

Na drugim roku było nas, słuchaczy Wydziału Prawa, 250-ciu zamiast tysiąca – była to głównie zasługa Estreichera, który ścinał bezlitośnie. Egzaminy na Uniwersytetach powinny być nieubłagane, a nadto konkursowe, ze stopniowaniem i seryjnymi numerami, jak egzaminy wstępne do *Grandes Écoles i Corps Constitués* we Francji; inaczej studia wyższe są komedią, albo błazenadą, a wyższe uczelnie produkują tylko bezrobotną, awanturującą się i zbędną ćwierć-inteligencję. Toteż dopiero na 2-im roku prawa zaczęliśmy naszą prawdziwą erę „akademicką”. Studenci się poznali; ci co przeszli barierę egzaminów u końca I-go roku zaczęli wszyscy chodzić na seminaria, studia stały się serio. Wykłady na II-im roku obejmowały prawo kanoniczne, prawo międzynarodowe, prawo konstytucyjne i ekonomikę. Prawo

kanoniczne wykladał znowu biedny Brzeziński. Mówiłem już, że jego wykłady były markowaniem, a zresztą prawo kanoniczne nie ma dzisiaj żadnego praktycznego znaczenia. Po Brzezińskim katedrę tę objął mój kolega, Adaś Vetulani, dzisiaj, jak słyszę, na emeryturze. Po ukończeniu studiów nigdy go nie spotkałem, choć byliśmy po imieniu; był to szczupły, niewielki chłopak, żywy, inteligentny i sympatyczny. Prawo międzynarodowe wykladał Michał Rostworowski, który może nie był oryginalnym umysłem, ale za to wybornym pedagogiem. Wbijał nam w głowę nauki, których, niestety, ani nasze MSZ, ani nasi politycy, i to wszystkich obozów, nigdy sobie nie przyswoili. Rostworowski tłumaczył, że dyplomacja zaczyna się od NOTY, że nawet *aide-mémoire* nie posiada żadnego znaczenia prawnego, a już tak zwane rozmowy dyplomatyczne nic absolutnie nie znaczą; tylko traktaty mają wartość prawną, a więc znaczenie dyplomatyczne, a reszta, to gra w szachy, albo pogaduszki kawiarniane. Mylił się o tyle, że dzisiaj nawet traktaty nie mają żadnego znaczenia, wszystko jest w stanie płynnym, ale w latach dwudziestych wierzone jeszcze w zasadę *pacta sunt servanda*. Tak samo w prawie konstytucyjnym – które też wykladał (na spółkę z Jaworskim) – Rostworowski zwracał trafnie uwagę na konieczność indywidualnej odpowiedzialności ministra, wysokiego urzędnika, etc.; bez końca powtarzał, że odpowiedzialność ciał zbiorowych, Sejmu, rządu, administracji, komisji, komitetów, cóż dopiero partii, to po prostu brak jakiegokolwiek odpowiedzialności. Jaworski wykladał w teorii i prawo cywilne, i prawo konstytucyjne, ale był już tak chory, że jego wykłady nie odbywały się prawie nigdy – ograniczał się do przyjmowania po kilku uczniów w domu, u siebie, przeważnie w pojedynkę, bo na większą ilość nie było w jego gabinecie miejsca, i więcej osób go męczyło. Co tydzień, czasem dwa razy na tydzień bywałem u Jaworskiego, prawie zawsze sam jeden, mówiliśmy tylko o prawie konstytucyjnym i o polityce, bo jakoś do cywilistyki nie miałem nigdy serca. Egzamin z prawa międzynarodowego zdawałem u Rostworowskiego, z prawa konstytucyjnego u Jaworskiego, który się sam dla mnie do Collegium Novum deranżował. W tym szkicu nie podobna streścić ani wiedzy, ani uroku, ani finezji Jaworskiego; więcej się od niego nauczyłem, niż od kogokolwiek innego w życiu, i właściwie wszystkie moje podstawowe poglądy polityczne jemu zawdzięczam. Choroba mu uniemożliwiła działalność polityczną,

ale sądzę, że dla człowieka urodzonego w roku 1856 była ona, w każdym razie po roku 1918, w Polsce niemożliwa. Wyrósł on w innych warunkach i choć był niezwykle wrażliwy na nowe prądy – do tego stopnia, że czytał nawet Wiecha i uważał go za najciekawsze zjawisko polityczne i językowe w roku 1924 – choć był umysłem wyjątkowo liberalnym i krytycznym, to jednak nie dałby sobie rady, ani z Sejmem, ani z pokoleniem legionowym, ani tym bardziej z następnym. Poza tym był to człowiek czarujący, o wyjątkowej erudycji, nieprzytomnie wszechstronny; był to jedyny znany mi Polak, który czytał Ojców Kościoła i interesował się teologią, oczywiście w sensie najbardziej tradycyjnym. W Krakowie często dyskutowano o relatywnych walorach Bobrzyńskiego i Jaworskiego, dwóch najwybitniejszych mężów stanu ostatniej generacji Stańczyków, z nie mniejszym zaciętrzewieniem – ale z dużo większym obiektywizmem – niż w Warszawie dyskutowano o walorach Piłsudskiego i Dmowskiego. Bobrzyńskiego poznałem, gdy był już staruszką, przeszło 80-letnim, więc oczywiście zdecydowanego sądu o nim mieć nie mogę. Był to człowiek silniejszy od Jaworskiego, dużo bardziej dogmatyczny – a to jako polityk, i jako historyk – ale Jaworski był subtelniejszy, bardziej finezyjny i bardziej sceptyczny, co ujmowało mu siły, a dodawało uroku.

Wreszcie na tym drugim roku doznałem pierwszego *coup de foudre* w mym życiu, mianowicie zapoznałem się z tajemnicami nauki ekonomicznej na wykładach, na seminariach i w rozmowach z Adamem Krzyżanowskim, którego stałem się – jak i Jaworskiego i Estreichera – ulubionym uczniem, pupilkiem i nawet – o ile różnica wieku na to pozwalała – przyjacielem. Tyle razy już o Panu Adamie pisałem, że tym razem do niego nie powrócę. To nie był wielki teoretyk, ale znakomity profesor polityki ekonomicznej, a tylko ta dziedzina mnie interesowała. Adam Krzyżanowski miał tę pierwszą zaletę, którą każdy profesor i pedagog mieć powinien: umiał zainteresować swych uczniów, zakochać ich w swej specjalności. Krzyżanowski kazał nam śledzić wypadki bieżące, politykę ekonomiczną nie tylko Polski, ale także większości krajów współczesnych. Pamiętam jakiś jego wykład o polityce ówczesnego ministra skarbu Południowej Afryki, którego szalenie chwalił; chwalił też politykę Raszina, ministra Czechosłowacji, politykę ks. Seipla, kanclerza Austrii, politykę Komitetu Finansowego Ligi Narodów (o której napisałem moją pracę doktorską w Genewie),

ale zawsze i głównie interesował się polityką finansową Anglii, dla której miał najwyższy szacunek. Jeszcze po wojnie pisał mi do Londynu, zapytując, jak sobie tłumaczę degrengoladę finansową Anglii, której rozmiary zdumiewały go już w roku 1946 – trzydzieści lat temu – i to na odległość. Krzyżanowski był człowiekiem za dobrym i za miękkim, by być wielkim ministrem skarbu, i sam z tego zdawał sobie sprawę. Po cichu marzył o prezesurze Banku Polskiego. Na pewno sto razy bardziej się na tę funkcję nadawał, niż Byrka, niż Feliks Młynarski – którego jakoś nigdy nie potrafiłem brać całkiem na serio – i niż Koc, który był człowiekiem bardzo porządnym, ale ograniczonym, niedoksztalconym i nieślychaniem powolnym. Pomijając czystych praktyków skarbowych, jak Matuszewskiego i Jerzego Zdziechowskiego, z profesorów ekonomiki stawiałbym w Polsce na pierwszym miejscu Adama Krzyżanowskiego, dużo wyżej od Tadeusza Zawadzkiego, przez jakiś czas ministra skarbu, od Taylora, Rybarskiego, St. Grabskiego i wielu innych, a z młodszych tylko Adam Heydel miał dane na dużo większego teoretyka, ale on jeden, i on tylko. Langego nie cenilem nigdy, poza tym był antypatyczny, a całe towarzystwo z „Gospodarki Narodowej” było tylko brelokiem tak typowych dla Polski mętniaków.

Skoro wspomniałem Adama Heydla – który później był jednym z najbliższych moich przyjaciół, i jednym z najbardziej przeze mnie podziwianych – to wspomnę również o dwóch innych asystentach na Wydziale Prawa w owych latach – o Ferdynandzie Zweigu i o Grażyńskim. Zweig był autorem bardzo licznych artykułów ekonomicznych w Ikacu i, jako dziennikarz gospodarczy, był doskonały, znający temat, przystępny, zajmujący, żywy, trzeźwy, rozsądny. Był to dobry, nawet znakomity popularyzator. Ale jako polityk gospodarczy stał o mile w tyle za Krzyżanowskim, a jako teoretyk ekonomii, nie mówiąc już o ogólnej kulturze, naukowej, filozoficznej, także artystycznej nie mogło być żadnego porównania między nim a Heydlem, ale tym niemniej między Zweigiem a takim Czesławem Bobrowskim była przepaść. Grażyński był asystentem Kutrzeby. Gdy pisałem dla Kutrzeby prace seminaryjne był zawsze usłużny i pomocny, ale gdy zasmakowałem w ekonomii straciłem z nim kontakt, i później nigdy nie próbowałem go odnowić. Nigdy nie robił na mnie wrażenia wielkiej inteligencji, czy dobrego prawnika; był to raczej politykier,

niż administrator. Dzisiaj, a zresztą od początku, uważałem pozycję Grażyńskiego, jako wojewody śląskiego, za taki sam dziwoląg, jak ministerstwo b. dzielnicy pruskiej: albo jest państwo scentralizowane, albo jest zespołem „Krajów”, jak b. Austria (a zresztą i dzisiejsza), jak NRF, jak kantony szwajcarskie, jak USA, ale autonomia dla Śląska przy totalnym jej braku dla Poznańskiego, Krakowa, Małopolski Wschodniej, Wileńszczyzny, była nonsensem. W dobrze rządzonym i administrowanym państwie autonomia dla jednego tylko województwa, z wojewodą – rodzajem wice-króla czy nawet udzielnego władcy – powinna była być skasowana. Względny ekonomiczny dobrobyt Śląska został okupiony zwiększoną nędzą i bezrobociem innych dzielnic, przede wszystkim Ziemi Krakowskiej, która najbardziej była przeludniona, najbardziej potrzebowała emigracji, i wobec zamknięcia dostępu do USA, znalazłaby ratunek tylko w emigracji do Katowic, podobnie, jak dla *Mezzogiorno* ratunkiem była po wojnie emigracja sześciu milionów Neapolitańczyków i Sycylijczyków do Turynu i do Lombardii. A z Krakowa do Katowic było bliżej, niż z Palermo do Fiata w Turynie. Za bardzo względną pod rządami Grażyńskiego *prosperity* Śląska Zachodnia Małopolska zapłaciła Myślenicami i Nowosielcami. Po wojnie kilkakrotnie widziałem w londyńskim Ognisku Grażyńskiego, który wyraźnie mnie nie poznawał, udawałem to samo, i od lat uniwersyteckich nigdy nie zamieniliśmy ani słowa. Był to zabawny „piłsudczyk”, tak obcy mentalnością i zainteresowaniami „pułkownikom”. Matuszewski nie znosił Grażyńskiego, i zawsze mówił, że gdyby został premierem, wylałby go natychmiast; inni byli ostrożniejsi w swych uwagach, ale w sercu myśleli chyba nie inaczej. Więc czemu go trzymali?

Na trzecim roku Prawa mieliśmy skarbowość, którą znowu wykladał Adam Krzyżanowski, prawo karne, które wykladali Krzymuski i Tajnhold, prawo administracyjne, które wykladał Kumaniecki, razem ze statystyką, i wreszcie prawo cywilne, które zajmowało *gros* IV-ego roku. Krzymuski był ze wszystkich profesorów Wydziału Prawa tym, który najlepiej i z najlepszym akcentem mówił po francusku. Pochodził ze znanej rodziny ziemiańskiej z Kujaw, lubił studentów i zapraszał ich do siebie w niedziele na miłe i dystyngowane podwieczorki, na których jego ulubionym gościem wydawał się być Władysław (czy Michał?) Czarnota-Bojarski, piękny i rostry chłopak o świetnych manierach,

który później był moim kolegą w radio Wolnej Europy. Ponieważ język francuski był zawsze moją fortą, więc Krzymuski zapraszał i mnie na te herbatki i torciki, i zwykle ze mną rozmawiał po francusku. Pamiętam dotąd następujący zabawny epizod: właśnie za mych lat studenckich przypadła kolej na rektorat Edmunda Krzymuskiego; zgodnie z tradycją „trzymał” on rektorską mowę w czasie inauguracji roku szkolnego. Z konieczności taka mowa była zawsze dość banalna, i mowa Krzymuskiego nie stanowiła wyjątku. Krzymuski gadał, gadał, senat uniwersytecki grzecznie siedział, a my, „akademy” grzecznie staliśmy w głębi auli, aż wreszcie dystyngowany Krzymuski, z pięknym uśmiechem postanowił widocznie przypomnieć audytorium swe talenty językowe, i rzekł dosłownie, *à propos* niczego: „Uczni, *les savants*, jak mówią Francuzi...” Pomimo głębokiego respektu Krakowa dla każdej Magnificencji, głośny śmiech rozległ się na całej sali, ale Krzymuski nie speszył się i dał dalsze przykłady swej znajomości francuszczyzny. Krzymuski umarł nagle w Ostendzie. Jakoś zaraz po tej smutnej wiadomości byłem u Władysława Leopolda Jaworskiego, który mi rzekł ze swym filuternym, dyskretnym mrugnięciem oka, jak to czynił zawsze, gdy wygłaszał dowcip: „Krzymuski był szykowny do końca, nawet umarł w Ostendzie, ja, jak umrę, to pewno w Muszynie!” Nie omylił się, bo umarł wprawdzie nie w Muszynie, ale w Milanówku...

Krzymuski nie był wielkim uczonym, ani myślicielem, ale był dobrym profesorem i człowiekiem niezmiernie sympatycznym. Dziwnym trafem, podczas gdy Adam Krzyżanowski musiał wykładać aż na dwóch katedrach, ekonomiki i skarbowości, były aż dwie katedry prawa karnego; drugą zajmował Reinhold, który już gdzieś koło 1929 roku umarł młodo na raka. Był to taki sobie profesor-kujon, którego pamiętam tylko z jednego incydentu; oto na jego seminarium dyskutowaliśmy, w którym punkcie usiłowanie przestępstwa staje się karalne, i Reinhold zadał naszym dwom koleżankom, Izie Starowieyskiej i Marynce Rosner, następujące pytanie: „Może mnie panie powiedzą czy, jeżeli jakaś kobieta połknie kilka główek zapalek w celu przerwania swojej ciąży, czy to wystarcza, by uznać to za usiłowanie spędzenia płodu?”. Obie panny się zarumieniły, zapłoniły, wreszcie się rozplakały, ja uratowałem sytuację, mówiąc, że wobec niewspółmierności celu i środków żadnego usiłowania w ogóle nie ma, ale obie panny poskarżyły się Dziekanowi, że Reinhold je zaambarował tym

nieskromnym pytaniem, i Reinhold dostał z Rektoratu oficjalną naganą i ostrzeżenie na przyszłość, że podobne pytania mogą się źle dla jego kariery profesorskiej skończyć. Mój Boże, kto by dzisiaj się takimi głupstwami przejmował?

O Kumanieckim już pisałem, a teraz czas pomówić o cywilistach. Największym był oczywiście Jaworski, ale ten w praktyce nigdy nie wykladał. Po Jaworskim za drugiego największego prawnika uchodził wówczas Fierich, który wykladał procedurę cywilną. Ale Fierich był także prezesem Komisji Kodyfikacyjnej, i prawie zawsze na drzwiach sali jego wykładów widniała karta, że z powodu jego wyjazdu do Warszawy na posiedzenia Komisji Kodyfikacyjnej, wykład się nie odbędzie. Toteż Fiericha pamiętam raczej z widzenia, niż z wykładów czy tym bardziej z seminariów. Był bardzo wysoki, bardzo chudy, bardzo staroświecki i bardzo dystyngowany, bardzo zimny i wyglądał na dostojnika; mówił mało, powoli, cicho, widać było, że jest prawnikiem bardzo subtelnym i wie o co chodzi; odnosił się w szczególności z wielką pogardą i niechęcią do kruczków adwokackich, do kauzyperdów, do prób naginania procedury dla przewlekania sprawy, czy to cywilnej, czy karnej. Wydaje mi się, że byłby doskonałym prezesem Sądu Najwyższego. Ale wysłuchałem tak niewiele jego wykładów, byłem na tak niewiele jego seminariach, że go właściwie prawie nie znałem. Był to na pewno wielki prawnik i wielki gentleman, ponadto był prawnikiem, człowiekiem i profesorem bardzo starej daty i bardzo konserwatywnym. Wkrótce po moim doktoracie Fierich umarł, już jako człowiek bardzo wiekowy, ale czynny i aktywny do końca. Żałuję bardzo, że z jego wiedzy i doświadczenia skorzystałem tak mało.

W praktyce prawo cywilne i procedurę cywilną wykładali Fryderyk Zoll, junior, i Stanisław Gołąb. Ten drugi, małego wzrostu, był typem belfra uniwersyteckiego, tak jak i Taubenschlag. Ja sam właściwie studiowałem cywilistykę tylko u Zolla, który choć „junior” (bo jego ojciec, też Fryderyk, był przez długie lata profesorem prawa rzymskiego na U.J.) był już mocno starszym panem, dobrze po sześćdziesiątce. Był to człowiek uprzejmy, serdeczny, dystyngowany, wykształcony, dobry prawnik, jak wszyscy profesorowie U.J. w tych czasach, który po egzaminie z prawa cywilnego (które mnie zawsze nudziło) powiedział mi publicznie: „Stawiam Panu piątkę, bo nigdy nie widziałem, żeby student, który tak słabo zna kodeks, tak umiał sobie dawać

radę przy wszystkich odpowiedziach!” Był i drugi powód do tej seryjnej piątki, którą – jak wszystkie inne – inkasowałem na Uniwersytecie automatycznie, tak że gdybym studiował za czasów austriackich, miałbym prawo do tytułu *summa cum laude* i do złotego pierścienia od samego „Cysarza”. Oto Zoll zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc w przetłumaczeniu na język francuski polskiej ustawy o prawie patentowym, której był autorem. Było tam coś ze 250 artykułów, tłumaczenie było przeznaczone dla międzynarodowego Instytutu Prawa Patentowego, więc musiało być niesłychanie wierne. Nigdy w życiu tyle się nie napociłem i nie napracowałem jak w trakcie tego tłumaczenia, które mi zajęło dobrych kilka miesięcy. Tłumaczyliśmy na spółkę z Zollem; znał on francuski język wcale dobrze, ale chodziło o wygładzenie tekstu francuskiego, tak by był nie tylko wierny, ale i, o ile możliwości, poprawny stylistycznie. Co to za trudny temat, to prawo patentowe, jak trudno ująć w pojęcia abstrakcyjne chwilę, kiedy zaczyna się plagiat cudzego wynalazku, kiedy jest ulepszenie, a kiedy jest autentyczne *novum*. Gdyśmy z Zollem skończyli te heroiczne wysiłki, zaprosił mnie na kolację do Starego Teatru, nigdy tak nie czułem, żem na tę ucztę uczciwie zarobił, jak właśnie wówczas.

Prawo handlowe wykladał Dziurzyński, przystojny i sympatyczny, z którym później już po studiach, dość często spotykałem się w restauracji Starego Teatru, bo Dziurzyński był kawalerem i nie stołował się w domu. Był dość seryjny, ale miły, i bardzo uprzejmy. Z tego co słyszałem, żył on najdłużej z moich profesorów na Wydziale Prawa, i umarł dość niedawno w Krakowie.

Chyba już wyliczyłem wszystkich profesorów na Wydziale Prawa. Wszelako chodziłem także na inne wykłady i nawet seminaria. Początkowo miałem pasję do łaciny, chciałem koniecznie mówić równie płynnie po łacinie co nowoczesnymi językami. Zapiłem się na seminarium prof. Sinki, który był dobrym pedagogiem, i pamiętam, że czytaliśmy tam Horacego. Równocześnie, pomimo ubóstwa, zafundowałem sobie prywatne lekcje konwersacji łacińskiej u jednego z pięciu czy siedmiu synów profesora astronomii, Birkenmayera. Ale potem mi się to znudziło i dałem spokój tym ambicjom. Chciałem studiować historię; Kutrzeba oddał mi fatalną przysługę, skierowując mnie na seminarium prof. Semkowicza, piramidalnego nudziarza, mediewalisty, który mi historię zobrzydził. Jestem pewien, że

gdybym chodził na seminaria Konopczyńskiego, to bym coś z nich wyniósł. Byłem na kilku wykładach prof. Sobieskiego, które były dość powierzchowne i banalne. Spróbowałem chodzić na wykłady filozofów, głównie prof. Rubczyńskiego (nie jestem pewny, czy nie przekręcam jego nazwiska) ale znowuż po krótkim czasie doszedłem do wniosku, że nie mam powołania do zagłębiania się w Kancie: w Krakowie filozofia zaczynała się na Platonie, a kończyła się na Kancie. Folkierski mi nie trafił do gustu, a jeszcze mniej Wędkiewicz, który dawał mi od czasu do czasu coś zarobić w *Przeglądzie Współczesnym* Stanisława Badeniego, którego był redaktorem. Wędkiewicz był przyczynkarzem, belfrem; może był „romanistą”, ale po francusku mówił źle, a o kulturze i umysłowości francuskiej nie miał pojęcia. Był jednym z najgorszych, najbardziej pasywnych redaktorów, jakich znałem. Wolałem już Dybowskiego, anglistę, który był banalny, choć poprawny, ale lubił ze mną rozmawiać po angielsku, bo miał po temu w Krakowie bardzo mało sposobności. Byłem parę razy na wykładach Kallenbacha, który był bardzo miłym i dystyngowanym staruszkim. Poza tym poznałem wielu profesorów na gruncie towarzyskim. Do nich zaliczę w pierwszym rzędzie prof. Kota, który był „przyjacielem” *Czasu*, i często do redakcji przychodził; spotykałem go także u Jaworskiego, a co rano przychodził na gazety do „Udziałowej”, kawiarni na rogu Plant i ul. Garncarskiej, naprzeciw teatru „Bagatela”, gdzie gwiazdą była wówczas Kazia Skalska, w której cały Kraków się podkochiwał; na mnie, bidusia, nie chciała nigdy nawet spojrzeć. Kot zawsze mnie wzywał do swego stolika, gdy tylko mnie dostrzegł na ulicy; przesiadywał w kawiarni wiecznie z Kukielem, który był wówczas dużo mniej sympatyczny, niż później w Londynie; było to kółko najbardziej zapalonych Sikorszczyków i Kot mnie wielokrotnie usiłował wciągnąć do tej „Łoży”, ale jakoś nigdy prawdziwego przekonania do geniuszu Sikorskiego nie miałem. Kot był doskonałym pedagogiem, był bardzo wierny swym dawnym uczniom i znajomym z Krakowa, zabawny, dowcipny, żywy, inteligentny, ale w polityce nic go nie interesowało poza personaliami, plotkami i zamięłowaniem do intryg. Poza tym wydawał mi się zawsze szalenie naiwny. Choć był człowiekiem Stronnictwa Ludowego, nie lubił Witosa, nie lubił Rataja, tak samo jak później nie lubił Mikołajczyka; był naprawdę oddany Sikorskiemu, był zżyty z Kukielem, poza

tym był bardzo krakowski, swego rodzaju patriota NKN'u, niewyżyty polityk, który powinien był za czasów „sejmowładztwa” być posłem do Sejmu i ministrem w gabinecie Witosa, albo w gabinecie Wł. Grabskiego, jako mąż zaufania Sikorskiego. Nigdy nie wierzyłem w talenty polityczne Kota, ale zawsze spotykałem go z przyjemnością, był zabawny, zwykle w dobrym humorze, serdeczny, plotkarski. Miałem zawsze wrażenie, że Kot odnosił się do mnie z dużą sympatią. Jeżeli tak nie było, to Kot był mistrzem w omamianiu młodych ludzi. Ale dużo większy wpływ na mnie wywarł, i dużo wyżej ceniłem innego filara NKN, mianowicie Konstantego Srokowskiego, z którym rozmowa była wielokrotnie bardziej interesująca i bardziej pouczająca, niż z Kotem. Obok Jaworskiego, Krzyżanowskiego, Estreichera, Stempowskiego, Tennenbauma, zaliczyłbym Srokowskiego do nielicznych prawdziwych intelektualistów, których w Polsce dobrze znałem; każda jego uwaga była interesująca, a jego erudycja fenomenalna. Srokowski też się nie nadawał do rządzenia, ale to był, jak mówią Francuzi, *un maître à penser*, a Kot, Kukiel, Sikorski, albo, z innej beczki, Askenazy znali może dużo faktów, mieli talenty realizacyjne, ale intelektualnie ciekawi, ani interesujący nie byli. Tak, warto by, by ktoś o Srokowskim napisał rozprawę, zebrawszy jego niezliczone artykuły, rozrzucone w *Czasie*, w *Nowej Reformie*, w *Ikacu*, tym trudniejsze do zebrania, że zwykle podpisywane różnymi literkami albo pseudonimami. Pod pewnymi względami umysłowość Srokowskiego była podobna do umysłowości Ignacego Rosnera; obaj byli wykształceni na sosie wiedeńsko-germanistycznym. Rosner był mniej prowincjonalny od Srokowskiego, ale uważam, że intelekt Srokowskiego był wyższej klasy.

To mi przypomina, że w Krakowie dobrze znałem prof. Aleksandra Rosnera, brata Ignacego. Gdy studiowałem w Krakowie, Rosner był wdowcem (był żonaty z Osiecimską-Czapską), mieszkał z córką, Marynką Rosner, która studiowała prawo, więc stąd ją dobrze znałem i wiele razy byłem u niej i jej ojca na kolacji. Rosner był znakomitym ginekologiem, i wszystkie damy „z towarzystwa” w Krakowie i na sto mil dookoła rodziły pod opieką Rosnera. Gadka krakowska mówiła, że nie wolno nigdy wypowiadać słowa krytyki pod adresem klanu Potockich spod Barańów, Excellencji Władysława Leopolda Jaworskiego i prof. Rosnera – co do tego ostatniego, jestem świadkiem, że każde słowo krytyki pod jego

adresem było uważane przez wszystkie krakowskie hrabiny za rodzaj bluźnierstwa. Otóż kiedyś na kolacji u Rosnera zgadało się o przeludnieniu i, jako wierny uczeń Adama Krzyżanowskiego, wpadłem zaraz na mego maltuzjańskiego konika, zaperzając się, jak nigdy. Rosner mi przerwał. „Kochany panie, powiedział, nie jestem ekonomistą, nic o przeludnieniu nie wiem, ale jako ginekolog stwierdzam, że by być zdrową fizycznie i psychicznie, każda kobieta musi rodzić przynajmniej dwa razy, lepiej trzy...”. Jeżeli po pięćdziesięciu latach pamiętam to zdanie, to dowód, jak silne na mnie zrobiło wrażenie.

Znałem doskonale całą rodzinę Estreicherów, żonę Rektora, jego syna Karola, dzisiaj profesora U.J., obie jego córki, Ewę Grodzicką w Londynie i Krzysię Grzybowską, która niestety już nie żyje. Znałem dobrze syna W.L.Jaworskiego, starszego ode mnie, Iwona, profesora Uniwersytetu Wileńskiego, który, niestety, też już nie żyje. Byłem w przyjaźni z moim kolegą Wojtkiem Natansonem i stąd dobrze znałem jego ojca, Rektora Wł.Natansona. Znałem piękną Kasię Rozwadowską i stąd znałem także jej ojca, Rektora Michała Rozwadowskiego, później prezesa Akademii Umiejętności. Znałem prof. Kazimierza Morawskiego, prezesa Akademii, i jego pełnego wdzięku brata, Excellencję Zdzisława Morawskiego, b. ministra dla Galicji. A ile pań, ile osób, nie związanych bezpośrednio z Uniwersytetem! Myślę, że nigdzie nie miałem tylu znajomych i tylu przyjaciół; Kraków był małym miastem, wszyscy się znali; wszyscy wszystkich wечно spotykali i *au fond* było dużo więcej „sztamy” i przyjaźni, niż wrogości, zawiści czy niechęci. Zawsze Bogu dziękuję, że studiowałem w Krakowie, a nie w Warszawie, zawsze mym latom krakowskim przypisuję, że uratowałem się całkowicie od zaszczepienia Rosją, myślą rosyjską, co mi groziło, skoro urodziłem się i spędziłem dzieciństwo na Ukrainie. Dzisiaj jeszcze mógłbym powiedzieć, że po Paryżu, Rzymie i Wenecji uważam Kraków za najpiękniejsze miasto na świecie, może obok Innsbrucka i Salzburga, a także Monachium.

Rozgadałem się o przeszłości. Ale ani chwili się nie łudzę; Polska moich lat studenckich, i w ogóle międzywojenna, skończyła się na zawsze, jak cała ówczesna epoka.

Prof. Kot i ludowcy

Wiadomość o zgonie prof. St. Kota, w wieku lat 90, w szpitalu londyńskim w dniu 26 grudnia 1975, po okropnej dwunastoletniej agonii, przyjąłem z uczuciem ulgi. Nie byłem nigdy ludowcem, ale znałem Kota od roku 1923, z redakcji *Czasu*, gdzie wówczas nieomal co dzień się zjawiał, z gabinetu Władysława Leopolda Jaworskiego, z jego wykładów z Uniwersytetu, z kawiarni „Esplanada” na Plantach, gdzie co rana przesiadywał długie godziny w towarzystwie prof. (także generała) Mariana Kukieła. Spotykałem go także w Paryżu i w Warszawie, byłem jego urzędnikiem w Strattonie, spotkałem go wreszcie kilka razy po wojnie w Paryżu, u p. Lama, w Księgarni Polskiej na Boulevard St. Germain. Chciałem go odwiedzić w szpitalu londyńskim, gdzie Anglicy z godnym podziwu altruizmem dwanaście lat doglądali tego żywego trupa, ale sam p. Franciszek Wilk, który dyrygował opieką nad Kotem, mi to odradził. Od niego wiem, że, Bogu dzięki, Kot nie zdawał sobie sprawy ze swej sytuacji, że był prawie cały czas nieprzytomny. Czasami się pytał, dlaczego „Władek” (Sikorski) już od dawna nie był u niego, innym razem pytał się, czy „Doktor” (Lam) do niego nie telefonował, czasami się dziwił, że żona go nie odwiedza, albo też jego obie córki. Nie pamiętał, że Sikorski, Lam, żona, obie córki już od dawna nie żyją. Trudno o gorszą karę Nieba, niż takie wieloletnie dogorywanie; o ileż szczęśliwszy był Sikorski, przyjaciel Kota, który zginął w ciągu sekundy, nie zdając sobie zapewne sprawy z katastrofy samolotu, którym miał wrócić z córką i najbliższym otoczeniem do Londynu.

Powiem od razu, że dla Kota, przy braku wszelkiego uznania politycznego, miałem całe życie dużo osobistej sympatii. Z

temperamentu nie znoszę złego wychowania, nie znoszę nahałstwa, nie znoszę krzykliwości, demagogii, radykalizmu, nadętości, arogancji, doktrynerstwa i... rusofilstwa, jakkolwiek by się nazywało, jakiegokolwiek nosiłoby piórka. Kot był człowiekiem dobrze wychowanym, był miły, przyjazny, prosty, nie był nadęty, nigdy nie strugał dygnitarza; był w gruncie rzeczy człowiekiem konserwatywnym, bardzo typowym przedstawicielem inteligencji galicyjskiej i krakowskiej z początków XX stulecia; a w okresie międzywojennym, specjalnie po maju, trochę już myszką trącił; w czasie wojny był mamutem, a po wojnie upiorem. O ile u tyłu dygnitarzy czuło się kompleksy pochodzeniowe i te kompleksy uniemożliwiały normalne stosunki z takim np. Mikołajczykiem, a także z wielu Sanatorami, o tyle Kot był całkowicie od nich wolny, i skutkiem tego nigdy nie był, dla mnie przynajmniej, męczący, ani żenujący. Nie ukrywał swego chłopskiego pochodzenia, ale nie robił z niego sztandaru: był bardzo typowym inteligentem krakowskim, profesorem uniwersyteckim z zawodu, politykiem kawiarnianym z zamiłowania, ministrem i politykiem z nieporozumienia. Miał szereg zalet: był doskonałym pedagogiem, był przywiązany do swych uczniów, zawsze się poczuwał do solidarności z nimi, i w ogóle z ogółem „Krakauerów”, już trochę mniej lwowian, ale był to człowiek, profesor, polityk galicyjski, który już Królestwa zupełnie nie rozumiał, a kresów i kresowiaków z całej duszy nienawidził: zupełnie nie był w stanie dostrzec jakichkolwiek u nich zalet. Mnie traktował zawsze jako „Krakauera” z adopcji, i stąd był dla mnie wyrozumiały. Kot widział niewątpliwie Polskę jako Wielką Galicję. Nienawidził Rosji i dziwnie jej nie doceniał; nie miał złudzeń Strońskiego co do intencji Stalina i Rosji, ale był przekonany, że potrafi Rosjan i samego Stalina owinać dookoła swego małego palca, wystrychnąć ich na dudków. Dziwne niedocenywanie groźnego i przebiegłego wroga! Miał w sobie jakąś wewnętrzną pasję do intrygi dla intrygi, do plotkarstwa, do rozgrywek personalnych; była to u niego wrodzona namiętność, taka jak ta, która karciarza ciągnie do zielonego stolika. Był człowiekiem w gruncie rzeczy niesłychanie naiwnym i łatwowiernym, a wmówił w siebie, i nawet w to uwierzył, że jest jakimś Fouché. Był oddany jednemu tylko Sikorskiemu, bo miał na niego wpływ, ale jego stosunki w Witosem były zawsze więcej niż chłodne, Mikołajczyka zdrowo nie lubił. Nie lubił Retingera, może dlatego, że pod koniec swego życia

Sikorski bardziej ulegał wpływom Retingera, niż Kota: Retinger miał jednak jakieś stosunki w Anglii, mówił po angielsku źle, z silnym akcentem, ale mówił, a Kot właściwie nie mówił wcale. Kot kochał się w plotkach i w ploteczkach. Kiedyś – musiało to być w zimie 1937/38, kiedy Rydz był już marszałkiem – Kot mnie spotkał na Krakowskim Przedmieściu i, jak zawsze bardzo przyjaźnie, zaprosił mnie do Loursa, tuż obok, na kawę, po czym, jak zawsze oglądając się na wszystkie strony, czy aby ktoś nas nie podsłuchuje, szepnął mi na ucho: „Czy Pan wie, kto rządzi Polską?”. Powiedziałem, że nie wiem. „Rydzowa, Beckowa, Mościcka – szepnął triumfalnie Kot, jakby był depozytariuszem sekretu grobów faraonów – wiem to na pewno, z najlepszego źródła, spotykają się co rano o 11-tej, po czym dyktują swoim mężom, trzem bałwanom, którzy się tych żon ślepo słuchają, co mają robić i jak mają rządzić!”. Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu i rzekłem: „Nie znam tych pań, ale ani chwili nie wierzę, by miały wpływ na kogokolwiek, chyba w jakichś drobniutkich sprawach personalnych; z tego co słyszałem, to są trzy panie bez żadnych kwalifikacji do polityki”. – „Ależ Pan jest naiwny, panie Wacławie – zawołał Kot, szczerze zdumiony, że te ważne rewelacje przyjmują tak sceptycznie – nic Pan w polityce nie rozumie!”. W czasie wojny, gdy tylko Kot został po Strońskim ministrem informacji, zaprosił mnie do siebie i zapytał się mnie, ile zarabiam i co robię. Powiedziałem, że tłumaczę na język angielski mowy Sikorskiego etc. i że dostaję 40 funtów miesięcznie. „Daję Panu 250 funtów miesięcznie, zawołał Kot, ale Pan mi obieca, że będzie Pan ze mną współpracował!”. Odparłem, że współpracować z nikim nie chcę, i że niech się trzyma swoich łapsów sanacyjnych i innych, których ma pełno koło siebie. Kot mi dał spokój i tylko raz mnie zaprosił, bym mu dał informacje o stosunkach erotycznych kilku osób w Strattonie. Zdziwiony zapytałem: „Ale dlaczego to Pana interesuje?”. Kot, niemniej zdumiony, na to odpowiedział: „Jak to, panie Wacławie, pan nie widzi całej grozy tej straszliwej intrygi sanacyjno-endeckiej przeciw mnie, i przeciw rządowi?”. Na to odparłem: „Jaka tu intryga? Na bezrybiu i rak ryba, dość przystojna, młoda dziewczyna, łatwa, darmo, więc jest wielu amatorów, o co tu chodzi?”. Kot nie mógł się nadziwić mojej naiwności. Jako profesor Kot wiedział co to znaczy heurystyka, zbadanie wartości źródła; gdy był ministrem i widział meldunek: na górze „donos”, na dole podpis „szpicel”, nie było siły ludzkiej,

by go przekonać, że to są bzdury. Był stuprocentowo łatwowierny. Płk Protasewicz, który był do przyjazdu smutnej pamięci Tabora-Tatara szefem Szóstki w sztabie Naczelnego Wodza, mówił mi, że Kot z Librachem i ich „Akcją Kontynentalną” położyli zupełnie placówkę ewakuacji polskich wojskowych z Francji, oficerów, żołnierzy i poborowych, bez cienia korzyści dla wywiadu angielskiego, bez cienia korzyści dla *Résistance*, ot, przez totalną nieznamość i ignorancję elementarnej techniki wywiadu. Ze wszystkich szefów polskiego wywiadu, których znałem, miałem uznanie tylko dla płk. Matuszewskiego, który był człowiekiem naprawdę rozumnym i poważnym; był on najgorszego zdania o prawie wszystkich swych następcach i ich współpracownikach. Zawsze mawiał: „Szef Oddziału Drugiego nie może mieć zaufania do nikogo, a już najmniej do własnych oficerów, nie mówiąc o agentach; ci muszą się go bać bardziej, niż wroga”. Na prowadzenie jakiegokolwiek wywiadu, ruchu oporu etc. Kot się w żadnym wypadku nie nadawał. Tak samo był dzieckiem, gdy chodzi o dyplomację. Bardzo zadowolony z siebie, opowiadał mi szereg razy, po powrocie z Moskwy, jak zręcznie i genialnie tłumaczył Stalinowi, Mołotowowi i Andriejowi Wyszynskiemu, że i oni, i on jednakowo nienawidzą Becka, i że to musi ich łączyć etc. Jakby Beck czy, z innej beczki, poglądy Romana Dmowskiego, mogły takich cyników, jak sowietarzy, przez sekundę interesować!

Kot-profesor; Kot-polityk; Kot-człowiek. Trzy postacie, które są różne, bardzo różne. Jako profesor Uniwersytetu, pedagog, wykładowca, kierownik seminarium, przyjaciel swoich uczniów, dbały o ich karierę, Kot był znakomity, zasługuje na same pochwały. Jako uczoney i historyk Reformacji jest kwestionowany. Jaworski i Tennenbaum byli jedynymi dobrze mi znanymi osobami świeckimi w Polsce, którzy interesowali się naprawdę i żywo nie tylko filozofią, ale także teologią, czytali pisma Ojców Kościoła etc. Obaj Kota doskonale znali, byli z nim w przyjaźni, i obaj za jego plecami z niego się podśmiewali, mówiąc to samo: „Dla Kota reformacja w Polsce to tylko chciwość możnowładców, którzy chcieli zagrabić dobra kościelne. Oczywiście, to też grało, ale to nie wszystko; Kot o metafizyce nie ma zielonego pojęcia!”. Sam się teologią, filozofią, metafizyką nigdy nie interesowałem; *l'inquiétude métaphysique*, która miała być tak typowa dla Bernanosa, była mi, i jest, zupełnie obca. Ale chętnie wierzę, że historia Arian i Socynianów w Polsce musi być napisana ponownie. Co nie

przeszkadza, że Kot jako historyk kultury górował nad wielu innymi współczesnymi mu historykami. Zabranie katedry Kotowi było wielką krzywdą.

W sumie, Kot nie odegrał w Polsce większej roli. Był satelitą Sikorskiego, raczej niefortunnym, a potem managerem Mikołajczyka, który był malusieńkim partyjnymmacherem. Był on nie ludowcem – tam był raczej wtyczką – ale „sikorszczykiem”. Oczywiście, Kot był człowiekiem większej klasy, niż Retinger, Adam Romer itd. Nie waham się powiedzieć, że osobiście Kota lubiłem jako człowieka, że lubiłem jego towarzystwo, że rozmowa z nim nigdy mnie nie nudziła. Jego braki, jego wady były niestety w Polsce częste i dość typowe dla polskiej inteligencji, dla polskich stosunków partyjnych i politycznych, i to po obu stronach barykady, zarówno prorządowej, jak i opozycyjnej.

Z ludowców znałem najlepiej Kota, potem Tennenbauma; Witos, Rataja i Mikołajczyka znałem dużo mniej. Witos był z nich oczywiście najwybitniejszym. Poznałem go w roku 1924, jako student w Krakowie, i już współpracownik *Czasu*, gdzie byłem otoczony specjalnymi faworami, jako jedyny współpracownik poniżej pięćdziesiątki. Stanisław Konopka z Mogilan, który był prezesem krakowskiego Towarzystwa Rolniczego, organu ziemiaństwa, wybrał się na wspólny wiec czy zjazd z Towarzystwem Kółek Rolniczych, którego wodzem był Witos, wówczas były dwukrotny premier. Zjazd ten odbył się w Tarnowie. Podkochałem się wówczas bez pamięci w córce Stanisława Konopki, i może z tego powodu Konopka zabrał mnie ze sobą na ten zjazd. Pamiętam salę nabitą chłopami do ostatniego miejsca i pełną dymu; siorbanie nosów rozlegało się ciągle. Przewodniczył Witos, który to robił z dużą wprawą i dużym autorytetem. Sam pierwszy przemawiał, a potem oddał głos Konopce, który wygłosił długi referat o fatalnej sytuacji rolnictwa za rządów Władysława Grabskiego, i domagał się, jak to czynią rolnicy zawsze i wszędzie, tanich kredytów od rządu. Gdy siorbanie i chrząkanie stawały się zbyt głośne, Witos podnosił się ze swego zydlia i wołał: „Cicho! Chłopy, kiedy Pan Baron mówi!”. Po tym zebraniu, St. Konopka zaprosił Witosa z jakimś innym ludowcem, ale nie pamiętam

z kim, z Dr Hupką, który był ziemianinem spod Przemyśla, posłem do Reichsratu wiedeńskiego, a potem do Sejmu, i uchodził za wielkiego znawcę spraw rolniczych, i ze mną, na obiad w jakimś klubie czy resursie, już nie pamiętam. To co mnie uderzyło najbardziej u Witosy, to był jego temperament konserwatywny. Ani sekundy nie odniosłem wrażenia, by pałał nienawiścią klasową wobec wielkiej własności; przeciwnie, wydawało mi się, że Witos nie tylko wierzy w solidarność wszystkich rolników, ale że ma dla ziemian galicyjskich szacunek i jakby zaufanie. W ciągu dwóch lat następnych spotykałem Witosy jeszcze kilka razy, u Jaworskiego, do którego odnosił się z atencją i zawsze go tytułował „Excellencją”, przy paru innych okazjach; kiedyś jechałem z nim we dwójkę z Tarnowa do Krakowa koleją, gdy zaprosił mnie do swego przedziału. Witos nie wydał mi się „wielkim człowiekiem”, ale *a strong personality*; miał coś mocnego, poważnego w swojej osobie; mimo długich butów i braku krawata, co w owych czasach wydało mi się niepotrzebną afektacją, Witos był dystyngowany, milion razy bardziej od gbura Mikołajczyka i wielu innych. Był zdecydowanie przystojnym mężczyzną; jego twarz wydała mi się węgierska, może nawet albańska, o ciemnej ogorzalej cerze, przeciętej horyzontalnie wielkimi wąsami, tak sztywnymi, że zastanawiałem się, czy nie używa fiksatuaru. Mówił mało, ostrożnie, powoli, zastanawiał się nad każdym słowem, sprawiał wrażenie wielkiego opanowania i wielkiego spokoju. Był to z całą pewnością konserwatysta, który we Francji znalazłby się na prawicy półkola parlamentarnego; był bardzo antyrosyjski i antybolszewicki, nie lubił bardzo zaboru rosyjskiego, nie znał go i nie rozumiał. Był wyraźnie antysocjalistyczny; ruch ten wydawał mu się fundamentalnie i diametralnie sprzeczny z interesami chłopów. Miał instynktowne przekonanie, że handel oszukuje chłopów, co zresztą jest wszędzie prawdą; na całym świecie marże handlowe są największe w stosunku do płodów rolnych, i z natury rzeczy chłop broni się przeciw tym marżom kupców-pośredników jeszcze gorzej niż wielka własność, czy tym bardziej fabrykanci. Z tej niechęci do handlu wyływała jego instynktowna nieufność do „narodu handlowego”, która była wyraźna. Dlaczego Witos nie porozumiał się nigdy z endecją, której był z pewnością dużo bliższy, niż Centrolewu? Myślę, że chodziło o to, iż nie miał zaufania do talentów politycznych endecji. Witos był w ogóle nieufny, był nieufny w stosunku do inteligencji, i dla

niego endecja, jak mi się wydawało, to był St. Grabski, a nie Dmowski, którego prawie nie znał. Otóż miałem wrażenie, że dla Witosy galicyjski „Pan Hrabia”, czy galicyjska „Excellencja” byli czymś dużo bardziej zrozumiałym od inteligenckiego „Galicjoka z Kongresowy”, jakim z pewnością był St. Grabski. Witos był szalenie galicyjski. Wolał Sikorskiego od Piłsudskiego, bo Sikorski był z Galicji. Chciał koniecznie mieć w swym trzecim rządzie Al. Skrzyńskiego, jako ministra spraw zagranicznych, i zarezerwował dla niego tę tekę, bo sądził, że dobry dyplomata musi być z „Widnia”.

To są wszystko drobiazgi. Jako symbol, symbol chłopstwa, chłopskiej Polski, Witos był ideałem, tak jak Piłsudski był idealnym symbolem Polski romantycznej, szlacheckiej, inteligenckiej, w końcu także oficerskiej. Ale czy był w stanie rządzić? Czy mógł być czymś więcej, niż pięknym, szlachetnym, zasłużonym symbolem? Osobiście myślę, że gdyby miał odpowiednie wykształcenie, gimnazjum, uniwersytet, doktorat, doświadczenie w administracji, a nie tylko partyjne i parlamentarne, to miałby dane na premiera w wielkim stylu; czasem nawet wydaje mi się, że mógłby – oczywiście tylko na polską skalę – rywalizować z Georges Pompidou, który, przy całej wiedzy, przy całym kolosalnym doświadczeniu i talencie administracyjnym, miał w zasadzie tę samą wielką zaletę, co Witos: chłopski rozum, zdrowy rozsądek. Chętnie uwierzę, że Chrobry, a może także Jagiełło, byli tylko „Witosami” swojej epoki. Ale w XX wieku chłopski rozum już nie wystarcza. Sam Witos zdawał sobie doskonale sprawę ze swoich braków. Wszyscy ci, a znałem ich wielu, którzy z Witosem spotykali się urzędowo jako z premierem, podkreślali, że stale opuszczali jego gabinet, nie wiedząc, co premier myśli o ich radach czy petycjach, nie byli pewni, czy dobrze rozumiał, o co chodzi. W swoim artykule o Witosie z okazji stulecia jego urodzin, dr T. Bielecki podkreśla, że Witos nie miał zaufania do inteligencji; ja myślę, że przede wszystkim nie miał zaufania do samego siebie. Nigdy nie był pewien, czy jego decyzja jest trafna, więc wolał z tą decyzją zwlekać.

Byłem przez wiele lat w przyjaźni z Anglikiem, który dziewięć lat mieszkał w Warszawie, w nieokreślonym charakterze; *de facto* momenty osobiste zadecydowały o tym pobycie, ale, jak każdy zamożny i dobrze urodzony i wychowany Anglik z pewnych sfer, pozostawał w kontakcie z ambasadą angielską i oddawał jej usługi,

utrzymując stosunki z opozycją, które dla urzędników ambasady mogłyby być żenujące. Kiedyś, już po wojnie, spacerując ze mną, ten Anglik wyjął notes i odczytał mi swe notatki z rozmowy, którą odbył z Witosem w Wierzchosławicach po jego powrocie z Czechosłowacji, a więc na krótko przed feralnym 1 września 1939. Na pytanie Anglika, co myśli o Gdańsku, Witos miał odpowiedzieć: „trzeba go oddać Niemcom, ale niech to zrobi Beck, tak aby opozycja nie musiała brać za to odpowiedzialności”.

Witos jest wielkim symbolem, pięknym symbolem. Jest potężnym *a might have-been*. Był na pewno silniejszą indywidualnością od Daszyńskiego, Korfantego, Józefa Hallera, Sikorskiego, cóż dopiero od innych ludowców. A teraz Polski chłopskiej już nigdy być nie może.



Macieja Rataja spotkałem kilkakrotnie na (znakomitych) obiadach w mieszkaniu prof. Henryka Tennenbauma, który był członkiem Stronnictwa Ludowego, i z dumą podkreślał, że regularnie płaci składki. Było to w latach 1935-38. Rataj był bardzo miłym człowiekiem, przystojnym i dystyngowanym; zawsze w Krakowie słyszałem gadkę, że jest on nieślubnym synem Adama Tarnowskiego, ambasadora Austro-Węgier w Waszyngtonie. Juliusz Tarnowski z Suchej, którego niedawno indagowałem o to w Paryżu, wydał się zdumiony, i powiedział mi, że nigdy o tej plotce nie słyszał. *On prête aux riches...* Ale Rataj, to był człowiek słaby, słaby... O ile Witos był chłopem, o tyle Rataj był bardzo typowym inteligentem, który z chłopstwem nic wspólnego nie miał. Stronnictwo Ludowe nie miało dość własnego personelu na poziomie, który my nazywamy inteligenckim, Francuzi burżuazyjnym, zaś Anglicy *middle class*, i ta ostatnia definicja jest a pewnością najlepsza. Rataj na pewno doskonale się nadawał na marszałka Sejmu; dwa razy był doskonałym interrexem; byłby zapewne przy sejmowładztwie dużo lepszym prezydentem R.P., niż Wojciechowski, ale efektywnej władzy sprawować nie mógł. Był na to o wiele za słaby, o wiele za miękki, o wiele za chwiejny. Był osobiście bardzo sympatyczny, miły, uprzejmy, kulturalny, daleki od roznamiętnienia, zawsze skłonny do kompromisu. Kilka razy Tennenbaum zaprosił mnie do siebie na kolację z Ratajem i z Niedziałkowskim, którzy byli duchowo do siebie podobni; obaj byli dżentelmenami, obaj

byli głady, inteligentni, dalecy od zaperzenia, od skrajności, od podniecenia, obaj byli bardzo zachodni, liberałowie raczej, niż socjalista i ludowiec. Zawsze uważałem wojnę na noże z Witosem, Ratajem i Niedziałkowskim za totalny nonsens. Wszyscy trzej wydawali mi się ludźmi nie centrum, ale centro-prawu, totalnie obcy nie to komunizmowi, ale jakimkolwiek ruchom wywrotowym. Rataj był pesymistą, bywał smętny, ale nic nie miał z ponuraka, z człowieka, który uważa się za skrzywdzonego przez życie, i był w każdym calu szalenie zachodni, kompletnie obcy, tak samo jak i Niedziałkowski, wszystkim wiatrom ze wschodu. Rozstając się z Ratajem, zawsze wydawało mi się, że jestem w Wiedniu.



Z Henrykiem Tennenbaumem zbliżyła nas ekonomia. Obaj mieliśmy pasję do dyskusowania polityki ekonomicznej, nie teorii, broń Boże, która i jego i mnie nudziła do ostatnich granic, ale dyskusja o tym, co trzeba by zrobić, by nasz nieszczęsny kraj wyciągnąć z otchłani kryzysu. Dzisiaj, *ex post*, przyznaję, że byłem w okresie międzywojennym zanadto „monetarystą”, zbyt wielkie przypisywałem znaczenie stałości waluty i automatyzmowi zjawisk gospodarczych; te koncepcje są bardzo zadowalające *pour l'esprit*, ale w praktyce trzeba przyjmować dużo bardziej elastyczne stanowisko, dużo mniej doktrynerskie. Tennenbaum był słaby gdy chodziło o skarbowość, budżet, walutę, pieniądz i kredyt, ale miał ogromną znajomość realiów życia gospodarczego, w szczególności przemysłu i spraw kartelowych; po długiej karierze w przemyśle w Królestwie i w Rosji, był po wojnie przez długie lata dyrektorem departamentu Handlu Zagranicznego w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, a w czasach gdy go widywałem był tylko konsultantem „Lewitana”. Był to człowiek psychicznie dużo bardziej typowy dla epoki sprzed 1914 roku, niż dla „dwudziestolecia”. Dla tej generacji różnice zaborów były dużo wyraźniejsze, niż dla ludzi choćby o dziesięć lat młodszych. Gdy rozmawiałem z Janem Kantym Steczkowskim, pierwszym prezesem BGK w Warszawie, wydawało mi się, że jestem z powrotem w Krakowie, wydawało mi się, że rozmawiam ze Starzewskimi, Estreicherami czy Potockimi spod Baranów. Gdy rozmawiałem z Aleksandrem Lednickim, wydawało

mi się, że trafiłem do Moskwy. Tennenbaum, Patek, Gliwic, etc. przypominali Warszawę sprzed pierwszej wojny światowej. Tennenbaum, jak wielu jego rówieśników z Warszawy, nie widział dla siebie nigdzie miejsca w cyferblacie partyjnym międzywojnia; sanacja i endecja odrzucały go swoim antyliberalizmem. Socjaliści swym anty-kapitalistycznym nastawieniem. Więc *nolens volens* zapisywali się panowie z Piasta, by znaleźć w nim przystań, choć z ruchem ludowym nie mieli nic wspólnego. Specjalnie mnie to zawsze uderzało u Tennenbauma. Jego *credo* – to była ochrona celna dla przemysłu. Nie tylko nie chciał nigdy słyszeć o najmniejszych ustępstwach celnych dla Niemiec, ale nawet podobne zniżki dla Czechosłowacji wydawały mu się wyrokiem śmierci dla całego przemysłu polskiego. Był skrajnym protekcjonistą. Pod tym względem on i Andrzej Wierzbicki, dyktator „Lewitana”, byli w stu procentach zgodni; na każdą uwagę, że w interesie chłopów i Polski leżała liberalizacja handlu zagranicznego Polski, obaj dostawali drgawek. Na ten temat przeprowadziłem Bóg wie ile dysput z Tennenbaumem i nigdy o milimetr nie zmienił swej pozycji. Zawsze go pytałem, jak to godzi ze swym członkostwem w Stronnictwie Ludowym, bo przecie obniżki taryfy celnej na narzędzia rolnicze, na nawozy sztuczne etc. wydawały mi się w interesie chłopów. Tennenbaum i Wierzbicki nie chcieli o tym słyszeć pod żadnym warunkiem.

Zapoznałem Tennenbauma z Matuszewskim; obaj się nie znali i obaj byli wysokiego mniemania o sobie. Ich stosunki stały się przyjazne i dość regularne. Pamiętam, jak kiedyś w ciągu dwóch godzin Matuszewski wypytywał się Tennenbauma o kartel węglowy, bo lubił się informować i cenił wysoko fachowców. Na zakończenie Matuszewski zapytał Tennenbauma prosto z mostu: „Panie Profesorze, z bankierów i wielkich przemysłowców żydowskich, z kim, zdaniem Pana, warto poważnie rozmawiać?”. Na to Tennenbaum dał jak najbardziej ujemny opis wszystkich matadorów żydowskich życia gospodarczego; konkluzja jego brzmiała, że tylko Falter jest człowiekiem serio, a reszta to idioci. Tennenbaum zresztą lubił szafować terminem „idiota” albo „kretyn”. O ile się orientuję, z Witosem Tennenbaum żadnych stosunków nie miał, a w czasie wojny był z Kotem i Mikołajczykiem na noże. W gruncie rzeczy, jeżeli Witos, Rataj, Tennenbaum, Mikołajczyk, i może nawet Kot, nie połączyli się z sanacją, to należy to przypisać dziwnej

nieumiejętności manewrowania hierarchii BBWR, jej niezdolności wyjścia z zaklętego kółka Legionistów, P.O.W., etc.

Wreszcie Mikołajczyk. Był to ponurak, pozbawiony wszelkiego wdzięku, wszelkiego *charme*'u, skompleksiały, dużo bardziej prowincjonalny od Kota. Kot byłby dla Witosa doskonałym wojewodą krakowskim, Mikołajczyk byłby może dobrym starostą w Szamotułach. Poznałem Mikołajczyka w BBC, gdy byłem tam speakerem; przypadło mi w udziale kilka razy zapowiadać przemówienia do kraju Mikołajczyka jako prezesa Rady Narodowej. Był on wówczas aż żenująco ugrzeczniony, co chwila wołał: „Panie Redaktorze”, kłaniał się w pas, nie wiedziałem, jak się odplacać. Gdy został premierem, odziedziczyłem przy nim moją funkcję przy Sikorskim – tłumacza jego mów na angielski. Były to tasie mce bez końca, pisane przez jakichś urzędników; zawsze tam były frazesy o Krzyżakach, Grunwaldzie, o przedmurzu, o cierpieniach, o „Za waszą i naszą...”, słowem woda, i woda, i woda. Gdym kończył tłumaczenie, Mikołajczyk pytał co sądzę o jego elukubracji. Za pierwszym razem powiedziałem mu, co myślę: powiedziałem mu, że zrobię z tego jedną stroniczkę i że może wówczas parę linijek trafi do angielskiej prasy. A bez tego... Mikołajczyk oczywiście nie dał się przekonać. Nazajutrz nie było nigdzie w prasie angielskiej wzmianki o tej mowie Mikołajczyka; nie oparłem się pokusie zjawienia się u niego z plikiem gazet, mówiąc jemu: a kto miał rację? Mikołajczyk wpadł w furję. Dałem spokój więc uwagom, i nic już dalej nie mówiłem. Oczywiście nigdy te przenuodne tasie mce nie znajdowały przytułku. W czasie tych audiencji premierowskich Mikołajczyk był dziwnie arogancki i nieprzyjemny, był szalenie powolny, niemrawy, uparty, a jednocześnie niezdecydowany, robił przy tym wrażenie człowieka myślącego bardzo powoli. Był nie tylko sto razy bardziej antypatyczny od Kota, ale także od Sikorskiego, który był irytująco próżny i nawet kabotyński, gdy tylko było więcej niż dwie osoby, ale który miał pewien szarmik, gdy się z nim siedziało we dwójkę w studio, i który zawsze robił wrażenie człowieka bystrego, chwyтлиwego; nigdy Sikorski nie wydawał się „menda”, której trzeba sto razy wszystko tłumaczyć. Nigdy nie

mogłem zrozumieć, jak człowiek tak inteligentny i żywy, jak St. Mackiewicz mógł twierdzić, że Mikołajczyk jest lepszy, czy mniej zły od Sikorskiego. Moim zdaniem Mikołajczyk sam nic nie reprezentował – był narzędziem Anglików, gdy ci doszli do wniosku, że Polski ani rządu londyńskiego nie uratują i uznali, że Mikołajczyk lepiej, niż kto inny, nadaje się na likwidatora całej tej polonofilskiej imprezy. Rozumiem, że można chwalić Witosa, Rataja, nawet ewentualnie Kota, choć miał wielkie wady; ale nie pojmuję, co można upatrywać w Mikołajczyku. Był to mały człowiek, oszukany i porzucony przez Anglików i Amerykanów, potem już nie tylko przez Stalina, ale także przez Bieruta.

Kultura, nr 5/344, 1976

Juliusz Mieroszewski

Właściwie nie znaleźliśmy się wcale. Trzy lata różnicy wieku, to nie koło siedemdziesiątki, to bardzo dużo na ławie uniwersyteckiej. Gdym kończył czwarty rok studiów prawniczych, on je zaczynał; później umknąłem do Warszawy i za granicę, on pozostał wierny krakowskiemu Plantom, pracował w *Ikacu* aż do wybuchu wojny. Mieroszewski pochodził ze starej, zamożnej, ziemiańskiej rodziny podkrakowskiej, która posiadała Ordynację; ta, niestety, z biegiem lat zmalała. Po wojnie spotkałem go raz tylko u Giedroycia w Londynie; był szczupły, niewielkiego wzrostu, w okularach, wyglądał na dość typowego *English intellectual* starszego pokolenia, co to wyrosli z „Fabian Group” i z omal dziecinną radością odkrywali, po dwustu latach mądrości *City* i *Treasury*, nieznane i z lekka heretyckie rozkosze akademickiego socjalizmu.

Mieroszewski był zawodowym dziennikarzem i publicystą; ale kto wie, czy kariera uniwersytecka nie byłaby dla niego właściwsza? Był to odludek, podczas gdy rasowy publicysta powinien żyć szeroko i „znać wszystkich”, mieć bardzo żywy kontakt ze wszystkimi kołami społeczeństwa. Był to człowiek skłonny do introspekcji, do samokrytyki, do wątpliwości; cechy bardzo cenne u naukowca, mniej wartościowe na niwie publicystyki. Miał inklinacje doktrynerskie, miał pociąg do specjalizacji, do układania wszystkiego w sztywne schematy. W Krakowie, oddalonym coraz bardziej od aktywnej polityki, ta ucieczka od rzeczywistości była częsta.

Za mało znałem Mieroszewskiego, by móc to twierdzić z pewnością; ale wydaje mi się że mentalnością, nie charakterem,

przypominał trochę Konstantego Grzybowskiego. Ten ostatni był bardziej błyskotliwy, bardziej też „wygadany”, miał ambicjki polityczne, które doprowadziły go do dziwnych łamańców życiowych; od konserwy do sanacji, a po wojnie do „fellow-travellerstwa”. Mieroszewski nic z karierowiczostwa, ani nawet z ambicji dostojeństw czy znaczenia nie miał; kontentował się, jak tyłu innych naszych rodaków, próbami „rządu dusz”.

Jak wszyscy Polacy mego pokolenia, jak wszyscy moi koledzy z U.J., Mieroszewski miał szalenie ciężkie życie, stale musiał się borykać z trudnościami materialnymi. W publicystyce nie miał pazura; w polityce nie miał praktycznego doświadczenia; w ekonomii i prawie nie miał gruntownego wykształcenia. Był bardzo czytany, ale jego olbrzymie lektury były, niestety, gmachem bez solidnych fundamentów. Przywiązywał przesadne znaczenie, jak tyłu innych naszych rodaków, tzw. problemom „ideologicznym”, czyli doktrynom, programom, wypowiedziom; nie rozróżniał dostatecznie pozorów od istoty rzeczy, nie doceniał szalonej hipokryzji polityków, partii, rządów, programów, oświadczeń, ba, całych ludów i rządów; sądził wszystkich i wszystko po sobie, a on sam był na pewno od hipokryzji jak najdalszy. Może czułby się szczęśliwszy jako profesor najnowszych doktryn politycznych na U.J., obok Ciołkosza jako profesora historii socjalizmu, a Bieleckiego jako profesora historii ruchów nacjonalistycznych w XX w. Może by cała ta trójka – nie w Polsce pod butem Rosji, oczywiście! – spierała się pogodnie z prof. Kotem, który, jako historyk kultury, był oczywiście wybitny, może nawet znakomity, i może by w swoich respektywnych działach ci trzej krakowianie – profesorzy zdobyli wielkie laury, większe od tych, które ciężką, żmudną i niewdzięczną pracą, na niwie polityki i publicystyki, nie nauki, sobie zdobyli.

Wracając do Juliusza Mieroszewskiego, trzeba podkreślić że w swej pracy publicystycznej, niemal wyłącznie na łamach paryskiej *Kultury*, korzystał z jednego bezcennego atutu i ugiął się pod wielu handicapami. Tym bezcennym atutem była oczywiście stuprocentowa lojalność Giedroycia wobec niego. O ile mi wiadomo, Giedroyc nigdy nie narzucał Mieroszewskiemu żadnych poglądów, żadnej teorii, nigdy nie dyktował mu niczego ani niczego mu nie odrzucał, nigdy też nie pozwalał sobie na jakiegokolwiek skreślenia czy zmiany, czy dodatki do jego tekstów. Na Zachodzie te rzeczy rozumieją się same przez się; w Polsce przedwojennej

rozumiały się tylko w kilku organach konserwatywnych, jak w krakowskim *Czasie* i w *Kurierze Warszawskim*, gdzie pani Hortensja Lewentalowa nie tolerowała ani chamstwa, ani złego wychowania, ani też braku szacunku dla niezależności wielkich publicystów. Poza prasą konserwatywną jeden Grydzewski odznaczał się tą staromodną, ale bezcenną cnotą szacunku dla współpracowników, dobrowolnej redukcji roli redaktora w stosunku do swych współpracowników do roli przyjaciela, pomocnika i technika. Jeżeli będzie ogłoszony kiedyś zbiór artykułów Mioszewskego w *Kulturze* – i będę się serdecznie cieszył, gdy to nastąpi – to wierzę iż będę mógł spokojnie ten tom przeczytać, nie zastanawiając się, co tu czy tam zostało skreślone, zmienione czy dodane. Pod tym względem Mioszewski był wyraźnie uprzywilejowany na emigracji, zwłaszcza gdy choroba uniemożliwiła prawdziwemu liberałowi i *gentlemanowi*, którym był Grydzewski, dalej prowadzić *Wiadomości*; o innych pismach nie ma nawet co mówić. Oczywiście swoboda w wypowiedaniu się, bez oglądania się na cenzora, dawała Mioszewskeemu olbrzymie fory.

Ale cierpiał on na skutek straszliwych warunków pracy polskiego publicysty. Słuchając przez wiele lat codziennych radiowych pogadanek Raymond Cartier, który miał też do własnej dyspozycji wspaniały tygodnik *Paris-Match*, oddany mu przez wielkiego wydawcę, Jean Prouvost, robiłem myślowo porównania między Cartierem a Mioszewskeim. Cartier miał trybunę na cały świat, nazwisko na cały świat, miliony czytelników i słuchaczy: Mioszewski nie mógł nawet o tysiącznej części tego audytorium marzyć. Dzięki swemu rozgłosowi Cartier znał wszystkich wybitnych mężów stanu świata, od Mao do Czang Kaj-szeka; Mioszewski nie znał nikogo. Cartier miał idealne warunki finansowe; gdy tylko go coś interesowało, momentalnie tam wyruszał wynajętym specjalnie dla niego samolotem, wraz ze sztabem współpracowników i sekretarek; na miejscu miał zamówione rozmowy z kim tylko chciał. Jego sztab prywatny składał się z 18 wykwalifikowanych sekretarzy i sekretarek, którzy dla niego czytali gazety, książki, statystyki, robili mu wycinki, sprawdzali każde nazwisko, każdą datę, każdą cytację, każdą cyfrę. Oczywiście każda książka, każde wydawnictwo, którego Cartier mógł zażądać, zjawiały się już nazajutrz na jego biurku. Pracował tylko w domu, w swoim wspaniałym

mieszkań w Paryżu, czy w swoim zamku na wsi. Miał aparaty nadawcze w swoich samochodach, w samolocie, w kajutach statków, którymi jeździł. Umarł w czasie poprawiania tekstu swojej ostatniej emisji dla Radia Luxemburg, gdzie przez dwadzieścia lat wygłaszał tezy, najbardziej sprzeczne z poglądami zarówno właścicieli tego prywatnego radia, jak i kolejnych rządów Francji. Był anty-gaullistą, antysocjalistą, antynacjonalistą, ale przede wszystkim stał stanowczo na stanowisku stuprocentowej solidarności Zachodu, czyli St. Zjedn. i Europy, oczywiście bez Rosji i bez Turcji, których to państw i ludów do Europy nie zaliczał. Cartier, jeden jedyny we Francji, popierał Nixona. Był szalenie anty-Trzeci Świat, szalenie antyarabski, tak samo jak antymurzyński, antyrosyjski, antychiński, antyindyjski etc. Miał talent do jasnych, zwięzłych formułek: pamiętam, jak w przeddzień śmierci mówił już słabnącym głosem do radia Luxemburg: *L'histoire de l'Europe d'après-guerre, c'est très simple: l'Angleterre descend, descend, descend; l'Allemagne monte, monte, monte!**. A był to anglofil, pełen podziwu dla dawnego Brytyjskiego Imperium. Ale to był realista.

Cieszę się bardzo, że nigdy nie było między Mieroszewskim a mną żadnej polemiki. Nawet największym wychodzą one tylko na złe; Clémenceau i Foch obaj się pomniejszyli, zwłaszcza pierwszy, gdy po r. 1918 dali upust w specjalnych książkach i broszurach antypatii, którą wzajemnie do siebie odczuwali. *Ditto* obraźliwe listy, które Clémenceau pisał, jako premier, do Poincarégo, stanowią przykrą lekturę, nawet dzisiaj. Publicystyka – to pisanie historii współczesnej, na gorąco, a więc zawsze bez pełnej obiektywności. Mieroszewskiego i mnie łączył wiek, wspomnienia krakowskie, krakowski sceptycyzm, krakowski szacunek dla wiedzy, dla studiów, dla nauki, dla dobrych manier. Mieroszewski był zawsze jak najdalszy od intryg, od zaciekłości, od nienawiści, od zazdrości, od chęci szkodenia, od krzykactwa i demagogii. Ale był historykiem doktryn, ja – wypadków i ludzi. To, co go interesowało, wydawało mi się często nieważne, i zapewne *vice-versa*. Po prostu mieliśmy inne lunety, by oglądać świat, który nas otaczał. A o wpływie na przebieg wypadków ani on, ani ja, jak i wszyscy Polacy, nie mogliśmy nigdy marzyć.

* „Historia powojennej Europy jest bardzo prosta: Anglia schodzi w dół, schodzi, schodzi; Niemcy wnoszą się, wnoszą, wnoszą.”

Mierszewski był człowiekiem głęboko zachodnim. Nigdy nie ulegał oparom admiracji dla Rosji. Brał w moim przekonaniu komunizm rosyjski zanadto na serio, widział raczej stronę sowiecką, niż rosyjską polityki Kremla. Ale przynajmniej opierał swe analizy nie na lekturze rosyjskiej, ale niemal wyłącznie angielskiej. Był on pod silnym wrażeniem angielskiej szkoły lewicującej, którą chyba najlepiej określić mianem „London School of Economics”, która ma we Francji odpowiednik w redakcji *Le Monde*. Można oczywiście uważać, że wybór innych mistrzów byłby trafniejszy. Może gdyby nie jego okropna choroba, która mu odbierała możliwość pisania w ostatnich latach, Mierszewski byłby spoglądał bardziej krytycznie na teorie „London S. of E.” na tle katastrofy ekonomicznej i politycznej Anglii pod rządami ludzi, wyznających to właśnie podejście. W każdym razie, Mierszewski zawsze starał się nas utrzymywać intelektualnie w sferze myśli zachodniej, nawet jeżeli z takich czy innych względów przesadne przypisywał znaczenie ewolucji i polityce Rosji. To nie był rusofil, to nie był człowiek zahipnotyzowany Rosją, to był człowiek Zachodu w każdym calu. To już zasługa. Byłem wiernym czytelnikiem Mierszewskiego przez trzydzieści lat, więc, choć go ledwo znałem, mam wrażenie, że żegnam starego i dobrego znajomego omal przyjaciela, w każdym razie najlepszego kolegę po fachu. Żegnam go z uznaniem, szanuję jego życie i jego pamięć. Jego rodzinie i Jerzemu Giedroyciowi chciałbym z tej smutnej okazji złożyć wyrazy serdecznego i gorącego współczucia.

Wiadomości, 22-29.8.1976

O Józefie Czapskim

Poznałem Józefa Czapskiego w Krakowie, na ulicy Wolskiej pod nr. 18 w tzw. Puszetówce. Prawie na pewno to spotkanie nastąpiło w początku r. 1924, może w marcu, może trochę wcześniej. Wówczas bowiem przenieśliśmy się, już nie wiem dlaczego, z Batorego 14 na Puszetówkę, gdzie wynająłem skromny pokój. W tymże domu mieszkał Józef Czapski z siostrą Marynią. Tam dopiero poznałem oboje. Nie było między nami żadnej nie to serdeczności, ale choćby zażyłości. Właścicielem Puszetówki był Ludwik baron de Puget, jak się oficjalnie podpisywał, ale cały Kraków zwał go, i także jego synów, Puszetami. Ludwik Puszet był szczupły, długi, małomówny, raczej smutny, miał w sobie coś z typowego intelektualisty krakowskiego, coś z artysty – był rzeźbiarzem – coś z Excellencji galicyjskiej. Otóż moje najdawniejsze wspomnienia o Czapskim, to widok wielkiego, długiego, prawie dwumetrowego dryblasza, kroczącego wielkimi krokami po Wolskiej, w kierunku Plant, gestykulującego rękami w zbyt krótkich rękawach kurtki typu, który można widzieć i dzisiaj, i zgiętego w pół ku dużo niższemu towarzyszowi, jednemu z młodych Puszetów. Czapski chodził zwykle bez kapelusza, albo w berecie, wyglądał właśnie tak, jak sobie wyobrażano wówczas malarza, jakby był żywcem wyjęty z jakiegoś sztychu z r. 1848, albo z epoki peleryn Wagnera. Byłem strasznie staromodny, sztywny, jak przystało na studenta Obojga Praw, na ulubieńca ostatnich Stańczyków, na Prymusa Prymusów, więc nosiłem oczywiście kapelusz i pamiętam, że zawsze ten *couvre-chef* z uprzejmością uchylał, gdy natrafił na Czapskiego, który wyglądał na chodzącą Wieżę Mariacką

(*ex re* wzrostu). Czapski na to normalnie odpowiadał dość gwałtownym ruchem ręki, który zdawał się oznaczać: „Odczep się, nudziarzu i natręcie!” Miałem wobec Czapskiego należną wśród konserwatystów konsyderację dla jego rodowodu; nie darmo Muzeum Czapskich było też na ul. Wolskiej. Grzeczność krakowska nakazywała być uprzejmym i kurtuazyjnym wobec malarzy: przecie Matejko i Wyspiański przyczynili się do sławy wawelskiego grodu, a także, choć mniej, Malczewski, Wyczółkowski, Mehoffer, nawet Axentowicz. Ale prawników, przy całej kurtuazji, obowiązywała pewna rezerwa, pewien dystans wobec „malarii”; to nie był materiał na polityków, prawników, profesorów, nawet literatów. Pamiętam, jak kiedyś zapytałem Wł.L.Jaworskiego, co myśli o Ignacym Rosnerze, który był przecie szwagrem samego Estreichera i bratem profesora ginekologii Aleksandra Rosnera, który wprowadził w świat całe pokolenia hrabiczów i hrabianek krakowskich, i wówczas wielki Mędrzec, Sokrates Krakowa, odparł: „Ignacy Rosner jest oczywiście człowiekiem bardzo wykształconym, bardzo zdolnym, doskonałym stylistą, ale widzi pan, w głębi duszy, to a r t y s t a!” Artysta – czyli któż może wiedzieć, co mu jutro strzeli do głowy, trzeba się trochę mieć na baczności! Toteż zawsze Czapski napępiał mnie pewnym niepokojem, nie szukałem zbliżenia z nim, jak z kolegami z prawa czy nawet z wydziału filozofii. Przypuszczam że Czapski mnie w ogóle nie zauważał. Niebawem wyjechał do Francji na czele grupy Kapistów, i więcej już go w Krakowie nie widywałem. Dalej spotykałem na Wolskiej od czasu do czasu jego siostrę, Marynię; imponowała mi swoim wzrostem; sam, z moim 1 metrem 85, instynktownie musiałem zwykle zniżyć głowę przy powitaniu czy rozmowie, a w wypadku rodzeństwa Czapskich musiałem zadzierać głowę do góry, co mnie właściwie irytowało. Pamiętam, że Pani Marynia nosiła wówczas suknie po ziemię, zwykle bardzo szerokie, którymi zamiatała cały chodnik ulicy Wolskiej, wznosząc tumany kurzu. Znowuż zdejmowałem ze czcigł. kapelusz, na co odpowiadała bez słowa nieznacznym skinieniem głowy; miała wyraz twarzy surowy, rysy ostre; w duszy mówiłem sobie, że porusza się jak chodzący rachunek sumienia. Miałem wrażenie, że patrzy na mnie, jak na zdegenerowanego grzesznika i w głowę zachodziłem, co też ma mi do zarzucenia. Nie pamiętam, bym w tych czasach krakowskich zamienił z nią coś więcej poza „dzień dobry” i „do widzenia”.

Później spotykałem Czapskiego w Paryżu, gdy on malował, a ja zbijałem baki, jako niepotrzebny attaché ambasady, ale znowuż poza banalną wymianą ukłonów nic z tych przypadkowych spotkań na Montparnassie nie pamiętam. Były to czasy, i trwały długo, gdy poza jedną, jedyną osobą, nikt na świecie mnie nie interesował ani jednej sekundy, i dotąd te moje ówczesne lata paryskie wydają mi się transem; ani rusz nie mogę sobie przypomnieć nazwisk czy twarzy ludzi, których widywałem co dzień, a po pięćdziesięciu latach mógłbym jeszcze dosłownie cytować długie rozmowy, opisywać z całą dokładnością suknie czy bluzki jednej jedynej osoby.

Nic więc mnie nie wiązało z Czapskimi, gdy po wojnie spotkałem ich znowu w falansterze Giedroycia w Maisons Laffitte, tym pierwszym, w parku. Ten pierwszy, bałaganiarski „Laffitte”, trochę kulig szlachecki, trochę „Jama Michalikowa”, miał dużo więcej uroku, choć mniej komfortu, niż późniejszy pałac *Kultury* w tymże Laficie, już bardziej Anty-Pałac Stalinowskiej Kultury, ale równie pewny, że tylko jego szlaki mogą zbawić Polskę, Ukrainę i Ludzkość, otworzyć wrota do szczęśliwej epoki Prawdziwego Marxizmu. Wówczas dopiero poznałem bliżej Józia i Marynię (błagam o wybaczenie mi tej poufałości, ale nie ma sposobu pisać wiecznie „Czapscy”: to brzmi jednak tak strasznie oficjalnie!). Czapski – skoro piszę o nim, a nie o jego siostrze – był nie tylko wielokrotnie miłszy w Lafficie, niż w Krakowie, ale także o wiele przystojniejszy. Szlachetna siwizna, później śnieżny czerep zastąpiły jego ryże, zbyt niemieckie na mój gust uwłosienie: cera jego stała się bledsza, zamiast ceglastej, i dużo bardziej dystygowana; rysy się zaostrzyły i nabrały krogulców; głos pozostał *staccato*, ale nabrał jakby jakiejś głębokości. Z kaczora Józio Czapski stał się jakby znakiem równania między Savonarolą a księciem Alby; widzę go i jako dominikanina palącego na stosie heretyków, i jako wyznawcę Gandhiego w kuczkach nad Gangesem. Jeszcze dzisiaj jest on na mój gust trochę zanadto egzaltowany; ale stał się dużo bardziej dojrzały, zharmonizowany, niż gdy wymachiwał zbyt długimi rękami w Krakowie w zbyt krótkiej kurteczce, w poplamionych i nieodprasowanych spodniach. Można go uważać za wielkiego malarza, albo nie, za wielkiego pisarza, albo nie; za myśliciela, albo nie; ale to jest „personality”. Jeżeliby Kraków przedwojenny, albo też paryska emigracja z r. 1945 miała znaleźć swego Marcela

Prousta, to wiele, bardzo wiele stron musiałyby poświęcić Józefowi Czapskiemu, tyleż co Giedroyciowi, który ma inne walory, zupełnie różne. I nie bardzo widzę, kto by, jako *indywidualność*, nie rola, znaczenie – mógł się ubiegać o trzecie miejsce.

Zapytałem niedawno Czapskiego: „Czy uważasz siebie za pisarza, czy za malarza?”. Odparł bez sekundy wahania: „Uważam siebie za autora 'Na nieludzkiej ziemi', i za malarza”. Ta odpowiedź mnie bardzo uderzyła. Bo przecie Czapski napisał nie tylko „Nieludzką ziemię”. Napisał on także, i w rozmowach wiecznie te same tematy porusza, ogromną ilość artykułów, rozpraw, odczytów o malarstwie, głównie współczesnym. Jest on krytykiem czy historykiem, czy teoretykiem malarstwa, prawie w tymże stopniu, co malarzem. Śp. Kajetan Morawski, który był człowiekiem bardzo czytany, bardzo, jak się u nas mówi, „kulturalnym”, często mawiał że gdyby Czapski wybrał czy to malarstwo, czy to pisanie o malarstwie, to zapewne w wybranej przez siebie dziedzinie dalej by zajechał. Osobiście przychyliam się raczej do zdania samego Czapskiego, który gdzieś zacytował zdanie Cézanne'a czy Monet'a; „o obrazach nie trzeba mówić czy pisać, trzeba je oglądać”. Jakie jest dzisiaj znaczenie Vasari? Jest ważny dla ustalenia autorstwa czy dat wielu obrazów, ale kto się liczy z jego estetyką? Krytyka literacka, cóż dopiero malarska, nie daje żadnej satysfakcji: to nie jest twórczość. I każda epoka widzi malarzy inaczej. Rzecz prosta, jestem tylko skromnym amatorem, nie mam żadnych pretensji do znawstwa. Mogę tylko z doświadczenia powiedzieć, że w miarę lat mój gust się zmieniał. Kiedyś Rafael mnie zachwycał; dzisiaj wydaje mi się akademicki i szablonowy. Kiedyś urzekał mnie Rembrandt; dzisiaj, poza jego autoportretem, gdy był już nad grobem, jego twórczość już mnie nie zachwyca. Dzisiaj lubię naprawdę tylko Goyę i impresjonistów francuskich, i to pejzażystów; portrecistów dużo mniej. Po r. 1920 widzę tylko jednego wielkiego malarza, mianowicie Modiglianiego. Jedyne dowód mego „znawstwa” malarstwa pochodzi z r. 1927; zaprosił mnie do siebie malarz Czedekowski, właściwie totalnie zaustriaczony; na tym obiadku (w smokach!) był tylko pan domu, jego żona (Austriaczka), jego córka, śliczna dziewczynka, 6-letnia, później żona śp. Adama Sierakowskiego, teraz pono za milionerem w Colorado, podstarzała markiza hiszpańska rodem z Ameryki i ja. Od razu zrozumiałem, że jestem zaproszony do bawienia

tej bogatej klientki. Pan domu pokazywał nam swoje arcydzieła, niemal wyłącznie portrety *en pied* owej amerykańsko-hiszpańskiej klientki. Nagle zauważyłem jakiś portret *chiaroscuro* o zupełnie innej fakturze. Zdumiony zapytałem się: „Czyj to portret?”. „Och, odparł Czedekowski, zresztą po francusku, bo, ze względu na Klientkę, rozmawialiśmy w tym języku, „*c'est une c r o u t e, mais par un vieil ami, mort depuis longtemps, alors par amitié pour lui, on la garde!*”. „Ale jak się nazywał” – nalegałem „Modigliani!” padła odpowiedź. Z tych wszystkich obrazów był to jedyny wartościowy, i zawsze jestem szalenie dumny, że z miejsca go zauważyłem. Ale poza tym jedynym wypadkiem nigdy nie złożyłem dowodów znawstwa malarstwa.

Pytałem się Józia Cz., czy interesuje się bardziej kolorem czy rysunkiem. Odparł, że rysunkiem. Podkreślał wspaniałość rysunku Rembrandta, potem Michała Anioła. Siebie uważa za epigona impresjonistów i post-impresjonistów, może szczególnie Cézanne'a. Zdziwiła mnie trochę jego skłonność do klasyfikowania malarzy według szkół: rozróżnia dokładnie Fauves'ów, ekspresjonistów, École de Paris itd. Odrzuca totalnie, o ile dobrze zrozumiałem, abstrakcjonistów z Jawlenskim i Kandynskim na czele. Znajduje uznanie dla prawie całego malarstwa XIX i XX wieku. Ma nadal słabość dla Ingres'a i Delacroix. Wymieniał mi też moc nazwisk malarzy niemieckich ze szkoły ekspresjonizmu, których nie zapamiętałem, bo mi nic nie mówiły. Wydaje mi się bardziej surowy dla malarzy rosyjskich, amerykańskich, może też angielskich. Pytałem go, czy zna książki Adama Heydla, który zginął w Oświęcimiu, jedną o Malczewskim, drugą pod tytułem „Myśli o kulturze”. Niestety, okazało się, że nawet o nich nie słyszał. W obu tych książkach, Heydel choć ekonomista z zawodu, twierdzi że, po szkole francuskiej, malarstwo polskie stało w Europie najwyżej, poczynając od drugiej połowy XIX w. Czapski tej opinii nie znał, ale z nią się nie zgodził. Uważa, że Polska miała dwóch wielkich malarzy, Michałowskiego i Maksymiliana Gierymskiego. Uważa, że Podkowińskiemu krzywdę wyrządził jego pretensjonalny „Szał” w Sukiennicach; inne obrazy Podkowińskiego mają być dużo lepsze. Poza tym wyrażał się z uznaniem o Malczewskim, jako symboliście, o Wyczółkowskim, mniej o Wyspiańskim, podkreślał walory swego mistrza Pankiewicza, swych kolegów i przyjaciół, Cybisa i Waliszewskiego. Może kategorycznie odmawia talentu

tylko Kossakom, zwłaszcza Wojciechowi. Co mnie najbardziej uderzyło w osądach Czapskiego, to jakby podświadomy nurt jego myśli, która skłania się do poglądu iż sztuka się r o z w i j a, że jest stale p o s t ę p w malarstwie, że każda nowa szkoła czy tendencja coś dodaje do dorobku wcześniejszych wieków: Drugi punkt, który mnie uderzył, to obojętność Czapskiego na nie-malarskie dziedziny sztuki; wyjątek robi tylko dla muzyki, o której dłużej nie mówiliśmy, i dla literatury, ale to jest *asobaja statja*, jak mówią Rosjanie i Jerzy Giedroyc. Kategorycznie oświadcza że nie interesuje się architekturą, rzeźbą, urbanistyką, ogrodnictwem, witrażami, mozaiką etc.

Kajetan Morawski – i nie był to jedyny wierny przyjaciel Józia, który był tego zdania – twierdził że Józio byłby większym malarzem albo pisarzem, gdyby poświęcił się wyłącznie jednej z tych dwóch dziedzin. Inni twierdzili, że Czapski malowałby lepiej, gdyby nie pisał równocześnie o malarstwie, gdyby się mniej przejmował krytyką i teorią malarstwa. Myślę że to drugie zastrzeżenie jest bardziej uzasadnione od pierwszego. Czapski jest z różnych powodów amatorem w tradycji XVIII w., w każdym razie wczesnego XIX w.; nie podchodzi on do malarstwa ani do literatury fachowo, jak to jest w modzie dzisiaj, pod wpływem nauk technicznych, gdzie specjalizacja jest konieczna i nieunikniona. Myślę że ma rację, gdy siebie uważa za malarza, a nie za pisarza, bo zawsze trzeba mieć wyraźny *violon d'Ingres*. Ale mieszanie zawodu krytyka czy teoretyka jakiejś dziedziny z praktyką tejże dziedziny może rzeczywiście szkodzić. Wielcy krytycy nie byli wielkimi pisarzami. Ruskin nie był artystą. Sainte Beuve jako krytyk pomylił się skandalicznie co do Balzaca (napisał że nigdy nikt nie będzie go porównywał z trzema największymi pisarzami XIX-wiecznej Francji, Georges Sand (!), Eugène Sue (!!)) i jakimś Charles Normand, o którym dzisiaj nikt nic nie wie). Uważam, że ocena malarzy może być tylko czysto subiektywna. Czapski nie lubi Velasqueza; jego srebrne tony wydają mi się niezrównane. Wszystkie Cézanny oddam za jeden pejzaż Moneta; któż może spór ten rozstrzygnąć? Na jakiej podstawie? Według jakich kryteriów? To samo z rzeźbą, z architekturą. Zgadza się, że z ł e j rzeźby jest jeszcze dużo więcej, niż złego malarstwa. W najlepszym razie śmiertelna nuda, w innych – po prostu ohyda. Ale wolę rzeźbę średniowieczną, romańską czy gotycką, od renesansowej, tym bardziej od barokowej, nawet od Berniniego,

et ses Saints bondissants. A architektura? Cóż za wiecznotrwałość (na ery historyczne, nie geologiczne, oczywiście!). Czyż Mezquita w Kordobie i Sainte Chapelle w Paryżu nie są piękniejsze od obrazów Giotto? Czy ruiny zamczysk francuskich z XI w. nie są bardziej pasjonujące od wielu ruin antyku? Myślę że Czapski jest dla zabytków architektury niesprawiedliwy: są one bardziej trwałe, nawet bardziej wieczno-trwałe od obrazów, i całego malarstwa.

Powiem jeszcze dwa słowa o moim osobistym zdaniu o obrazach Czapskiego, zdaniu czysto subiektywnym, bo obiektywnej opinii, możliwej i potrzebnej, gdy chodzi o nauki ścisłe, o praktyczne czy techniczne zagadnienia, o ekonomię i nawet o politykę, n i e m a gdy mowa o sztuce. W przeciwieństwie do Czapskiego, interesuje mnie w malarstwie kolor, a nie rysunek. Pomijam więc rysunki, czy gwasze Czapskiego. Martwe natury są tym działem, w którym jego talent najsilniej do mnie przemawia. W drugiej kolejce lubię jego pejzaże, w trzeciej jego obrazki, gdzie są ludzkie postacie, najmniej przepadam za jego portretami. Dziwi mnie zawsze jego pewna jakby brutalność i pasja do brzydoty w oddawaniu ludzkich postaci, nie pamiętam ani jednej, która byłaby ładną, ale to *jolie-jolie*, ani jednej, z której biłaby jakaś pogodność i pogoda, a przecież w życiu Czapski nie jest ponurakiem; jest serio, jest egzaltowany, jest zawsze trochę napięty, ale w porównaniu ze swym przyjacielem, Jerzym Giedroyciem, robi wrażenie człowieka pogodnego i szczęśliwego. Więc skąd i dlaczego te twarze poświęcone i jakby cierpiące, jakby to były wszystkie ilustracje do powieści Dostojewskiego, czy własnej opowieści Czapskiego „Na nieludzkiej ziemi”? Czasem mu się coś wyjątkowo uda, jak np. obrazek ze starą kobietą, która wygląda na zielonego kruka, i który widziałem na jego ostatniej wystawie w galerii „Galaxie” na rogu ulic Marboeuf i Francois I-er w czerwcu br. Ale są to dość rzadkie wyjątki. Z reguły jego obrazki rodzajowe z ludzkimi postaciami, zwykle w nienormalnych postawach, skulone czy skręcone, wydają mi się pochodzić od słynnej „L’Absinthe” Degasa; tylko w tym niewielkim, ale nadzwyczajnym arcydziele Degasa jest przy całej ohydzie i beznadziejności alkoholizmu dwojga rozbitków życiowych jakaś (Czapski mi pozwoli użyć wyrazu z tak ukochanego przez niego języka rosyjskiego) *nieżnost*, co nie jest ani czułością ani czulostkowością ani sympatią – ot to po prostu *nieżnost*. Nawet na tym dniu upadku i kobieta, i zwłaszcza mężczyzna zachowują w obrazie Degas’a jakby jakieś

dalekie echa XVIII-wiecznej dystynkcji i poloru. A u Czapskiego te same obrazki *épaves* życiowych w kafejkach paryskich są już ilustracją Gorkiego, nawet nie Eugène Sue. Nie, tego wszystkiego nie lubię. Nie lubię też tych ogromnych słońc Czapskiego, które wydają mi się stylizacją à la Van Gogh, ale ta stylizacja była u Van Gogha naturalna, bo tak malował, gdy syfilis i obłąd już go prowadziły do samobójstwa. Za to w *natures mortes* Czapskiego znajduję delikatność, elegancję, pewien smutek, pewną melancholię, które są i polskie, i pasują do jego stron rodzinnych, z ich pułapem niskich chmur i smutnych brzoź, i do pewnych cech charakteru i usposobienia Czapskiego. Ma on jakby kobiecą zgrabność na końcu palców czy na końcu pędzla, gdy chodzi o oddanie rzeczy tak prostych, banalnych, codziennych, jak stolik, okno, kilka owoców. Dziwię się tylko, dlaczego Czapski zawsze wybiera kolory ciemnawe dla swych obrazów, dlaczego ten admirator Cézanne'a nie naśladuje swego mistrza, który, w swych bukietach kwiatów, w swych wazonikach dla tychże bukietów, potrafił wydobyć tak czarowne, tak promienne białe i niebieskie kolory ze swej palety? Czapski zawsze na to odpowiada: „Bo ja tak te rzeczy widzę!” Szkoda. Jego brązowawo-oliwkowy kamerton kolorów zyskałby dużo, gdyby mu dodać tu czy tam jakieś odcienie słodsze, miększe, jakiś promyczek, czy nitkę srebra, albo złota atłasu. Myślę że Polak, obojętny artysta, pisarz czy polityk, nie jest z natury wszechstronny. Wachlarz obrazów Piotra Michałowskiego jest arcy-skromny; konie, i koniec. Gierymski – to pejzaż, i koniec. Myślę, że Czapski koncentrując się na *natures mortes* byłby mógł zdobyć, nawet dzisiaj, większą pozycję w historii naszego malarstwa.

Niech mi wolno będzie powiedzieć także parę słów o Czapskim pisarzu, i specjalnie o jego *opus magnum*, „Na nieludzkiej ziemi”. Powiem szczerze że nie lubię opowieści czy wspomnień wojennych i z czasów okupacyjnych. Tendencje wspomnianej książki Czapskiego są mi oczywiście nad wyraz bliskie, ale chcę o tej książce mówić z czysto artystycznego punktu widzenia, jako o utworze literackim, abstrahując zupełnie od jej wartości, ogromnej, jako dokumentu historycznego. Uważam że z całej literatury polskiej o okropnościach ostatniej wojny pod Sowietami, najwyżej stoi „Droga donikąd” Józefa Mackiewicza, a drugie miejsce zajmuje właśnie książka Czapskiego. Ale nie ukrywam, że z całej literatury o łagrach i więzieniach Rosji, najbardziej

mną wstrząsnęła „Darkness at noon” Koestlera; sympatii dla dręczonych przez Stalina komunistów nie mam ani żdźbła, a jednak nie mogę zapomnieć tego bębnienia w lufce cel więziennych, gdy enkawudyści taszczyli do miejsca kaźni żywego trupa Rubaszowa. To wstrząsająca scena, którą porównam ze sceną, gdy bohater Remarque’a w „Na zachodzie bez zmian” obojętnie skleca deski trumien dla kolegów, którzy nazajutrz zginą w okopach. Tak samo, gdy chodzi o okupację hitlerowską, jeden Marek Hłasko napisał nowele, które pozostaną trwale w literaturze. Więc raz jeszcze: z całej literatury wojennej tylko pięciu autorów, Remarque, Koestler, oraz z Polaków (w porządku alfabetycznym) Czapski, Hłasko i J.Mackiewicz, wrzili się trwale w moją pamięć. To wystarcza, by wskazać, jak wysoko Czapskiego jako pisarza cenię.

Ale muszę dać wyraz memu stałemu zdziwieniu, skąd u Czapskiego wzięło się to uwielbienie dla literatury rosyjskiej. Rozumiem je u ludzi, którzy mieli to nieszczęście, że nie znali nigdy innej szkoły, średniej czy wyższej, poza rosyjską, żadnym obcym językiem, poza rosyjskim, nie mówili, obcych literatur nie znali. Ale i tak Parnicki, który studiował w Charbinie, tam zdawał maturę, co prawda w tamtejszym polskim gimnazjum, co go uratowało od zruszczenia, ale nie uległ tej hipnozie; gdy w latach wojny przychodził do mnie w Londynie, i w płaszczu, w butach kładł się od razu na moim łóżku, recytując wiersze rosyjskie, miałem zawsze wrażenie, że to Raskolnikow przyszedł do mnie z wizytą. Ale oto ten Parnicki w swoich powieściach „Aecjusz”, „Srebrne Orły” etc. porusza tematy, nic wspólnego z Rosją nie mające: stara się, jak może, zbliżyć nas do kultury antyku, Rzymu, katolicyzmu, Zachodu. Łobodowski, który młodość spędził na Kubaniu, uczył się w rosyjskiej szkole i zachował z tych czasów feblika do języka rosyjskiego, do literatury rosyjskiej, ale, gdy tylko wojna zagnała go do Hiszpanii, zrobił kolosalny wysiłek, by sobie przyswoić wielką cywilizację hiszpańską, i stał się naszym hispanistą Nr Jeden, odegrał takąż rolę w zbliżeniu kultury i literatury hiszpańskiej do nas, co Porębowicz w stosunku do literatury włoskiej. Czapski nie ma ani kropli krwi rosyjskiej w żyłach, ma bardzo dużo krwi austriackiej oraz baronów bałtyckich, ale to nie to samo; więc zew krwi u niego nie gra. Uczył się w domu; dopiero ostatnie dwie klasy był w gimnazjum w Petersburgu. Czapski zawsze wybornie znał język

francuski, literaturę francuską, jako malarz jest pod wpływami czysto francuskimi, ma sposób bycia, dowcip, humor, konwersację bardzo francuską, więc skąd to kulturalne moskalofilstwo, skąd to ubóstwienie literatury rosyjskiej u tak do gruntu, do szpiku kości zachodniego człowieka i pisarza i artysty, u takiego z pochodzenia, z kultury, z temperamentu *zapadnika*?

Spotkawszy niedawno Czapskiego i pytając go, jakie są źródła jego pasji do literatury rosyjskiej, wysunąłem hipotezę że to może *bogoiskatelstwo* autorów rosyjskich go tak ujęło. Czapski aż podskoczył: „Ależ tak, oczywiście, zawołał, zwłaszcza u Dostojewskiego; bez kwestii religii Dostojewski jest niczym!” Znowuż, *pro domo mea*, przypomniałem sobie, jak tymiż słowami Stanisław Mackiewicz tłumaczył mi swój kult dla Dostojewskiego. U Stasia to mnie nie dziwiło: Mackiewicz był dużo bardziej wschodnim człowiekiem, niż Czapski; nie był, jak Józio, gorącym chrześcijaninem, ale tylko tradycjonalistą; katolicyzm i Ostra Brama wydawały mu się równie związane z Wielkim Xięstwem, co Matka Boska Częstochowska i Poznań wielu „endekom”. Poza tym St. Mackiewicz twierdził, i tu chętnie wierzę że miał rację, że to sekta „duchoborów” była kondensacją duszy i myśli rosyjskiej, i widział w Dostojewskim Duchobora, który robi wysiłek, by oficjalną Cerkiew naprowadzić na to prawdziwie ludowe, prawdziwie narodowe prawosławie. Zawsze mnie dziwi, jak tak prawdziwy *zapadnik* i tak gorący katolik, jak Czapski, może gustować w mętnym mistycyzmie rosyjskim, jak może nie zrozumieć że Kościół katolicki to, obok Ewangelii, organizacja, prawo kanoniczne, hierarchia, porządek, forma, posłuszeństwo, dyscyplina; słowem prawny ustrój Rzymu został przez Kościół przetrawiony i przekształcony, i że to ten amalgamat stworzył wielkość i potęgę Kościoła Rzymskiego. Protestantyzm, cesaropapizm Wschodu nigdy nic podobnego nie stworzyły. Dzisiaj Kościół przeżywa nowy kryzys wewnętrzny, nową falę protestantyzmu i sekt, która skończy się ateizmem, jak to się już dzieje w wielu krajach protestanckich Europy i Ameryki. Kociół katolicki nigdy nie wierzył w egzaltację, w indywidualne komentowanie Pisma św., we własne natchnienia, we własne teorie. Rosyjska myśl prawosławna grozi Kościołowi anarchią sekt, które nie tylko wojują ze sobą, ale w końcu wpadają bez wyjątku w dziwactwa i zbrodnie, w nawrót do

pogaństwa i prymitywnych barbarzyńskich obrządków, z kastracją i dzieciobójstwem włącznie.

Wreszcie Czapski jest zupełnie ślepy na szalone, straszliwe, co dzień większe niebezpieczeństwo rusyfikacji Polski i spustoszeń, które wpływy Rosji wywierają na naszą mentalność i na naszą literaturę. Bogu dzięki, aż do końca XIX w. tych wpływów nie było. Mickiewicz był przyjacielem Puszkina, ale Puszkina nie miał cienia wpływu na jego poezję; co najwyżej można mówić u Mickiewicza o pewnym regionalizmie pochodzenia białoruskiego. Cechy całej literatury polskiej aż do Żeromskiego to, pomimo nieszczęść naszego kraju, naprzód polor i dworność, ogłada i dystynkcja: Kochanowski, Morstin, Krasicki – to są poeci dworscy, co jest tym bardziej uderzające, że Dworu Królewskiego w znaczeniu Wersalu, Hofburga, Eskorialu, z ich tłumami dworzan, rezydujących stale przy monarsze, nigdy właściwie nie mieliśmy. Druga stała cecha naszego piśmiennictwa to pogodność, wesołość, czasem rubaszna, ale nigdy chamska ani wulgarna; „my lubim sielanki”. „Pan Tadeusz” jest pogodny, jest eposeą ludzi szczęśliwych, zacnych, przyjaznych. Gdy Słowacki nadużywa swych „kruków”, staje się od razu nienaturalny, sztuczny, bo to nie odpowiada naszej umysłowości, naszemu temperamentowi. Prus jest dobroduszny, Fredro, Bogusławski, Rydel, nawet Wyspiański w „Weselu” nie są bardami nieszczęść, krzywdy, potworów, katastrof, chyba że chodzi o katastrofy narodowe, ale optymizm, umiłowanie życia, zaufanie do człowieka – to są dominanty. Aż przychodzi Żeromski, który pierwszy uległ okropnym wpływom dostojewszczyzny i literatury rosyjskiej, i nasza proza traci swoją klarowność, swoją pogodę, swe fundamentalne przekonanie, że żyć warto i że życie jest dobre i piękne, swe nawet nadmierne zadowolenie z siebie, swój optymizm, swą wiarę w przyszłość, by dać miejsce jakiemuś nihilizmowi, pesymizmowi, nienawiści, rozpacz, czemuś choremu, niezdrowemu, kalekiemu. Reymont w „Chłopach”, Weysenhoff w swych powieściach jeszcze się wywodzą z tradycji „Pamiętników Kwestarza”, niedocenionej perły naszej literatury „Pamiętników” Paska, które są najlepszą historią kultury szlacheckiej, jaka kiedykolwiek będzie napisana; ale już Brzozowski zamiast jasności i logiki łaciny i francuszczyzny rozplywa się tylko w mętniactwie i ignorancji rosyjskiej. Nasza literatura międzywojnia była już całkowicie zatruta miazmatami rosyjskimi: pesymizm, brutalność, chamstwo,

rozpacz, przygnębienie, zupełne oderwanie od nurtu francuskiego, nie mówiąc o łacinie, której już nikt nie znał, podczas gdy ta łacina była fundamentem wartości stylu Mickiewicza i wszystkich naszych dobrych pisarzy aż do ostatnich czasów; z całej spuścizny Wyspiańskiego najbardziej podziwiam jego wiersze greckie („Skamander wiślaną mieniący się falą”). Dzisiaj greki ani łaciny nie umie u nas nikt na emigracji, poza Wieniewskim, a w kraju w ogóle nie może o tym być mowy. Za to takie czy inne rosyjskie wpływy widzę u Sieroszewskiego (okropny), u Kadena (okropny), u tych wszystkich kobiet, Gojawiczyńskiej, Szelburg-Zarembiny, z wyjątkiem, oczywiście, Marii Dąbrowskiej, która miała olbrzymi talent, specjalnie w „Ludziach stamtąd”.

Nasi amatorzy „kultury” rosyjskiej, literatury rosyjskiej nie rozumieją, że cywilizacja, że kultura, że nawet religia – to metody ułożenia cywilizowanego w s p ó ł z y c i a ludzi i narodów. Rosja nigdy nie miała o tym cywilizowanym współżyciu pojęcia.

Cokolwiek bym napisał o pracach Czapskiego, malarskich, krytycznych, literackich, nigdy to nie wyczerpie jego roli i znaczenia. Odegrał dużą rolę przy Andersie, w Sowietach, w 2 Korpusie, i przy zakładaniu paryskiej *Kultury*. Ale poza tym sama jego obecność, fakt że jest, że żyje, że ma stosunki, że widzimy jego długą i chudą sylwetkę stwarza pewną atmosferę, i mimowoli trzeba się z nim liczyć; nigdy nikt nie może przejść obojętnie wobec faktu, że Czapski tych ceni, czy lubi, czy uznaje, czy popiera, a innych – nie. Można się zgadzać z takimi czy innymi stanowiskami, które w długim życiu zajmował; nie można wrzucić ramionami i wołać, że to nie ma znaczenia. Jest to człowiek, którego ciężar gatunkowy, pozycja w różnych kołach i z różnych punktów widzenia jest za wielka, by można ją zbywać; Józef Czapski jest zawsze tym kamieniem, który wrzucony w wodę, zatacza ciągle coraz szersze kręgi. Zachowuje on wyjątkową przyjaźń i oddanie wielu ludzi, którzy często poza przyjaźnią do niego mają mało między sobą wspólnego. Zachowuje autorytet, na który składa się wiele czynników: talent, dorobek, charakter, szczerłość, wierność poglądom i przyjaciołom, absolutna bezinteresowność, szlachetność, dobra wola, wielka kultura, ogromne czytanie, czy ja wiem? Mógłbym ten spis ingrediencji, które się składają na fakt iż osoba Czapskiego (i jego siostry) się zarysowała tak silnie już od sześćdziesięciu lat w świadomości kilku pokoleń Polaków i cudzoziemców,

przedłużać bez końca. Pamiętam taki maleńki epizod bodaj z r. 1952, czy wcześniej, gdy we Frankfurcie nad Menem Komisja Kongresu USA przesłuchiwała świadków w sprawie katyńskiej. Komisja jadowicie przezwana przez „fellow-travellerów” i innych, jak zawsze arcylicznych, rusofilów i agenciaków Rosji, *The Katyn Circus*. Gdy Czapski wszedł na trybunę świadków, przez otaczających mnie niemieckich dziennikarzy przeszedł szmer *Ein echter polnischer Graf!* Było w tym szmerze dużo podziwu, dużo szacunku dla społeczności, która z godnością zeszła do grobu.

Można być wielkim człowiekiem, a być pozbawionym wszelkiego promieniowania. Znałem w Monachium lekarzy, uczniów wielkiego Roentgena, który był pierwszym laureatem, jakże słusznie, nagrody Nobla z medycyny w r. 1900. Ten jakże zasłużony geniusz, który uratował miliony i miliardy ludzi od cierpień, chorób i śmierci, który nie wziął nigdy patentu za swoje odkrycie, który umarł dopiero w r. 1923, otóż Roentgen miał być najtrudniejszym profesorem, fatalnym wykładowcą, jakąś, bez cienia daru pedagogicznego, bez żadnej zdolności do zainteresowania swych uczniów. A Czapski, którego roli z rolą Roentgena porównać nie można, ma ten boski dar wzruszania, zapładniania swym żarem wszystkich, z którymi się styka. Nie można być wobec niego obojętnym. *C'est un grand Monsieur*, to człowiek pełny, prawdziwy, autentyczny. I który zachował dotąd zdumiewającą młodość. Patrząc na niego, słuchając go, rozmawiając z nim, wydaje mi się że to nie ja, lecz on jest ode mnie o siedem lat młodszy, że ma ode mnie więcej zapału, więcej pasji, więcej umiłowań, więcej nadziei, więcej apetytu do życia. Że jest szczęśliwszy. Że bez niego bylibyśmy wszyscy ubożsi, smutniejsi, bardziej samotni. Więc ten jubilat niech nam żyje!

Wiadomości, 12.9.1976

Indeks osobowy

- Adenauer 36, 86, 148, 155,
181
Ahmed 86
Albert Wielki 50
Aleksander I 82, 83, 251
Amin 86
Anders 118, 251, 256, 260,
262, 263, 320
Anjou de 76
Anna austriacka 77
Aragon 271
Arciszewski M. 174, 228, 256
Arden 157
Arka-Bożek 206
Askenazy 228, 251, 290
August 268
August II 77
Augustyn św. 50, 56
Axentowicz 310
- Badeni S. 11, 158, 2899
Baliński 136, 152, 250
Balzac 70, 124, 314
Barański L. 238, 244
Bartel 226, 227, 243, 244
Batignoles 161
Batory S. 76
- Baudelaire 12, 148, 268
Beaupré 158, 185, 253, 280
Beaverbrook 141
Beck 51, 83, 87, 174, 181, 200,
203, 213, 251, 252, 260, 275,
295, 299
Beckowa 294
Benezs 82, 262
Berent 126, 221
Bergman 146
Beria 81, 104
Bernanos 295
Bernard św. 50
Berry 140
Beuve S. 314
Beülów 213
Bielatowicz 152
Bielecki 129, 148, 252, 278,
298, 305
Bierut 60, 81, 137, 303
Birkenmayer 288
Birnbaum Immamel 182, 183
Bismark 213
Blessing 107
Blok 191
Bobrowski Cz. 147, 239, 284
Bobrzyński 127, 158, 283

- Boccacio 113
 Bocheński Adolf 167, 168, 210
 Bocheński Aleksander 196
 Bogusławski 319
 Bohommolec Misia 157
 Boiteux Marcel 107
 Bojarski 234
 Bok 160
 Bolesław Chrobry 43, 52, 251, 298
 Bolesław Krzywousty 49
 Bonaparte 58, 60, 70, 81, 82, 84, 85, 149, 247, 251, 263, 269, 270
 Bor-Komorowski 251
 Borman A. 152
 Boumédienne („Bouma”) 108
 Boy 157, 250
 Brandt 41, 250
 Bregman 146
 Brezniew 104, 105
 Broncel 152
 Bruening 61
 Brzeski 238
 Brzeziński 276, 277, 279, 282
 Brzozowski 127, 231, 319
 Budzyński 67
 Byrka 284

 Camrose 140
 Car 199
 Carli 107
 Cartier R. 306, 307
 Cervantes 113
 Cezar 251
 Cézanne 11, 312, 313, 314, 316
 Chanel 157
 Cherlamagne 113
 Chesterton 114

 Chodźko 267
 Chołoniewski 127
 Chruszczow 36
 Chrzanowski I. 279
 Churchill 22, 34, 36, 51, 88, 148, 219, 251, 261, 264
 Ciołkosz 148, 152, 154, 252, 278, 305
 Clémenceau 307
 Conrad 126
 Consalvi 58
 Corner C. 81
 Cripps 24
 Cybis 313
 Cyrski 210
 Cywiński 137
 Czang Kaj-szek 306
 Czapscy 130
 Czapska M. 309, 310, 314, 320
 Czapski Józef 145, 155, 156, 159, 160, 161, 179, 190, 205, 231, 309, 310, 311, 313, 314, 315, 316, 317, 318, 319, 320, 321
 Czarnota-Bojarski Wł. 285, 286
 Czechow 111
 Czedekowski 312, 313
 Czerbyrski A. 62
 Czerkawski 237, 246
 Czuchnowski 134

 Dabrowski 193, 194
 Daladier 83
 Dante 113
 Daphné du Maurier 133
 Daszyński 244, 299
 Daudet L. 61, 201
 Dawson Ch. 51, 219

- Dąbrowska M. 320
 Dąbrowski J. 60, 77, 252
 Debré 83
 Deffere 10
 Degas 315
 Delacroix 313
 Dembiński 210
 Desaix 263
 Deutscher 174
 Diamand 244
 Dickens 114
 Diesel 43
 Dmowski 181, 182, 197, 224,
 236, 249, 251, 264, 283, 295,
 298
 Dobiecki 249
 Doboszyński 129
 Doellinger 62
 Domańska K. 152
 Doncew 112
 Dostojewski 61, 111, 112,
 315, 317
 Doyle C. 114
 Dreiser 112
 Drohojewski 170, 176, 208
 Drut Guy 80
 Dubczek 83
 Dunajewski J. 237
 Dunin-Borkowska 273
 Dybowski 289
 Dzierżycki W. 178
 Dzierżyński 104
 Dziurzyński 288

 Eden 36, 88
 Ehrenburg 112, 179
 Eliot 127
 Elżbieta I 76
 Engels 103
 Erhard 36, 41, 148
 Erlanger T. 41
 Estaing de G. 86, 91, 93, 94,
 107, 237
 Estreicher 121, 158, 186, 191,
 223, 233, 243, 253, 255, 258,
 272, 278, 279, 280, 281, 290,
 310
 Falter 238, 301
 Fauvet J. 41
 Felsztyn 137
 Fierich 191, 287
 Filosofow 179, 191
 Fiszer 263
 Flaubert 165
 Foch 307
 Focjusz 55
 Folkierski 289
 Fontaine La 269
 Ford 91, 95
 Fouché 293
 Fouquet 269
 Fourastié 103
 Fox 181
 France A. 230
 Franciszek II 76
 Franciszek sw. 61, 269
 Franco 40, 78
 Fredro 115, 319
 Friedmman 237

 Galsworthy 114, 115
 Gamelin 174
 Gandhi 103, 311
 Garandy 269
 Gaston Orleański 77
 Gaulle de C. 34, 36, 80, 81,
 86, 91, 94, 135, 146, 148,

- 212, 214, 218, 219, 242, 250,
 251, 261
 Gąbiński 180
 Giedroycie 130
 Giedroyc Jerzy 141, 142, 143,
 144, 145, 146, 147, 148, 150,
 151, 153, 154, 155, 156, 159,
 160, 161, 169, 209, 220, 233,
 235, 247, 272, 304, 305, 308,
 311, 312, 314, 315
 Gierek 81, 83, 94
 Giertych 154, 251
 Gierymski M. 313, 316
 Giotto 315
 Girardin 269
 Giscard 108
 Gliwic 300
 Głabiński St. 238
 Godlewska 222
 Goes Van 161
 Goetel 154
 Goethe 70
 Gogh Van 316
 Gogol 111
 Gojawiczyńska 320
 Gołąb St. 287
 Gombrowicz 145, 159
 Gomułka 81, 120, 207, 211,
 212, 251
 Gonczarow 112
 Gonzaga M.L. 77
 Gorki 112, 115, 316
 Goya 178, 312
 Grabowski 154
 Grabski St. 180, 238, 242,
 243, 245, 253, 259, 284, 290,
 296, 298
 Grażyński 244, 284, 285
 Gromyko 93
 Grydzewski 10, 119, 123, 130,
 132, 145, 146, 207, 221, 222,
 273, 276, 306
 Grzegorz XVI 51
 Grzybowski 226, 277, 305
 Guignol 114

 Haller J. 251, 299
 Hamsun 114
 Hardbouin-Mansart 269
 Haugel v. 241
 Hayek v. 236
 Hegel 103
 Hekata 230
 Helwecjusz 217
 Hemar 145
 Hemingway 250
 Henryk II 76
 Henryk III 76
 Henryk Walezy 76
 Herling 152
 Hertz Zofia 150, 157, 158, 159,
 160
 Hertz Zygmunt 150, 156, 157,
 160
 Hertzowie 130, 155, 156
 Heydel A. 57, 58, 193, 236,
 237, 238, 249, 258, 284,
 313
 Hitler 18, 22, 43, 59, 82, 83,
 84, 246, 251, 261
 Hłasko 125, 222, 317
 Hoene-Wroński 133, 231
 Hogart 178
 Homer 117
 Hommer 116, 117
 Hongwill 154
 Horacy 268
 Horodyński Dominik 211
 Hostowiec 127, 136, 145, 147
 Hryniewski 154

- Hugo Victor 115, 268
 Hupka dr 297

 Ibsen 114
 Ingres 313
 Irzykowski 127
 Istrati P. 116

 Jagiełło 263, 298
 Jan XXIII 130
 Janta 268
 Janty-Połczyński 266
 Jarra 279
 Jarzyński 80
 Jawlenski 313
 Jaworski W.L. 158, 185, 186,
 252, 253, 258, 272, 281, 282,
 283, 286, 287, 289, 290, 291,
 292, 295, 297
 Jeleński 152, 159
 Jesienin 160, 231
 Johnson 41
 Józwiak 206
 Just St. 103
 Justyn św. 50

 Kaczorowski 24
 Kaczyński 61
 Kaden 271, 319
 Kalecki Michał 147
 Kalinka 184, 127
 Kallenbach 289
 Kalwin 53
 Kandinski 313
 Kant 289
 Katak K. ks. 11, 123, 154
 Karamanlis 92
 Karol Wielki 34, 78
 Karol X (hr d'Artois) 149

 Kasprowicz 116
 Katarzyna Medycejska 76
 Katelbach 193
 Katon 145
 Keitel 22
 Kemsley lord 139, 140, 141
 Kennedy 36
 Keynes 32, 237
 Kiesinger 214
 Kirchmayer 158
 Kisielewski 104
 Kissinger 84
 Kister 266
 Kléber 263
 Kniaziewicz 263
 Koc 252, 284
 Kochanowski 319
 Koestler 122, 317
 Kolumb 130
 Konarska J. 151
 Kondusz 77
 Konopczyński 277, 289
 Konopka St. 296
 Konrad maz. 52
 Kopa (Kopaczewski) 80
 Kopański 263
 Korfanty 61, 181, 251, 259,
 299
 Korjan Tola 152
 Korybut 77
 Korzon 184
 Kossak 314
 Kossowska S. 265
 Kostanecki 238
 Kosygin 46, 214
 Kościuszko 60, 219, 257, 263
 Kot 72, 157, 167, 169, 176, 180,
 190, 214, 253, 254, 256, 257,
 258, 259, 276, 289, 290

- Kot Stanisław 158, 292, 293,
 294, 295, 296, 301, 302, 303,
 305
 Kott Jan 9
 Krasicki bp. 127, 269, 319
 Krasiński 61
 Krawczenko 117
 Kryński 132
 Krzymuski E. 285, 286
 Krzyżanowski A. 9, 20, 105,
 233, 233, 234, 235, 236, 237,
 238, 239, 240, 241, 242, 243,
 244, 245, 246, 246, 247, 248,
 253, 278, 280, 281, 283, 284,
 285, 286, 290, 291
 Kucharzewscy 190
 Kukiel M. 256, 257, 258, 289,
 290, 292
 Kumaniecki 285, 287
 Kutrzeba St. 276, 277, 284,
 288
 Kwiatkowski 24, 119, 146,
 243, 270

 Laffitte L.F. 149
 Lama 292
 Lammenais 62
 Lanfranc abp. 50
 Lange O. 133, 236, 284
 Lannes 149
 Laudyn 210
 Laval 242
 Le Pen 41
 Lebrun 269
 Lecanuet 42, 46
 Lechoń 145, 250
 Lednicki A. 300
 Leger 83
 Lejkin 112
 Lenin 103, 104, 219
 Leszczyńska M. 77
 Lewentalowa H. 306
 Lewicka 185
 Librach 295
 Lichtenberg J. 160
 Liebermann 199
 Lipski 244
 Lister 108
 Liszt 248
 Litauer 171, 176, 177
 Loti P. 167
 Louis 175
 Lubecki 43
 Lubomirski Zdz. 201
 Luboński 210
 Ludkiewicz Seweryn 218
 Ludwik XIV 91, 99, 114, 149,
 269
 Ludwik XV 66, 77, 85
 Ludwik XVI 175
 Ludwik XVIII 175
 Ludwik św. 49
 Lukrecjusz 231
 Lumumba 108
 Lusignan 81
 Luter 53

 Ładoś 228
 Łepkowski St. 244
 Łobodowski 134, 136, 317
 Łubieński Henryk 192, 199
 Łukasiewicz 83, 228

 Machiavelli 84
 Mackiewicz 51, 88
 Mackiewicz J. 39, 51, 123, 146,
 154, 172, 194, 220, 222, 268,
 316, 317, 318
 Mackiewicz St. 123, 124, 131,
 137, 138, 144, 154, 167, 177,

- 180, 184, 185, 186, 187, 188,
189, 191, 192, 193, 194, 195,
196, 198, 199, 200, 201, 202,
203, 204, 205, 206, 207, 208,
209, 210, 211, 212, 213, 214,
215, 233, 251, 254, 262, 263,
266, 268, 270, 271, 276, 280,
303, 318
- Macmillan 36
- Maczek 263
- Maison de 149
- Majakowski 231
- Malczewski 310, 313
- Malczewski J. 236
- Malthus 96, 97, 98, 101, 102,
131, 235
- Mao 31, 46, 95, 306
- Marat 103
- Marchais 80, 106
- Maria Stuart 76, 81
- Maria z Gwizjuszów 81
- Marin Louis 212
- Marshall 44
- Marx 96, 97, 98, 101, 102, 103,
104, 105, 106, 107, 108, 269
- Matejko 310
- Matuszewski 20, 143, 153,
169, 170, 200, 202, 238, 244,
252, 280, 284, 285, 295, 301
- Mauriac 61
- Maurier de D. 133
- Maurras Charles 61, 123
- Mazarin 77
- McKinley Martin 107
- Mehoffer 310
- Melitus św. 50
- Mendog 209
- Mereżkowski 70, 191
- Merowing 182
- Michał-Anioł 313
- Michałowski P. 159, 313, 316
- Mickiewicz 56, 77, 116, 126,
130, 134, 268, 270, 319, 320
- Miedziński 199
- Miedziński 244, 252, 254
- Mieroszewski 130, 145, 147,
152, 304, 305, 307, 308
- Mikołaj I 63
- Mikołajczyk St. 9, 10, 48, 82,
72, 170, 204, 214, 256, 257,
289, 293, 296, 297, 301, 302,
303
- Miłosz 145, 147, 267
- Minc 24, 62, 120
- Mitterand 10, 106
- Mizes v. 236
- Młynarski F. 284
- Mochnacki 231
- Modelski 72
- Modigliani 312, 313
- Modrzewski 154
- Mollet G. 41
- Mołotow 93, 261, 295
- Mommsen 223
- Monet 312, 314
- Montagu N. 44
- Montbrial de T. 104
- Monteskusz 279
- Montherlout de H. 234
- Montmorency de 82, 161
- Morawski K. 127, 312, 314
- Morawski Zdz. 291
- Morawski K. 291
- Moreau 263
- Morstin L.H. 268, 319
- Morsztyn 127
- Mościccy 114
- Mościcka 294
- Mościcki 243, 244, 245
- Mujiba 86

- Murville de C. 81
 Napoleon III 95
 Narutowicz 254
 Nasser 40, 147
 Natanson W. 291
 Natanson Wł. 291
 Nenni 41
 Niedziałkowski 137, 239,
 299, 300
 Niekrasow 231
 Niemcewicz 134
 Nietzsche 269
 Niezbrzycki 145
 Nixon 105, 155, 307
 Nobel 113, 115, 321
 Normand Ch. 314
 Norwid T. 86
 Notre Le 269
 Nowaczyński 181, 182, 271
 Nowakowski Tadeusz 136,
 152, 214
 Nowakowski Zygmunt 128,
 129, 145, 172
 Odrowąż 52
 Okulicz K. 192, 209
 Olszowski bp 251
 Orlikowski 226
 Ormesson de 61
 Orsay de Q. 104
 Orzeszkowa 115
 Paderewski 241, 259
 Panait Istrati 116
 Pankiewicz 313
 Parnicki 212, 317
 Pascal 133
 Pasek 319
 Pasteur 108
 Patek 300
 Paweł św. 54
 Petlura 32, 229
 Petrarka 113
 Petrazycki 191
 Petrow 112
 Pétain 22, 194
 Pflimlin 214
 Piasecki 211
 Picasso 250
 Pico della Mirandola 218
 Piłsudski 58, 117, 146, 153,
 178, 179, 181, 182, 190, 192,
 193, 194, 196; 197, 198, 199,
 200, 201, 202, 203, 204, 206,
 207, 208, 209, 210, 213, 218,
 220, 227, 233, 241, 243, 244,
 245, 247, 251, 253, 254, 256,
 259, 260, 283, 298
 Pinay 93, 94, 147, 148
 Piper 208
 Pipin 182
 Pius XII 218, 219
 Plater E. 269
 Platon 231, 289
 Pobog 154
 Podkowiński 313
 Podoski 199
 Poincaré 44, 93, 307
 Pompidou 93, 271, 298
 Poniatowski J. 60, 77, 148,
 213, 257, 263
 Popiel 61
 Potocka Franciszkowa 159
 Potocka K. 274, 275
 Potocki F. 60
 Potocki J. 208
 Potocki St. 60
 Pound Ezra 127
 Pragier 146, 152

- Protasewicz 295
 Proust 133, 148, 151, 160,
 179, 250, 268, 275
 Proust M. 311, 312
 Prouvost J. 306
 Prus 115, 319
 Pruszyńska 158
 Pruszyński Ksawery 145, 165,
 166, 167, 168, 169, 170, 171,
 172, 210, 221, 258
 Prystor 192
 Puget de L. 309
 Puszkina 231, 319
 Putrament 209
- Rabelais 178
 Racine 269
 Raczkiewicz 254
 Raczyński E. 88, 180, 204,
 241, 255, 259, 260, 261
 Radek 254
 Radziwiłł 187, 188, 199, 200,
 208
 Rafael 312
 Raskolnikow 317
 Raszin 239, 283
 Rataj 239, 257, 289
 Rataj M. 296, 299, 300, 301,
 303
 Reinhold 286, 287
 Remarque 117, 317
 Rembrandt 312, 313
 Repnin 90
 Retinger 211, 224, 225, 227,
 252, 256, 258, 259, 293
 Retinger Mieczysław 224, 225
 Retinger Józef 224
 Retingerowa 225, 226
 Reymont 56, 61, 112, 319
 Ricardo D. 97, 105
- Robespierre 103
 Robinson J. 236
 Rochefoucauld La 126
 Roentgen 108, 321
 Romer A. 296
 Roosevelt 22, 261, 264
 Rosenberg 123
 Rosner A. 256, 258, 259, 310
 Rosner I. 255, 256, 290, 291,
 310
 Rosner M. 286, 290
 Rostworowski 191
 Rostworowski Jan 142, 145
 Rostworowski K.H. 268
 Rostworowski M. 282
 Rothermer 141
 Rousseau 103, 205, 216, 217,
 269, 270, 279
 Rowecki 254
 Rozwadowska K. 291
 Rozwadowski M. 291
 Rubczyński 289
 Rubel Max 103
 Rubinstein H. 157
 Ruciński Józef 147
 Rueff J. 242
 Rybarski 238, 284
 Rydel 319
 Rydz 200, 201, 202, 203, 210,
 247, 257, 263, 275, 294
 Rydzowa 294
 Rzewuski 229
 Rzewuski H. 267
- Sadat 108
 Saint-Simon de D. 268
 Sakowski 145
 Salazar 40
 Sand G. 314
 Sanmelson 237

- Sapięha 187
 Sartre 133
 Sas 77
 Savigny von 212
 Schacht H. 237
 Schmidt 86, 89, 100, 105, 108
 Schoenfeld 137
 Schuschnigg 61
 Seipel ks. 283
 Sekowicz 288
 Selfridge 43
 Sevigné de 114
 Shakespeare 116
 Shaw 114, 250
 Sienkiewicz 61, 116, 267
 Sierakowski A. 312
 Sieroszzewski 127, 320
 Sikorski 51, 58, 82, 153, 158,
 166, 169, 170, 174, 183, 186,
 198, 203, 204, 211, 213, 214,
 243, 250, 251, 252, 253, 254,
 255, 256, 257, 258, 259, 260,
 261, 262, 263, 264, 289, 290,
 292, 293, 294, 296, 298, 299,
 302, 303
 Sikorsky 70
 Simon 188, 202
 Sinclair 112, 113
 Singer 169
 Sinka 288
 Skalska K. 289
 Skamander 231
 Skarga ks. 54
 Skirmunt 88, 241
 Skrzyński A. 158, 166, 185,
 241, 251, 253, 255, 256, 259,
 298
 Sławek 192, 198, 199, 200,
 201, 208, 210, 244, 254
 Sławoj 154, 202
 Słonimski 131, 151, 169
 Słowacki 268, 319
 Smith A. 97, 105
 Sobański „Tonio” 152
 Sobieski prof. 251, 277, 289
 Sohl Dr 107
 Sokolnicki 146
 Sokrates 178
 Sołowjow 191
 Sopicki St. 252
 Sosnkowski 170, 262, 263
 Soutin 161
 Srokowski K. 253, 290
 Stackelberg 90
 Stahl 154
 Stalin 22, 34, 36, 46, 62, 104,
 180, 112, 251, 254, 256, 257,
 261, 264, 293, 295, 303, 317
 Staliński 80
 Stanisław August 184
 Staniszevska Z. 208
 Stańczyk 7, 61, 143, 183, 186,
 212, 219, 259
 Starowieyska I. 286
 Stecki 188, 202
 Steczkowski J.K. 300
 Stefan św. 49
 Stempkowski 225
 Stempowski J. 216, 217, 218,
 219, 220, 221, 222, 223, 224,
 226, 227, 228, 229, 230, 231,
 232, 266, 267, 290
 Stempowski St. 224
 Stendhal 70
 Stomma 186
 Stonehouse 88
 Stpiczyński 170
 Streicher 123
 Strindberg 114
 Stroński St. 51, 145, 157, 173,

- 174, 175, 176, 178, 179, 180,
 181, 182, 183, 199, 212, 258,
 259, 293, 294
 Strzetelski 201
 Stuart M. 81, 76
 Studniczy 190, 209
 Sué E. 314, 316
 Syrewicz 210
 Szalapin 70
 Szczedryn 112
 Szczepanowski St. św. 52
 Szelburg-Zarembina 320
 Szeptycki 59
 Szołochow 112
 Szpidbaum dr 132
 Szymon Słupnik św. 134

 Ścibor 154

 Tabaczyński 278
 Tabor-Tatar 295
 Tain 223
 Tajnhold 285
 Tarnowski A. 299
 Tarnowski J. 299
 Tarnowski Zdz. 127, 158
 Taubenschlag R. 272, 273,
 274, 275, 276, 287
 Taylor 238, 284
 Tell Wilhelm 114
 Tennenbaum H. 238, 239, 258,
 290, 295, 296, 299, 300, 301
 Teodor abp 50
 Terlecki 152
 Tetmajer 115
 Thiers 105
 Thompson 139, 140, 141
 Thyssen 107
 Tisza 248
 Tito 38, 83, 181

 Tiutczew 231
 Tixier 41
 Tołstoj 111
 Tołstoj A. 170
 Tołstoj Nr 4 112
 Tomasz św. 50, 113
 Topolski 250
 Towiański 231
 Traugutt 269
 Trembecki 127, 269
 Treviranus 182
 Trocki 104, 254
 Trzeciak ks. 123
 Turgieniew 111
 Twain Mark 115
 Tyszkiewicz 187, 197

 Ulanowski 276

 Vasari 312
 Vetulani A. 282
 Voltaire 268, 269

 Walezy Henryk 76
 Waliszewski 313
 Wańkowicz 145, 209, 265, 266,
 267, 268, 270, 271
 Warszewicki O. 54
 Wells 114
 Wergiliusz 116
 Wertyński 70
 Weygand 195
 Weyssenhoff 319
 Wędkiewicz 213, 289
 Wiech 283
 Wielopolski 60
 Wieniewski I. 84, 127, 320
 Wierzbicki A. 301
 Wilde 114
 Wilhelm św. 50

- Wilk Fr. 292
 Willamowitz von Modellendorf
 212, 223
 Wilson 41, 91, 93, 105, 214
 Witold 263
 Witos 180, 181, 251, 257, 289,
 290, 293, 296, 297, 298, 299,
 300, 301, 302
 Wittlin 127
 Władysław IV 77
 Wojciechowski 299
 Wołkońska Zinaida 134
 Woolworth 43
 Wraga 145, 146
 Wróblewska A. 157, 158, 159
 Wróblewski St. 273, 274, 275,
 276
 Wujek ks. 54
 Wundt 212, 223
 Wyczółkowski 310, 313
 Wyderko 277
 Wyspiański 61, 127, 310, 313,
 319, 320
 Wyszynski A. 295
 Wyszynski A. Januarjewicz 170
 Wyszynski K. 193
 Wyżeł 201
 Zabłocki T. 12
 Zaćwilichowski 252
 Zaleski 82
 Zaleski August 184, 219, 241,
 243, 255
 Zamoyski Andrzej 125
 Zarzewa 174
 Zawadzki 238
 Zawadzki T. 284
 Zborowski 70
 Zbyszewski 159
 Zbyszewski K. 12
 Zbyszewski W.A. 7, 8, 9, 10,
 11, 12
 Zdziechowski J. 20, 137, 182,
 238, 270, 284
 Zeppelin v. 248
 Zieliński T. 222
 Zoll 191
 Zoll F. j. 287, 288
 Zoszczenko 112
 Zweig 238, 276, 284
 Zwierzyński 196
 Zygmunt III 54
 Żeromski 115, 221, 231, 319
 Żymiński 60

SPIS RZECZY

Stefania Kossowska: Wacław A. Zbyszewski 7

CZ. I. SPRAWY I TROSKI

Zmartwienia pesymisty	15
Dwa okresy powojenne	28
Polska a świat katolicki	48
Bilans emigracji w Anglii	63
Francja i Polska	74
Kto był prorokiem: Malthus czy Marx	96

CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY

Polscy pisarze są bez szans	111
O pisarzach i redaktorach	119
Zagubieni romantycy	139

CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNAŁEM

Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim	165
Stroński	173
Stanisław Mackiewicz	184
Sceptyk i arystokrata	216
100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego	233
Sikorski	250
Melchior Wańkiewicz	265
Profesorowie U.J. w latach dwudziestych	272
Prof. Kot i ludowcy	292
Juliusz Mieroszewski	304
O Józefie Czapskim	309
<hr/>	
Indeks nazwisk	323



91-04-10

POMOST
OFICyna WYDAWNICZA
WARSZAWA 92

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001019259107